



Faye Kellerman

PRZEŚLADOWCA

Tłumaczył Jacek Łaszc
Tytuł oryginału *Stalker*

TLR

*Jonathanowi, pierwszemu z moich przyjaciół
Barneyowi, pierwszemu z moich agentów
Carrie, redaktorze z prawdziwego zdarzenia,
zawsze do mojej dyspozycji*

Rozdział pierwszy

To się powinno stać nocą, gdzieś w ustronnym miejscu słaboświetlnego parkingu. Tymczasem zdarzyło się w biały dzień, o pierwszej dwadzieścia pięć po południu. Farin zapamiętała tę, godzinę, bo właśnie zerknęła przez okno na zegar w swym volvo, który uchodził za najbezpieczniejszy wóz na drodze. Miała kompletnego fioła na punkcie bezpieczeństwa. Nie na wiele jej się to teraz zdało.

To nie było w porządku, przecież działała prawidłowo. Na miłość boską, postawiła wóz na otwartej przestrzeni, od boiska dzieliła ją ledwie ulica! Byli tam ludzie. Ktoś prowadził na smyczy brązowego pitbula, jakaś para spacerowała sobie słoneczną ścieżką wiodącą pod górę. A tam na lewo pani w dżinsowej kurtce czytała gazetę. W wyznaczonych miejscach bawiły się dzieciaki: paczka pędraków kręciła się w kołowrotkach, przed- szkolaki ścigały się na deskorolkach i przechodziły po trzęsących się mostkach, maluchy huśtały się na swych bujawkach. Matki rzucały od czasu do czasu czujne spojrzenia na swoje pociechy. Tylko jej, oczywiście, nikt nie widział. Tabuny ludzi, ale nikogo, kto by akurat pomógł kobiecie z lufą wciśniętą między żebra.

—Proszę, tylko nie rób krzywdy mojemu dziecku! — błagała.

—Stul pysk! Jeszcze jedno słowo i nie żyjesz! — To był męski głos. — Patrz przed siebie! — Farin poddała się. Bezcielesny głos mówił dalej: — Tylko się odwrócisz i po tobie. I nie patrz na mnie. Rozumiesz?

Przytaknęła, spuściła oczy. Głos był lekko podniesiony. Słowa szybkie i urywane, chyba z akcentem.

Tara nagle zaczęła płakać. Trzęsącymi się rękami Farin przygarnęła córeczkę do piersi, szepnęła jej coś pieszczotliwie do uszka. Odruchowo upuściła torebkę na plecy Tary, przykrywając kurtką torbę i dziecko. Miała nadzieję, że jeśli facet będzie strzelał, ona sama i torebka utworzą warstwę ochronną w tym przekładańcu, a kula wyjdzie przez nie, zanim...

Lufa przygniatała jej kręgosłup. Przygryzała usta, żeby nie krzyknąć.

— Rzuć torebkę! — rozkazał głos.

Zrobiła szybko, co chciał. Słyszała, jak jedną ręką grzebał w torebce, a drugą trzymał pistolet, który wbijał jej w nerki.

Ach, żeby to był zwykły rabuś portfeli! Usłyszała zgrzyt metalu. Klucze? Kątem oka zobaczyła, że od strony pasażera drzwi do wozu były teraz otwarte. Znowu poczuła ucisk lufy.

— Wsiadaj. Od tamtej strony! Już, bo strzelam do dziecka! Gdy tylko wspomniał o dziecku, straciła resztkę rozsądku.

Z oczu trysnęły jej łzy. Tuląc do siebie dziecko, okrążyła wóz z przodu; dotyk metalu w okolicach kości ogonowej odbierał jej chęć ucieczki. Przystanęła na widok otwartych drzwi.

— Dalej! — warknął. — Właż, no już!

Z Tarą przy piersi pochyliła się, szukając miejsca dla nóg, i wślizgnęła na fotel pasażera.

— Przesuń się!

Zastanawiała się, jak to zrobić. Wóz miał wgłębione siedzenia, z oparciem pośrodku. Trzymając wciąż Tarę, niezdarnie uniosła pośladki, przesuwając się drobnymi kroczkami po skórzanej tapicerce ku siedzeniu kierowcy; obie boleśnie uderzyły się o kierownicę. Tara znowu zaczęła płakać.

— Ucisz ją! — rzucił.

„Przecież to dziecko!”, chciała krzyknąć Farin. Jest wystraszona! Zaczęła jednak kołysać małą, śpiewając jej coś do uszka. Był tuż za nią, lufa wpijała się jej boleśnie między żebra.

„Nie patrz na niego”, powtarzała sobie. „Nie patrz, nie patrz, nie patrz!”

Bała się spojrzeć przed siebie. Zdołała jednak zauważyć, że broń była teraz wymierzona w główkę Tary.

Myśl, Farin! Myśl!

Kompletna pustka w głowie, żeby choć cień jakiejś myśli, nic. Strach przenikał każdą cząstkę jej ciała, serce boleśnie tłukło się o żebra. Klatka piersiowa zrobiła się nagle za ciasna; oddech przychodził jej z trudem. Poczowała, że głowa jej teraz nie ciąży, a przed oczami latają mroczki. Ujrzała przed sobą gwiazdy... niechybny znak, że zaraz zemdleje.

Nie, nikt jej nie zastrzeli. Po prostu zemdleje!

„Tylko mi tu nie zemdlej, głupia. Nie pozwalaj sobie”.

Jakiś głos przywrócił ją do rzeczywistości.

—Daj mi dziewczynkę! Ty prowadzisz!

Tara siedziała jej na kolanach, małe rączki szarpały bluzkę Farin, do której wreszcie dotarło, że jeśli pozwoli odebrać sobie dziecko, obie będą bezbronne; trzeba coś wymyślić. Wiedziała, że musi coś zrobić. Obróciła się nagle wokół swej osi, wyko- rzystując bezwładność wyprostowanego ramienia, by wytrącić napastnikowi broń. Mimo tego nagłego ruchu nadal trzymał broń, cofnął tylko rękę. To wystarczyło Farin, by przejść do działania.

Tym razem oparcie się przyda. Bo teraz będzie musiał coś jej zrobić. Szarpnęła za klamkę drzwi, kopnęła z całej siły w metalową barierkę. Wciąż trzymając Tarę, zerwała się z fotela, próbując wyskoczyć z wozu.

Tylko że zaczepił się jej but, potknęła się i zwała na bruk.

Co za pech!

Wypadając z wozu, pomyślała jeszcze: „Trzeba potoczyć się na biodrach, osłonić sobą Tarę, a potem kopnąć...”

Wygięła się, lądując na biodrach i plecach, w zderzeniu z twardym asfaltem podrapała sobie prawy policzek. Znalazła się teraz na górze, Tara była pod spodem. Wydała z siebie wrzask godny najlepszych horrorów kategorii B.

—Co się tu dzieje? — krzyknął niski męski głos.

Nawet patrząc z tego kiepskiego punktu obserwacyjnego, Farin zorientowała się, że to mógł być ten facet z brązowym pit- bulem.

Usłyszała parę wystrzałów.

„O Boże, pomyślała, on do mnie strzela!”

Była przygotowana na najgorsze — nagłe ukłucie, skręcanie się w mękach bólu i grozy, cokolwiek by to miało być... nigdy jeszcze do niej nie strzelano.

Ale nic nie przeszło jej ciała.

Wystrzały pochodziły z silnika jej wozu. Opony volvo zapiszczały nagle na jezdni. Jedna z tylnych radialnych opon uderzyła ją silnie w lewą

stopę i kostkę, gdy wóz skoczył naprzód. Nagle poczuła ból. Coś ją waliło w głowę, zaszłochała. Głośno, lecz nie na tyle, by zagłuszyć przesywający płacz Tary.

„O Boże! Moje dziecko jest ranne!”

— Niech mi ktoś pomoże! — krzyczała. Miała rozwaloną stopę i kostkę, ale dotkliwy ból przeszywał całą dolną połowę ciała, nogi i biodra. Żołądek podjeżdżał jej do gardła, a twarz wyglądała tak, jakby zaatakował ją rój wściekłych pszczoł. Ledwo mogła oddychać. Czowała, że za chwilę dostanie ataku serca. Mogła jednak poruszyć palcami prawej stopy, nie była więc sparaliżowana.

Zwijając się w spazmatycznych szlochach z bólu, zdołała jeszcze dostrzec biegnącego w ich stronę faceta z brązowym pitbulem. Wołał o pomoc, powtarzając wezwanie Farin. Pies szczekał dziko i groźnie. Rwał się na smyczy. I nagle rzeczywiście wyrwał się swemu panu, gnając tu w pełnym pędzie!

Rzuci się na nich z Tarą!

Potężny sus w powietrze!

Zaraz się to stanie. Pożre ją żywcem!

Był już o cal od jej twarzy.

Zemdlała w tej samej chwili, gdy pitbul zaczął zlizywać łzy z jej zapłakanego policzka.

Rozsierdzony mąż został gdzieś na boku, rzucając Deckerowi nieprzyjazne spojrzenia. Nie, żeby go o coś obwiniał. Ani jego samego, ani te dwadzieścia pięć lat służby, które Decker miał za sobą. Służby przez wielkie „S”.

— Spójrz tylko na nią! — wykrzykiwał. — To ją boli!

— Jason, już dobrze.

— Nie, nie jest dobrze! — przerwał Jason. — Co się z tobą stało? Przeszłyście z Tarą prawdziwe piekło! — Twarz poczerwieniała mu z gniewu. Dolna warga nagle zadrgała. — Musisz teraz odpocząć, Farin!

Był o krok od załamania się. Decker znał to z własnych przeżyć, bezradność odbierającą zmysły i doprowadzającą do wściekłości. Mężczyźni są po to, by chronić swe rodziny. Jeśli nie są zdolni temu podołać, nabrzmiewające poczucie winy zagarnia ich jak fala przyływu.

Prawdę mówiąc, Farin Henley miała teraz powody, żeby się przejmować. Ślad po tej głębokiej ranie szarpanej lewego policzka może jej zostać na całe życie. Lewą nogę wsadzono jej w gips powyżej uda. A nie tylko noga była złamana, powiedzieli lekarze Deckerowi. Również staw w kostce uległ wielokrotnemu złamaniu. Im większy gips, tym pewniejsza gwarancja odzyskania sprawności.

Nawet przez te wszystkie skaleczenia i zadrapania Decker łatwo mógł dostrzec, że Farin była całkiem miłą kobietką. Okrągłą, wesołą twarz okalały przycięte włosy w kolorze miodu. Duże błękitne oczy, podbite teraz czerwonymi obwódkami. Wyglądała na dwadzieścia parę lat, ale jeszcze przed trzydziestką. Jej mąż Jason musiał być w tym samym wieku. Jasna skóra wokół ciemnobrązowych oczu. Strzecha gęstych brązowych włosów — jakby dopiero co wyszły spod suszarki. Zęby błyskały bielą, jeszcze nim się uśmiechnął. Przeciętnej wagi, ale dobrze zbudowany. Pewnie coś ćwiczył.

Wszystko to Decker dostrzegł jakby mimochodem. Zerknął jeszcze na łóżeczko przylegające do szpitalnego łóżka mamy. Porcelanową cerę Tary pokrywały liczne skaleczenia, ale ranki wyglądały na powierzchowne. Dziecko smacznie sobie spało.

— Ile ona ma? Chyba z osiemnaście miesięcy? — spytał Decker.

Farin otarła łzy.

— Zgadłeś.

Jaspn wciąż był usposobiony wrogo.

— Co to ma znaczyć? Żałosne próby zebrania wywiadu?

— Jason! — Farin ofuknęła męża.

— Kiedy zamierzacie złapać tego potwora? — Jason potoczył wokół wzrokiem. — Nie wygląda na to, byście mieli jakiś pomysł.

—Mamy pewien plan.

W pokoju zapadła cisza.

—Tak? — Jason czekał na odpowiedź.

Decker przeniósł swą uwagę na Farin.

—Pani Henley, czy widziała pani twarz napastnika?

Farin zwilżyła językiem popękane usta i pokręciła przecząco głową.

—Zabronił mi się oglądać. — Z trudem przełknęła ślinę. — Powiedział, że mnie zastrzeli, jeśli to zrobię.

—Chyba nie jest pan tym zaskoczony, poruczniku — rzucił Jason.

—Mamy tu jeszcze inne raporty o porwaniach wozów — wyjaśnił Decker. — Większości z nich dokonano w biały dzień i dotyczyły kobiet z małymi dziećmi. Porywacz lub porywacze, bo sądzimy, że jest to zorganizowana szajka, zakazują ci się oglądać, grożąc, że zastrzelą dziecko.

—To prawda! — wykrzyknęła Farin. — Powiedział, że będzie strzelał... — Jej głos ściszył się teraz do szeptu. — Powiedział, że ją zastrzelili... — Wskazała głową na łóżeczko Tary. — A co się stało z tymi innymi kobietami? Wyszły z tego?

—Wyszły cało.

—Dobrze, dzięki Bogu. — Farin uspokoiła się. — Poruczniku, czy dobrze zrobiłam? Kiedy próbowałam uciec?

—To panią ocaliło, pani Henley. Więc dobrze pani zrobiła.

—Czy te inne kobiety też uciekły jak ja?

Decker przeganiał ręką swe siwiejące rude sploty. Może bardziej dziś srebrne niż czerwone. A co tam! Rina go kochała, a ludzie rzadko się mylili, biorąc Hannah za jego wnuczkę. Wyglądał przecież całkiem, całkiem. Nie młodzik, ale jeszcze do rzeczy starszy facet.

—Ocalały — wyjaśnił. — Te sprawy właśnie się toczą. Nie mogę mówić o szczegółach.

Te szczegóły to napady na domy, rabunki, pobicia i gwałty. Porwania wozów zaczęły się dwa miesiące temu i coraz bardziej przybierały na sile. Gdyby nie przykrócić tych przestępstw, morderstwo wisiało w powietrzu. Miał dziesięciu funkcjonariuszy pełnoetatowych, zbierających dane w zakresie przestępstw se-

ksualnych, CAPS i kradzieży wozów. Przy pewnym szczęście trzy sekcje wyczerpywały obraz przestępczości i wydział zabójstw nie wchodził wtedy w rachubę.

Jason poruszył się w fotelu.

—Ten dupek rąbnął mojej żonie torebkę. Zmieniłem już zaniki i anulowałem karty kredytowe.

—Dobrze pan zrobił.

—Czy... — Jason przymknął na chwilę oczy, potem znów je otworzył.
— Czy w pozostałych przypadkach wszyscy z tych... tych ludzi wrócili do domu?

—Nie.

„Jeszcze nie”, pomyślał.

Dostrzegł teraz ulgę we wzroku Jasona, który zwrócił się do żony:

—A widzisz, nie mówiłem ci, że to tchórz? Kanciarze, którzy polują na kobiety, to tchórze. Niechby tylko trafił na mnie. On już nie wróci, Farin. Ale jeśli się zjawi, już ja coś przygotuję temu skurwielowi!

Coś, to znaczy broń. Kiepski pomysł, jeśli Jason nie miał doświadczenia w posługiwaniu się bronią w takich przypadkach. Niezbyt wielu posiadaczy broni wiedziało, jak należy jej użyć. Decker nie mógł powstrzymać tego człowieka przed zapewnieniem sobie takiej ochrony. Rozumiał przecież, co nim kierowało. Miał tylko nadzieję, że Henley okaże się na tyle bystry, by trzymać broń z dala od dziecka. Będzie musiał odwołać go na stronę i wspomnieć o paru podstawowych zasadach obchodzenia się z bronią.

—Wydaje mi się, że coś jeszcze mogłam zrobić... coś więcej zauważyć — stwierdziła Farin.

Decker potrząsnął głową.

—To są profesjonaliści, pani Henley. Zrobiła pani wszystko, co trzeba.

— To jak zamierzacie ich schwytać? — Jason chciał się koniecznie dowiedzieć.

—Rozmawiamy z ludźmi, tak jak z pańską żoną... to nam może dostarczyć pewnych bardzo istotnych szczegółów.

—Powiedział pan, że te gady zakazały kobietom patrzeć.

—Może którejs z nich udało się spojrzeć.

—Więc nic nie macie. Wygląda na to, że siedzicie sobie na dupie, póki ktoś nie odwali za was całej roboty.

—Jason! — skarciła męża Farin. — Przykro mi, poruczniku.

—Nie musisz nikogo przeproszać za moje zachowanie — przerwał jej Jason i zwrócił się do Deckera: — Co zamierzacie z tym zrobić?

„Pięć kobiet kręci się w przebraniu”, pomyślał Decker. „A nie jest to łatwe, bo nie możemy przecież wykorzystywać dzieci w charakterze przynęty. Moglibyśmy w tym celu posłużyć się lalkami lub psami lub przebrać te kobiety, by wyglądały na dużo starsze. Zrobić coś takiego, żeby te skurwysyny pomyślały, że jesteśmy na tropie”.

—Chciałbym panu powiedzieć więcej, panie Henley — wyjaśnił ze spokojem Decker. — Ale nie potrafię.

—Bo nic nie robicie.

Decker pominął to milczeniem, po czym zapytał Farin:

—Czy jest pani gotowa opowiedzieć mi o tym wszystkim?

—Tak.

—Jest pani tego pewna?

—Jestem pewna.

Decker spojrzał na Jasona.

—Czy chce pan przy tym być?

—Oczywiście, chcę przy tym być.

—Będzie pan od tego chory.

— Już jestem chory! — Jason stracił panowanie nad sobą. — Jestem wściekły! Ja... ja... — Urwał i otarł sobie czoło. — Ma pan może jakąś aspirynę? Mógłbym poprosić o to pielęgniarkę, ale szpital policzy sobie z pięć dolców za tabletkę.

Decker wyjął z kieszeni płaszcza zawsze tam obecne opakowanie Advila i podał mu.

— To może być?

Jason wsunął do ust dwie tabletki i oddał mu resztę.

—Dzięki.

—Nie ma sprawy. — Decker wyjął notatnik i zwrócił się do Farin: — Proszę mówić, powoli.

Farin skinęła głową.

Przygotował sobie ołówek, mówiąc:

—Wal, kiedy będziesz gotowa. — Skrzywił się. — Przepraszam. Użyłem niewłaściwych słów.

—Wszystko w porządku — uśmiechnęła się Farin.

Użył tych niewłaściwych słów w przypadku pięciu pozostałych ofiar porwań wozów, a każda się uśmiechnęła; odwzajemnił uśmiech Farin. Tysiąc punktów w konkurencji uśmiechu. Szkoda, że nie posuwał się naprzód w tak imponującym tempie.

Rozdział drugi

Cindy nie była pierwszym policjantem, który pojawił się na miejscu zajścia, była jednak pierwszą kobietą oficerem. Kiedy podjeżdżała do krawężnika ze swym partnerem, Grahamem Beaudrym, przed domem było już liczne zgromadzenie. Wszyscy tłoczyli się na chodniku, trawnik był odgradzony żółtą policyjną taśmą. Wyrzucone z mieszkania rzeczy leżały na ziemi, damskie ciuszki rozrzucone na wyschłej trawie sprawiały wrażenie, że to może zaimprowizowana uliczna wyprzedaż. Z otwartego okna wyleciał toster. Wylądował z hałasem na chodniku i dołączył do reszty gratów.

Tłum wiwatował.

„Świetnie, pomyślała Cindy, dolewa oliwy do ognia”.

Nagle rozległy się rozdzierające wrzaski, przeważały piskliwe damskie krzyki. Dźwięki przecinały stojące powietrze poranka niczym głos syren.

Pierwotna skarga dotyczyła sprzeczki domowej, były to sprawy najbardziej uciążliwe w wydziale, ze względu na łatwość, z jaką przeradzały się w gwałtowne zamieszki. Na miejscu były już trzy inne wozy patrolowe, łącznie z biało-czarnym wozem sierżanta Troppera. Więc to Sierża wzywano do strzelaniny.

Okoliczną zabudowę stanowiły mieszkania dla weteranów wojennych. Były to parterowe, otynkowane domki, każdy z nich zawierał wewnątrz po trzy sypialnie, dwie łazienki i podwórko, dość duże, by ustawić huśtawki. Przeważali Latynosi; tak było wszędzie w Hollywood. A jeśli nawet nie Latynosi, to ludzie, którzy lokowali się znacznie poniżej średniej warstwy społeczno-ekonomicznej. Na stokach prywatnych wzgórz i odosobnionych kaniarów mieszkano trochę bogatych przybyszów z Kaukazu. Ale ci biali nie byli oszałamiająco bogaci. Prawdziwi bogacze mieszkali w bardziej eleganckiej dzielnicy West Hollywood (na swym własnym osiedlu) lub w Beverly Hills (także na własnym osiedlu) bądź po zachodniej stronie Los Angeles patrolowanej przez tamtej-

szą policję. Zarówno elita tworząca własne osiedla, jak i mieszkańcy ekskluzywnych rezydencji, ukryci za prywatnymi bramami, wynajmowali dla swej ochrony własną policję czy strażników.

Cindy wysiadła z wozu i od razu poczuła, że z jej płucami dzieje się coś niedobrego. Był to akurat okres największego nasilenia smogu w kotlinie i mętna powłoka nad górami przypominała rdzawą wodę. Dołączyli z Grahamem do pozostałych, Beaudry z tym swoim słynnym kaczym chodem. Przysadzisty, uda ledwo odrastały mu od ziemi. Ruszał się wolno i ślamazarnie, a Cindy trudno było się z tym pogodzić. Kiedy ruszali w pościg za ulicznym bandytą, zostawiała go daleko z tyłu. Beaudry miał jednak swe dobre strony. Odnosił się do niej z szacunkiem, nie tyle ze względu na nią samą, ile na jej wysoko postawionego ojca.

Sierżant Trapper skinął na nich z megafonem w rękę. Był w wieku jej ojca, może trochę starszy. Pięćdziesiąt parę lat, sześć stóp wzrostu i zwarta budowa ciała. Cienkie kosmyki układały mu się nierówno, siwe włosy przeczesane na jedną stronę usi- łowały ukryć gładką łysinę. Potężne mięśnie szczęk uwydatniały jeszcze kwadratowy profil dolnej części podbródka. Spojrzenie nieruchome i chłodne. Dziś Trapper był z Robem Brownem, który trzymał się nieco z boku i postępował o krok za nim.

— Parka prawdziwych gołąbków. Mówi, że trzyma pod lufą jaja swego męża. On to potwierdza.

Cindy rozejrzała się.

—Nie możemy oczyścić tego terenu?

—To nie kino, Decker. Tam są dzieci. Mamuśka zacznie strzelać i będziemy mieli prawdziwy kłopot.

—Ile mają lat?

—Siedem i dziewięć. — Brown mlasnął gumą do żucia. — Sierż obmyśla właśnie następny ruch.

—Nie da się jej namówić, żeby zeszła na dół? — zapytał Beaudry.

—Nie za bardzo — wyjaśnił Brown. — Jest naprana. — Spojrzał na zegarek. — Trzecia pięprzone pięćdziesiąt dwie. Couldnah czeka na zmianę o czwartej.

— Decker!

Cindy obróciła się i ujrzała, jak Tropper kiwa na nią zakrzywionym palcem; podał jej megafon.

— Jesteśmy pewni, że ma tego gnata. Jeśli go użyje, będzie źle.

— Bardzo źle — zgodziła się Cindy.

— Chciałbym, żebyś sobie z nią pogadała, jak kobieta z kobietą. Niech się trochę tym zajmie. A my pomyślimy, jak wyprowadzić dzieciaki.

Patrzyła na przemian na Sierza i na głośnik.

— A co będzie, jak was usłyszy?

— Możesz być pewna, że nie usłyszy. Zajmij ją tylko rozmową. Niech pójdą w ruch języki. To nie powinno być takie trudne. Masz tu okazję, by wykorzystać swoją smykałkę do psychologii.

Usta Sierza ułożyły się w uśmiezek wyższości, ukazując równe, choć niezbyt czyste zęby. Cindy jednak wiedziała, że pod tą maską sarkazmu był bardzo spięty. W college'u specjalizowała się w kryminologii, nie w psychologii. To nie był jednak moment, by to prostować.

— Jak oni się nazywają?

— Ojeda — wymówił Sarge, akcentując to z przesadą. — Luis i Estel-la Ojeda. — Odszedł, by naradzić się z innymi.

Została sama z megafonem w rękę. Lepiej zrezygnować z akcji, nawet jeśli trzyma się na nogach znacznie zgrabniej niż Beaudry. Powiedziała sobie, że musi być wyrozumiała. Może właśnie dlatego — i pewnie tak istotnie było — Tropper odnosił wrażenie, że tylko ona jedna mogłaby sobie poradzić z tą kobietą. To było znacznie groźniejsze niż prosty, rutynowy sprawdzian umiejętności nowicjuszki. A co tam, wygra czy przegra, wiedziała, że i tak nie uniknie oceny.

„A może Tropper chce uzyskać tylko bezpośredni wgląd w sytuację? Hmm. Czy on w ogóle wie, o co tu chodzi?”

Usiłowała być jedną z zespołu, na samym dole, a wciąż pozostawała elitarną snobką. Możesz być dziewczyną z pierwszej ligi... Sierż gestykulował... dawał jej tylko znak: „No, idź!”

„Wiara w siebie”, powtarzała sobie. „Pokaż im, jak to robi dziewczyna z college'u”. Przycisnęła włącznik megafonu i powiedziała:

— Hej, Estella! Wiesz, że tu leżą jakieś twoje ubrania?

Żadnej odpowiedzi. Sierż czynił rozpaczliwe gesty mające oznaczać: „Mów dalej, mów dalej”.

Cindy kontynuowała: — Wygląda, że to całkiem dobre łachy.

— Eee tam, takie gówna! — wrzasnęła Estella ze środka. — To wszystko przebierki! Wszystko najlepsze daje swojej *puta*!

Włączył się Luis, wrzeszcząc:

— Nie mam żadnej *puta*! Odbiło jej!

— On kłamie!

— Odbiło jej!

— Ja go zabiję!

— To prawda — krzyknął Luis. — Ona mnie zabije. Nie mogę się stąd ruszyć, bo mnie zabije. To szalona kobieta!

— Czy masz broń, Estella? — spytała spokojnie Cindy.

— Ma wielkiego gnata! — krzyczał Luis. — To szalona kobieta! *Loca en la cabeza*!

Luis nic tu nie poradzi.

— Zejdź tu do nas, Estella! Pogadamy o tym — mówiła Cindy.

— Nie będę już nic gadać. To o n gada. Wszystko, co mówi, to kłamstwa!

„Co dalej, Decker? No, mów, cokolwiek!” Cindy znów przycisnęła guzik.

— Słuchaj, a gdzie dostałaś tę małą czerwoną sukienkę, Estella? Gdzieś na wyprzedaży, co? Widziałam jedną podobną na wystawie w sklepie. Wygląda na całkiem milutką. Masz dobry gust.

Chwila przerwy.

—Kupiłaś ją? — zainteresowała się Estella.

—Nie, nie kupiłam.

—A czemu nie kupiłaś?

—Bo mam rude włosy — wyjaśniła Cindy.—Na coś takiego trzeba mieć ciemne włosy. Masz ciemne włosy, Estella?

—Tak, mam ciemne włosy. — Po chwili odezwała się: — Jacyś ludzie są u mnie w domu!

—Nie, ja jestem tu, przed domem.

—Słyszę ludzi u siebie w domu!

—Ale skąd, wszyscy jesteśmy na dworze! — Szybko mówiła dalej: — No wiesz, Estella, przyszło tu mnóstwo ludzi, przyglądają się tym cudownym ciuchom. Masz naprawdę świetny gust. Nigdy nie myślałaś, żeby robić takie wyprzedaże na wolnym powietrzu? Mogłabyś sobie trochę dorobić.

—Te wszystkie łachy to gówno!

—Nie masz racji, to wcale nie jest gówno. Mówię ci, masz dobry smak. — Cindy odrzuciła od siebie pokusę, by spojrzeć na zegarek. Wiedziała, że nie mówi dłużej niż minutę, choć wydawało jej się, że trwa to już całe godziny. — Podoba mi się ta obcisła czerwona sukienka. Musisz w niej bombowo wyglądać.

—Ale nie ma tam niczego dla rudych.

—Taa, co do tego masz rację — zgodziła się Cindy. — Podoba mi się też ta zielona satynowa bluzka. Zielone jest dobre dla rudych.

—Jak ci się podoba, to bierz. Nie będą mi poczebne żadne łachy, jak go zabiję.

—Mówię ci, Estella, mogłabyś sobie trochę dorobić na tych łaskach.

Estella odezwała się po długiej pauzie:

—Jak dużo?

—Ze sto dolców.

—Mam to gdzieś! On daje wszystkie pieniądze tej *puta*!

— Nie mam żadnej *puta*! — wrzeszczał Luis. — To wariatka! W głosie tej kobiety było szaleństwo.

— Nie jestem wariatką!

Cindy weszła jej w słowo.

—Estella, zejdź tutaj, to sobie pogadamy. — Zobaczyła kątem oka, jak Sierż wsadza dzieciaki do jednego z wozów patrolowych. Dzięki Bogu! Ale ona sama miała jeszcze daleko do końca. — Pomogę ci pozbierać te rzeczy...

—Zamknij ją! — darł się Luis. — Wsadź tę szaloną dupę do kicia!

—Luis, ty się lepiej przymknij, do diabła! — poradziła mu Cindy.

—Przymknę go dla ciebie.

—Nie, nie, Estella! Zejdź tutaj. Porozmawiamy.

—Nigdzie nie idę, pani Marchewko. Jak tylko się ruszę, on weźmie strzelbę. To silny mężczyzna. Nie ruszę się. Nigdzie nie pójde. A jak tylko on się ruszy, strzelę mu w te jego *cojones*.

—Nigdzie się nie ruszę, zobaczysz, Estella — przekonywał Luis. — *Estella, mi amore. Te amo mucho. Tu sabes que estas mi corazon!*

Estella nic nie mówiła i było strasznie. Obok Cindy pojawił się nagle Sierż.

— Powiedz jej, że wyślemy do domu paru ludzi. Powiedz jej, że założą mu kajdanki. Nie będzie mógł jej nic zrobić, jak się ruszy. Nie odbierze jej gnata. A my jesteśmy tu po to, by jej bronić.

Cindy skinęła głową i powiedziała o tym tej kobiecie. Estella nie dała się jednak przekonać.

—Nie chcę żadnych mężczyzn w tym domu. Mężczyźni nigdy nie słuchają kobiet! Nienawidzę mężczyzn!

—To może ja tam wejdę? — wypluła z siebie szybko Cindy.

—Co takiego? — zaszeptał Sierż. — Odwołaj to natychmiast!

Cindy zdjęła palec z guzika.

—Dlaczego?

—Ma pod ręką lufę gotową do strzału, Decker. Cofnij to albo ukarzę cię za niesubordynację.

Cindy wiedziała, że tego by nie zrobił. Jej ojciec miał zbyt dużą władzę.

— Chyba cię nie zrozumiałam, szefie — powiedziała. — Mówiłeś, że posłałeś tam do środka policjantów. Jestem policjantem na służbie, więc nie ma sprawy. Tak naprawdę, to nie.

To nie było całkiem to, co Tropper powiedział. Sierż wspomniał o tym, że posyła ludzi do środka. Był w pułapce. Mogła się poskarżyć na dyskryminację płci. Zaklął pod nosem.

—Chce pani tu wejść, pani Marchewko? — spytała Estella. Cindy spojrziała na Troppera.

—Co mam jej powiedzieć, szefie?

—Powiedz jej, że wejdiesz tam w towarzystwie innych policjantów.
— Szczęki Troppera napięły się jak powrozy.

—Tylko z moim partnerem?

—Decker, chcesz więcej od nas niż od nich. Chodzi o to, by Luis Ojeda nawet nie zdążył pomyśleć, jak ich zgarniemy. A teraz zamknij się i zrób to, co ci mówię:

To była dobra rada. Cindy wcisnęła guzik, mówiąc:

—Taa, zaraz tu wejdę, Estello. Ale razem ze mną wchodzi jeszcze paru ludzi. To na wypadek, gdyby Luis czegoś próbował.

—Niczego nie próbuję — zaprotestował Luis. — Ona mnie zabije.

—Jesteś gotowa, Estello? — spytała Cindy.

Przedłużający się moment ciszy.

— Wejdiesz tu i założysz mu kajdanki? Aresztujesz go? — zapytała Estella.

—Tak, założę mu kajdanki, Estello. Masz moje słowo.

—Dobra — odparła kobieta. — To wejdź, pani Marchewko.

Rozdział trzeci

Czuła na karku oddech Troppera; była to obecność tak namacalna, jakby ją ktoś popychał krótkimi szturchnięciami. Po jego bokach szli Graham Beaudry i Rob Brown. Pełne ubezpieczenie, ale to ona była na czele — szła pierwsza i była najbardziej narażona. Uradzili, że Estella musi najpierw ją zobaczyć. To znak, że policji można zaufać. W atmosferze nieustannego pomawiania policji o korupcję, każde dobrze wykonane zadanie przez sprawnego policjanta miało swoją wagę. Cindy mocno biło serce. Strach jednak jej nie paraliżował, a dodawał jeszcze sił.

Weszli do domu od tyłu, co było bardziej bezpieczne i mniej narażało na bezpośrednią konfrontację niż wejście frontowymi drzwiami. W środku było duszno, powietrze wilgotne i ciężkie.

Cindy wrzasnęła:

— Jesteśmy teraz w kuchni, wchodzimy do jadalni. Nie ruszaj się, Estella. Nie chcemy tu żadnych kłopotów.

— Mów dalej — zaszeptał Tropper.

— Ty nie chcesz mieć kłopotów i nam też to nie jest potrzebne.

— No nie, ja tam nie lubię mieć kłopoty — powiedziała Estella.

— Ja też nie lubię mieć kłopoty — zgodził się Luis.

Gdy tylko Cindy znalazła się w części kuchennej pomieszczenia, ujrzała zgarbione plecy Estelli w czerwonej koszuli z pasmami czarnych włosów, układającymi się na plecach w dekoracyjne motywy. Kobieta trzymała obrzyna unieruchomionego między nogami swego męża.

Cindy wyciągnęła szyję, na tyle by zobaczyć twarz Luisa.

Jego złana potem skóra wyglądała niczym parująca kawa z mlekiem. Ten niewielki, drobnokościsty mężczyzna o wąskiej twarzy przypominałby raczej kobietę, gdyby nie rzadkie wąsy i kępka włosów między dolną wargą a podbródkiem. Policzki znaczyły liczne ślady po trądziku. Był to raczej obraz nadąsanego nastolatka niż ojca dwojga dzieci.

— Widzę ich. On jest zwrócony do mnie, ona siedzi tyłem do nas — rzuciła w kierunku Troppera.

Dał znak pozostałym, trzech mężczyzn sięgnęło po broń.

—Dobra. Powiedz jej, że zaraz wychodzimy na otwartą przestrzeń i że stoimy za nią z wyciągniętą bronią. Niech żadne z nich się nie rusza.

—Nie ruszaj się, Estello. Jestem za tobą, w twojej kuchence, ale proszę, nie odwracaj się. Nie chcę, żeby Luis miał okazję sięgnąć po broń.

—No dobra, nie ruszę się.

—To dobrze. — Cindy zdała sobie nagle sprawę, że z czoła ściekają jej kropelki potu. — Wychodzę na otwartą przestrzeń, Luis zaraz zobaczy mnie i moich kolegów. Chciałabym, żeby się przekonał, że mamy go na muszce, broń wymierzona jest w jego głowę. Niech lepiej niczego nie próbuje. Widzisz mnie, Luis?

—Widzę cię.

—Ma rude włosy? — zapytała Estella.

—*Si*, ma rude.

—Prawdziwe czy farbowane? — dopytywała się Estella.

—Wyglądają na jej własne — potwierdził Luis.

—Bo są własne. — Pot ściekał już Cindy wzdłuż nosa. — Widzisz nasze rewolwery, Luis?

—Widzę.

—Są prawdziwe, Luis. Są cholernie prawdziwe i naprawdę szybkie. Więc nie zrób czegoś głupiego.

—Nie ruszam się.

—Powiedz jej, żeby zabrała obrzyna znad jego jaj i uniosła go w górę. Tylko niech to zrobi powolutku. Zabierzesz jej broń; my ją przejmemy od ciebie. A potem ją skujesz i przedstawienie skończone — zaszeptał Sierz.

— Ją mam skuć?

—Tak, Decker, to ją skujesz — rzucił krótko Trapper. — To ona trzyma lufę w jego kroczu. Są jakieś kłopoty? Zrobisz to czy nie?

—Tak jest, szefie. Oczywiście, szefie. — Po chwili przerwy Cindy odezwała się: — Estella, chciałabym, żebyś teraz wzięła broń i wolno, wolniutko uniosła ją w górę.

—Jak się poruszę, on weźmie broń.

— On nie może się teraz ruszyć — upewniła ją Cindy. — Trzymamy go na muszce. Trzy rewolwery wymierzone są w jego głowę.

—Ja bez ruchu, ja bez ruchu — powtarzał gorączkowo Luis. Estella jednak uparcie trzymała się swego.

—Nie ruszam strzelby. Dlaczego nie robisz tego, co mówisz, Pani Rudowłosa? Mówiłaś, że założysz mu kajdanki i aresztujesz go. Czemu tego nie robisz?

—Powiedz jej, że on niczego nie będzie próbował, że mamy go wszyscy na muszce! — domagał się Tropper.

Cindy zawahała się.

—Wygląda na trochę wzburzoną, szefie. Może by ją lepiej uspokoić i zrobić to, co mówiłam, że zrobię?

—Nie, Decker. Kiedy podejdziesz tam, żeby skuć Luisa, znajdziesz się na linii ognia jej obrzyna. — „Ma rację, cholera!” — Niech zabierze tę broń! — upierał się Tropper. — No dalej! Mów do niej!

Cindy otarła twarz rękawem.

—Chciałabym zrobić, jak mówisz, Estello, ale jeśli go skuję, znajdę się prosto pod lufą twego obrzyna. Tak nie można.

—Dlaczego? Ja nie strzelam ciebie, tylko Luisa.

—Możesz mnie postrzelić niechcący. Wiem, że nie masz tego zamiaru, ale tak nie można.

—Okłamujesz mnie! — zawyła Estella. — Jesteś kłamca, jak on!

— Estello, w głowę Luisa wymierzone są trzy rewolwery. On się nie może nawet poruszyć.

—Ja bez ruchu — zgodził się Luis.

—Dobra, ja też bez ruchu, bo Luis silny. Ja zrobię ruch, on bierze strzelbę i strzela do mnie.

—To może ja podejdę do ciebie i wezmę broń? — zaproponowała Cindy jednym tchem. Usłyszała zaraz, jak Tropper zaklął, ale nie zdobyła się na to, by się odwrócić i na niego spojrzeć. — Zostań tam tylko i nie ruszaj się, ja to zrobię. Zabiorę obrzyna.

—Wtedy Luis zabierze ci go.

—Jestem dużą kobietą, Estello. Poradzę sobie z nim w jednej chwili.

— Ona jest bardzo wielka, Estella! Daj jej strzelbę.

„Zamknij się, Luis!”, pomyślała Cindy. „Cokolwiek powiesz, ona zrobi na odwrót”. Czas stanął w miejscu, czekała na odpowiedź.

— Luis jest bardzo silny.

— To ja jestem silna! — upierała się Cindy. — Słuchaj, będę do ciebie mówić, więc zorientujesz się, że nie zamierzam cię podejść. Jak znajdę się za tobą, dotknę tylko twego ramienia.

—Ja nie wiem... — ociągała się Estella. — Ja nie myślę...

—Powiem ci, kiedy będę za tobą.

—Nie to kazałem ci zrobić! — warknął Tropper.

—Ale ona jest już gotowa, Sierz! — upierała się Cindy. — W ten sposób nie znajdę się przed lufą jej strzelby, a wy trzej będziecie zaraz za mną. — Minęła sekunda, dwie... — Proszę, sierżancie Tropper — wyszeptała z naciskiem Cindy. — Mogę ją rozbroić...

—Ja cię nie słyszę. Co ty gadasz? Chyba oszaleję — wtrąciła się Estella.

Spojrzała na wściekłą twarz Tropera. Wiedział już, że nie ma wyjścia. Jeśli szybko nie zareaguje, sytuacja będzie się niebezpiecznie rozwijać.

—Zrób to! Ale powiedz jej, że jesteśmy za twoimi plecami! — Jego głos zabrzmiał jak chłaśnięcie biczem.

—Dobra, Estello, wchodzę. Moi koledzy są zaraz za mną, Luis zaraz ich zobaczy. Zaczynam. Robię parę kroków. Słyszysz mnie, prawda?

—**Si**, słyszę cię! A co ty myślisz? Że nie mam uszu?

—Robię teraz parę kroków. Luis patrzy prosto na moich kolegów. ... mają wymierzoną w niego broń. Słyszysz mnie dobrze?

—*Si*, słyszę cię.

—Dobra, jestem już za tobą. Dotknę twego ramienia. Nie ruszaj się!

—Ja bez ruchu.

—Luis, ty się nie ruszaj, bo...

—Ja bez ruchu.

—To dobrze. Niech nikt prócz mnie się nie rusza. Kładę teraz rękę 'na twoim ramieniu... — Dotknęła barku kobiety. Estella pozostała bez ruchu. — To moja ręka.

—Dobra.

—Estello, posłuchaj mnie uważnie, co?

—Dobra.

—Pochyliłam się teraz i dotykam rękami twojej talii, dobra? Nie ruszaj się!

—Ja bez ruchu!

Cindy nachyliła się wolniutko, musnęła piersią plecy kobiety, uniosła głowę tuż nad jej czerwono odzianymi plecami. Wyciągnęła teraz ręce i poruszyła palcami.

—Widzisz moje ręce?

—Widzę.

—Widzisz moje palce?

—**Si**.

—Wezmę teraz od ciebie strzelbę.

—Dobra.

—Nie ruszaj się!

—Ja bez ruchu!

— Luis, jeśli tylko drgniesz, a mnie ześlizgną się ręce, jesteś bez *cojones*. Rozumiesz mnie?

— Ja bez ruchu! Ja bez ruchu!

Cindy przechodziła już w szkole pierwsze zasady obchodzenia się z obrzynami. Nie miała jednak żadnego osobistego doświadczenia w tym względzie, wybierając szkolenie w zakresie swej służbowej beretty. Tyle jednak wiedziała, że obrzyn to nie jest jakaś łatwa i precyzyjna broń. Lufa jest ciężka, trudno nad czymś takim panować. Estella trzymała broń nieruchomo, opierając kolbę na podolku. Prawą ręką ścisnęła klamrę z cynglem, palec wskazujący spoczywał na spuście. Lewą ręką obejmowała od spodu łamaną lufę. Tylko że obie ręce wyraźnie jej drżały.

Cindy zachowywała spokój.

— Nie ruszaj się. Dotknę teraz twych rąk. — Położyła dłonie na palcach Estelli. Wyczuła gorącą i spoconą skórę.

—Czujesz moje ręce?

—*Si.*

—Nie zmieniaj teraz pozycji, dobra?

—Dobra!

Przesuwała ręce wzdłuż fuzji, próbując wyczuć miejsce sposobne do pewnego i mocnego chwytu. Trudno jej było jednak odnaleźć takie miejsce, ponieważ drewniane i metalowe części fuzji były mokre i lepkie od potu Estelli. Nie ustawała w poszukiwaniach, dopóki nie wyczuła paru względnie suchych miejsc, dających pożądane oparcie. Ujęła broń bez słowa, musiała się upewnić, że chwyt jest mocny.

Dopiero wtedy odezwała się do Estelli:

—Zabierz ręce.

—Ja zabieram ręce?

— Tak, zdejmij ręce ze strzelby, ale nie zmieniaj pozycji ciała.

—Ty masz strzelbę?

—Tak, ja mam strzelbę. Trzymam ją mocno. Zabierz ręce.

— Dobra... — Nie poruszyła się jednak. — Ty *estd Seruga* masz strzelbę?

TLR

—Mam ją. — Cindy zachowywała spokój. — Trzymam ją mocno. Zaberz ręce, ale nie zmieniaj pozycji ciała.

—Dobra.

Gdy tylko palce Estelli wypuściły broń, Cindy wstała, unosząc fuzję wysoko w górę, a Beaudry natychmiast ją przejął. Luis zerwał się z miejsca i otarł spoconą twarz. Wrzeszczał:

—Zamknij tę wściekłą sukę!

—Skuj ją, Decker.

—Jak to? — Estella zwróciła zagniewane oblicze na Cindy. Była ładną kobietką o wielkich, czarnych oczach, wysoko sklepionych kościach policzkowych, gładkiej cerze i głębokich, pełnych wargach. Czego, do diabła, ten Luis jeszcze chce? A przede wszystkim, co ona, u diabła, w nim widzi?

Może ma wielkiego....

— Co on powiedział? — rozdarła się Estella, — Zamknij go! On ma *puta!*

Cindy odpięła kajdanki od swego pasa i jednym płynnym ruchem obróciła Estellę, zakładając jej na plecach prawą rękę. Sekundy dzieliły ją od unieruchomienia lewej ręki Estelli, gdy ta nagle sobie uświadomiła, co się dzieje. Szamocąc się w uchwycie Cindy, wyrzucała z siebie wysokim pisikliwym tonem hiszpańskie wyrazy, podkreślając swą tyradę przekleństwami i pluciem.

—Nie utrudniaj mi tego.

—*You es una beetch! You eslying daughter of a put!*¹

—Nie bierz tego tak do siebie. — Przyklęła od tyłu całym ciężarem na nogach Estelli, wyginając jej ciało w łuk. Dopiero wówczas udało jej się sprowadzić ją do parteru i ułożyć twarzą do podłogi. Używając kolan i łokci do poskromienia wijącego się ciała, Cindy przytrzymała prawą rękę Estelli za jej plecami, szukając cały czas lewej, którą kobieta usiłowała walnąć ją w twarz. Es-

¹ **You es una beetch! You eslying daughter of a put!* (ang.) — To ty jesteś suka! Ty kłamliwy kurwi pomocie! (przyp. tłum.).

tella nie sprostaa jej w tej walce, ale zajadły opór, jaki stawiała, wierzganie i szamotanina sprawiły, że Cindy spociała się cała z wysiłku.

Były to prawdziwe zapasy, *mano a mano*. Nikt bowiem z pozostałych panów nie kiwnął nawet palcem, żeby jej pomóc. Stali sobie po prostu wokół, przypatrując się z ekscytacją, jak panie walczą. Luis odzyskał wigor, na jego brudnej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

— Pójdiesz do *cárcel*, ty *estúpida, loca* — powiedział pod adresem żony.

Estella splunęła w jego stronę.

— On ma *puta!* Pójdiesz do pierdla! Dlaczego on nie idzie do pierdla?

Luis odtńczył taniec zwycięstwa.

— Duża radość z inne wielkie panie.

— Graham, zamknij mu pysk! — rzuciła Cindy.

— Zamknij się! — nakazał Beaudry Luisowi.

Cindy złowiła wreszcie to miotające się w powietrzu ramię, chwyciła je i umieściła szybko na plecach Estelli. Rozległ się charakterystyczny trzask, kajdanki zaskoczyły, trzymając mocno te szalone ramiona, i można już było postawić Estellę na nogi. Wyjaśniła jej:

— Nie możemy go posłać do więzienia, Estello, cudzołóstwo nie jest przeciw prawu. Gdyby było inaczej, każdy polityk miałby listę zatrzymań długą na milę.

Luis odprawiał teraz istny cyrk pocałunków wokół swej żony. Estella wrywała się Cindy, daremnie próbując dosięgnąć go kopniakiem.

— Nie rób tego — instruowała ją Cindy — bo będę musiała skrępować ci nogi.

— Mam nadzieję, że szefowa w *cárcel*, to duuża kobieta.

— Jesteś diabeł z *pequeño* kutasem.

— Aresztuj ją! — wykrzykiwał Luis. — Przymknij tę *lardo* dupę w mamrze!

— Wcale nie mam *lardo* dupy! — darła się Estella. — Ta twoja dziwka ma *lardo* dupę, wieelką, tustą dupę!

—Zamknijcie się! Oboje! — przerwała Cindy. — Luis, musisz iść na posterunek. Chyba o tym wiesz?

—Czemu? — Uśmiechnął się maleńki nagle Luis. — Ja? A po co?

—Musimy mieć twoje oświadczenie — wyjaśniła Cindy. — A poza tym, musisz iść do sądu i powiedzieć sędziemu, że chcesz odzyskać dzieci. Jeśli tego nie zrobisz, twoje dzieci pójdą do adopcji.

—Ja? — Na twarzy Luisa malował się wstrząs. — To ja muszę to zrobić?

—Tak, ty, koleś — potwierdziła Cindy. — Twoja żona już niczego nie zrobi, bo będzie w kiciu.

Tropper gapił się na nią. Spojrzała tylko na niego niewinnym wzrokiem, próbując się uśmiechnąć. Nie było to łatwe, gdyż wciąż jeszcze musiała przytrzymywać Estellę. — Właśnie powiadomiłam pana Ojeda o stosownej procedurze, dotyczącej zabezpieczenia losu jego dzieci, panie sierżancie. Zakładając, że on tego pragnie.

Estella toczyła pianę z ust.

—Odbierasz mi dzieci, przeklinam cię *mi cama de muertel* Pluję na ciebie!

—Nie, nie, Estella! — Luis mówił teraz poważnie. — Nie pozbywam się dzieci. Powiem to w sądzie. Nie martw się.

—Nie ma takiej możliwości, żeby sąd zwrócił ci dzieci. Z obrzyłem w mieszkaniu... — zamruczał Ron Brown.

—Nie strzelam do moich dzieci! — Luis skrzywił się z pogardą. — Ty zabierz strzelbę. Nie potrzebuję jej.

— Oni zabiorą dzieci, Luis! Nie pozwól im — szlochała Estella.

— Oni nie biorą dzieci!

— Możesz wnieść do sądu, żeby ci je oddali — wyjaśniła Cindy. — Oczywiście, jeśli twoja żona jest w więzieniu, ty za nie odpowiadasz. A to znaczy, że będziesz musiał przesiadywać wieczorami przy dzieciach, gdy twoi kumple będą się wesoło bawili.

—Decker... — warknął Tropper.

—Nie, żebym próbowała wywierać wpływ na twoją decyzję o wniesieniu oskarżenia, a skądże!

—Tak czy siak, nie będą chcieli ci ich oddać — stwierdził Brown. — Trzeba być odpowiedzialnym dorosłym, żeby wychowywać dzieci.

—Może są inni krewni — zastanawiał się Beaudry.

—Jej matka — ucieszył się Luis.

—Czy ty naprawdę myślisz, że jej matka będzie pilnowała twoich dzieci, po tym jak zaniknęłaś jej córkę w kiciu?

—Decker, już dość im powiedzieliśmy!

Cindy zamknęła się. Nie miała pojęcia, dlaczego Tropper odniósł się do tego tak osobiście, przecież wielokrotnie była świadkiem, jak jej koledzy mówili o rozmaitych zatargach domowych, które obyły się bez wnoszenia oskarżenia. Może to było coś, co się wiązało z fuzją przyłożoną do jaj.

—Oni zabierają dzieci, Luis! Zabierają dzieci! — szlochała Estella.

Zabawne nadąsanie Luisa zamieniło się w panikę.

—Nie, oni nie zabiorą dzieci, Estella, — Patrzył na Troppera. — Nie wnoszę skargi na moją żonę! Ona nic nie zrobiła. Wypuść ją! A potem idziemy do domu i zabieramy dzieciaki.

Tropper zaklął pod nosem.

—Nie mogę w to uwierzyć!

—On mówi, że ja nic nie zrobiłam. Wypuście mnie!

—To nie jest takie proste — odezwała się Cindy. — Estella, nawet jeśli Luis nie wniesie oskarżenia, doprowadzimy cię na posterunek i spiszemy protokół o nielegalnym posiadaniu broni i niewłaściwym obchodzeniu się z nią.

—A co potem? — dopytywał się Luis.

—Ona pozostanie w areszcie do dalszych ustaleń, co potrwa jakieś trzy, cztery godziny. Potem sędzia przypuszczalnie zwolni ją na podstawie jej własnego poświadczenia. To znaczy, że nie musisz płacić grzywny — wyjaśniła Cindy.

—Sędzia nie wsadzi jej do kicia?

Cindy wzruszyła ramionami.

—Nie wiem, co zrobi sędzia. Ale my ją musimy potrzymać w areszcie aż do jego przybycia. — Tropper posłał jej złe spojrzenie. Udawała, że tego nie widzi. — Nielegalne posiadanie broni i niedbałe obchodzenie się

z nią nie wymaga zwykle uwięzienia, jeśli to jest pierwszy raz. Ale ja przecież nie wiem, co postanowi sędzia. Nie mnie o tym sądzić.

—Jeśli on powie, że mogę iść do domu, czy dostaniemy dzieci? — spytała z niepokojem Estella.

—Nie — wyjaśniła Cindy. — To sprawa innego sędziego.

—Ale to lepiej, jeśli jest matka, prawda? — wypytywał Luis.

—Chyba tak.

—To ja nie składam skargi. Wypuście ją.

—Przykłada ci gnata do jaj, a ty chcesz ją z powrotem. — Chichotał radośnie Brown.

—On jest w porządku — stwierdziła Estella.

—Ja w porządku! — potwierdził Luis.

—Weźcie ich. Oskarżymy ich oboje o posiadanie broni w celach przestępczych — odezwał się Tropper.

—Oskarżycie mnie? — zdziwił się Luis. — Ja nic nie zrobiłem.

—Ta, ta! — Tropper obrócił się do Luisa i skuł go. — Jeśli mówicie, że zgłupieliście oboje i zabawialiście się fuzją, oskarżenie o nielegalne posiadanie i nieumiejętne obchodzenie się z bronią dotyczy was obojga. A to znaczy, że trzeba zamknąć i ciebie, i twoją żonę. — Tropper urwał. — Chyba że zmienisz swoje stanowisko i oskarżysz żonę.

—Nie, nie zmienię swego stanowiska!

—W takim razie oboje jesteście aresztowani — stwierdził Topper. — Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz, chłopie. A teraz tkwisz w tym po uszy.

—Tak jest — odezwała się Estella, kiwając głową. — On leży w łóżku, ale tylko ze mną.

Tropper powiódł oczami i pchnął Luisa do przodu:

— Idziemy!

Gdy tylko wyszli na zewnątrz i znaleźli się przed gankiem, powitały ich śmiechy i owacje tłumu sąsiadów. Idąc do wozu patrolowego, Estella spuściła głowę, ale Luis uśmiechał się sze-roko, zauważyła Cindy. Gdyby nie był skuty, na pewno by do nich pomachał.

Jego trzydzieści sekund sławy. To twoje Hollywood. Każdy tu jest zasraną gwiazdą.

TLR

Rozdział czwarty

Bellini nie stał się drugim domem Cindy, ale było tu przynajmniej wygodnie. Lepiej zaopatrzony niż obskurny bar policyjny, oferował zarówno kotlety, kanapki, sałatki i zupy po ulgowej cenie. Miejsce niezbyt duże, więc przytulne, przyćmione oświetlenie, jazzowa muzyczka i wielki ekran telewizyjny; właśnie nadawali mecz baseballowy między drużynami Giants i Padres. Podniszczona podłoga z sosnowych desek, sufit wyłożony płytkami akustycznymi. Pośrodku z pół tuzina stolików, wzdłuż lewej ściany białe kabinki ze skóropodobnego tworzywa. Prawa strona przeznaczona była na bar, lustrzana ściana odbijała czarną ladę, przebiegającą przez całą długość lokalu. Formalnie biorąc, palenie było wzbronione. Jednakże szefowie woleli unikać kłopotów, otwierając drzwi na całą szerokość i podając, że lokal jest przedłużeniem nie istniejącego patia. Sprawa była sporna, ale kto by tam chciał pozywać właściciela, skoro sama władza puszczała sobie dymka?

Beaudry wszedł do środka i pomachał do paru swoich przyjaciół. Cindy odpowiedziała mu tak, jak się odpowiada jednemu z członków zespołu. Na stołku przy barze siedział Ron Brown, ale nie widziała przy nim Troppera. Zdążyła jeszcze przez mgnienie oka dostrzec plecy kogoś, kto właśnie wychodził. To mógł być Sierz, ale nie miała pewności. Siedziało tu parę osób, które znała z nazwiska. Zauważyła wśród nich Slicka Ricka Bedermana

i jego partnera, Seana Amory'ego. Na twarzy Bedermana, mocno zbudowanego faceta z ciemnymi oczami o gęstych, kręconych włosach, gościł jak zwykle wyraz arogancji. Umówiła się z nim kiedyś na randkę... nie podobało jej się, jak na nią patrzył. Amory miał nieco jaśniejszą cerę, ale też był potężnej postury, Beaudry musiał zauważyć jej wahanie. Zapytał ją:

—Chcesz się przysiąść?

—Może później.

Zamówili parę piw, a potem przenieśli się do boksu, trochę popijali, nic nie mówiąc. Beaudry próbował rywalizować z jazzem, bębniąc palcami po stole. Delikatne brzmienie saksofonu rozpalało niczym drażniąca erotyczna przygrywka.

Wreszcie Beaudry powiedział:

—Więc zrobiłaś dziś wszystko jak należało.

—Dzięki.

—Pójdzie na konto dobrych chłopaków.

—A to wy jesteście dobre chłopaki? Nie bardzo to widać, jak się przegląda gazety.

—To nie był pierwszy skandal ani nie będzie ostatni — skwitował wydarzenia Beaudry.

—Niespecjalnie to wyszło.

—Taa, też mi się tak zdaje. — Beaudry podniósł swój kufel.

— No, ale to nie odbierze mi snu. Więc jesteś pewna, że było dziś wszystko w porządku?

— Jakoś sobie z tym poradzę. — Spróbowała się uśmiechnąć.

— Wątpię tylko, czy Tropper dojdzie z tym do ładu. Był na mnie wściekły. Nie pierwszy raz i nie ostatni.

Beaudry uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

—A co? Może chcesz mi dać jakąś radę?

—Jeśli ty sama doszłaś z tym do ładu, to co ci będę podpowiadał.

—Więc dlaczego tak na mnie patrzysz?

—Niby jak?

—Jakbym dostała opryszczki.

—Aleś się zrobiła wrażliwa, Decker. W ogóle na ciebie nie patrzę. Ale gdybym na ciebie spojrział, nigdy bym nie pomyślał o opryszczce. Pomyślałbym raczej, że świetnie wyglądasz w tym czarnym kostiumie, który masz na sobie. Bardzo to pasuje do twoich włosów, które są naprawdę śliczne, kiedy je rozpuścisz.

— Upił trochę piwa. — To nie jest deklaracja uczuć. Jestem żonaty i chcę nim pozostać. To tylko staromodny wyraz uznania ze strony mojej kasty, pozbawiony jakichkolwiek cech molestowania seksualnego.

— Tak dobrze wyglądam?

— Tak dobrze wyglądasz.

— Dzięki. — Teraz Cindy upiła pianę, zlizwała jej resztki z ust.

— Więc myślisz, że to spieprzyłam?

— No nie, nie spieprzyłaś tego, biorąc pod uwagę rozwój sytuacji. Bardzo ładnie sobie z nią poradziłaś. — Rozejrzył się wokół nie widzącym wzrokiem. — Nie, wcale tego nie spieprzyłaś.

— Ale schrzaniłam z Tropperem! — Mówiąc to, postukiwała nogą. — Nie sądzisz, że schrzaniłam z Tropperem?

— Niezupełnie.

— A mianowicie?

— Czekaj, czekaj, czekaj! — Beaudry uniósł dłonie. — Daj mi dojść do słowa, chwilę, dobrze? Nie schrzaniłaś, to znaczy nie zrobi z tego sprawy federalnej. Ale mogłabyś pomyśleć o jakimś miłym gościu.

— Niby jakim? — zaśmiała się z drwiną. — Zaprosić go na kawę? Jedna kostka cukru czy dwie?

— Nie musisz z siebie robić psotnego dzieciaka. Po prostu... pomyśl sobie o tym.

Parsknęła śmiechem.

— Nie mogę, ot tak na zawołanie, stać się psotnym dzieciakiem.

— Ale przecież nim byłaś.

— O, tak.

— Masz to wypisane na twarzy, Decker. „Jestem łobuziakiem. Zadzieraającym nosa, podkształconym łobuziakiem”.

Wciąż się uśmiechała, ale oczy jej przygasały.

— Więc tak mnie widzisz?

— Ach nie, to nie o to chodzi, że ja cielak widzę — westchnął Beaudry. — Tak to właśnie wygląda, Cindy. Jak dzisiaj. Wystawiłaś się prosto na linię ognia. A kiedy tam się znalazłaś, wszyscy zwrócili na to uwagę. Nie wyłączając Troppera.

—Więc tak to wygląda.

—Nie o to chodzi.

—Wyszłam na głupią, prawda?

Beaudry otarł rękawem pianę.

—Daj spokój, nie mówmy już o tym. Chyba możemy pogadać o czymś innym. Opowiesz mi jakąś plotkę, ja ci opowiem swoją. Właśnie próbuję... no wiesz, jak jest. Spróbuj.

Odwróciła wzrok.

—Posłuchaj, Graham, bez obrazy, nie jestem dziś w nastroju, żeby rozkładać wszystko na czynniki pierwsze.

—No i dobrze.

—Jednak nie ma sensu ustawiać się przeciw Tropperowi. — Patrzyła na swoje piwo. — Co powinnam dla niego zrobić?

Beaudry rozejrzał się, kiwnął, żeby przysunęła się bliżej. Pochyliła się, podpierając łokciami.

—Tropper nie jest głupi — powiedział.

—Wcale tak nie twierdzę.

—To zamknij się i posłuchaj, dobrze? — Zniżył głos. — Nie jest głupi, Cin. To rozgarnięty chłopak z ulicy. Wie, jak ludzie się zachowują.

Czekał na odpowiedź.

—Słucham — potwierdziła Cindy.

—Gdybyś go poprosiła o odtworzenie przebiegu tego incydentu, nie miałby wątpliwości. Wyjaśniłby ci to od A do Z, w najdrobniejszych szczegółach. Kłopoty pojawiają się dopiero wtedy, gdy musi to przedstawić w raporcie. Jest jak ryba wyrzucona z wody. Potrzebuje wieków, żeby to formalnie wrychtować. Pisanie go męczy. Trudno mu wyłożyć rzeczy po kolei.

—Ich kolejność sprawia mu kłopot?

—Coś w tym rodzaju. Stale przepisuje swoje raporty, ponieważ te stare są takie niechlujne.

—Dlaczego nie stosuje Worda? No wiesz... wcina się tylko i kopiuje.

—Ma jakieś kłopoty z komputerem. Coś mu nie wychodzi z klawiaturą. — Beaudry skończył swoje piwo, wyciągnął palec, żeby przywołać kelnerkę. — Ty chyba nie masz trudności z komputerem, prawda?

—Jeśli chodzi o Worda, to nie.

—Nie sądzę też, żeby pisanie raportu było dla ciebie jakimś problemem.

—Trochę to drętwe, ale niezbyt trudne. Pisywałam mnóstwo sprawozdań w college'u. Zwykle robiłam jakiś szkic na brudno, zanim coś takiego napisałam. Wiesz, jak będzie trzeba, mogę zrobić taki szkic raportu, jeśli sprawa jest skomplikowana — na przykład różne osoby wchodzi i wychodzą. Możesz mu podpowiedzieć, żeby tego spróbował.

—Nie mam zamiaru niczego sugerować Tropperowi i ty też lepiej tego nie rób. Taki Sierz dostał się na akademię tylko ze średnim wynikiem. Więc nie dziw się, że patrzy na ciebie zezem.

—Beaudry utkwiał w niej wzrok. — Jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć, Cindy. Chłopaki i dziewczyny, które tu pracują, to sól Ameryki. Większość z nas jest dawnymi wojskowymi. Jesteśmy tylko zwykłymi zjadaczami chleba, od dziewiątej do piątej, ale chcemy za to dobrych pensji. Ty jesteś z innej planety - łobuziak z college'u, który zaplątał się wśród stróżów prawa. Nie jakaś tam państwowa szkoła, lecz prywatny college...

— I to należący do ośmiu najlepszych w kraju, nie zapominaj o tym.

—Tak, to właśnie miałem na myśli! — Beaudry uderzył w stół, żeby to podkreślić.

—Przepraszam cię. — Próbowwała powstrzymać uśmiech. — Ale to takie zabawne.

—Zapomnij o tym.

—Wiesz, słucham cię, Graham. — Zanurzyła palec w pianie i oblizała go. — Jeśli ci faceci myślą, że zadzieram nosa, to są głupi. Mój ojciec doszedł do swego stanowiska ciężką pracą.

— To inna sprawa, Decker. Przestałabyś wciąż gadać o tym swoim ojcu.

—No dalej, dalej! Teraz ciebie coś ubodło!

—Mówię to tylko dla twego dobra,

—Czy w końcu jest coś, co robię jak trzeba?

—Niezbyt wiele. — Cindy spojrzała przed siebie, zagryzając wargi, żeby poskromić złość. — Ilekroć palniemy jakieś głupstwo, jak dzisiaj, zaraz mówisz: „Taa, mój ojciec miał już kiedyś podobną sprawę”.

—Próbuję tylko znaleźć punkt odniesienia.

—To przejaw lekceważenia. Ludzie sobie myślą, że ich własne doświadczenie to nic takiego. A każdy chce się czuć kimś ważnym. Ty już się tak czujesz, bo ukończyłaś ten college. Musisz pamiętać, że tu każdy głupi Jaś na służbie jest absolwentem szkoły średniej, może nawet ma ze dwa lata college'u, jak ja. Jeśli jesteś naprawdę bystry, dobra, masz cztery lata stażu, a potem wstępujesz do akademii, żeby zdobyć złote laury.

—Jak mój tatko.

—Przestań wreszcie podawać bez przerwy przykład swego ojca. On nie jest żadną legendą, Decker, to kancelista, spec od papierkowej roboty.

Cindy w pierwszym momencie naprawdę się wściekła.

—Co ty za gówna opowiadasz, Beaudry! Leżał w okopach, kiedy ład się walił.

—Taa, a wiele osób powiedziało, że mógł sobie z tym lepiej poradzić.

Jej twarz zrobiła się czerwona z gniewu.

—To jakieś pieprzone bzdury! — szeptała w dzikim uniesieniu. — Uratował całą kupę dzieciaków...

—A mnóstwo dorosłych poszło na rozkurz.

—Nie był na służbie, Graham. Nie musiał się narażać na ogień! Ach, zostawmy to. Już dość.

Beaudry złapał ją za rękę, nim wstała.

— Nie krytykuję twego taty, Cindy. Powtarzam tylko to, co słyszałem. Powinnaś chyba to wiedzieć. — Puścił ją. — Bo inaczej będziesz zaślepiona.

Nie odpowiedziała, patrząc na dno pustego kufła. Beaudry zaproponował:

— Weźmy jeszcze po jednym.

— Nie, dziękuję — skwitowała sztywno.

Właśnie podeszła kelnerka. Miała na sobie nisko wyciętą czerwoną koszulkę, kusą czerwoną spódniczkę z białym, marszczonym fartuszkim na wierzchu i czerwone pantofelki. Krótka fryzurka blond przyprószona sprayem. Od razu postawiła przed Beaudrym kufelek.

— A co tam z moim partnerem, Jasmine? — zapytał.

— Ze mną jak najlepiej, dzięki — odpowiedziała Cindy.

Beaudry kopnął ją pod stołem.

— Tak sobie myślę, że jeszcze jeden przeszedłby chyba gładko. — Podała kelnerce swój pusty kufel i dziesięciodolarowy banknot.

Jasmine uśmiechnęła się.

— Szef mówi, że dziś wieczorem powinien być w domu. Chyba że okażesz się bardzo zachłanna.

— Jak mam to rozumieć?

— Będzie na ciebie czekał. W tym tygodniu byłeś tu trzykrotnie. Chce nagrodzić twą lojalność.

— Podziękuj mu ode mnie — Cindy usiłowała się uśmiechnąć. — Naprawdę. Resztę możesz sobie zatrzymać.

Jasmine wyszczerzyła się od ucha do ucha.

— To się nazywa glina z klasą. Wracam za moment.

Kiedy kelnerka się oddaliła, Beaudry powiedział:

— Dziesiątka to sowity napiwek.

— Łatwo przyszło, łatwo poszło.

Przesunął kufel wzdłuż stołu.

— Tutaj, weź mój.

— Nie, już wystarczy. — Odsunęła kufel z powrotem. Pociągnął potężny haust.

— Zalałaś się, Decker. Zupełnie jak moja żona, kiedy ją splawiam z jej dorocznym prezentem.

—Mam już dosyć.

Beaudry machnął ręką.

—Plotki o twoim tatku to kwaśne winogrona, Cid. Mali chłopcy odpłacają się tak temu, kto odniósł sukces. Każdy z nas chciałby się znaleźć w skórze Wielkiego Deckera. Ale nie w tym rzecz. Kiedy tak mówisz wciąż o swym tatku, sprawia to wrażenie, jakbyś się czepiała poły jego płaszcza.

Tylko co mają powiedzieć ci szarzy funkcjonariusze, którzy nie stanęli na wysokości zadania? Nie to, żeby twój tatko na to nie zasłużył. Jego reakcja była właściwa. Ale powinnaś już przestać bezustannie zajmować się nim, a zacząć wreszcie zajmować się sobą. Zacznij myśleć o tym, co t y ostatnio zrobiłaś.

Cindy znowu odwróciła wzrok. Sięgnęła przez stół i wzięła piwo Beaudry'ego.

—Wracając do Troppera... co mam zrobić?

—Powiedz mu, że masz trochę wolnego czasu i nie wiesz, co z nim zrobić. Zapytaj go, czy nie potrzebuje jakiejś przysługi.

—Powie, że nie.

—To oczywiste, że tak właśnie ci powie. Wtedy możesz mu przypomnieć o stercie tego gówna, które zalega nie załatwione w jego skrzynce. Powiesz mu coś w rodzaju: Cześć, Sierż. Pozwól, że ci wyjaśnię, co możesz zrobić z tymi papierami. To samo robię ze swoimi raportami. Jak chcesz, to ci wydrukuję parę tych odręcznie napisanych.

—Od razu się w tym zorientuje.

—Taa, na pewno, Z początku pomyśli, że próbujesz lizać mu dupę. Ale założę się, że to połknie. Będzie się zachowywał, jakby to nie było nic wielkiego. Ot, przypadkowa sprawa. Ale będzie pamiętał.

—I to wszystko?

—To wszystko. — Beaudry rozejrzał się wokół. Ani się spostrzegli, jak w lokalu zrobił się tłok. — Wracam do domu, do Sherri i dzieciaków. Którego dziś mamy?

—Dwudziestego pierwszego.

—A jaki to dzień tygodnia?

—Czwartek.

—Ach... to nasza noc chili. Dobrze. Wypij moje piwo. Chcę sobie zostawić jeszcze trochę miejsca, żebym mógł się napić przy kolacji. Chili i piwo. To małżeństwo doskonałe. Gdyby tylko mężczyźni i kobiety byli jak chili i piwo.

Powinna była w tym momencie dać spokój i udać się do domu. Zamiast tego jednak rozejrzała się po lokalu, szukając twarzy, które nie należały do jej przyjaciół. Uwagi Beaudry'ego wyprowadziły ją z równowagi. Nie chciała grać roli jakiejś samotnej skały w walce z całym światem. Być takim indywidualistą to piękna fikcja, ale dookoła, cholera, twarda rzeczywistość skrzeczy.

Chciała się w nią teraz zanurzyć. A cóż, u diabła, może jej to szkodzić?

A, co tam. Upiła tęgi łyk. Nie mogła zmienić przeszłości, trzeba się skupić na teraźniejszości. Andy Lopez i ten jego kompan, Tim Waters, siedzieli jeszcze przy barze. Andy wydał jej się niczego sobie. Tim jej nie interesował. Rozmowa z nimi mogła być nawet zabawna. „Na pewno bardziej niż poprzednia”.

Przy jednym ze stolików siedziały Hayley Marx i Rhonda Nordich. Hayley miała około trzydziestki, siedem lat służby. Wysoka — nie mniej niż metr siedemdziesiąt osiem — krótkowłosa blondyna o bystrym spojrzeniu brązowych oczu. Rhonda zajmowała miejsce przy pierwszym biurku w pokoju detektywów; była pracownicą cywilną. Chyba trochę starsza... czterdziecia, no, może nawet pięćdziesiątka. Miała ciemną, smolistą cerę i krótkie, zabawnie skłębione włosy, sól z pieprzem, może więcej soli niż pieprzu. Cindy rozmawiała już kiedyś z Hayley, ale Rhondy nie знаła. Woląa jednak ich towarzystwo od Lopeza i Watersa.

Wzięła do ręki piwo, wstała i powoli do nich podeszła. Hayley podniosła wzrok i wróciła do swego białego wina.

—Siadaj.

—Dzięki.

Naprzeciw siebie siedziały dwie kobiety, musiała usiąść przy jednej z nich. Zwróciła się do Rhondy, wyciągając do niej rękę:

—Cindy Decker.

—Rhonda Nordich. — Potrząsnęła ręką Cindy. — Pracowałam kiedyś z twoim ojcem.

—W Foothills?

—Tak, w Foothills. Teraz jest w Devonshire, prawda? — Przytaknęła. — To był fajny facet. — Rhonda zachichotała i wprawiła w wirowy ruch swoją whisky z wodą sodową. — Chyba nadal nim jest. Co ty na to? Rozmawiać o kimś, o kimś ze swojej przeszłości, jakby już nie żył.

Cindy uśmiechnęła się.

—Nie wiem, jak to jest.

—Dobra, to pozdrów go ode mnie.

—Pozdrowię.

Nikt się nie odezwał. Wypiły.

—Widzę, że pracujesz razem z Beaudrym.

—Taa.

—A co o nim myślisz?

Zaskoczyła ją otwartość tego pytania Hayley.

—To porządny facet.

—Taa?

—Tak. A co? Czy jest coś, o czym nie wiem?

Hayley upiła Chardonnay.

—Dobra, postawmy sprawę jasno. Do maratonu to on się nie nadaje.

—Ach, no tak. Ale to przecież wiem.

—Co? — dociekała Rhonda.

—Trochę za wolna praca nóg.

—Wiesz, chodzą pogłoski, że Slick Rick Bederman poprosił z tego powodu o przeniesienie. Szamotał się z przestępcą, który miał nóż. Za nim Beaudry go dostał, ten facet prawie odkroił Slickowi ucho. Nie mówię, że Beaudry to nie jest porządny gość. Mówię ci tylko o zagrożeniach. Nie sądz, że mam coś przeciw niemu — wyjaśniła Hayley.

—To chyba nie tak. — Cindy poczuła się niewyraźnie. — Rozumiem. Ale trzymam z nim sztamę.

— Dobraliście się. — Hayley skończyła swoje wino. — Pijesz dziś wieczór?

— Nie mam nic specjalnego w wykazie dyżurów.

— A my mamy ochotę coś przegryźć. Może byśmy do ciebie wpadły? Cincy roześmiała się.

— Dobra, mam w lodówce miskę makaronu sprzed dwóch dni. Hayley też się uśmiechnęła.

— To fatalnie.

— Młodzi nic nie gotują — stwierdziła Rhonda.

—Zdarza mi się gotować — wyjaśniła Cindy. — Ale nie teraz.

—No, no — skwitowała Rhonda.

— Mogę chyba robić, co chcę.

Hayley zwróciła się teraz do koleżanki:

— No to co, Rhonda, jeśli już tak umierasz z chętki upitraszenia nam czegoś...

— Po czwórce dzieci mam dość karmienia cudzych gąb. Jedyna gęba, którą chcę nakarmić, to moja własna.

— A co tu dają dobrego? — spytała Cindy.

— A na co byś miała ochotę? — sondowała Hayley. — Na kanapkę? Czy może na stek albo kotleta?

—Prędzej na kanapkę.

—A befszyk w sosie? — dociekała Hayley.

— Może bym wzięła befszyk w sosie — przypomniała sobie Rhonda — Chociaż, wolałabym raczej kawałki maczanego indyka. Muszę uważać na tłuszcz.

— Maczany indyk nie jest tak smaczny jak maczana wołowinka — zwróciła się Hayley do Cindy. — Za suchy.

—Wiesz co, Rhonda — zaproponowała Cindy. — Wezmę trochę wołowiny w sosie, możesz się przyłączyć, jeśli chcesz.

—To weź sobie tę wołowinę w sosie, a ja raczej spróbuję tuńczyka — zdecydowała się Hayley. — Tylko nie sądź, że będę ci podbierać... tuńczyk i maczany befszyk chyba nie całkiem idą w parze.

—No tak, to nie to, co befszyk i homar — stwierdziła Cindy.

—Może wezmę trochę pastrami z ryżem — przebiła Hayley.

— Lubisz pastrami, Cindy?

— Owszem, lubię pastrami.

—Ja tego nie tknę! — zawołała Rhonda. — Mówiłam już o tłuszczu.

—No trudno. Jeśli nie chcesz, Ro, zamówię coś innego. A co byś powiedziała na szynkę z serem? — Hayley obróciła się do Cindy.

— Nie za bardzo. Nie jadam szynki. Jestem żydówką.

—Coś takiego... — Hayley pomyślała chwilę. — Więc jadasz tylko ko-szerne?

—Nie, po prostu nie jem szynki. Nigdy tego nie jedliśmy. Chociaż zdarzało się, że jedliśmy bekon.

—To chyba nie ma sensu.

—Wiem. — Wzruszyła ramionami.

— To może wezmę club, co wy na to? — zaproponowała Hayley.

—Taa, mogłabym się włączyć.

—A tobie to pasuje, Ro?

—A co to jest club?

—Indyk, bekon i awokado.

—Tylko bez awokado. To nie znaczy, że nie lubię awokado.

— Poklepała się po wydatnym brzuszku. — To awokado mnie nie lubi. Hayley wydeła wargi.

—Ale to najlepsze w tej kompozycji.

—Dobra, niech będzie awokado.

— To w końcu co zamawiamy? Bo już nie wiem — spytała skołowana Cindy.

— Zaraz sobie z tym poradzę. — Hayley przywołała Jasmine.

— Maczana wołowina, do tego cebulki i dużo sosu, frytki i sałatka z majonezem, maczany indyk z żurawinami, tłuczone ziemniaczki bez nadzienia i jeszcze raz sałatka z majonezem, no i club z prażonym ryżem, połowa z awokado, reszta bez.

—Mają być do tego frytki, Marx?

—Tak, mogą być frytki.

—Nalać wina?

—Taa.

—A dla ciebie jeszcze jedną Miller Lite, co, kochana?

Cindy pomyślała chwilę.

—Może raczej tę dietetyczną colę.

—Czemu? Ile piw masz za sobą? — zainteresowała się Hayley.

—Właśnie kończę trzecie. Czuję się dobrze, ale nie mam ochoty na nic mocniejszego.

—Ja też jestem przy trzecim. — Hayley zrobiła zabawną minę. — Przynies i mnie tę dietetyczną colę.

—Już się robi. — Jasmine przyjęła najpierw jej zamówienie, a potem Cindy. — Które zamówienie jest twoje?

—Czemu pytasz? — zdziwiła się Hayley.

—Bo jej jest na wynos.

Rhonda i Hayley zanosily się ze śmiechu.

— Czemu się śmiejecie? — Cindy też się uśmiechnęła. — Co w tym takiego zabawnego?

—Znowu ten Doogle — wyjaśniła Hayley.

—Kto to jest Doogle?

—Taki napalony nizioł, do którego należy to miejsce.

—Nie słuchaj ich, złotko — powiedziała Jasmine. — To tak przez zazdrość. To co zamawiasz?

—Co ja zamawiam? — Cindy zwróciła się do koleżanki: — Wołowina w sosie?

—A co tu jest najdroższe? — spytała Rhonda.

—Club.

—To jej jest club.

Jasmine zaśmiała się.

—Co za ludzie! — Odwróciła się i poszła.

—Kto to jest Doogle? — dopytywała się Cindy.

—Taki maleńki człowieczek. — Hayley pokazała ręką jakieś dwie stopy nad podłogą. — Pies na wszystkie kobiety.

—Na policjantki?

—Na wszystko, co robi muu-muu — wyjaśniła Rhonda.

—Muu-muu?

—Mógłby mi wylizać na stojaka, gdybym mu dała.

—Ile ma wzrostu?

—Góra metr sześćdziesiąt. I do tego ma pięćdziesiątą.

— A to ci dopiero — zachwyciła się Cindy. — To jak moja ostatnia randka w ciemno.

—Ma kupę szmalu —dodała Rhonda.

—Tak, to niezła partia.

— Takie typy to zawsze jakieś sknerusy — stwierdziła Hayley. — No wiesz, zarobiłem, to wydaję, Liź mi jaja, to może coś ci skapnie.

—Było, minęło — zaśmiała się Cindy.

Hayley jej zawtórowała:

—Wygląda, żeśmy sobie popiły, co?

—Ee tam, tylko samo piwo — powiedziała Cindy.

— No no! Patrzcie, kto przyszedł. — zawołała Hayley. — Ole, co ssie flaszkę. — Pomachały w jego stronę. — Spójrzcie, idzie tu do nas!

Cindy odwróciła się i poczuła, że się czerwieni. Miała nadzieję, że tego nie zauważyli, ale się myliła. Miała białą cerę, co natychmiast ją zdradzało. Cała stawała w pąsach, gdy tylko się złościła, coś ją wprawiało w zakłopotanie lub gdy budziło się w niej pożądanie.

Tak przynajmniej o niej mówiono.

Rozdział piąty

Ubierał się w stylu ninja — czarny podkoszulek i czarne sztruksy do czarnej skórzanej kurtki, do tego jeszcze blezer, zupełnie jak jaki terrorysta. Czarne włosy, zaczesane prosto od czoła, srebrzyły się na skroniach. Oczy nadawały mu ten charakterystyczny wyraz wężącego gliny, który Cindy tyle już razy widywała na twarzy swego ojca. Jednak postawę miał luźną, na spocznij. Nie podszedł do nich od razu; zbliżał się powolutku, jak przystało na detektywa, który może sobie pozwolić na coś więcej niż szeregowi funkcjonariusze. Zajął puste krzesło po drugiej stronie, tak, Żeby mieć przed sobą Hayley. Cindy była wyraźnie zmieszana.

— Co cię tu sprowadza? — Hayley nawiązała z nim kontakt wzrokowy, dopijając równocześnie zachłannie swego Chardonnay. — Wałesamy się?

— Niektórzy jeszcze pracują po godzinach, Marx.

— A nad czym to tak pracujesz? — spytała. — Nowych informatorów nie będzie aż do września.

Rozciągnął w szerokim uśmiechu usta pełne białych zębów i przywołał kelnerkę.

— Jak ty się odnosisz do swoich zwierzchników?

— Nie jesteś moim zwierzchnikiem.

— Teraz nie, ale nigdy nie mów nigdy.

Hayley spojrzała w lewo, na koleżankę.

— Cindy Decker, Scott Oliver.

— Znamy się już — powiedział swobodnym tonem Oliver. — Pracuję z jej tatkiem. A raczej pracuję teraz dla jej tatka. Wielki Decker to mój pech.

— Pracujesz w Devonshire? — spytała Rhonda.

— Tak — potwierdził Oliver. — Całe dwa lata byłem w sekcji zabójstw, zanim nastał tam Decker, ten oślizgły intruz.

— Ho, ho — odezwała się Cindy. — Czy ja powinnam tego słuchać?

—Nie ma nic do słuchania. — Oliver błysnął pełnym garniturem zębów. — Już się z tym pogodziłem.

Jego wzrok zdradzał jednak, że to wątpliwe.

—Jaki on jest jako szef? — spytała Cindy.

— To zależy od dnia. — Oliver zawiesił na niej oko. — A jaki jest jako ojciec?

—To zależy od dnia.

—No, no.

—Pewnie widywałeś go częściej niż ja — zachichotała Cindy.

— Pewnie tak. — Oliver skupił teraz swe zainteresowanie na Marx. — Świetnie wyglądasz.

—Na pewno nie dzięki tym parszywcom stamtąd.

—Czy to ma być przytyk do naszego towarzystwa?

—Piję już piąte — uśmiechnęła się Hayley.

Jasmine przyniosła jedzenie i napoje.

—Cześć, Oliver. Długo cię nie było. Odwiedzasz stare kąty?

—Tak wpadłem tu, trochę się pokręcić. Umówiłem się z Osmondsonem.

—To trzeba ci umościć gniazdko. Mam zarezerwować narożną kabinę?

—Dzięki, fajnie by było.

Jasmine rozstawiała w milczeniu zamówione dania: club dla Cindy, maczany indyk dla Rhondy i maczany befsztyk dla Hayley. Postawiła z trzaskiem piwo przed Oliverem.

—Czy wiesz, co Rolf teraz pija?

—Widziałem go ostatnio, jak pił czystą Stoły.

—Zdaje się, że już przestał popijać. Przyniosę sodową. Gdyby chciał coś mocniejszego, niech poprosi.

Oliver spojrział na swoje piwo.

— Wiesz co, Jasmine? Muszę się dziś skupić. Daj mi wodę sodową.

— Ja ci zamienię — odezwała się Cindy. — Jedna cola za piwo.

Hayley zachichotała.

—Będziesz miała szmera.

—Nie, dobrze się czuję.

—Słynne ostatnie słowa.

Oliver przysunął jej swoje piwo.

—To ode mnie. I możesz sobie zatrzymać tę colę.

Hayley rozejrzała się po stołkach przy barze. Andy Lopez i Tim Waters złowili jej wzrok.

—Przyciągasz komary.

Oliver roześmiał się.

—No, Marx, te twoje feromony.

—Nie, to ty. Odkąd tu jesteś, ten twój gatunek zwąchał, że trzeba by podejść.

—Mój gatunek? Kiedy ostatnio mnie edukowano, byliśmy jeszcze tym samym gatunkiem.

—Nie wiem, czy ktoś by się z tym zgodził.

—Trzymaj się tego. — Wzrok Olivera skierował się na drzwi. — Idzie mój facet.

Cindy rozejrzała się. Rolf Osmondson był dużym, łysym facetem o pokąźnym brzuszku. Miał wąsy jak kierownica roweru. Wyglądał jak badacz fiordów.

—Chyba nie jest w twoim typie, Scott — powiedziała.

Oliver zareagował udanym przerażeniem:

—Teraz ty się wtrącasz?

—Solidaryzuję się tylko ze swymi siostrami.

Pogroził jej palcem.

— Nie rysuj linii na piasku, Decker, jeśli nie jesteś przygotowana do bitwy. — Dotknął swym wskazującym palcem pleców Hayley. — Zobaczmy się później. — I dodał: — Albo i nie.

Cindy patrzyła, jak Oliver wita się z nordykiem, ściskając mu dłoń. Zająli zarezerwowaną kabinę z tyłu, poza zasięgiem jej wzroku. Mieli to, czego szukali — ustronne miejsce, gdzie mogli wreszcie swobodnie porozmawiać o sprawie. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na Hayley; zdenerwowana czymś dźgała nożem befsztyk, oddzieliła szary brzeżek i żuła go wolno, bez słowa.

— Ale z niego idiota! — rzuciła wreszcie, dodając ściszym głosem:
— Przecież jestem inteligentną kobietą! Czemu on mi to robi?

Cindy skosztowała frytek.

— Znasz taki przebój Sheryl Crow *Mój ulubiony błąd!* Popelniliśmy go wszyscy.

— Dobra, tylko czemu ten mój okazał się takim pierdołą? — Wstała z krzesła. — Idę poprawić sobie szminkę.

Po wyjściu Hayley Rhonda nabrała sobie trochę indyka.

—Biedactwo!

—Ukrywała to dzielnie.

—Ale jej pachy były jak sadzawki.

—Jak długo byli razem?

—Chyba w ogóle nie byli ze sobą. To przypadkowa sprawa.

— Nie dla niej — stwierdziła Cindy, Spojrzała na swój talerz, na sufit, na stołek przy barze. Wszędzie, byle tylko się obejrzeć. Andy Lopez zło-
wił jej wzrok. Odruchowo kiwnęła głową, co było najgłupszą rzeczą, jaką
mogła zrobić. Ponieważ Andy szturch-
nął Tima. A potem obaj podnieśli
się.

— Ach, moja droga! — Cindy wypła trochę piwa dla kurażu.

— Idą tu.

Rhonda oblizwała palce ociekające sosem z indyka.

— Ślicznie wyglądasz. Jesteś zbyt nowa, żeby się nudzić. Ile masz lat?
Dwadzieścia jeden?

— Dwadzieścia pięć.

Rhonda zrobiła zaskoczoną minę.

—Wiem, wyglądam na młodszą.

—Gdybyś nie piła, pomyślałabym, że masz osiemnaście.

— Cześć, Decker. — Tim Waters postawił na stole scotcha. Był śred-
niej budowy, jasno brązowe włosy, mętne zielone oczy nijakie rysy twa-
rzy. „Uosobienie amerykańskiej bylejakości”, pomyślała Cindy. — Sły-
szałaś o tym wystrzałowym numerze Troppera?

— Dobre wieści rozchodzą się szybko. — Cindy wskazała na krzesła.
— Siadaj sobie. Ale przynieś jedno dla Hayley.

—Sądząc po wyglądzie Olivera, chyba ją splawił.

Uśmiechnął się z wyrazem Wyższości. Cindy wbiła w niego wzrok, Najwidoczniej musiało poskutkować, bo policzki mu poczerwieniały.

—Nie, Hayley jeszcze tu jest... wyszła tylko do wygodki — powiedziała.

Waters przystawił sobie pozostałe krzesło i usiadł. Andy Lopez siedział już obok Rhondy. Był mały, drobnej budowy; Cindy pamiętała jednak jego wynik z siłowni, na ławeczce wyciskał sto czterdzieści pięć kilogramów.

—Wiesz, Brown powiedział, że zachowałeś się jak trzeba — stwierdził Lopez.

— Miło mi to słyszeć. — Spojrzała na niego. Zmarszczyła brwi. — Czy będzie jeszcze jakiś załącznik do tego oświadczenia? — Lopez patrzył na nią. — No, co jeszcze powiedział? — sondowała.

Waters wskazał ruchem głowy stołki przy barze.

—Brown jeszcze tam siedzi. Czemu go nie zapytasz?

— Ponieważ jem właśnie kolację. — Wypiła duży łyk. — Andy, co on powiedział?

—Tylko to... — Wziął sobie jedną frytkę z talerza Cindy.

—No wiesz... — Głos mu zamarł.

— Może powiedział coś o mnie i frankfurterach? — Złowiła spojrzenie Jasmine, popiła jeszcze trochę piwa. — Nie jestem jakąś tam pozeraczką frankfurterów !

—Oczywiście, Cindy...

— Sytuacja była bardzo napięta. Robiłam wszystko najlepiej, jak tylko umiałam.

—Brown mówił, że dobrze zrobiłaś — potwierdził Waters.

— O co ci jeszcze, do cholery, chodzi?

— Bo Trapper się na mnie wścieka.

— Taa, Trapper chyba naprawdę się wkurwił — powiedział Lopez.

— No i...? — Cindy spojrzała na niego.

Lopez zjadł jeszcze jedną frytkę.

—O Jezu, Decker, myśl sobie, co chcesz. Tylko nie zabijaj posłańca!

—Zapomnij o tym, Decker. Trapper nic ci nie zrobi — poradził Waters.

„Niemal słowo w słowo to, co mówił Beaudry”.

— Co ty wiesz? — spytała Cindy. — Czy on się boi mojego ojca, czy chodzi jeszcze o coś innego?

Waters upił trochę scotcha.

— No powiedzmy, że cechuje go zdrowy szacunek dla władzy. Jasmine przyniosła świeże piwa. Spojrzała z niepokojem na Cindy.

— Wiesz, może byś tak coś przegryzła. Jak się coś wrzuci na ruszt, to nie idzie tak do głowy.

Cindy zjadła kawałek kanapki. Szło jej dobrze. Upiła połowę piany.

—Czuję się świetnie. Naprawdę.

—A gdybyś miała poczuć się gorzej, zawsze mogę cię odwieźć do domu — uśmiechnął się Waters.

—To nie będzie konieczne.

Wróciła Hayley ze świeżym makijażem. „Bombowo wygląda”, pomyślała Cindy. Widocznie Waters też tak myślał. Trochę za długo patrzył na jej piersi. Marx rozejrzała się wokół.

— Kto tu wpuścił tę hołotę?

—To moja wina. — Cindy podniosła rękę. Jasmine miała rację. Po czterech piwach poczuła wyraźny szum w głowie, trzeba coś wrzucić do żołądka. Spróbowała jeszcze kanapki, ale wyraźnie jej nie szło. Andy spojrzał na jej kanapkę z pragnieniem w oczach.

—Chcesz trochę, Lopez? — spytała. — Chyba nie jestem głodna, naprawdę.

— No, jeśli nie chcesz. — Urwał połowę kanapki. — Dlaczego ma się zmarnować?

Dym stał się nagle dokuczliwy, poczuła, że trudno jej oddychać. Bezskutecznie próbowała zaczerpnąć tchu. Najwidoczniej to przejściowe napięcie zbiegło się ze stresem, który jeszcze w niej tkwił od tamtej akcji. A po tych wszystkich piwach miała wrażenie, jakby ją obdzierano ze skóry.

Poczuła nagłą potrzebę i próbowała wstać. Podniosła się tak szybko, jak mogła. Ale równie szybko pokój zaczął wirować wokół niej. Złapała rękami stół, żeby utrzymać równowagę.

—Dobrze się czujesz, Decker? — spytała Hayley. — Siadaj, dziewczyno. Coś blado wyglądasz.

—Nie, nie, wszystko w porządku. — Spróbowała się uśmiechnąć. — Po prostu jestem trochę zmęczona.

—Odwiozę cię lepiej do domu, Cin — zaofiarował się Andy. Wiedziała, że mówi to szczerze. Miał rację, była nieźle przymulona. Jednak na myśl o tym, że będzie z nim sam na sam w wozie, poczuła niepokój.

—Dziękuję, Andy. — Znow próbowała się uśmiechnąć. — Naprawdę, czuję się już dobrze.

—Ja cię odwiozę — zaproponowała Rhonda. — Hayley później mnie zabierze.

—To nie jest konieczne! — Powiedziała to ostrzej, niż czuła. — Naprawdę, Rhonda. Dzięki, ale już jest dobrze.. Zobaczymy się później.

Zarzuciła torbę na plecy. Zdając sobie sprawę, że oceniają jej trzeźwość, starała się stąpać pewnie. Ale gdy tylko znalazła się na zewnątrz, oblała się potem. Serce zaczęło jej walić, ręce się trzęsły, wzrok się zmącił. Już nie musiała udawać, że wszystko jest w porządku. Stała pośrodku parkingu, wokół było morze wozów. Ale gdzie, do diabła, jest jej?

— Panie Boże, proszę — modliła się. — Doprowadź mnie tylko cało do domu, już nigdy tego nie zrobię.

Podeszła do jednego rzędu wozów, potem do drugiego. Mgliste nocne powietrze lekko ją orzeźwiło. Włosy jeszcze bardziej się jej skłębily.

Wreszcie go odkryła, swego saturna. Nigdy by go nie znalazła, gdyby nie zaparkowała pod latarnią. Wóz odznaczał się połyskliwą, neonową zielenią, modną parę lat temu. Teraz jednak żywość tej barwy spęzła, jej coupé przypominał podstarzałą, wymalowaną ładacznice.

Wcisnęła się za kierownicę i manipulowała kluczykami, pot łał się jej z czoła. Próbowwała uruchomić ssanie, gdy nagle świat wokół niej znowu zawirował. Zamknęła oczy, ale wirowanie nie ustawało. Oparła się o metal, uderzyła głową o solidną chłodną szybę, modląc się o to, by nie zwymiotować.

—Daj, ja to zrobię.

Skoczyła do tyłu, niemal wbiła się w oparcie. Obróciła się i spojrzała na niego, na tę spoconą twarz i całą resztę.

—Czy zawsze straszysz ludzi w ten sposób?

— Tylko jeśli są przestępcami — odparł Oliver. — Na co właśnie ty się narażasz, jeśli będziesz próbowała prowadzić w tym stanie. Daj mi kluczyki.

Była zbyt słaba, żeby oponować. Podała mu pęk kluczyków.

—Czy mogłabyś usiąść z drugiej strony?

—Chyba mogę, jeśli zrobię to bardzo wolno.

Oliver otworzył drzwi wozu.

—Spróbuj.

—Dzięki.

Usiłowała precyzyjnie przemieścić ciało z miejsca kierowcy na miejsce dla pasażera, ale głowa poleciała jej do tyłu i oczy się zamknęły. Znowu wszystko zaczęło wirować. Ścisnęła kurczowo nogi, mając nadzieję, że doznania dotykowe uspokoją jej żołądek.

Oliver sięgnął ponad nią i zapiął jej pas bezpieczeństwa.

—Tu masz. Weź to.

Otworzyła oczy i spojrzała na wyciągnięty ku niej kubek.

—Co to jest?

— Kostki lodu. Na zmniejszenie poczucia nudności, Kiedy wychodziłaś, chwiałaś się na nogach... byłaś już trochę zielona.

Wzięła kubek, zaciskając usta, żeby poskromić żołądek.

—Szpiegowałeś mnie?

Pominał to pytanie.

—Dokąd mam jechać?

—To metafora czy o drogę pytasz?

—Cindy!

—Skreć w lewo na pierwszych światłach.

—Podaj mi swój adres.

—Mojego domu?

—Tak, Cindy, twego domu.

— Zjeżdżasz z Bagley. Trzecia przecznica na północ od Wenecji. Znasz tę dzielnicę?

—To gdzieś w pobliżu Culver City, prawda?

— Taa. To tam. — Zgryzła zębami mrożoną wodę i podała mu numer.

— Przepraszam za to wszystko.

—Już dobrze.

Ziało od niej odorem piwa. Chciała jeszcze coś powiedzieć, wytłumaczyć się, ale słowa uwieźły jej w krtani. Gapiała się na przednią szybę, wlepiając wzrok w pasmo asfaltu przez sobą.

Jechali w milczeniu, dwadzieścia pięć minut tej jazdy wydawało się wiecznością. Każdy zakręt czy zmiana pasma powodowały napływ fal kwasu do jej przetyku. Ssała lodowe płatki i często przetykała ślinę. Ocierała rękawem pot zalewający jej twarz, ponieważ nie mogła znieść odoru piwa, jakim przepojona była jej chusteczka.

Pięć dużych piw wystarczyło, by zionęła tym smrodem. Złowiła spojrzenie swego kierowcy. Jeśli czuł ten smród, to musiał mieć zaiste wielkie poczucie przyzwoitości, żeby pozostać niewzruszony.

Wreszcie zaparkował w znanym jej miejscu. Udało jej się opuścić wóz o własnych nogach, taszcząc za sobą torbę, której paski wlokły się po ziemi. Nadszedł Oliver i Cindy wyciągnęła ręce po kluczyki.

—Dziękuję, dalej już dam sobie radę.

—Chciałbym jeszcze skorzystać z twojego telefonu.

Otworzyła i zamknęła usta, patrząc nań zmrużonymi i podejrzliwymi oczami.

—Muszę przywołać taksówkę, Cindy. Mój wóz został u Belliniego.

—Aha! — Cindy pomyślała przez chwilę, słowa przychodziły jej z trudem. „Musi przywołać taksówkę”. — Mogę to zrobić dla ciebie.

Oliver zatrzymał wzrok na jej twarzy i zaczął chichotać.

—Wiem, że możesz. Ale wolę poczekać w środku, niż mrozić tu sobie dupę.

—Aha! — Pomyślała znowu. „Taa, to ma sens”. — No pewnie. Wejdz. — Skinęła głową, ale się nie poruszyła.

Oliver ujął ją pod łokieć i delikatnie poprowadził.

—Który to numer?

—Trzy... ee... dwa. Tam jest winda.

—Pójdziemy schodami. Spacer dobrze ci zrobi.

— Czuję się dobrze. — Zamrugęła. — Naprawdę.

Nie odpowiedział. Popchnął ją lekko, ujął palcami jej triceps. Poczowała się jak zbłąkane dziecko, prowadzone do swego pokoju. Kiedy podeszli do właściwych drzwi, Oliver wyjął klucze i podniósł je w górę.

—Który to?

—Ten metalowy.

—Cindy!

— Złoty... — poprawiła się Cindy. — On jest złoty. *Schlage*. Najbardziej się wyróżniał z tych, co mogłam dostać.

Po paru próbach otworzył zamek, pchnięte drzwi stanęły otworem.

—Proszę, ty pierwsza.

— Prawdziwy dżentelmen. — Cindy uśmiechnęła się. — Gdzieś tam jest telefon. Muszę się oddalić, przepraszam.

Nie czekała na odpowiedź. Ruszyła prosto do łóżka, pchnęła jeszcze po drodze drzwi, tak że się zatrzasnęły, zdarła z siebie obłany czymś słodkim i śmierdzący piwem kostium i przeklinała siebie samą za kolosalny rachunek z pralni. Upadła na łóżko, leżała na wznak w bieliźnie, patrząc,

jak sufit nad nią kręci się,
kręci i kręci...

Oliver krzychał coś z drugiego pokoju.

—Co tam? — zawołała.

— Linia taksówkowa chce wiedzieć, jaki to numer — odkrzyknął.

—Osiemdziesiąt pięć.

—Jaki?

— Poczekaj chwilkę. — Powolutku zwlokła się z łóżka, otworzyła z trzaskiem drzwi i podała mu ten numer. Słyszała jeszcze, jak go powtarza, pewnie na użytek tej linii. Była już prawie w łóżku, gdy poczuła nagłe szarpnięcie żołądka. Nawet nie próbowała tego zatamować. W ostatniej chwili wybiegła do łazienki, mając tylko nadzieję, że nie będzie słychać, jak rzyga. Ale po pierwszej rundzie przestała już się o to troszczyć. Kiedy skończyła, powlokła się do zlewu i ciągle na kolanach, obmyła sobie usta i twarz.

Mogła przynajmniej utrzymać się na nogach bez poczucia nudności. Zerknęła na swoją twarz w lustrze. Wyglądała tak, jak się czuła — jak kawałek odgrzanego gówna.

Trzeba by może wybrać się do kuchni, nastawić sobie kubek herbaty; ale przecież o n tam był.

A w cholere z tym! Gorzej już nie może wyglądać! W końcu to jej dom. Włożyła frotowy płaszcz kąpielowy i przejrzała się jeszcze raz w lustrze. Nic się nie zmieniło. Wyglądała wciąż okropnie: zaczerwieniony nos, ziemista cera, zażawione oczy, i — to przez tę mgłę — jaskrawoczerwone skłębione włosy, zupełnie jakby się jej paliły na głowie. To jednak może być fajne, tak sobie pogadać z facetem (a choćby i ze Scottem Oliverem, który musiał być przecież w wieku jej ojca), nawet jeśli się wygląda jak wysrane gówno. No, to sobie powiedziała.

Otworzyła drzwi do sypialni i ukazała się w całej rozciągłości, dumna i różowa, jakby dopiero co opuściła pieluchy. Wzrok Oli-vera utkwiony był w oknie. Obrócił się, z rękami w kieszeniach, tłumiąc śmiech, gdy na nią spojrział.

—Ciężki dzień, co Decker?

—Nie chciałabym ci sprawiać kłopotu swoim nieszczęsnym stanem. — Przeszła do kuchenki i napełniła wodą naczynie na kawę. — Robię sobie bezkofeinową. Chcesz trochę?

—Nie, dzięki. — Rzucił okiem na obraz przedstawiający bojowników walki o wolność i równość. — Jeśli mam ci coś podpowiedzieć, weź może soku pomarańczowego. Witamina C jest dobra na kaca.

Cindy spojrzała na naczynie do kawy.

—Masz rację. — Wylała wodę do zlewu i nalała pół litra soku. Napełniła sobie szklanke. — Do dna.

—Co się stało, Cindy?

—Nic takiego, Scott.

Wzruszył ramionami.

—Wystarczy się tylko trochę odchuchać.

— Nastroszyły mi się pióra. Nie ma sprawy. Doprowadzę się do ładu.

—Ucz się za młodu. Przyda ci się.

—Dzięki. Tylko dlaczego czuję się taka poniżona?

Oliver wrócił do okna, patrząc przez listewki żaluzji.

—Nie widzę w tym nic poniżającego.

Wypiła trochę soku. Paliło ją przy przelękaniu.

— Więc jestem w błędzie, uważając, że twoja niewinnie wypowiedziana uwaga jest wymierzona przeciwko memu tatusiowi, tak?

W pokoju zaległo milczenie. Siedzieli tak przez jakiś czas.

— Może umówmy się tak, dobrze? — Zwrócił ku niej twarz. — Ja nie powiem nic twemu ojcu, co się dziś wieczór stało, a ty zapomnisz o tym, co o nim mówiłem.

—O tym, że mój tatko jest oślizgłym intruzem?

—Właśnie.

—Umowa stoi.

Przesunął ręką po włosach.

— To dobry człowiek, Cindy. Dobry człowiek, a jeszcze bardziej przyzwoity szef.

— Nie musisz mi tego wciskać. — Znow było cicho. Wreszcie odezwała się: — A co za sprawę miałaś do tego Osmondsona?

—Wymienialiśmy pewne uwagi.

— Czy to nie dotyczyło tych porwań wozów, jakie ostatnio nękają Devonshire?

Oliver nie odpowiedział wprost, zastanawiał się, ile jej może powiedzieć. Tak czy siak, dojdzie to w końcu do jej starego.

—Być może.

—O co tam biega?

—Jeszcze nie wiem, Cindy. Dopiero zbieram papiery.

— Przepraszam. Nie chcę tu wścibiać swego nosa. — Dopła sok i postawiła naczynie na blacie. — Tak naprawdę to mnie interesuje, ale widzę, że nic się od ciebie nie dowiem. — Podniosła palec do góry. — Ale to nie znaczy, że nie będę próbować. Chodzi mi o Marge.

—Czujesz się już lepiej?

— Odrobinę. Chociaż głowa jeszcze mi ciąży i śmierdzą jak browar.

—Prześpij się.

Usłyszeli klakson na ulicy, piskliwie i głośno zadzwonił telefon. Oliver podniósł słuchawkę.

— Tak... dzięki. — Rozłączył się i powiedział: — Moja taksówka już czeka.

— Poczekaj! — Cindy rzuciła się do sypialni i wyciągnęła z portmonetki dwudziestkę. Dziesiątkę dała Jasmine, teraz dwudziestkę, zostało jej jeszcze pięć dolców i drobniaki. Przynajmniej nie wyda już nic na trunki. Chwyła banknot i wcisnęła mu. — To za fatygę... i na taksówkę.

Oliver spojrzał na pomięty banknot, mokry od jej potu. Zajrzał jej w twarz.

— Chyba żartujesz. — Roześmiał się, potargał ją za włosy i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Zastygła w miejscu, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Słyszała, jak zbiegał po metalowych schodach, następnie trzaśnięcie drzwi wozu. Silnik rozgrzewał się, ryknął, a potem jego oddalający się warkot

słabł coraz bardziej, zostawiając po sobie niczym nie zakłóconą ciszę. Absolutną ciszę jej mieszkania.

Ale zaraz pojawiły się odgłosy otoczenia — buczenie lodówki i delikatne cykanie ściennego zegara na baterię. Popatrzyła na swój salonik. Meble wydały się jej nagle obce — jakaś nieprzyjazna gęstwa kremowych tkanin. Nawet poduszki. Jak czerwone od złości oczy spoglądające na nią z wrogością. Jej szklany stolik do kawy odbijał niesamowite zielone światło magnetowidu, migające na godzinie dwunastej o północy.

Głośny, raptowny hałas na zewnątrz przerwał pracę jej wyobraźni. Wzdrygnęła się.

Uspokój się!

To tylko jakiś samochodowy odtwarzacz z basami podbitymi na maksa.

Czemu tak tu stała? Czy był jakiś powód? Nie znalazła żadnego. Oczy jej zamrugały. Zaryglowała drzwi i walnęła się do łóżka.

Rozdział szósty

— W ciągu ostatnich dwu lat w Hollywood zdarzyło się sześć podobnych przypadków — wyjaśnił Oliver. — Dwa z nich nie łączyły się, ale cztery miały pewne cechy wspólne.

Byli u Deckera w biurze — zwykle przepierzenie, gdyby nie sufit i drzwi, które na wchodzących z zewnątrz sprawiały wrażenie prywatności. Siedział za biurkiem, mając naprzeciw siebie Olivera i Marge. Lampka telefonu świeciła się i migała, ale dzwonek był wyłączony.

Przewracając strony w jednej z zaznaczonych na czerwono teczek, szukał podstawowych cech: rodzaj przestępstwa, miejsce, czas, broń, okoliczności łagodzące.

— Ta kobieta nie miała dziecka. A może coś przegapiłem? — Wręczył Oliverowi teczkę.

—Masz rację, nie miała dziecka. Ale niosła zakupy, obie ręce musiała mieć zajęte. Przestępca zastosował tę samą metodę. Podkraślił się do niej z tyłu i przyłożył jej lufę. Kazał jej prowadzić. Nie w każdej z naszych spraw pojawia się dziecko.

—Tylko w jednej nie mamy dziecka — stwierdziła Marge.

— We wszystkich pozostałych pojawiają się niemowlęta i małe dzieci.

—Więc może to właśnie stanowi tu pewne odstępstwo — odparł Oliver. — Popatrz, przyniosłem to dla ciebie. Jeśli chcesz to przejrzeć, proszę bardzo.

—To zostało stwierdzone i należycie zapisane — powiedziała Marge.

—Tak między nami, jak się czuje twoje dziecko? — zapytał Oliver.

—Vega... przystosowuje się bardzo dobrze. — Marge spróbowała się uśmiechnąć.

—A jak ty się czujesz w sytuacji macierzyństwa? — spytał Decker.

—Znakomicie. Wiesz, tak sobie myślę, że jeśli nawet będzie trochę słabsza w ciągu następnych paru lat to tylko kwestia czasu. Ma teraz trzynaście. Kiedy mają osiemnaście, odchodzą od nas, prawda?

Trudno im było powstrzymać śmiech.

—O co wam chodzi? — Przeniosła wzrok z Olivera na Deckera. — Powiedzcie mi. Też się chcę pośmiać.

Decker potrząsnął głową.

—Margie, to tylko jeden z tych... rodzicielskich przypadków. Właśnie to przechodzisz.

—Dlaczego niszczysz jej marzenia? — wtrącił się Oliver.

— Przecież to, o czym ona mówi, to zupełnie realne marzenia.

—Mam gdzieś was obu.

Decker zachichotał, a potem zabrał się do następnej teczki. Ta nie była oznaczona. Przez kilkanaście minut przetrząsał jej zawartość.

—Więc uważasz, że zajście z tą kobietą i czerwonym ferrari nie należy do serii?

—Po pierwsze, trudno jest porwać ferrari. Ten wóz ma ręczną przekładnię. A nawet jeśli ci się uda uruchomić wajchę, musisz wiedzieć, jak wchodzi biegi. A jeśli i z tym się uporasz, musisz jeszcze umieć prowadzić ten kapryśny wóz. Poza tym, była samotna i nie niosła niczego, co mogło spowalniać jej ruchy. To nie jest ten sam sposób działania. To porwanie dla okupu. Była bogata.

—To chyba podobnie jak w przypadku Armanda Craytona — uznała Marge.

—Tylko że nie umarła jak Crayton. A może umarła? — Decker spojrzał na Olivera. — Co z nią się właściwie stało?

—Myślę, że okup został wpłacony i nic jej się nie stało.

—A porywaczy nigdy nie ujęto.

— No pewnie, że nie. Inaczej ta sprawa nie byłaby otwarta.

—Dziwne — zauważył Decker. — Porwania zawsze miały najwyższy stopień wykrywalności sprawców. Czy odzyskano wóz?

—Nie wiem — odparł Oliver. — Zamierzam zwrócić się do Osmondsona, żeby poznać więcej szczegółów.

—Ta kobieta jechała czerwonym ferrari, a Crayton prowadził czerwonego corniche'a. Nie sądzisz, że to mógłby być jakiś związek?

—Niby jaki? — drażył Oliver. — Jakiś podwójny krąg?

—Jeden bardzo złożony, drugi bardzo prosty.

—Obaj porywacze matek z dziećmi uprowadzili po mercedesie — spostrzegła Marge.

—Dwa mercedesy, pięć volvo, jeden beemer, jeden jeep — wyliczył Decker. — To już inna liga niż ferrari i corniche.

—Jeśli idzie o Craytona, to nie wyglądało na przypadkowe porwanie — upierała się Marge.

—Nie ujechali za daleko — wtrącił Decker. — Wóz zwałił się z nasypu i eksplodował. Crayton się spalił.

—Mogę tylko powiedzieć, że wdowa po nim nigdy się nie odezwała.

—Armand Crayton był wplątany w działalność przestępczą — stwierdził Oliver. — Zadawał się z płótkami. Nigdy nie miał wielkiego numeru.

—To prawda — zgodził się Decker. — Kiedy zginął, toczyło się przeciw niemu parę spraw.

—A ta co prowadziła ferrari... jak ona się nazywała?

Decker przerzucił akta.

—Elizabeth Tarkum.

—O ile mi wiadomo, nigdy nie figurowała w wykazie podejrzanych. To raczej czyjaś bogata żona, która znalazła się w złym miejscu o niewłaściwej porze.

—Bogata młoda żona — sprostował Decker. — Dwadzieścia sześć lat i prowadziła ferrari. — Decker uniósł brwi. — A Crayton ile miał? Trzydzieści?

—Trzydzieści jeden.

— W co był zamieszany Crayton? Mamy tu jakąś piramidkę? — spytała Marge.

— Sprzedawał grunt, który do niego nie należał... coś w tym rodzaju — wyjaśnił Oliver.

— Nie, ziemia, którą sprzedawał, była jego własnością — sprostował Decker. — Ale z pewnych względów splajtował. Szczegóły trudno było ustalić. Zawsze czułem, że ktoś tu mieszał.

—Kto to mógł być?

— Nie wiem — odparł Decker. — Zleciłem Websterowi odszukanie jego żony, ale nigdy do niej nie dotarł.

— Może ta pani. Tarkum wniesie tu jakieś szczegóły. No wiesz... jeździć ferrari, jak się ma dwadzieścia sześć lat — zauważyła Marge.

— W aktach jej sprawy nie mamy nic, czego by się można ucześcić — stwierdził Oliver.

— W jakim wieku był jej mąż? — zainteresował się Decker. Oliver wzruszył ramionami.

— Nie ma o tym wzmianki.

Marge wzięła kawę; trochę rozlało jej się przy tym na kolana. Krzywiąc się, ścierała palcami plamę ze spodni.

— To właśnie dlatego noszę się na czarno. Mogę być niechlujem i nikt tego nie zauważy.

Decker podał jej serwetkę.

— A ja dlatego ubieram się na brązowo. Nawet nie zwróciłaś uwagi.

— Tobie jednemu w całym wydziale jakoś uchodzi brąz — stwierdził Oliver. — Jedni mogą, drudzy nie.

— Na to wygląda. Lansuję modę — uśmiechnął się Decker.

Oliver podniósł wzrok znad swoich akt. Na biurku Decka leżało pełno rodzinnych fotografii: Cindy, Cindy jako mała dziewczynka, jego pasierbica Hannah, parę zdjęć żony Riny. Rozłożone były pod takim kątem, że Oliver mógł je dostrzec. Nigdy przedtem ich nie widział. Zapach kawy Marge podrażnił mu nos. W żołądku zaburczało. Postawił swój kubek na biurku. Chwycił kubek Marge, upił trochę i skrzywił się.

— Co ty, do diabła, zaparzyłaś?

— Jak to, co? Wlałam tu equal.

— Jak możesz pić takie gówno?

— Oliver, to moja kawa.

Decker uśmiechnął się.

— Chcesz mojej, Scotty? Jest czarna. Może już trochę chłodna, ale czy sta.

—Wrócę do swojej, dzięki. — Wstał i wziął kubek Deckera. — Jak tylko wstanę, piję zawsze świeżą. — Spojrzał na Marge. — Czy ty i te twoje chemikalia chociaż rozgrzewają?

—W każdym razie te moje chemikalia nie powodują kaca.

—Tu masz rację. Chcesz trochę świeżej?

—Jak robisz, to chcę. — Wręczyła mu swój kubek. — Dwie łyżeczki śmietanki w proszku, jedna equalu. Tylko nic nie mów.

Posłał jej znak pokoju.

—Wrócę za moment. — Z kubkami w ręku szedł właśnie do swego biurka, żeby wlać kawę, gdy zadzwonił telefon. Postawił naczynia i chwycił słuchawkę. — Oliver.

—Cześć.

Zawahał się przez chwilę.

—Cześć. — Wiedząc, że poznała jego głos, spytał: — Jak samopoczucie?

—Będę bardzo zadowolona, kiedy ten dzień się skończy.

—A co robisz? — Wyciągnął rękę i spojrział na zegarek. Wpół do jedenastej. — Za wcześnie na lancz.

—Paragraf siódmy: dziesięć minut przerwy.

—Aha, pączki i kawa.

—Tylko kawa — odparła Cindy. — Wszyscy się boją tłuszczu. — Odczekała trochę. — Dzwonię nie w porę?

—Coś w tym rodzaju. — Odwrócił się, spojrział na pokój Deckera. Drzwi były zamknięte. Zdziwił się, czemu się tym tak przejmuje. — Jak tam samopoczucie?

—Jakoś się z tym uporam. Chciałam ci tylko podziękować. Wczoraj byłam w takim stanie, że chyba zapomniałam.

—Nie ma o czym pamiętać.

— Nie, nie mogę zapomnieć, to dla mnie nauczka. Jestem zakłopotana, Scott. Nie tyle dlatego, że byłam wstawiona, ile że próbowałam pojechać. To naprawdę głupio. A co więcej, to rzeczywiście było niebezpieczne.

—Tak, masz rację.

Zaśmiała się do słuchawki. Czuła się lekko i beztrosko.

—Przynajmniej ty byłeś w porządku. Tak czy inaczej, to się już nie powtórzy.

—Wszyscy błądzimy — powiedział łagodnie Oliver. — Jeśli chcesz się uczyć na błędach, to zrobiłaś już pierwszy krok.

—Jeszcze raz ci dziękuję za ratunek. No to cześć.

—Słuchaj, czy ty... nie, nic.

— Nie możesz dokończyć zdania? — nalegała Cindy. — Czy ja... co? Znów się obejrzał.

— Może byśmy o tym porozmawiali przy kawie. Mam tu na głowie mnóstwo facetów u siebie, w Hollywood. Chciałbym ci wyjaśnić parę spraw.

—Jakich?

—Powiem ci to na miejscu.

—Pewnie coś o facetach... —A po chwili: — Albo o mnie.

—Może jedno i drugie.

Cindy westchnęła.

—Nie trudź się, Oliver. Beaudry już mi wytknął moje wady. Zdaje się, że jest ich wiele, i to bardzo różnych.

—Czy powiedział ci, jakie masz zalety?

—Jeszcze ich szuka. — Minęło parę chwil. — To mam jakieś dobre strony?

Jeszcze raz spojrzął na drzwi. Marge je otworzyła z rękami niemo rozpostartymi jak szale wagi, jakby chciała powiedzieć: „No co jest, u diabła?” Wyciągnął w odpowiedzi palec, że chce jeszcze jednej minuty, i zaszeptał:

—Wiesz, nie mogę teraz nic mówić. Słuchaj, ty kończysz o trzeciej, ja o piątej. Podjadę w twoim kierunku. Może w Musso albo u Franka o siódmej?

—Ale na moje konto, Oliver.

—Ja stawiam. — Zobaczył, że Marge pilnie go już wzywa. — Muszę już wracać. Twój ojciec oczekuje moich dobrych rad.

—Nie pozdrawiaj go czasem ode mnie.

—Złotko, do głowy by mi nie wpadło, aby wymienić twoje imię.

Rozdział siódmy

Ruch był niewielki, odkąd ulica została włączona do strefy ograniczającej prędkość poniżej trzydziestu pięciu mil na godzinę. Kłopot sprawiała tylko jakaś ciężarówka, która nie dość, że wlokła się niemiłosiernie powoli, to jeszcze poruszała się zakosami. Był to jeden z tych starych gratów, wielki kawał obłego metalu z kratownicą, na której można by upiec wołu. Tylne światła były odbite, tablica identyfikacyjna zdezaktualizowana, a rura wydechowa buchała dymem. Uszkodzony zderzak wymagał pochromowania. Beaudry wystukał numer tablicy rejestracyjnej do MOT, centrali komputerowej połączonej z wydziałem pojazdów silnikowych. Chwilę później na monitorze ukazały się podstawowe dane dotyczące ciężarówki i jej właściciela.

—Chevrolet 51 — przeczytał na głos Beaudry. — Dobra, to się zgadza. Nie objęty ściganiem. Zarejestrowany na nazwisko Anatol Petru-ke... — Zmrużył oczy i przesylabizował: — Pe-tru-kie-vich.

—Petrukievich — powiedziała Cindy.

—Wygląda na jakiegoś Rosjanina.

—Przypuszczalnie — zgodziła się Cindy. — Kimkolwiek jest, na pewno jest nietrzeźwy. — Włączyła koguta i syrenę. Ciężarówka ani nie zwolniła, ani nie przyspieszyła. Wlokła się dalej z prędkością ślimaka.

Beaudry wyjął megafon.

—Zjedź swym pojazdem na bok!

—Graham, czy ty naprawdę myślisz, że on rozumie słowo „pojazd”?

—Dostał polecenie. — Odczekali parę sekund. — Zwalnia?

—Przy szybkości siedmiu mil na godzinę trudno to ocenić.

— Czekała trochę. — Tak, kieruje się do krawężnika.

—Widzisz, wie, co znaczy słowo pojazd.

—Może to z racji migających świateł i syreny.

— Jesteś jak zgorzkniała ofiara. To co, orzeł czy reszka, Decker?

—Reszka.

Podrzucił monetę, złapał ją dłonią i pokazał jej ćwierćdolarówkę. George Washington uśmiechał się do niej z wyższością.

— Wyszło na moje, więc ty podchodzisz do kierowcy — powiedział Beaudry.

— Zawsze mam takie szczęście. — Powiodła wokół oczyma.

— A komu jeszcze potrzebne jest szczęście? Dobry policjant ma szczęście, prawda?

— Mów, co chcesz, Decker.

Cindy zaparkowała za tablicą rejestracyjną dinozaura i wysiadła, zostawiając na wszelki wypadek otwarte drzwi. Odczekała chwilę, by upewnić się, czy kierowca nie ruszy.

Nie ruszył, przynajmniej jak dotąd.

Rozpięła kaburę. Ostrożnie, z rękami na biodrach, zaczęła się zbliżać, podchodząc do wozu od lewej strony. Kabina kierowcy była wylepiona wprasowanymi reklamówkami, tłusty napis głosił: MALOWANIE Z GÓRNEJ PÓŁKI. Pod spodem uśmiechał się pędzel. Numer telefonu hollywoodzkiej centrali. Mr Petrukovich był stąd. A przynajmniej jego firma.

Ręka spoczywała na broni, oczy w stanie najwyższej uwagi. W chwili gdy znalazła się pod szybą kierowcy, drzwi zaczęły się otwierać.

— Proszę zostać wewnątrz wozu! — powiedziała zdecydowanym głosem.

Zignorował to albo jej nie zrozumiał, bo drzwi się otworzyły i na ziemi znalazła się para stóp. Była już przygotowana na najgorsze. Stał nad nią jak góra. Był nie tylko wysoki, ale i zwałisty. Wielki i grubo kościsty facet. Jak jej tatko.

— Proszę zostać tam, gdzie pan jest — rozkazała.

Zesztywniał, jego twarz wyrażała zakłopotanie. Cerę miał bladoróżową, z wyjątkiem nosa, który przypominał ogromną truskawkę. Proste włosy w odcieniu bursztynu szesane były na czoło, zakrywając łysinkę. Miał rzadką i jasną brodę. Zalatywało od niego gorzałą.

Spojrzała na odwody, ale wyglądało na to, że Beaudry ma swoje kłopoty. Okazało się, że ciężarówka miała też pasażera równie wielkiego jak jej

kierowca. I chyba równie pijanego, bo chód pana pasażera był dość chwiejny. Graham próbował mu pomóc w utrzymaniu postawy pionowej.

Kierowca ciężarówki zakołysał się na nogach.

— Nic nie zrobić. — Potrząsał żywo głową, włosy opadały mu na oczy.

Cindy stała pewnie i wyrażała się jasno.

— Proszę zawrócić do wozu.

Musiał pewnie zrozumieć: odwrócić, bo zmarszczył brwi, okręcił się na pięcie i pokazał Cindy swój zadek.

— Nie! — wyjaśniła Cindy. — Nie odwrócić się, lecz zawrócić do wozu. Do wozu! Obróć się... — Wprawiła swój wskazujący palec w ruch wirowy. Mężczyzna zaczął obracać się w kółko.

— O to chodzi?

Był narąbany jak wór, ale się nie stawiał. O jego powrocie do wozu lepiej było zapomnieć. Położyła rękę na jego zwalistych plecach, żeby zatrzymać te obroty. Zatoczył się do przodu, ale głowa wciąż mu chodziła na boki. Zataczając się, próbował znaleźć oparcie dla swego niepewnego ciała, czepiając się rękoma maski wozu. Jakby naraz nastąpiła zmiana konwencji i to, co się działo, obracało się w komedię bulwarową. To było na teraz, bo w każdej chwili ten uwalony hipcio mógł się stać bardzo niemiły.

— Proszę mi pokazać pańskie prawo jazdy — zażądała z rezerwą Cindy.

Facet usiłował odzyskać kontakt wzrokowy; niestety, próby te pozostawały daremne.

— Prawo jazdy proszę. — Uciekła się do gestykulacji, żeby mu wytłumaczyć, o co chodzi. Odpowiadało jej tylko jego puste spojrzenie.

Zwróciła się do Beaudry'ego: — Czy ten twój facio mówi po angielsku?

— Nie sądzę — odparł Beaudry. — Ale za to ma dobre uzębienie. Zauważyłem to, bo stale się uśmiecha.

Cindy przyjrzała się swemu ciężarowi. Krzepki, tak, to odpowiednie słowo. Nie na darmo maskotką dawnego ZSRR był niedźwiedź.

— Twoje prawo jazdy. — Kręciła wyimaginowaną kierownicą. — No, jazda.

Człowiek przytaknął.

— *Da*. — Wskazał na swą ciężarówkę.

Nie kapował.

— Prawo — powtórzyła głośniejszym głosem Cindy. Jak gdyby zdzierając sobie struny głosowe, mogła poprawić jego angielszczyznę. — Prawo.

— Prawo — powtórzył.

Wydarła się:

— Beaudry, proszę mi podać alkomet. — Pomyślała, że jeśli był w niezgodzie z prawem, nie musi wcale oglądać jego prawa. Powinna go z miejsca zatrzymać.

— Ubezpieczam cię stamtąd. Zrób mu tylko doraźny test trzeźwości.

Zrozumiała, że Beaudry nie zostawi jej samej z dwoma pijanymi w sztok olbrzymami. No pewnie, mogła poddać kierowcę prostemu sprawdzianowi trzeźwości. To mogła zaimprovizować.

— Czy nazywasz się Anatol Petrukievich? — spytała.

Zademonstrował natychmiast szeroki uśmiech.

— *Da!* — Powtórzył to: — *Ta!* — Wytrysnął zeń bełkotliwy potok obcych słów, orację zakończył wspaniałym uśmiechem. Też się uśmiechnęła. Zaczął się szczerzyć jak uczeń.

Świetnie. Byli teraz kumplami.

— Spójrz tu, Anatol — powiedziała. Gdy wymieniła to imię, zobaczyła, jak jego oczy kierują się na nią. Znowu ten głupawy uśmiech. — Spójrz na moją nogę. Widzisz, co robię? — Stała na prawej nodze i uniosła lewą trzy cale nad ziemią. Policzyła głośno do dziesięciu. — Ty! Anatol! Anatol to robisz, zgoda? Robisz to. *Capische?*

Gapił się na nią jak wół na malowane wrota.

Nie bez racji, bo *capische* to przecież włoskie słowo. Zmieniła teraz nogę i zaczęła powolne wyliczanie, ponownie osiągając dziesięć. Wskazała gestem na jego klatkę piersiową.

— Teraz ty spróbuj!

—*Da!* — Podjął wyzwanie i spróbował utrzymać się na swej prawej nodze. Zachwiał się, gdy lewa stopa straciła kontakt z podłożem. Zaczerwienił się, spróbował jeszcze raz i znowu mu się nie udało. Najwidoczniej mózdzek tego faceta nie funkcjonował jak należy. Odezwał się do niej po rosyjsku. Wywnioskowała z jego tonu, że ją przeprosza.

—No tak. — Usłyszała swój własny głos.

—Tak? — Promiennie się uśmiechnął.

— Nie, nie tak. — Potrząsnęła głową. — Nie tak, tylko... zrób to! — Wyciągnęła przed siebie ręce i zwinęła palce w pięści, wystawiając tylko palec wskazujący. Zgięła teraz łokieć i zbliżyła czubek palca do swego nosa. — Zrób to, Anatol, teraz ty. Ty!

Kiwnął głową, ale się nie ruszył.

Próbowała go rozruszać, unosząc jego prawą rękę do barku i zostawiając wyciągniętą. Na próżno, bo gdy tylko go puszczała, ramię opadało mu do boku.

Na razie wciąż zasługiwał na ocenę niedostateczną. Ale test mogła utrudnić bariera językowa. Cindy miała w pamięci swą szkołę podstawową i chciała bardziej obiektywnych przesłanek, nim zdecyduje się go zatrzymać. Okręciła go łagodnie, tak by stanął twarzą do boku chevroleta. Ujęła go za rękę i ułożyła je dłońmi w dół, na dachu wozu. Następnie wykręciła mu je do tyłu i jednym sprawnym ruchem zatrzasnęła kajdanki.

Żadnego oporu.

Wielki i pijany, prawda, ale jaki przy tym szczęśliwy!

Ostrożnie poprowadziła go w kierunku wozu patrolowego, nogi wlokły mu się po ziemi, gdy wreszcie dotarli na miejsce.

Chwiał się i zataczał przy każdym kroku. Cindy musiała go wciąż podpieierać. Misio był ciężkim facetem przez wielkie C. Przeciągnęła rękę pod kajdankami, usiłując go utrzymać w pozycji wyprostowanej. Nie na wiele to jednak się zdało, sama miotła się od jednej strony do drugiej przy tym olbrzymie, wyglądającym jak monstrualny, nawalony krab. Znaleźli się przy wozie.

— Teraz spokojnie, Anatol. — Otworzyła tylne drzwi i nadała mu pozycję lekko zgiętą. — Wejdz! — Popchnęła go lekko. — Włóż! — Przygięła mu głowę, by nie zawadził czaszką o sufit. Sukces był połowiczny, bo choć głowa i reszta ciała Anatola znalazły się w wozie, buty dyndały mu gdzieś koło krawężnika.

Wyciągnęła palec wskazujący i przykazała mu:

—Poczekaj tu!

Anatol wyszczerzył się. Nawet w najmniejszym stopniu nie był zaniepokojony rozwojem sytuacji. Cindy wyciągnęła alkomat z kufra. Na widok tego urządzenia oczy Rosjanina zdradziły błysk orientacji. Bez dalszych instrukcji zdjął papier ochronny i dmuchnął do wężyka powietrzem o takiej zawartości alkoholu, która powaliłaby nosorożca.

— No, no! — odezwała się. — Mamy tu całkiem niezły wynik. Jest pan pijany.

Anatol uśmiechnął się szeroko i pokazał charakterystyczny gest, zostawiając cal miejsca między kciukiem a palcem wskazującym.

—Taki duży wódka.

Cindy rozwarła ręce.

—Trochę więcej niż duża wódka.

Anatol zaśmiał się.

— Czy masz coś takiego? — Cindy sięgnęła do własnej torebki i pokazała swe prawo jazdy.

Anatol potrząsnął głową.

—Nie ma.

— No to sprawa jest prosta. — Nachyliła się, zdjęła mu pochłapane farbą buty wielkości małej łódki i wrzuciła je do wozu.

Zamknęła za sobą drzwi. — Oficerze Beaudry, mam go tu skutego i gotowego do drogi — zawołała.

—Już idę. — Kiedy zaczął podchodzić do wozu patrolowego, ten drugi pijany Rosjanin trzymał się tuż za nim.

—Nie, ty zostań tu. — Beaudry zwrócił się ku niemu. Wskazał na opuszczoną ciężarówkę. — Siadaj. Szukaj adwokata dla twego przyjacie-

la. — Beaudry zasignalizował gestem rozmowę przez telefon, a potem wskazał na Petrukiewicha. — Zadzwoń po pomoc dla przyjaciela. Jędziemy do więzienia.

Zdumienie w oczach.

—Do więzienia?

—Taa, do więzienia.

Cindy obserwowała, jak Beaudry próbuje przedstawić mimicznie to miejsce. Nie był Cagneyem, ale w końcu mu się udało.

— Aha! — Pijany pasażer uśmiechnął się. Wsiadł do ciężarówki, głowa opadła mu do tyłu, oczy się zamknęły. Zwalił się na koję i zachrapał.

—A jego nie zatrzymamy? — spytała Cindy.

—Niby dlaczego? Że śpi? Proszę bardzo!

Tylne siedzenie było odgrodzone metalową siatką, Anatol zaś był skuty, więc mogli zostawić go tam samego.

Cindy uruchomiła silnik i ujęła gałkę automatycznej skrzyni biegów. Coś ją połaskotało. Do spoconej dłoni przylepiła się jej mała żółta kartka. Oderwała ją od skóry. Na „przypominajce” figurowało tylko jedno słowo: PAMIĘTAJ — drukowane litery wypisano czarnym flamastrem. Wilgoć jej dłoni sprawiła, że słowo zaczęło się rozmazywać. Pokazała to Beaudry'emu.

—Czy ty to zostawiłeś?

Spojrzał na karteluszek.

—Nie.

—Ja też nie.

Beaudry wzruszył ramionami.

—Skąd się to wzięło?

—Ruch był bardzo mały, myślę, że to przywiało z drogi.

—Mówię serio.

—A skąd, u diabła, mogę wiedzieć, Decker? Może położyłaś to tam i zapomniałaś. — Uśmiechnął się. — Może właśnie dlatego wypisali: pamiętaj.

—Bardzo zabawne.

—Może wrzucili to faceci z serwisu.

—Zauważyłabym to, kiedy wyprowadzałam samochód z parkingu. Na pewno bym to spostrzegła, podjeżdżając do Mr Petrukiewicha. Jesteś pewny, że to nie ty to zostawiłeś?

— Tak, jestem tego pewny. Takich rzeczy nie zapominam. Była zaniepokojona, ale nic nie mówiła. Spojrzała na tę karteczkę.

— Decker, jest późno. Jestem zmęczony. Daj spokój. Jedźmy. Zgniotła tajemniczą wiadomość. Przeszła dźwignię na jazdę, zwolniła ręczny hamulec i ruszyła. Beaudry powiadomił o aresztowaniu i podał orientacyjny czas dotarcia do posterunku.

Pamiętaj.

Próbowała wymazać to z pamięci.

—Jak myślisz, na kiedy wyznaczą proces naszego przyjaciela?

—Co mamy na niego?

—Nieostrożna jazda, jazda po pijanemu przy poziomie alkoholu powyżej dwóch punktów i prowadzenie pojazdu bez prawa jazdy.

—To zajmie z godzinę.

—Kryminał!

—Dlaczego? Masz coś w planie?

—Zaraz potem.

—Mam nadzieję, że masz trochę czasu, bo jeśli nasza izba zatrzymań jest pełna, powinniśmy go odstawić do Parker Center albo innego miejsca, gdzie będą mogli się nim opiekować. A to może trochę potrwać.

—Graham, jest wpół do czwartej po południu. Ilu pijanych może być o tej porze?

—Mnóstwo ludzi upija się właśnie w tej chwili, Cin. Dla nich koktajl zaczyna się zaraz po telenoweli.

*

Cindy, owinięta w biały ręcznik frotte, zajrzała do swej szafki na ubrania. Było jeszcze za wcześnie, żeby nosić lekkie rzeczy, a przy tym trochę chłodno za oknem. Nie znalazła tam jednak żadnej cieplejszej wełenki. Miała do wyboru parę możliwości.

Możliwość pierwsza: średnia, gabardynowa suknia bez rękawów. Owszem, dobra na kolację, ale zbyt seksy na spotkania z szefem, nie mówiąc już o facecie, który pracował z jej ojcem. Oczywiście, mogła na to włożyć swój czarny blezer. To by ją trochę stonowało. Tyle że blezer wpadał w błękitną czerń, a sukienka była zielonkawoczarna. Nigdy nie mogła tego pojąć, dlaczego czerń może przybierać tak różne odcienie.

Możliwość druga: oliwkoszary kostium, świetnie harmonizujący z jej czerwonymi włosami. Choć było to może nazbyt wojskowe w stylu, z mnóstwem cekinów i epoletów. Trzeba mieć odpowiedni nastrój na to, by coś takiego nosić. A dziś wieczór nie chciała wyglądać jak żołnierka służby kobiecej.

Możliwość trzecia: tylko to jej zostało. Jednorzędowy kostium marynarski — dobrze uwydatniający jej biodra, ale zbyt ciasny w pośladkach, żadnego dekoltu. Zdawał się mówić: „Jestem tak zajęta, że nawet nie mam czasu o tym pomyśleć”. Może nawet nie byłoby to głupie. Mogła na to narzucić chustę.

Tylko że nie cierpiała chustek.

Zdarzały się kobiety, którym było w tym do twarzy, okrywały sobie beztrąsko ramiona, tak się je nosi w Meksyku, lub pozwalały, by wiatr powiewał chustą wokół szyi. Tylko że jej, cholera, nigdy jakoś nie udało się fantazyjnie tego zawiązać. Te wszystkie chusty i szale wyglądały na niej raczej jak kaptury przeciwdeszczowe niż stylowe dodatki. A poza tym, przy swoich czerwonych puklach musiała uważać na wszelkie kolorowe dodatki.

Zdjęła z drążka szafy swój dziewczęcy kostium; to powinno wystarczyć. Włożyła jeszcze tylko złoty łańcuch na szyję i złote kolczyki. Tu nic nie mogło się wydać niestosowne. Nie, żeby sądziła, że Scott miał ja-

kieś upodobania, ale faceci to faceci. Nawet starzy faceci to jednak nadal faceci.

Zdjęła ręcznik, by włożyć bieliznę. Potem spodnie, pasowały świetnie, było nawet jeszcze trochę luzu. Znakomicie, a to dopiero niespodzianka!

Wsunęła ramiona w rękawy kurtki i zaczęła się zapinać. O dziwo, nie miała z tym żadnych trudności. Zdjęła blezer i spojrzała na siebie w lustrze. Same piersi nie były większe, choć mięśnie klatki piersiowej trochę się rozrosły. Ramiona również się poszerzyły.

Zastanowiło ją, czemu dotąd tego nie zauważyła. Może dlatego, że nie była strojnisią. Przyglądała się sobie tylko wówczas, gdy zachodziła taka potrzeba, to znaczy przed randkami. A to nie zdarzało się jej zbyt często. Nie, żeby to spotkanie ze Scottem było od razu randką, ale w końcu to wyjściowa kolacja z mężczyzną, który nie był jej krewnym. Zmiany w swym wyglądzie fizycznym mogła przypisać podnoszeniu ciężarków i ćwiczeniom obejmującym codzienne przebieżki na trzy mile, pięćdziesiąt pompek i ze dwieście skłonów.

Także blezer uwydatniał jej figurę. Tylko bez przesadnych zachwyków! Nie mogła go dopiąć. A przecież trzeba było jeszcze coś włożyć pod spód. Mogłaby naciągnąć na siebie bluzkę. Wtedy mogłaby zostawić sweter. Większość z tych rzeczy była chyba zbyt zgrzebna i przypadkowa, żeby je wkładać do kostiumu. No może jeszcze ten golfik w czarne prążki.

Tylko czy czarne pasuje do marynarskiego kostiumu?

„No tak”, pomyślała. Przeklinała to swoje żalosne wyczucie stylu. Gdybyż jeszcze miała matkę, która znała się na takich rzeczach. Matkę, która by wiedziała, jak wiązać chustkę, jak zharmonizować ze sobą te oddzielne fatałaszkę i jaki do tego dobrać odcień szminki.

Jej matka znała się na tym równie słabo jak ona sama. Stroje mamy składały się głównie z bawełnianych kaftanów lub wiejskich bluz do marszczonych spódnic. A jej kosztowności to niewyszukane srebrzysto-turkusowe naszyjniki z paciorków, noszone na Południowym Zachodzie. Cindy nigdy nie mogła tego pojąć, dlaczego jej matka, mając piękną i

szczupłą figurę, ubierała się tak pospolicie i byle jak. A gdy liznęła już trochę psychologii, powiedziała kiedyś swej matce, że noszenie luźnych rzeczy ma wiele wspólnego z odmową kształtowania swej roli płciowej. Matka zaś, całkiem niezłe już obkuta w psychologii, odparła na to, że kocha seks tak jak piękno („Jeśli potrzebujesz potwierdzenia, zapytaj o to swego ojca, tak, to prawda!”), a jej wybór wynika głównie z wygody.

Włożyła więc golfik. Był ciasny, ale nadawał się w sam raz. Blezer nieco łagodził kształty jej sterczącego biustu. Na średnim obcasie miała nie więcej niż metr siedemdziesiąt osiem wzrostu na sześćdziesiąt sześć kilo wagi. Przejrzała się w lustrze. Brak jej jeszcze tylko ciemnych okularów i skrzeczącego nadajnika, by wyglądała jak fedałka.

Nałożyła nieco różu na policzki i potarła usta czymś lepkiem i błyszczącym. Związała w węzeł swe spływające na ramiona pukle, resztę spięła klamrą w kształcie motyla. Założyła pasek torebki na ramię i wyszła z sypialni. Już miała zamknąć za sobą drzwi, gdy obrzuciła pokój ostatnim spojrzeniem.

Jej oczy spoczęły na gzymsie kominka, chwilę dłużej niż było trzeba.

Coś zwróciło jej uwagę.

Podeszła do kominka i przyjrzała się bibelotom umieszczonym wysoko na półeczce. Stał tam wazonik na pączki kwiatowe, zatopiony w kryształach zegarek Waterford (dar urodzinowy jej macochy, Riny), tuzin miniaturowych zwierzątek z porcelany (jej kolekcja z dzieciństwa) i parę zdjęć rodziców w srebrnych ramkach.

To było to!

Brakowało zdjęcia Hannah. Oczy Cindy błędziły po całym pomieszczeniu, póki nie spoczęły na stoliku do kawy. Stało tam zdjęcie jej sześćioletniej przyrodniej siostrzyczki, z psotnym uśmiechem przyklejonym do jej małej buzi. Podniosła srebrną ramkę i postawiła zdjęcie na swoim miejscu.

Skąd się to wzięło na stoliku do kawy? Przecież nie dotykała zdjęcia, od czasu gdy postawiła je na kominku.

A może je przestawiła podczas ostatniego odkurzenia?

Na Boga, kiedy ostatnio tu odkurzała?

Na zegarze było za dwadzieścia siódma. Nawet jeśli ruch będzie mały, ledwo zdąży do lokalu.

Zajmie się tym później. Zamknęła starannie drzwi, ciągnąc jeszcze za klamkę, aby się upewnić, że zamek zaskoczył, i szybko wypadła na schody, przesadzając po trzy stopnie na raz.

Może to Oliver przesunął zdjęcie poprzedniego wieczoru. Po prostu mógł podejść do kominka, podniósł je i przeszedł z nim parę kroków, czekając na nią. A potem, kiedy wrócił, zapomniał, gdzie leżało.

Przecież to by nie miało sensu. Wszystko, co mógł zrobić, to spojrzeć na kominek i zobaczyć, że są tam jakieś zdjęcia.

Rozejrzała się, obejrzała przez ramię i otworzyła wóz. Wślizgnęła się na siedzenie kierowcy i zatrzasnęła drzwi. Spojrzała jeszcze raz wokół, zanim uruchomiła silnik.

Może Oliver przeszedł z tym parę kroków, a potem, gdy weszła do pokoju, szybko to odstawił. Może nie chciał, by złapała go na tym, że przegląda jej osobiste rzeczy.

To by miało jakiś sens.

Wiesz, jak to jest, kiedy jest się samemu w obcym miejscu. Człowiek się czuje dziwnie i zaczyna dotykać rzeczy, których inaczej nigdy by nie dotknął. A potem ktoś wchodzi, a ty nie chcesz, żeby ta osoba widziała, że szperasz w jej rzeczach.

Zapaliła silnik, pottrzymała trochę na jałowym biegu i ruszyła. Minęła przecznicę i spojrzała w tylne lustro. Miała wolną drogę przed sobą i pusto z tyłu.

„To na pewno było to. Oliver musiał to poruszyć”.

Zapyta go o to... jak tylko podejdzie do stolika.

Rozdział ósmy

Gdy podchodziła do stolika, ujrzała, że Oliver wstaje. Jak tatko, Scott był człowiekiem starej szkoły, który otwiera drzwi przed damą i odstawia krzesła, by mogła przejść. Jakże to było niepodobne do obyczajów jej pokolenia, gdzie każdy działał na własną rękę — co dobre do samodzielności, złe dla manier.

Dobrze się prezentował. Jego strój był nie tylko bardziej elegancki od tego, który nosił wczoraj, ale i mniej wyszukany. Włożył marynarkę z wielbłądziej wełny do kremowej koszuli i czarne jak węgiel spodnie. Wyciągnął do niej rękę, a Cindy podała mu swoją. Jednak zamiast ją uścisnąć, zrobił krok do przodu i pochylając się nad rogiem stołu, musnął lekko dłonią jej policzek. Jednym krótkim spojrzeniem zlustrował jej wygląd.

—Ślicznie wyglądasz.

—Dzięki. Ty też.

—Ja ślicznie wyglądam?

—No, mam na myśli, że fajnie. Fajnie wyglądasz.

—To w sam raz. Ale może być, jak chcesz. Siadajmy.

Cindy precyzyjnie się między blatem stolika a wyściełaną czerwona skórą ławą, dzielącą ją od Olivera. Sam stolik był z innej epoki, umieszczone na wierzchu linoleum nadawało mu wygląd marmuru. Był tak mały, że ich kolana się stykały. Udało się jej trochę odsunąć. Jeśli nawet Scott to dostrzegł, nic nie powiedział.

Lokal był głośny jeszcze od czasów, gdy Hollywood słynęło chińskim teatrem Graumana i ścianą chwały w miejsce hałaśliwych salonów i przybytków tatuażu. Jego wystrój można by chyba najlepiej porównać do wnętrza domku myśliwskiego, z podpartym belkami sklepieniem, surową drewnianą sztukaterią i sztychami przedstawiającymi sceny myśliwskie pełne jeleni, zajęcy i psów. Poniżej tych obrazów biegły listwy z ciemnego drewna. Stare, dobre drewno. Przez całą długość pomieszczenia biegł lustrzany bar, specjalnością domu było wytrawne martini z oliwką, lub —jeśli ktoś był szczególnie wymagający— z perłową cebul-

ką. Pikolaki w zielonych marynarkach i z nieodłącznymi uśmiechami na gębie nalały im wodę i podały chleb. Kelner w czerwonej marynarce i z nieprzystętnym wyglądem wręczył im menu i spytał, co podać do picia.

— Wino do kolacji? — spytał Cindy Oliver.

— Może być. — Zajrzała do swej karty. Są jakieś specjalności menu? Kelner odniósł się do niej z podejrzliwością.

— Menu drukowane jest codziennie.

— Ach, tak. — Cindy rzuciła okiem na kartę dnia. — Ma pan to wszystko, co tu wypisano?

— Nie ma tylko langusty z makaronem, omletu zachodniego i kremu z homara.

— To czemu tu w karcie jest langusta z makaronem, skoro nie może pan tego podać?

Kelner spojrzał na nią.

— Czy życzy pani sobie przedyskutować to z właścicielem?

— Niespecjalnie.

— Czy ma pani już gotowe zamówienie?

Menu było szczegółowe, a druk bardzo mały.

— Jeszcze się zastanawiam.

Kelner okręcił się na pięcie i odszedł.

— Myślisz, że jeszcze go zobaczymy? — spytała Olivera.

— Jeśli nadal będziesz dla niego tak surowa, to nie wiem.

Wzruszyła ramionami.

— Zadałam mu tylko proste pytanie.

— Pewnie masz z tego wiele zabawy. — Zajrzał jej w twarz.

— Nie pamiętam, żeby mój ojciec kiedyś się skarżył — uśmiechnęła się.

— Może nie tobie.

— A co? Czy tobie coś mówił?

Ton jej głosu zaskoczył Olivera.

—Nie. Po prostu sobie rozmawiamy. Czy ktoś ci dzisiaj załazł za skórę, Decker?

—Nie... chyba że miałbyś na myśli tego pijanego rosyjskiego kierowcę, którego zatrzymałam po południu.

Nadstawił ucha.

—Jak ci z tym poszło?

—Podsypiał ciężko nawalony w wielkim żółtym drogowym, gdy się na niego natknęłam. Chyba mi się udało ocalić społeczeństwo i siebie. — Zamilkła. — Nie-e, wszystko idzie jak najlepiej. — Wzruszyła ramionami. — Prawie wszystko.

Oliver odłożył kartę potraw i przyjrzał się jej.

—Jesteś jakaś spięta... zdradza to nawet sposób siedzenia.

—Wcale nie jestem spięta. — Rozluźniła się nagle, jakby chcąc to udowodnić. — Może mięśnie trochę mi zeszywniały. Miałam ostatnio dużo dodatkowego materiału do drukowania. No wiesz, siedzisz nad klawiaturą bez lędźwiowego podparcia... Nasza sekcja nie ma do tego ergonomicznego podejścia.

—A co takiego pisałaś?

—Raporty spraw. Trzeba im nadać pewien kształt, a to kosztuje. Wiesz, jak się robi wydruki, musisz się upewnić, czy wszystko mieści się w wierszu i czy jakiś wyraz nie wystaje. Myślałam, że gorący prysznic trochę mi pomoże. Istotnie, pomógł, ale tylko na krótko.

—To aż tyle tych raportów musiałaś wydrukować?

Odłożyła menu. Natychmiast pojawił się kelner.

—Zdecydowała się już pani?

W jej uszach zabrzmiało to tak, jakby powiedział: „Zdecydowała się pani już odejść, prawda?”

—Tak, dziękuję. Wzięłabym płastugę. Czy to... nigdy tego nie pamiętam.

—Jeśli ma pani jakieś pytanie, proszę je śmiało zadać. Mogę się uśmiechać, ale nie gryzę.

—Jak to się robi? — uśmiechnęła się.

—Lekko się panieruje i smaży na patelni — cierpliwie wyjaśniał kelner. — Podaje się z gotowanymi ziemniakami. Jeśli woli pani frytki, mogą przygotować.

—Frytki, jak najbardziej. — Wręczyła mu kartę. — Dzięki.

—Witamy u nas. — Kelner spojrzał teraz na Olivera. — Co dla pana? Oliver zwrócił kartę.

—Krewetki i butelka najlepszego Chardonnay.

—Caesar na dwie osoby na początek?

—Ujdzie.

Kelner oddalił się bez zbędnych ceremonii.

—Napluje nam do dania? — szepnęła Cindy.

—Ee, chyba nie.

—Czy byłam już grzeczna?

—Tym razem wyszło trochę lepiej — uśmiechnął się. — Po co drukujesz aż tyle raportów?

—To przez grzeczność. — Cindy spojrzała w sufit. — Próbuję się wymigać z karnej listy sierżanta Troppera, poprawiając jego raporty. To dla niego najgorsza praca domowa.

—Tropper? — Oliver pomyślał przez chwilę. — Chyba musiał być już po moim odejściu. Co takiego zrobiłaś, żeby się dostać na tę główną listę?

—Rozumiesz, co to znaczy mieć obok siebie kobietę po college'u? Dobra, miałam czelność, by sobie fachowo poradzić w dość napiętej sytuacji. — Najeżyła się.

Oliver uniósł brwi.

—W sekcji lubią pracę zespołową, Cindy.

—Więc zrobiłam krok przed orkiestrę i...

Urwała nagle, widząc kelnera w czerwonym kubraczku zbliżającego się z butelką wina i dwiema porcjami sałaty caesar. Postawił przed nimi talerze, otworzył wino, nalał je i dał skosztować Oliverowi. Scott zabełtał zawartością kieliszka, powąchał i spróbował.

—Dobre.

Kelner posłusznie napełnił dwa kieliszki, a butelkę umieścił w koszyku z lodem.

—Czy do sałaty podać mielony pieprz?

—Oczywiście — zgodziła się Cindy.

Kelner przyniósł młynek do pieprzu i postawił go z rozmachem przed Cindy.

— Proszę się obsłużyć. — I zniknął.

Doprawiła sałatę pokąsną szczyptą pieprzu.

—Ten facet mnie nie lubi. Może to z powodu moich rudych włosów.

—Może to jego ogólna postawa, jaką przyjmuje wobec innych.

—No wiesz! — Włożyła sobie do ust listek sałaty i powoli zaczęła go przeżuwać. — Normalnie już bym się zdenerwowała. Ale szkoda na to tego jedzenia. Jest naprawdę bardzo dobre. Napięcie nie jest dobre na trawienie.

—Masz rację. — Oliver wzniosł swój kieliszek.

Stuknęli się szkłem.

—To za co? Żebym była dobrym członkiem zespołu?

—A nie za to, żebyś się czuła bezpiecznie?

Upiła łyk.

—Bezpieczna od przestępców czy od swoich kolegów w pracy? Chodzi ci o jakieś szczegóły?

—Pilnuj własnej dupy.

—Trudno za tobą nadażyć, Scott.

—Mówię całkiem serio, Cindy. Musisz oglądać się za siebie teraz i w ogóle. Jesteś zbyt czupurna. Nie wiem, czy to wypływa z braku doświadczenia, z tego, że jesteś wykształcona, z pozycji twego tatusia, a może po prostu z twojej żywej osobowości. Musisz być bardziej świadoma samej siebie. A co ważniejsze, musisz się orientować, jak twoja postawa wpływa na kolegów. Gdy znajdziesz się tam, na ulicy, twoje życie może zależeć od każdego z nich.

—Sama się pilnuję.

—Słuchaj, popełniasz wielki błąd. I bardzo niebezpieczny. — Zniżył głos i przysunął się bliżej. — Nie zdołasz obronić się sama. Nie ty jedna,

tego nikt nie potrafi. Każdy musi się oglądać na kogoś innego. Służba w policji jest sportem zespołowym, moja droga. Jeśli tak ci odpowiada działalność na własną rękę, powinnaś zostać szpiegiem.

—Wiesz, to jest pomysł. Tylko że nie lubię ciemnych okularów.

—Masz na wszystko szybką odpowiedź. Byle odbić piłeczkę. — Usiadł. — Tylko, widzisz, te twoje riposty są diabła warte wobec kalibru .357, czy nawet .22, jeśli mam być szczery.

—Wiesz, Oliver, nawet gdybym się spodziewała pomocy ze strony swoich kolegów, mogliby mi jej wcale nie udzielić. Więc na jaką cholere miałabym na to czekać? — Odłożyła widelec z porcją sałaty. — A te wszystkie nędzne i chore rytuały, przez które kobiety muszą przejść. Odnoszą się do mnie, jakbym była jakąś żalostną pomyłką losu. Weźmy to, co się działo wczoraj. Próbowalam powstrzymać tę szaloną Latynoskę... czy myślisz, że któryś z tych chłopców kiwnął choćby palcem, żeby mi pomóc? — Potrząsnęła głową. — Człowieku, bardzo bym chciała mieć kobietę za partnerkę, tak by cała ta rywalizacja nie wchodziła tu w grę.

—Więc chodzi ci o twego partnera?

Pociągnęła tęgi łyk chardonnay.

—Nie, Beaudry to nie jest zły facet.

—Więc o co się tak wściekasz?

—Wcale się nie wściekam! Powiedziałam tylko... lepiej o tym zapomnij. — Porzuciła sałatę, dźgając nożem wystającą z półmiska grzanekę. — Mówiłam o pracy tylko dlatego, że mnie o to pytałeś. Normalnie trzymam gębę na kłódkę i robię swoje. Ale jeśli nikt mi nie ufa, to co mogę zdziałać?

—Jesteś tylko żółtodzióbem, Cin. Nie możesz tak sobie wszystkiego olewać.

—Jestem tu już jedenaście miesięcy. To kawał czasu. — Uśmiechnęła się, ale wciąż była spięta. — Więc może mi powiesz, o co biega.

—Najpierw ty mi powiedz, dlaczego sądzisz, że chłopcy ci nie ufają.

—Wiele na to wskazuje. — Upiła trochę wina. — Począwszy od tego, że nie mogą się przyzwyczaić do mego kostiumu.

—Dobra, Może masz rację. Chłopcy zawsze będą próbować, to normalne. Dopiero kiedy zobaczą, że dajesz sobie z tym radę, dadzą ci spokój.

—Mam nadzieję, że się nie mylisz.

—A jak ci się układa z kobietami?

— Jeszcze nie byłam na żadnym spotkaniu z policjantkami. Zbyt byłam zajęta. Ale może powinnam.

— Może powinnaś.

Westchnęła.

—Nawet te kobiety, które znam... widzę to w ich oczach. Patrzą na mnie podejrzliwie, bo przyszłam z college'u.

—Więc powiadasz, że nie masz żadnych przyjaciół? Wczoraj mi się zdawało, że byłaś w nastroju całkiem towarzyskim. Owszem, wstawiona, ale w towarzystwie. Czy zdarzyło się coś, o czym nie wiem?

—Nie, wczoraj było wszystko w porządku. Hayley jest świetna, naprawdę. Tak, myślę, że ona jest świetna. — Zwróciła się do Scotta. — A co tam zaszło między wami? — Nie było odpowiedzi. Uśmiechnęła się promiennie. — To chyba mogę zgadnąć, że nic.

—Trafiłaś.

Nalała sobie następny kieliszek.

—Zawsze wolę poczekać na szczegóły z drugiej strony.

—Rozmawiamy tu o pewnych oczywistościach, a nie na temat mojego zdania.

—Rozumiem.

—Jesteś bystra...

—Mogłabym ci powiedzieć, że...

—Zamknij się, Decker, i słuchaj. Jesteś bystra, w gorącej wodzie kąpana i co ważniejsze, szybko się ruszasz. Nieźle sobie radzisz z całą masą spraw. Jesteś spokojna, budzisz poczucie bezpieczeństwa — nie, nie chodzi mi o twoją twarz, ale nie przerywaj mi. Masz niezłą sprawność fi-

zyczną i jesteś dość silna jak na kobietę...

—Tak mówisz...

—Można na tobie polegać, nie spóźniasz się i wygląda na to, że nie masz jakichś paskudnych wad. Mogłabyś to wszystko powtórzyć swemu tatusiowi. — Przyjrzał się jej. — Słyszałem to i owo, owszem. Ale słyszę też co innego.

Poczuła skurcz żołądka. Chciała odeprzeć zarzuty tego zaro-zumiałego pyszałka, ale słowa uwięzły jej w gardle.

—Wal dalej.

—Twoje kłopoty nie rodzą się na zewnątrz; mówisz sobie: „Powinnam mieć lepszą pozycję na komendzie”. Zadzierasz nosa, Decker. Jak powtarzała moja babcia, wyżej pępka nie podskoczysz.

—Do twojej wiadomości: byłam bardzo dobrze widziana w college'u.

—Tak, Decker, tylko że widzisz, już nie jesteś w tamtym układzie i nigdy nie będziesz — Znów pochylił się nad stolikiem. — Lekceważysz sobie ludzi... właśnie tych ludzi, którzy pewnego dnia mogą ci być bardzo potrzebni. Może powinnaś zacząć od psychologii różnych zachowań tam, na ulicy.

—Może, może...

—Nie odrzucaj tego, co ci mówię, po prostu posłuchaj. Bo ja — jak twój tatko — mam na względzie twoje dobro. Nie chodzi tu o sprawy życia i śmierci, nie rozprawiamy o decyzjach, które trzeba podjąć w ułamku sekundy. Po prostu skaczesz w samo piekło i masz nadzieję, że ci się uda.

I ogromna większość nas wszystkich na służbie skoczy na ratunek koledze, narażając własne życie. Działamy odruchowo, kierujemy się instynktem. To bardzo emocjonujące. Ale jesteśmy też ludźmi. Skoczę w ogień, oczywiście. Ale uczynię to trochę szybciej, jeśli tego kogoś lubię. Przestań być snobką. Choćby ze względu na twego ojca, który nie jest taką osobą, a ma znacznie więcej powodów niż ty, żeby okazywać arogancję.

— Nie jestem arogantką!

Oliver zamilkł i zajrzał jej w twarz. Była zdruzgotana jego opinią, choć usiłowała to ukryć. Wiedział, że choć wyraził to może zbyt mocno, była to przecież prawda. Powiedział to jej tak, jakby się zwracał do swych własnych synów. Zawsze się bał, czy odnajdzie właściwe słowo; nie myślał jednak nigdy o tym, jaki wpływ mogą na nich wyrzucić takie brutalne uwagi.

Wpatrywała się w kieliszek wina.

— Chcesz wiedzieć, co się kryje pod taką zgrywą? — Kiwnął głową. — W rzeczywistości jestem nieśmiała. Maskuję to postawą pełną wyższości. Bo w policyjnym świecie lepiej być egotystką niż osobą nieśmiałą. — Podniosła wzrok i spojrzała na niego. — Jeśli odkryją, że się boisz, nikt nie będzie chciał z tobą jeździć.

— To prawda.

— Gdyby ktokolwiek z tych chłopaków wiedział, jak się denerwuję, dopiero by mi dali popalić.

— Na początku każdy się denerwuje.

— Jak się jest kobietą, to wygląda trochę inaczej.

— Jestem przekonany, że masz rację.

— Lepiej jeść, niż być jedzonym. — Spojrzała na swój talerz. — Tak między nami, któż to mówi, że jestem bystra? Czy powiedziałeś to, żeby mnie pocieszyć?

— Daj spokój, nie wymyśliłbym tego. Wystarczy, gdy ci powiem, że to był detektyw, z którym naradzałem się wczoraj — Rolf Osmondson. Twierdzi, że jesteś bystra.

Nie dowierzała mu.

— Nie wiem, dlaczego miałby ci to powiedzieć. Wczoraj nawet na niego nie spojrzałam.

— Widocznie on na ciebie spojrzał.

— Odkąd to detektyw drugiego stopnia zauważa mundurowych żółtodzióbów?

— Jeśli ten detektyw drugiego stopnia jest normalnym, heteroseksualnym mężczyzną, a mundurowy żółtodziób jest miłą, młodą kobietą, mo-

zesz postawić własną dupę na to, że cię zauważy. A poza tym, wspominał mi o tobie Craig Barrows.

—Craig Barrows?

—Czy jego też nie znasz?

—Nie, chyba nie.

—Jest mniej więcej mojego wzrostu. Pociągła twarz. Piaskowego koloru włosy, trochę już rzednące. Niebieskie, nabiegłe krwią oczy...

—Taa, taa, taa. Czy nie pracuje może w zabójstwach?

—Tak, to on.

—No pewnie, teraz sobie przypominam — powiedziała. — Jakieś trzy miesiące, po tym jak zjawiłam się w Hollywood, jeden z weteranów porzucił towarzystwo i powitał nas, żółtodzióbów. Było tam parę złotych odznak. Gadałam z dziesięć minut z detektywem Barrowsem. — Odepchnęła swój talerz z sałatą. Natychmiast pojawił się pikolak i zabrał danie. — Wywnioskował z tej jednej rozmowy, że jestem bystra?

—Musiałaś zrobić na nim wrażenie.

—To chyba przez te moje rude włosy.

—Strasznie wiele przypisujesz swym włosom, nie sądzisz?

Zachichotała i spojrzała na mroczne oblicze kelnera. Postawił przed nią talerz z płastugą.

—Dla pani.

—Ach, dzięki. — Dziobnęła widelcem frytkę i skosztowała. —

Świetne.

Kelner uśmiechnął się półgębkiem.

— Zawsze panią chętnie u nas powitamy. — Podał Oliverowi zamówione przez niego danie. — Może trochę wina? — Spojrzał znacząco na Cindy. — Zdaje się, że pani służy.

— Wino każdemu służy — odparowała scenicznym szeptem. — Dziękuję panu. Może pół kieliszka. Muszę zarezerwować miejsce na desery.

Kelner rozlał wino obojgu.

— Coś jeszcze?

— Nie, to chyba już wszystko. — Spojrzała na Olivera. — Czy jeszcze coś zamawiamy?

— Nie, to wszystko. Dziękujemy — zwrócił się do kelnera.

Kelner znikł.

— Ach, ależ koło nas skacze — zauważyła Cindy. — Chyba nie chce, żebyśmy się zadławili ością. Odwilż zupełna!

— A może zaszumiało ci trochę w głowie i masz już inną perspektywę.

— Być może, być może. — Schrupała kolejną frytkę. — Czemu sądzisz, że jestem wstawiona?

— Twoje blade dotąd policzki nabrały teraz rumieńców.

— Ach, to! Zaraz idę poprawić makijaż.

Oliver zaśmiał się.

— O czym rozmawialiście z Craigiem?

— Co proszę?

— Z Craigiem Barrowsem. Na tym spotkaniu. O czym to paplałaś z nim przez dziesięć minut?

— Ach, to było już tak dawno temu... — Usiłowała to sobie przypomnieć. — Rozmawialiśmy chyba o Armandzie Cray... — Poczula teraz, jak policzki ją palą. — O sprawie Armanda Craytona. Ja, mój partner Graham Beaudry i Slick Bederman.

— Kiedy to było? Osiem miesięcy temu?

— Mniej więcej. Pełno o tym było we wszystkich gazetach.

To taka dziwna sprawa, żona, która była świadkiem całej tej gehenny. — Spojrzała na Scotta, nie spuszczał z niej wzroku.

— Takie tam puste pogaduszki.

— Cindy, nie wyjaśniłabyś mi tego bliżej?

— O co ci chodzi?

— Złotko, zarumieniłaś się. Co z tym Armandem Craytonem? Znałaś faceta?

— Do czego zmierzasz?

Oliver odłożył z hałasem widelec i poprawił się na krześle.

— Do czego zmierzam? Ta sprawa jest otwarta, moja droga. Co ty ukrywasz?

Cindy odczekała chwilę, westchnęła i powiedziała:

— No dobra. Był taki układ. Ja zwykle ćwiczyłam w sali Silvera, zanim ruszałam się do miasta. Chodziłam tam może z rok. Przypadkowo tam się poznaliśmy. Umawiałaś się z nim?

— Powiedziałam, że to był przypadek.

— Spałaś z nim?

— Oliver, znasz definicję słowa przypadek?

— Dla większości ludzi seks to przypadek.

— On był żonaty, Scott.

— To znaczy?

— Nie sypiam z żonatymi facetami! Nigdy!

— Ten facet znany jest z tego, że pierdoli się, gdzie tylko może. — Oliver trzymał się swego z uporem. — Czy kiedykolwiek wspominał ci, że jest żonaty?

— Nie, nie musiał. To ja, jako osoba spostrzegawcza i przebiegła, wiedziałam o wszystkim z góry.

— Więc próbował cię podrywać?

— No, nie na całego. Wiesz, nieraz piliśmy w barku drinka z sokiem po ćwiczeniach. Parę razy mnie zapraszał, czy nie chciałabym z nim gdzieś wyskoczyć na kawę. Zawsze mu odmawiałam.

Oliver przełknął w pośpiechu krewetkę, próbował wypluć odwłok, żeby nie wyjść na głupka.

— O czym rozmawialiście?

— O niczym takim, co mogłoby rzucić światło na tę sprawę.

— Pozwól, że ja to ocenię — zmarszczył się Oliver. — Do czego zmierzasz, Cindy? Co ty tam motasz? Jak cię znam, gotów jestem pomyśleć, iż rzucasz się głową naprzód, by schwytać groźnego przestępcę. Rozmawiałaś przynajmniej o tym ze swoim tatką... — Urwał. — Dobra. To już kapuję. Rozmawiałaś o tym ze swoim tatką. Powiedziałaś mu i Wielki Deck zakazał ci o tym rozpowiadać. Chcesz mi opowiedzieć o szczegółach? Czy mam raczej zapytać twego ojca?

Uśmiechnęła się szelmowsko.

—Ciekawe, jak zamierzasz się do niego zwrócić? „Ach, Deck, zdarzyło mi się jeść kolację z twoją córką i...”

—Ach, nie pieprz! — Rzucił w nią ogonem krewetki. — Cindy, mam już dość. Tego chciałaś?

Zawahała się, a potem wyjaśniła:

—Nasza znajomość nigdy nie wyszła poza fazę wstępną, Scott. To były niezobowiązujące rozmowy po ćwiczeniach, wiesz, jak to bywa. Takie tam głupoty. Raz tylko wspomniał o jakimś gorącym interesie, który miał na oku. Myślę, że chciał na mnie zrobić wrażenie.

—Mogło tak być.

—Dobra, to nie tak. Zwykle, kiedy zaczynał nawijać o swoich sprawach, wyłączałam się. To nie nasze rozmowy zaalarmowały mego tatę.

—Mów dalej.

—To chyba jeden z tych fatalnych przypadków, gdy ktoś znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Po jednym z tych naszych soczków wracaliśmy razem do swoich wozów. — Cindy chwyciła kieliszek, był już pusty. — Ktoś do nas strzelał!

—Jezu!

—Tak, można się było przestraszyć. — Rozejrzała się. — To było parę miesięcy przed tym, zanim go zamordowano. Byłam wtedy w akademii, miałam swego gnata. Ale nie użyłam go.

—Bardzo rozsądnie.

—Taa, tato powiedział to samo, ale ja się czułam, jak... — Wypuściła powietrze. — Wtedy czułam, że powinnam coś zrobić. — Zniżyła głos do szeptu. — Oh ver, bałam się jak diabli. — Po- czuła, że oczy jej zwilgotniały. — Nie wiem, czy to przez ten ogień, ale zrobiło mi się jakoś strasznie. Zesztywniałam, to fakt...

—Czemu? Co zrobiłaś? Stałaś tak w miejscu?

—Nie, dałam szybko nura za wóz.

—To właśnie to, co powinnas zrobić. — Oliver upił trochę wina. — Możesz być pewna, że zrobiłbym to samo. — Zapadła cisza. — Cindy, a co ty sobie wyobrażasz, że niby co powinnas zrobić? Zamienić ten parking na jakąś bezpieczną przystań?

Zrobiła ironiczną minę.

— Nie wiem. Wciąż o tym myślę, że gdyby to się stało na ulicy i...

Przerwał jej.

—Gdyby, broń Boże, coś takiego zdarzyło się na ulicy, wiedziałabyś, co zrobić. Masz radio, masz broń, a wracając do naszego pierwszego wątku, masz asekurację. A tu dopadło cię to znienacka. Nie ma co się tym przejmować.

—Czyż nie jest tak zawsze, że strzały cię zaskakują?

—Niekiedy tak bywa, na pewno. Ale gdy jesteś w robocie, zawsze musisz się tego spodziewać.

Rozejrzała się.

—Być może.

—Więc powiedziałaś tatce o tej strzelaninie?

—Tak... — Urwała. — Ale dopiero po śmierci Armanda Craytona.

—Więc nie powiedziałaś mu od razu, co cię spotkało?

—Nie, nie powiedziałam mu. Nie chciałam go straszyc. No i bałam też się przyznać, że stałam tam jak skamieniała. Byłam tym zakłopotana.

—Cindy, nie byłaś jak skamieniała, dałaś przecież nura! A dając nura za wóz, nie mogłaś być zesztywniała ze strachu. — Zjadł jeszcze jedną krewetkę. — Dobra, więc opowiedziałaś ojcu o tych strzałach, dopiero jak Craytona porwano i zamordowano. A tatko powiedział ci, żebyś o tym nikomu nawet nie wspomniała.

—Tak.

Oliver zastanawiał się, co mogło się dzieć w głowie Pete'a.

—Czy ten ktoś, kto strzelał, widział cię?

—Ja... nie wiem. Naprawdę się wystraszyłam, kiedy to się stało. Pomyślałam w pierwszej chwili, że tym, kto strzelał, mogła być jego żona. Musiała mylnie ocenić, że Armand i ja mieliśmy jakiś romans. Ale potem, gdy zginął i kiedy całe to gówno o nim wyszło na jaw, przestałam się tym przejmować. Armand miał długą listę wrogów. Te strzały nie były przeznaczone dla mnie. Wygląda na to, że był to prezent od jakiegoś rozczarowanego inwestora.

—Nie ostudziło cię to? Nigdy się z nim nie umawiałaś?

—Nie, nigdy. Byliśmy kumplami z siłowni. Tylko tyle.

—Powiedziałaś ojcu to wszystko?

—Tak. I jestem tego pewna, że gdyby tatko uznał, iż byłam w to wplątana, opowiedziałby o wszystkim tobie, Marge i całej reszcie chłopaków.

—Nigdy mi o tym nie mówił.

—Więc myślał, że to nie ma znaczenia.

—Raczej chyba uznał, że tak będzie lepiej dla twego bezpieczeństwa.

—Nie odpuściłby sprawy, Scott. Nawet gdyby chodziło o moje dobro.

—No pewnie, kochana! — zaśmiał się Oliver.

—Mówię całkiem poważnie. Tatko ma zasady!

—Tatko kocha też swoją rodzinę. Do diabła, między pracą a twoim bezpieczeństwem nie ma żadnej luki. — Machnął do niej ręką. Pikolak pewnie pomyślał, że macha na niego, bo zaraz sprzątnął talerze. Oliver zwrócił się do Cindy: — Zjesz jeszcze deser?

—Nie, napchałam się. Chcę ci podziękować, kolacja była wyśmienita.

—Nie ma sprawy. — Podrapał się w policzek. — Więc rozmawialiście z Craigiem Barrowsem o sprawie Craytona?

—Ogólnie biorąc, tak. — Otarła sobie usta.

—Co to znaczy, ogólnie biorąc?

—Odbyliśmy taką rozmowę o przypadkach strzelaniny po drodze do domu. — Ożywiła się. — No wiesz, mam na myśli to, jak Barrows opowiadał mi o takich właśnie aspektach swojej współpracy z Osmondsonem, co wyglądało podobnie jak sprawa Craytona.

Oliver czuł, że powinien teraz wyciągnąć swój notatnik, powstrzymał się jednak. Rozmowa nie bardzo już się kleiła. Powinien wziąć ją na spytki w spokojniejszym miejscu. Przemaglować ją porządnie od początku do końca.

— Pamiętasz może, o jakiej sprawie mówił?

Cindy stuknęła palcem w blat stolika.

— Nie wiem dlaczego, ale przychodzi mi na myśl czerwone ferrari.

„Elizabeth Tarkum”.

— Wiesz o tym, że pracujemy teraz nad tą sprawą Devonshire, prawda?

— Oczywiście, porwania wozów i najścia domowe. Uważasz, że sprawa Craytona się z tym wiąże?

— Być może.

— Chcesz mnie przesłuchać, prawda?

— Nazwijmy to wywiadem.

— Dobra. Myślisz, że się zgodzę? Chcesz to zrobić za plecami mego tatki?

— To by mogło być prostsze. — Nie był zbyt uradowany. — Powiedzmy, że przyszedłbym do ciebie jutro wieczorem. Powiesz mi wszystko, co wiesz o Armandzie Craytonie i o swojej rozmowie z Craigiem Barrowsem. Gdybym doszedł do wniosku, że twój związek z Craytonem stanowi istotną okoliczność w sprawie jego zamordowania — czy któregoś z bieżących przypadków porwań — musiałbym wspomnieć twemu ojcu o tej kolacji... już sobie wyobrażam tę scenę! Ale gdyby miało to rzucić jakieś światło na te okropne porwania, nie miałbym wyboru.

— Zachowujesz się bardzo profesjonalnie — uśmiechnęła się. — Jestem pod wrażeniem.

— Nie, nie jestem zawodowcem. — Potarł czoło. — Byłem idiotą, zabierając cię na kolację.

Cindy złagodniała.

— Zachowałeś się bardzo w porządku. Pewnie czułeś się winny za to, co się wczoraj stało. Przyjmuję twoje przeprosiny, Scott.

Uśmiechnął się, rzucając na stół kartę kredytową, żeby uregulować rachunek.

— Miły z ciebie dzieciak.

— Dzięki za uznanie. Każdy płaci za siebie?

Zaśmiał się.

— Teraz ja płacę. Następnym razem ty.

— To ma być następny raz? — Zarumienił się. Cindy szybko zmieniła temat. — Kiedy chcesz do mnie przyjść? — Spojrzał na nią. — Na ten wywiad, jutro wieczorem... pamiętasz?

TLR

— Ach, tak, pamiętam. Przyniosę ci moje drzewko Ginko biloba. To o siódmej?

— O siódmej.

Wpatrywała się w blat stolika. Chciała zapytać Scotta o zdjęcie Hannah; jak to się stało, że znalazło się na jej stoliku do kawy, zamiast tkwić na gzymśie kominka. Po tej dziwnej rozmowie było jej jednak trochę niezręcznie. Teraz te jej podejrzenia wydały się nagle śmieszne. Postanowiła, że jutro go o to zapyta. To będzie wtedy bardziej na miejscu. On przepytają, a ona jego.

— Gotowa? — spytał.

—Całkowicie. — Podniosła się z miejsca. — Podejźmy do mojego wozu?

—Oczywiście — odparł Oliver. — A przy odrobinie szczęścia, nikt do nas nie będzie strzelał.

TLR

Rozdział dziewiąty

To był wyczerpujący ranek, ale wart chyba zachodu. Cenę tego małego numeru, który Stacy oglądała dwa miesiące temu, obniżono teraz o połowę. Czarna, lekka wełenka nadawała się znakomicie na każdy sezon, no, może z wyjątkiem lata. Ale nawet i wtedy mogłaby ją włożyć na wieczór, ponieważ większość re-stauracji miała klimatyzację; te obrzydliwe maszyny tłoczyły ci arktyczne powietrze wprost na suknię bez ramion i pleców, którą zazwyczaj wkładasz, żeby ładnie wyglądać. Spróbuj się dobrze bawić, gdy z zimna kapie ci z nosa, a para z twego oddechu unosi się nad menu. Czy te wszystkie wychuchane lokale na topie miały jakiegokolwiek wycucie temperatury?

A co tam, wreszcie sobie sprawiła ten świetny czarny kostium na każdą okazję, towar bardzo kuszący na wyprzedzaży połówkowej. A ponieważ oszczędziła na tym tyle pieniędzy, upatrzyła sobie jeszcze buciki, szal i parę ozdobnych pończoch, co normalnie kosztowałyby znacznie więcej niż dobry posiłek w tutejszej kawiarni. Starczyło jej także na dwa kaszmirowe swetry, obniżone o siedemdziesiąt procent, wzory wprowadzicie zeszłoroczne, ale kolory naturalne. Uwielbiała swetry. Uwydatniały jej mocne, świetne ciało, jakim cieszyła się dzięki genom i właściwie zaplanowanym ćwiczeniom fizycznym.

Opuściła to centrum handlowe jednym z sześciu głównych wyjść i wynurzyła się na mętne światło słoneczne, mrużąc oczy przed nadmiarem blasku. Wlokła swe paczki kilkaset stóp, musiała przemierzyć spory kawałek asfaltu, wypatrując swego czerwonego beemera, którego jakiś bogaty klient sprzedał jej za część ceny. Całkiem rażna, zmyślna sztuczka, kłopot tylko z tym, że przy tak niskim zawieszeniu trudno ją było znaleźć wśród tych wszystkich podmiejskich furgonetek i cięższych wozów. Przeklinała swą głupotę. Czemu nie zwróciła przedtem uwagi na oznakowania — czerwoną czwórkę, fioletową ósemkę, cokolwiek.

To by jej znacznie ułatwiło życie, nie musiałaby teraz tak męczyć rąk. Przedzierała się przez rzędy metalowych pudeł, z tyłu oświetlała ją blask reflektorów.

Czy był tam jakiś punkt orientacyjny, który powinna była zapamiętać? Drzewo albo mur, albo tył jednego z tych magazynów, a choćby wygląd bulwaru, przy którym postawiła wóz? Nic nie przychodziło jej na myśl. Krople potu wystąpiły jej na czoło. Było pochmurno, ale parno, poczuła na karku wilgotne powietrze.

Musnęła czubek głowy, chcąc sprawdzić prężność swych pukli; stały jak kłaczki waty cukrowej.

Świetnie! Nareszcie włosy jej się skręca. Po tych parszywych czterdziestu pięciu minutach pod suszarką, nie wspominając o rozmaitych płynach, które miały zapewnić jej fryzurze należyta wilgotność i loki.

„Gdzie jest ten cholerny wóz?”

Wciąż przechodziła labiryntem stali i blach.

„Całkiem jak w jakimś wesołym miasteczku”.

Przypomniała sobie, że nigdy nie lubiła tych gabinetów osobliwości, mających wywoływać dreszczyk emocji wśród przechodzących gości.

Chodziła, chodziła i chodziła. Wydawało się jej, że to tak blisko, a tu tak daleko. Dotknęła swej głowy, jakby to była atrapa. Postawiła pakunki na ziemi i pogrzebała trochę w torebce, zanim znalazła kluczyki. Ustawiła odpowiedni dystans i wcisnęła sygnał alarmowy.

W niezbyt dużej odległości usłyszała przerywany odgłos swego klaksonu: bip, bip, bip, bip, bip, bip. Ach, jaka słodka melodia. Podniosła paczki i prowadzona tymi upojnymi tonami szła ku swemu czerwonemu BMW, które wyskoczyło nagle w jej polu widzenia, wyglądając tak zachęcająco jak nagi młody mięśniak. Nacisnęła guzik jeszcze raz i buczenie umilkło.

Śpieszyła się do wozu; odłożyła paczki na ziemię, żeby otworzyć drzwi. Nagle poczuła na karku czyjś oddech. Gdy próbowała się odwrócić, ciśnięto ją bez ceregieli na dach wozu, przytknięto do twarzy gorącego metalowego gnata i wyrwano z garści kluczyki, kalecząc jej dłoń. Coś twardego wciskało się jej w skroń. Usłyszała głos:

— Nie ruszaj się! Nie mów, nie krzycz, niczego nie rób. Jeśli coś zrobisz, już po tobie. Zrozumiałaś? Daj znak oczami.

Rozciągnięta na dachu, usiłowała powiedzieć tak.

— Jesteś piękna—odezwał się ten głos. — Jesteś bardzo fajna. Ale mnie się śpieszy, więc masz szczęście. Na ziemię, suko!

Stacy nie wiedziała, co robić, paniczny strach dodatkowo zwiększał jej oszołomienie.

— Powiedziałem ci, kładź się na tę zasraną ziemię! No już, suko! — głos syczał jej do ucha.

Ręce ścisnęły jej kark i ściągnęły ją całą na pokryty żwir-rem asfalt. Walnęła czołem w twarde podłoże, zakrwawiła sobie policzek. W głowie jej pulsowało, jakaś stopa wdeptywała ją w ziemię.

„Będę chyba wrzeszczeć, pomyślała, naprawdę zaraz wrzasnę”. Ale chyba zapomniała, gdzie ma struny głosowe.

Ten głos mówił:

— A teraz, jeśli będziesz dobrą małą suczką, jeśli zostaniesz tam, gdzie jesteś, i zamkniesz swoją buzię na długo, będziesz żyła. Jak się tylko odezwiesz, zginiesz. Jasne?

Stacy usiłowała przytaknąć.

Stopa uwolniła jej głowę, poczuła ostre kopnięcie pod żebra. Oczy zamglily się jej z bólu, który przeszył cały układ nerwowy. Kolejny kopniak trafił ją w kark. Ścisnięta niczym w imadle, rzeziła, jakby była w agonii. Stopa przewróciła ją na bok.

Drzwi wozu otwarły się i walnęły ją w żebra. Po czym zatrzasnęły się z trzaskiem.

Wrum, wrum, zamruczał motor jej ślicznego, małego kabrioletu. Z pi-
skiem opon wóz pomknął przed siebie.

Stacy została sama z dwiema tylko myślami które zaprzętały jej umysł. Po pierwsze, wciąż jeszcze żyła. Wyglądało na to, że nic poważnego jej się nie stało. A po drugie, złodziej zostawił jej paczki.

W końcu ma jeszcze wciąż ten swój seksowny mały numerek.

Marge zaczytywała z ekranu komputera:

— Mamy jeszcze jeden. Proste porwanie wozu. Wie ma tę kobietę. Bez dziecka.

— Wóz jakiej marki? — zapytał Oliver.

— BMW kabriolet. Korman z rejestru skradzionych wozów odebrał zgłoszenie porwania dwadzieścia minut temu. Jestem pewien, że jeszcze tam jest. Powinniśmy wkroczyć na miejsce przestępstwa i zdobyć wszystkie szczegóły.

— Dlaczego nas nie wezwano, kiedy to się stało?

— Wzywano nas. Wszyscy wiedzą, że pracujemy nad porwaniami wozów. Po prostu ktoś to spieprzył.

— Tak, z tym jest kłopot. — Oliver podniósł się z miejsca i włożył marynarkę. — Jeśli nasi ludzie nie pamiętają o swoich obowiązkach, to czego możemy się spodziewać po współpracy międzywydziałowej. Masz sprawy w Hollywood, masz sprawy tutaj, a kto wie, gdzie jeszcze... nikt się w tym nie połapie.

— Zastanawiałam się, co robiłeś zeszłego wieczoru. Byłeś tam dość długo. Dzwoniłam do ciebie chyba ze cztery razy w ciągu trzech godzin, żeby sprawdzić, czego się dowiedziałeś. — Podeszła bliżej i zamknęła szufladę z aktami. — Dowiedziałeś się?

Mózg Olivera zaczął pracować. „O czym ona mówi?”

— Kto ci powiedział, z kim byłem?

— Rolf Osmondson z Hollywood. — Marge spojrzała na niego. — To z nim byłeś na kolacji?

— Nie, z nim byłem przedwczoraj — próbował zachachmęcić Oliver.

Marge była nieustępliwa.

— Nie, Scott, powiedziałeś mi, że masz spotkać się z Osmondsonem, żeby wyjaśnić pewne szczegóły w związku ze sprawą Elizabeth Tarkum.

„To są właśnie kłopoty z mówieniem nieprawdy, gdy przekraczasz czterdziestkę. Wszystko zapominasz”. Oliver usiłował zachować swobodny ton.

— Nie-e, nie byłem z Osmondsonem. Miałem umówioną randkę. Dzwoniłem też ze dwa razy do Hollywood. I może to wszystko ci się pomieszało.

— Z kim?

„Zamknij się wreszcie, Marge!”

— Ach, z takim facetem o nazwisku Craig Barrows. Nie wspominałem ci o nim?

— Nie.

—Taa, no więc pogadaliśmy sobie trochę przez telefon. Nic specjalnego. — Wiercił się niecierpliwie. — Jesteś gotowa?

—Jestem gotowa. — Marge zarzuciła torbę na ramię. — Nie sądzę, żeby odniosła jakieś większe skaleczenia. — Mówiła o tej kobiecie w BMW.

—To dobrze. Podała swoje nazwisko?

—Stacy Mills. Jest doradcą personalnym.

—Myślisz, że to się wiąże z Craytonem?

Marge była zaskoczona.

—Nie wiem. A czemu by to się miało wiązać z tamtą sprawą?

—To nie był typowy wóz dla tych naszych porwań w układzie matka-dziecko.

—Nie wygląda na to, żeby się to miało wiązać ze sprawą Craytona. To porwanie było na wylotówce West Hills.

Wyszli z komendy, znaleźli hondę Marge i ruszyli. Wjechała w Devonshire, główną arterią łączącą od północy wschodnią i zachodnią część doliny San Fernando. Posterunek leżał na peryferiach, co dziwiło ze względu na ceny gruntów w otoczeniu. Wyglądało na to, że sąsiedzi się tu odgradzają. Nie było to prawdą, może tylko działali z wyprzedzeniem. W miarę jak jechali na zachód, ulice były coraz szersze, a domy rzadsze. Fajliste stoki wzgórz tworzyły malowniczy krajobraz: Los Angeles jako obszar upraw rolnych. Patrząc wstecz, widziałeś tylko same sady i pola. Po przejechaniu czterdziestu mil znaleźli się w Oxnard, wciąż ten sam pejzaż.

— Na tej rozległej, otwartej przestrzeni czerwony kabriolet BMW może być łatwo widoczny, jak sądzisz? — odezwała się Marge.

—Samochód jest czerwony?

—Taa. Nie mówiłam ci?

—Nie, nie mówiłaś. Conviene Cfaytona też był czerwony.

—Są tryliony takich wozów. Ale to interesujące. — Spojrzała na swego partnera. Wydawał się zaniepokojony. — Jest coś na rzeczy, Scott?

—Nie. — Opuścił głowę. — Chyba jestem trochę zmęczony. Wyglądam na sfatygowanego?

—Cokolwiek. — „Zmęczony i jakiś dziwny”, pomyślała Marge. Ale nie naciskała go. Z pewnej odległości mogła już dostrzec pierwsze dachówki budowli w hiszpańskim stylu. Gdy honda Marge połknęła stromizną wzgórza, na horyzoncie rosło w oczach miasteczko handlowe. Mogło się zdawać, że pojawiło się ono nagle w środku jakiejś pustyni. Ale już parę mil stąd na północny wschód rozciągały się bogate obszary: pole golfowe i rozległe rancho przyciągały sportowców i łazików po górach, których wabiło surowe życie, oczywiście z nieodłącznym telefonem komórkowym i notebookiem.

Centrum handlowe tworzyło pół tuzina budynków w stylu śródziemnomorskim, gdzie miały swe siedziby firmy i przedsiębiorstwa trudniące się wyprzedazą z górnej półki, jak Off-Saks, Barneys, Donna Karan, St. John's Sports, Versace, Gucci i wiele innych włoskich nazwisk, rzeczywistych lub powymyślanych. Inwestor wybrał to miejsce z oczywistych względów: wielkiej obfitości ziemi, która pozwalała rozrastać się zarówno centrum handlowym, jak i związanym z nimi parkingom.

Oliver przebiegał wzrokiem bezkresne morze chromowanej blachy.

—Gdzież jest to miejsce przestępstwa?

—Zdaje się, że Korman wspominał coś o nowym parkingu.

— A jak miałbym zgadnąć, który z tych budynków jest nowy? Wszystkie są nowe. To miejsce jest jednym wielkim labiryntem. Nienawidzę kupowania, naprawdę nie cierpię tych centrów handlowych. To wszystko, co najgorsze w tym naszym stadnym pędzie do wzajemnego upodabniania się. Wyglądają kropka w kropkę tak samo, wszystkie mają te same sklepy...

—To ten system sprzedaży zniżkowej...

—Nic nie jest już dzisiaj jednostkowe i niepowtarzalne — zajęczał. — Co się stało z naszymi staromodnymi sklepami? Pamiętasz taki sklep... zwrócony frontem do ulicy... z miejscem do zaparkowania wozu na zapleczu...

—To nasz wiek. — Marge skrzyła w lewo, przemierzając całe kilometry asfaltu. — Jesteś dobrze ubranym facetem. Gdzie kupujesz swoje ubrania?

—Mam parę takich miejsc, gdzie mnie znają i wiedzą, co mam w kieszeni. Dzwonią do mnie, zanim się zaczną sprzedawać. Wpadam tam po godzinach.

—Świetny system. Czy nie mógłbyś mi zarezerwować na to biletu?

—Chciałbym mieć taką władzę. —Przejechał palcami swe czarne włosy. — Kobiety by mnie podziwiały.

Uśmiechnęła się.

—Co tak się skarżysz?

—Z kobietami zawsze są kłopoty, nie lecą na ciebie całymi chmurami. Spójrz no tylko na to miejsce przed nami. Jaki tłok!

—To sami faceci. Też lubią wydawać pieniądze, a jakże.

—To tylko mały ułamek, Marge. Jak mi się coś podoba, to kupuję. Ale z kobietami to już nie ma jakiegoś tam zwykłego kupowania, to musi być przygoda. Tylko sobie pomyśl, szukamy jakiegoś śnieżnego lamparta, zamiast kupować zwykłą ko- szulkę z krótkimi rękawami.

Marge powiodła wokół wzrokiem.

— Zła noc, Oliver, co?

Wiedział, że marudzi. Spojrzał przez przednią szybę.

— Takie miejsca jak te zawsze mnie przygnębiały.

Marge była zaniepokojona. To nie w stylu Olivera tak się zachowywać. Cynizm, tak. Obrzydlistwa, owszem. Ale nie depresja. Pomyślała, czy może coś nie tak z jego zdrowiem, ale nie zadała mu tego pytania. Jest praca, którą trzeba wykonać.

—Jeśli o to pytasz, noc miałem świetną!

Marge czekała, co powie dalej. Dopiero gdy milczenie się przedłużało, spytała:

—Czy to znaczy, że ona miała coś pod dekletem?

— Jeśli chcesz wiedzieć, pociągają mnie kobiety, które coś w sobie mają, a nie jakieś lalunie. Wiesz, jak sobie przypomnę, że zawsze mogłem sobie z taką pogadać...

—Scott, chyba się robisz sztywniakiem. Co cię ugryzło?

— Mówię ci, nie cierpię tych centrów... to tam, spójrz. — Pokazał ręką. — Jak godzina trzecia na zegarze.

Miejsce było odgrodzone żółtą taśmą brygady kryminalnej. Marge pozwoliła zajechać tam blisko swą hondę, postawiła ją za jednym z czterech wozów patrolowych. Milt Korman zjawił się w czarno-białym. Szarże wprowadziły regulę, że brak oznakowań stosowano tylko wtedy, gdy trzeba się było uciec do elementu zaskoczenia. W zwykłych warunkach używano standardowych wozów policyjnych. Trochę więcej policji spoza drogowki. Marge uświadomiła to sobie, gdy wysiadła z hondy. Nikt do niej nie podszedł, zupełnie jakby była jakąś beztroską biwakowniczką.

Drzwi wozu Kormana były otwarte, ofiara napadu siedziała z tyłu, jej stopy w sandałach zwisały na zewnątrz, szorując po asfalcie. Musiała mieć niewiele po trzydziestce, z tą okrągłą buzią i oczyma wykrojonymi na kształt brązowych spodków, dodatkowo powiększonych starannym użyciem ołówka. Trochę się to rozmazało po policzkach, nadając jej wygląd smutnego kłowna Emmetta Kelly'ego. Miała krótko przycięte platynowe włosy i jaszkrawomiedzianą szminkę.

Korman oparty o swój czarno-biały wóz pisał coś w notatniku. Miał sporo po pięćdziesiątce. W niczym nie przypominał jakiegoś podrzędnego krawężnika, gęste, jak przyprószone pieprzem włosy, rumiana skóra i zniekształcony, bulwiasty nos boksera lub pijaczka. Dostrzegł Olivera i Marge i zaraz pomachał im ręką.

—To nie jest typowe porwanie według wzorca z rejestru kradzieży wozów. Natychmiast do ciebie zadzwoniliśmy. Powiem ci, co wiem, a ty możesz zadawać poszkodowanej pytania, jakie uznasz za stosowne... odbyło się to tak: wracała z zakupów, wypatrywała swego wozu... — Podniósł wzrok, zlustrował spojrzeniem parking. — Łono- wielkiej matki.

—Ty zdaje się nie przepadasz za robieniem tu sprawunków — odezwał się Oliver.

—Taa, nie znoszę kupowania w tych magazynach — zrzędził Korman. — Tak czy siak, zgubiła się i była tak pochłonięta szukaniem swego wozu, że nawet nie zdawała sobie sprawy, że ktoś za nią idzie.

—To był mężczyzna, prawda? — spytał Oliver.

—Powiedziała, że mężczyzna.

Marge ożywiła się.

—Widziała go?

—Nie. Poczekaj chwilkę. — Korman miotał się rozdrażniony. — Zostaw to mnie, dobra? Nie zauważyła, by ktokolwiek za nią szedł. W końcu znalazła swój wóz, włączając przycisk alarmowy.

—To jeszcze jedna wada tych marketów. Nigdy nie pamiętasz, gdzie postawiłeś wóz — stwierdził Oliver.

—Mogę mówić dalej? Włączyła przycisk alarmowy i odnalazła ten wóz. Zaczęła już otwierać drzwi, gdy nagle, w jednej chwili, zdała sobie sprawę z czyjejs obecności. Nie widziała tego faceta. Rzucił ją twarzą w dół, na maskę wozu, a potem zepchnął na ziemię.

—Więc nie wie, że to facet.

—Mówił coś. To był on.

—Miał jakiś akcent? — spytał Oliver.

— Nie wiem. — Korman zmrużył oczy, chromowe zderzaki odbijały słoneczne błyski. — Sprawca zabrał jej kluczyki i odebrał wóz. Rozesłałem rysopis za tym wozem. Żadnej odpowiedzi?

—Jak dotąd, żadnej — odparł Oliver.

—Dziwne. Jak daleko możesz zajechać czerwonym kabrioletem BMW? To rzuca się w oczy. Chyba że ktoś już na niego czekał i sprawca

wjechał natychmiast do przyczepy. Może powinniśmy szukać platformy, dość dużej, by ukryć w niej taki wóz.

—Albo rozbieralni na części, gdzieś w pobliżu.

—Nie słyszałem o niczym takim. Ale tych porwań wozów było już od cholery, na tyle, by taka krajalnia mogła gdzieś tu działać w pobliżu. — Korman pokręcił głową. — Chcecie teraz rzesłuchać poszkodowaną?

— Bardzo mi to odpowiada — powiedziała Marge.

Korman podprowadził ich do swego wozu.

— Pani Mills, to detektyw Dunn i detektyw Olivera. Chcieliby panią zapytać o parę spraw.

Kobieta spojrzała najpierw ukradkiem na Marge, a potem opuściła wzrok na swe paznokcie: długie, utwardzane akrylem paznokcie w tej samej jaskrawomiedzianej tonacji co jej szminka. W jej głosie dał się słyszeć ów charakterystyczny odcień rezygnacji, płynący z uświadomienia sobie faktu, iż jest się ofiarą.

—Jestem zmęczona. Chciałabym już pójść do domu. Czy nie możecie tego zrobić kiedy indziej?

—To nie zabierze nam dużo czasu — tłumaczyła Marge.

—Czy chciałaby pani, żebyśmy do kogoś zadzwonili? — spytał Oliver.

—Zawsze dzwonię do swojej siostry.

—Przyjdzie?

—Tak. — Kobieta uniosła głowę. — Myślę, że mogłabym z wami porozmawiać, zanim ona przyjdzie. Co byście chcieli wiedzieć? Nie widziałam go.

—Ale słyszała go pani —, stwierdziła Marge.

—Taa.

—To mężczyzna?

—Zdecydowanie tak.

—Jak brzmiał jego głos? — spytał Oliver.

—To szalenie! — Spojrzała na niego, a potem opuściła oczy na swoje kolana. W tym momencie Oliver już wiedział, że żaden facet przypuszczalnie nie zasługuje na to, by być na górze jej zasranej listy.

— Czy mówił z jakiś wyraźniejszym akcentem? — pytał dalej.

Stacy zacisnęła usta.

—Nie, mówił jak Amerykanin. A o co chodzi?

—Próbuję tylko zebrać wiado...

— Nie, pytasz mnie z jakiegoś powodu. — Ożywiła się. — Czemu cię to interesuje? Podejrzewasz, że to mógł być obcokrajowiec?

Wtrąciła się Marge:

— Myślę tylko, że moglibyśmy uzyskać więcej informacji, ale...

— Wszystkie gliny są takie same!

„Co ona mogła wiedzieć o policji?“, zastanawiał się Oliver.

— Czy on miał broń?

—Nie widziałam niczego. Ale myślę, że to, co mi przystawił do skroni, to była broń. Czułam coś twardego, co wgniatało mi się w głowę. — Łzy spływały jej z oczu. — Kopnął mnie... raz pod żebra, a raz w plecy. Jestem bardzo silna, ale cholera, on mnie zranił. Boli mnie!

—Jest mi tak przykro. — Marge zwróciła się do Kormana i wypowiedziała samymi ustami: „Karetka?“

Stacy jednak usłyszała.

— Odprawiłam pielęgniarzy. — Wzruszyła ramionami. — Te karetki to skandal. Wszystko, co potrafią, to tylko wyciągać forszę w szpitalu. Wszyscy oni są w zмовie... Nie życzę sobie, żeby mnie dotykał ktoś, kogo nie znam.

Marge mogła to zrozumieć.

— Ale oni muszą panią zbadać.

— Siostra mnie zabierze do mojego doktora Już do niego dzwoniła. — Wstrzymała oddech. — Chyba znajdziecie mój wóz?

— Pracujemy nad tym — odparł Korman.

— To znaczy, że nie. Chciałabym już zostać sama, zanim przyjdzie tu moja siostra.

— Rozpoznałaby pani głos tego faceta lub cokolwiek innego? — spytał Oliver.

Stacy potraktowała go jak durnia.

—Nie.

—Nie sądzi pani, że to mogła być jakaś zemsta?

—Nie! — Stacy zaczęło to już denerwować. — Niby czemu miałabym tak sądzić? Do czego pan zmierza?

—Pani Mills — pytał dalej Oliver — czy znała pani kogoś o nazwisku Armand Crayton?

Twarz Stacy stała się beznamiętna.

—Dlaczego mnie o to wypytujecie?

Zaskoczony Oliver spojrział na Marge.

—Przykro mi, jeśli panią zdenerwowałem...

— Zdenerwowało mnie całe to zajście! Jesteście tylko trybikiem tej maszyny. — Wyskoczyła z wozu patrolowego. — Czy moglibyście już wreszcie zabrać się stąd?

Oliver jednak naciskał.

—Jest w tym porwaniu coś, co przywodzi mi na myśl Craytona.

—Ale ja żyję, a on nie! — wrzasnęła Stacy. — Proszę już odejść!

— Próbuję tylko pani pomóc...

—Nie potrzebuję pomocy! Wynocha! No już!

—Nie możemy tak odejść, pani Mills...

—Precz! — krzyczała. A potem twarz jej zwiotczała. — Proszę, zostawcie mnie... proszę.

—Zgoda. — Oliver kiwnął głową. — Już idę. — Ociągał się parę chwil, zanim wyciągnął swój portfel. — Gdyby jednak miała pani ochotę ze mną porozmawiać, tu jest moja wizytówka.

Ku zaskoczeniu wszystkich, Stacy Mills wzięła wizytówkę.

Rozdział dziesiąty

Decker potarł skronie, czując ogarniający go ból głowy. Spojrzał przez biurko na siedzącego w swym schludnym mundurze Olivera i na Marge w praktycznych czarnych spodniach.

—Kto tu przyniósł Craytona? — zapytał.

—Ja — odpal Oliver.

—Dlaczego?

—Ponieważ ona jechała czerwonym kabrioletem BMW. Crayton miał czerwonego comiche'a, a Tarkum prowadziła czerwone ferrari. Może to o to chodzi?

—Wpadł na pewien trop. — Marge wzięła w obronę Olivera. — Jeśli wziąć pod uwagę, jak ona zareagowała. Zaczęła się dziwnie zachowywać. Wysłała nas do diabła, tak. Ale wzięła wizytówkę Olivera. Stacy siedzi w czymś po uszy. Pytanie tylko w czym?

Decker znowu potarł sobie skroń. Jakiego koloru jest ten saturn Cindy? Taki dziwny, kaczy odcień zieleni. Luksusowy wóz to nie był w żadnym razie. Wyprostował się, próbując doszukać się w tym jakiegoś sensu.

— Myślisz, że ona coś ukrywa?

Oliver rozpiął błękitną kurtkę munduru, ale powstrzymał się przed rozluźnieniem krawata. Było mu gorąco i dziwił się, jak inni to znoszą.

—Może to zemsta. Wtedy ci sami porywacze, którzy dobrali się do Craytona, wzięliby się i za nią.

—Czy porywacz usiłował ją zabrać ze sobą?

—Nie. — Marge strzepnęła ze swych czarnych spodni niteczkę bandaża. — Zgodnie z relacją Stacy, kazał jej położyć się na ziemi i żałował, że nie ma czasu, gdyż jest taka śliczna.

—Śliczna, że niby chciał ją zgwałcić?

—To tylko sugestia — zauważył Oliver. — Zgoda co do tego, że sprawa tej Mills nie jest lustrzanym odpowiednikiem afery Craytona. Choć myślę, że jest tu jednak jakiś związek. Zwłaszcza biorąc pod uwagę reakcję Stacy.

—Intencja przestępcza jest tu jeszcze bardziej wyraźna niż w przypadku Elizabeth Tarkum — zgodził się Decker.

—Więc może istotnie zachodzi tu jakiś związek.

—A wspólną nitką tu jest... — zastanawiał się na głos Decker.

Oliver wzruszył ramionami.

—Crayton miał wielu wrogów. Ludzie mogli mu życzyć śmierci z różnych powodów. Może był jakoś związany z tymi paniami. Bo te przypadki najwyraźniej nie pasują do innych porwań. Kobiety nie miały ze sobą dzieci, a ofiary nie były napastowane w swoich wozach.

—Więc po cóż porywać teraz te kobiety, skoro sprawa Craytona jest już stara?

—Po pierwsze, Elizabeth Tarkum porwano sześć miesięcy temu. Po drugie, napastnik mógł uznać, że to dobra pora, by zrobić to z Mills, ponieważ policja może teraz wrzucić do jednego worka jej porwanie i te, którymi zajmuje się prasa.

— Stacy twierdziła też, że sprawca mówił jak rodowity Amerykanin. A niektóre z naszych kobiet z dziećmi podają, że mówił z akcentem obco-krajowca — dodała Marge.

—Ale Stacy go nie widziała.

— Nie — powiedziała Marge, zwracając się do Deckera, swego dawnego partnera, który teraz był jej szefem. Nie był specjalnie zachwycony tą informacją, sprawiał raczej wrażenie przygnębionego. — Sprawa Craytona nadal pozostaje otwarta. Myślę, że powinniśmy jeszcze raz przekopać się przez te akta i sprawdzić, czy Stacy Mills bądź Elizabeth Tarkum gdzieś tu nie pasują.

Decker poprawił się w fotelu.

— Zróbmy to. Trzeba będzie sporządzić listę dawnych przyjaciół i znajomych Craytona, a następnie sprawdzić, czy któremuś z nich nie grożono, nie obrabowano go, czy nie dostawał dziwnych telefonów... a może

także, czy do niego nie strzelano. — W pokoju zapadła cisza. Oliver próbował ukryć swoje obawy. Ale Decker nie zwracał na niego uwagi. Patrzył w sufit. — To znaczy, że będę musiał porozmawiać ze swoją córką. Marge otworzyła szeroko oczy.

—Z Cindy? A po co?

—Ona знаła Craytona — wyjaśnił.

W jednym nagłym momencie Oliver odczuł ogromną ulgę. Nie dał nic po sobie poznać i udawał zakłopotanie.

— Co takiego? Jak to się mogło stać?

— Chodzili do tej samej siłowni — wyjaśnił Decker. — Taka przygodna przyjaźń.

— Przygodna przyjaźń? — powtórzyła ten zwrot Marge.

— To jej wersja. — Decker był urażony. — Tyle mi powiedziała. Któregoś dnia szli razem w stronę parkingu przy tej Sali sportowej. Ktoś do nich strzelał.

—O Jezu! — emocjonował się Oliver. — Kiedy to było?

Twarz Deckera skrzywiła się.

—Ponad rok temu. Tuż przed zamordowaniem Craytona.

— Teraz nam to mówisz? — Ton głosu Olivera wyrażał oburzenie.

—Racja. — Z twarzy Deckera jakby uszło powietrze. — Mówię ci to teraz. Nic mi nie powiedziała, zanim to się nie stało z Craytonem. Kiedy to w końcu wyznała, wypytałem ją o wszystko. Mówiła, że nie widziała strzelca i że nie miała żadnych podejrzeń, kto by to mógł być. Nie wyglądało na to, że coś ukrywa, więc przyjąłem to wyjaśnienie. Wynikało z niego, że celem był Crayton, a ona znalazła się tylko w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

—Musiała być jak sparaliżowana — wtrąciła się Marge. — Biedne dziecko.

— Była całkiem roztrzęsiona. — Decker sięgnął po papierosa i bawiąc się nim, obracał go między palcami. — Kiedy mi to powiedziała, doszła już z tym jakoś do ładu;

W biurze zrobiło się cicho.

Decker szarpał końce swoich wąsów.

— Powiedziałem jej, żeby trzymała głowę na kłódkę. Przykazałem też, żeby natychmiast do mnie zadzwoniła, gdy tylko pojawi się najmniejsze choćby zagrożenie. Jak dotąd, o niczym takim mi nie wspomniała, ale Cindy chroni swe życie osobiste... tak, osobiste.

Oliver przełożył nogę.

— Trzeba jej uświadomić, że wszystko to leży w jej własnym interesie. Powinna też nabrać przekonania, że nie jest od ciebie gorsza.

— Powiem jej to — zgodził się Decker.

— Pozwól, że Marge i ja ją przepytamy. Możemy być obiektywni. Ty nie. A poza tym, z nami będzie bardziej otwarta...

— Nie jestem pewien, czy tak będzie.

— Peter, ona mogła być zbyt zakłopotana, żeby ci powiedzieć, co łączyło ją z tym facetem — perswadowała Marge.

Decker skrzywił się.

— Nie wiem, czy coś między nimi było.

— Więc lepiej będzie, gdy Marge i ja ją wypytamy. — Oliver usiłował być pomocny. — Słuchaj, zadzwonię do niej, dobrze? Powinna być teraz w Hollywood, prawda? — Nawijał bez zająknięcia. — A poza tym chciałbym omówić sprawę Tarkum z Rolfem Osmondsonem. Z nim i z takim krawężnikiem Crai- giem Barrowsem, który uważa, że sprawa Tarkum zdradza pewne podobieństwa do sprawy Craytona...

— Jakie podobieństwa? — spytał Decker.

— Tak z rękawa ci nie sypnę. Zaraz jak stąd wyjdę, spróbuję porozmawiać z Cindy. — Decker nic nie powiedział. Oliver przyjął jego milczenie za znak aprobaty. — Dziś wieczór jestem wolny. Raz wreszcie z tym skończmy w imię spokoju ducha Decka. — Spojrzał na Marge. — Co o tym sądzisz?

— Musiałabym jeszcze porozmawiać przez telefon... prze- łożyć parę spotkań.

— Trzeba by ją migiem przepytać. Jeśli ty teraz nie możesz, zrobię to sam.

Wzrok Deckera z wolna powędrował znad jego biurka do twarzy Olivera. Scott był dostatecznie bystry, by złapać kontekst. Nie narzucał się. Wzruszył tylko ramionami.

— Szeffie, jak chcesz, możesz iść z nami, ale to może być dla niej krępujące.

— A niby czemu sądzisz, że ona tobie to powie?

Oliver poczuł się niewyraźnie. W istocie chciał tylko ostrzec Cindy. I chciał to zrobić, będąc z nią sam na sam. A to by już były wątki osobiste.

— Myślę, że mógłbym z niej coś wydobyć. Ale jeśli masz wątpliwości, zaczekam na Marge. To twoja córka. Ty wspomniałeś o tych strzałach — odparł.

Decker spojrzał na Marge.

—Przełóż swoje spotkania.

—Nie powinno być z tym kłopotu.

— Świetnie! — Oliver udawał entuzjazm, choć nie bardzo mu odpowiadało, że Marge będzie teraz wisiała przy telefonie. W głębi duszy jednak wiedział, że tak będzie najlepiej. — Gdzieś koło ósmej, Marge, co?

— Zgoda. Gdzie ona mieszka?

—Przy Culver City — wyjaśnił Decker.

Oliver zastanawiał się.

— Miałem się wybrać do Hollywood koło szóstej. Więc o ósmej mogliśmy się umówić z Cindy. — Spojrzał ostentacyjnie w stronę Deckera. — Czy to ci odpowiada?

Zgodził się z pewnym ociąganiem. Nie lubił tracić nad czymś osobistej kontroli, ale wiedział, że Scott miał rację. On sam nie mógł tu być obiektywny. Spojrzał na zegarek.

— Zadzwoń do niej... wyjaśnię całą tę sytuację i powiem jej, że wy oboje będziecie o ósmej. A do tego czasu musicie jeszcze raz gruntownie przejrzeć akta sprawy Craytona. Uzgodnijcie ze sobą plan spotkania i wyciągnijcie z niej, co chcecie. Zapytajcie też Kormana, czy rozszerzono śledztwo o kradzieże innych luksusowych wozów w kolorze czerwonym.

Oliver podniósł się.

— To brzmi rozsądnie.

TLR

— Jeszcze jedno. — Decker wstał i otworzył drzwi. — Stacy Mills sprawca kazał położyć się na ziemię. Oczywiście, mógł zapamiętać ten zwrot z filmów czy z tych realistycznych widowisk o policjantach, ale musicie również wziąć pod uwagę, że ten facet mógł przejść przeszkolenie zawodowe.

—Sprawca byłby gliną?

—Gliną czy byłym gliną, kimś wydalonym z akademii policyjnej, wykopanym z sił porządkowych, Wydziału Policji Hollywood, z biura szeryfa, może to jakiś ochroniarz lub były ochroniarz, federalny z sekcji alkoholu, tytoniu i broni, wojskowy — słowem, ktoś kto nosi mundur i czuje potrzebę używania siły.

Cindy przełożyła słuchawkę do drugiego ucha.

—Ojciec wspominał o tym bardzo wymijająco. Skąd to wynikło?

—Twój tatko wywłókł to w związku z tą ostatnią sprawą...

—Co? — wrzasnęła. — Nie słyszę cię.

—Wywłókł to twój tatko!

—Mój tatko! A czemuż to? O czym wy faceci gadacie?

—Cindy, ledwo cię słyszę. — Dzwonił z automatu o przecznicę dalej od komisariatu. Rozmowę zakłócały odgłosy ruchu ulicznego o dużym natężeniu. Rozejrzał się. Wokół ani żywego ducha. A nawet gdyby ktoś był, co mógłby usłyszeć? — Wszystko ci wytłumaczę, kiedy się zobaczymy.

—A jak to wytłumaczyłeś Marge?

— Słuchaj... twój tatko powiedział, że bylibyśmy o ósmej, zgoda?

—Zgoda.

—Marge i ja przyjedziemy osobno. Więc byłbym tak, jak planowaliśmy. Około wpół do ósmej.

—Lepiej o siódmej. Będę miała do ciebie parę pytań.

Oliver zawahał się, a potem odparł:

—O siódmej trzydzieści, Cindy. Będę o siódmej trzydzieści. Po drugiej stronie nic nie było słychać.

—Dobra, o siódmej trzydzieści — chłodno zgodziła się Cindy.

— Mam takie wrażenie, że twój tatko mógłby się niespodzianie zjawić. Nie lubi się kimś wyręczać, gdy chodzi o jego rodzinę. Jesteś jego córką, więc musi być tym wszystkim osobiście zainteresowany. — Odczekał chwilę.—Wiem, że znajdzie powód, by zjawić się pod twymi drzwiami. Czuję to tak, jak się czuje powiew wiatru. Może mógłbym się jakoś wytłumaczyć, będąc tam ze dwadzieścia minut, do pół godziny wcześniej... ruch był mały, uporałem się trochę wcześniej ze sprawami w Hollywood, ple ple... Ale nie umiałbym mu wyjaśnić, dlaczego jestem tu od godziny. To by znaczyło, że z góry to zaplanowałem.

—Więc co teraz planujesz, Scott?

—Teraz ty musisz być mądrym facetem.

—Dobra. Siódma trzydzieści. Dla mnie bez różnicy — ucięła Cindy.

—Zgoda. Zobaczymy się później. — Oliver uśmiechał się, odkładając Słuchawkę. Powiedziała, że dla niej to bez różnicy. Ale z jej głosu mógł sądzić, że tak nie jest.

Webster przeczesał palcami swe karmelowe włosy. Siedział zgarbiony nad biurkiem, szara tweedowa marynarka zwisała na poręczy krzesła. Kończył właśnie trzydzieści pięć lat, a żona napomykała mu coś o przyjęciu. Był zajęty, ani mu było w głowie myśleć o urodzinach. Wiek nie był jego piętą achillesową, wyglądał wciąż młodo i czuł się młodo. Choć życie w wielkim mieście na pewno biegło szybciej niż w Tupelo. Zadziwiała go to niesłychane tempo życia w L.A., krew pompowała tu więcej adrenaliny niż gdzie indziej.

Segregował dokumenty dotyczące sprawy Craytona; opasłe akta zawierające mnóstwo podniszczonych, wielobarwnych stron. Były tam protokoły z autopsji: graficznie opracowane zdjęcia zmaltretowanego ciała z odsłoniętymi kośćmi, zwęglonymi i szerniałymi. Z tuzin czarno-białych zdjęć z wypadku, obejmujących szczegółowe wyliczenie tego, co można było znaleźć w spalonym rollsie. Były też doniesienia osobiste w sprawie Craytona, szereg stron opisujących oszusta oraz jego wymuszenia, tajemnice i szwindle. A także dokumenty sądowe, wyciągi z procesów ja-

kichś zawiedzionych osób i relacje z postępowania rozpoznawczego, które potem umorzono.

Armand dobrze sobie zapracował na to, by mieć wrogów.

Webster podniósł wzrok znad papierów i zawiesił swe dziecięco błękitne spojrzenie na twarzy Marge.

—Siadaj. Muszę trochę rozprostować kark.

—Przykro mi. — Przysunęła sobie krzesło.

—Bert i ja rozmawialiśmy z głównymi podejrzanymi. Trzech czy czterech wygląda dość obiecująco... A to ci, co mieli do niego najwięcej pretensji. — Wręczył jej listę.

Marge usiadła wygodniej i przejrzała szybko tę listę.

—Co znalazłeś?

—Wszyscy mieli jakieś alibi. Odniosłem wrażenie, że musieliśmy coś przegapić albo ktoś coś ukrywa. Wdowa. Utrzymywała nas w przekonaniu, że wszystko gra... że zrobiliśmy wszystko, co tylko było można. Uspokajała nas, jakbyśmy byli dzieciakami stojącymi przed jakimś trudnym egzaminem. Jej postawa nas zaskoczyła. Doszedłem do wniosku, że najprawdopodobniej chciała nas po prostu spławić.

—Dlaczego?

—Bała się, że ktoś się do niej dobierze.

—Czy napomykała o tym, że czuła się zagrożona?

—Prawdę mówiąc, bagatelizowała to, twierdziła, że porwanie musiało być czystym przypadkiem, ponieważ Armand prowadził wóz bardzo kosztowny i zwracający uwagę. To mogło spotkać każdego. Mówiliśmy zawsze z Bertem, że chcemy tylko jednego — żeby matka Armanda była zadowolona.

Nie zyczyłem może najlepiej Stacy Mills, ale odczułem zadowolenie, że tchnęła ona nieco życia w sprawę Craytona.

—Więc nie przeprowadzałeś nigdy wywiadu ze Stacy Mills ani z Elizabeth Tarkum?

—Nie. Ale jestem przekonany, że Armand miał jakieś tajemnice, które zabrał ze sobą do grobu. Mills, Tarkum i jego żona mają pewną zdecydowaną przewagę nad Craytonem, Marge. Oni jeszcze żyją.

—Kogo wziąłbyś na pierwszy ogień? — zastanawiała się Marge. — Jego żonę?

—Niewątpliwie jego żonę — przytaknął Webster. — Ale jeśli znajdziesz coś, co przegapiłem, nie wypominaj mi tego bez końca.

TLR

Rozdział jedenasty

Armand Crayton mieszkał w eleganckiej zabudowie odległej zachodniej dzielnicy San Fernando Valley. Na półakrowej przestrzeni wyrastało trzydzieści domów, były tam sztuczne jeziora i laguny oraz szmaragdowozielone pole golfowe, które wynurzało się niczym ożywcza fala. Nieco w głębi, u stóp wzgórza, usytuowany był klub, centrum odnowy biologicznej i dwa korty tenisowe, ale Oliver i Marge nie mieli wcale zamiaru tam się zapuszczać. Posiadłość Craytona wznosiła się zaraz z przodu. Marge nacisnęła przycisk domofonu i oznajmiła swoje przybycie. Nie było odpowiedzi, ale chwilę później otworzyła się kuta żelazna brama.

Marge dziwiła się, w jaki sposób porywacze mogli się tu dostać i stąd wyjechać. Spytała o to Olivera.

—Bert miał dwie teorie — odparł. — Porywacze mieli magnetyczną kartę wejściową, a może zadzwonili przypadkowo do jednej z rezydencji, podając się za dostawców, i ktoś naiwny otworzył bramę. Beznadziejnie głupie posunięcie, bo przecież wszyscy regularni przybysze, jak listonosze, doręczyciele paczek, lokalna pralnia, dostawcy smakołyków, dochodzący weterynarze i fryzjerzy psów itp., mieli swoje karty wejściowe.

—To znaczy, że mnóstwo takich kart jest w obiegu.

—Tak, bardzo łatwo jest je zdobyć — zauważył Oliver. — Nawiasem mówiąc, nikt z miejscowych rozmówców nie potwierdził teorii „zadzwoń, a zaraz ci otworzą”. Nikt by ich nie wpuścił.

—Więc ktoś od wewnątrz?

—Prawdopodobnie, ale nie ma dowodów na to, że to mogła być jego żona. Zgodnie z tym, co zdołaliśmy ustalić, blokada zwalnia się automatycznie. Dać tu nura porywaczowi byłoby chyba trudno.

Marge zgadzała się z tym. Postawiła wóz, wysiadła, przeciągnęła się i rozejrzała po tym spokojnym osiedlu, które było miejscem przestępstwa. Jednopiętrowe domy utrzymane były w śródziemnomorskim stylu, przynajmniej wszystkie te w najbliższym sąsiedztwie, kwadratowe, przeszklone balkony miały kamienne wsporniki, a dachy pokrywały wpusz-

czane, pseudohiszpańskie czerwone dachówki. Mury były licowane jasnymi, morelowymi stiukami, a wszystko to przesłonięte palmami, drzewkami bananowymi i drzewiastą paprocią. Rzucały się jednak w oczy oznaki zaniedbania. Trawniki były zapuszczone, wszędzie porastały chwasty, a jasnoszare smugi zacieków na tynkach pod narożnikami okien sprawiały wrażenie, że dom płacze. Drzwi wejściowe znajdowały się we wnęce pod łukowym portykiem. Marge nacisnęła dzwonek. Do drzwi podeszła młoda kobieta w wieku może dwudziestu paru lat.

— Pani Crayton?— spytała Marge.

—Nazywam się Lark. Pani Grayton to moja dawna teściowa. Jesteście z policji?

—Detektyw Oliver — przedstawił się Scott. — A to detektyw Dunn. Jesteśmy wdzięczni, że zechciała się pani z nami spotkać.

—Taa, oczywiście. — Lark otworzyła drzwi na całą szerokość. — Proszę wejść.

Gdy tylko Oliver przekroczył próg, zdziwił się; czemu u diabła Tom i Bert nic nie wspomnieli o urodzie wdowy. Wysoka i szczupła, piersi wypełniały jej jasną, białą koszulkę. Nie można było nie zauważyć tych wspaniałych nóg, rzucających się w oczy nawet w dżinsach. W twarzy pani domu dominowały kąty ostre; ostry zarys szczęk, mocny podbródek, wystające kości policzkowe. Popielatoblond włosy związane w koński ogon, szare oczy spoglądały spod zaakcentowanych czernią powiek. Bujne, naturalne wargi — wargi zabójcy.

Powiodła ich przez piętrowy korytarz wejściowy do pokoju, który najwidoczniej pełnił rolę saloniku, pokoju rodzinnego i cichego kąta do pracy. Plan konstrukcyjny tego pomieszczenia był tak otwarty, że trudno sobie było wyobrazić, by można tu było pełnić jakieś urzędowe funkcje. Beżowe ściany zabudowano meblami w tonacji jasnych brązów i kości słoniowej. Na podłodze leżał jasnobrązowy dywan. Rośliny doniczkowe przydawały temu bezbarwnemu wystrojowi nieco życia, a przez odsłonięte okna można było dostrzec skrzącą się błyskami wody sadzawkę w wewnętrznym patio. Gospodyni wskazała przybyszom kanapę, a sama

zajęła miejsce na jedynym w tym pokoju monstrualnie wielkim fotelu, stanowiącym najnowszy krzyk mody.

Nogi ułożyła swobodnie na oparciu fotela.

„Tylko spokojnie”, pomyślał Oliver. Sposób, w jaki na niego patrzyła, czynił zeń pospolitego kmiota. Ta poza pewnie nie raz przydawała się jej w przeszłości. Mówiąc, patrzyła ci prosto w oczy.

—Znaleźliście coś nowego?

—Żadnego trzęsienia ziemi, ale my jeszcze... — zaczął Oliver, ale mu przerwała.

—Taa, taa. — Lark odwróciła wzrok i demonstrowała teraz swe znużenie, wzięła ze stołu szkatułkę z papierosami i bawiła się przyciskiem. Wieczko odskoczyło z trzaskiem. Pewnie chciała zapalić, zwróciła się do Marge: — Rzuć mi tę zapalniczkę, dobrze?

Marge zawahała się. „Przemawiała do niej lekceważącym tonem, jakim się zwraca do służby”. Wzięła ze stolika do kawy ozdobny srebrny przedmiot i uniosła go w górę.

—O to chodzi?

—Taa, taa — potwierdziła Lark. — Rzuć mi ją.

Marge oparła się pokusie, by cisnąć zapalniczkę, tak jak się rzuca szybką piłkę. Nie, podrzuciła ją lekko w górę. Lark złapała ją jedną ręką, potarła krzemień i zapaliła. Odłożyła zapalniczkę i szkatułkę na blat stolika do kawy i wydmuchnęła długie, leniwe pasemko dymu. Po czym zwróciła się do Olivera:

—Więc po coście tu przyszli?

—Ostatnio zdarzyło się parę incydentów, które nas niepokoją. Lark pociągnęła dymka.

—Jakich tam incydentów?

— Chodzi o porwania wozów — wyjaśniła Marge. — Sądzymy, że może to mieć związek z tym, co się zdarzyło pani mężowi.

—Ciekawe jak — odparła Lark. — Z tego, co czytałam, odnosi się to do kobiet z dziećmi.

—Były jeszcze inne, o których może pani nie słyszała — wyjaśniła Marge. — To się rozszerza. Zastanawialiśmy się, czy nie miała pani ostatnio jakichś telefonów z pogrózkami...

—Myślisz, że ktoś chciałby mnie dorwać? — Z ostentacyjnie kwaśną miną wyraziła swą niewiarę. — Trochę na to za późno, nie sądzisz? Mójego męża zamordowano rok temu.

—Więc nie pamięta pani żadnych pogrózek?

—Nie. Absolutnie żadnych. Myślę, że to przypadkowa sprawa, już o tym mówiłam glinom. Bo Armand prowadził wtedy czerwonego corniche'a swej matki i był dość krzykliwie ubrany. No wiecie, złoty naszyjnik i wielki rolex. I to był ktoś z zewnątrz. — Zaczęła wybijać stopą jakiś rytm. — Ktoś, kto miał do niego sprawę... znał jego zwyczaje... Armand stanowił łatwy cel, żył jakby... na pokaz. Mnie nikt się potem nie czepiał. Wiecie, nie pali się dwa razy w tym samym domu.

„Ale tak bywa”, pomyślała Marge.

—Twój mąż miał wrogów — powiedziała.

—Jak się komuś wiedzie w biznesie, to ma się wrogów. — Wydmuchnęła leniwie kolejne pasemko dymu. — Zawistnych ludzi nigdy nie brakuje. Wiecie, gazety zaraz to rozdmuchały, jakim to wielkim graczem był Armand. Ale nigdy nie pisały, ile czasu musiał poświęcać swym interesom. Miał takie marzenie. Któryś z tych nędznych skurwieli wydobył to od niego. — Wypuściła dym. — Wiele przemyślałam przez ten ostatni rok, czekając, aż przyjdzie ubezpieczenie.

—Przyszło?

—W końcu przyszło! — oznajmiła z dumą Lark. — Trzy tygodnie temu. Dużo im to zajęło czasu, skurczybykom. Dom jest teraz w depozycie. Jak tylko umowa zostanie zawarta, zrywam się stąd. Mamy z Armandem mieszkanie własnościowe w Marina. Tam jest wszystko, włączając nawet portiera. A to miejsce jest dla mnie za duże... nie mówiąc już o wspomnieniach. I potrzeba mi tych pieniędzy za dom, żeby spłacić długi Armanda.

Boże, miał tego od groma. Nie mówiąc już o procesie. — Jej głos nabrał goryczy. — Jezu, co za brudy. Niemal cały czas mi schodzi na spo-

tkaniach z wierzycielami i w sądzie upadłościowym. Już rok, jak tkwię w tym piekle.

—To musiało być okropne, tak się handryczyć o pieniądze, gdy tu żaloba — odezwała się Marge.

—Taa, owszem, trochę. — Zdusiła peta w popielniczce. — Jeszcze tylko dwa terminy w sądzie i adwokat mówi, że się urwę.

—Czy jest pani w kontakcie z dawnymi Znajomymi Armanda? — spytała jeszcze Marge.

—Proszę pani, ani razu się nie kontaktowałam z żadnym z dawnych przyjaciół Armanda. Odcięłam się od tego. Nie, żebym nie miała dobrej jazdy z Armandem. Ale teraz chcę być już poza tym.

„Wdówka całkiem przytomna”, pomyślał Oliver. Kto zresztą mógłby ją o to winić? Przypuszczalnie poślubiła tego faceta, spodziewając się barwnego i fajnego życia — szmal, dragi, seks, sprawy na boku z podręcznym chłopaczkiem, kiedy stary mąż jest poza domem. A tu zamiast tego wszystkiego musi się uporać ze sprawą zabójstwa małżonka, niebotycznymi długami, a do tego — najgorsze, co może się trafić w L.A. — stała się żerowiskiem dla prasy.

—Zatem nie odbierała pani jakichś listów z pogrózkami ani nie miała dziwnych telefonów? — spytał Oliver.

—Chyba że masz na myśli dyszenie i bekanie w słuchawce? — Oliver wpatrywał się w nią. — Żartowałam sobie! — powiedziała. — Żadnych dziwnych telefonów, z wyjątkiem tych od adwokatów przeciwnej strony. I niech mi pan pozwoli coś powiedzieć, detektywie Oliver. Wolę już mieć do czynienia z nieprzyzwoitymi odgłosami w słuchawce niż z adwokatem każdego dnia w tygodniu.

Już, już myślała, że udało się jej wymknąć, gdy Tropper złapał ją dosłownie w ostatniej chwili, gdy wychodziła z pokoju. Skinęła grzecznie głową. Powrócił do pozdrowień, które zabrzmiały trochę jak oskarżenia.

— Zapowiada się ładny dzień, prawda, Decker?

— I do tego długi, szefie — odparła Cindy. „Ileż to jeszcze dodatkowych godzin chce mi dołożyć?”

— Dokąd to się zrywałaś?

— Na obiad z tatką — zełgała.

Tropper kiwnął głową.

— Chciałbym któregoś dnia spotkać się z porucznikiem.

„Niby jak ma na to odpowiedzieć?” Udało jej się przywołać uśmiech.

— Świetnie! — Nic nie mówił, pewnie czekał na więcej. „Chyba nie spodziewa się, że go natychmiast zaproszę?” — No dobra, to chyba już pójdę. — Jeszcze jeden wymuszony uśmiech. — Nie dam za długo czekać oficerowi wyższemu rangą.

— To mi się podoba, Decker — odparł Sierż. — Bardzo dobrze.

— Dobrego dnia, szefie. — Powoli, usiłując nad sobą zapanować, okręciła się na pięcie i wyszła. Gdy tylko straciła go z oczu, pobiegła od razu do szatni, wściekając się ze złości, że będzie miała na sobie przepocone ubranie. Hayley Marx już tam była, czesząc włosy i przeglądając się w lustrze maślanymi oczami. Gdy ujrzała Cindy z plamami potu pod pachami, udała, że tego nie widzi.

— Cześć, Decker. Straciliśmy się z oczu tego ostatniego wieczoru u Belliniego.

Cindy otworzyła swą szafkę i zaczęła powoli zdejmować mundur.

— Co się stało?

— Joey Goudis się upił i porzygał się na Andy Lopeza.

— Ach, mój Boże! Biedny Andy!

— A pieprzyć go! Narozrabiał ten dupek. Oblał Bourbonem moją jedwabną bluzkę.

— Tak się uwalił?

— Gdzie tam, z czystego niezgulstwa. Rozpytywał o ciebie.

Ten Lopez. Pytał, kto cię wtedy odwiózł do domu. Powiedziałam mu, że sama tam trafiłaś. Martwił się o ciebie, bo wyglądało na to, że możesz się wpackować w kłopoty. Broniłam cię, ale to osioł, Decker.

— Nie pojechałam sama do domu. Zawieziono mnie tam. Scott Oliver zabrał mi kluczyki.

Harley odwróciła się i utkwiała w niej spojrzenie.

— Oliver cię odwiózł?

Cindy rozpięła koszulę.

— No tak. Pomyślałam sobie, czy to by nie ochłodziło moich stosunków z tatką, gdyby Oliver się wtedy nie przyplątał, a mnie by potem znaleźli gdzieś na słupie telefonicznym z poziomem alkoholu we krwi chyba z milion jednostek.

Hayley odczekała parę chwil, zamknęła swą szafkę i wciąż wpatrując się w Cindy, spytała:

— Co on ci powiedział? Oliver?

—Zanim się porzygałam czy potem?

Hayley uśmiechnęła się z trudem.

—Niezbyt fortunnie jak na pierwszą randkę, Decker.

—To nie była randka.

Zorientowała się, że Cindy nie kłamie, mogło tak być.

— Więc odwiózł cię do domu, co?

—Tak, Marx. Tylko mnie odwiózł do domu. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

—Wyszłam chyba na idiotkę. — Spuściła wzrok.

—No nie, to w końcu facet. Wypierzesz sama bluzkę?

—Jeszcze nie wiem. Bóg wie, jaką bym dostała z pralni. — Urwała. — Zresztą, nawet bym tego nie zaniósła do pralni. Nigdy. Tak czy owak, Andy był zdaje się niezadowolony, że go wtedy nie wybrałaś na kierowcę.

—Powiedz mu, że może następnym razem.

—A może sama byś wpadła wieczorem do Belliniego i powiedziała mu o tym? Wiesz, słyszałam, że Doogle podaje trzy drinki w cenie dwóch.

Cindy uśmiechnęła się do siebie. Ktoś z pracy ją jednak lubił.

Nawet po tym, jak ta baba się dowiedziała, że jej były przyjaciel odwiózł ją do domu. Oczywiście, już nie była tak głupia, żeby opowiedzieć Hayley o ostatniej kolacji... czy dzisiejszym spotkaniu. O co jej chodzi? W końcu, to nie jej sprawa. Niczyja sprawa.

— Jutro wpadnę. Muszę iść na zakupy. Mam w lodówce tylko trochę zepsutej sałatki, karton skwaśniałego mleka, szóstkę piwa w folii i szóstkę coli.

Hayley też się uśmiechnęła.

—Pożyczę ci swój Cudowny Bicz do ubijania sałatki.

—Ależ będzie ucza!

—Sklep zaczeka. Wybierzemy się razem.

—Ale ja muszę teraz. Potem mam jeszcze coś do zrobienia.

—Jakaś gorąca randka?

—Jeśli masz na myśli kazirodztwo, to tak. Tatko może do mnie wpaść.

—Chyba jesteś chora. — Zawahała się. — On jest w końcu żonaty czy nie... ten twój tatko?

—Tak, jest żonaty — zaśmiała się Cindy.

—Nie nabiera?

—Mój tatko jest najbardziej purytańskim facetem...

— Taa, taa. — Hayley wzruszyła ramionami. — Słyszałam już o takim jednym.

— Szczerze! A co, miałybyś chętkę namieszać z żonatym?

—Wypadł z obiegu. Ale dobrze jest znać osoby na wysokich stanowiskach. — Położyła rękę na gołym ramieniu Cindy. — Czemu sądzisz, że miałabym na niego ochotę?

—No wiesz, wydaje mi się, że on ma urzekającą osobowość. — Cindy naciągnęła golf przez głowę. — Jeśli chcesz żonatego faceta, Hayley, to chyba masz tu z czego wybierać.

—Ee... tam. Oni wszyscy są żonaci albo geje. — Hayley przysiadła na ławce przed szafką Cindy. — To takie przygnębiające, no wiesz.

—Co? Umawianie się z żonatym facetem? Mogę sobie wyobrazić, że to nie o to chodzi.

— Nawet nie w tym rzecz. Trzeba na to spojrzeć całościowo. Lubię swoją pracę, ale nie chciałabym tego robić już do końca życia.

Cindy skinęła głową, ale nic nie powiedziała. Kochała swoją pracę. Wiedzieć, że ją tu cenią... Stabilizacja to ostatnia rzecz, której by chciała.

—Wiesz, chciałabym to mieć któregoś dnia. Strzeżone ogrodzenie, wszystko na a, e, biały wan z tymi śmiesznymi uchwytami na kubki i naklejkami, które mówią: „Dziewczyna na pokładzie”. To takie samotne być macho. Niby nie wiesz, jak to jest, kiedy za długo jest się samą. Chciałabyś, żeby ktoś cię dotykał. No i pewnego dnia cię poklepują, chłopaki traktują cię jak faceta. No pewnie, to jest forma akceptacji. Ale w końcu zdajesz sobie sprawę, że to nie to.

—Na pewno masz rację. — Cindy zasunęła zamek w spodniach. — Odkąd to czujesz się taka wypluta? — „Ile czasu musi upłynąć, żebym sama się tak czuła?”

Wzruszyła ramionami.

To cię dopadnie, Decker. Może to coś takiego, co się czuje, gdy widzisz martwe dziecko.

Trzy miesiące temu w alei Dumpster znaleziono noworodka. Hayley tuliła w ramionach nieżywe, nagie ciało. To był jej jedyny połów. Cindy poczuła dreszcz. Położyła rękę na ramieniu Hayley.

—Chcesz ze mną iść na zakupy?

—Nie. — Hayley potrząsnęła głową. — Pomęcę raczej Doogle'a. — Rozpięła trzy górne guziki swej bluzki, — Myślisz, że mi się uda?

To pomęcz ich tam wszystkich, Hayley.

— Dobrze. Właśnie taki mam zamiar.

Oliver spojrział na zegarek. Była za kwadrans szósta, chyba już nie miał czasu, żeby wybrać się nad kanion, zadzwonić do Hollywood, przekazać coś i zobaczyć się z Cindy o wpół do ósmej. Mógł się spodziewać, że to stracony czas, przecież wiedział, że Decker się zjawi. Nie będzie miał okazji zobaczyć się z nią sam na sam. A jeszcze bardziej mógł się spodziewać tego, że Decker zostanie do końca wywiadu i nie zostawi jej samej. Czy nie lepiej by było zadzwonić do Cindy z komórki i na godzinę

zaprosić ją gdzieś na kawę? Mogliby sobie jeszcze przez parę chwil porozmawiać o tym, co zaszło w sprawie Craytona, a przede wszystkim, jak to się stało, że Decker włączył ją do tego na początek. A potem każde z nich wsiadzie do swego wozu i...

— Cześć, Scott, do ciebie mówię!

Oliver stanął jak wryty.

— Nie słyszałem cię, Marge. Co nowego?

— Jak mogłeś mnie nie słyszeć? Stoję tuż za tobą.

Popukał się w skroń.

— Skupiam się na sprawie Craytona.

— Nad czym konkretnie?

Posłał jej zamyślane spojrzenie, a jego umysł gorączkowo próbował znaleźć jakąś odpowiedź.

— Jak to się wszystko może zmienić i martwa, zdawałoby się, sprawa znowu ożywa. Wystarczy parę czerwonych wozów i od razu ruch w interesie. Oczywiście wciąż jesteśmy dalecy od znalezienia czegokolwiek.

— Taa, też o tym myślę. Szczególnie po tej naszej rozmowie z Lark.

— Dziwny ptaszek z tego skowronka, co?

— Może bardziej sęp niż skowronek — zauważyła Marge. — Scott, pamiętasz, co ona gadała, że Armand miał roleksa oyster?

— Taa, no pewnie. I co z tego?

— Zastanawiałam się nad tym. Myślę, że gdyby Crayton napatoczył im się przez przypadek, bo był bogaty, to może najpierw by go obrobili, nim by się do niego wzięli...

— Nie mieli na to czasu, Marge — wyjaśnił Oliver. — Jak tylko Lark zobaczyła, co się święci, wezwała od razu policję. Pościg był niemal natychmiastowy.

— Masz całkowitą rację. Gdy przeglądałam raport anatomopatologa, nie uderzyło mnie jakoś to, że nieboszczyk miał przy sobie portfel.

— Przecież się spalił — zdziwił się Oliver. — To niby jak patolog miał ci powiedzieć o tym portfelu?

— Znaleziono resztki nadpalonych pieniędzy i płatki skóry. Konkretnie chodziło o nominały o wysokiej wartości.

—Więc jak stwierdziliśmy, nie obrobili go. Choć gdyby miał przy sobie naprawdę grubszą forszę, być może doszłoby do rabunku.

—Taa, właśnie o tym myślałam. — Marge odchrząknęła. — Wiesz, ludzie noszą zegarki, bo stanowiły one część ich ciała. Wkładasz ubranie, robisz sobie makijaż — no dobrze, to ja robię makijaż. I na końcu zakładasz zegarek. Bez tego czuję się naga.

—Nie opowiadaj mi. On nie nosił zegarka. Dlaczego myślisz, że go obrabowano?

—Miał zegarek, Scott, ale nie był to rolex. To, co z niego zostało, wystarczyło, by stwierdzić, że to timex.

Oliver przyjął na siebie rolę adwokata diabła.

—Więc po prostu nie miał na sobie wtedy tego złotego paskudztwa.

—Możesz sobie wyobrazić, że taki facet jak Armand nosiłby timeksa?

—Miał go na sobie.

—Albo ktoś mu rąbnął zegarek, zanim się zramienił na skwarki — upierała się Marge. — Lark przecież mówiła, że jej zdaniem porywacze połasczyli się na te błyskotki, jak jego wóz i rolex model oyster. Scott, a czemu miałyby gadać o tym zegarku, jeśli on nie miał go na sobie tego dnia?

—Może mówiła abstrakcyjnie. A może po prostu nie wiedziała, że go nie założył.

—A może właśnie wiedziała.

—O czym ty mówisz? Znała plan porwania Armanda, więc zabrała mu ten złoty zegarek i pożyczyła inny?

Marge wzruszyła ramionami.

—Widziałeś tę kobietę. Czy wyglądała na pogrążoną w żałobie?

—Niezupełnie. Ale wiesz, Martinez i Webster grzebali w przeszłości tej kobiety i niczego nie znaleźli. Powiedzieli mi, że podczas wywiadu mówiła rzeczy, które chronią jej tyłek. Towarzystwo ubezpieczeniowe też długo i usilnie grzebało w jej przeszłości, zanim się zdecydowało wypłacić pieniądze. Cały rok to sprawdzali.

—Więc może my z kolei sprawdzimy te ich ustalenia. Niczego nie tracimy, dzwoniąc tam.

Telefon nie zawadzi, zgodził się Oliver. Lark była niebezpiecznie piękna, a przy tym tak beznamiętnie trzymała się na dystans. Byłaby świetna w roli „czarnej wdowy”. Trzeba by ją sprawdzić. Choć próba, o której pomyślał, mało miała wspólnego z przeszłością wdowy.

TLR

Rozdział dwunasty

Kolejka była długa, a obsługa bardzo wolna, bo zbyt wiele osób czekało na swoje pół czarnej, kawę sojowej mokki bez śmietanki lub filiżankę z odrobiną syropu amarettowego i chętnie też brali mleko, choć tak naprawdę nie było to prawdziwe mleczko do kawy. Cindy zmarzły już pięty, gdy tak stała za pięcioma innymi. Oliver, wreszcie nadszedł. Wyglądał na udęczonego z tymi swoimi czarnymi włosami w nieładzie i oczami nerwowo spoglądającymi na boki. Posłał jej spojrzenie w stylu dzikiego górala. Tak, to góral w szytym na miarę garniturze i krawacie od Gucciego. Opuściła swoje miejsce i skrzyżowała ręce.

— Żadna kawa nie jest warta takiego stania. Możemy sobie wziąć McMokkę w McDonalddie i pogadać w wozie.

Oliver uśmiechnął się.

— Co to za McMokka?

— Wymyśliłam to sobie. Coś takiego mogliby chyba sprzedawać Rayowi Kroc?

— On nie żyje.

— Tym mniejszy kłopot.

— Po kiego diabła stoisz w tej kolejce?

— Co?

Oliver odszedł na bok, zbliżył się do kontuaru i błysnął odznaką.

— Spiesz mi się. Dwie kawy.

Za ladą stała rezolutna nastolatka z przekłutym nosem. Spojrzała tylko na odznakę, ale posłusznie wypełniła polecenie. Chwilę później dwoje policjantów opuściło lokal, a Oliver trzymał w ręku dwa papierowe kubki z parującą kawą. Podał je Cindy i otworzył drzwi wozu od strony pasażera.

— Daj mi teraz te kubki.

Wręczyła mu kawę, a ze swojego kubka upiła trochę i powiedziała:

— Dzięki, choć to nie w moim stylu napinać mięskły.

—Więc to w porządku, kiedy codziennie narażasz życie na ulicy, dając się znieważać pijakom, złoczyńcom i różnym kreaturom. Ale nie możesz wystawiać swego tyłka w kolejce po kawę, za którą zresztą ja płacę!

—Zwrócę ci.

—Nie o to chodzi. — Oliver spróbował kawy i wypił jednym haustem. — Żeby chociaż była gorąca. No i cóż się stało tym ludziom? Mogę im zaoferować takie wspólne miejsca, gdzie nikt im nie poda nawet filiżanki kawy.

—Ach, te dobre stare czasy.

— Śmiejesz się, ale to prawda. A dzisiaj nie możesz nawet pożyczyć chusteczki, żeby wytrzeć sobie nos, bo jeszcze by ktoś pomyślał, że jesteś na zasiłku.

—Scott, to chyba dobrze.

—Co jest dobrze?

—Nie brać niczego za darmo. To wywołuje złe wrażenie.

—Więc pewnie myślisz, że jeśli przeciętny glina weźmie poza kolejką kubek kawy, to już prawie tak, jakby popełnił morderstwo. Jesteś tu jeszcze za krótko, żeby być aż tak zadufana.

—Ale jestem, tak czy owak. To właśnie urok młodości. A wracając do poważniejszych tematów: Co to się dzieje ze sprawą Craytona, Scott? Skąd się tam zaplątało moje nazwisko?

—Mówiłem ci już, chciał tego twój ojciec.

—W związku z czym?

—Byłaś przyjaciółką Armanda...

—Przypadkową przyjaciółką. Mam nadzieję, że to też powiedział.

— Jest powściągliwym sędzią.

Cindy zrobiła grymas.

— Wiedziałam, że mi nie wierzy. Poznałam to po jego spojrzeniu.

—Po jakim spojrzeniu?

—Takie ojcowskie spojrzenie, które mówi: „Przetraciłaś na cukierki swoje pieniądze na mleko, prawda?”

—Cała ta sprawa wyszła przy kolejnym porwaniu tego popołudnia — wyjaśnił Oliver. — Chodziło o pewną samotną kobietę w czerwonym beemerze. Crayton prowadził czerwonego corniche'a, a Elizabeth Tarkum, ta, o której ci opowiadał Craig Burrows, jechała czerwonym ferrari. Na Tarkum napadnięto podobnie jak na Craytona, biorąc ją razem z wozem. Potem ją wyrzucono, nic jej się nie stało, poza tym że była bardzo potłuczona. Szukaliśmy tu punktów wspólnych, czegoś, co pozwoliłoby powiązać te trzy zajścia.

—Punkty wspólne? Że niby były to same czerwone wozy?

—To jedno, a poza tym te kobiety mogły być jakoś powiązane z Craytonem.

—W jaki sposób? Przez interesy, czy raczej w grę wchodziły przyjemności?

—Tego nie wiemy.

—Więc mówisz tylko o dalekim, ogólnym planie.

—Mówimy o nie rozwikłanym od roku przypadku morderstwa, które ma pewne cechy podobne, wiążące je z bieżącymi przypadkami. Zaniebdalibyśmy swe obowiązki, nie badając tego pod wszelkimi możliwymi kątami.

—A co to ma wspólnego ze mną? — spytała. — Jeżdżę morskozielnym saturnem.

Oliver spojrzał na nią.

—Czy ty nie słuchasz tego, co mówię, Cindy? O kobietach, które być może są związane z Craytonem. A ty jesteś właśnie kobietą w określony sposób związaną z Craytonem. Kobieta, do której strzelano. Twój tatko się martwi, że możesz być następną ofiarą.

—To kompletna bzdura.

—Dlaczego? Bo chciałabyś, żeby tak było?

—Nie, dlatego że moje związki z Armandem były zupełnie bez znaczenia. A ty nawet nie wiesz, czy te porwania mają z nim coś wspólnego.

To o co właściwie chcesz mnie dzisiaj przepytawać? Czy jest coś jeszcze, czego byście nie wiedzieli?

—Chodzi o naturę twoich związków z Armandem.

—Już o tym mówiłam i tobie, i tatce.

—Zgoda, ale może Marge chcę zadać ci jeszcze jakieś pytania.

—Nie bardzo wiem jakie.

—Będziemy cię też pytali, czy nie miałaś jakichś dziwnych telefonów, jakichś listów...

—Nic.

—Żadnych pogroźek, a może nieokreślone poczucie, że ktoś cię śledzi? Cindy zawahała się przez moment, a Oliver zaraz to podchwycił.

—Jest coś takiego?

—Nic!

—Cindy!

—Nic szczególnego. Ani jakieś dziwne telefony, ani listy z pogroźkami i nikt za mną nie chodzi. Prowadzę życie uregulowane, wszystko zapięte na ostatni guzik, i nic takiego się nie zdarzyło... no, chyba że masz na myśli to zdjęcie mojej siostry, które zabrałaś z kominka.

—O czym ty mówisz?

—Wtedy, wieczorem, kiedy odwoziłaś mnie do domu. — Cindy usiłowała zachować spokój. — Kiedy byłam w łazience i próbowałam zwrócić to, co zjadłam, a ty przeglądałaś zdjęcia na moim kominku.

Oliver wpatrywał się w nią.

—Zgadza się? — Cindy szukała potwierdzenia.

—No dobrze i...

—Oglądałaś zdjęcie mojej siostry, jak była mała. Podniosłaś je...

—Niczego nie dotykałam. — Przerwał jej. — Nie, zaraz stamtąd wyszedłem. Skorzystałem tylko z twego telefonu, żeby przywołać taksówkę, i zerknąłem przez rolety, żeby zobaczyć, czy już nie jedzie. Dotykałam tylko tego. Niczego więcej.

Cindy nie odzywała się, próbowała obmyślić następny ruch.

— Nie ruszałem żadnych innych rzeczy, tylko to, co było w moim zasięgu. Gdy wchodzę gdzieś do domu, trzymam ręce w kieszeni. Taki na-

wyk z pracy. Nie dotykaj niczego, co może być dowodem. To co było z tym przesunięciem zdjęcia twojej siostry?

Cindy nie odpowiedziała, myślała o tamtym wieczorze. Kiedy weszła wtedy do pokoju, miał ręce w kieszeni.

Oliver zdusił swój pusty kubek.

—Wyjaśnisz mi to wreszcie czy nie?

—Oczywiście. — Próbowała zachować spokój. — Myślałam, że to ty przesunąłeś to zdjęcie. Jeśli nie, to może przesunęłam je sama podczas sprzątanania i zapomniałam odstawić na miejsce.

Grube kłamstwo i obydwój o tym wiedzieli.

—Czy ktoś może majstrował coś przy twoich drzwiach?

—Nie!

—A przy oknach?

—Wszystko było nietknięte.

—Szuflady nie były ruszane?

—Nie!

—Jesteś tego pewna?

—Tak!

—Kiedy ostatnio byłaś w domu?

—Dziś rano! — Zmarszczyła brwi. — Dlaczego robisz z tego takie halo?

—Nie robię żadnego halo, po prostu zadaję pytania. Żadnych dziwnych listów ani wiadomości na sekretarce?

—Mówię ci, że nie... — Nagle urwała.

—Wypluj to z siebie!

—Kartka na kierownicy wozu. Tam było tylko: PAMIĘTAJ.

—O mój Boże!

—To nic takiego, Scott. Może tę „przypominajkę” zostawił sobie ktoś z obsługi.

—Czy jeszcze to masz?

— Nie, wyrzuciłam. Przestań tak na mnie patrzeć. Skąd mogłam wiedzieć, że to takie ważne?

Oliver spojrział na zegarek. Była za dziesięć siódma.

— Chciałbym się rozejrzeć po twoim mieszkaniu, zanim oni przyjdą. Zobaczyć, czy wszystko jest na swoim miejscu.

— Jesteś śmieszny!

— Nie udawaj.

— Nie, nie udaję. Kocham siebie i akceptuję taką, jaka jestem. To coś spoza mnie, nie wiem, czy mnie rozumiesz.

— Posłuchaj mnie. Chodźmy tam, póki jeszcze czas.

Zwróciła uwagę, jak zmienił się wyraz twarzy jej rozmówcy.

Także ton jego głosu przybrał charakter profesjonalny. Mogła z tego odnieść wrażenie, iż sądzi, że ona próbuje go spławić.

— Zgoda, jeśli uważasz, że to takie ważne — powiedziała.

— No, nareszcie! Powinnaś też opowiedzieć ojcu wszystko to, co mnie powiedziałaś... o tej kartce i o zdjęciu.

— Mam go straszyć taką błahostką? Co to, to nie! I ty też nie powinnaś mu o tym wspominać. Bo jeśli poruszysz temat tego zdjęcia, będziesz się też musiał przyznać, że u mnie byłeś, a ja wcale tego nie chcę.

Ton jego głosu zrobił się teraz głębszy.

— Decker, to dla mnie żadna sprawa, powiedzieć twemu ojcu, że odwiozłem cię do domu, bo byłaś pijana. Pomyślałem sobie tylko, że to może być kłopotliwe dla ciebie.

— To nie ma sprawy — zgodziła się Cindy. — A jeśli o to chodzi, to wspomniałam też o tym Hayley Marx, ponieważ nie należę do osób, które mają coś do ukrycia.

Oliver gapił się na nią jak oniemiały.

— Chyba nie mówisz tego serio, prawda?

— Właśnie że tak. — Cindy skrzyżowała ręce i czekała na jego reakcję.

— Po kiego diabła opowiadałaś Hayley o tym, że odwiozłem cię do domu?

— O co ci znów chodzi, Oliver? Nie rozumiem cię. Byłam pijana, podrzuciłeś mnie. Koniec dyskusji.

Oliver niemal spadł z krzesła. Klepnął się w czoło.

—Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś! To zaraz dojdzie do twego ojca...

—I co z tego? Ty przecież tylko... wyświadczyłeś mi przysługę.

—Chryste! — Oliver miał już tego dość. — A niech wszyscy idą do diabła! Hayley Marx i ta jej wielka gęba! Przecież ta kobieta to billboard reklamowy! Nie wspominając już o szybkości, z jaką to rozpowie, żeby mi tylko zaszkodzić.

— Wydawała się całkiem w porządku, ona cię chyba lubi.

— Decker, nie znasz Hayley Marx. Teraz twój tatko już wie, że odwozłem cię do domu. A ja nie chciałem robić z tego sprawy. Przecież to ja sugerowałem, że przeprowadzimy z Marge tę rozmowę zamiast niego. Twój tatko nie miał pojęcia o tym, jak naprawdę było. No, a teraz to już na pewno wzbudzi jego podejrzenia. On jest moim szefem, Cindy. Czy o tym nie pomyślałaś?

Oczywiście, nie pomyślała.

Patrzył na nią z kwaśną miną.

—To chyba powiesz Hayley także o naszym obiedzie.

—A czemu bym miała o tym mówić?

— Dlaczego? A choćby dlatego, że mówisz szybciej, niż myślisz.

Cindy spojrzała na niego krzywo, przesywając go wzrokiem.

— Chyba jeszcze większy z ciebie dupek, niż można sądzić z twojej reputacji. I zapamiętaj, że nie zamierzam ojca informować o tej nocy, o jakimś głupim przesunięciu zdjęcia czy o tej kartce. Nawet mu o tym nie wspomnę. Więc jeśli chcesz tatce opowiedzieć o tym zdjęciu, powinieneś mu też przekazać treść rozmowy, którą właśnie teraz tocymy!

Widział przed sobą jej gniewną twarz. Była naprawdę w gorącej wodzie kapana i miała go gdzieś. Próbował teraz zmienić ton swego głosu.

— Czy to w ogóle do ciebie dociera, że się o ciebie martwię? Jak ojciec? I wbrew temu, co w tej chwili tak impulsywnie i na gorąco mówisz, wiem, że jesteś dobrą dziewczynką, i czułbym się okropnie, gdyby coś ci się stało.

Patrzyła na swoje kolana, a potem podniosła wzrok i mówiła, patrząc w sufit wozu.

—Bawisz mnie. Myślałam, że martwisz się o mnie, bo mnie lubisz.

—To też. — Machnął ręką. — Powinienem chyba trzymać się tych głupków. Są bliżsi mojemu IQ i niczego nie oczekują. Jedźmy już. Wracaj do domu. Sprawdź swoje zamki. Spotykamy się o ósmej.

— Więc nie wpadniesz wcześniej?

— Nie, nie wpadnę wcześniej. — Wpatrywał się w przednią szybę. Cindy włączyła na chwilę stacyjkę i otworzyła drzwi.

—Dobra, to spotykamy się o ósmej.

—Pilnuj lepiej swej dupy, dobrze?

—Świetnie. Przypilnuję swej dupy.

Wysiadła, zamknęła za sobą cicho drzwi, ale zawahała się przez moment.

Czekała, aż ją zatrzyma.

A pieprzyć to! Jakie to wszystko cholernie skomplikowane.

Wszystko, co dobre, z czasem się komplikuje.

Zobaczył, jak zakołysała się na nogach, poprawiła przy szyi swój czarny sweter. Przyglądał się, jak powoli idzie do swego wozu. Jej biały golfik wznosił się i opadał przy każdym oddechu, czarne spodnie opinały się na biodrach. Cieszył się opinią niezłego podrywacza. Ale ona też dawała sobie radę. Westchnął.

I kto tu będzie pilnował czyjej dupy?

Rozdział trzynasty

Tatko wcale na nią nie czekał; co do tego Scott się mylił. Główne zasuwki i zamki były zamknięte i zabezpieczone. Cindy przebadła również starannie futryny; nie znalazła żadnych nacięć ani śladów, żeby ktoś się dobierał. Wszystko wydawało się nietknięte. Czując się już trochę uspokojona, otworzyła drzwi i weszła do środka, rzucając sweter na tapczan. Szybki rzut oka upewnił ją, że to miejsce wygląda tak, jak je zostawiła. Kubek porannej kawy stał jeszcze na stole, gazeta była otwarta na stronie redakcyjnej.

Dobra. Więc to coś opiekowało się nią. Doznała uczucia ulgi, ale mieszało się z tym pewne rozczarowanie. Jej praca to zawsze coś nowego i nieprzewidywalnego. Natomiast jej życie osobiste całkiem odwrotnie, wydawało się przyziemne i mizerne. W końcu jednak wiedziała, że trzeba zachować umiar w sferze pragnień. Dla Chińczyków życzenie, aby spotkało cię coś interesującego, to klątwa.

Podniosła kubek z fusami i wyrzuciła je do zlewu, wzięła kieliszek i nalała sobie białego wina, choć wiedziała, że niedobrze jest pić na pusty żołądek. Ostatnio zdarzyło jej się zrobić parę głupich rzeczy, większość z nich miała związek z Oliverem.

Z kieliszkiem w ręku wróciła do saloniku, spojrzała uważnie na kominek. Fotografie rodzinne i porcelanowe zwierzątka były dokładnie tam, gdzie je zostawiła; świnki, koty, psy i krowy stały sobie rzędem w idealnej zgodności między gatunkowej.

Zasiadła przed telewizorem i włączyła go pilotem. Ekran wypełniały obrazy dwu osób przeciskających się przejściem supermarketu i wrzucających pośpiesznie do swoich wózków mnóstwo szynek w celofanowych opakowaniach. Dźwięk był wyłączony, więc kupujący wypadali tym bardziej komicznie, całkiem jakby grali w niemym filmie kampanii Keystone Kops. Pomyślała o Oliverze i zastanowiła się, czy miał jakiś powód, żeby ją straszyć. Zakładając, że miał, musiała sobie natychmiast zadać następujące pytanie: Dlaczego miałby to robić?

Czyżby cierpiał na kompleks supermana, faceta, który wkraczał na ratunek damom w kłopotach. Tatko nazywał ich BoH, skrót od Bohaterów Historii. Niezależnie od tego, jaka to była historia, niezmiennie kończyła się ona szczęśliwie. Bohater — i uwaga, zawsze myślała tu o bohaterze, nie o bohaterce, ponie-waż BoH to byli zwykle mężczyźni — używał zwrotów w rodzaju: „Gdyby mnie tam nie było” albo: „Gdyby nie ja” bądź już z przesadną skromnością: „Więc zapytali mnie o zdanie, a ja im zasugerowałem tak-a-tak, no i sprawdziło się co do joty”.

Czy dałoby się więc zaliczyć Olivera do BoHów? Z tym kompleksem niepewności? A może miał poczucie bezpieczeństwa, póki nie osiągnął wieku średniego. Może jego pragnienie, żeby być takim bohaterem, wyrastało z tych samych obaw, które sprawiały, że uganiał się za kobietami nie sięgającymi nawet połowy jego wieku. Albo usiłował przyjąć punkt widzenia swego szefa, pomagając jego córce. Chociaż to by nie miało sensu, bo przecież ukrywał przed szefem łączące ich stosunki. Wracała do punktu wyjścia: może naprawdę miał uzasadnione powody, by troszczyć się o jej bezpieczeństwo w związku ze sprawą Craytona.

Zegarek, który rozmyślnie ustawiła pięć minut do przodu, wskazywał siódmą trzydzieści trzy. Miała więc dość czasu, żeby przygotować sobie coś do jedzenia. To chyba dobry pomysł, bo jak miała odpowiadać na pytania tylko z winem na pusty żołądek. Wzięła się w garść i włożyła zamrożoną pizzę do kieszeni tosteru.

Ach, te podniety samotnego życia. Nawet mama, która wcale nie była jakąś czarodziejką kuchni, gotowała lepiej od niej. Jej tatko i macocha tradycyjnie zapraszali ją w każdy piątek na kolację w swoim domu, posiłek otwierający żydowski szabat. Wprawdzie nie cierpiała nadużywać ich uprzejmości, ale może to był dobry tydzień na to, by wreszcie skorzystać z zaproszenia Riny.

Macocha była bardzo religijna; ojciec poddawał się tym zwyczajom ze względu na nią. Ich życie stawało się dla Cindy czymś obcym. Mogłaby je porównać do wiktoriańskiego fotela świetnej roboty, urzekającego i pięknego, ale niepraktycznego w codziennym życiu. Jeśli jednak jej ojcu było w nim wygodnie i czuł się przez to szczęśliwy, to już dużo.

Pizza wyskoczyła właśnie w powietrze i wylądowała na ladzie całkiem niedaleko tosterka. Podniosła gorące ciasto i owinęła je w serwetkę; zaczęła już je przeżuwać, gdy jej spojrzenie padło na sypialnię. W co by się najlepiej ubrać, podejmując swych kolegów. .. czy może zwierzchników, żeby użyć trafniejszego słowa.

Tatko jako jej zwierzchnik. Teraz, gdy mija już niemal dziesięć lat, jak próbuje się uwolnić z więzów jego rodzicielskiej opieki.

„Więc kto jej doradził, żeby pracować w policji?”

Zdecydowała się na swój zwykły strój: biały golf i czarne spodnie, choć wolałaby włożyć dzinsy i bluzę. Ale tamten strój nadawał jej bardziej profesjonalny wygląd. Chwyciła za szczotkę, rozczesała swe czerwone włosy, a potem odświeżyła makijaż.

Czemu tak ją denerwowała ta rozmowa, która czekała ją za chwilę? A czyż nie miała powodów? Nikt nie lubi, jak się grzebie w jego osobistych sprawach, a jeśli chodzi o Craytona, to był on jej kołosem przez czysty przypadek. Weźmy taką Marge. Ona umiała zachować chłód. Była partnerką jej ojca, gdy Cindy miała te swoje naście lat, i zawsze go broniła, gdy tatko w czymś przesadzał.

Wpuściła golf w spodnie, a przy okazji zauważyła niemal niedostrzeżalną plamkę. Pewnie musiała rozlać kawę, choć nie pamiętała, żeby coś chlapnęło. Ale z białym zawsze jest ten kłopot. Odrobina brunatnej kawy wyglądała jak przybrudzony odcisk linii papilarnych. Ściągnęła górę i otworzyła szufladę ze swetrami.

I nagle serce zabiło jej głośniejsz, waliło jak młotem. Na samym wierzchu wszystko leżało schludnie jak zwykle. Zwinięte staniki były starannie złożone. Wystarczył jednak jeden rzut oka, by od razu poznała, że w środku ktoś grzebał. Bawełniane sweterki były po prawej stronie szuflady, a wełniane po lewej. Tymczasem ona zawsze, ale to zawsze układała wełniane swetry na prawo, a bawełniane na lewo. Otworzyła zaraz trzy inne szuflady komody, gdzie leżały spodnie i szorty, bluzki i piżamy, majtki, Skarpety i skarpetki.

To wszystko zastała w najzupełniejszym porządku. Tak jej się przynajmniej zdawało. A swetry nie.

A może się myliła.

Albo dostawała już świra.

Patrzyła na swoje łaszki, pot wystąpił jej na czoło, pod pachami zrobiło się jej gorąco i mokro, ręce się trzęsły. Wnętrznosci skreściły się jej w jeden gorący supeł. Przed oczami widziała gwiazdy. Odstąpiła dwa kroki w tył, póki nie oparła się łydkami o krawędź łóżka. Osunęła się w dół, skuliła głowę między kolanami, kaskada rudych włosów spłynęła na dywan. Przecież to nie z powodu tych sweterków, piła też wino. Musi przestać pić.

„Wdech, wydech. Dobra, teraz pomyśleć. Kiedy ostatni raz zaglądałaś do szuflady?”

Miesiąc temu? Czy może wcześniej? Czy to możliwe, żeby pomyliła kolejność, kładąc wełniane na lewo, a bawełniane na prawo, zamiast na odwrót? Analizując to bowiem na chłodno, musiała stwierdzić, że jej swetry były ułożone dokładnie w ten sam sposób, jak zawsze sama je układała. Stosiki uformowane były bardzo starannie. Dzięki swej skłonności do pedanterii zawsze formowała je w piękne, staranne stosiki. Może to nic, tylko przesadna gra wyobraźni, rozbudzonej podejrzliwością Olivera.

„W cholere z tym!”

Odrzuciła głowę do tyłu i wyciągnęła się grzbietem na materacu, patrząc w sufit. Mając na sobie tylko rajstopy i biustonosz, czuła, jak paruje jej zlane potem ciało. To ochłodziło nieco jej skórę.

„Włóż coś na siebie, Decker”.

Z wielkim trudem spróbowała się podnieść. Powłócząc nogami, podeszła do fatalnej szuflady i wyłowiła z niej czarny, prążkowany pulower.

Pomyślała teraz, że nie warto robić jakiejś wielkiej sprawy z tego, co leży na lewo, a co na prawo. Przypuszczalnie przestawiła to sama, choć mogłaby przecież zapamiętać tę zmianę. Może uświadomiła to sobie tylko dlatego, że usilnie szukała czegoś, co byłoby odstępstwem od normy.

Miała już włożyć ten golf z okrągłym wycięciem, gdy nos jej powiedział, że coś jest nie porządku. Musiała skorzystać z prysznica. Woda nie tylko odświeży jej ciało, może oczyści też myśli. Rozebrała się, nasunęła

plastyczny czepek na włosy i odkręciła kran, aż woda zaczęła parować. Jej ciało pod działaniem gorących igiełek najpierw się sprężyło, a potem rozluźniło w połączeniu przyjemności i bólu. Gdy wyszła z kabiny, skórę miała czerwoną jak rak. Znowu pojawił się zawrót głowy, tym razem jednak nie z powodu lęku, lecz niższego ciśnienia krwi. Siedząc na toalecie, wytarła się ręcznikiem i opuściła nisko kark, usiłując powstrzymać nadchodzący ból głowy.

Paranoiczne lęki gdzieś uleciały. Przede wszystkim, jak ktoś mógłby tu wejść bez naruszenia zamków? Sprawdziła przecież zasuwę i rygle przy drzwiach i oknach... no dobrze, przynajmniej główne zamki, tak.

Może powinna jeszcze raz sprawdzić okna, zanim ta policyjna sfera opadnie ją jak szarańcza. Powoli wstała, przeszła do sypialni i włożyła czarny kostium. Rozczesała włosy i zrobiła sobie świeży makijaż, tylko odrobinę błękitu i szminki, i połknęła profilaktycznie dwie tabletki od bólu głowy. Usunęła resztki pizzy z kieszeni tostera i wyrzuciła do śmieci w kuchni. Przy sposobności sprawdziła tam okno, trudno dostępne, bo szyba była równo ze ścianą, na wysokości drugiego piętra. Okno było zamknięte, na ramie nie znalazła żadnych charakterystycznych śladów. Gdyby jakiś wyciskający z siebie ostatnie poty intruz próbował się dostać do jej mieszkania, nie mógłby tego zrobić ani przez drzwi, ani przez okno w kuchni.

Chyba że byłby to zawodowiec.

Właśnie sprawdzała frontowe okna, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Była siódma trzydzieści dwie na jej śpieszącym się zegarze. Patrząc przez judasza, stwierdziła z ulgą, że to jej ojciec.

Bo wolała już wszystko, niż być teraz sam na sam z Oliverem. Otworzyła drzwi, usiłując zachować się normalnie; rzuciła mu karcące spojrzenie, choć naprawdę była rada, że go widzi.

—Tatku...

—Byłem tu w sąsiedztwie.

—Taa, byłeś w sąsiedztwie, bo właśnie się tu wybrałeś.

Decker uśmiechnął się. Chciał ją rozbroić.

—Czy mogę wejść?

—To byłoby dziwne, gdyby porucznik policji musiał zebrać w korytarzu, żeby wejść do środka. — Odstąpiła trochę w bok. — Wejdz. Nie będę na nic odpowiadać, póki nie zjawią się pozostali. Już to przerabiałam. Nie mam zamiaru powtarzać czegoś dwa razy, jeśli nie muszę.

—Masz rację. — Podeszedł do kominka i wziął zdjęcie Hannah. Uśmiechnął się. — Gdzie to było? W zoo, prawda?

—Taa. Nie widziałeś tego przedtem?

—Chyba tak. Po prostu zapomniałem, jakie to miłutkie. Mogłabyś mi dać odbitkę.

„Może to tatko przesunął to zdjęcie. Kiedy tu był ostatnim razem? Całe miesiące temu”.

—Masz rację. Twoja córka numer dwa jest miłsza od córki numer jeden.

—Uważam, że jesteś urocza. Ale bez ząbków nie wyglądałaś tak miło jak ona.

—Tak, można i tak na to spojrzeć. — Uniosła nieco sweter i obciągnęła go w dół. — Czy ta rozmowa jest naprawdę konieczna?

Tatko wzruszył ramionami.

—To się okaże.

—To tylko marnowanie czasu. Powiedziałam już wszystko.

—Oliver i Dunn sądzą, że mógłbym tu nie być dostatecznie obiektywny. — Decker odłożył zdjęcie na kominek. — Może i mają rację.

—Znowu rozległ się dzwonek do drzwi. Tym razem była to Marge. Ucałowała Cindy w policzek i rzuciła torebkę na tapczan.

— Trzymasz dla mnie to miejsce, odkąd ostatnio tu byłam.

—Ze dwa razy wszystkiego, nie więcej.

Marge spojrzała na Deckera.

—Skąd mogłam wiedzieć, że się tu wybierasz? — Przeniosła wzrok na Cindy. — Możesz mi powiedzieć, skąd on się wziął?

—Pewnie, że mogę. Cała ta rzecz jest niepotrzebna, Marge. Naprawdę, mało znałam tego faceta.

Marge wyjęła z kurtki notes.

—Masz na myśli Armanda Craytona?

—Tak. Już to przerabialiśmy. Koniec sprawy.

—Tylko że były te strzały — dodała Marge.

— Widzę, że ją w to wciągnąłeś — zwróciła się Cindy do ojca.

—Nie w szczegółach.

—Bo nie ma tu żadnych szczegółów.. — Cindy zwróciła się teraz do Marge: — Być może dla niego coś to oznacza, a może to czysty przypadek. Według mnie to się na pewno z niczym nie wiąże.

—Może lepiej zaczekajmy na Scotta, nim posuniemy się dalej — zaproponował Decker.

—Trochę się spóźni. Jego rozmowy w Hollywood miały opóźnienie już na starcie.

—Ale pokaże się tu? — Decker chciał wiedzieć.

—Taa, musimy tylko trochę na niego poczekać.

— Czy ma coś o tych porwaniach?

—Nie mówił.

— Ponieważ jakoś mnie to dotyczy, czy ktoś mi wreszcie powie, o co tu chodzi? — nalegała Cindy.

Marge usiadła na tapczanie.

— Musisz to brać pod uwagę. Siadaj, Cindy. Pozwól, że ci powiemy, co o tym myślimy. — I powtórzyła Cindy niemal słowo w słowo to, co Oliver powiedział jej godzinę temu. — Sprawdzaliśmy, czy te kobiety nie ubiły jakiegoś interesu z Craytonem, bo porwania były podobne. Ponadto rozmawialiśmy z kobietami, które go znały. Dlatego właśnie tu jesteśmy.

— Przede wszystkim, nigdy nie byliśmy prawdziwymi przyjaciółmi, to tylko przypadkowa znajomość. Byliśmy kumplami z siłowni. Nic więcej.

— Żadnych wspólnych interesów?

— Żadnych. Nawet gdybym chciała razem z nim coś rozkręcić, nie mogłabym. Nie mam pieniędzy.

— Czy rozmawiał z tobą o interesach? — spytał Decker.

— Ogólnikowo.

— W rodzaju?

— Dajcie spokój, to było już tak dawno... — Zmarszczyła czoło, jakby chciała się skupić. — Chodziło głównie o handel ziemią. Jeśli dobrze pamiętam... zaraz... to polegało na tym, żeby skupować grunty i obracać nimi z szybkim zyskiem. Ludzie się na to łapali, ponieważ stopa procentowa była niska, a ceny nieruchomości wysokie.

— A czemu ci o tym mówił, jeśli nie miałaś pieniędzy? — sondował dalej Decker.

— Przechwałki, tatku — odparła Cindy. — Popisywał się. Pewnie chciał mnie oczarować. Ale to nie działało.

— Dobierał się do ciebie? — spytała Marge.

— Nie w jakiś prosty sposób. Ale gdyby coś się zdarzyło, nie sądzę, żeby się zmartwił.

— Czy nigdy nie namawiał cię na spotkanie poza siłownią?

— Parę razy namawiał mnie na kawę. Powiedziałam: „Nie”. I to wszystko. — Zwróciła się do ojca: — Nic więcej nie było, już ci o tym mówiłam.

— Wiem. Ale teraz Marge cię pyta, a to co innego.

Marge zapytała:

— Kiedy do ciebie strzelano, Cindy, czy padły wtedy jakieś słowa?

— Nikt do mnie nie strzelał.

Marge zmodyfikowała swoje pytanie:

— Kiedy strzelano do Armanda i ty tam byłaś, czy ktoś coś powiedział?

— Nie.

—Nic? — spytał Decker.

—Nic. Dlaczego mieliby coś mówić?

—Dobra — zaczął Decker. — Gdyby to była zemsta, jak sędzę wymierzona w Craytona, ktoś mógłby coś powiedzieć, żeby podać powód swego przestępczego czynu.

— Coś w rodzaju motywu? „Masz, to dla ciebie, zasrańcu”.

— Wykrzywiła twarz w zabawną minę. — Tato... to chyba zbyt stereotypowe, nie sądzisz?

„Przestępcy są stereotypowi. Jak tekturowe układanki — poszczególne kawałki ściśle do siebie pasują”.

—Więc nikt niczego nie powiedział? — nalegał Decker.

—Ja nic nie słyszałam. Nawet gdyby tak było.

—Gdy padły strzały, szliście czy staliście?

—Ja... my... staliśmy przy jego wozie, tak mi się zdaje.

—Ale nie jesteś tego całkiem pewna.

—Nie, być może podchodziliśmy do jego wozu.

—Ty z nim szłaś do jego wozu? — precyzowała Marge.

— To znaczy, że nie szedł wraz z tobą do twego wozu?

— Jego wóz stał bliżej wejścia — wyjaśniła Cindy. — To by miało sens, prawda? Ktoś stał przy wozie Craytona. Ponieważ to Crayton był celem, prawda?

Nikt jej na to nie odpowiadał, więc jeszcze bardziej się znerwowała.

— Ile strzałów oddano? — spytała wreszcie Marge.

—Nie wiem. Nie liczyłam.

—Jeden, dwa... czy więcej?

—Być może więcej.

—Czy któraś z kul przeszła koło ciebie?

—Wydaje mi się, że tak.

—Jak blisko?

—Skąd mogę wiedzieć? Dałam nura za wóz, jak tylko usłyszałam wystrzały.

—Jego wóz? — spytał Decker.

- Taa, jego wóz. Czerwony corniche.
- Czy kule trafiły w jego wóz?

TLR

—Wydaje mi się, że tak. Ale chyba go nie uszkodziły. Bo przyjechał nim, gdy następnym razem spotkaliśmy się w siłowni.

—Więc wrócił do siłowni? — spytał Decker.

—Tak. Pewnie uważał, że jest bezpieczny. Że niby strzelający nie będzie dwa razy próbował tego samego.

—To okropnie naiwne — ocenił Decker. — I na pewno wiesz, że wtedy też prowadził comiche'a?

—Tak. Ponieważ spytałam go, jak tam jego wóz. A on powiedział, że ma się dobrze. Po czym zmieniliśmy temat. A potem widziałam go może jeszcze ze trzy, cztery razy. Pewnie podświadomie go unikałam. Jak byłam później na służbie, nie miałam już tyle czasu, więc korzystałam tylko z naszej siłowni.

—Kiedy zaczęły się strzały, zdaje się, że wy dwoje stanowiliście niemal nieruchome cele? — Chciała się upewnić Marge.

—Chyba tak było.

—Więc gdyby ten strzelec był zawodowcem, mógłby pewnie załatwić każdego z was?

—Myślę, że tak. — Cindy wzruszyła ramionami. — Jeśli sugerujesz, że to ja mogłam być jego celem, to posługując się tą samą logiką, równie dobrze mógłby mnie zdjąć jednym strzałem. — Realność tych słów przypawiła ją o gęsią skórkę. Potarła ręce, ale już się nie odezwała.

—Ona sugeruje, że te strzały mogły być ostrzeżeniem zazdrosnej żony — powiedział Decker.

—Ach, więc znowu, z tego wszystkiego, co wiemy, wynika, że te strzały mogły być tylko czymś w rodzaju dziecinnego zamachu na nienaruszalność rollsa.

—Właśnie dlatego cię pytałem, czy wóz został trafiony — wyjaśnił Decker. — Powiedziałaś, że szkoda nie była zbyt duża.

—Chyba tak było. Nie pamiętam już, tatku!

Zadzwiećwał dzwonek. Decker wstał, ale Cindy go osadziła.

—Tato, to ja tu mieszkam, nie wiem, czy pamiętasz?

Decker usiadł z powrotem

—I oddaj tu komuś przysługę.

—Przepraszam za spóźnienie — powiedział od progu Oliver.

— Znalazłeś coś? — spytał go Decker.

—Myślę, że powinieneś być zadowolony. — Zdjął kurtkę i spojrzał na Cindy. — Czy mogę to gdzieś powiesić?

—Daj mi to, ja powieszę. Siadaj, Scott. — Cindy zajrzała do saloniku, gdziekolwiek, byle bez świadków. — Czy ktoś chce coś do picia?

—Jeśli o mnie chodzi, to nie, dzięki. — Oliver usiadł przy Marge. — Może ktoś mi powie, na czym stanęliście, dobrze?

Cindy go wprowadziła. Potem powiedziała:

—Wiem, że jesteście zdania, iż cała ta zemsta była zaplanowana. Ale ja nie miałam nic wspólnego ze sprawkami Craytona. Dlaczego mieliby do mnie strzelać?

—Crayton miał żonę — wyjaśnił Oliver. — Czy wasze stosunki tego nie rozbiły?

—Właśnie przy tym byliśmy. Powiedzmy, że ktoś chciałby to tak widzieć... — Usiadła. — Rozmawialiście z jego żoną?

Oliver spojrzał na Marge.

—Rano ją przepytaliśmy.

—Opowiedzcie mi o tym — zażądał Decker.

— Młoda, cudowna, cycata, zdaje się, że właśnie dostała odszkodowanie z tytułu ubezpieczenia Craytona na życie — streściła Marge.

— Ach! Więc już to dostała. Kiedy jej wypłacili?

—Mówiła, że trzy tygodnie temu — podała Marge.

Decker uniósł brwi.

—Upłynął rok. Ktoś musiał tam przeprowadzić śledztwo.

—Właśnie na tym stanęliśmy, Loo — stwierdził Oliver.

Decker pomyślał przez chwilę.

—To ona wezwała policję. Myślicie, że mogła zainscenizować całe to porwanie?

—Wypadek samochodowy był prawdziwy. To pewne — odezwała się Marge.

—Wóz stoczył się z nasypu, a potem eksplodował. — Decker uniósł palec. — Zastanawiam się, ile czasu upłynęło od momentu zderzenia do

samego wybuchu? Ponieważ wbrew temu, co się widuje na filmach, kiedy wóz stacza się ze zbocza, no, chyba że leci w przepaść, zazwyczaj nie dochodzi do eksplozji. Po pierwsze, konieczne jest rozerwanie przewodu paliwowego i rozlanie się paliwa. Potem musi być iskra, żeby się zapaliło, a wybuch następuje dopiero wtedy, gdy płomień dotrze do zbiornika z paliwem. Oliver postukiwał nogą.

—Czyli ktoś zdetonował wóz po ucieczce porywaczy?

—Lub odpowiednio spreparowano samochód przed porwaniem. Nie należy zapominać, że Crayton był prawdziwym artystą, jeśli chodzi o przewalki. Jeśli ktoś porywa kobiety, żeby dać upust swej nienawiści do Craytona, powinniśmy jeszcze raz bacznie się przyjrzeć jego interesikom.

—Armand gadał jak aferzysta. Zawsze był pełen pomysłów, że wyjdzie mu wielki numer. Tak jak z tą ziemią — stwierdziła Cindy.

—A co on konkretnie robił? — zainteresował się Oliver.

—Powiedział mi, że skupuje tanio ziemię, żeby ją spuścić za szybką forszę.

—Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, zrobiłem pewne małe dochodzenie. Jak mi się zdaje, był na szczycie pewnej piramidy polegającej na tym, że namawia się inwestora do kupowania, na przykład ziemi czy udziałów towarzystw spekulacyjnych. Potem zaś posługuje się tymi aktywami jako zabezpieczeniem dalszych pożyczek przy następnych zakupach. Kiedy czasy są dobre, nikt się nie skarży. Ale kiedy dno piramidy się wali, pozostaje bez kasy na dalszą działalność — dodał Decker.

—Jego żona powiedziała nam, że zostawił jej same długi — potwierdziła Marge. — Miała już tego dość.

—Ale miał ubezpieczenie na życie, które mogło pokryć te długi — podchwyciła Cindy.

—Kto powiedział, że miał polisę na siebie? — zauważył Decker. — Może jego żona miała polisę na niego?

—Pracowaliśmy nad tym — odezwał się Oliver.

—Ty chyba pracujesz nad całą kupą spraw — zauważył Decker.

—Wiem. Chcesz się dowiedzieć, co mam na Elizabeth Tarkum?

—Wal! — zachęciła go Marge.

—Nie inwestowała w Craytona pod swoim nazwiskiem. Ale łączyło go wiele interesów z jej mężem, Dexterem Bartholomew. Lepiej znanym w tym kręgu jako Dex z Teksasu. Ale nie pochodził z Teksasu, lecz z Tulsa, w Oklahomie.

— Jak to wyszperałeś? — spytał Decker.

—Z oryginałów, wiesz, jacy są koledzy. Bartholomew prowadził interesy z Armandem w taki sposób, by uniknąć wszelkich podejrzeń. No i nikt nie łączył Craytona z Tarkum, nazwisko było inne. Poza tym inwestycje były na nazwisko Dexa, a nie Tarkum. Wreszcie, porwanie Tarkum zdarzyło się w Hollywood, a nie w Devonshire. Dopiero gdy się porównało te dwie sprawy, wszystko wyszło na jaw.

—Tulsa to miasto naftowe — zauważył Decker. — Czy on jest z tej branży?

— Bingo. Produkuje rury, złącza i zawory, wszystkie te rzeczy związane z przemysłem naftowym, od szybów do rafinerii — odparł Oliver.

— I ładował w Craytona?

— Tak. W sprzedaż gruntów. Zachowywał się jak bandzior. Jest nardziany... co tłumaczy tę młodą żonę w czerwonym ferrari.

—Opowiedz mi jeszcze raz o tym porwaniu — zażądał Decker.

—Elizabeth Tarkum wsiada do wozu, uruchamia silnik. Następnie ocknęła się dwadzieścia mil od domu. Była zupełnie sama. Samochodu nigdy nie odzyskała.

—Pozbawili ją przytomności?

—Nic nie pamięta.

—Zgwałcili?

—Gdyby to był gwałt, nie mielibyśmy tej sprawy.

—A dlaczego znalezienie tego związku zabrało nam tyle czasu?

—Każdy posterunek ma rejestr porwań, Loo. Musieliśmy je wszystkie przejrzeć na nowo, odkąd notujemy prawdziwą lawinę porwań na naszym

terenie. Ale nawet gdybyśmy szukali podobnych porwań, Tarkum się nie kwalifikuje. Oną była samotną kobietą, a nie kobietą z dzieckiem.

—Czy mogę coś powiedzieć? — zapytała Cindy.

Trzy pary oczu spojrzały w jej kierunku.

Uśmiechała się, ale jakoś tak nerwowo. Unikała bezpośredniego kontaktu wzrokowego z Oliverem.

— Spotkałam jednego z detektywów z Hollywood... Craiga Barrowsa... z dziesięć miesięcy temu, na przyjęciu. Rozmawiałam z nim o Armandzie. Właśnie się zdarzyło inne porwanie. Teraz, gdy o tym myślę, wydaje mi się, że to mógł być przypadek Tarkum. Wspomnił mi, że miał podobne skojarzenia... w pewnym sensie... w związku ze sprawą Craytona.

—Jak na to wpadł? — spytała Marge.

—Wspominał mi o tym w rozmowie. Nie wiem dlaczego.

— Cindy pomyślała chwilę. — Konkretnie, zdaje się, to wyszło od Ricka Bedermana. Był wtedy przy telefonie, gdy zadzwonili chodziarze.

—Chodziarze? — zdziwiła się Marge.

—Taa, znaleziono ją w pobliżu Griffith Park.

—Tak, zostawiono ją w opustoszałym miejscu, jak Craytona

— przypomniał sobie Decker.

—To całe mile od Craytona — mówiła dalej Cindy. — I nie zamordowano jej.

—Może szkoda, żeśmy tego nie wiedzieli parę miesięcy wcześniej.

Cindy zeszywała.

— Tatku, to było na przyjęciu. Myślałam, że Barrows przydymia.

—Mogłaś mi o tym przynajmniej wspomnieć...

—Peter... — skarciła go Marge.

Decker wyciągnął rękę.

—Zapomnij o tym.

Cindy spuściła wzrok.

—Właśnie chciałam...

— Zapomnij. — Wstał. — W końcu nic wielkiego. Nie powinno mnie tu być.

—Skoro już jesteś, to możesz zostać — uznała Cindy.

Uśmiechnął się do córki.

— To bardzo miło z twej strony, Cindy, ale zrobiło się późno. — Zwrócił się do detektywów: — Ja sobie to przemyślę. Wy tu pewnie zabawicie do rana. Jutro w moim biurze. Punktualnie o dziesiątej.

—Odprowadzę cię do wozu — powiedziała Cindy.

Gdy tylko zostali sami, Decker powiedział:

—Przykro mi, że sprawiłem ci kłopot.

— Poczytuję to sobie za zaszczyt. Potraktowałeś mnie jak jednego ze swych ludzi, a nie rodzoną córkę. — Zamilkła. — Kiedy słucham, co ci faceci mówią, myślę, że wiele się już nauczyłam. Jako policjantka przyglądam się życiu na ulicy, ale nigdy nie miałam okazji w jakiś istotny sposób pracować z detektywami. To wspaniała lekcja!

Decker uściskał ją.

—Jesteś słodka. Dbaj o siebie... — Odczekał chwilę. — Wszystko w porządku, prawda?

—Co masz na myśli?

—Żadnych dziwnych listów ani telefonów?

Była przygotowana na to pytanie. Kłamstwo przyszło jej równie naturalnie jak ziewnięcie.

—Nic.

—Nie nachodzą cię w domu jakieś podejrzane typy?

—Tatku, nic mi nie grozi, zapewniam cię.

—Ale powiesz mi, jeśli...

—Oczywiście. Mam się dobrze. Wracaj do domu. Pozdrów Rinę i dzieciaki. Powiedz jej, że dziękuję za to zaproszenie na piątek wieczór. Postaram się.

Decker rozpromienił się.

— Naprawdę?

—Naprawdę. — Posłała mu swój najcieplejszy uśmiech. — Chętnie zjem coś dobrego.

—Na pewno dostaniesz. Kocham cię, księżniczko.

—Ja też cię kocham. — Zawróciła i zaczęła się oddalać, zmagając się z pragnieniem zrzucenia z siebie tych kłopotów i wyznania wszystkiego swemu tatce: tej kartki z nagryzmolonym słowem PAMIĘTAJ, poruszonego zdjęcia, przełożonych swetrów w szufladzie, niepokoju, który ostatnio czuła. Jakie to wspaniałe, że ma takiego tatkę łagodzącego jej kłopoty i kojącego lęki.

Westchnęła i pomyślała sobie: „W końcu nie bez powodu księży nazywa się ojcami”.

TLR

Rozdział czternasty

Patrzyła, jak jej ojciec odjeżdża w błogim przeświadczeniu, że chciał jak najlepiej. Niełatwo było mu przeproszać, naprawdę to niemały wyzoczyń, zważywszy na to, że Cindy była nie tylko jego córką, ale i podwładną. Myślała o tym, wracając do mieszkania. Otworzyła drzwi i stanęła zadziwiona tym, co zastała.

W ciągu tych trzech minut, gdy jej nie było, Marge i Oliver zmienili jej mieszkanie w ruchome biuro, rozkładając wszystko na stoliku do kawy. Miała pełne prawo poczuć się urażona. Zachowała spokój; oto okazja, by słuchać i uczyć się. Marge grzebała szybko w stercie papierów.

—Czy Dexter Bartholomew był przesłuchiwany w sprawie morderstwa Craytona?

—Chyba tak.

—Nie mogę tego znaleźć.

—Ja ci pomogę — zaofiarowała się Cindy.

Podnieśli na nią wzrok i gapili się... zupełnie jakby zapomnieli, czyje to mieszkanie.

—Ach, dzięki. — Marge wręczyła jej stertę papierów. — Poszukaj tylko arkusza wywiadu na nazwisko Dextera Bartholomew. Zaczynij od tych zaznaczonych na niebiesko, które pochodzą z akt Webstera. — Po paru minutach Marge wykrzyknęła z triumfem: — Znalazłam to. Bert rozmawiał z Bartholomew miesiąc po zamordowaniu Craytona. Dziwi mnie, czemu tak długo zwlekał z przesłuchaniem tego gościa.

—Może Bartholomew przebywał poza miastem. To jednak, że robił kasę z Craytonem, eliminuje go z kręgu osób najbardziej podejrzanych.

— Z raportu wynika, że większość transakcji Bartholomew- Crayton ustała na jakieś dwa miesiące przed uziemieniem Craytona — zauważyła Marge.

—Właśnie wtedy ktoś do nas strzelał — wtrąciła Cindy. Spojrzeli na nią.

—To tylko taka moja uwaga. Nie musi mieć żadnego znaczenia.

—Niezły punkt wyjścia — stwierdził Oliver. — Całkiem możliwe, że Bartholomew wyczuł, że grunt pali się pod nogami i Crayton leci w dół; dlatego zwinął interes.

—Więc musimy jeszcze zbadać aktywność Craytona na krótko przed śmiercią — uznała Marge.

—Dobra, to przeglądamy transakcje Bartholomew z Craytonem. A także sprawę Lark i to ubezpieczenie. — Co jeszcze? — zwrócił się do Cindy. — Nie zaparzyłabyś nam kawy, co?

Wstała.

—Jeśli powiesz: proszę.

Obdarzył ją miłym uśmiechem.

—Proszę.

—Bez kofeiny? — Spojrzała na niego z góry.

—Proszę.

—Marge, a dla ciebie?

—Ja uwielbiam z... — Marge nagle zamilkła. — Chyba jeszcze nie kładziesz się spać, co?

—Marge, odkąd skończyłam dwanaście lat, nie kładę się przed dziewiątą. — Przeszła do kuchni i zajęła się kawą. — Możecie tu zostać, jak długo chcecie. Naprawdę uważacie, że Elizabeth Tarkum jest powiązana z Craytonem?

—Całkiem możliwe — odparł Oliver.

—Tylko jak? — spytała Marge.

—Na wiele sposobów.

—Może ktoś czuł jakąś urazę do Dextera Bartholomew za jego ostatnie transakcje i odegrał się na jego żonie? — podsunęła Cindy.

— Trzeba by to wziąć pod uwagę — zgodził się Oliver.

Cindy poczuła, jak jej twarz się rumieni na słowa pochwały.

Chcąc to ukryć, zajęła się parzeniem kawy.

— Poślijmy Dexowi wiadomość przez jego żonę. A może skontaktujemy się też z innymi wspólnikami Craytona. Spróbujmy ustalić, czy grożono któremuś z nich. — Rzuciła teczki na stół. — Tom i Bert muszą jeszcze określić hierarchię ważności tych rozmów. To nie jest dla mnie jasne — uznała Marge.

Oliver i Marge zajęli się papierami, w pokoju zrobiło się cicho. Gdzieś w tle gulgotała kawa. Cindy odsłoniła w kuchni zasłony na oknie. I nagle ujrzała jakby jakiś błysk... przelotny cień. Poziom adrenaliny od razu podskoczył w górę. Serce biło jej szybko, ciało pokryło się potem. Przygryzła usta i powiedziała sobie: „To nic”, mając nadzieję, że nie zauważą jej rozpalonych policzków i trzęsących się rąk.

Byli tak pochłonięci swą pracą, że zupełnie tego nie spostrzegli. To dobrze. Starając się to zrobić najciszej, jak tylko umiała, oddała kawałek papierowego ręcznika, zwilżyła go zimną wodą i otarła twarz. Miała nadzieję, że nie tylko usunie w ten sposób pot, ale i zetrze rumieniec. Fakty przemawiały za odwetem jako głównym motywem. Jej pobudzona wyobraźnia zbliżała się niebezpiecznie do granic szaleństwa.

Czy jednak była to tylko wyobraźnia?

„Oczywiście, że tak. Zapomnij o tym, Decker. Przywidziało ci się”.

Poza tym, gdyby nawet im wszystko opowiedziała, nie przerwaliby przecież swej pracy. Zaczęliby pewnie zadawać pytania, może chcieliby przeszukać mieszkanie. Wezwano by mundurowych. Naturalnie wszelkie poszukiwania nie przyniosą efektów, bo ktokolwiek lub cokolwiek to było, zniknęło, nie zostawiając żadnych śladów. Cóż jeszcze mogli zrobić? Zaczęliby ją śledzić, chodziliby za nią, dzwonili o każdej porze. I oczywiście donieśliby o wszystkim jej ojcu. Całe to zamieszanie na pewno wykluczyłoby ją z pełnienia obowiązków. Bo niby jak mogłaby wykonywać swą pracę z trzema asami wywiadu nie odstępującymi jej na krok?

W jednej chwili podjęła decyzję. Jeśli to rzeczywiście coś było — coś poważnego — musi to sama odkryć. Ta myśl ją przestraszyła, ale także podbudowała. Będzie panią swego własnego losu, bez niczyjej łaski. Ani Troppera, ani Scotta, ani Marge, ani tatki, zwłaszcza tatki.

—Jak tam z tą kawą? — spytał Oliver, nie podnosząc oczu. Cindy odzyskała głos:

—Nie tak szybko, Oliver. Chyba już śpiewa swego bluesa.

Oliver zaśmiał się i podniósł wzrok. Na jej widok od razu zeszywniał. Odwróciła twarz.

—Zaraz będzie gotowa.

Wciąż wpijał w nią wzrok, niezbyt pewny tego, co widzi. Uniósł brwi, ale wrócił do swych papierów. Coś mu umknęło. Już się zastanawiał, czy zapytać Cindy, co się stało, gdy odezwała się Marge:

—Czuję się tak, jakbyśmy zaczęli od zera. W papierach Craytona jest tu coś o zagospodarowaniu terenów w Belfleur. Gdzie do cholery jest to Belfleur?

—Ze trzydzieści mil na zachód od Palm Springs — wyjaśnił Oliver.

—Znasz to miejsce?

—Kiedyś stale tamtędy jeździłem. Nieopodal wylotu autostrady. Taka mała dziura na pustyni.

—Teraz rosną tam wiśnie. — Cindy rozlała kawę do trzech kubków, podała mleko i cukier, umieściła to wszystko na tacy. — Moi starzy zabierali mnie tam na wiśnie.

—To tam na pustyni rosną wiśnie? — Marge dodała sobie trochę mleka i skosztowała. — Ach, jakie to dobre!

—Dzięki za uznanie — ucieszyła się Cindy. — Tak naprawdę Belfleur nie jest całkiem pustynią. Zawdzięcza swój klimat pobliskiemu pasmu gór San Bernardino. Nie jest tam tak sucho jak w Palm Springs. I trochę chłodniej. Wiecie, że drzewa wiśniowe potrzebują chłodu. Znam się na tym, bo jak tylko tatko przeniósł się na rancho, prosiłam, żeby posadził drzewka wiśniowe. — Dodała po chwili milczenia: — Fajnie mieć takie wspomnienia z dzieciństwa. Miałam wtedy piętnaście lat. Nie wiem, jak teraz wygląda Belfleur.

—Sądząc po widoku, jaki rozciąga się z autostrady, niewiele się zmieniło. — Oliver ujął swój kubek i wypił połowę jego zawartości. — Pamiętam, że widziałem tam parę sklepów z antykami. To tam Crayton inwestował?

—Były to klasyczne posunięcia na terenach takich jak Belfleur — powiedziała Marge. — Ale wszystko to się rozstrzygnęło na jakieś dwa miesiące przed śmiercią Craytona.

—W tym samym czasie, kiedy Bartholomew wycofał się ze współpracy z Craytonem — dodał Oliver.

—I w tym samym czasie do niego strzelano — powiedziała Cindy. — Gdzie tu związek?

—Zaczęliśmy od Elizabeth Tarkum. I doszliśmy do Dextera Bartholomew. Czy nie sądzisz, że małżonka Bartholomew mogłaby w tajemnicy robić interesy razem z Craytonem pod nazwiskiem męża?

—Niewykluczone — zgodził się Oliver.

Marge zajęła się swą kawą.

—Wiesz, pomyślałam, że powinniśmy chyba jeszcze raz porozmawiać z Bertem lub Tomem. Za wiele tego mamy: jedno morderstwo, dwa porwania wozów, podejrzany obrót ziemią... jak się do tego weźmiemy? Ach tak, jeszcze te porwania na naszym terenie. Trochę odbieглиśmy od tematu.

—Może to wszystko się ze sobą wiąże.

—Nie wiem, Oliver — odparła Marge. — To trochę tak jak w tej starej chińskiej układance — im dalej w to wchodzisz... Skoro jednak mamy o dziesiątej spotkać się z Deckerem, spróbujmy przedtem pogadać z Bertem lub z Tomem. Ci dwaj odwalili kawał roboty.

—Mogę w tym pomóc — wtrąciła się Cindy.

—Gdybyś tylko znalazła na to czas, jeśli naturalnie Hollywood cię nie wykończy — odparł Oliver.

—Mogłabym po prostu przeczytać parę tych akt. I wynotować dla was potrzebne dane.

—Dzięki, Cindy, damy sobie radę. — Marge zwróciła się do Scotta: — Jak to było, mieliśmy się z nią spotkać koło ósmej? A wyszło na to, że spotkaliśmy się z Deckerem, Wielkim Deckerem. On wszystko namotał i rozdzielił nam zadania... które właśnie się mnożą. — Spojrzała na zegar. — Robi się późno.

—Nie ma jeszcze nawet wpół do dziesiątej — zaprotestowała Cindy.

—Tak, ale nie lubię zostawiać Vegi samej więcej niż parę godzin.

—A jak ona się miewa, Marge? — spytała szczerze Cindy.

— Nadzwyczajnie, właśnie zaczyna rosnać. Ostatnio zdobyła dziewiąty stopień w ocenach szkolnych. A pod względem emocjonalnym nie bardzo wiem, bo Vega za wiele nie mówi. Muszę wychwytywać niuanse, żeby się zorientować, czy jest zadowolona czy nie.

—Jak każda typowa nastolatka — skomentował to Oliver.

Marge nie sprzeczała się, nie miała pojęcia, co jest typowe, a co nie. Adoptując małą trzynastoletnią dziewczynkę, spodziewała się, że to nie będzie łatwe. Liczyła, że może mieć poważne kłopoty wychowawcze, a nawet bardzo poważne. Tymczasem zyskała kogoś, o kim mogliby tylko marzyć wszyscy rodzice: wspaniałą uczennicę o silnej etyce pracy i absolutnie uległe dziecko. Dziecko doskonałe... o które nieustannie się zamartwiała. Vega stawiała sobie niezwykle wysokie poprzeczki przy równoczesnym lęku uzewnętrzniania uczuć. Nawet psycholog miał tu wątpliwości. Na ile jeszcze można zmienić trzynastolatkę, która wzrastała w bardzo surowym — choć nie da się powiedzieć, że niewłaściwym — reżymie wychowawczym? A przy tym wszystkim Vegę obsypywano zawsze w szkole pochwałami i niezliczonymi nagrodami za jej oceny i zdolności. Wyglądało to tak, jakby nad dziewczyną zawisło jakieś fatum doskonałości jej niezrównanego intelektu.

—Robimy tu porządek i idziemy do domu — powiedziała Marge.

—Chcesz jeszcze popracować nad tym w domu? — spytał Oliver.

—Może tylko przejrzę w łóżku parę akt.

—Ja wezmę Bertę, ty weź Toma.

— Umowa stoi. — Marge zaczęła porządkować rozłożone akta. Tom był zaznaczony na niebiesko, Bert na czerwono. Biurokracja wymagała,

by wszystko było oznaczone jakimś kolorem, Wystarczyło jej pięć minut, by porozdzielać poszczególne akta. Wstała. — Cindy, dziękuję ci za wszystko.

Cindy spróbowała się uśmiechnąć.

— Chciałam tylko trochę pomóc. Naprawdę mogłabym przeczytać parę tych wywiadów.

Marge poklepała ją po plecach.

— Jestem pewna, że dałabyś radę, ale to nie jest dobry pomysł. Cindy, spodziewasz się zbyt wiele w tak krótkim czasie. Lepiej skoncentruj się na tym, co robisz, i przestań myśleć o tym, co chciałabyś robić. Wszyscy wiedzą, że masz dobrą kartę. Wkrótce otrzymasz swą złotą odznakę. A teraz im pokaż, co potrafisz w służbie na ulicach.

Cindy skinęła głową.

— Masz rację. Skupię się na podstawowych sprawach.

— Doskonale. — Marge ucałowała ją w policzek. — To do zobaczenia, złotko. Dbaj o siebie. — I zaraz zwróciła się do Scotta: — Jesteś gotów?

— Idź pierwsza. Ja muszę jeszcze do klopa. Gdzie jest łazienka?— zapytał Cindy.

Wskazała mu drzwi.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to ja już wyjdę — powiedziała Marge. — Boję się, co zastanę w domu. — Pożegnała się i zamknęła za sobą drzwi.

Cindy zaczęła sprzątać, przeczuwając, co się kroi. Z braku lepszej taktyki doszła do wniosku, że najlepszą obroną będzie zdecydowany atak. Musi być tak cholernie nieprzyjemna, żeby odechciało mu się martwić o nią. Wyszedł po chwili z rękami w kieszeniach. Zauważyła też, że miał przyczesane włosy. Dbął o takie szczegóły. Był już gotów.

—Powiesz mi to wreszcie sama czy mam to z ciebie wydusić?

Płukała właśnie kubki po kawie.

—Co ty mówisz?

—Dobra. To zagrajmy w grę. Świetnie. Będę cię pytał. Cindy, co się stało w kuchni dwadzieścia minut temu?

—Nie wiem, o co ci cho...

—Ależ tak, doskonale wiesz, o co cię pytam.

—Wszystko jest w porządku. — Zakreśliła kran. — Idź do domu.

Ale nie poszedł do domu. Nie, stanął za nią i położył jej ręce na ramionach. Trzymając głowę na wysokości jej karku, mówił do niej, nadając swemu głosowi miłe i delikatne brzmienie.

—Opowiedz mi, co się stało.

Odwróciła ku niemu twarz. Spojrzała mu prosto w oczy. Ton jej głosu był czysty i chłodny.

—Nic się nie stało. Ale jeśli to dla ciebie takie ważne, mogę coś wymyślić.

Spojrzał na nią i nic nie powiedział.

—Idź do domu — powtórzyła. — Jestem zmęczona. Chcę się położyć do łóżka. Ale nie mogę, póki ty tu jesteś.

—Dlaczego mnie okłamujesz? — „Ponieważ nie mogę powiedzieć ci prawdy”. — Czemu mi nie ufasz? — „Ponieważ jesteś kłamcą”. — Coś tu się dzieje — powiedział. — Były te poruszone zdjęcia i dziwna notatka w twoim wozie...

—To była uwaga, którą zostawił ktoś z serwisu.

—Mówisz o tym PAMIĘTAJ? — Twarz mu się wykrzywiła. — O czym masz pamiętać?

—Może o Alamo, co?

—Ale jesteś dowcipna, Cin. Dobrze, idźmy dalej. Coś się zdarzyło tego wieczoru. Jeśli mi nie powiesz, nie będę mógł ci pomóc.

—Nic tu nie zaszło. — „I wcale nie potrzebuję twojej pomocy, cepie”. Odwróciła się od niego i zajęła talerzami. — Zajmij się lepiej sobą!

Milczenie. Ale wiedziała, że jeszcze nie wyszedł. Słyszała jego oddech... Cichy, delikatny odgłos.

— Słyszysz, co do ciebie mówię?

— Tak, słyszę. Mogę sobie pójść. Dobra. Zaraz się stąd wyniosę. Ale posłuchaj, co ci powiem, Decker. W piekle wychłodnie, zanim tu wrócę.

Martinez z kawą w ręku wszedł do pokoju przesłuchań. Marge i Oliver już byli. Papiery pokrywały niemal dwie trzecie powierzchni stołu. Bóg jeden wie, odkąd tu tak siedzą, przecież się nie spóźnił.

— Cześć, Bert! — powitała go Marge. — Siadaj.

Martinez odstawił kubek na wolne miejsce. Na poręczy krzesła powiesił swą czarną kurtkę.

—Ktoś jeszcze chce kawy? Świeżo zaparzona!

—To twój kumpel. — Oliver spojrzał na Marge. — Nie chciała zrobić kawy...

—Nieprawda — przerwała mu Marge. — Powiedziałam tylko, że teraz twoja kolej.

—Nie zrobiłem kawy — tłumaczył Oliver — nie dlatego, że jestem świnią, tylko że moja kawa ma taki smak i wygląd jak błoto.

— Bo nie chcesz się nauczyć, jak trzeba ją zaparzać.

— Nie ma sprawy — powiedział Martinez. — Kawa jest gotowa. Mogę wam nalać, jak chcecie. — Nie wywołało to entuzjazmu. — Zaraz wrócę.

Oliver spojrzał na zegarek.

—Daliśmy mu popalić w dwadzieścia osiem sekund. To chyba rekord. Jeśli chodzi o tak równego gościa jak Martinez.

—Nie wiem, dlaczego nie chcesz nauczyć się robić kawy. — Marge była rozdrażniona. — Bierzesz łyżeczkę...

—Nie interesuje mnie to.

—Nalewasz wody do ekspresu...

—Daj spokój.

—Jak ci się to udało, że od dwudziestu jeden lat jesteś żonaty?

— Od dwudziestu trzech. — Oliver stukał ołówkiem w notatki. — Daj mi spokój, Marge. Nawet święty by nie wytrzymał.

W jego głosie była skarga. Marge czuła, że przeholowała. Poniosły ją nerwy. Żeby pokryć zakłopotanie, aż do powrotu Martineza zagrzebała się w papierach. Wręczył jej kubek kawy i usiadł.

—Tom się spóźni, jeśli w ogóle jeszcze przyjdzie. Wieczorem odwiózł żonę na pogotowie. Ciśnienie znów bardzo jej podskoczyło.

—Ile to już trwa? — spytała Marge.

—Osiem miesięcy.

—Powinni przyśpieszyć poród.

—Zdaje się, że zamierzają to zrobić — mówił Martinez. — Może cesarkę, bo w jej obecnym stanie poród naturalny nie jest chyba możliwy. Tom też kiepsko to znosi. Przez ostatnie dwa miesiące mało co spał w nocy. A najgorsze jeszcze przed nim.

—A kto się opiekuje jej synem? Ile lat ma ten chłopczyk?

—Sześć. — Martinez pogładził wąża. — Jej matka mieszka razem z nimi...

—Tom musi naprawdę ją kochać.

—Tak, jest dla niej bardzo dobry. Moja żona też im pomaga, kiedy babcia jest u kresu sił. James jest niemal w tym samym wieku co jeden z moich wnuków.

—Mieć dzieci to ciężka harówka, a co dopiero je odchowić. Któregoś dnia oglądasz się za siebie i pytasz: „Gdzie się podziała moja młodość?” — podsumował Oliver.

—Nie dokuczaj mi, jest dziś w fatalnym nastroju — ostrzegła Marge. Martinez wziął teczkę z aktami.

—Z jakiego powodu?

—Czy trzeba mieć powód? — zauważył Oliver.

—Czego się spodziewasz? — spytał Martinez. — Chcesz powiązać ostatnie porwania ze sprawą Armanda Craytona? Już próbowaliśmy. Nic się tu nie klei. Czy może coś przegapiłem?

— Niczego nie przegapiłeś. Nie wydaje się nam, żeby sprawa Craytona miała cokolwiek wspólnego z ostatnimi porwaniami matek z dziećmi. —

Marge wręczyła mu akta Tarkum. — Jednak naszym zdaniem może się z tym wiązać porwanie wozu dwudzie stosześcioletniej Elizabeth Tarkum, osiem miesięcy temu. Jej mąż, Dexter Bartholomew, prowadził wcześniej interesy z Armandem Craytonem.

—No pewnie, pamiętam Bartholomew, to facet, którego nie da się zapomnieć. — Martinez kartkował akta. — Więc to jego żonę uprowadzono z wozem? Gdzie to się zdarzyło?

—W Hollywood — wyjaśnił Oliver. — Pierwszy badał to detektyw Rolf Osmondson. W obu przypadkach, Craytona i Tarkum, porwania dotyczyły luksusowych czerwonych wozów. A potem mieliśmy jeszcze jedno... Stacy Mills. Jej czerwone BMW porwano parę dni temu.

—Luksusowe czerwone wozy — powtórzył Martinez. — Porywacze działają sztamowo. Co się stało z tą Tarkum?

—Znaleziono ją oszołomioną jakieś dwadzieścia mil od miejsca porwania.

—Więc nie zamordowano jej jak Craytona — stwierdził Martinez.

—Myślmy o tym, że być może Crayton wcale nie miał umrzeć — wtrąciła Marge.

—Może tak, może nie. W tym momencie to czysta spekulacja.

—Dobra, to spróbujmy trochę pospekulować — zgodziła się Marge. — Załóżmy, że to porwanie było zemstą zamierzoną przez kogoś, kto zainwestował pieniądze w przedsięwzięcia Craytona, a porywaczami byli wynajęci ludzie. Mieli złapać Craytona i zażądać potem okupu. Nabrany inwestor mógłby w ten sposób odzyskać część swoich pieniędzy. Ale coś poszło nie tak. Być może nie spodziewano się, że Lark Crayton będzie w domu. A była. Widziała z domu porwanie i zadzwoniła na policję. I nagle porywacze mieli policję na karku. Corniche próbował ucieczki. Sprawy miały się coraz gorzej i gorzej, aż wreszcie wóz zwałił się z nasypu. A przecież zabrali Craytona w nadziei odzyskania. Mściwy inwestor nie dostał Craytona, więc zwrócił się ku jednemu z jego wspólników.

—Interesujący scenariusz, Marge, tylko że oni nie porwali Bartholomew, zabrali wóz jego żony. Do tego znaleziono ją nietkniętą i nigdy nie żądano okupu.

—Nie sędzę, żeby tu chodziło o okup. Być może zdecydowali się na wóz zamiast okupu.

Punkt widzenia Martineza mógł się wydawać bezstronny. Wypiła jeszcze trochę kawy, decydując się zmienić front. „Zróbmy mu egzamin”.

—Jak to się stało, że motyw zemsty nie pojawił się na waszej liście, twojej i Toma?

—To był jeden z aspektów, które braliśmy pod uwagę. Ale myśleliśmy też o innych scenariuszach. — Martinez dopił kawę.

— Doleję sobie trochę. Czy ktoś jeszcze chce kawy?

—Ja to zrobię. — Oliver podniósł się z miejsca. Marge spojrzała na jego opuszczoną szczękę. — Jeśli dostanę oparzenia trzeciego stopnia, to będzie wasza wina. — Wziął kubki i wyszedł.

—To nie jest zły facet — skomentował Martinez.

—Nie musisz mnie przekonywać. Pamiętam odwiedziny w szpitalu. — Uśmiechnęła się do niego. — Ciebie też pamiętam.

—Naprawdę?

—No, nie jestem aż tak tępa, jak ci się zdaje. Mogę czegoś nie mówić, ale to nie znaczy, że tego nie słyszę.

Martinez zagryzł wargi.

—Mam nadzieję, że zachowasz to dla siebie.

—Możesz na mnie liczyć.

—Co wam się stało? Wyglądacie na bardzo szczęśliwych.

— zdziwił się Oliver, który właśnie wrócił z kawą.

—Wychwalaliśmy twoje zalety — wyjaśniła go Marge.

—Zalety? — Postawił przed nimi kawę i usiadł. — Chcecie przez to powiedzieć, że mam ich więcej niż jedną?

—Więc dobrze, jak dotąd jedyna rzecz, jaką w tobie dostrzegliśmy, to twoja bujna czupryna. Ale nie daliśmy za wygraną, nadal szukamy.

Oliver uśmiechnął się i zapytał:

—Bert, jakie motywy brałście pod uwagę poza porwaniem z zemsty?

—Zwykła kradzież, która nie wyszła. Ten facet prowadził przecież rollsa comiche'a.

—Przy nieboszczyku znaleziono pieniądze—zauważył Oliver.

—Właśnie dlatego powiedziałem, że to kradzież, która się nie udała.

— A czemu by nie mieli ukraść samego wozu? Urowadzenie kierowcy znacznie komplikuje sprawę — wtrąciła Marge.

—Zakładacie tu jakąś zorganizowaną akcję. Z opisu Lark Crayton wynika, że porywaczami mogły być panky, jakieś narwane dzieciaki.

—A ty zakładasz, że Lark powiedziała prawdę.

—Przesłuchaliśmy ją wtedy od razu. Nie było żadnego powodu, by podważać jej relację. Zadzwoiła do nas, kiedy się to działo. Widziała, jak wsadzili Craytona do bagażnika, trzymając go na muszce. Przeglądaliśmy tę taśmę. Jej głos zdradzał prawdziwy strach. Chyba z pięć wozów policyjnych ścigało tego rollsa, zanim się stoczył. Okolica była mocno zadrzewiona. Tak czy inaczej, sprawcy zbiegli.

—Udało im się wyprowadzić w pole tych pięć wozów policyjnych siedzących im na karku? — zdziwił się Oliver.

—Scott, przecież wiesz, jak szybko takie rzeczy się dzieją. Pewnie, że wiedział.

—Czy wyskoczyli, zanim wóz się stoczył?

—Na to wygląda.

— I nie wykluczasz motywu zemsty.

— No, nigdy go nie wykluczaliśmy, ponieważ Crayton tonął głęboko w długach.

— Miał też polisę ubezpieczenia na życie — dodała Marge.

— Taa, na dwa miliony. Założył ją, wyznaczając Lark spadkobierczynią po jego śmierci. Ubezpieczenie było podejrzane, wiecie, jak to jest. Ale na niczym nie udało nam się jej złapać. Przedstawiła wersję dość ogólnikową i po prostu... wyglądało na to, jakby wszystko dobrze przećwiczyła. Im bardziej coś jest ogólnikowe i proste, tym trudniej znaleźć

jakaś lukę. Zbadaliśmy i jej przeszłość. Nie była zakonnica, ale nic na nią nie znaleźliśmy. Czy wypłacono jej tę polisę?

—Trzy tygodnie temu — wyjaśnił Oliver.

—Więc towarzystwo ubezpieczeniowe też nic nie znalazło.

—No nie. Chcemy o tym z nimi pogadać. Biuro otwierają o dziewiątej. Zadzwonimy tam i zobaczymy, co wyszperali. — Marge rozgrzewała sobie ręce na kubku z kawą. — Naprawdę myślisz, że to porwanie mogło być sprawką panków?

—Z początku tak nie myślałem. Byliśmy z Tomem pewni, że to mógł być jakiś rozczarowany inwestor. Ale po tych nie kończących się godzinach przesłuchań... Więc tak, przeanalizowaliśmy wszystkie raporty. Niczego nie mogliśmy znaleźć. Mieliśmy jeszcze nadzieję, że ubezpieczenia coś przykleją Lark Crayton. Ale jeśli oni jej wypłacili...

—A co z Dexem Bartholomew? — spytała Marge.

—Niby co z nim?

—Wydał ci się czysty?

—Całkowicie. Facet wyglądał nawet dość dziwnie, ale nie udało nam się znaleźć niczego, co mogłoby go wiązać ze śmiercią Craytona. — Martinez zagłębił się w akta Tarkum. — To było, zanim zaczęliście się tym interesować. Sprawdziliśmy ze sto osób. Wydawało się to dość proste. Facet jest winien pieniądze, mógł się komuś narazić. Tylko że niczego takiego nie znaleźliśmy. Dobra, więc to z zemstą nie wypaliło. Żona korzysta z polisy ubezpieczeniowej na dwa miliony. Idziesz tym tropem. Ale to też prowadzi cię donikąd. Więc po jakimś czasie myślisz, a może to po prostu zwykły pech? Crayton znalazł się w złym miejscu o niewłaściwej porze. — Wziął do ręki wypchaną teczkę Tarkum. — Może tu jest jakiś trop. Chyba ktoś przesłuchiwał Bartholomew na okoliczność porwania wozu jego żony?

—Osmondson — wskazał Oliver.

— Znalazł coś, co by wiązało się z Craytonem?

Oliver potrząsnął głową.

—Nie wiem, czy sobie uświadamiał jakiegokolwiek związki z Craytonem, zanim mu o tym powiedziałem. Bartholomew powinien być poważnie przesłuchany. Myśleliśmy o tobie. Chcesz to zrobić?

—Skoro Tarkum należy do was, wy oboje powinniście się zająć zbadaniem relacji między mężem a żoną.

Marge rzuciła w stronę swego partnera:

—Ty weźmiesz na siebie żonę, Elizabeth Tarkum, ja zajmę się Dexem.

— Uśmiechnęła się. — Wrobimy go w prochy, co?

—Pobożne życzenie. — Oliver znów zaczął stukać ołówkiem. — Czy znasz jakiś powód, który uzasadniałby tezę, że mężczyznę powinna przesłuchiwać kobieta, a kobietę mężczyzna? Jeśli tę Tarkum łączyły jakieś sprawy z Craytonem, tobie będzie łatwiej coś wyciągnąć.

Marge była zaskoczona.

—Dlaczego sądzisz, że mogli być związani?

—To młoda kobieta, jej mąż jest starszym facetem. Crayton wszędzie, gdzie się pojawiał, rozrzucił pieniądze jak papierki od gumy do żucia. Balował cały czas i cieszył się opinią playboya. — Oliver wzruszył ramionami. — Ale jeśli coś ci mówi, że możesz to zrobić...

—Dobra — przerwała Marge. — Ja wezmę się do Dextera Bartholomew. Jeśli zgrywa wielkiego milionera-nafciarza i macho, może przed kobietą mniej będzie udawał.

—Co racja, to racja. Trudno merdać obwisłym kutasem przed zdecydowaną przeciwniczką zwisu.

—Bezzwisowość to jedynie atrybut natury fizycznej. Mogę śmiało stać obok najlepszego z nich.

Rozdział piętnasty

Marge miała własne wyobrażenie o tym, jak powinien wyglądać teksasński nafcjarz, ściśle mówiąc, nafcjarz z Oklahomy. Zgodnie z nim, Dexter Bartholomew miał być tęgim osiłkiem, jakieś dobre dwa metry wzrostu, w ogromniastym kapeluszu na samym czubku głowy i wyzierającymi spod runda kosmykami tkniętych już siwizną włosów o piaskowym odcieniu. Miał rumianą twarz i bulwiasty od częstych popijaw nos. Spod szerokiego czoła patrzyły uważnie świńskie, głęboko osadzone oczka. Ubrany w mundur khaki ze sznurkowym krawatem, niósł przed sobą obwisły kołdun przepasany prawdziwym krokodylowym pasem. Do tego, oczywiście, miał głęboki głos z charakterystycznym dla południowców przeciągłym sposobem mówienia.

Kiedy sekretarka wprowadziła ją do biura Bartholomew, uścisnęła rękę facetowi o wzroście nie przekraczającym stu pięćdziesięciu kilku centymetrów. Była wyższa od tego szczupłego mężczyzny o długich, zwięzających się palcach i wypielegnowanych paznokciach. Dex nie nosił kapelusza. Miał za to na sobie skrojony na specjalne zamówienie marynarski garnitur w prążki. Do tego biała koszula i jaskrawozłoty krawat z diamentowymi spinkami. Blichtr, owszem, ale gustowny. Opinał go brązowy pas z krokodylowej skóry, to by się zgadzało, na nogach miał krokodyłowe mokasyny. I mała główka do tego drobnego ciała. Z łysinką na ciemieniu i piaskowymi kosmykami powiewającym wokół czaszki (kolor włosów też się zgadzał). Zza okularów patrzyły — nie, wcale nie świńskie, lecz brązowe oczy. Orli nos nadawał jego twarzy wyraz doskonałej symetrii. Błysnął jej na powitanie dużymi białymi zębami. Marge domyśliła się, iż miał to być uśmiech. Jakby wilk ukazywał swe kły.

Spróbowała się odwzajemnić miłym uśmiechem.

Biuro było równie wygodne jak hotelowy korytarz, meble na całą, ścianę, ale miało to swój styl. Ściany wyłożone u spoduBi orzechowym foniem, u góry przechodziły w rubinową czerwień. Wokół mnóstwo miejsc do siedzenia; parę foteli wybity chi tapicerką z niebiesko-oliwkowej skó-

ry, z pół tuzina rzeźbionych drewnianych krzeseł i trzy kanapy: jedna kryta różowym jedwabiem, druga żakardowym, a trzecia gobelinowa. Parę perskich dywanów z ciemnymi plamami pokrywało klepki podłogi. Duża stolików z kwiecistymi ornamentami. Znajdowały się tam jeszcze dwie stylowe rzeczy nie pasujące do tej eleganckiej aranżacji starego świata, jakkolwiek nie pozbawione pewnego smaku: pul-pit z różanego drewna i abstrakcyjne dzieło sztuki zdobiące ściany. Miejsce było usytuowane na wyniosłości Bulwaru Zachodzącego Słońca, należało się spodziewać, iż rozpościera się stamtąd wspaniały widok. Jednak wszystko, co Marge mogła stąd zobaczyć, to szczyty dachów tonące w kolorowej mgiełce dymów nad Los Angeles.

— Dobra, włączmy do środka. — Dex potrząsnął jej ręką. — Ty masz swój interes, a ja mam swój. Więc chyba najlepiej będzie, jeśli pomogę ci szybko załatwić twoją sprawę. Ponieważ im prędzej to zrobię, tym wcześniej będę mógł wrócić do swoich spraw. A teraz nie mogę tego zrobić, bo właśnie z tobą gadam.

Marge oswobodziła rękę i potrząsnęła głową. Zachował ów przeciągły sposób artykulacji południowca — to przede wszystkim — choć barwę głosu miał wysoką i byle jaką. Nadawał jak karabin maszynowy. Rozglądała się wokół, gdzie by tu spocząć. Wyczuł od razu jej niezdecydowanie.

— Siadaj, gdzie ci wygodnie, młoda damo. Możesz usiąść na krześle, na kanapie albo jak wolisz, na podłodze. Miałem raz gościa, który uwielbiał siedzieć na podłodze. Przybył ze Środkowego Wschodu, gdzie mają mnóstwo wolnej podłogi, a nie ma tylu krzeseł, co tutaj. Pomyślałem nawet przez chwilę, że on się może zajmuje importem krzeseł na Środkowy Wschód. Nie, to nie były te krzesła. Te są z Anglii, dziewiętnastowieczna epoka Wiktoriańska. Fajnie na nie popatrzeć, ale nie nadają się do kolekcji. Nie mają tego sznytu. Te lepsze trzymam w domu, gdzie Bie nachodzą mnie ci filistrzy, sadowiący swe dupy na wyrobach po pięćset dolarów od metra. Lub co gorsza, wycierających sobie zady na oryginalnych dziełach, które są tak kruche jak zużyta kobieta. Gdy wracam do domu, mam do wyboru krzesła z epoki królowej Anny, króla Jerzego lub z okresu regencji. Mam również oryginalny chippendalowski stół i kredens.

Większe sztuki mogę pokazać kiedy indziej. Trzeba by rozbić futrynę, żeby umieścić je w domu. Diler twierdził, że pochodzą z zamku z północnej Anglii, ale to długa historia i najprawdopodobniej zmyślona. Najważniejsze, że wszystkie te egzemplarze są w znakomitym stanie i mają oryginalne wykończenie i kształt. Meble z okresu regencji są nadzwyczajne, pochodzą z Egiptu. Żona bardzo je lubi. Czy interesują cię meble angielskie w ogóle, czy może całkiem cię już znudziłem? Proszę, mów!

—Nie, proszę pana, niewiele o tym wszystkim wiem — stwierdziła Marge. — Ale biuro wygląda uroczo, naprawdę.

—Bardzo się cieszę, jak coś takiego słyszę. Mógłbym teraz powiedzieć, że jest pani damą z poczuciem smaku. Powinienem to powiedzieć. To i wiele innych rzeczy, ponieważ jestem spostrzegawczym facetem. Ale po co w tej chwili o tym mówić. Pani ma jakiś interes i ja też. Więc proponowałbym tak: zapomnijmy o pięknie i przejdźmy do rzeczy. Ponieważ w tym celu właśnie tu się znaleźliśmy. Więc proszę spocząć. Nie przejdziemy bowiem do sprawy, póki nie siądziemy. Siadajmy więc.

Marge wzięła sobie krzesło z oparciem. Dex zajął miejsce na kanapie. Patrzył na nią spoza okularów.

— Mogę przyjąć, że jeśli jest pani detektywem, to zamierza pani coś wyszperać. Więc jeśli pani zechce powiedzieć mi, o co chodzi, to wtedy może będę mógł pani pomóc. No dalej. Słucham. .. nastawiam uszu... oczu i uszu. Proszę od czegoś zacząć, pani detektyw.

Patrzył na nią z przenikliwością lasera. Uśmiechnęła się do niego, ale to go wcale nie rozbroiło.

— Mam tylko parę pytań dotyczących tego, co przeszła pańska żona...
Dex od razu jej przerwał.

—Chce pani mówić o tym, co przeszła moja żona? Chce pani mówić o tym, co przeszła moja żona? Chce pani mówić o tym, co przeszła moja żona? Dobrze, proszę pani, jeśli pani chce, byśmy rozmawiali o tym, co przeszła moja żona, będziemy mówili o mojej żonie, a nie o mnie. No bo, jak pani widzi, cóż ja mogę powiedzieć o tym, co przeszła moja żona? Czy ja tam byłem? Pytam panią, czy ja tam byłem? Czy ja tam byłem?

—Nie twierdzę, że pan tam...

—A w cholere z tym, nie było mnie tam. Nie, proszę pani, nie byłem nawet gdzieś blisko. Ponieważ gdybym tam był, ci idioci już by mnie mieli i wydaliby na mnie wyrok, wie pani, o czym mówię. Mówię pani to, co mówię. Mówię o konkretnych sprawach. A teraz koniec z tym! Finito! Niech nikt mi nie wpycha takiego gówna! Po prostu nie było mnie tam. I w tym rzecz. Kiedy Elizabeth krążyła po Hollywood Boulevard, ja zajmowałem się tutaj swoimi sprawami.

—Czy nie zajmuje się pan urządzeniami przemysłu naftowego, panie Bartholomew?

—To tylko część mojej działalności. Jeśli pani chodzi tylko o tę część, świetnie. Zajmuję się urządzeniami naftowymi. Ale gdyby pani chodziło o cały obraz, to nie jest cały obraz. Tak, zajmuję się urządzeniami naftowymi. Ale po pierwsze, nie robię tego u siebie w biurze... ani nawet w tym stanie. W tym biurze zajmuję się swoimi sprawami, finansami i nakładami, jak również sprawami i finansami towarzystwa. To nie ma nic wspólnego z moimi biurami w Tulsa i Oklahoma City.

—Nie?

—Nie, proszę pani, tamte moje biura to całkiem inna parafia, oni są pobożniej si od księdza. — Wstał i pochylił się nad nią, mówiąc teraz poważnie.—Widzi pani, żeby zrozumieć ten świat, trzeba stale się w tym kręcić... wie pani, ten błyskawiczny rozwój technologii i Internet... śmieje się pani, a ja wcale nie żartuję.

Na twarzy pojawiły mu się rumieńce. Marge pośpieszyła z wyjaśnieniem:

—Nie, proszę pana, nie śmieję się. Staram się zrozumieć pański punkt...

—Nie rozumie pani mojego punktu widzenia, ponieważ nie przedstawiłem pani, na czym go opieram — przerwał jej Dex. — Technologia, no tak. Tak, to dobre. To dobre, ale to bardzo niebezpieczne. Ale to chyba nie ma nic wspólnego z tym, o czym właśnie mówiliśmy. — Przerwał. — To o czym mówiliśmy?

—O tym, jak zrozumieć świat.

—Zgadza się. Musisz się kontaktować z różnego rodzaju ludźmi: bogatymi, biednymi, czarnymi, białymi, kobietami, mężczyznami, przestępcami, ze wszystkimi. Naprawdę trzeba gadać z każdym i ze wszystkimi. Jak już raz się zacznie kłapać paszczą, no wiesz, o czym mówię. To jednak chyba nie jest to, o czym mamy mówić. Nawijać, mówić, paplać, gadać. Pani tak nie musi, zwija pani swój biznes i pa, pa! Do rzeczy, to gdzie my teraz jesteśmy?

—Mamy mówić o porwaniu wozu pańskiej żony.

—I czy ja tam byłem czy nie. Nie było mnie tam. Już pani mówiłem, że nie. Zapewniam panią, że mnie tam nie było. To o czym mamy rozmawiać?

Marge już się zorientowała, że musi mówić szybko, krótkimi zdaniami.

—Czy pan się domyśla, kto to mógł zrobić?

—No więc, gdybym podejrzewał, kto to mógł zrobić, sądzi pani, że nie powiedziałbym tego na policji? Aha, to pani jest z policji. Więc skoro pani jest z policji, to ja pani mówię tu i teraz, że nie wiem, kto to zrobił. W ogóle mi to nie przychodziło do głowy, ale gdyby nawet tak było, raczej starałbym się o tym zapomnieć ze względu na dobro Elizabeth. Ponieważ za każdym razem, gdy ktoś to wywleka, ona jest cała w nerwach.

I niech mi pani pozwoli powiedzieć: Nie chcę, żeby moja żona była cała w nerwach. No który facet by tego chciał, mieć żonę w nerwach. Więc ja nie wiem, nie wiem, kto to zrobił! Co więcej, nie mam nawet pojęcia, kto by to mógł zrobić. Są jeszcze jakieś pytania?

Spojrzała na niego ostrzej.

— Czy nie pomyślał pan, że to porwanie może mieć związek z Armandem Craytonem?

Dex znów pokazał zęby. Wilk jest już gotów, by zabić swą ofiarę.

— Armand Crayton. No, no. Chce pani, żebym coś powiedział o Armandzie Craytonie? Powiem pani coś o Armandzie Craytonie. Nie zasłużył sobie na to, by umrzeć w ten sposób. Nie, proszę pani, nie zasłużył sobie na to.

— Prowadził pan z nim interesy — zauważyła.

— Tak, miałem z nim jakieś drobne transakcje.

— Zarabiał pan na tym pieniądze?

— Tak, oczywiście, zarabiałem pieniądze! Właśnie o to chodzi, pani detektyw, w biznesie robi się pieniądze.

— Niektórzy stracili pieniądze...

— Jeśli jakiś pieprzony dureń wyłożył na Craytona i stracił pieniądze, to... dobra, mógłbym na to powiedzieć: człowieku, nie bierz się do interesu. Bo nie wiesz, co robisz. Bo cokolwiek byś zrobił, tylko na tym stracisz. A nie można powiedzieć, żebym ja kiedykolwiek stracił pieniądze. Nie cierpię tracenia pieniędzy. I tu nie chodzi już o to, że nie mógłbym sobie na to pozwolić. Widzi pani, jest różnica, czy coś działa czy nie działa. Pierdolić pieniądze, proszę mi wybaczyć moją łacinę. Idzie o to, ile można stracić. Siadaj sobie zawsze z tyłu. Siadaj gdzieś w tylnym rzędzie.

— Może Crayton nie powiedział swoim klientom, że wchodzi tu w grę ryzyko...

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże, czy jak to tam się mówi. Widziały gały, co brały. Jeśli nie umiesz pilnować swej dupy, nie powinienes się brać do biznesu. Ja pilnowałem swej dupy i zarabiałem pieniądze z Craytonem. Kto nie pilnuje dupy, traci kasę. A to nie mój biznes... tracić pieniądze! Ja robię pieniądze. To jest mój biznes. Są jeszcze jakieś pytania? Bo, mówiąc szczerze, pani detektyw, nie widzę ładu ni składu w pani pytaniach.

— To, czy pan robił pieniądze z Craytonem czy nie, nie ma znaczenia dla naszego śledztwa, panie Bartholomew. Chodzi o to...

— Zarabianie pieniędzy może nie ma znaczenia dla waszego śledztwa, ale ma znaczenie dla mnie. W biznesie cały wic na tym polega... by robić pieniądze. Więc jeśli to pani śledztwo nie ma dla mnie znaczenia, czemu miałbym odpowiadać na pani pytania? Może mi pani powiedzieć?

Resztki cierpliwości opuszczały już Marge.

—Panie Bartholomew...

—To ja panią spytam, pani detektyw, po co pani przyjechała? Po co pani tu przyjechała?!

Wyrzuciła to z siebie:

—Ktoś mógł porwać pańską żonę z zemsty za Craytona!

—Trele-morele! — rzucił jej Bartholomew. — Elizabeth nic nie łączyło z Craytonem. Nie znosiła tego faceta. Miała o nim zdanie, że to nocnik pełen szczyń, proszę mi wybaczyć łacinę. Ilekroć tam się wybieraliśmy, jęczała, stękała i zachowywała się tak jak Maria Antonina prowadzona na gilotynę.

—Przyjaźnił się pan z Craytonem?

—Jestem kumplem każdego...

—Mam na myśli to, czy chodził pan do niego do domu i czy on przychodził do pańskiego?

—Przerywa mi pani — powiedział Dex. — No więc jeśli będzie mi pani przerywać, nie dowie się pani, co o tym wszystkim myślę. A jeśli nie będzie mi pani przerywać, powiem pani, co myślę, i nie będzie pani musiała sama tego dochodzić. Bo mogę pani powiedzieć, co myślę.

—Dobrze, proszę pana — zgodziła się Marge. — Co pan myśli?

—Mamy zacząć od początku?

—Utrzymywał pan znajomości towarzyskie z panem Craytonem?

—Utrzymuję znajomości towarzyskie ze wszystkimi swoimi partnerami w interesach. Bo jak inaczej można prowadzić interesy? Najpierw jest się człowiekiem, a potem dopiero biznesmenem. Tylko tak się to robi. Oczywiście, jeśli ktoś nie jest biznesmenem, będąc człowiekiem, niewie-

le można mu pomóc. Jedzie się wozem zaprzężonym w dwa konie: człowiek i biznes. Czy wyrażam się jasno?

—Czy był pan kiedyś w domu pana Craytona?

—Czy nie powiedziałem już tego, pani detektyw? Czyż nie powiedziałem pani, że zaciągnąć Elizabeth do domu Craytona, to tak jakby posłać Marię Antoninę na łamanie kołem...

—Na gilotynę.

—Łamanie kołem, gilotyna... chodzi o narzędzie tortur.

—Musi pan mieć całe setki znajomych.

—Może nawet tysiące...

—Czy odwiedzają państwo wszystkich?

—I znowu mi pani przerywa. Ale rozumiem panią. I wyjaśnię to pani. Nie, nie przychodzę do domu każdego mojego współnika. Jeśli mieszka w Singapurze, mieszka w Japonii czy w Chinach albo w Europie czy Australii — to nie, no, chyba że właśnie odwiedzam Singapur, Japonię, Chiny czy Australię. To już pani wie, dokąd chodzę?

—Zna pan mnóstwo zagranicznych handlowców.

—Cholernie bystra z pani dziewczynka — wyszczerzył swoje ostre zęby. — Tak, znam mnóstwo zagranicznych handlowców. Crayton jest miejscowy, więc jeśli zaprasza mnie na obiad — no dobra, jestem dżentelmenem — idę. Jeśli cię zaproszą, idziesz. Chyba że nie cierpisz tego człowieka. Ja do niego nic nie mam. Powiem nawet, że nie jest pozbawiony wdzięku. No i ma żonę, która jest naprawdę urocza. Myślę, że to jest główny powód, dla którego Elizabeth nie chciała tam chodzić. Nie lubiła Craytona, ale już całkiem nie cierpiała Lark. Bo Lark jest młoda i piękna. Wie pani, jakie są te żony.

—Zazdrosne?

—Użyłbym raczej słowa: „opiekuńcze”. Elizabeth jest opiekuńcza w stosunku do mnie, to oczywiste, ponieważ jestem w jej życiu jedyną rzeczą godną opieki. Ale ja lubiłem chodzić do Armanda, bo to był wesoły chłopak. Tak, on był bardzo wesoły. Prawdziwie rozrywkowy. A Lark, taka młoda i kochana, trzymała Elizabeth krótko. Tak, tak to było. A gdy się ma sześćdziesiąt jeden lat i dwudziestosześcioletnią żonę, to chyba miło widzieć, gdy druga młoda kobieta traktuje ją ostro.

—Więc była zazdrosna o Lark?

—Mówiłem już pani, że nie lubię słowa: „zazdrosna”. Elizabeth była opiekuńcza w stosunku do mnie, kiedy przychodziliśmy do Craytona i Lark. Bo Lark wiedziała, kto wygrywa, a kto przegrywa. I jeśli nie była pewna co do swego męża, to musiała być cholernie pewna, że ja jestem wygrany. Nieszczęśliwie dla niej byłem zajęty. Ale wszyscy wiemy, jak szybko następują zmiany.

— Czy podobała się panu ta opiekuńczość Elizabeth?

—Podobała mi się. Bardzo lubiłem być otaczany opieką młodej kobiety. No to już pani wie. Więc czemu nie przestanie pani pytać, skoro pani już wie?

—Czy zaprosił pan kiedyś Lark i Armanda do siebie do domu?

Usłyszała jego przerywany śmiech.

— Pozwolić się zaciągnąć do domu osoby, której się nie cierpi, to jedna sprawa. A co innego zaprosić ludzi, do których odczuwasz wstręt. Nawet mnie nie udało się nakłonić do tego Elizabeth. Więc odpowiadając na pani pytanie: nie, nigdy nie gościliśmy ich u nas. Szkoda. Bo Armand Crayton nie miał gustu. Choć nie, muszę to skorygować. Armand miał gust. Miał okropny gust. Mógłbym go pewnie nauczyć jednej czy drugiej rzeczy z zakresu projektowania wnętrz, gdyby się tu dłużej pokręcił. — Bartholomew wstał. — Krótko mówiąc, pani detektyw, nie wiem, kto porwał moją żonę, nie wiem, czy to był on czy może ona, i nie ma to nic wspólnego z zabójstwem Armanda Craytona, ponieważ Elizabeth nie miała nic wspólnego z Craytonem. I nic więcej pani nie powiem. A poza tym mam spotkanie i nie jest to spotkanie z panią. Więc jeśli mi pani wy-

baczy, że powiem to bez ogródek, musi pani już iść. A nawet jeśli mi pani tego nie wybaczy, i tak musi pani stąd wyjść. Mam nadzieję, że usłyszała pani ode mnie to, o co pani chodziło. Do widzenia!

Trzymał już wyciągniętą rękę. Marge zauważyła to wreszcie, podniosła się i uścisnęła mu tę rękę.

—Dziękuję panu, że znalazł pan trochę czasu, panie Bartholomew.

—Powinna mi pani podziękować, pani detektyw. Ponieważ zarabiam z grubsza dwadzieścia tysięcy dolarów na godzinę. Więc mogę sobie pomyśleć, że ten krótki wywiad kosztował mnie koło dziesięciu patoli — tyle, co mała diamentowa spinka, którą upatrzyła sobie moja żona. No i teraz, skoro ten wywiad kosztował mnie dziesięć patoli, już jej na pewno nie kurię. — Jeszcze raz się wyszczerzył w tym dzikim uśmiechu. — Więc tak mi się zdaje, że osiągnęła pani swój cel. Bo jeśli mnie żona zapyta: „Dlaczego nie kupiłeś mi spinki?“, odpowiem jej, żeby winiła za to policję.

Rozdział szesnasty

Jadąc autostradą do Hollywood, Cindy usiłowała pozbyć się wszystkich zbędnych myśli, które nagromadziły się w jej umyśle. W zrzędlwym nastroju i niewyspana, źle się czuła. Ale gdy Beaudry miał czelność także okazać swoje humory, zrobiło się piekło. Przyczepiał się do każdego aresztowania, zwałił na nią całą brudną robotę, którą powinien odstawiać, skoro był doświadczonym policjantem, a ona żółtodziobem. I chociaż minęło już sześć tygodni, odkąd ją tu przyjęto, on był szefem. Słuchała więc rozkazów i próbowała je wykonywać. Dwaj wściekli policjanci z nabitą bronią skazani tu razem na osiem napiętych godzin. To chyba cud, że oficerowie policji nie zabijają się nawzajem.

A potem ten Tropper, który nagle okazał się kumplem i skinał jej głowę, cała ta jego papierkowa robota. Zazwyczaj dobrze sobie radziła z odczytywaniem cudzych intencji, a nie można powiedzieć, żeby się nią szczególnie interesował jako wołem roboczym czy kimś, na kim można było polegać. Unikała go więc, krążącego w swej klatce, i zastanawiała się, czy to normalne.

I jeszcze wóz zaczął jej odmawiać posłuszeństwa. Naharowała się w niewygodnej pozycji, wciskając pedał do oporu. Wyciągała już osiemdziesiąt mil, niemal sto trzydzieści kilometrów na godzinę, więc instynktownie rozejrzała się, czy nie ma tam jakiegoś policjanta, który mógłby jej wlepić mandat. A potem się uśmiechnęła. Przecież to ona była tym policjantem. Gdyby ją zatrzymali funkcjonariusze z wydziału, przypuszczalnie nie dostałaby mandatu. Ale patrol drogowy to co innego. Skasowaliby ją, bo czasy są ciężkie, dochody skąpe i do tego żadnej współpracy między poszczególnymi działami. Ale nie zaliczyła mandatu, szczęściara z niej, nie ma co!

Zdjęła nogę z pedału gazu i rzuciła okiem we wsteczne lusterko. Żadnych wozów policyjnych na horyzoncie, jedynie jakaś czerwona toyota camry z wgniecionym błotnikiem i bez tablicy rejestracyjnej z przodu, mandat za trzydzieści sześć dolców, dotrzymywała jej kroku, choć jecha-

ła wciąż siedemdziesiąt pięć mil na godzinę. Wóz wyglądał na pięcioletni i bardzo już potrzebował myjni. Dała sygnał zjazdu w prawo i skrzyła w przyległy pas ruchu. Zwolniła, czekając, aż camry ją wyprzedzi, żeby zobaczyć, co z tylną tablicą. Ale się nie doczekała. Camry też zwolnił.

Jechał teraz bardzo wolno. Zmienił pas, ale trzymał się dwie długości wozu za nią. Pomyślała przez moment: „Czy to dla mnie takie ważne złapać camry bez tablicy rejestracyjnej?” Nie miała służby, jechała do ojca w nadziei na miły obiad, a cóż jej, u diabła, wadziło to głupie naruszenie przepisów w postaci braku tablicy rejestracyjnej?

Nie zwracała uwagi na to, jak jedzie. A teraz posuwała się zbyt wolno. Mijały ją wozy zarówno z lewej, jak i prawej strony. Zwiększyła szybkość, spojrzła w lusterko nad kierownicą. Odległość między nią i czerwonym camry zmniejszała się, dzielił ich jeszcze jeden pas i pół długości wozu.

„Odpuść to sobie, Decker”.

Choć nie знаła przyczyny podłego humoru Beaudry'ego, wiedziała cholernie dobrze, czemu sama była taka rozdrażniona. To miało coś wspólnego z tymi zagadkowymi wieściami, poruszonymi zdjęciami, przełożonymi swetrami i Scottem Oliverem. Uraza, jaką do niego poczuła, zaskoczyła ją samą, było to coś więcej niż tylko to okropne zachowanie. Była samotna; Scott stanowił w tym chwilowe wytchnienie.

Zerknęła w lusterko wozu. Camry wciąż jej towarzyszyła. Zupełnie odruchowo poczuła ucisk w piersiach i ból w żołądku. Bawiła się myślą, że jakiś wóz jedzie za nią, jakie to śmieszne. Dlaczego ktoś miałby jechać za nią? Może już jej odbija z powodu tej wlokącej się niemilosiernie sprawy Craytona? Przecież to Tarkum, czy raczej jej mąż Dex był z nim powiązany finansowo.

A ona nie miała nic wspólnego z Craytonem i jego kręctwami. Tymczasem ta cholerna toyota wciąż się zbliżała.

„No dalej, Decker. Całkiem ci już odbija”.

Znalazła się nagle na rozjeździe do Valley, gdzie droga 101 łączy się ze 170, i szybki nurt wozów osłabł do jakiegoś leniwego pełzania, arterie szybkiego ruchu pozatykały się jak okiem sięgnąć. Dostrzegła szybki

skręt za swymi plecami i uświadomiła sobie, że camry już nie znajduje się w polu jej widzenia. Odetchnęła.

Nie, żeby ją to naprawdę obchodziło, ale jednak się tym zdenerwowała. Mogła pojechać na wschód i na południe, i gdzie tylko chciała. O tej wieczornej porze droga 101 była zazwyczaj kiepska. A że był to piątek, trafiła w jeden wielki korek. Zatrzymując się co chwilę i próbując przesunąć choć odrobinę do przodu, pomyślała o swym pechu w kontaktach z mężczyznami. Wszystkie jej związki dotyczyły „zajętych” facetów. Nie, żeby to byli żonkosie, ale raczej mężczyźni z bagażem czy ciężącymi na nich zobowiązaniami, albo też tacy, którzy ze względu na swoje aspiracje zawodowe odkładali związki osobiste na dalszy plan. Nakładały się na to jej własne zamierzenia i pragnienia związane z karierą zawodową, które kazały zapomnieć o życiu osobistym.

Myślała tak o tym wszystkim, wlokąc się niemiłosiernie i osłaniając oczy przed słonecznymi zajawkami, odbijającymi się od nieruchomych teraz chromowanych zderzaków. Już chyba na ulicach było lepiej niż tu. Przesunęła się o parę cali w prawo i zyskując skrawek wolnego miejsca, wepchnęła się na sąsiednie pasmo. Opuściła szybę z boku, próbując nawiązać bezpośredni kontakt wzrokowy z najbliższym jej czarnym jeepem suv. Skurwiel udawał, że jej nie widzi.

„Dokąd się pchasz, koleś? Co się tak upierasz?”

Znowu pomyślała o Oliverze, który wczoraj w sklepie wepchnął się bez kolejki po kawę, posługując się tak bezceremonialnie odznaką policyjną, podczas gdy mógł się przecież zachować jak człowiek cywilizowany. Nie jak jakiś gbur czy snob.

„No dobra, co to w końcu przychodzi do głowy, jak się ugrzęzło w takim korku!” Użyła syreny, żeby zwrócić uwagę Pana SUV Jeep. Spojrzał na nią, a ona okazała mu swą odznakę.

Zbladł.

— Spadaj! Muszę się gdzieś dostać! — wrzasnęła.

Zrobił to.

Więc to ona zachowała się teraz jak jakiś zakuty łeb. Mogła się tylko roześmiać. Przesuwając się tak cal po calu w prawo, dotarła w końcu do

wylotu na Laurel i wtopiła się w strumień wozów jadących od strony wąwozu. Gęsto tu było od pojazdów, ale teraz tym ruchem kierowała sygnalizacja świetlna.

Może zjeżdżając z autostrady, nie miała jeszcze tego na myśli. Ale teraz uparła się. Przez czterdzieści minut tak manewrowała swym saturnem w gęstej metalowej ciżbie dojeżdżających tędy do pracy, że zdołała jakoś dotrzeć do drogi 405 w kierunku Burbank i Sepulveda. Nie było tu pusto, ale w końcu dało się jechać. Nie miała już za wiele czasu, żeby się dostać na trasę wylotową do ojca, więc pomyślała, że przecież może to trochę przyspieszyć, i zaczęła zmusną pracę przesuwania się w lewo. Odległość między explorerem a volvo dała jej możliwość wykonania ruchu. Jeszcze tylko szybkie spojrzenie przez ramię, żeby się upewnić...

I nagle serce zaczęło jej bić szybciej. Pocięty czerwony camry właśnie się zmaterializował.

„Skurwiel! Skurwiel, skurwiel, skurwiel!”

„Myśl, Decker!”

Dobra, jedzie za tobą. Wystarczy wziąć numer rejestracyjny, dotrzeć do kartoteki, wynotować sobie dane i dobrać się do głupka. Dobra strategia, tylko że kiedy przyhamowała, to samo zrobił camry. Wciąż był za nią.

Roztropniej byłoby wezwać pomoc. Nadjechałby miejscowy wóz patrolowy i odczytał tablicę rejestracyjną. Mogła to zaraz zrobić. Miała w torebce telefon komórkowy. Tylko jakby spojrzała w oczy tym dużym chłopcom: miała na ogonie sfatygowane auto (do tego jeszcze brudne) i nie umiała sobie z tym poradzić.

Mogłaby sama odczytać numery rejestracyjne, to w końcu elementarna sprawa.

Skoro celem faceta w camry było jak dotąd unikanie konfrontacji, musiała złapać ten wóz przez zaskoczenie. Mogłoby jej się to udać, gdyby wykonała ostry zwrot o 180 stopni, wcisnęła do dechy pedał gazu i śmignęła ostro do tyłu, zanim ktokolwiek by się zorientował. Ale nie mogła wykonać tego manewru na autostradzie. Musi stąd uciec. Tak jak i tamten wóz. Ale w którym miejscu da się odskoczyć? Zostało jej jeszcze dwa-

dzieścia minut na dotarcie do nowego domu ojca. Znała tę okolicę bardzo dobrze, choć nie tak dobrze jak północno-wschodnią Valley, gdzie tatko dzierżawił na dziesięć lat domek letniskowy. Te północno-wschodnie tereny rozciągające się u podnóża wzgórz były mniej zaludnione i łączyły się z Górą Aniołów w parku narodowym. Mnóstwo zapuszczonych dróg przecinało zbocza, Głębiej w stronę wzgórz uliczki kończyły się gęstwą krzaków i liści.

Spokój... Odosobnienie...

Dziwiła się, że camry był na tyle głupi, by posuwać się za nią. Odkąd jednak obrała kurs na wzgórz, wiedziała już, że ma za sobą ten ogon. Wjechała w drogę 118, a potem ruszyła drogą 210 na północ. Przyśpieszała, to znów zwalniała. Camry trzymał to samo tempo.

Dobra, nie miała wyboru. Wiodła go ku jego zgubie. Znajdzie odpowiednie miejsce, zrobi nagły zwrot i zanim się zorientuje już będzie mu siedziała na dupie. Jeśli teraz zakręci, zdobędzie jego numer.

W miarę jak droga się zwężała, wozy nabierały szybkości. Jej saturn rozwijał siedemdziesiątkę. Widoczność była lepsza camry nadal trzymał się jej ogona. Serce waliło w piersi, a wolną ręką grzebała w torebce, póki nie znalazła broni. Sciskała ją mocno i chociaż wolałaby ją położyć obok na siedzeniu nie wyjęła jej z torebki. Zdjęła nogę z pedału gazu i zwolniła. To było zdumiewające. Zaczęła realizować swój plan i zaraz przestała uważać się nad sobą.

Dotarła do Foothill Boulevard, zjechała z autostrady i poczekała na światło. Oglądając się do tyłu, stwierdziła, iż camry był teraz za nią tylko o długość wozu. Światło zmieniło się i włączyła się w nurt czteropasmowej ulicy. W ciągu pierwszych dziesięciu minut minęła tereny handlowe, parę supermarketów, nowo powstały Kmart, parę ceglanych budynków, naczepy do wynajęcia, zakłady drzewne i przedszkole.

Jedna mila, dwie, trzy...

Camry wciąż był za nią, ale trzymał się z tyłu. Z każdym zakrętem coraz bardziej się oddalał. Mogłaby wreszcie wykonać ten zwrot i miała nadzieję, że to najlepsze rozwiązanie. Kręciło się tu jednak jeszcze sporo wozów. Zrobi to, gdy tylko się trochę oddalą. Jeszcze jedna mila.

Zabudowa handlowa zaczęła stopniowo rzednąć, pojawiły się otwarte pola porośnięte gęstą trawą z kępkami dzikich kwiatów; droga wspinała się w górę, odsłaniając krzaki i leśne podszycie. Słyszała wzmagające się wycie silnika. Dalej pod górę droga zwężała się, prowadząc wzdłuż gęstych zarośli.

Spojrzała w lusterko: camry już tam nie było. Miało to zarówno dobrą, jak i złą stronę. Odczuła natychmiastową ulgę, ale towarzyszył temu przykry zawód z powodu własnej nieudolności. I po to wyciągała odznakę...

Czy camry już całkowicie odpadł, czy może wlecze się tam gdzieś w bezpiecznej odległości? Bo jeśli jeszcze tam jest, może powinna zawrócić i spróbować go dopaść. To bez sensu zapuszczać się głębiej pod górę, tylko po to, by zwabić ten widmowy wóz. Poczula się bardzo samotna. Droga stała się krętą ścieżką, wijącą się pośród bujnej roślinności.

„Zawróć, Cindy! Nie trać głowy!”

Tylko że teraz już nie mogła tego zrobić, gdyż asfalt zmienił się w wąski dwupasmowy trakt, obramowany wysokim zboczem. Światło dzienne docierało tu stłumione przez zacinające niebo listowie. Cindy skrzywiła się. A wydawało się, że to taki znakomity pomysł, doprowadzić tu tego faceta w camry! Boże, ależ była impulsywna!

„Tylko nie wpadaj w panikę!”

Wiedziała, że musi gdzieś wykręcić.

„Weź się w garść, Decker. Paranoja to niebezpieczna rzecz”.

Minęło chyba pół minuty, jak posuwała się tą drogą, i nadal nie mogła wykręcić. Wąska wstążka asfaltu rozszerzyła się jednak na tyle, że każdej stronie drogi towarzyszyło już pobocze. Jej wóz zaś był na tyle mały, że te kilkanaście stóp dodatkowej przestrzeni mogło wystarczyć na taki manewr.

Zjechała w prawo i odczekała moment. Nie telepało się za nią żadne camry.

„Cholera! Miała przecież coś ważniejszego w planie!”

Wykręciła z powrotem, kierując się w stronę domu tatki i zastanawiając się, czy powinna mu wspomnieć o tym facecie w camry. Tylko że je-

śli mu powie, to albo będzie się niepotrzebnie przejmował, albo pomyśli, że jest kompletną oślicą... którą rzeczywiście była.

Więc dalej, tą drogą. Dalej, dalej, dalej, opony zapiszczały na zakręcie. Tak, jechała za szybko. Musiała też przyznać, że przejęła się tym znacznie bardziej, niż na to zasługiwał ten stary, wgnieciony camry, tak bardzo potrzebujący myjni.

Więc dalej, w dół, póki znowu nie znajdzie się na płaskim terenie i wróci do Foothill Boulevard, mając przed sobą autostradę. Włączyła radio i zaraz je wyłączyła. Muzyka przyprawiała ją o ból głowy, a może potęgowała tylko już istniejący. Od domu tatki dzieliło ją tylko piętnaście minut. Byłoby dobrze, gdyby mogła się całkowicie rozluźnić, zanim tam dotrze. Hannah dopadnie ją, gdy tylko przekroczy próg, wciągnie do zabawy lalkami czy do gier wideo, a może do jej ulubionych programów z łyżworolkami, zupełnie jakby miała sześć lat...

Pan Camry znów się zjawił.

„Cholera, jak mogłam o nim zapomnieć!”

Był tam z tyłu na odległość dwu wozów. Mogła teraz wykonać szybki zwrot. Potrzebowała tylko lepszego miejsca. Raz, dwa, trzy... o, już.

„Teraz albo nigdy, Decker. Tylko z wyczuciem”.

Wykonała pełny zwrot, opony zapiszczały alarmująco. Taktyka ta jednak odniosła odwrotny skutek; jej nagły ruch natychmiast wyjaśnił camry, co chciała zrobić. Wóz skoczył do przodu i wyhamował. Nagle straciła nad nim kontrolę, wykonując kolejny zwrot pod prąd, explorer i taurus naciśnęły gwałtownie hamulce, zaledwie parę cali dzieliło je od burty jej wozu i od karambolu. Ryknęły wściekle klaksonami w symfonii, której towarzyszyły soczyste przekleństwa.

„Spierdalajcie, pomyślała, jestem w pościgu, głupki!”

Niemal wyniosło ją z drogi, ale ledwo odczuwała impet tej jazdy. Rozpierała ją wściekłość, wewnętrzny głos kazał jej pohamować te ekstrawagancje, podczas gdy wywrzaskiwała ohydne przekleństwa. Camry był teraz kilkaset stóp przed nią, za chwilę zniknie jej z pola widzenia. Wcisnęła gaz do dechy, wymijając potok pojazdów zdążających do pracy, w rozpaczliwym wysiłku zmniejszenia dystansu między obydwojema woza-

mi. W camry musiał siedzieć nie lada kierowca, bo jego wóz przemykał zgrabnie między innymi wozami, gdy ona nurkowała w każdą lukę, żeby tylko utrzymać dystans. Wreszcie ujrzała go, jak śmignął, wjeżdżając w drogę 210. Dała znak klaksonem pojazdowi znajdującym się przed nią, zmieniła pas i wjechała na tę drogę, wymijając cztery wozy.

Ruch był szybki, ale zostawało jeszcze trochę miejsca na manewry. Mrużąc oczy, zdołała odczytać część tablicy: 4-A-C — chyba raczej C niż O lub D...

„Trzymaj się go, dziecinko! Jeszcze trochę, a zobaczysz resztę”.

Zyskała trochę dystansu, ale jej saturn miał jednak pewne ograniczenia szybkości. Nie było to bez znaczenia przy takich kaskaderskich wyczynach.

„A cóż to dla mnie!”

W miarę jak odsłaniała się tablica rejestracyjna, odczytywała litery i cyfry, powtarzając je sobie na głos dla pamięci. Jeszcze parę powtórzeń i to się utrwali. Na kolejnym rozjeździe camry wjechał w drogę 405. Musiała jej chyba nawalić przekładnia biegów, bo wóz nagle szarpnął w tył, a potem wytracił szybkość.

Kiedy próbowała przyśpieszyć, motor zarzęził i zagrzecgotał w proteście. Jak dotąd, czerwony wóz wciąż pozostawał w jej polu widzenia.

Jedna miła, jedna i pół, dwie...

Może zadzwoni do centrali, choć ta czynność spowolni tempo jazdy, co mogłoby ją kosztować utratę kontaktu. Wiedząc, do kogo należy ten numer, zjedzie na pobocze i wywiesi koguta. Chciała wreszcie dopaść tego skurwiela, stwierdzić, co to za ptaszek i czemu za nią jechał. Niech się przynajmniej okaże, kto to taki.

Dwie i pół mili, trzy...

Wykręcił na Devonshire. Świetnie! To po drodze do tatki. Może uda się jej schwycić tego przestępcę i nie spóźni się przy tym na kolację. Musiała trochę wykołować innych, żeby dostać się na odległy prawy pas i dopaść tego szaleńca. Tylko że kiedy miała już wolny zjazd, złapało ją czerwone światło. Przyhamowała ostro, złapała za kierownicę i złorze-

cząc głośno, ujrzała tylne światła przyspieszającego czerwonego camry na wschód do Devonshire.

A niech cię szlag! Mimo iż była pierwszym wozem na lewym pasie! Próbowała jeszcze skrócić, ale to by już było kuszenie losu. Widocznie zużyła już swój przydział szczęścia. Wygrzebując z torebki telefon, żałowała, że musi skręcać w lewo, a mieszka w Stanach, zamiast w takiej Anglii, Japonii czy Australii. Zgłosił się operator, zapytała go o najbliższy wydział pojazdów zmotoryzowanych. Ale zanim dostała ten numer, światło zmieniło się na zielone. Widocznie poczuła się nie zagrożona, bo zrobiła coś, czego absolutnie nie wolno, wykonała natychmiastowy skręt w lewo i licząc na półsekundowy czas reakcji od decyzji w mózgu do wciśnięcia pedału, wyskoczyła do przodu przed nadjeżdżający z naprzeciwka potok pojazdów. Nogę trzymała na gazie. Ku swemu zaskoczeniu złowiła wzrokiem światła camry.

Zrazu było jej miło, ale potem, gdy doszedł do głosu rozsądek, wystraszyła się. Zgodnie z logiką powinien zjechać na bok i poczekać.

„Cóż on do licha wyprawia, będąc teraz w moim zasięgu?”

Gdyby zniknął, wystarczy, żeby zadzwoniła, podając dane z tablicy rejestracyjnej, i będzie go miała. No, ale teraz złapie go osobiście. Kpił sobie z niej jak jakiś wychuchany picuś-glancuś. Dobra, zrobiłaby z siebie idiotkę, gdyby dała się przechytrzyć takiemu gnojowi.

Wcisnęła gaz i skoczyła naprzód, próbując zmniejszyć odległość między nimi. Ale camry musiał mieć jakieś dodatkowe moce w swym pospolitym motorze, bo rwał naprzód, pędząc w dół Devonshire i zmieniając pasy ze zręcznością kieszonkowca. Dodawał gazu, ilekroć udawało się jej wydobyć z korka. Szydził z niej, wyśmiewał się.

„Nie złapiesz mnie, jestem picuś-glancuś”.

Wystrychnie go na dudka. Poczeka, aż ruszy dalej na wschód, mijając zabudowę handlową, markety i pasażę, rezydencje oblepione drzewkami cytrynowymi i brzoskwiniowymi, uginającymi się pod ciężarem zielonych owoców, te lesiste pozostałości dawnego Los Angeles. Ścigając camry, mogła się przekonać, że ten wóz miał szczęście do światła. Gdy wreszcie napotkał na krzyżówce czerwone, zmusił wóz do gwałtownego

zakrętu na dwóch kołach i wykonał ostry zwrot w prawo o 180 stopni, cudem unikając zderzenia z kombi wypełnionym dzieciakami. Wrzasnęła, gdy camry mijał kombi dosłownie o długość paznokcia.

Dobra! Tu cię mam! Wezwie policję. Jak tylko będzie miała wolną rękę.

Bo teraz poczuła się ważnym funkcjonariuszem na służbie ścigającym skurczybyka, już mu nie popuści. Jechała na syrenie, okazując swą odznakę blokującym wozom i wślizgując się w każde wolne miejsce, które jej zostawiano. Zaraz droga będzie wolna. Ale oto camry zmienił się w znikający na horyzoncie pyłek. Wcisnęła gaz do dechy i jej wóz skoczył naprzód jak pocisk wyrzucony z katapulty. Jadąc wciąż na syrenie, mknęła naprzód, dopóki camry nie urósł z drobinki do wyraźnego kształtu i wreszcie znów się stał samochodem.

Wóz dygotał, drzwi grzechotały w głośniejszą skardze, okna szumiały, nie posiadając się z oburzenia. Miała wrażenie, że jej pojazd rozpada się na kawałki, opony odrywają się od podwozia, a metalowe części rozlatują się pod wpływem siły odśrodkowej.

Po co jej ten cały pokaz? Miała przecież numer tablicy, miała opis wozu. Czy nie powinna na tym poprzestać? Nie zachowywała przyjętych reguł. Zamiast tego ścinała po kowbojsku zakręty. Nie mogła się już jednak zatrzymać.

Zdzierała wóz, który dygotał jak kulące się szczenię.

„Przecież to czyste wariactwo!”

Zobaczyła, jak camry robi szybki zwrot w prawo, wyciąga na prostą i znika w oddali. Ujrzała go u podnóża wzniesienia, jak przedziera się ciasnymi drózkami w kierunku parku narodowego. Kolejny ostry skręt w prawo, potem w lewo, znów w prawo i zaszyje się gdzieś w dziczy rezerwatu, kończąc tam pokrętny szlak swej ucieczki. Kontynuując pościg swym Saturnem, usłyszała ten sławetny kaszel silnika, oznaczający, że motor się zatarł. Nie mogła już przyśpieszyć, więc straciła camry, po którym pozostał tylko zapach spalin.

Nic już nie miała do roboty, zmniejszyła więc szybkość do rozsądnych granic, jadąc nie więcej niż milę na minutę. Siegała już po telefon, żeby

podać numer tej tablicy, gdy powstrzymał ją znak drogowy, na którym widniał napis: DROGA KOŃCZY SIĘ 200 STÓP DALEJ.

„Koniec drogi”.

Ślepy zaułek z licznymi ławkami biwakowymi i grillami wychodził na park narodowy. Na płaskim placu porośniętym trawą porozstawiano stoły, zaraz za nim rozciągał się stok; ścieżki wiodły przez bujną po ostatnich deszczach trawę, były tam eukaliptusy, sykomory, dęby kalifornijskie oraz najrozmaitsze krzewy i zarośla.

Zatoczka do parkowania była pusta. Wjechała i zgasiła silnik. Upewniła się, że spod maski nie bucha dym — na taki wypadek trzymała w bagażniku dwugalonowy pojemnik z wodą. Postanowiła się trochę rozejrzeć, póki rozgrzany motor nie ostygnie. Zabrała torebkę, wyszła z wozu i trzasnęła drzwiami. Wzięła też broń, choć nie sądziła, że będzie musiała jej użyć. Miejsce wydawało się opuszczone, bez jakichkolwiek śladów obecności człowieka.

Oslaniając oczy dłońmi, spojrzała, co tam jest dalej. Zmrużyła powieki, żeby lepiej widzieć. Nic się nie działo. Parę ptaków leniwie zawisło na mlecznym niebie. Najmniejszych oznak obecności przedstawiciela gatunku *Homo sapiens*, tylko ten ptasi świegot i brzęczenie owadów wygrzewających się w ostatnich blaskach dogasającego słońca. Zaraz będzie ciemno.

Szła powoli przez pole biwakowe, w nadziei, że znajdzie jakieś ślady opon, odcisnięte na ziemi, ale powierzchnia była gładka. Listowie też było nietknięte, co potwierdziła szybka lustracja pobliskich zarośli. Niczego nie nadłamano ani nie przewrócono, nic nie zmieniło swego położenia. Chyba musiała przegapić jakąś dróżkę, odkąd straciła z oczu camry i zanim tu się znalazła. To bardzo prawdopodobne, bo szukając camry, nie była już zdolna zwracać uwagi na nic innego.

Myszkowała wciąż z nosem przy ziemi, ale jedyne, co widziała, to zagajniki i rozległe przestrzenie zarośnięte drzewami i trawą, a nad nimi lejki komarów wirujące w słonecznym blasku. Ciszę przerywało tylko tęskne zawodzenie kojota. Po chwili usłyszała odpowiedź innych, brzmiącą jak głośny i przeszywający dźwięk syren. Trwało to chyba z

minutę, wzmagając bicie jej serca. Lustrowała wzrokiem scenerię, oganiając się od dokuczliwych komarów.

A potem, z pewnej odległości, usłyszała dobiegający odgłos zbliżającego się wozu, hałas silnika spotęgowany jeszcze efektem Dopplera. W nos uderzył ją gryzący odór. W jaki sposób camry udało się ją okrążyć i złapać w pułapkę? Pobiegnęła szybko do swego wozu, wgramoliła się na siedzenie kierowcy i kuląc się, z rewolwerem w rękę i wzrokiem utkwionym w okno, wypatrywała, co się dzieje na drodze.

Wyłonił się stary, biały mustang, motor pyrkotał, a żwir przyskał spod opon. Potoczył się jakieś dziesięć stóp, po czym grzechotanie motoru ustało.

Cisza.

Broń ślizgała się w jej spoconej dłoni. Otarła prawą dłoń o spodnie i ścisnęła mocno rękojeść, czując, jak wali jej serce.

Drzwi mustanga otwarły się i usłyszała stapanie butów po żwirze, zupełnie jakby ktoś ocierał się o skałę. Kwas spłynął jej do żołądka, szczęki zacisnęły się w bolesnym grymasie.

„Chodź no tu, dziecińko!”, pomyślała. „Niech cię zobaczę”.

Szur, szur, szur. Ktokolwiek to był, poruszał się wolniutko. Zobaczyła parę czarnych mokasynów, pod mankietami luźnych czarnych spodni, damskich spodni. Uniosła trochę głowę, żeby mieć lepszy widok.

Ku swemu nieopisanemu zdumieniu ujrzała przed sobą Hayley Marx. Jej koleżanka miała na sobie luźny jedwabny blezer i białą bluzkę. Nie-dbale upięty żółto-czarny szal otulają jej szyję. Dziwaczny wygląd koleżanki i nagłe jej pojawienie się były tak zaskakujące, że Cindy nie mogła wykrztusić słowa.

— Cześć! — odezwała się Hayley.

Cindy cofnęła się i Hayley odskoczyła do tyłu. Dostrzegła, że ręka koleżanki grzebie w torebce, więc odsunęła szybę i wrzasnęła:

— To ja, Decker!

— Decker? — Zaskoczenie Hayley zabrzmiało szczerze. — A co ty, u diabła, tu robisz?

Cindy schowała rewolwer do torebki, otworzyła drzwi wozu i powoli wyszła. Zrobiła parę kroków, patrząc uważnie, czy jej tak zwana przyjaciółka trzyma rękę w torebce, być może szukając swej broni.

— Mogłabym cię spytać o to samo, Marx.

Hayley gapiła się na nią bez słowa, zanim jej twarz rozwarła się w uśmiechu.

— Stoimy tu tak i gapimy się na siebie, jakby każda z nas zobaczyła raroga.

— Strzelanina w zagrodzie — stwierdziła Cindy.

Żadna z nich nie wyrzekła słowa. Cindy starała się wolno oddychać, wystawiła biodro do przodu i oczekiwała wyjaśnień, jakby Marx była małą dziewczynką, która coś zbroiła. Hayley połknęła przynętę.

— Twój wóz dymi jak komin. Jako osoba w służbie publicznej myślę, że ktoś powinien ci pomóc.

Oczekiwała, że Cindy obejrzy się teraz na swój wóz, ale taki się nie stało.

— Taa, wiem. Ale skąd ty się tu wzięłaś? — Różne myśli, przychodziły jej do głowy. — Co do mnie, to zajechałam tu po drodze, miałam jeszcze trochę czasu, zanim odwiedzę tatkę. Mieszka dwadzieścia minut stąd i nie chciałam być za wcześnie. — Usłyszała swój nerwowy śmiezek. — Wiesz, jak to jest.

— No pewnie. — Chichot Hayley był równie niepewny jak jej. — Też zabijam czas. Umówiłam się ze Scottem Oliverem i nie chciałam być za wcześnie. — Jeszcze jeden znaczący grymas. — Wiesz, jak to jest.

Minęło może pół sekundy, nim Cindy odzyskała przytomność umysłu. Oliver dopiero co jej mówił, że nie chce być z Marx.

— Oliver? — Ostentacyjnie okazała swój brak zainteresowania. — A co ty? Masochistka jesteś?

Hayley roześmiała się.

— Może i tak. — Wyjęła rękę z torebki i rozłożyła teraz obie w bezradnym geście. — Zostawiłam mu wczoraj wiadomość na jego sekretarce. Oddzwonił. — Wzruszyła ramionami. — Nie mam pojęcia, czego ode mnie chce.

Cindy uśmiechnęła się, choć ją to zapiekło. Podeszła bliżej do Hayley.

—Po co mamy ze sobą rozmawiać na taką odległość.

Przywitały się, po czym Hayley podeszła do saturna Cindy.

—Co się stało z twoim wozem? Możesz podnieść maskę?

—Tak, tylko może niech najpierw trochę ostygnie.

—Ostygnie?

Cindy westchnęła.

—Dobre zakończenie tego zasranego dnia. — Wsiadła do wozu i podniosła maskę. Dym buchnął w mroczniejące niebo. Otworzyła kufer. — Mam tu wodę.

—Pomogę ci. — Hayley przyniosła wodę i stary brudny ręcznik. Stała przy silniku, wachlując się od dymu. — Czy to nie dziwne... że tak się tu spotkałyśmy...

— Nie wierzysz w przypadki?

— Nie za bardzo. Ale to mi wygląda na przypadek.

Może tak, a może i nie. W każdym razie Cindy zdawała się w to wątpić.

— Znasz to miejsce?

—Nie. Wyjechałam z miasta wcześniej, żeby uniknąć korka, I pojechałam tędy... otworzę tym pokrywę chłodnicy, dobrze?

—Taa. — Cindy wysiadła z wozu i podeszła do niej. — Kiedy masz się spotkać z Oliverem?

Hayley spojrzała na zegarek.

—Za jakąś godzinę.

—No, to naprawdę przyjechałaś wcześniej.

—Denerwuję się — przyznała Hayley. — Jazda mnie uspokaja. Może byśmy wyskoczyły na drinka czy coś w tym rodzaju przed tymi naszymi spotkaniami?

Teraz Cindy spojrzała na zegarek.

—Powinnam być u ojca. A jutro jesteś wolna czy pracujesz?

—Jutro jestem wolna. Może byśmy tak wyskoczyły na obiad czy kolację?

—Na obiad. Sobota wieczór, to dość przygnębiające.

—Masz rację — zgodziła się Hayley. — Ale musiałabym to odwołać, gdyby się okazało, że Oliver jest mniejszym kutafonem niż zwykle.

—Stoi. — Cindy poczuła się podle. — Powodzenia.

—Będzie mi potrzebne. Tak sobie myślę, że jestem idiotką pierwszej klasy. Czy mogę na to wylać całą wodę?

—Wylej. Napełnię to, jak będę u tatki.

Hayley przyjrzała się Cindy.

—Jesteś taka blada.

Cindy uśmiechnęła się.

—Wiesz, taki zasrany dzień...

— Czemu byśmy nie miały trochę tu przycupnąć u ciebie w wozie?

Ich oczy znów się spotkały.

— Tak tu pusto. Nawet by się chciało, żeby ktoś nadszedł. Hayley przegrała ten pojedynek na spojrzenia.

— Jesteś jeszcze bardziej pieprznięta niż ja. Coś ci dolega, Decker?

Cindy cmoknęła ją w policzek. Powiedziała sentencjonalnie:

— Taki jest świat. To świat mi dolega, Hayley.

Rozdział siedemnasty

Z Hayley na ogonie Cindy wolno zjeżdżała ze wzgórza. Maszyna wciąż była gorąca, ale silnik przestał dymić. Do tatki nie jest daleko, była pewna, że dojedzie. Milę dalej ich drogi się rozeszły, Hayley pomachała jej z uśmiechem. „Może trochę za mało było w tym entuzjazmu”, pomyślała Cindy. Zastanawiała się, na ile Hayley jej uwierzyła i na ile ona sama uwierzyła Hayley. W końcu jutro się spotkają i może te wzajemne nieufności jakoś się rozwieją. To nie Hayley była jej najważniejszym zmartwieniem. Czerwony camry chodził jej po głowie, a nie biały mustang.

Ogarniały ją różne wątpliwości, poczynając od Craytona. Czy miała być następna na długiej liście ofiar? Ale z jakiej racji miałyby budzić czyjąś zemstę? Przecież była kimś pierwszym z brzegu, nie mieściła się w tych rejestrach. A może to nie miało nic wspólnego z Armandem? Zdawała sobie przecież sprawę, że ostatnie porwania wozów stanowiły prawdziwą plagę tego regionu. Ale jeśli to miała być jakaś złodziejska sztuczka, ten, który by się na to porwał, byłby chyba największym głupcem na ziemi. Poza tym ci porywacze zasadzali się na nie spodziewające się niczego kobiety z dziećmi, panie, które stawiały wozy w jakichś odosobnionych miejscach. A ona poruszała się po bardzo uczęszczanej drodze i cały czas była na widoku. Okoliczność sprzyjająca śledzeniu kogoś, a nie porywaniu go.

Ale ktoś tam się do niej uczepił.

Dreszcz przebiegł jej po krzyżu.

„Zaczerpnij powietrza, Decker! Dasz sobie z tym radę!”

Gdy znalazła się przed nowym domem ojca, była już spokojna. Ani całkiem na luzie, ani nazbyt spięta.

To miejsce nie było tak duże jak poprzedni dom ojca, ale mniej odległe od miasta, więc pewnie lepsze dla dzieci. Tylko że synowie Riny już niemal wyfrunęli z domu. Starszy, Sammy, kończył właśnie szkołę średnią i za niespełna pół roku przenosił się do Izraela. Jake chodził do jedenastej klasy i też w ciągu roku miał się stąd wynieść. W swej nowej ro-

dzinie tatko miał tylko jedną córkę, przyrodną siostrzyczkę Cindy, Hannah. Cindy nieraz się zastanawiała, czy ta przeprowadzka — nie wspominając już o roku, jaki im zszedł na zagospodarowaniu się w nowym domu — nie była ze stratą dla tej małej dziewczynki, która czuła się taka szczęśliwa w starym miejscu. Ale Hannah wszędzie była radosna. To dziecko było jak promyk słońca w przeciwieństwie do swej starszej siostry, bardzo w tej chwili zasepionej i podejrzliwej.

Postawiła wóz na świeżo wyasfaltowanym podjeździe, tłusto pobłyskującym w słonecznym świetle. Z chłodnicy natychmiast zaczęły się dobywać pióropusze pary. Wyszła Rina, żeby się z nią przywitać. Jej macocha włożyła luźną suknię, a włosy miała upięte pod płaskim czerwonym szkockim beretem. Obie spojrzały na wóz i zmarszczyły brwi.

—Nie wygląda to dobrze — stwierdziła Rina.

—Bo nie jest. — Skinęła głową Cindy.

—Chcesz, to cię podholuję do najbliższej stacji obsługi? Jest sześć ulic stąd.

—Tylko się przegrzał. Ostygnie, zanim stąd wyjdę.

—Ścigałaś się z kimś?

„Z własną wyobraźnią, być może”.

— Poproszę twego ojca, niech na to spojrzy przed szabatem. Nie chciałabym, żebyś miała jeszcze jakieś kłopoty.

Cindy poczuła dreszcze.

—Nie, daj spokój. Nawet mu o tym nie wspominaj. Tylko by się niepotrzebnie zmartwił. — Spróbowała się uśmiechnąć. — Muszę gdzieś zadzwonić. Mogłabym z domu zamiast z komórki?

—Oczywiście. — Podeszły do drzwi. Rina objęła swą pasierbicę. — Wyglądasz na zmęczoną, Cindy.

—Miałam ciężki dzień.

—Tak mi się zdaje, że niezbyt szczęśliwy.

—Co racja, to racja.

Rina uścisnęła ją lekko.

—Może mi się uda utopić twoje zmartwienia w obfitości jadła.

—Jeśli komukolwiek mogłoby się to udać, to jedynie tobie. — Gdy tylko przekroczyła próg, jej nos wykonał taniec szczęścia. Te wszystkie cudowne, podniecające zapachy! Śliska napłynęła jej do ust. „Niczym pies Pawłowa”. — Pachnie niebiańsko! — pochwaliła.

—Dziękuję. Mam nadzieję, że jesteś głodna.

—Jestem zagłodzona na śmierć.

—Ach, moje kochanie!

—Tylko twój indyk może mnie uratować.

—To fatalnie, bo zrobiłam kurczęta i kulkę z jagnięciny.

—Dajże tego skosztować. — Cindy rozejrzała się po przebudowanym saloniku. Niski, płaski sufit został zastąpiony piętnastostopowym sklepieniem z surowego hikorowego drewna. Wysokie, panoramiczne okna dawały naturalne światło. Ściany zabudowane w ten sam sposób co sufit wyposażono w potężny zestaw rozrywkowy: telewizor, wieża stereo z kompaktem, półki na książki i płyty oraz półka na filmy wideo z całym mnóstwem poukładanych tam pozycji. Dawniej były tam skóry tatki i jelenie trofea. Teraz ustąpiły miejsca wygodnym kanapom i krzesłom we wszelkiego rodzaju niebiesko-białe drukowane wzory, solidne holenderskie meble. Do tego mnóstwo sztruksowych poduszek obszytych białymi koronkami i ażurami. Z jednej strony kamiennego kominka stał fotel bujany, a z drugiej wyściełany ciemnowisniovą skórą fotel i otomana, co sprawiało wrażenie statku zagubionego w niebieskim morzu, niewątpliwy wkład smaku jej ojca. Podłogę z szerokich desek pokrywał jasnokremowy dywan o teksturze naśladowującej fale.

—Ileż tu spokoju — stwierdziła Cindy. — Prawdziwie domowa atmosfera.

—Weź sobie krzesło i siadaj.

—Mogłabyś mi rzucić poduszki?

Rina wskazała jej, gdzie leżą.

— Ja zmieniłam obicie bujanego fotela. Twój tatko zabudował ścianę.

— Nadzwyczajnie! Trudno w to uwierzyć.

— Ale to prawda. Zrobił z tego coś między luksusową łazienką a sypialnią. A potem mamy w planie kuchnię, z bożą pomocą. Czekamy, aż Sammy nas opuści. Jedna głodna gęba mniej.

—A czy są niegłodne gęby? — roześmiała się Cindy.

—Twoja siostra.

—Gdzie ona jest?

—Ogląda wideo.

—To chyba pójdę powiedzieć jej cześć?

Rina spojrzała na swą pasierbicę.

— Nie mogłabyś z tym zaczekać? Odpocznij trochę przed obiadem.

— Nie będę się sprzeczać.

Do pokoju wpadł Sammy z kluczykami od wozu dyndającymi w jednej ręce i stertą ulotek w drugiej. Miał na sobie białą koszulę i czarne spodnie, a na nogach czarne buty. Jego wilgotne włosy wydawały się znacznie ciemniejsze, niżby na to wskazywał ich naturalny piaskowy kolor. Większość loków skrywała czarna aksamitna jarmułka. Chwycił poduszkę i rzucił nią w Cindy.

— Cześć, ruda!

Chwyciła ją jedną ręką.

— Cześć! — Sammy miał niemal metr osiemdziesiąt. Osiemnastolatek, ho, ho! Niemal dorosły mężczyzna. Całkiem przy tym atrakcyjny. Zdała sobie sprawę, że głos może ją dziś zawieść, więc spróbowała się uśmiechnąć. Całkiem zgrabnie to poszło.

Zerknął na swą przyrodnią siostrę.

—Ciężki dzień?

—Jakbyś zgadł.

—Opowiesz mi szczegóły po obiedzie. Przed szabatem wpadnę jeszcze do synagogi. — Podniósł ulotki. — Muszę na ten tydzień przygotować wykład z ustępu Tory poświęcony rozmaitym ofiarom. To nie to samo, co

czytanie Biblii, wykonałem chyba fantastyczną robotę. Chcesz posłuchać?

—A zrozumieć coś z tego?

— Oczywiście. Nie tylko świetnie piszę, mam także zwięzły i jasny styl.

Cindy roześmiała się.

— Tylko nie wiem, czy to po angielsku czy po hebrajsku? Sammy wręczył jej swój wykład.

—W zasadzie po angielsku, a te trochę hebrajszczyzny jest już przetłumaczone. — Zwrócił się do matki — Czytałaś to, Eema?

—Nie.

Dał matce drugi egzemplarz.

—Namacalny dowód, że te twoje tysiące dolarów na żydowską szkołę nie poszło na marne.

—Kiedy wrócisz? — spytała Rina. — Jest za kwadrans szósta.

—A kiedy zapalasz świece?

—Piętnaście po szóstej.

—Tyle co dojechać, mam mnóstwo czasu — zapiął Sammy.

— A poza tym, tatko jeszcze nie wrócił.

—Co mam z tobą zrobić? — Rina spojrzała na syna.

—Nic. To na razie. — Zatrzasnął za sobą drzwi, Rina aż podskoczyła. — W ten sposób nigdy nie mogę przegapić chwili, kiedy on wychodzi. — Oczy zaszyły jej łzami, spojrzała na Cindy.

— Możesz skorzystać z telefonu w naszej sypialni, Cin. Tam będziesz miała spokój.

—Dzięki. Gdzie jest wasza sypialnia?

—Na końcu korytarza. Okna wychodzą na podwórkowe chwasty. Może i nie jest to szczególnie malownicze.

—Za to od frontu widok masz niczego sobie.

—Bo tam są te wszystkie cudowne dęby i sykomory. — Zadzwieczał alarm w kuchni. — Ciasto mnie woła. Znajdziesz potem drogę do kuchni. Może nie zmniejszy to twoich kłopotów, ale pachnie za to smakowicie.

Cindy skinęła głową, troszczyli się tu o nią, mogła się poczuć lepiej. Ruszyła krótkim korytarzem, którego ściany zdobiła bezładna platanina zdjęć i rysunków Hannah, z czasów gdy jeszcze nie chodziła do szkoły. Zamknięte drzwi po lewej stronie drżały przy każdym łupnięciu na przesterowanych basach — to pokój chłopców. Z innych zamkniętych drzwi po prawej dobywały się obłądne skowyty rozplaszczających się w upadku lub skwierczących na patelni postaci z kreskówek. To pokój Hannah.

Na końcu była sypialnia gospodarzy. Większość miejsca zajmowało wielkie podwójne łóżko z takimż materacem. Jej ojciec był słusznego wzrostu, ale wiedziała, że nie to było powodem dziwacznej usytuowania łóżka. Miało to coś wspólnego z żydowską czystością religijną. Rina usiłowała jej to kiedyś wyjaśnić, ale Cindy słuchała tego jednym uchem; rytuały płodności wykraczały poza sferę jej zainteresowań.

W rodzinie ojca uchodziła za osobę mało religijną, jakby była kimś duchowo niższym. Wiązało się to z postawą Riny i miało wiele wspólnego z tym, że sześciolatnia siostrzyczka Cindy czytała po hebrajsku znacznie lepiej niż ona. Dla samej Cindy nie było to niczym nadzwyczajnym, jej siostra była wykształcona i bystra, ale wciąż pozostawała małą dziewczynką. Często też czuła, że jej ojciec, który wychował się jako chrześcijanin, a tylko przez ostatnie osiem lat był żydem, myślał podobnie jak ona. Widocznie dobrze to ukrywał. Kiedy odprawiał Kiddush, rytualne błogosławieństwo wina podczas szabatowej wieczerzy, wypowiedane przezeń hebrajskie wersety brzmiały bez zarzutu.

Aparat był po stronie Riny, usiadła więc na jej łóżku i opadła w miękkim puchu. Bardzo by chciała zwinąć się tak w kłębek i usnąć. Zamiast tego chwyciła za słuchawkę i zadzwoniła, by sprawdzono numer z tablicy rejestracyjnej toyoty camry. Oczywiście, kobieta kazała jej czekać. Cindy rozglądała się po pokoju. Rina najwyraźniej preferowała w wystroju blade odcienie żółci, błękit nieba i biele, nie trzeba było wiele, żeby się uśmiechnąć.

Za oknem istotnie rozpościerał się widok na podwórkowe chwasty. Na obraz tego bałaganu składały się jaskrawożółte dmuchawce, fioletowe kwiatuszki lawendy i pomarańczowe kalifornijskie maki, których płatki

unosił wiatr. Rosło tam też parę starych liściastych drzew. Mnóstwo miejsca, by Hannah mogła tu sobie biegać wokół i bawić się w królową lasu. (Czy dzieci nadal to robią?)

Po chwili usłyszała znów na linii tę kobietę.

Numery rejestracyjne były kradzione; żadna niespodzianka. Zdjęto je z jakiegoś trefnego pojazdu. Znów nic takiego, mogłoby się zdawać. Kradzione wozy rozmontowywano na części, przerzucano je następnie w różne miejsca i sprzedawano temu, kto oferował najwyższą cenę. Jednak już sam fakt, że ta właśnie tablica pochodziła ze skradzionego wozu, naruszył jej myśl o ostatnich porwaniach samochodów, wliczając w to sprawę Tarkum i najnowsze zdarzenia.

Wypytyując dalej, Cindy uzyskała informacje o marce i rodzaju pojazdu, z którego zdjęto te tablice: ropniak volvo z wczesnych lat dziewięćdziesiątych. Kobieta po drugiej stronie szukała właśnie danych o ostatnim właścicielu pojazdu, gdy do pokoju wszedł ojciec. Był zgrzany, spocony i zmordowany. Natychmiast powiesiła słuchawkę.

—Cześć tato, jak tam u ciebie?

Decker ucałował ją w czoło.

—Nie musisz skracać rozmowy ze względu na mnie.

—Wyglądało, że ci się śpieszy.

—Niezupełnie. Golenie i prysznic zabiorą mi całe dwadzieścia minut.

—Całe dwadzieścia — powtórzyła Cindy. — Nie starczy mi czasu, żeby sobie zrobić brwi.

—A po co miałybyś je poprawiać? — Rzucił marynarkę na łóżko i zaczął rozwiązywać krawat. — Cokolwiek z tym zrobisz, skrzywię się tylko z obrzydzeniem!

—Trele-morele. — Podniosła się. — Pójdę lepiej pomóc Rinie. Będę jej mieszać sałatkę. — Pocałowała ojca w policzek.

—Dzięki, że o mnie pamiętałeś. Chyba naprawdę czeka mnie wyżerka.

—Zawsze, ilekroć tylko zechcesz. — Wszedł do łazienki, otworzył kurek i wrócił do pokoju. — Mam dla ciebie zadanie specjalne. Przyjdzie Marge ze swą córką Vega.

—Spoko.

— Vega jest bardzo wrażliwa. Świat zewnętrzny wciąż ją zdumiewa, a nasze zwyczaje mogą ją wprawić w nie lada zakłopotanie. Chciałbym cię prosić o pośrednictwo.

—Może raczej o tłumaczenie.

Decker usiadł na łóżku i zdjął buty.

—To też. A jak ty się czujesz? Wyglądasz na zmęczoną.

—Bo jestem zmęczona.

—Wszystko w porządku?

—Świetnie.

—Nie bardzo widać.

— Po prostu jestem już bardzo głodna. Czekałam na tę wieczerzę. Fajnie byłoby zjeść coś, co nie jest z puszki. Idź się przygotować na szabat. Później pogadamy.

Decker uśmiechnął się do niej. Choć jej zboliała twarz sprawiła, że serce mu zamarło. Za bardzo się nią przejmował.

Rina powiedziała jej, że może skorzystać z telefonu w kuchni. I niech przy okazji dopilnuje, by brokuły się nie przegotowały, bo ona musi się teraz ubrać. Było to małe pomieszczenie ze starym stołem, lodówką ciasną i napchaną po brzegi, a sam piec i płyta grzewcza pamiętały z pewnością kampanię reklamującą te urządzenia w latach pięćdziesiątych. Można się tu było tylko nabawić klaustrofobii; remont kapitalny wydawał się niezbędny. To jednak w niczym nie powstrzymywało Riny od szaleństwa gotowania; potrawy wyglądały bajecznie, a pachniały jeszcze lepiej. Gruczoły ślinowe Cindy pracowały bez przerwy. Kuchnia jej matki przypominała raczej zakład zbiorowego żywienia, tak była przestronna i nowoczesna. Tyle że mama Cindy nigdy nie gotowała ani nie przygotowywała jedzenia. Pewnie dlatego, że ona i Alan większość swego czasu spędzali na podróżowaniu i jadali poza domem. No i ta kuchnia jak marzenie była pusta i ciemna jak większość teatrów w poniedziałkowy wieczór.

Wzięła swój notes, złapała połączenie z wydziałem pojazdów zmotoryzowanych i oczywiście, musiała czekać. Upojona wonią rozmarynu, przytrzymała słuchawkę w zagięciu barku i szyi, mieszając kwiatki

rozmarynu z ząbkami czosnku, a potem gdy brokuły nabrały jasnozielonego koloru, odstawiła naczynie z ognia. Właśnie doprawiała sałatę, gdy kobieta po tamtej stronie odnalazła żądane informacje.

Oryginalne numery należały do państwa Sama i Roseanne Barkleyów. Sprawdziła ich adres w przewodniku Thomasa; okazało się, że mieszkają cztery mile od tatki, w bocznej uliczce. Za chwilę miała już numer prawa jazdy Roseanne. Na podstawie tego dokumentu dowiedziała się o wzroście i wadze, a także o wieku tej kobiety. Najlepszy wiek dla małżeństwa, w którym powinno się już mieć dziecko — dwadzieścia dziewięć lat. Miała brązowe włosy i piwne oczy. Cindy zastanawiała się, czy Roseanne mogłaby być ofiarą kolejnego porwania wozu. Żeby uzyskać te informacje, musiałyby mieć dostęp do oryginalnych raportów, a trudno było to uzyskać przez telefon. Ostatecznie był piątek, szósta po południu, i większość detektywów skończyła już pracę.

Mogła zapytać tatkę o tę Roseanne Barkley. Miał wgląd we wszystkie te sprawy. Ale wtedy zaczęłby zadawać pytania. A to by znaczyło, że w końcu musiałyby mu powiedzieć o tym camry. To chyba jednak byłoby nie w porządku, wciągać go w szabat w jej sprawy. Niech przynajmniej ten dzień ma wolny od zmartwień.

Mogłaby zapytać Oli... — ale on był z Hayley.

Została jeszcze Marge. Ma przecież swój weekend, podobnie jak tatko. A dla niej piątek nie był żadnym dniem świętym i mogła się z nią rozmówić bez pośrednictwa poczty. Może ją odwoła na bok w trakcie wieczery. Gdyby się okazało, że tej Roseanne porwano wóz, Cindy przez swych kolegów dowiedziałyby się czegoś o camry. Schowała notes do torebki i rozejrzała się znad kuchennego stołu. Rina rzucała jej uważne spojrzenia.

—Ja i twoje brokuły mamy się dobrze — powiedziała Cindy. Rina skosztowała jarzynę i zamieszała ją.

—Świetnie. Ojciec martwi się o ciebie.

—Tatko wciąż się o coś martwi.

—Tak, ale to chyba co innego. Z tobą wszystko w porządku? Zanim zdążyła odpowiedzieć, rozległ się dzwonek do drzwi.

—To muszą być Marge i Vega — zawołała Rina.

—Ja im otworzę. — Cindy ruszyła się z miejsca. Ale zanim podeszła do drzwi, na klamce pojawiła się ręka Jacoba. Podrósł, może nie tyle, ile jego braciszek, ale trudno było tego nie dostrzec. Bluzę miał wyłożoną na spodnie, wyzierały spod niej frędzle modlitewnego szala. Do czarnych spodni nosił ciemne mokasyny. Przeczesał palcami swe ciemne włosy, mocując jarmułkę policyjną spinką.

—Cześć! — powiedział.

—Cześć! — odparła Cindy.

Otworzył drzwi. Spojrzał na Marge, potem na Vegę. Na swoje trzynaście lat była niewielka i drobnokoścista. Gładka, brunatno-czekoladowa skóra opinała szerokie kości policzkowe. Niebieskie oczy nieustannie obserwowały i oceniały.

— Cześć, Jacob — powiedziała Marge. — To moja córka, Vega.

Nastolatek wyszczerzył się w uśmiechu. Otworzył usta i zaraz nabrał życia.

—Cześć. Wchodźcie do środka.

Vega zrobiła poważną minę.

—Dzięki.

—Witamy cię.

Nikt się nie poruszył. Wreszcie Marge powiedziała:

— No, wejdz.

Vega uczyniła niepewny krok naprzód, a Marge, gdy tylko znalazła się blisko, objęła i uściskała Cindy.

— Jak się masz?

—Dobrze.

—Nikt do ciebie nie strzelał?

—Nie dziś — wyrwało się Cindy.

—Co to znaczy? — spytał Jacob.

—Nic — wyjaśniła Cindy. — To było dawno temu.

—Owszem, to ma sens. Nikt mi nigdy o niczym nie mówi — pożalił się Jacob. — Czy podać komuś trochę wody albo coś innego do picia?

—Dzięki, nie trzeba. — Marge wzięła Vegę za rękę. — Możesz tu sobie usiąść.

Vega nadal rozglądała się po ludziach.

—Siadaj tu na kanapie, Vega — zachęciła ją Marge.

Ale dziewczynka wciąż pozostawała bez ruchu. Zajął się nią Jacob.

— Marge mi mówiła, że grasz w szachy. Wybieram się teraz do synagogi... do świątyni. Ale po wieczerzy mogę z tobą zagrać, jeśli chcesz.

Vega zrobiła wielkie oczy.

—Ty idziesz do świątyni?

— No tak, dla ciebie to nie jest świątynia. To jest świątynia narodu żydowskiego. Jestem Żydem. Wiesz, co to znaczy?

—To jest religia.

—Tak, to jest moja religia.

Vega spojrzała na Marge, a potem na Jacoba. Marge zachęciła

—Chcesz o coś zapytać, Vega. Mów.

— Mam prośbę — powiedziała drobna nastolatka. — Chciałabym pójść z Jacobem do świątyni.

Marge miała poczucie winy. W swym zapale wprowadzania Vegi w atmosferę współczesnej Ameryki nie brała pod uwagę religii. Będąc niemal ateistką, Marge rzadko myślała o Bogu. Ale ta krótka rozmowa na tematy religijne uświadomiła jej, jak bardzo Vegę brakowało wymiaru duchowości.

— Dobrze, Jacob? — Gdy chłopak się wahał, Vega usiłowała przełamać jego niechęć. — No, ale jeśli nie chcesz, to też dobrze.

Do pokoju wkroczyła Rina.

— Cześć, cześć, cześć! — Wyściskała Marge i uśmiechnęła się do Vegi. — Jak się masz, Vega?

—Świetnie, Rina, bardzo ci dziękuję. Masz taki miły dom.

— Dzięki za uznanie. — Rina już wielokrotnie widywała się z Vega, ale ta po raz pierwszy znalazła się u niej w domu. — Mam nadzieję, że jesteś głodna, przygotowałam masę jedzenia.

Vega uśmiechnęła się, choć jej oczy pozostały smutne.

—Ona chce iść do synagogi, Eema — odezwał się Jacob.

—Kto? — spytała Rina.

—Vega — wyjaśnił Jacob.

—Widzę, że są z tym kłopoty — stwierdziła Vega. — Zostanę tutaj.

—Nie, nie ma żadnego kłopotu. Tylko że mężczyźni i kobiety siedzą tam osobno, a ja zwykle nie posługuję w piątek wieczorem.

—Jeśli to jedyna przeszkoda, usiądę tam sama. Nic nie szkodzi.

— Posługi są w obcym języku. Jeśli pójdziesz, musisz mieć kogoś, kto by ci wszystko wyjaśnił. — Zwróciła się do Marge: — Gdyby ci nie sprawiło kłopotu popatrzeć trochę na Hannah i przypilnować kulki jagnięcej, pójdę tam z przyjemnością.

—Wcale mi to nie przeszkadza.

Twarz Vegi rozjaśniła się.

—Modlisz się tam?

— Tak, wiele się modlimy. — Zwróciła się teraz do swej pasierbicy:

— Będziesz miała oko na swą siostrzyczkę i na jedzenie, dobrze?

— Nic się nie bój, poradzimy sobie z Marge.

Sammy wpadł w drzwi.

— Mamy cztery minuty do wyjścia. Jesteś gotów, Yonkel? A gdzie tatko? Spóźnimy się.

— Tu jestem, tutaj. — Decker wyszedł z sypialni.

Vega spojrzała na trójkę mężczyzn.

— Czy ta wasza religia każe wam mieć mokre włosy, gdy się modlicie?

Wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem. Vega wyglądała na przerażoną, była pewna, że popełniła straszny nietakt. Rina otoczyła ją ramieniem.

— Nie, nie musisz moczyć włosów, żeby się modlić. Ale to pewnie tak wygląda. Nie możemy się jutro kąpać, więc zwykle bierze się prysznic przed szabatem. No i czasem tak bywa, że włosy nie zdążą wyschnąć. — Po czym zwróciła się do Deckera: — Jestem już gotowa.

— Ty jesteś gotowa?

— Tak. Vega chce się wybrać do synagogi. Marge i Cindy dopilnują Hannah. A ty, Kubo, powiedz swojej siostrze, żeby wyłączyła telewizor. Czas zapalić świece. Vega, ty też byś chciała zapalić świecę na szabat? Mam jeszcze jedną.

— Jeśli tylko w niczym to nie przeszkadza — zgodziła się Vega.

Marge miotała się w szponach poczucia winy. Oto w jednej chwili Rina nawiązała z Vega lepszy kontakt niż ona w ciągu sześciu miesięcy.

— Ja też zapalę — wyrzuciła z siebie Cindy.

Decker spojrzał na nią uważnie.

Odwzajemniła to spojrzenie.

— No wiesz, przecież w końcu jestem Żydówką.

Rina odczuła napięcie.

— Chcesz iść do synagogi, Cindy?

Cindy zdawała sobie sprawę, że Rina pragnie ją włączyć do obrzędu. A ona tak mało wiedziała o ich ortodoksyjnej synagodze. Miałyby kłopoty z nadążaniem za tekstem i musiałyby korzystać z czyichś wskazówek. Mimo to wiedziała przecież o judaizmie znacznie więcej niż Vega. Jeśli ta nastolatka miała tyle odwagi, by wdrzeć się na obce terytorium, to czegoż ona miałyby się bać?

Z drugiej strony, jeśli zostanie w domu, będzie mogła porozmawiać z Marge o Roseanne Barkley i skradzionych tablicach.

Czy jednak nie byłoby dobrze oderwać się trochę od pracy, choćby na chwilę? I może w końcu winna jest jakiejś duchowej sile te parę podziękowań. Byłoby to przecież zaniedbanie, gdyby nie wyraziła swej spóźnionej wdzięczności.

Rina była otwarta.

—...coś wam powiem. Czy nie moglibyśmy wszyscy tam pójść?

—Ja? — zdziwiła się Marge, wskazując na siebie. — Chyba żartujesz?

—Włożymy tylko spodnie — podjęła Cindy.

—Nic złego się nie stanie. Myślę, że to byłoby bardzo pięknie... gdybyście nie mieli nic przeciw temu, że jedzenie trochę przestygnie...

—Eema, robi się późno — ponaglił ją Sammy.

—To idź. My cię dogonimy.

—Nie, poczekamy na wszystkich — oznajmił Decker. — Chcę, żebyśmy tam poszli jako rodzina... choć raz.

Sammy jęknął.

—Hannah jeszcze się nie ubrała.

—To pomóż jej się ubrać.

— Ja jej pomogę — ofiarowała się Cindy.

Ale Rina była innego zdania.

—Niech chłopcy pomogą jej się ubrać, Cindy. My zapalimy świece.

—Nie chciałabym przeszkadzać — odezwała się Cindy.

—To nie tak. Zapalimy świece. Poczekamy na ciebie. — Decker obdarzył Vegę przyjaznym uśmiechem. — Mamy wreszcie szansę, żebyśmy nam wyschły.

Rozdział osiemnasty

Wieczera się nie przypaliła. Decker nie mógł się wprost nachwalić, jakie wszystko było pyszne i świetne: zupa jarzynowa na kościach, sałatka tabbouleh z listkami mięty, kulka jagnięca, kurczak w sosie barbecue, brokuły, ziemniaki zapiekane z rozmarynem. Tak, jedzenie naprawdę się udało, ale nic poza tym nie zasługiwało na pochwałę. Cindy była zdenerwowana i usiłowała to ukryć, Marge przygnębiona, co też starała się ukryć, Sammy się wymądrzał, Jacob był ponury, a Hannah marudziła, że droga powrotna jest taka długa. Wszyscy byli w fatalnym humorze, z wyjątkiem Vegi, która niemal unosiła się w powietrzu. Decker nigdy nie słyszał, żeby jakieś dziecko zadawało tyle pytań. Te pytania Vegi, która normalnie rzadko się odzywała, pozwalając, by ktoś inny zaczynał rozmowę, były czymś zupełnie nieoczekiwanym. Wszystkie dotyczyły religii i były adresowane do Riny; właśnie dlatego Marge była tak przygnębiona.

Przez pierwsze dwadzieścia minut wszyscy jedli i chwalili kuchnię Riny. A potem Vega znów zaczęła zasypywać Rinę pytaniami. Kwestie padały jedne za drugą, póki wreszcie nie wtrąciła się Marge:

— Vega, kochanie, pozwól Rinie zaczerpnąć tchu!

Ku zaskoczeniu wszystkich, Vega zachichotała. Marge osłupiała. Po raz pierwszy usłyszała, jak dziewczynka się śmieje.

— Widzę, że cię to ciekawi, Vego. Może sobie kiedyś spokojnie usiądziemy i porozmawiamy o tym bardziej szczegółowo.

Vega bawiła się sałatką tabbouleh, układała ziarnko po ziarnku w ryzykowny kopczyk, grożący lawiną.

— Bardzo mnie interesują te ofiary ze zwierząt w waszej świętej księdze... te, o których napisał Sammy.

Interesują to chyba za mało powiedziane. Podczas wieczerzy Marge wciąż musiała uciszać zbyt gorliwą Vegę, która w podnieceniu prawdziwego odkrycia rozpytywała o zdania ze świętej księgi. Przypominała sobie dawne nauki o wierze, jakie wyniosła z domu.

„Nasz ojciec Jowisz cytował nam te prawdziwe ustępy, matko Marge. Więc ta religia wiąże się z nami.

A ja jej nie znam.

Ale muszę poznać!

Szszsz...

W jaki sposób ojciec Jowisz przekazywał te właśnie słowa? Być może odczytywał modlitwy.

A może było to prawdziwe zrządzenie boże. Może Bóg mu powiedział te słowa, tak jak wszystkim Żydom".

Marge chciała już krzyknąć: „On je przepisał, Vego, a co ty sobie myślisz?" Była jednak tylko gościem, w tym domu nabożnego kultu, więc powstrzymała się. Podczas samej posługi siedziała bez ruchu niczym kocur. To niełatwy przeciwnik, wymyślała więc sobie rozmaite mentalne sposoby na zachowanie spokoju, przepelniona podejrzliwością, rozglądała się po pokoju, jakby to było jakieś miejsce przestępstwa.

Rina podzieliła się na dwie osoby: tę, która się modli, i tę, która opiekuje się dziećmi. Dała Hannah swe złote kosztowności, żeby ją uspokoić. Dziewczynka przymierzała to jak zabawkę, stroiła się przed widownią swej wyobraźni. Zajęła się tym bez reszty, o to przecież chodziło. Póki w zabawie nie zaczęła rzucać bransoletą Riny. Marge się wściekła, ale Rina zachowywała spokój. Cindy, ku zaskoczeniu Marge, modliła się z prawdziwym skupieniem. Wyglądało na to, że coś się z nią dzieje.

A mężczyźni? No tak, nie miała pojęcia, co czują mężczyźni. Przez cały czas ukrywali się za szeregiem prowizorycznych osłon, które oddzielały mężczyzn od kobiet. Droga powrotna do domu mogłaby przynieść po krzepienie, gdyby nie pytania Vegi, które stawały się coraz bardziej dokuczliwe. Siedząc tak przy stole, Marge odniosła wrażenie, że Vega jakby się uspokaja. W rzeczywistości jednak było wprost przeciwnie. Raz pobudzona wyobraźnia dziewczyny nie dawała jej odetchnąć.

Vega mówiła:

—Odkryłam, że te żydowskie księgi modłów są naprawdę ekscytujące.

—No tak, przecież to z nich się wywodzimy — wyjaśnił Jacob.

Decker spojrział na swego pasierba. Jeszcze sześć miesięcy temu Jacob żył jakby w uśpieniu. Otwarty i uśmiechnięty, mógłby się wydawać wzorowym dzieckiem, gdyby nie to, że pociągały go prochy i miał niższe oceny w szkole, niż było go na to stać, dostawał zwykle C zamiast A. Z pewnych rzeczy udało się go wyprowadzić, dzięki leczeniu podjętemu raz w tygodniu. W ciągu paru miesięcy zerwał z prochami, a jego stopnie bardzo skoczyły w górę, ale odbyło się kosztem rozmaitych stanów emocjonalnych, w jakie popadał. Nie był tak krnąbrny jak Sammy, ale stał się specem od wywracania oczami, krzywienia się i trzaskania drzwiami. Z miłego, choć autodestrukcyjnego dzieciaka zmienił się w posępnego nastolatka, który mozolnie odnajdywał swe miejsce w świecie. Decker zdawał sobie sprawę, że był to krok naprzód, ale czasami trudno mu było się z tym pogodzić.

— Rina, a czemu Bóg tak bardzo nalega na składanie ofiar ze zwierząt? — dopytywała się Vega.

Marge odłożyła widelec.

— Vega, dość tego!

Oczy wszystkich zwróciły się teraz na Marge. Nastolatka spurpurowiała i spuściła głowę.

— Faktycznie, to bardzo dobre pytanie — wykrztusił Sammy.

Vega popatrzała na niego, a potem na swoje kolana. Hannah się naburmuszyła.

— Nudzę się. Czy ktoś nie mógłby mi czegoś poczytać?

— Ja ci poczytam — odezwał się Jacob. — Też się nudzę. Decker spojrział na syna, zastanawiając się, czy nie powinien go skarcić. Na szczęście Rina spiorunowała go wzrokiem.

Jacob zachował spokój.

— Próbuję tylko postawić się na miejscu Hannah, Eema. Cała ta rozmowa musi się jej wydawać kompletnie pozba...

— Dziękuję ci za pomoc, Kubo — przerwała mu Rina. — Możemy się obyć bez twoich osobistych uwag. Skończ najpierw swoją kolację.

Jacob wzruszył ramionami i zaczął skubać jagnięcinę.

— Ale wiesz, jeśli zjem jeszcze trochę, to chyba pęknę — powiedziała Cindy. — Jeśli Eema pozwoli, poczytam ci książeczkę, Hanna-Manna. Nie miałam za dużo czasu, żeby się tobą zajmować, a to chyba niedobrze.

Hannah spojrzała wyczekująco na matkę. Rina skinęła głową.

Dziewczynka klasnęła w dłonie.

—Przeczytasz mi dwie książeczki, Cindy Mindy Bindy, co?

—Oczywiście.

—A sześć książeczek?

—Chyba trochę przesadziłaś.

—Cztery?

—Może mi się uda.

—Hannah, zdecyduj się może na to, która książeczka ma być pierwsza. Wtedy Cindy będzie wiedziała, ile czasu to jej zajmie, zanim...

—Czy to są duże książeczki?

—Dla niej wszystko się zaczyna od *Pajęczyny Charlotty* — stwierdził Decker.

—Ach! — zastanowiła się Cindy. — Już tam razem wybierzemy jakąś książeczkę.

Rina wstała od stołu i zaczęła sprzątać. Decker już stał, trzymając w ręku półmisek z jagnięcina. Wynosił resztę potrawy na parę następnych dni. Marge też wstała.

—Margie, ty jesteś gościem — zwrócił jej uwagę Decker. Vega wyrzuciła to nagle z siebie:

—A dlaczego to jest dobre pytanie?

Marge spojrzała na nią:

—O co ci chodzi?

— Sammy powiedział, że to dobre pytanie, to o ofiarach ze zwierząt. Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego to jest dobre pytanie?

Marge tylko ciężko westchnęła, ale Decker chwycił ją za ramię.

—Tak naprawdę, to jesteś raczej kimś z rodziny, a nie gościem. — Po-
dał jej wazę pełną kartofli. — Zanieś to do kuchni. Niech Vega pogada
sobie z Sammym o tych ofiarach.

—Czy masz coś przeciw temu? — spytała Sammy'ego.

—Ależ skąd! — uśmiechnął się. — Tylko przedtem zmyję te brudne talerze.

Decker pociągnął Marge ze sobą. Kiedy znaleźli się w kuchni, Rina uśmiechnęła się do niej.

—Jest taka ciekawa...

—Nigdy ze mną nie rozmawia o takich rzeczach.

—Dzieci nieraz tak bardzo się różnią od swoich rodziców

— stwierdziła sentencjonalnie Rina.

— I to jak jeszcze się różnią! — łagodnie potwierdził Decker.

— Ludzie nieraz mówią takie miłe rzeczy o tym, jak chłopcy się zachowują. Chyba mają na myśli kogoś obcego, bo nigdy nie mógłbym tego powiedzieć o moich synach.

—Nie są tacy źli!

—Ciebie to nie dotyczy, Rina, z tobą jest całkiem co innego. To chyba coś w rodzaju konfliktu między ojcem a synem. Z dodatkowymi komplikacjami spowodowanymi tym, że nie jestem ich biologicznym ojcem...

—Nie sądzę, żeby to miało takie duże znaczenie — przerwała mu Rina.

—Oczywiście, że ma znaczenie. Sammy nie bez powodu zamierza spędzić cały rok w Izraelu.

—Młodzieńczy entuzjazm jest dobrą szkołą...

—Młodzieńczy entuzjazm jest szkołą, którą przeszedł jego ojciec. Koniec dyskusji. Nie, żebyś uważał, że to coś niebezpiecznego. Do diabła z tym! Ja tu tylko jestem od płacenia rachunków.

— Gdzie mam to położyć, Rina? — Marge wciąż trzymała wazę w rękach.

Rina wzięła od niej wazę i położyła na miejscu przeznaczonym na półmiski z mięsem. Odezwała się pojednawczo:

—Przykro mi, że masz z nim kłopoty. Ja też je mam.

—Wiem o tym. I wcale się nie skarżę. Kocham Sammy'ego. To straszny dzieciak. To wspaniały dzieciak. To...

—Ma niewyparzoną gębę — stwierdziła Rina.

—I dobrze robi. Ja też miałem niewyparzoną gębę. Byłoby chyba źle nie przeciwstawiać się swoim rodzicom w wieku nastu lat. — Decker

zwrócił się do Marge: — Gdy tylko Vega poczuje się swobodniejsza w stosunku do ciebie, zaraz też będzie bardziej zadufana w sobie.

—To by dopiero było cudownie! Chodzi o to, że ona wcale ze mną nie rozmawia. A tak bym chciała nieraz z nią pogadać...

—Lepiej uważaj ze swymi pragnieniami, Marge — ostrzegła ją Rina. Decker skinął głową.

—Dzieci kochają bohaterów, którzy nie są ich rodzicami. Ty coś mówisz, Rina może powiedzieć to samo. A Vega odbierze twoje słowa inaczej niż Riny. Nawiasem mówiąc, dobrałaś się do tego Dextera Bartolomew?

—Boże, ile z tym było zachodu! — Marge od razu poczuła, jak napięcie jej mija. Praca to obszar, który dobrze знаła. — Tyle rzeczy wiąże się z tym facetem, że nie wiem, od czego zacząć.

—Myślisz, że to dziwak, czy raczej ktoś podejrzany?

—Wielki dziwak i trochę przy tym podejrzany. To on prowadził całą rozmowę.

—Jak to?

—Ludzie, czy nie możecie odłożyć tej gadki o pracy przynajmniej do deseru?

—Przepraszam — usprawiedliwiła się Marge.

—To moja wina — sprostował Decker. — Jestem niepoprawny.

—Tak, jesteś niepoprawny — zgodziła się Rina.

—Eema?— zawołał Sammy.

—Ach, mój Boże! — wykrzyknęła Marge. — Zostawiłam ją za długo z Sammym. Gotów ją zabić!

— Chciałabyś, co? — wymruczał Decker pod nosem.

Przeszli z powrotem do jadalni. Sammy poprosił:

—Może ty byś mogła tu pomóc. Wyjaśniłem Vedze, co się kryje za tymi biblijnymi ofiarami. W hebrajskim wyraz korban, ofiara, nie oznacza dosłownie ofiary. Korzenie tego słowa wywodzą się z wyrazu „zbliżać się”. Ofiarujemy coś Bogu nie ze względu na Jego dobro, lecz ze względu na nasze. Bogu nie są potrzebne ofiary. Ale ofiarowując coś Bogu, zbliżamy się do Niego.

—Zabijanie zwierząt zbliża cię do Boga? — miała wątpliwości Marge.

—Zbliża do twojej własnej marności — wyjaśniła Rina.

—Nie odczuwam potrzeby składania z tego powodu ofiary — zaprzeczył Decker.

— Biedny tatko — zgodził się Sammy. — A to się znalazłeś w opresji!

— Nie w tej chwili, ale jestem pewien, że możesz jeszcze poczuć taką potrzebę.

—Nie dokonujemy sami uboju. Robi się to za nas, a kiedy kupujemy mięso, muszą być przestrzegane warunki sterylności. To nie zawsze jest tak, jak powinno być. Powinnaś o tym pomyśleć, gdy przystępujesz do posiłku. O tym, że coś żywego umiera, abys mogła to zjeść. Wydaje mi się, że gdybyśmy musieli osobiście zarzynać swoje bydło, stalibyśmy się wszyscy wegetarianami — tłumaczyła dalej Rina.

—Więc dlaczego twoja religia zabrania zjadania mięsa? — upierała się Vega.

—Nie zabrania tego, Vego, tylko na to nie zezwala — zauważył Sammy. — To nie jest rozwiązanie idealne.

—Chociaż bardzo smaczne — dodał Decker.

—Ludzie byli wegetarianami przed wielkim potopem — mówił Sammy. — Wiesz coś o Noem i potopie?

Vega potrząsnęła głową.

—Powinniśmy być wegetarianami. Nie byłoby wtedy tego słabego punktu. Ale Bóg stworzył człowieka jako istotę słabą i pozwolił nam jeść mięso. Jednak pod warunkiem, że zachowujemy tego świadomość. Właśnie dlatego tyle jest żydowskich rytuałów dotyczących uboju mięsa — ciągnął Sammy.

—Kiedy żydzi składają Bogu ofiarę, kryje się za tym przesłanie, że dziękujemy w ten sposób Panu za to, że pozostawił nas przy życiu. Życie zwierzęcia jest w ich rękach, tak jak ich życie w rękach Boga. Zabijanie zwierząt na żywność — choć jest dopuszczalne — przypomina nam o naszej słabości. Uświadamiając sobie własne ograniczenia i śmiertelność, zbliżasz się do Boga — dodała Rina.

Cindy wróciła do jadalni. Widocznie tego słuchała, bo wtrąciła się do rozmowy.

— To prawda. Przez to, że jest się słabym, można dokonać właściwej oceny swego znaczenia na ziemi. — Decker rzucił jej spojrzenie pełne dezaprobaty. Wzruszyła ramionami i powiedziała: — Ona chce zagrać w „Rybę”, Rina. Powiedziałam jej, że muszę cię zapytać.

Rina spojrzała ponad stołem.

— Czy Jacob jest tam z tobą? — Skinęła głową. — Co się z tym chłopakiem dzieje? — wymruczała pod nosem Rina. Zwróciła się do Cindy: — Powiedz jej, że Eema pozwala tylko na parę partii. I nic więcej, nawet gdyby miała błagać.

— Kiedy zrobi coś źle, odsyłam ją do ciebie. Jak to pięknie być starszą siostrą.

Vega zmrużyła oczy, wyglądała na bardzo poważną.

— Te ofiary są bardzo interesujące! Być może powinnam to wziąć pod uwagę.

— Mnie to nie interesuje — stwierdziła Marge. — Jeśli zabijanie jest czymś złym, czemu tego nie zakazać?

— Chodzi o to, że żydzi uświadamiają sobie własne słabości, rytualizując je — powiedziała Rina.

— Nie wszystkie ludzkie słabości — odparł Decker.

— No dobrze, cudzołóstwo nie, jeśli ci o to chodzi — zgodziła się Rina.

Decker uśmiechnął się.

—Chociaż wiele spraw związanych z seksem podlega rytualizacji — zauważył Sammy.

—Jak mykwa?

—Tak, to też. Ale ja myślałem o *eshet yafat toar*.

—Co to takiego? — zaciekał się Decker.

—Wyjaśnię ci później — powiedziała Rina. — Odbiegamy od tematu. Sammy, weź swego braciszka i dokończcie zmywania naczyń.

—Pomogę ci — zaofiarowała się Vega. — Jestem w tym samym wieku co ty. Możemy rozmawiać dalej, ja będę myła talerze, a ty będziesz je wycierał. Jacob może dzięki temu zostać ze swą siostrą.

—Dobrze, Eema — odparł Sammy. — Włożę tylko spodnie. Zostaw Kubę samego. Jest jakiś niewyraźny.

—Dlaczego?

—Pierwszy raz w życiu nad czymś się zastanawia. — Sammy podał Vedze miskę sałatki. — Zabierz to do kuchni.

Gdy tylko dzieci wyszły, Marge opadła ciężko na krzesło.

—Ona mnie wykończy! Te poważne dysputy, którym nie ma końca! To okropne.

—Nie będę się spierał — zgodził się Decker.

—Pójdę lepiej do kuchni. Nie chcę, żeby zameczyła Sammy'ego.

—Marge, muszę jeszcze podać deser. — Rina zaczęła składać brudne talerze. — Zostań i powiedz, żeby Peter tam poszedł. Proszę!

Marge wiedziała, że powinna teraz wstać i podkreślić swą rolę matki, ale już sama myśl o tym, że trzeba będzie znowu mówić o Bogu, napełniała ją niechęcią.

—Wiesz, tak chyba będzie lepiej.

Rina utkwiała wzrok w swym małżonku.

—A poza tym, Peter nie jest chory na punkcie swej pracy...

—Nie, nie, nie! — Decker wziął od Riny stertę talerzy i przystanął. — Nie obwiniaj mnie o to.—Zaniósł porcelanę do kuchni, po czym wrócił do jadalni. — Na razie jest tam spokój.

Rina trzymała przed sobą całe naręczce talerzy.

— Mogę to stąd zabrać.

Decker patrzył za nią, aż zniknęła w kuchni, a potem poprosił Marge:

— Opowiedz mi o Bartholomew.

Marge podsumowała popołudniową rozmowę. Mówiąc o swych podejrzeniach, stała na mocnym gruncie. Swoją drogą to zdumiewające, jak można być tak kompetentną zawodowo, a przy tym zupełnie bezradną jako rodzic.

—Nie dopuścił cię do głosu?

—Nie dał mi powiedzieć ani słowa.

—To jego sposób bycia, czy może coś ukrywa?

—Myślę, że i to, i to. Nie wiem, czy miał coś wspólnego ze śmiercią Craytona, ale mam wrażenie, że jego udział w interesach Craytona to dość ciemne sprawy.

—Co to za interesy? Handelki ziemią?

—Być może... w takim podejrzanym miejscu jak Belfleur, odległym z dziesięć mil od Palm Springs. Raz po raz próbowałam go o to zagadać, ale nigdy nie udało mi się zająć aż tak daleko.

—Czy te interesy Bartholomew urwały się przed śmiercią Craytona?

—Ustały na parę miesięcy przed nią. Myślę, że gdyby ktoś szukał zemsty na Craytonie, a Dex byłby z nim związany, to być może ten ktoś szukałby też zemsty na Bartholomew. Ale nie udałooby mu się go dorwać, bo Bartholomew był zbyt dobrze chroniony. Więc wzięłoby odwet na jego żonie, porywając jej wóz.

—Gdyby chodziło jedynie o zemstę na tle finansowym, są łatwiejsze sposoby niż porywanie wozu.

—To było coś więcej niż zemsta finansowa — stwierdziła Marge. — Kradzież wozu i postraszenie jego żony. No wiesz, do faceta nic tak nie trafia jak nastraszenie żony. Chociaż czuję, że Dex nie ładuje mi tu żad-

nego główna z tą swoją żoną. Z drugiej strony nie wydaje mi się, żeby taki facet jak Dex miał się szczególnie przejmować kłopotami swej żony.

— Czy nie powinniśmy przeprowadzić rozmowy z Elizabeth Tarkum?

— Scott próbował to zrobić, ale nie udało mu się jej zastać. Nie było go w domu, zostawiłam mu wiadomość na sekretarce, żeby zadzwonił, kiedy tylko wróci. Znając Scotta, jakiś czas to może potrwać.

— Co jakiś czas ma potrwać? — zapytała Cindy, która właśnie weszła do pokoju.

— Zanim Scott wróci dziś do domu — wyjaśniła jej Marge. — Chcę się dowiedzieć, czy rozmawiał z Elizabeth Tarkum.

— Tą porwaną w czerwonym ferrari?

— Tą samą — potwierdził Decker.

— Dlaczego? Czy było może kolejne porwanie? — dopytywała się nerwowo Cindy.

— Boże, mam nadzieję, że nie — odparł Decker.

— Więc to tylko ciąg dalszy? — Cindy udawała, że pyta ot, tak sobie.

Decker zauważył wyraz jej twarzy i nabrał jakichś podejrzeń.

— Wyglądasz na spiętą, Cindy. Czy jest coś, czego nam nie powiedziałaś?

— Nie — skłamała.

Milczenie.

— Gdyby coś było nie w porządku, chyba byś mi powiedziała.

— Tatu, miałam ciężki tydzień. Przecież wiesz.

Oczywiście, że wiedział. Ale wiedział również, że kryło się za tym coś więcej niż tylko „trudny tydzień”. Miał jeszcze nadzieję, że to może sprawy osobiste.

— Hannah cię prosi. Chce, żebyś ją utulił.

Decker podniósł się i wyszedł bez słowa.

— Mówi, że ja jestem spięta. A mnie się zdaje, że to on wygląda na zmarnowanego.

— Te porwania dały mu się we znaki.

Cindy zniżyła głos.

— Marge, czy nazwisko Roseanne Barkley coś ci mówi?

—Dlaczego o to pytasz? — Marge przymrużyła oczy.

—Nie podniecaj się tak. — Cindy myślała przez cały wieczór, jak ma jej to powiedzieć. — Kiedy tu jechałam, na drodze zjawilo się czerwone camry, które wykonywało jakieś dziwne manewry. Podałam przez telefon numery, okazało się, że tablice rejestracyjne były skradzione. Gdy nakażałam mu zjechać w bok, wóz kluczył jak królik i nagle mi umknął. To nie przypominało zwykłego cywilnego wozu, było zbyt profesjonalne, nie sądzisz?

—Powstrzymuję się od sądów. Czy zadzwoniłaś później, żeby sprawdzić, czy ktoś namierzył ten wóz?

Cindy pokręciła głową.

—To się nie udało. — Wierciła palcem w okruchach chleba. — Zadzwoń jeszcze raz, wracając do domu. Nie chcę tu tego robić. Oni nie używają telefonu w szabat. Nie chciałabym, żeby myśleli, że tego nie uszanowałam. Więc nigdy nie słyszałaś o Roseanne Barkley?

—Tego nie powiedziałam. Barkley była jedną z pierwszych ofiar tych porwań wozów, chyba z pół roku temu. To się zdarzyło na podziemnym parkingu. Popychali ją i kopali, ale poza tym nic się jej nie stało. Była z dzieckiem. Wyciągnęli to z protokołu pediatry. — Spojrzała uważnie na Cindy. — No dobra, dziecinko. Jesteśmy same, nie ma tu twego tatki. Czemu mi o tym nie powiedziałaś?

—Myślisz, że coś ukrywam? — Cindy sprawiała wrażenie oburzonej. — Muszę bronić tego, co robię przed moimi zwierzchnikami, ale nie przed przyjaciółmi. Bo myślę, że jesteśmy przyjaciółkami...

—Nie wymiguj się tymi frazesami o przyjaźni. Jeśli dzieje się coś poważnego, powinnam o tym wiedzieć. Twój ojciec także.

—Gdyby to było coś takiego, powiedziałabym wam obojgu.

—Czy zamierzasz powiedzieć ojcu o camry?

—Zastanawiam się, czy to zrobić. Postanowiłam powiedzieć ci pierwszej, bo wiem, że nie zareagujesz lękowo i nie będziesz się wyzłośliwiać. Z tatkiem nic nie jest takie proste.

—Co możesz mi powiedzieć o tym camry?

—Wóz co najmniej pięcioletni. Wgniecenie po prawej stronie. Ze śladami zamalowywania na czerwono.

Decker wrócił do pokoju. Marge podniosła się z miejsca.

—Idę do kuchni sprawdzić, czy Vega nie zanudziła już kompletnie twojej żony i syna.

—Jak tam będziesz, przypomnij Rinie, żeby powiedziała Hannah dobranoc. Czeka na swoją mamusię.

—Dobrze. Będę jeszcze musiała zadzwonić. Można?

—Oczywiście. Czy coś się stało?

—Zapytaj swojej córki.

Marge wyszła, a Decker spojrział na Cindy. Beznamiętnym tonem opisała mu swą przygodę z camry. Patrzył na nią przez pół minuty, oczy mu ściemniały. Akurat przechodziła Rina; spojrzała tylko na męża, potem na pasierbicę, potrząsnęła głową.

— Stało się coś?

Decker uśmiechnął się z wysiłkiem.

— Nie, wszystko w porządku.

Rina nic nie powiedziała, umknęła bezpiecznie do pokoju Hannah. Gdy tylko wyszła, Decker się odezwał: — Brawurowa operacja, Cynthia. A teraz powiedz mi prawdę.

—Co tu dodawać, tatko. Tylko bym to zagmatwała...

—Skończ z tym gównem! — szepnął zniżonym głosem. — Rina mi mówiła, że twój wóz paskudnie się dymił. W połączeniu z tym, co przed chwilą usłyszałem, chyba wiesz, czego od ciebie oczekuję?

Czuła, jak przewraca się jej w żołądku, ale nie mogła nic wykrztusić.

— Albo ty ściagałaś camry, albo camry ciebie. Jedno z dwojga. Mam nadzieję, że raczej to pierwsze, przeceniłaś swe umiejętności policjanta i postanowiłaś bez pomocy zatrzymać ten wóz. A potem go zgubiłaś. Jako żółtodziób byłaś zbyt zakłopotana, żeby się do tego przyznać. Więc mam nadzieję, że zachodzi ten pierwszy scenariusz. Ale jeśli to ta druga możliwość, że ktoś cię ściagał, czemu, do diabła, mówisz mi to dopiero teraz. To wynika nie tylko z tego, że jesteś moją córką, ale i z twych obowiązków jako policjanta. Bo może to mieć związek z tymi porwaniami.

Patrzył wciąż na nią... było coś niepokojącego w tym spojrzeniu. Próbowwała się opanować. Dotknął tylko prawdy, ale nie nalegał. Camry właściwie nie było zdolne jej ścigać... mogło co najwyżej siedzieć jej na ogonie.

—Właśnie dlatego nie chciałam ci o tym mówić.

—Bo jestem jakimś pieprzonym artystą czy jak? — Decker wyszczerzył się w uśmiechu. — Dobra. Robisz sobie jaja ze mnie, a ja z ciebie. W porządku. Ale opowiedz mi wreszcie, co tak naprawdę zaszło, dobrze?

Odwróciła oczy, żeby ukryć napływające łzy.

—Ten wóz się dziwnie zachowywał. Trzymał się cały czas w bezpiecznej odległości, a ja robiłam wszystko, czego się nauczyłam — powiedziała.

—Nie zadzwoniłaś, żeby sprawdzić jego numery?

—Za kogo mnie masz?

—Leć dalej.

—Właśnie miałam zadzwonić, żeby to sprawdzić, ale nacisnęłam na gaz. Pewnie, że ten ogon mi śmierdział, chciałam odskoczyć. Jadąc z taką dużą szybkością, nie mogłam tego ustalić. Nie miałam radia, tylko moją komórkę, a kto by, do diabła, wciskał numer jedną ręką, jadąc osiemdziesiąt pięć na godzinę?

—Straciłaś go z oczu?

—Tak.

—Gdzie to się stało?

—North Valley, blisko waszego starego domu.

—Na ulicy?

—Nie, w górach, w pobliżu Góry Aniołów. To było dość nierozważnie zapuszczać się tak daleko.

—Więc wróciłaś. Całkiem rozsądnie. Czemu od razu nie zadzwoniłaś?

— Ponieważ wstydziałam się swej własnej nieporadności, jeśli chcesz wiedzieć. A poza tym bardzo mnie to zdenerwowało, wóz mi się przejechał i do tego byłam sama. Najważniejsze to było dotrzeć bez dalszych kłopotów do twego domu. Zadzwoiłam, gdy tylko tu się znalazłam. Ustaliłam wtedy, że tablice były skradzione i należały do Roseanne Barkley. Resztę już znasz. Nie mam nic do dodania, nie patrz tak na mnie, zamiast mi pomóc.

Decker westchnął.

— Dobrze się czujesz?

— Świetnie. — Jej głos był bezbarwny. — Jak pies gończy, który stracił trop z powodu własnej nieporadności. Opowiedziałam ci już wszystko, co wiem o tym wozie. A ty nie chcesz ze mną rozmawiać.

— Prawie wszystko. — Próbował teraz zająć bardziej pojednawcze stanowisko. — To co, jesteśmy nadal przyjaciółmi?

— Jak zawsze, tatku.

— To pozostaje nam jeszcze dowiedzieć się, czy ktoś namierzył to camry.

Cindy oblizwała usta.

— Marge właśnie dzwoni na posterunek. Przepraszam, że cię oszukałam. Ale nawet gdybym ci nie skłamała, przecież nie mogę ci opowiadać wszystkiego, co dzieje się w moim życiu.

— Twoje sprawy osobiste mnie nie interesują.

— Trzymam cię za słowo.

— Chcę tylko, żebyś była bezpieczna — stwierdził Decker. — Jak wówczas gdy miałaś szesnaście lat, zaczynałaś sama prowadzić wóz... i wracałaś do domu późno w nocy. Chciałem, żebyś mnie uprzedzała...

— Nie mam już szesnastu lat, tatku.

— Może to nie był dobry przykład.

— To wymowny przykład. Kochasz mnie, wiem, że chcesz, aby zawsze wszystko było w porządku...

— Nie o to chodzi. Chcę, żebyś była bezpieczna.

Marge nadeszła z kuchni. Jej twarz niczego nie wyrażała.

—Podziękowałeś Rinie, że dopilnowała Vegi? — zapytała.

Decker wstał.

—Co ci powiedzieli?

— Odnaleźli camry. Podobnie jak te tablice rejestracyjne. Obwążują go teraz ze wszystkich stron.

TLR

Rozdział dziewiętnasty

Spodziewała się, że wspólny zawód ich zbliży. Tymczasem to właśnie zaczęło ich dzielić. Spojrzała przez okno z tylnego siedzenia białego volvo kombi v 70 Riny. Marge prowadziła, tatko siedział obok niej. Wóz był niedawno kupiony i nie należał do tanich. Cindy pomyślała sobie, że w ostatnim okresie w związku z nabyciem tego nowego domu i wszystkimi przeróbkami na koncie bankowym tatki pewnie się nie przelewało. Jeśli do syndromu pustego portfela dodać jeszcze te porwania, tatko musiał być kompletnie zestresowany. Mogło to z pewnością sprawiać wrażenie, iż działał jak w transie, co dodatkowo podkreślał fakt, że był tu razem z nimi, pracował w ten swój szabat, gdy tak naprawdę nic nie wymagało jego obecności.

Siedziała z nosem przy samej szybie.

Jeśli nawet Rina miałaby coś przeciw decyzji tatki, żeby pracować w tym świętym dniu, mogła tak myśleć tylko prywatnie. Wyglądało na to, że istnieje między nimi niepisana umowa: praca tatki to całkowicie jego sprawa i wszelkie decyzje z nią związane są niepodważalne. Kiedy Rina pocałowała go na pożegnanie, nie była zła. A potem tatko znów ciężko się trzymał nad literą prawa, które nie było boże. Zgodnie z ich przekonaniami, już samo włączenie czy wyłączenie światła było równoznaczne z profanacją szabat. Zatem to Marge otworzyła drzwi, żeby ustrzec tatkę przed włączeniem się wewnętrznego oświetlenia wozu. I pewnie dlatego siedziała za kierownicą.

Znajdowali się teraz u podnóża góry, przed sobą mieli park narodowy wokół Góry Aniołów.

Decker obrócił głowę, żeby na nią spojrzeć. Wzrok miał skupiony i bystry.

—To tą właśnie drogą jechałaś za camry?

—Tak. — Nie była jednak tego całkowicie pewna. Pod górę wiodło wiele ścieżek, a wieczorem wszystko to wyglądało inaczej, było jeszcze bardziej odludne i posępne. Ciemność w lesie to coś więcej jak brak

światła; to coś niemal dotykalnego. Otacza wszystko i tłumi. — Dalej go już zgubiłam.

—Jak to dalej?

—To było jakąś milę, półtorej stąd, droga stawała się już bardzo stroma. — Próbowала pozbierać myśli. — To było takie dziwne, tatku. Zorientowałam się, że straciłam kontakt wzrokowy z tym wozem. Choć cały czas byłam tuż za nim. Nie jechałam dużo wolniej niż on. A potem droga okazała się ślepa i nie widziałam przed sobą żadnego wozu. A camry to przecież nie jest wóz terenowy. Gdzież mógłby się podziać?

—Za stokiem góry — odezwała się drwiąco Marge.

—Na pewno nie, Nie wtedy. Musiałabym chyba usłyszeć, jak te dwie tony stali zderzają się z litą skałą.

—Kiedy straciłaś go z pola widzenia, mógł wykonać jakiś gwałtowny zwrot i przyczaić się gdzieś w rowie — wtrącił się Decker.

—Patrzyłam na pobocze wzdłuż tej drogi. Naprawdę, tatku, patrzyłam bardzo uważnie. I niczego tam nie znalazłam.

—Las tu jest gęsty — stwierdziła Marge. — Wystarczyłoby, żeby tylko troszkę zjechał w bok i ukrył się w krzakach, czekając, aż zawrócisz.

—Chyba bym zauważyła dymiący wóz.

—Dymiący? — zaciekawił się Decker.

Westchnęła.

— Może i nie. Pomyślałam tak, bo to mój wóz bardzo się zagrzał. Kiedy stamtąd wracałam, nie widziałam żadnej dróżki. A już na pewno nie słyszałam ani nie widziałam żadnego wypadku. To wszystko, co mogę powiedzieć. — Potrząsnęła głową, zadowolona, że w wozie było ciemno, więc nie mogli dostrzec jej zakłopotania. — Powinnam była od razu zadzwonić, gdy tylko coś zmiarkowałam. Może gdybym miała więcej doświadczenia, udałoby mi się zatrzymać camry, zanim dał nura w przepaść głęboką na sto pięćdziesiąt metrów.

— A kto twierdzi, że kierowca nie żyje? Powiedziałaś mi, że nie słyszałaś żadnego odgłosu katastrofy. Może wóz zjechał z jakiejś półki skalnej już po tym, jak opuściłaś to miejsce.

Cindy wyprostowała się.

—Tak myślisz?

—Czy ci, co znaleźli wóz, wspominali o jakimś ciele? — zapytał Decker.

—Nie rozmawiałam z tymi, co tam byli — odparła Marge. — Zastępca szeryfa powiedział mi, że są w trakcie zbierania części wraku.

Marge opuściła nieco szybę. Do środka wdarł się zapach stęchlizny, gęsty i wilgotny. Hałas silnika był czymś sztucznym, co zdawało się kolidować z nocnymi dźwiękami natury. Marge wrzuciła niższy bieg i samochód zaczął się wspinać pod górę. Nawet długie światła wozu ledwie rozjaśniały kompletną ciemność. Włączyła światło w kabinie i wręczyła Deckerowi kartkę papieru.

—Czy mógłbyś mi odczytać kierunek?

—To wbrew prawu jechać ze światłami w kabinie. — Cindy przytoczyła odpowiedni numer kodeksu drogowego. — Mogłabym uczyć tych przepisów w szkółce.

Decker odwrócił się do niej z uśmiechem.

—Jako twój ojciec mógłbym ci wybaczyć to, co się stało, i przejść nad tym do porządku. Ale jako policjant uważam, że powinnaś sobie przemyśleć to, co ci źle poszło. A Bóg jeden wie, że takie wniknięcie w siebie samą nie musi się pokrywać z osobistym szczęściem. I Bóg wie, że najbardziej ze wszystkiego bym chciał, żebyś była szczęśliwa. Ale to, co ja chcę, nie jest tak ważne, jak to, czego ty pragniesz. Chcesz być dobrą policjantką. A to się czasem kłóci z naszym dobrym samopoczuciem.

—Dzięki, że jesteś ze mną szczery.

—Dzięki, że jakoś to znosisz. — Decker usiadł teraz prosto i czytał na głos: — Jedź naprzód cztery dziesiąte mili. Musisz posuwać się wolno i uważnie rozglądać wokół. Między dwoma sykomorami znajdziesz koleinę. To tędy... — Rozejrzał się i spojrzał na Cindy. — O, to właśnie ta twoja dróżka.

—Taa. — Usiłowała przybrać chłodną postawę zawodowca. Ale w rzeczywistości czuła się podwójnie winna. Straciła z pola widzenia śledzący ją wóz i przegapiła dróżkę.

—Jedź tą koleiną jeszcze milę — czytał dalej Decker. — Musisz posuwać się wolno, naprawdę wolno, bo dróżka jest bardzo ciasna i są tam ostre spadki...

—Jak strome? — przerwała Marge.

— Nie bardzo widzę — wymruczał pod nosem Decker. — Powinienem zostać w domu. Ledwo można coś zobaczyć w tych ciemnościach, lepiej sama to zobacz.

—Mówiłam ci, że sama sobie poradzę.

—Nikt nie powinien jechać tędy sam.

—Powinnam wezwać Scotta. Nie wspominał, żeby miał pilne spotkanie. Jestem pewna, że mógłby cię śmiało zastąpić i zostałbyś sobie spokojnie w domu świętować szabat.

„Nie wspominał, żeby miał pilne spotkanie”. Cindy przestała się uśmiechać, to ją ubodło. „Czemu zaprzątam sobie nim głowę?” Już ona oczywiście wie dlaczego. Myśląc o Scotcie, znów poczuła się nie w porządku.

Marge przyhamowała wóz.

—Mam cztery dziesiąte...

—Tam są te sykomory. — Decker wskazał kierunek.

—A jest tam jakaś droga między tymi dwiema mateczkami? — Marge zwolniła niemal do szybkości raczkującego niemowlęcia i skrzyła kierownicą na lewo. — Jeśli tak mówisz.

—Chcesz porysować wóz? — zaniepokoił się Decker.

—To całkiem możliwe.

—Bądź ostrożna!

—Chcesz się przesiąść i poprowadzić?

—To nie ma sensu — wtrąciła się Cindy.

—Co nie ma sensu? — spytał Decker.

—Jak można szybko posuwać się wozem, pokonując tę stromą, nie oznaczoną dróżkę?

— Musiał znać ten teren znacznie lepiej niż ty.

— Jeśli nawet, tatku, uciekał, a to niemal prostopadły skręt. Moim skromnym i często błędnym zdaniem, gdyby jakiś wóz usiłował tu skręcić przy takiej szybkości, musiałby trzasnąć w drzewa.

— Może masz rację.

Nareszcie przyznaje jej rację. Alleluja!

Wóz dziko podskakiwał na wybojach, posuwając się tym ciasnym przejściem. Marge przełączyła światła. Ostry klin reflektorów wydobywał z ciemności gęste listowie, jakieś linie i kształty.

— To prawie jak park jurajski — zauważyła Cindy. — Kto doniósł o wypadku? Trapper John?

— Być może zauważył to helikopter drogowy—odparł Decker.

—No tak, to przecież główna arteria dojeżdżających do pracy. Idę o zakład, że aż się tu roi od wozów na sygnale.

—Cindy, ależ masz ostry dowcip. Ale nie pora teraz na dowcipy.

— To nie uchyla mego pytania. Kto o tym doniósł?

Wóz gwałtownie podskoczył na wyboju i Decker uderzył głową w sufit. Zaklął cicho pod nosem, mimo święta.

—Nic ci się nie stało?

Decker pocierał głowę.

—W porządku, dzięki.

—Wygląda, że nieźle się walnąłeś. Było słychać.

—Kara boska za pogwałcenie szabatu.

Marge zachichotała.

—Gdyby to było takie proste!

Decker zwrócił się do Marge:

—Czy wiesz, kto doniósł o wypadku?

—Nie, nie wiem, choć musiał to być ktoś o prawdziwie sokolim wzroku. Nigdzie nie widać tego cholernego wraka. Wychodzę już ze skóry, chyba sama się zwałę ze skarpy.

—Ja poprowadzę, jeśli chcesz — zaoferowała się Cindy.

— Mam dobry wzrok.

— Nie, dam sobie radę. — Nozdrza nagle jej się rozszerzyły.

— No, jest ostry zapach benzyny.

—Też to czuję — odezwał się Decker.

—Ależ gryzący — stwierdziła Cindy.

„Właściwy przymiotnik”, pomyślał Decker. Ten obrzydliwy swąd ropy, obracającej wszystko wokół w morze ognia. Miał to na co dzień podczas swego pobytu w Nam.

Marge zmrużyła oczy.

— Widzę przed sobą światło. — Wóz wyskoczył w powietrze i z łomotem opadł na koła. — No, chłopie. Rina przynajmniej ma trochę tłuszczu na tyłku, na pewno lepiej by to zniosła niż ja.

Słaby odbłask iluminacji gwałtownie przybrał na sile. Smród palących się liści i ropy przesycił powietrze. Cindy zacisnęła ręką nos. Za chwilę ujrzała zarysy stojących wyżej wozów.

— Ludzie, ależ to cuchnie! — narzekał Decker. — Możemy tu gdzieś postawić wóz.

Cindy zachichotała, choć nie było w tym wesołości.

—O co ci chodzi? — zdziwił się Decker.

—To ta sytuacja. Leziemy w ogień jak ćmy do lampy. Mam nadzieję, że się nie usmażymy na frytki.

Marge skrzywiła się i zbesztła ją.

—Jesteś na to za młoda, żeby być tak znudzona i cyniczna.

—Wiek metrykalny nie ma tu nic do rzeczy — zrewanżowała się Cindy. — Myślę o wyjściu na ulicę. Mam dopiero dwadzieścia pięć lat, ale po tej pracy w policji już się nadaję do opieki społecznej.

Zostawili wóz na półce skalnej, za ciągnikiem. Stały tam już wozy seryfa, wozy patroli drogowych, karetka i parę czerwonych wozów straży pożarnej hrabstwa ze standardowym wyposażeniem, używanych w terenie nie pozwalającym na wykorzystanie tradycyjnych, wielkich wozów bojowych. Jedno za drugim schodzili wolno ze wzgórza świeżo przebitym, sześciocalowym szlakiem, trzymając się tymczasowych poręczy, ustawionych przez strażaków-Szerpów ekspedycji, jak żartowała Cindy. Mimo poręczy zejście było strome i trudne, korzenie czepiały się jej stóp. Nie mogła poruszać się swym własnym tempem, co dodatkowo utrudnia-

ło tę przeprawę. Była zakleszczona między formującym czoło pochodu ojcem, a Marge, która podbijała jej nogi, ślizgając się na podszewkach swych butów. Zabrało im trochę czasu, nim bez szwanku znaleźli się na dole.

Stojąc na skraju spustoszonego wąwozu, Cindy ocierała pot z czoła, gdyż gorące białe płomienie wciąż buchały z paru miejsc, oświetlając szerniałą dziurę w listowiu i zwęglony szkielet wozu. W snopach tego światła pobłyskiwały kawałki metalu, rozrzucone w promieniu sześćdziesięciu metrów od miejsca katastrofy. Samo miejsce wypadku odgradzono żółtą taśmą. Wewnątrz tego kręgu kotłowało się mnóstwo ludzi z rozmaitych agencji, wliczając w to czterech strażaków w kurtkach z napisem PODPALENIA. Było tam również paru medyków z biura koronera w roślinnozielonych. Widząc to, Cindy doznała skurczu żołądka. Jakby nie było tego dość, musiała się jeszcze uporać z ohydnyim odorem benzyny. W podobnych okolicznościach jej ojciec miałby już maskę na twarzy. Nie zabrał jej jednak, gdyż przyjechali tu wozem Riny.

Mężczyzna w mundurze szeryfa wyszedł z wewnętrznego kręgu, żeby ich powitać. Decker wystąpił naprzód i okazał swą odznakę.

— Detektyw porucznik Peter Decker. Są ze mną detektyw Dunn i funkcjonariuszka Decker. Jesteśmy z policji Los Angeles.

—Detektyw zastępca szeryfa Bryant Bowler.

Z czoła tego faceta spływały kropelki potu, ściekające mu po brwiach. Całe jego ciało, ubranie, ręce i twarz pokryte były warstwą sadzy. Nawet gdy zdjął maskę, trudno było rozpoznać jego rysy. Widać było tylko niebieskie oczy. Musiał być w wieku od dwudziestu pięciu do czterdziestu lat. Sądząc po pomarańczowych błyskach osmolonej czupryny, jego włosy musiały być po umyciu płomiennorude.

—Jesteście daleko od swego terenu działania. Co was tu sprowadza?
— spytał Bowler.

—To jest mój przypadek. Byłam tu wcześniej tego wieczoru — wyjaśniła Cindy.

Bowler podrzucił głową.

—Byłaś tu? W tym miejscu?

—Może nie dokładnie w tym miejscu, na tym terenie. Ściagałam to camry.

—Co? Jakie camry? Wiesz, co to był za wóz?

—To się wyjaśni, gdy opowie całe zdarzenie — wtrącił detektyw Decker.

Musiała od czegoś zacząć tę opowieść. Postanowiła oszczędzić im szczegółów, nie pamiętała zresztą dokładnie, co już opowiadała swemu ojcu. Mówiła wolno, słowa brzmiały wyraźnie. Była przygotowana na to, że gdy dojdzie do końca, zasypią ją pytaniami.

—Kiedy wspinaliśmy się po stoku, camry jechał wciąż z niebezpiecznie dużą prędkością. Postanowiłam zwolnić, nawet gdyby miało mnie to kosztować przerwanie pościgu i utratę kontaktu wzrokowego z pojazdem.

—I to się stało? — spytał Bowler.

—Co proszę?

—Straciłaś ten kontakt?

—Tak. Poza tym dojechałam do końca drogi.

—W parku Premiera.

—Nie wiem, jak się nazywa ten teren. Na tym polu biwakowym.

—To park Prennera — potwierdził Decker.

—To była droga ucieczki tego camry. Nie zauważyłam bocznej drogi i pojechałam dalej.

—To by miało sens — stwierdził Bowler. — Nawet w świetle dziennym trudno zauważyć tę dróżkę. Teraz już wiesz, że to tam.

—Byłam tam jeszcze jakieś dziesięć minut, żeby sprawdzić, co się stało. I powiem panu jedno, szeryfie: nie słyszałam żadnych odgłosów wypadku.

—Która to była godzina?

—Okolo piątej.

—Kiedy zadzwoniła, żeby sprawdzić tablice rejestracyjne.

Okazało się, że zabrano je z jednego z porwanych wozów, co jest przedmiotem prowadzonego przez nas śledztwa — uzupełnił Decker.

—Więc to dlatego tu jesteście — odezwał się Bowler. Marge skinęła głową. — Camry należał do tych skradzionych wozów — ciągnął Bowler.

—Tablice na camry zostały skradzione z wozu, który porwano sześć miesięcy temu — uściślił Decker. — Nic mi nie wiadomo o samym camry. Nie dzwoniłem do mego kolegi z rejestru skradzionych wozów. Interesują mnie porwania, a nie kradzieże wozów. I właśnie dlatego próbowaliśmy zidentyfikować kierowcę.

— Nie znaleziono kierowcy. Sądzymy, że wóz został zepchnięty.

Cindy uczuła ogromną ulgę.

—Nie było ciała?

—Jeszcze to sprawdzamy, ale wcale by nas nie zdziwiło, gdybyśmy nic nie znaleźli.

—Kto ustalił, że wóz zepchnięto?

—Zgodziliśmy się co do tego. Badaliśmy ślady opon.

—Nie stwierdzono poślizgu?

—Nie.

Decker wiedział, że ślady opon odciskają się rozmaicie, w zależności od szybkości wozu. Spod kół szybko jadącego wozu wylatuje wiele brudu, opony zostawiają na ziemi krótkie ślady zgnieceń. Nagłe hamowanie rozpędzonego wozu zostawia zwykle ślady poślizgu. Natomiast ręcznie zepchnięty wóz wyrzuca spod kół znacznie mniej ziemi, zostawiając długie, wyraźne odciski. No i nie ma przy tym oczywiście żadnego poślizgu.

—Mieliśmy szczęście. Podłoże było w dobrym stanie, na tyle wilgotne, żeby powstały wyraźne odciski, i na tyle twarde, żeby się zachowały.

—Czy były jakieś ślady stóp?

—Trudno będzie je znaleźć. Trochę to rozdeptaliśmy. Ale może jeszcze coś zobaczymy.

—Okropnie tu śmierdzi benzyną. Czy do wybuchu zbiornika nie mogły się przyczynić jakieś środki łatwopalne? — pytała Marge.

—Są tu specjaliści od podpaleń. Może chcecie z nimi pogadać?

—Z nimi też — zgodził się Decker. — W jaki sposób spychający opuścił (lub opuścili, jeśli było ich więcej) miejsce wypadku?

—No więc tak, właśnie nad tym pracujemy. Niestety, trudno ustalić, czy było tam więcej pojazdów, widzicie, jaki tu panuje ruch. Nawet gdyby pozostały tu ślady jakiegoś innego wozu, musiałyby ulec zdeptaniu. Poza tym w tej ciemności niczego nie udało się zobaczyć. Można było przecież podjechać do camry; zepchnąć wóz, a potem oddalić się na rowerze, motorowerze czy choćby pieszo. Zejście z tej górki nie jest trudne, szczególnie przy świetle dziennym. Nie sprawdziliśmy jeszcze wszystkich śladów, do rana nie zdążymy się z tym uporać. — Bowler wyciągnął teraz szyję i spojrzał na gości. — Jeśli przychodzi wam do głowy coś, co mogłoby rozjaśnić tę sprawę, słuchamy.

—Kto doniósł o płonącym wozie? — chciała koniecznie wiedzieć Cindy.

—Miejscowy helikopter drogówki zobaczył odległe obłoki dymu. Pilot udał się tam i namierzył miejsce wypadku. Pogoda była dobra. Żadnego wiatru, nie było mokro, świetna widoczność. Parę dni temu padało, więc nasycenie gruntu wilgocią było niezłe. Zabraliśmy ze sobą wyposażenie przeciwpożarowe i mieliśmy okazję go użyć. Ale i tak mogliście ocenić zniszczenia. — Usłyszał, jak go wzywano. Powiedział: — Przepraszam! — I odszedł.

Gdy zostali sami, Cindy powiedziała:

—*Mea culpa*, ojciec. Natrząsałam się z twojej sugestii, że miejsce wypadku mógł zlokalizować helikopter drogowy. Choć ściśle biorąc, nie było to miejsce wypadku, lecz miejsce, w którym dostrzegł ogień.

—Wciąż wychodzi na moje — stwierdził Decker.

—Masz rację — przyznała Cindy. — I co teraz?

—Będą chcieli, żebyś złożyła oświadczenie. A potem najlepiej będzie, jak wrócimy do domu. Po pierwsze, to nie jest moja sprawa. Mają tu mnóstwo sprzętu technicznego. A poza tym nie mogę przecież naprawdę pracować w czasie, gdy powinienem obchodzić szabat.

—Jakiego rodzaju oświadczenie? — spytała Cindy.

—Powtórzysz im tylko to, co nam powiedziałaś.

—Będę musiała to podpisać?

— Oczywiście. — Decker spojrzał na nią. — Czemu pytasz? Masz z tym jakieś kłopoty?

— Nie — odparła szybko. — Chciałam się tylko upewnić, czy nie będzie mnie to za wiele kosztować, jeśli dokładnie sobie czegoś nie przypomnę.

— Masz czas. — Mina Deckera nie pozostawiała wątpliwości. — Nie śpiesz się. Poczekamy, póki nie będziesz gotowa.

Cindy skinęła głową, czuła się chora, ale wołała tego nie okazywać. Pomięła pewną niewygodną kwestię, mówiąc, że zapędziła się tam, ścigając ten wóz. Luźno przedstawiła fakty. Miała nadzieję, że nie będzie się to za nią wlokło. Oczy tatki wciąż na niej spoczywały. Unikając jego wzroku, powiedziała:

— Zastanawiam się, do kogo naprawdę należał ten camry?

— Uzyskanie informacji o właściwych numerach rejestracyjnych jest trudne, ale nie jest to niemożliwe — wyjaśniła jej Marge. — Jeśli dochodzeniowcy ustalą rok produkcji wozu, można by od tego zacząć. Trzeba będzie sprawdzić, ile czerwonych camry sprzedano tego roku w Kalifornii.

— Jakiś srylion — zauważyła Cindy.

— No, może trochę mniej — zawęziła Marge.

— Gdyby ktoś uznał, że trzeba ten wóz zniszczyć, to dlaczego w taki sposób? A czemu nie inaczej... ukryć go gdzieś? Lub pociąć i sprzedać na części?

— Też tak sędzę — podjął Decker. — Może ten wóz był wplątany w jakieś inne przestępstwo i jego właściciel chciał, żeby został doszczętnie zniszczony, by nie można go było rozpoznać. Może chodziło o zatarcie śladów.

— Że niby co? Jakieś ślady krwi, na przykład? O, to już scenariusz filmu grozy.

Decker spojrzał na córkę.

— Pewnie ci się wydaje, że jesteśmy kwita?

— Tak. A czemu pytasz?

— Ochrona ma dwie strony. Pragnę cię chronić. Ale coś mi się zdaje, że to ty byś mnie chciała nieraz osłaniać.

—Jesteśmy kwita, tatku. Czy nie moglibyśmy z tym skończyć?

—Decker wolno pokiwał głową.

—Dobra. Nie będę cię już wypytywał.

—O jakiego rodzaju przestępstwo ci chodzi? — zrezygnowanym tonem zapytała Cindy.

—Tak jak mówiłem! Krew, włosy, nabłonek, części ciała...

—Jesteś niewybredny.

Uśmiechnął się.

—Coś, co mogłoby się stać punktem wyjścia jakiegoś konkretnego przestępstwa. Coś, co pozwoliłoby sądzić, że właściciel pojazdu czułby, iż nie ma już innego wyboru, jak tylko rozbić doszczętnie swój wóz.

—Rozbicie i spalenie wozu bardziej zwraca uwagę aniżeli pocięcie go na części — zauważyła Marge.

—Zgadzam się — poparła ją Cindy. — A gdybyś chciał zniszczyć dowody, czemu miałbyś zostawiać skradzione tablice rejestracyjne?

Decker zachichotał.

— Może o tym zapomniał. Albo po prostu nie pomyślał o tablicach rejestracyjnych. My, Amerykanie, mamy często obsesję na punkcie nadzwyczajnej przebiegłości kryminalistów. Gdy tymczasem naprawdę większość przestępców to zwykłe głupki.

Rozdział dwudziesty

Była zgrzana, spocona, zmordowana i brudna, pełna niesmaku i obrzydzenia do siebie samej, nieporadna i wystraszona. To tylko część przymiotników, których użyłaby, opisując stan swych uczuć. Rozpaczliwie pragnęła kogoś, w czyich ramionach miałaby odwagę się rozplakać, ale nie było nikogo, z kim mogłaby wziąć gorącą kąpiel i pójść do łóżka.

Było już dobrze po godzinie duchów, gdy wreszcie wrócili z tego leśnego rozpoznania, ale jedyną osobą pogrążoną we śnie była Hannah. Znękana Marge porwała wciąż niesytą wiedzy Vegę i wymamrotała jakieś usprawiedliwienia pod adresem Riny, że oderwała jej męża od świętowania szabat. A potem Cindy powiedziała wszystkim do widzenia, choć Rina i Decker błagali ją, by została do rana, zwłaszcza jej ojciec się martwił, jak dotrze do domu. Istotnie, znajdowała się u kresu wytrzymałości, a jej samochód już wcześniej wypluwał z siebie dym. Mimo to uparcie odmawiała przespania się u nich. Potrzebowała swego prysznic, łóżka i przestrzeni życiowej.

„Zadzwoń, kiedy będziesz na miejscu”, prosił tatko. „Dobrze?”

„Nie martw się o mnie. A poza tym, nie możesz przecież rozmawiać przez telefon, bo jest szabat”.

„Będę czekał, póki nie usłyszę twego głosu”.

„Tatko, proszę cię”.

„Dobra, nie będę czekał. Ale zostaw jakąś wiadomość”.

Zgodziła się, choć niechętnie. Martwił się, bo w głębi serca wiedział, że coś jest nie tak. Cholera, żeby przynajmniej nie był taki spostrzegawczy.

Dojechała do domu niemal w stanie paranoi. Po drodze z wyostrzoną czujnością rozglądała się wokół, penetrując przestrzeń przed sobą i za sobą, przenosząc nieustannie wzrok od jednego lusterka do drugiego. Wciąż zmieniała pas, wykonywała jakieś nagłe ruchy. Przyśpieszała, a potem raptownie zwalniała. Gdyby mogła przyjrzeć się sobie z boku, musiałaby to ocenić jako jazdę pod wpływem alkoholu. Miała jednak powód, by tak

się zachowywać na drodze. Jadąc w ten sposób, robiła wszystko, by zgubić ewentualny ogon.

Ale nie było żadnego ogona. A przynajmniej nikt się z tym nie zdradził. Opuszczając drogę 10 w kierunku National, wykonała nagły skręt i zawróciła do domu. Pojawiały się już pewne symptomy sobotniego porannego exodusu, samochodowe radio nadawało rap na poziomie groźnym pęknięciem bębenków. Hałas rozsadzał jej głowę. Skręciła teraz na wschód, a potem trochę na północ w stronę Culver City. Po drodze do domu minęła jak zwykle swą ulubioną indiańską restaurację wegetariańską i sklep ze słodyczami, magazyn z artykułami wojskowymi, butik z modną odzieżą, wzięty zespół adwokacki, reklamujący się w telewizji w przerwach seriali, sieć sklepów ze zdrową żywnością, wypełnioną zawsze artykułami alternatywnymi, i szereg jednopiętrowych budynków, które niewątpliwie swoją architekturę zawdzięczały tak licznym w Los Angeles trzęsieniom ziemi.

Jeszcze tylko szybki skręt w lewo, potem w prawo i sunęła wzdłuż podmiejskiej ulicy bloków mieszkalnych. Spotykały się tu różne światy: Afroamerykanie, Latynosi, Hindusi, Azjaci, Żydzi i chyba dla kontrastu biali z klasy średniej. Lubiała ten rytm uśpionego miasta, powroty do tygła Los Angeles, gdzie żyli obok siebie tak bardzo różniący się ludzie, ze swymi odmiennymi językami, regionalnymi strojami i narodowymi kuchniami. Mieszkała tu zaledwie siedem miesięcy, a już się czuła jak ryba w wodzie.

Wjechała na parking przed budynkiem i wyłączyła silnik, przeszukując wzrokiem otoczenie. Teren wydawał się spokojny, a nawet opuszczony. Z ogromną ostrożnością otworzyła drzwi wozu i wyszła na zewnątrz, klucze w lewej dłoni, palce prawej zaciśnięte na kolbie broni. Nikt nie wyskoczył z ciemności, nikt się nie skradał. Spokój aż do znudzenia, to, co lubiała. A jednak czuła swój przyśpieszony oddech. To była długa noc...

Była już u wejścia do budynku, na schodkach.

Nagle spojrzała do tyłu. Dyndając pękiem kluczy, zaciśnęła rękę mocniej na broni. Aż się zziajała i spociła.

„Trzymaj się, Decker!”

Spojrzała w lewo... w prawo... jeszcze raz obejrzała się przez ramię.

Wsunęła klucz w zamek...

Czuła, że coś tu jest okropnie, ale to okropnie nie tak. Kiedy włożyła klucz, drzwi otwarły się na cal, ukazując nie zatrzaśnięty zamek. Były zamknięte tylko na klamkę! Poczowała nagły błysk przed oczami, w pierśsiach jej załomotało. A potem szybko wróciła do siebie. Stojąc jak wryta, próbowała na chłodno ocenić sytuację, byle tylko nie wpaść w panikę.

Zostawiła klucz do połowy jeszcze tkwiący w zamku i wyjęła broń.

„Drzwi nie były zatrzaśnięte. Czy ktoś był w środku? Czy może jeszcze tam jest? Wewnątrz było ciemno. Są jakieś odgłosy? Słyszysz coś?”

Ale jedyne, co mogła wyłowić, to chrypliwe odgłosy jej własnego oddechu.

„Pomyśl tylko na chłodno. Wejść tam czy odejść spod drzwi?

Zawołać pomoc? Ale kogo? Policję?”

Przecież to ona jest policją.

„Nie igraj z losem! Odejdź, odejdź! Odejdź! A może... może tylko zajrzy tam na chwilę. Ale jeśli miałaby to zrobić, nie wolno jej niczego dotykać. Niczego nie dotykać... to już lepiej odejść. Kogo ma zawołać? Kogo zawołać? Więc tylko zerknie”.

Z lufą w dłoni szturchnęła uchylone drzwi. W nos buchnął jej jakiś ohydny smród. Już sądziła, że po tej nocy straciła powonienie, ale była w błędzie. Jeszcze raz trąciła drzwi bronią. Szczelina powiększyła się do jakichś dwudziestu centymetrów. Odczekała chwilę, posłuchała, popatrzyła, ale niczego nie można było dostrzec. W środku było ciemno.

Najmniejszego nawet szmeru poza odgłosem jej własnego oddechu. Pot spływał jej z brwi na nos i wargi. Zlizwała końcem języka brudną, słoną wodę. Pod pachami miała mokro, poczuła też wilgoć między nogami.

Czyżby zlała się w majtki? Nie, to tylko pot... spociała się jak mysz.

Znów pchnęła drzwi bronią. Teraz już mogła coś dojrzeć w tej ciemności. Wszystkie rzeczy kłębiły się w nieładzie...

„Uciekaj stąd!”

Ale to byłaby jednak słabość. A ona nie znosiła okazywania słabości, nawet jeśli dotyczyło to jej samej. Dała tylko kroczek do przodu, zostawiając na wszelki wypadek drugą stopę na zewnątrz. Posługując się lufą rewolweru, zapaliła światło. W ułamku sekundy jej oczy ogarnęły całość. Pomyślała teraz, że lepiej by było, gdyby się powstrzymała. To było coś więcej niż bałagan. Jej dom, jej schronienie obrócił ktoś w śmietnik, wysypisko połamanych i poniszczonych odpadków, w kupę gówna i śmieci. Obrzydliwy ołtarz demona stworzony przez jakiegoś szaleńca; straszne; okrutne i chore...

Łzy napłynęły jej do oczu. Umysł jakby się wyłączył. Czowała takie odętwienie, że nie mogła nawet pomyśleć. Patrzyła tylko bezradnie, to wszystko, na co było ją stać. Ugodzono ją w samo serce, a zrobiła to jakaś dwunożna dzika bestia. Osunęła się, wspierając o futrynę drzwi; w rozdygotanej dłoni wciąż trzymała rewolwer.

„Żeby mi tylko nic nie zrobił”, kołatało jej w głowie. „Ten ktoś może tu jeszcze być”.

Przełknęła ślinę, zmuszając się do działania, chwyciła oburącz swą służbową broń. Oczy przeszukiwały teren, zwłaszcza podłogę; wszędzie poniewierały się sterty zrzuconych książek, pomieszanych z podeptanymi zdjęciami i rozbitym szkłem, jedna wielka, cuchnąca góra śmieci!

„Pomyśl!”

Jak się w tym poruszać, żeby się nie potknąć. Jak to wszystko ogarnąć. Łóżko było chyba w porządku... przynajmniej sama rama. Pokrycie nie-
tknięte, ale parę poduszek było rozprutych.

„Pomyśl, co masz zrobić! Sprawdź wszystko dokładnie!”

Najpierw obejrzała salonik, potem kolejno kuchnię, sypialnię i łazienkę. Oto korzyść z małego mieszkania: tylko parę pomieszczeń, które tak łatwo ktoś może wybebeszyć. Metodycznie posuwała się naprzód, zerkając na otwarte drzwi, zastanawiała się, gdzie stąpnąć, by wyminąć zwały śmiecia i brudu. Zapaliła światło w kuchni, a to, co ujrzała, sprawiło, że wnętrze podjechały jej do gardła. Poniewierały się tu garnki, patelnie, żywność, śmieci, skorupy połamanych talerzy, porozrzucane sztucce, kar-

tony mleka, soków, a do tego jeszcze mocz, tak przypuszczała. Śmierdziało tak, jakby ktoś się na tym wszystkim odlał.

Zegar kuchenny jednak ocalał. Zgodnie z tym, co wskazywał kołyszający się koci ogon, była pierwsza dwadzieścia dwie.

Grzbietem ręki otwarła lodówkę; ujrzała tam zwały klejącej się żywności, rozbitych jaj i rozlanych napojów. Zatrzasnęła ją natychmiast i otworzyła kredens. Szalenciec wykazał niejaką uprzejmość w stosunku do pewnych zastaw: połowa z nich była nietknięta, reszta w postaci potłuczonych brudnych skorup zaścielała podłogę.

Wróciła do saloniku, śmieci trzaskały jej pod stopami, a gorące łzy spływały po policzkach. Powoli torowała sobie drogę do sypialni, dręcząc się przy każdym kroku, bo wiedziała, co tam znajdzie. Zapaliła światło i zobaczyła najgorsze, co tylko mogła sobie wyobrazić. Ubrania, zdjęcia, flakoniki perfum, grzebienie i szczotki, biżuteria i kosmetyki, buty i bielezna, skarpetki i rajstopy — wszystko to było powywlekane na wierzch, pomieszane i rozrzucone. Pościel zdarto z materaca, kapa była spryskana antyalergiczną pianką. Na samym wierzchu materaca parowało coś, co wyglądało na psie gówno.

Żeby się choć trochę uspokoić, wciągnęła łzy i otarła usta.

Szuflady były otwarte, garderoba poniewierała się na zewnątrz. Drzwi do szafy... były półprzymknięte.

„Ktoś tam się ukrywa?”

Podeszła bliżej, z wielką obawą. Jej nogi posuwały się miarowo, choć nie było to cicho. Każdy krok zbliżał ją do konfrontacji. Wyobrażała sobie atak.

„Nabierz tylko tchu”, powtarzała sobie. „Głęboki wdech. Raz... dwa... trzy. Teraz!”

Kopnęła drzwi i wymierzyła broń w wiszący różowy szlafrok.

— Nie ruszać się! — wrzasnęła.

Nie było żadnej odpowiedzi, słyszała tylko własny, urywany oddech. Kopała nogami po wiszących ubraniach, żeby się upewnić, że nikogo tam nie ma. Z całą pewnością nikogo nie było. Kiedy już miała dość, opuściła swą wnękę na odzież, rozpaczliwie próbując powstrzymać napływające

ły. Zdesperowana i zrezygnowana, zbliżała się powoli do łazienki. Wiedziała, czego może się spodziewać, ponieważ na podłodze przed łazienką leżała rozrzucona zawartość jej apteczki. Gdy była już całkiem blisko, poczuła na karku zimny dreszcz. Obejrzała się szybko, ale nikogo nie zobaczyła.

„Świruję już czy jak?”

— Zamknij się! — powiedziała to na głos.

A teraz jeszcze mówi do siebie.

Wchodziła już do łazienki. Poczowała znowu dreszcz i już miała obejrzeć się przez ramię. Zanim to jednak zrobiła, jakiś głos z zewnątrz wrzasnął: „Nie ruszaj się! Stój, zostań na miejscu!”

Zastygła, sparaliżowana strachem. Jej obawy nie były bezpodstawne. Rozsądek jej podpowiadał, że szaleńcy nie mówią:

„Nie ruszaj się!” Tak mówią policjanci.

— To ja, Cindy — mówił ten głos. — Scott Oliver. Nie ruszaj się!

Pozostała bez ruchu.

— Siedzę tu w kucki przy twoim łóżku, patrzę na tę stertę gówna z gnatem pod materacem. Widzę cię. W prawej ręce trzymasz rewolwer. Mówię ci to wszystko, bo nie chciałbym, żebyś mnie zastrzeliła, jak wstanę. Chcę tylko uniknąć jakiejś głupiej, tragicznej pomyłki, dobra?

Nie odpowiedziała. Mówił delikatnie, a zarazem stanowczo. Jak on mógł to zrobić?

—Dobra. A teraz się odwróć, to mnie zobaczysz... rewolwer? Wstaję.

— Wciąż milczała. — Więc może najpierw wstanę, ale wtedy nie będziesz widziała, co się dzieje.

—Odwracam się — powiedziała. Głos jej drżał, jakby mówiła, mając coś w ustach.

— Świetnie. Tylko nie strzelaj!

—Nie będę strzelać. — Odwróciła się. — Widzę twój rewolwer.

—Dobrze. To wstaję. — Wstał i usłyszał, jak chrupnęło mu w kolanie. Chyba już był na to za stary. Stał na nogach i łapał oddech, gdy ją zobaczył. Twarz miała wilgotną i pokrytą brudem. Wpatrywała się w niego dzikim wzrokiem, wyglądała strasznie. Trwało to dłuższy czas. Żadne z

nich się nie odezwało ani nie poruszyło. Wreszcie zapytał: — Jesteś sama? — Milczenie. — Mam na myśli... — Przełkną głośno ślinę. — Czy ktoś jeszcze tu jest? Mogę odłożyć broń? Bo jeśli ktoś jeszcze tam jest... To znaczy, wszystko już sprawdziłaś?

Wciąż nie odpowiadała.

Podniósł rewolwer, wolno położył go na łóżku.

—Podchodzę teraz do ciebie.

—Nie rób tego!

—Dobra. W porządku. Świetnie. Zostanę tutaj. Nawet nie drgnę. Powiedz mi, co... — Znów przełknął ślinę. — Dobrze się czujesz? — Nie odpowiedziała. Nie była zdolna odpowiedzieć. — Mam na myśli... Wiem, że coś z tobą jest nie tak... —Westchnął ciężko i spojrzał w sufit. — Czy chcesz, żeby cię zabrali do szpitala? — Potrząsnęła głową. — Ktoś cię napadł?

Znów potrząsnęła głową.

—Ja... zastałam to, kiedy weszłam do domu. — A potem spytała: — Skąd tu się wzięłaś?

—Zostawiłem ci wiadomość na sekretarce... — Uśmiechał się, ale usta mu drgały. Pot lał się z niego jak z cebra. — Zdaje się, że jeszcze nie odebrałaś tej wiadomości. O Chryste pierdolony, co się, u diabła, stało? — Wpatrywała się w niego bez słowa. — Marge do mnie zadzwoniła, jakieś piętnaście, dwadzieścia minut temu... powiedziała mi o tym camry i że... o tym, jak go ściagałaś, wdrapałaś się na górę, a potem ten wypadek. I... — Odetchnął głęboko. Złożył ręce na piersi, żeby ukryć ich drżenie. — Prosiła, żebym ja... albo żebyśmy razem... poszli tam jutro... na miejsce wypadku... żebyśmy na to spojrzeli jeszcze raz i... i byłem akurat w pobliżu i wiedziałem, że wracasz do domu, więc pomyślałem, że cię zastanę. Myślałem, że mógłbym ci zadać parę pytań... w związku z tym wypadkiem. I o ten wóz, no wiesz, chciałem się trochę zorientować. I pomyślałem

też, że może fajnie byłoby zobaczyć się z tobą. — Stała bez ruchu. Oliver obliznął usta. — Zauważyłem, że u ciebie się świeci, drzwi były otwarte,

więc... a gdy zobaczyłem ten pieprzony bajzel... chciałem się upewnić...

— Zamilkł. — Ja... ja... ja myślę, że wiesz, o co mi chodzi.

—A gdzie byłeś? — łagodnie spytała go Cindy.

—Co proszę?

Policzki miała mokre i poczuła teraz, że parzą ją niczym ogień.

—Mówiłeś, że byłeś tu w pobliżu.— Odchrząknęła. — To gdzie byłeś?

—Wyszedłem się przejść... tu niedaleko. Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie? Byłem w pobli... — Znów się uśmiechnął. I znowu zadrgały mu usta. — Chyba nie myślisz, że ja... — Zamilkł.

Powolutku zbliżała się do niego, akcentując każdy krok — raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. Póki jeszcze ma przed sobą jego twarz. Póki mogła dostrzec, jak z każdego poru wydziela się słony pot. Póki jeszcze czuła słony smak własnego potu. Wszeptała:

—Wiem, gdzie byłeś. Byłeś w mieszkaniu Hayley Marx. Pierdoliłeś ją, prawda? Więc dlaczego się nie przyznasz i nie powiesz: „Byłem u Hayley Marx, pierdoliłem ją!” Co? Dlaczego po prostu tego nie powiesz?

Oliver czuł, jak twarz robi mu się czerwona. Zachichotał i wzruszył ramionami, obrzucił pokój wzrokiem.

—No dobra, wypierdoliłem Hayley Marx.

Wyrzuciła dłoń przed siebie i chlasnęła go w twarz.

—Ty pętaku! Ty pierdolony dupku! — Chlasnęła go jeszcze raz, uderzając w nos wewnętrzną stroną dłoni. Od razu popłynęła mu krew. To tylko ją rozjuszyło. Trafiła go pięścią w ramię. A potem już zaczęła go okładać pięściami, gdzie popadnie. Walila go tak, póki nie rozbolała ją ręka; nie czynił żadnego wysiłku, by uchronić się przed jej ciosami. — Ty nędzny, zepsuty skurwysynu!

Zadzwoił telefon, pogrążając ją w apatii. Szlochając, przywarła do niego i objęła go ramionami.

—O Boże, wybacz mi, Scott. Przepraszam cię, przepraszam, bardzo cię przepra...

—Nic się nie stało — wychrypiał, trzymając się za nos. — Telefon dzwoni...

—Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro...

—Cindy, telefon do ciebie!

—Och Boże, Boże, Boże!

—Ciii...

—Tak bar...

—Cicho! — rzucił krótko Oliver. — Próbuję odsłuchać twoją sekretarkę... — Wytarł koszulą swój krwawiący nos. — To twój tatko. Odbiorę.

—Nie! — Chwyciła go za ramię. — Nie, nie, nie!

—Chce wiedzieć, gdzie jesteś.

—Nie! — Wbiła mu w rękę paznokcie. — Jeśli mu o tym powiesz, dowie się, że zełgałam o tym wozie.

Wyszarpnął rękę i pocierał sobie przedramię.

—Jaki znów wóz? Co ty gadasz?

—Musiałabym mu powiedzieć, że to camry jechał za mną, a nie, że ja go ścigałam. A wtedy by mi zarzucił, że kłamie. I nigdy, nigdy już mi nie uwierzy... a ja podpisałam to oświadczenie...

—To camry siedział ci na ogonie? — spytał Oliver. — Nie powiedziałaś swemu ojcu, że ten wóz siedział ci na ogonie?

—Nic nie rozumiesz! — zawyła. — Nie mogłam, Scott! Po prostu nie mogłam. Gdybym to zrobiła, bardzo by się tylko przejął i...

—Cindy, musisz to zro...

—Nie!

—To ja to zrobię!

—Nie, nie, nie! Nie możesz mu powiedzieć, Scott. Musisz mi obiecać, że nie... przyrzeknij mi...

—Cindy, pieprzę to, czy on wie, że tu jestem. Potrzebujesz go, dziecinko. A konkretnie, ja go potrzebuję. Mam za małe doświadczenie zawodowe.

—Nie możesz mu powiedzieć!

—Powiem mu!

Próbowała go odwieść od tego, znów chciała go trzepnąć. Ale tym razem złapał jej rękę.

—Przestań mnie walić!

—Zostaw mnie! — wrzeszczała. — Zostaw mnie, zos... — Nagle przywarła do jego piersi i zaczęła szlochać. Zanosila się jakimś wielkim, głębokim, niepowstrzymanym łkaniem. Oliver puścił jej rękę i objął ją mocno.

—Już dobrze!

— Nie, n i e jest dobrze!

Miała rację. Nie było dobrze. Poczuł nadchodzący gniew. „Co za pojebaniec to zrobił?”

—Jest mi tak cholernie przykro... — Znowu zadzwonił telefon. Oliver wyrwał się z jej objęć i skoczył naprzód. Pocił się, czuł skurcz prawej powieki. Nie mówiąc już o nosie, z którego wciąż ciekła krew. Ale głos miał równy i wyraźny. — To musi być twój tato. Martwi się, że nie ma cię w domu. Jeśli mu nie powiesz, że wszystko w porządku, gotów jest tu przysłać całą Gwardię Narodową. A w ostateczności, sam się tu zjawi.

—Powiem mu — zgodziła się Cindy.

—Nie jesteś w stanie.

—Czuję się świetnie! Niech tylko ochłonę. — Trzy dzwonki. — Już mogę! — Czwarty dzwonek. Teraz albo nigdy. Podniosła suchawkę w sypialni. — Czuję się świetnie. Przestań się o mnie zamartwiać, tato.

Długa przerwa po tamtej stronie. A potem Decker zauważył:

—Twój głos nie wskazuje na twoje dobre samopoczucie.

—Jestem zmęczona.

—Jakoś długo ci zeszło, nim wróciłaś do domu.

— Jechałam wolno. Ostrożnie. Tak jak lubisz — odezwała nie schrypniętym głosem.

—Cindy, wiem, że coś jest nie tak. Jeśli mi nie powiesz...

— Nic się nie dzieje — krzyknęła. — Nic, poza tym że mnie wkurzasz.

—Cindy!

— Zostaw mnie w spokoju! — Z trzaskiem odwiesiła słuchawkę. Jej ciałem miotaly drgawki jak w napadzie padaczkowym. W głowie rozbłysło jej jakieś światło, ugięły się pod nią kolana. Straciła oddech, owładnięta paniką i stresem zachwiała się pod swym własnym ciężarem. Oliver ją schwycił, a potem pomyślał, gdzie może ją położyć. Na pewno nie na

łóżku, obok tego gówna, bo cały ten pieprzony pokój był jednym śmierdzącym wysypiskiem śmieci. Założył jej ręce pod plecy, uniósł do góry i przeniósł przez próg do saloniku. Znalazł wolne od brudu miejsce na jej rozdartej kanapie i tam ją położył.

Jak się spodziewał, znów zadzwonił telefon. Scott przeszedł na palcach przez sterty śmieci i podniósł słuchawkę.

— Tu Oliver. Fizycznie się trzyma, ale jej mieszkanie jest splugawione i zbezczeszczone. Wygląda to fatalnie. Lepiej sam tu przyjedź.

Decker nie należał do tych, których łatwo można zaskoczyć.

Minęło jednak parę sekund, zanim odzyskał głos.

—Ale ona jest w porządku?

— Trzyma się. Nikt na nią nie napadł. Po prostu wróciła do domu i zastała swoje mieszkanie splądrowane.

—Wzywała policję?

—Nie sędzę. Ja też nie wzywałem.

—To nie wzywaj. Poczekaj, aż przyjadę. Potrzeba ci jakichś toreb na materiały dowodowe?

—Całe mnóstwo.

—Już wychodzę.

Usłyszał dźwięk przerwane go połączenia. Odwiesił słuchawkę. To był cały Deck. Cokolwiek sobie myślał, zawsze umiał profesjonalnie zadawać pytania.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Kiedy Decker zapukał do drzwi, otworzyły się same, odsłaniając pasmo żółtawego światła. Posługując się chusteczką do nosa, pchnął drewnianą przeszkodę i stanął oko w oko z całym tym bajzłem, przyzwyczajając powoli wzrok do tego obrazu nędzy i rozpacz. Wywołało to jego wściekłość — prawdziwą, pierwotną furję!

—Patrz uważnie pod nogi — poradził mu Oliver. — Nie chciałbym się czymś takim powalać.

—Gdzie ona jest? — Głos Deckera zamienił się w bulgot.

—Bierze kąpiel. — Oliver rzucił ukradkowe spojrzenie na swego szefa: Deck patrzył szklistym wzrokiem, sztywno i bez wyrazu. — Powiedziałem jej, żeby się trochę przemyśla. Miała kamerę polaroid, więc porobiłem zdjęcia i szkice, zanim umyłem wannę. To wszystko jest na kominku. Obok tych figurynek — które zastałem ustawione w nieprzyzwoitych pozach.

Decker wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Nie podszedł do kominka. Skupił się na czynnościach Olivera. Scott był w rękawiczkach i w masce na twarzy. Spostrzegł, że Decker mu się przygląda, i zdjął maskę.

—O co chodzi?

—Opowiedz mi — poprosił Decker.

—Wpadłem tu koło pierwszej trzydzieści. Widocznie wróciła do domu dziesięć minut wcześniej i zobaczyła to wszystko.

—Czy ma jakiś pogląd na temat tego, co się tu stało?

—Chyba ma, ale jeszcze o tym nie rozmawialiśmy.

„Starannie dobiera słowa”, pomyślał Decker.

—Czy... byłeś tu już kiedyś, w tym mieszkaniu?

Oliver usiłował zachować swobodę. Ale kropla potu spadła mu na dolną wargę.

—Byłem tu z tobą i Marge parę dni temu, kiedy ją wypytywaliśmy...

—Oliver!

—I raz przedtem — złamał się Oliver. — Odwiozłem ją domu od Bel-
liniego. Znasz to miejsce?

—A powinienem?

—To taki gliniarski bar w Hollywood. Zobaczyłem ją tam kiedy wpa-
dłem spotkać się z Osmondsonem w sprawie protokołów tych porwań
wozów. Wyraźnie przesadziła z piwem. Gdy opuszczała ten lokal, chwia-
ła się na nogach. Nie chciałem, żeby w takim stanie prowadziła, więc
odwiozłem ją do domu. Chyba możesz zgadnąć, czemu ci przedtem o
tym nie mówiłem.

„Cindy nic mu o tym nie wspomniała”. Decker zachował spokój

—Była pijana?

—Powiedziałbym raczej, że źle się poczuła po tym wszystkim.

—To do niej niepodobne. — Choć musiał przecież zdawać sobie spra-
wę, że niewiele wiedział o życiu osobistym swej córki. — Czy była może
czymś rozdrażniona?

Oliver wzruszył ramionami.

—Jest tu kimś nowym, a Hollywood to ciężki wydział... ze swymi tra-
dycyjnymi metodami. To trudne miejsce dla nowicjusza. Jestem pewien,
że wiele spraw musiało ją tu drażnić.

—Czy ktoś ją tam atakował?

—Jest młoda, jest kobietą, do tego bystrą i ma niewyparzoną gębę. Je-
stem pewien, że wielu mogło się to nie podobać. Chcesz wiedzieć, czy
mówiła mi coś konkretnego? Nie. Po prostu odwiozłem ją tej nocy.

—Czy zadzwoniła do ciebie, żebyś wpadł?

—Nie... zdarzyło mi się być akurat w pobliżu. Pomyślałem, a może
bym wstąpił. — Nic nie powiedział. Mijał czas, cisza stawała się bardziej
oskarżycielska niż słowa. Oliver strzelił na chybił trafił. — Marge do
mnie zadzwoniła, o wpół do drugiej. Powiedziała mi, że wszyscy troje
byliście na dochodzeniu w sprawie jakiegoś camry, który spadł ze stoku
na Górze Aniołów, podobno Cindy go ścigała i straciła go tam z oczu. —
Szukał u Deckera potwierdzenia.

—No i?

—Marge chciała, żebyśmy... to znaczy, ona i ja... wybrali się tam jutro. Czyli ściśle mówiąc, dzisiaj. A ponieważ dziesięć minut temu wyszedłem z pewnego spotkania, pomyślałem, że może mógłbym przedtem zadać twojej córce parę pytań.

—O pierwszej trzydzieści nad ranem? — Bez owijania w bawełnę zauważył Decker.

—Zobaczyłem, że u niej się świeci. Pomyślałem, że jeszcze jest na nogach. — Oliver włożył teraz do kieszeni swe ręce w rękawiczkach. — O co ty mnie pytasz? Czy przyszedłem tu w określonych zamiarach? Nie, tak nie było. Ale nawet gdyby tak było, to już nie twoja sprawa.

—Mylisz się, dobro mojej córki to wciąż mój zasrany interes!

—Cholera, nie powiedziałem, że nie...

—Ale dałeś to do zrozumienia. — Decker zacisnął rękę w pięść; mimowolny odruch, bo przecież Scott był w porządku. Życie osobiste Cindy należało do niej i mogła je sobie sparać do woli, jeśli tylko chciała. A co do Olivera, to nigdy nie był akuratnym sztywniakiem, pozory go nie interesowały. No i znalazł się tutaj, w mieszkaniu Cindy, pomagając jej oczyścić tę stajnię Augiasza, a przecież mógł skorzystać z byle wymówki, żeby tylko się zmyć. Ale Decker wciąż nie mógł przestać go wypytywać, a głos miał przepełniony gniewem. — Czy coś podejrzewasz?

—Nic mi nie przychodzi do głowy — odparował Scott. — Skąd, u diabła, miałbym coś wiedzieć?

Decker ledwo się powstrzymywał, żeby go nie zdzielić,

— Przestań się bronić. Myślałem tylko, że może powiedziała ci coś, o czym mnie nie wspomniała.

Można było wyczuć, iż pod powierzchnią tego gniewu Decker był głęboko urażony. Scott zaczął mu wyjaśniać:

—Coś tam nawijała, że to camry ją ścigał, a nie...

—A to dopiero! — Decker oparł się o ścianę, doznając mieszanego uczucia gorącego oburzenia i zawodu. — Wszchemogący Boże, przecież mogła mi o tym powiedzieć. To stawia sprawę w całkiem innym świetle.

—Słuchaj, czy nie moglibyśmy zostawić na boku tych wszystkich osobistych bzdur i skupić się na popełnionym przestępstwie?

— Nigdy cię nie lubiłem.

—Ja też cię nie lubię — odparł Oliver. — Jesteś aroganckim zadowolonym z siebie, egotystycznym pyszałkiem, myślący tylko o sobie, bo miałeś to głupie szczęście ożenić się z piękną młodą kobietą, na tyle zaślepioną, że sądziła, iż jesteś tym, kim wcale nie byłeś. A ty pewnie sobie wyobrażasz, że jestem powierzchownym, bezdusznym, źle wychowanym i żalonym podrywaczem z niezdrową obsesją na tle coraz to młodszych pańienek. Ale jestem dobrym gliną, tak jak i ty. Czy nie możemy się porozumieć ponad tym wszystkim?

—Wal dalej.

—Tak na pierwszy rzut oka, trudno tu coś powiedzieć..., dobra, przynajmniej ja na pierwszy rzut oka nie mógłbym nie powiedzieć. — Oliver rozejrzał się po pokoju. — Kompletny bałagan, ale niezbyt wiele rzeczywistych szkód. Kosztowniejsze rzeczy nie doznały uszczerbku.

—O kanapie nie można by tego powiedzieć.

—Również kanapa nie została całkowicie zniszczona. Została podarta, tak, ale to nie jest szkoda nie do naprawienia mocną igłą i nitką. Telewizor jest cały. Nawet pilot działa. Wiem, bo go włączałem. Stereo jest nie-
tknięte. Wszystkie kosztowności są tutaj...

—To nie był rabunek — zauważył Decker. — Więc cóż to było takiego? — Po raz pierwszy spojrzął na ten pokój jak policjant. — Wygląda, jakby ten ktoś czegoś tu szukał. Czy dawała; do zrozumienia, o co tu może chodzić?

—Nic mi nie mówiła. — Oliver pokręcił lekko głową. — To musi być coś bardziej osobistego, Deck. Spójrz, jak wyglądają te figurki na komin-
ku.

Decker podszedł dwa kroki do rozbitego zdjęcia i odsunął odłamki szkła; twarzyczka Hannah sprawiała wrażenie, jakby była uwięziona w akwarium. Nie myśląc, podniósł zdjęcie i schował je go kieszeni. A potem, nie bez wahania, rozejrzał się po kominku.

Cindy zawsze zbierała figurki zwierząt. Kolekcja na półce kominka stanowiła tylko część jej menażerii. Jakiś zboczeniec zrobił sobie z tego zwierzęcą orgię. Świnki jedna na drugiej, w misjonarskim stylu. Konie trykały się od tyłu, krowy wypinały na siebie zady. Wszystko to było dość typowe dla zachowania się zwierząt, ale sposób, w jaki to zaaranżowano, nie miał nic wspólnego z niewinnością.

— Może to jakiś rodzaj twórczości. — Decker był wściekły, ale usiłował przynajmniej zachować równy ton głosu. — Bądź co bądź, to bardziej oryginalne niż wypisywanie gróźb na lustrze w łazience.

Oliver przerwał na chwilę swoje czynności.

— Czy spotkałeś się już kiedyś z czymś takim?

— Nie.

— Ja też nie. Zostawił swą wizytówkę: wysrał się na materacu Cindy.

Decker spojrzał na niego.

— Wysrał się w przenośni czy dosłownie?

— Dosłownie.

— Dobry Boże! — Decker się skrzywił. — To ludzkie gówno?

— Nie jestem ekspertem od gówien, ale wydaje mi się, że prędzej psie. Zapakowałem to do woreczka i wystawiłem na zewnątrz, ze względu na smród.

— No, to jest szkoda. — Decker potarł czoło. — Raczej obrzydliwa, ale niezbyt kosztowna. Ktoś chciał ją przestraszyć. Moja biedna, mała dziewczynka. — Poczul się nagle stary, przywalił go cały ciężar minionych lat niczym fale rozbijające się o górę. Zastanawiał się, czy żywa młodość Cindy nie jest dla Scotta przeciwstawieniem jego własnego powolnego i nieuchronnego marszu ku śmierci.

Oliver klepnął się w policzek, jakby zdał sobie nagle sprawę, że musi się ogolić.

—Tak czy inaczej, nie mam przy sobie proszku do zabezpieczania śladów. Masz może ten zestaw?

—Jest w bagażniku. Zrobię, co będę mógł, ale w końcu i tak musimy zadzwonić po techników. Powinniśmy wyświadczyć Cindy grzeczność, powiadamiając ją przynajmniej o naszych zamiarach

—Masz rację. Zostawiłem wykaz w sypialni na komodzie — zgodził się Oliver. — Chcesz, żebym zadzwonił do Marge.

—Niech trochę pobędzie ze swą córką. — Zmrużył nagle oczy i zmarszczył brwi. — Co, u licha, się stało z twoim nosem

Oliver ostrożnie dotknął swej twarzy.

— To twoja córeczka, Cindy. Wściekła się na mnie. Tak ją to rozjuszyło, że wyładowała się na mnie. Nie mam pretensji. Przynajmniej wiem, od kogo oberwałem.

Decker skrzywił się.

—Boli cię?

—Cholera, tak, to boli. Cindy jest silna. Wali równo.

Cindy wygramoliła się z wanny, wkładając swój włochaty różowy płaszcz kąpielowy, na nogach miała chodaki z podeszwami startymi od podłogi. Zatrzymała się, widząc swego ojca, nie była pewna, jak ma go powitać. Usiłowała się uśmiechnąć, nie bardzo jej to jednak wychodziło, ograniczyła się więc do zdawkowego:

— Cześć.

Deckerowi ścisnęło się serce; wyglądała tak młodo i krucho. Na głowie miała upięty ręcznik, jej twarz była bezbarwna i bez wyrazu. Odłożył torbę z dowodami rzeczowymi, widząc, że jego córka nie może oderwać oczu od bałaganu w pokoju, ściany były wysmarowane jakimś czarnym atramentem.

—Co mogę dla ciebie zrobić?

—Czy może coś znalazłeś?

— Jak dotąd nic. Pomyśleliśmy z Oliverem, że trzeba wezwać techników...

—No pewnie, niech cały świat się dowie, jaka jestem durna. Decker spróbował jej przedstawić swoje następne posunięcie.

—Co o tym sądzisz?

—Mam wsadzić głowę do pieca?

Decker podszedł do niej, tak jak się zbliża do rannego zwierzątka. Zatrzymał się przed nią.

—Czy mogę cię uścisnąć?

—Proszę bardzo, jeśli tylko poczujesz się od tego lepiej.

—A ty nie poczujesz się lepiej?

—Tatku, mam już chyba za sobą całowanie na przeprosiny, jak się coś źle zrobi...

Objął ją mimo to.

—Kocham cię, księżniczko.

—Ja też cię kocham. — Wciąż jednak była sztywna i nie-przejednana.

—Musimy przez to przejść...

—Mylisz się. — Wyrwała mu się z uścisku. — To ja muszę przez to przejść. Właśnie przez to przechodzę. Nie ty.

Wiedział, że musi być oszalała z bólu, ale jak może jej ulżyć, skoro odrzuca wszystkie jego przyjazne gesty? Jak na ironię, im bardziej był dla niej czuły, tym bardziej to odrzucała, pewnie biorąc jego czułość za przejaw słabości.

—Chcę ci tylko zadać parę pytań.

—Oczywiście. Wal.

—Ale tym razem musisz powiedzieć szczerze.

—Nie ma sprawy.

Nie był jednak wcale tego taki pewny.

—Dzięki za to, że sprzątnąłeś to gówna z mojego łóżka — powiedziała.

—To nie ja, to Oliver.

—No, no. Nie wiedziałam, że z niego taki ukryty altruista.

—Może przejdziemy do saloniku.

—Ściśle biorąc, do mego dawnego saloniku. — Zdjęła ręcznik. Fala rdzawych włosów spłynęła jej na plecy. — Czy święty Scott jeszcze tu

jest? — Decker skinął głową. — Może powinnam się ubrać — zauważyła. — Ach, byłabym zapomniała. Nie ma potrzeby upierać się przy formalnościach. Oglądał mnie już leżącą jak kłoda, oglądał mnie pijaną, zarzyganą... Mam nadzieje że cię w to wprowadził.

—Nic nie mówił o szczegółach. Ty też nie musisz.

—Próbuję tylko być uczciwa. Tyłek mnie już od tego boli może nie? Decker objął swą córkę.

—Kocham cię. Roztkliwianie się nad sobą niczego tu nie zmieni.

—Biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności, myślę, że to moje roztkliwianie się nad sobą dałoby się jakoś wytłumaczyć.

—Istotnie. — Decker wprowadził ją do saloniku. Wzrok Cindy przeskakiwał z miejsca na miejsce, oceniała stopień bałaganu.

—Nie jest tak źle. Muszę podziękować świętemu Scottowi za wysprzątanie. — Krzyknęła: — Hej, Oliver. Czy do obowiązków stróża należy opis wykonanej pracy?

Odwrzasnęła jej z kuchni:

— Nie potrafię naprawić ci okna, ale mogę zaparzyć kawy. Chcesz?

—Czy mam jeszcze jakieś naczynia do kawy?

—Masz.

—A kawę też mam?

Oliver otworzył lodówkę i natychmiast się skrzywił. To nie był piękny widok.

—Można by powiedzieć, że ten włamywacz zostawił ci tu z pół torby od Peeta.

—Ach, przydałoby się trochę kawy — uznał Decker.

—To jest prawdziwa kawa, a nie jakaś tam bez kofeiny — zaznaczyła Cindy.

—I o to właśnie chodzi — zgodził się Decker.

—A nawet więcej. O tej ranej porze to rzecz absolutnie konieczna. — Oliver nalał wody z kranu do ocalałego jakoś ekspresu. — Poza tym znam takie dni, kiedy trzeba się było obyć bez snu. Chyba że uznamy stan pijackiego zamroczenia za coś rodzaju snu.

Cindy uśmiechnęła się i pochyliła ku ojcu. Decker ją uściskał.

—Siadaj, kochanie.

—Gdzie? Kanapa się nie nadaje — Rozejrzała się wokół i usadowiła na nietkniętej poręczy kanapy, z rękami na kolanach. —Widzę, że podłoga jest czystsza. Co zrobiłeś z tymi wszystkimi śmieciami?

—Zapakowałem do worków. — Oliver właśnie wrócił do saloniku. — Będziemy je potem segregować razem z twoim ojcem. Marge też by nam się przydała.

—Czy ona też już o tym wie? — jęknęła Cindy.

—Cin, to nie jest twoja wina. Przestań się o to obwiniać. Im więcej rąk będziemy mieli do pracy, tym szybciej się z tym uporamy — pocieszał ją Decker.

—Dopóki nie zadzwonisz na policję w Culver City. A to jest moje mieszkanie i mam prawo tego nie zgłosić...

—A jeśli mamy do czynienia z jakimś seryjnym włamywaczem lub gwałcicielem? — przekonywał ją Decker. — To twój obowiązek...

—Jeśli naprawdę tak sądzisz, to trzeba ich wezwać. Ale jeśli to zrobisz, nie pytaj mnie więcej o Armanda Craytona. On nie żyje już ponad pół roku. Nie widzę, żeby to mogło mieć ze sobą coś wspólnego.

—To czemu do tego wracasz? — pytał Decker.

—Nie wiem! — Potrząsnęła głową. — Uważasz, że nie miałam z tym nic wspólnego. A ja wciąż myślę, że może jednak mam z tym coś wspólnego... że może to ja kogoś uraziłam.

—Niby kogo? — zainteresował się Oliver.

—Właśnie z tym jest kłopot. Zraziłam do siebie tak wiele osób.

Decker wyjął swój notes.

—Wiem, że masz jakieś podejrzenia. Ktoś cię nachodził.

—To tylko moje wewnętrzne rozterki. Jak dotąd nie spotkało mnie jeszcze jakieś fizyczne zagrożenie.

—Zacznijmy od początku, Miss Decker — rozpoczął Oliver — Czy ostatnio ktoś nie zachowywał się dziwnie w stosunku do ciebie?

—Nie.

—Nikt nie odnosił się wrogo? — zapytał z kolei Decker.

—Nie.

—Nie zerwałaś z kimś w ciągu ostatnich paru tygodni?

— Nie wystawiam ludzi do wiatru. Po prostu... są tacy, którym wolę nie wchodzić w drogę. Jeśli chodzi o jakichś popprańców, to ich unikam.

— Czy teraz byłaś w takiej sytuacji? — pytał dalej Decker

—Powiedziałam to w przenośni. Nikt taki się mną nie interesował.

—Tymczasem ktoś najwyraźniej ma cię na oku, i to bardzo? Ktoś za tobą chodzi. Scott mi mówił, że ten camry cię śledził. Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś? — Cindy milczała. Nie było potrzeby stwierdzania rzeczy oczywistych. Decker nie nalegał. Ale pod tą powierzchnią spokoju kryło się rozdrażnienie.

— Kiedy zauważyłaś, że ktoś ci siedzi na ogonie?

— To było tam na wzgórzu... w Valley. W tym miejscu, gdzie droga szybkiego ruchu z Hollywood łączy się z drogą 134. Wtedy to spostrzegłam. Ale mógł za mną jechać od samego początku, od chwili gdy opuściłam posterunek.

— Rzeczywiście tak było? Tylko mów całą prawdę, proszę — nalegał Decker.

Cindy widziała, że ojciec jej nie wierzy.

— Nie masz żadnego powodu, żeby mnie besztać. Nie miałam najmniejszego zamiaru ścigania się z tym autem. Chciałam tylko zobaczyć jego numery rejestracyjne. Ale to wcale nie było takie proste. Jego kierowca okazał się bardzo przebiegły. Uciekł mi już po paru wstępnych manewrach, gdy tylko się zorientował, że chcę się do niego zbliżyć. Więc usiłowałam go złapać. Zaczęłam go ścigać.

—I w końcu ci uciekł? — spytał Decker.

—Tak.

—Straciłaś go z oczu na Górze Aniołów?

—Tak.

—A do tej pory nie spotkało cię nic dziwnego?

—Czemu nie zaczniesz od tego portretu?—dołączył się Oliver.

—Od jakiego portretu? — zapytał Decker.

— Tego, który ktoś jej przestawił na kominku. To było zdjęcie Hannah. — Oliver ogarnął wzrokiem wnętrze pokoju. —Nie widzę go tutaj.

—Ja go mam. — Decker wyjął z kieszeni portret Hannah. — podniosłem go z podłogi.

—Majstrowałeś przy dowodach, tatku?

—Jak widzę, nie straciłaś poczucia humoru. Opowiedz mi o tym portrecie.

—To taki drobiazg, uznałam, że nie warto o tym wspominać.

—Chyba nie taki błahy, skoro mnie o to pytałaś. Następnego dnia po tym, jak ją odwiozłem do domu, zadzwoniła do mnie i spytała, czy nie przeniosłem zdjęcia Hannah z kominka na stolik — wyjaśnił Oliver Deckerowi.

—A tak, był na stoliku. Tam go znalazłam. Nie przypominam sobie, żebym go tam kładła. Zdjęcia rodzinne trzymam zawsze na kominku. — Wzruszyła ramionami. — Gdybym wiedziała, że to takie ważne, wspomniałabym też o tej kartce.

—Ktoś zostawił jej w wozie kartkę z napisem PAMIĘTAJ.

—O Jezu! — zawołał Decker. — O czym to masz pamiętać?

—Nie wiem, tatku! Nawet nie pomyślałam, że to do mnie. Naprawdę. Wyrzuciłam to. Dlaczego bym miała to uznać za coś ważnego?

—O czym jeszcze powinniśmy wiedzieć? — Decker przyjął jej ton.

—Dobra. Więc powiem ci wszystko. Trzymam swoje bawełniane sweterki po lewej stronie, a wełniane po prawej. A zastałam je poukładane na odwrót. Może sama to zrobiłam. A może ten, kto splądrował mi dom.

— Myślisz, że ktoś już przedtem grzebał w twoich rzeczach? — pytał Decker.

—Nie mogę tego wykluczyć. — Cindy skrzyżowała, a potem wyprostowała nogi, usiłując przybrać wygodniejszą pozycję. Poręcz kanapy nie była najwygodniejszym miejscem do siedzenia. — To chyba wszystko. Nawet gdybyście mnie brali na tortury, nie mam już nic do dodania.

—Kiedy to wszystko się stało?

—Tej nocy, kiedy Scott odwiózł mnie do domu. Wtedy po raz pierwszy zauważyłam, że portret stoi nie na swoim miejscu.

—Konkretnie, którego to było dnia?

Oliver pogrzebał w swym kieszonkowym kalendarzyku i podał datę.

—O, mam. To było wtedy, gdy umówiłem się z Osmondsonem...

—Tydzień temu. — Decker zwrócił się do Olivera. — Czy zdarzyło się tego dnia jakieś porwanie?

—Nie. Czy coś jeszcze przytrafiło ci się tego dnia, Cindy?

—Nie.

—A w pracy? — przypomniał jej Decker. — Nie aresztowałaś może kogoś, kto poprzysiągł ci zemstę?

Potrząsnęła głową.

—Przestępcy mówią takie rzeczy, grożą nam cały czas. Ale nie pamiętam nikogo takiego, komu wysiadłyby nerwy.

—A co robiłaś w tym dniu?

—Nie pamiętam, tak na poczekaniu.

—Może zlekceważyłaś kogoś w pracy? — dociekał Oliver.

—Nie wiem!

—Cindy, przypomnij sobie ten wieczór u Belliniego. Siedziałaś przy stoliku z Hayley i jakąś inną kobietą, taką czarną dziewczyną... nie wyglądała na policjantkę. Raczej na cywila.

—To Rhondą. Jest sekretarką u detektywów.

— Znam Rhondę — powiedział Decker.

—Taa, mówiła mi o tobie. Mówiła, że...

— Czy mogę to podsumować? — wtrącił się Oliver. — Dobra, byłaś z Hayley i Rhondą. O czym rozmawiałyście?

— O mężczyznach. O tym, jak to jest być żonatym albo gejem. Nie byłam w najlepszym humorze i wypłam za dużo piwa.

—Dlaczego nie byłeś w dobrym humorze? — zapytał Decker.

—Tatku, ja rzadko bywam w dobrym humorze.

Decker pogładził węża.

— Dobra. To spróbuj przynajmniej teraz. Te kobiety... czy przyszły tam razem z tobą? Czy spotkałaś je dopiero w barze?

Westchnęła głęboko.

—No więc tak, konkretnie byłam tam z Grahamem... Grahamem Beaudrym. To mój partner.

—Kiedy przydzielono cię do niego, mówiłaś, że facet jest w porządku. Czy nadal tak sądzisz?

—Tak, w zasadzie tak. Może jest trochę leniwy, ale to nic takiego.

—A może on miał kiedyś do ciebie jakieś pretensje? — sondował Decker.

—Nie.

—Nie było żadnych takich oznak? — dołączył się Oliver.

—Jeśli coś się komuś nie podoba, niech powie mi to wprost. A za plecami to mogą sobie szeptać.

—A o czym? — pytał Decker.

—Że zadzieram nosa... udaję ważniaczkę... że jestem taka bezczelna, bo mam ojca porucznika.

—A to prawda?

—Wszystko to prawda. — Cindy zagryzła usta. — To chyba było tego dnia, kiedy zatrzymaliśmy damę z fuzją na jajach swego męża. Rozmawialiśmy z Beaudrym o tym aresztowaniu.

—A co mówiliście?

—Ta dama... jak ona miała na imię... — Cindy zmarszczyła twarz. — Estella... urocza Estella Ojeda. Podobno mąż ją zdradzał. Dowiedziała się o jakiejś jego *puta* i przystawiła mu fuzję do jego *cojones*. Poradziłam sobie z nią bez niczyjej pomocy. Udało mi się.

—Czy Beaudry miał z tym jakieś kłopoty? — drażył sprawę Decker.

—Beaudry nie. Ale, cholera, uraziłam tym swego sierżanta.

Decker i Oliver wymienili spojrzenia.

—W jaki sposób?

—Pokazałam mu. Robił jakieś dowcipne uwagi na temat mojego wykształcenia. Że zadzieram nosa w twierdzy swego intelektualizmu, a on ugania się za złodziejami na ulicach. Utwierdzał mnie w przekonaniu, że to spieprzyłam. Dowiodłam mu, że jest w błędzie. Beaudry powiedział mi wtedy przy barze, że zachowałam się głupio i żebym sobie nie myślała, że dobrze na tym wyjdę, kiedy mu będę przysparzać kłopotów.

—Na pewno miał rację. Kto jest tym sierżantem?

—Trapper.

—Jak on ma na imię?

—Clark. Tak czy inaczej, nie miał powodu, żeby się tym przejmować. W ostatnim tygodniu przepisywałam mu na komputerze jego raporty, tracąc na to swój wolny czas, żeby tylko lepiej wypadł. — Uśmiechnęła się, ale jakby z przymusem. — Od tej pory już mi nie dokuczał. — Nie powiedziała im o tym, że Trapper nie pchał się w ogień. Nie musiała im wszystkiego mówić. Było jednak widać z jej twarzy, że coś ukrywa, nie mieli wątpliwości.

—Czy przychodził do ciebie, Cindy?

—Nie.

—Czy podejrzewasz go o to, że to on może za tym stać?

—Nie mam żadnych podejrzeń, tatusiu. — Wzruszyła ramionami. — Oczywiście, teraz niczego nie mogę być pewna. Czy Trapper byłby do czegoś takiego zdolny? Pewnie, że tak. On lubi przybierać pozę gliny-macho z Dzikiego Zachodu. Ale czemu miałby mi dokuczać? Jestem dopiero w połowie drogi, żeby mu zrobić porządek w papierach.

Decker zwrócił się do Olivera:

—Ty pracowałeś w Hollywood. Czy wiesz coś o Tropperze?

—Nic nie wiem. Przyszedł tam po moim odejściu. Nie szukałem nic na niego...

—To poszukaj. Będzie lepiej, jak wyjdzie to od ciebie niż ode mnie. —
Zwrócił się teraz do Cindy: — Czy interesowali się tobą jacyś inni face-
ci? Wzruszyła ramionami.

— Żeby tak specjalnie, to nie powiem. No, może Andy Lopez. Byłam
z nim w akademii. Oferował się odwiedzić mnie do domu tego wieczoru,
jak za dużo wypiałam. Ale odmówiłam.

— Czy myślisz, że mógł mieć o to do ciebie pretensję?

— Nie, chyba nie był na mnie zły z tego powodu. Ale potem, jak sie-
dzieliliśmy z tą Hayley Marx, no wtedy jak się przyprawiłam... powiedzia-
ła mi, że poczuł się urażony. Myślała nawet, że się we mnie buja.

— A co, bujał się?

— W końcu byliśmy tylko przygodnymi znajomymi. Nie wiem, co so-
bie o mnie myślał.

— No dobra. Czy jest jeszcze ktoś, o kim nie wiemy?

—Mówiłam już o Hayley Marx... — Cindy oblizwała usta i zwróciła się
do Olivera: — Czy wspominała ci o tym, jak wpadłyśmy na siebie tego
ostatniego wieczoru?

—Mówiła, że cię widziała. Ale nie wchodziła w szczegóły. A czemu
pytasz?

—Wiesz, gdzie się na nią natknęłam?

—Nie.

— W parku Prennera. To ten park, gdzie droga się kończy. Zjechałam
na bok, bo wóz mi się zagrzał. I nagle Hayley Marx wyrosła przede mną
jak spod ziemi.

Decker był tak ogłuszony, że nie mógł nic wykrztusić. Zmarszczył
brwi.

—Nie uważasz, że to dostatecznie d z i w n e, by mi o tym wspomnieć?

—Owszem, wydawało mi się to bardzo dziwne. Ale wiedziałam, że nie
mogłaby się ze mną ścigać. Jechała mustangiem, a nie camry.

—Wóz można podmienić — uznał Decker.

—Nie na taki szybki.

—Owszem, na taki szybki.

—Tatku, ona nie mogła tego zrobić. — Ręka zawisała w powietrzu, wskazując na pokój. — Scott był z nią przez cały wieczór.

—Mogła gdzieś się tu ukryć.

—Dlaczego tak sądzisz? Nic przeciw mnie nie miała. I nawet zachowywała się tak, jakby mnie lubiła. Właśnie myślałam, że to było chyba... no tak, dosyć dziwne.

—Zbyt dziwne na to, żeby było przypadkowe — zgodził się Decker. — Zdaje się, że twoje życie osobiste bardzo ją interesuje... Rozmawiała z tobą o Andym Lopezie?

—To gorzej wygląda, niż było w rzeczywistości, tatku. Taka niewinna babska gadka.

—A może to ona wymyśliła, że Lopez miał do ciebie pretensje.

—Chyba dostajesz już fioła!

— Cindy, pracuję według pewnych zasad! — Decker podniósł głos. — Spójrz tylko na ten bałagan!

—Widzę ten gnój — spokojnie odparła Cindy. — Ale wątpię, żeby to było dzieło Hayley.

—Nawet w świetle tego, że natknęła się na ciebie w samym środku tej dziczy? Powiedziała ci, co tam robi?

—Owszem. Zabijała czas przed spotkaniem z Oliverem.

—Która to była godzina?

—Koło piątej. Mówiła, że potem się wybiera na spotkanie z Oliverem.

—To prawda — potwierdził Oliver.

—Nie uwierzę w to ani przez sekundę. Czemu miałyby się włóczyć wokół Góry Aniołów?

—Bo akurat wybrała ten sam szlak co ja, tatku. A jeśli myślała podobnie jak ja, to zjechała z autostrady, kiedy zrobił się korek. Może chciała trochę odetchnąć w pobliżu Góry Aniołów.

— Nie, wcale nie o to jej chodziło. Znalazła się tam, ponieważ cię ściagała!

—To nie ona prowadziła camry!

—Wcale nie powiedziałem, że prowadziła camry. Nie mówię nawet tego, że była w tym wozie. Ale to zbyt dziwne zdarzenie, by odrzucić tę możliwość jako jedną z wielu.

—To rzeczywiście dziwne, ale powiedziała mi, że spotkała Cindy. A Cindy to potwierdza. Hayley nie mogła splądrować tego mieszkania, bo byłem z nią przez cały wieczór.

—Była jedną z kilku kobiet, które ze mną rozmawiały. Dlaczego właśnie ona miałaby to zrobić?

—Nie oceniam teraz motywów, Cindy — wyjaśnił Decker.— Tylko osoby, które mogą tu wchodzić w rachubę. A z tego, co mi powiedziałaś, wynika, że to całkiem niezła kandydatura.

TLR

Rozdział dwudziesty drugi

Do czwartej rano większość tego bałaganu była już posegregowana, spisana i wyniesiona. Podłogę zamieciono i wysprzątno odkurzaczem, oczywiście zachowując worki z kurzem jako dowody rzeczowe. Oczyszczono lady i stoły, a lodówkę poddano przeglądowi w wydziale żywności. Odświeżono miejsca przeznaczone do spania, rozpylono wszędzie dezodorant o zapachu bzu. Pokrycie na łóżko było stracone, ale miała zapasowy koc, a prześcieradła były czyste, świeże i wolne od gruzu. Po tych wszystkich zabiegach to miejsce stało się znośnie, dało się tu od biedy mieszkać, ale lokum nie było już takie jak przedtem. Zgodnie z zasadami dobrego wychowania, Oliver pierwszy opuścił jej mieszkanie.

Ojciec upierał się, żeby się stąd wyniosła, błagał, by wróciła do nich. Zbyła to zaproszenie bladym uśmiechem, niech sam wraca na łono rodziny. Ona dochodzi już do siebie. I nawet jeśli nie czuje się teraz najlepiej, musi się sama nauczyć, jak z tyżyć. Dosłownie wypchnęła go za drzwi. Gdy tylko sobie poszedł, zamknęła zasuwę i oparła się o drzwi; nareszcie mogła odetchnąć. Mieszkanie było teraz czyste jak w sloganach reklamowych hotelu. Wszystkie jej osobiste rzeczy zostały spakowane i wyniesione przez ojca i Olivera. Mogliby ją w końcu zostawić w spokoju, ale kto wie, jak długo to potrwa. Suchymi oczami i z pewnym dystansem dokonała przeglądu mieszkania.

Roztrzęsiona i poddana działaniu hormonów stresu drżała teraz bardziej z powodu naturalnej reakcji swego organizmu niż ze strachu; zbyt była roztrzęsiona, żeby zasnąć. Żeby spędzić pozostałą część nocy na jawie i w zdrowiu, potrzebowała jakiegoś strategicznego planu gry. Miała przed sobą dwa wyjścia: pograżyć się w wyrzekaniu na swój los i w końcu sięgnąć po prochy albo trzymać się od tego z dala i spróbować ocenić swą sytuację na chłodno, tak jakby była policjantką, która dostała takie zadanie.

A to by znaczyło, że musi znaleźć papier i ołówek, by opisać ten stan rzeczy. Zastanawiała się, czy może jeszcze gdzieś mieć papier i ołówek.

Trzymała te przybory w jednej z kuchennych szuflad, a większą część ich zawartości straciła podczas tego najścia. Czy coś z tego jej zostało? Czuła się beznadziejnie i kiepsko, tropiona w niejasnych zamiarach przez nieznanego łowcę. Czy to było ostrzeżenie? Gdyby naprawdę chciał jej wyrzucić krzywdę, czemu miałby nachodzić jej dom?

„Zapisać to!”

Musi więc wrócić do punktu wyjścia: zdobyć papier i ołówek. Niespokojna i bezsenna, powłokła się do kuchni i otworzyła szufladę. Ale była w niej teraz tylko jej zastawa kuchenna. Wysypała zawartość tacki na sztucce, nie było tam nic poza otwieraczem do konserw i miarką do kawy. Drewno było jeszcze wilgotne, po tym jak Oliver splukał je wodą. Gdzieś tu muszą być przecież ołówki i papier do pisania. Za łatwo im poszło to sprzątnięcie! Włożyła z powrotem otwieracz do puszek i miarkę do kawy do tacki na sztucce, to było już wszystko, co znajdowało się w jej szufladzie na srebra stołowe. Nie miała żadnych zapasów.

No i jak tu sobie poradzić bez koniecznych przyborów?

Pięć minut jazdy samochodem od domu był całodobowy sklep. Nadała się okazja, by sprawdzić, kto kupuje o piątej nad ranem. Włożyła płaszcz i zabrała torebkę, sprawdzając na wszelki wypadek, czy ma w niej broń. Wreszcie wzięła kluczyki. Zerknęła przez okno, ledwo rozróżniając jakieś dziwne, pozbawione życia formy i kształty z węgla i stali. Z wielką ostrożnością otworzyła drzwi i zamknęła je za sobą, udając się do swego wozu.

Chociaż jej saturn przeszedł ciężkie próby, ruszył dzielnie po paru wstępnych prychnięciach, przypominając jej o daremnych próbach ukrycia swej choroby. Jeszcze raz sprawdziła, czy rewolwer jest w torebce: Wrzuciła biegi i skierowała się prosto do sklepu ze wzrokiem utkwionym w przednią szybę i lusterko wsteczne. Wjechała na pusty niemal parking. W środku było wymarłe miasto: puste, długie, jasno oświetlone alejki odbijały się w wyłożonej linoleum podłodze. Buczały jarzeniówki. Przechodząc wzdłuż półek ze środkami przeciwbólowymi, natknęła się na zdesperowaną matkę, kupującą wielki zapas tylenolu dla niemowląt. Chwilę później dostrzegła jakiegoś ćpuna z tłustymi włosami i pokłutymi

ramionami, niezdarnie taszczącego pudło chusteczek i paczkę słodyczy. Skierowała się do stoiska z przyborami piśmiennymi, gdzie wybrała ryżę papieru w linie, po jednym opakowaniu ołówków i pisaków, pudełko spinaczy, dwa zasobniki karteluszków do notatek, dwie temperówki, żółty marker i trójdzielny segregator. Wszystko to wrzuciła do torby na zakupy.

Za jednym zamachem kupiła jeszcze mleko, jajka, margarynę, sok pomarańczowy, dwa opakowania neapolitańskich lodów, pudełko płatków kukurydzianych, torbę sucharów i flaszkę syropu do naleśników, którego pewnie nigdy nie będzie miała okazji skosztować. To jej straszdyło wylało stary syrop i psychologicznie do tego podchodząc, czuła potrzebę uzupełnienia straconych zapasów. Jak już kupiła ten syrop, będzie sobie mogła robić naleśniki z proszku. No a skoro poszła w te naleśniki, kupiła do nich jeszcze puszkę jagód, bo, do diabła, czy może być coś bardziej radośniego jak naleśniki z jagodami, sok pomarańczowy i świeżo zaparzona kawa? Od razu jej się przypomniało, że nie ma kawy, ostatnie resztki zużyła cztery dni temu.

Spojrzała na zegarek. Za dwadzieścia minut otwierają Starbucka. Tam też może dostać wiele z tego, co jej potrzeba. Spędziła te dwadzieścia minut, kupując kartkę urodzinową dla matki (to już za miesiąc), przebiegając w nie kończących się stertach kosmetyków leżących na stole z napisem TOWAR KUPIONY NIE PODLEGA REKLAMACJI i przeglądając zawartość sklepowych regałów.

Wyszła stamtąd piętnaście po piątej, udając się prosto na parking. Noc roztaczała wciąż swoje uroki, ale nadchodził świt, horyzont kapał się już w fioletach i różach, Spokój i świeżość poranka. Jeszcze będzie dobrze, nabrała otuchy.

Teraz tylko kawa i świeżo wypieczone rogaliki i była już w drodze do domu. Zauważyła, że im bliżej miała do swego mieszkania, tym silniej biło jej serce. Wlokąc się po schodach, poczuła wzmożone wydzielanie się adrenaliny; serce jej waliło, tętno stukowało jak oszalałe, ręce pociły się i drżały. Cały jej organizm postawiony był w stan pogotowia, nie mogła przestać się trząść.

Choć wzięła ze sobą broń, wiedziała, że to tylko na pokaz. Dygotała tak, że nie mogłaby trafić wieloryba z dziesięciu stóp. Jakoś udało się jej wsadzić klucz do zamka. Jakoś udało się jej otworzyć drzwi. Trzymając w ręku broń, prawą nogą wsunęła torby do środka i równocześnie weszła do saloniku. Jeszcze jedno popchnięcie i całe zakupy były już wewnątrz. Zamknęła zasuwę, odłożyła broń i opadła na podłogę, obejmując głowę rękoma i mrużąc oczy, żeby powstrzymać łzy.

„Odetchnij głęboko!”

„Już lepiej. Postaraj się zrobić coś banalnego. Coś tak cholernie przyjemnego, co mogłaby zrobić nawet odmóżdżona mała!”

Schowała broń z powrotem do torebki, wstała, podniosła torby z zakupami i zaczęła je rozpakowywać. Napęliła lodówkę i od razu nabrała otuchy. Pomyślała nawet o świeżych rogalikach i o naleśnikach. Właśnie szukała odpowiedniego naczynia, gdy usłyszała ciche pukanie. Serce jej zamarło. Rozsądnie myśląc, nie mógł to być wróg, ponieważ włamywacze nie stosowali ostrzeżeń. Na wszelki wypadek wzięła jednak rewolwer. Zerknęła przez judasza; to był Scott taszczący torbę z zakupami. Wpuściła go do środka, ale spojrzała przedtem na zegarek.

—Spacer o świcie przed domem to specjalność rannych ptaszków. Cały cholesterol i ptomainy spalają się błyskawicznie.

—Wyglądało tak apetycznie, że postanowiłem to przytargać. — Zanurzył rękę do wnętrza papierowej torby. Mam tu świeże bułeczki, masło, dżem truskawkowy, sok grejpfrutowy i kawę ziarnistą z młynkiem. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu. — Apropozycja na maksa. — Spojrzał na nią i zobaczył rewolwer w jej rozdygotanej dłoni. — Możesz to odłożyć. Obiecuję, że będę się zachowywał jak należy.

Uśmiechnęła się przez łzy.

— Dzięki.

Położył swoją torbę na ladzie, a potem zauważył jej puste torby.

— Wygląda, jakbyśmy wpadli na ten sam pomysł. Gdzie to dostałaś?

— W „Codziennych sprawunkach”. Kupiłam naleśniki w proszku. Właśnie miałam zrobić naleśniki z jagodami. — Wyjęła puszkę i pokazała mu. — To są jagody.

—Widzę.

—Nigdy nie robiłam naleśników. Myślisz, że to takie trudne?

—Nie, jak są w proszku to łatwo. Robiłem to stale, kiedy chłopcy byli mali. Miałem przed sobą jakiś cel.

—Ach, jaki troskliwy ojciec. Mój tatko nigdy nie robił mi naleśników, a co dopiero naleśniki z jagodami.

—Widzę, że jestem w twoich oczach wzorem rodzica. — Uśmiechnął się. — Nie wiem, dlaczego wyglądasz jak śnięta ryba. To może bym ci jeszcze przygotował kąpiel?

—Kupuje mi jedzenie, robi naleśniki. Wie, jak uszczęśliwić kobietę.

Podszedł do niej powoli i objął ją. Wyjął jej z dłoni rewolwer i położył go na stole w kuchni.

—Wiesz, mam świetny pomysł. Kładź się do łóżka, a ja tu zaraz zrobię te naleśniki, niech tylko rozbiję parę jaj. Postawię to na stole i zawołam cię, jak wszystko będzie gotowe. Kelner z pełną obsługą i kucharz w jednej osobie, który nie bierze napiwków.

—Oferta nie do odrzucenia.

—No pewnie, że nie. Idź do łóżka, Cin. Szef potrzebuje pola manewru. Nie ruszyła się z miejsca.

— Mieszkasz czterdzieści pięć minut stąd. Oczywiście, nie byłeś jeszcze w domu.

—Oczywiście nie byłem.

—To gdzie byłeś?

Oliver zachichotał.

—Napiłem się mocnej kawy, a potem wybrałem się do sklepu na zakupy. Idź lepiej do łóżka.

—Jeśli to nie jest zbyt...

—Tak czy inaczej, muszę coś wypić. Zaszedłem do Marge, żeby się czegoś dowiedzieć o tym camry, który tak przypikował.

—Ach, tak. Całkiem o tym zapomniałam.

—Idź do łóżka.

Idź do łóżka... tego łóżka, na którym już nie ma żadnego gówna. Chciała zapytać Olivera, co zrobił z tymi śmieciami, ale pomyślała, że to mo-

głoby osłabić jego zapal do gotowania. Zasada numer jeden: jeśli facet chce dla ciebie gotować, pozwól mu.

—Zaprowadzę cię — ofiarował się Scott.

—Nie martw się; znajdę drogę bez ciebie.

—Myślisz?

Skinęła głową i ucałowała go w policzek.

—Dziękuję, Oliver. To dla mnie dużo znaczy.

Obrócił się, dotykając jej ust.

—Proszę bardzo. Połóż się.

Zastygła w bezruchu, świadoma, że mogłaby zyskać więcej. Gdyby tylko kiwnęła palcem, miałyby znacznie więcej. Zmęczona, ale wciąż podniecona. Wyczerpana, ale pobudzona zapachem jego wody kolońskiej i naturalną wonią ciała po całonocnym czuwaniu. Jej ciało było żalosną mieszaniną źle zgranych hormonów.

—Idę do łóżka — powiedziała.

—Wiem. — Zaczął otwierać jej szufladę zapełnioną teraz przyborami biurowymi. Dotarł do przegródek na sztućce i wydobył stamtąd otwieracz do puszek. — Włożyłaś moje gacie.

Spojrzała na niego.

—Nigdy bym nie włożyła męskich gaci.

Wybuchnął śmiechem.

—Zabieraj się stąd!

Wyglądało na to, że mówi poważnie. Powoli udała się do sypialni, poprawiła materac i wślizgnęła się pod kołdrę. Zaraz potem zapach domowego jadła zaatakował jej system węchowy. Musiała zamknąć oczy tylko na chwilę... tylko na chwilę. Ale łóżko było tak wygodne, a zapach tak cudowny, że nie mogła ich otworzyć. Poza tym nie była sama. Tam był przecież Oliver...

Przebudziła się gorąca i mokra od potu, serce waliło jej nieregularnie. Bała się poruszyć, ale w końcu odważyła się otworzyć oczy. Przez moment zakręciło się jej w głowie, potem się uspokoiło i pokój przestał wirować. Udało jej się zatrzymać wzrok na zegarze na nocnym stoliku. By-

ło tuż po drugiej. Oczywiście po południu, bo słońce stało wysoko, a nie było to podbiegunowe lato. Cudowne kuchenne wonie gdzieś się ulotniły, pozostawiając nieświeży zapach zakrzepłego tłuszczu. Nie bez pewnych trudności zerwała się na nogi, po paru krokach udało się jej odzyskać równowagę i włożyć swój różowy płaszcz kąpielowy. Podreptała powoli do saloniku.

Scott już wyszedł, starannie opakowane naleśniki leżały w lodówce. Pozmywał talerze. Stół w kuchni był świeżo wymyty, stał na nim teraz młynek do kawy. Sięgnęła jeszcze raz do lodówki po torebkę kawy i wsypała ją do młynka.

Po chwili rozszedł się aromat świeżo zmielonej kawy. Nawet nie musiałyby jej zaparzać. Już sam zapach wprawiał ją w dobry nastrój. Włączyła czajnik i poszła pod prysznic. Wróciła i sprawdziła drzwi. Oczywiście, były zamknięte, ale ponieważ Oliver nie miał kluczy, zasuwa nie była założona. Poradziła z tym sobie dwoma ruchami ręki.

Po wyjściu spod prysznica włożyła luźny domowy strój, wilgotne włosy kręciły się jej na karku. Odgrzała naleśniki w mikrofalówce, naląła sobie szklankę soku pomarańczowego i wypła do kawy. Była w siódmym niebie, dokładając sobie masła, cukru i wszystkich tych niedozwolonych rzeczy. Rozkoszowała się każdym kęsem. Akurat była w połowie, gdy zadzwonił telefon, przyprawiając ją o nagłe bicie serca. Zaczepnęła tchu i wzięła słuchawkę.

—Halo.

—Zjemy razem obiad?

Mama.

—Ach... no pewnie. Wspaniale.

Chwila milczenia. A potem głos mamy w słuchawce:

—Zdażyłaś już o tym zapomnieć.

—No nie, skąd.

—Tak, zapomniałaś. Ale nie mam o to pretensji.

Oczywiście, miała pretensję. Zapytała:

—O której, mam?

—Może o piątej?

Więc zostałyby jej tylko trzy godziny.

—Mamo, to trochę za wcześnie. Właśnie zjadłam późne śniadanie...

—Dobrze. Mówiłam ci, a ty zapomniałaś. Dlaczego tak późno jadłaś to śniadanie?

Sherlock złapał ją na kłamstwie. Zapytała:

— Nigdy przecież nie jadasz tak wcześnie. Co się stało?

—Wiesz, pomyślałam sobie, może byśmy sobie tak pogadały przed obiadem. — Jeszcze jedna pauza mająca wzbudzić w niej poczucie winy.

— Tak ciężko jest się z tobą spotkać.

—To może o wpół do siódmej? — przerwała jej Cindy.

—Myślę, że...

—Świetnie — zaćwierkała Cindy. — To się zobaczymy.

Odwiesiła słuchawkę i przeniosła telefon do kuchni, wcale nie po jej myśli było to spotkanie. Ostatnio więcej łączyło ją z ojcem niż z matką. Wyglądało na to, że ilekroć mama dowiadywała się o obiedzie z tatą, zapraszała ją natychmiast do siebie. Kochała matkę, ale zawsze ją dziwiła ta rywalizacja o miłość córki blisko dwadzieścia lat po rozwodzie, gdy obu stronom życie już od dawna ułożyło się szczęśliwie w nowych stadłach. Widocznie to wszystko było bardzo skomplikowane. Nie dziwnego, że tylu samotników i dziwaków serfuje po internetowych czatowniach. Elektroniczni chłopcy byli doskonali pod każdym względem. Nigdy im się nie zdarzyło pierdnąć ani beknąć, nigdy też nie sprowadzali rozmowy do świńskiego poziomu (może dlatego, że palce by im się omsknęły na klawiaturze) i słuchali cierpliwie wszystkiego, co miałaś im do powiedzenia, czytali wszystkie twoje listy. Gdyby tak jeszcze dopracować dotykanek — te wszystkie uściski, pocałunki, przytulanki, miłosne razy i delikatne głośnięcia, cały ten seks...

Jak na razie, naleśniki zaspokoily jej głód, pozostawiając błonkę tłuszczu na zębach. Odłożyła do lodówki nie dojedzoną tackę i przepłukała sobie usta sokiem pomarańczowym, ale pomógł jej dopiero drugi kubek kawy. Najwyższa pora zająć się ważniejszymi sprawami.

Wyjęła papier i ołówek.

Czy nie powinna zacząć od Craytona? A czy ten bałagan w mieszkaniu miał coś wspólnego z Armandem Craytonem? Mimo iż Scott, Marge i jej ojciec tak uparcie usiłowali się w tym czegoś dogrzebać, cóż taki sprawca miałby przez to zyskać?

A jeśli wiedział o jej poprzedniej znajomości z Craytonem i myślał sobie, że mogłaby się czegoś dowiedzieć o tym zabójstwie?

No dobrze, ale dlaczego miałoby mu przynieść ulgę splugawienie jej mieszkania? Czemu nie miałoby pójść dalej i pożreć... zabić jej samej? Czy nie było to jakieś ostrzeżenie?

Ostrzeżenie? Przed czym?

PAMIĘTAJ.

A jeśli to nie był Crayton, któż inny mógł tu jeszcze wchodzić w rachubę? Tato sugerował trzy możliwości: Lopez, Marx i Trapper. Trzeba by więc po kolei rozpatrzyć, jakimi motywami mogliby się kierować.

Powiedzmy, że zrobił to Lopez, z zemsty za to, że nie chciała, by odwiózł ją do domu. Dziwne zachowanie jak na dżentelmena, jeśli to faktycznie on był sprawcą. Mogłaby mu się przyjrzeć jakieś parę dni, pogadać z nim... może nawet wspomnieć o tym incydencie i zobaczyć, jak na to zareaguje. Musiałaby to jednak zrobić na tyle delikatnie, by nie wzbudzić jego podejrzeń.

Postawiła fajeczkę przy nazwisku Andy Lopez.

Tropper. Wszyscy byli świadkami jej zwycięstwa nad Estellą i tego, jak zabrała jej fuzję, zapobiegając rodzinnej tragedii. Mimo wszelkich wysiłków Troppera zbagatelizowania jej czynu, Cindy wyrastałaby tu na bohaterkę. Tropper był wściekły nie tylko dlatego, że odniosła zwycięstwo, lecz także dlatego, że działo się to na forum publicznym. Usiłował ją sprowadzić do należącego jej miejsca, a tymczasem to ona obniżała jego pozycję. Czuł się wyraźnie niezręcznie. Czy mógł mieć o to do niej pretensje?

Jeśli to on, musiał do tego powoli dojrzywać, skoro pozwalał, by Cindy drukowała mu raporty, zaparzała kawę, pomagała mu zrobić porządek w papierach. Clark Tropper był teraz nastawiony do niej bardziej przyjaźnie niż dziesięć dni temu. A chwilami wręcz się napraszał, by go przedstawi-

ła swemu ojcu. Może nawet chamsko się napraszał. Czy mógłby ją tak zwodzić, utrzymując w przekonaniu, że wszystko jest w porządku, po to, by poustawić jej zwierzątka w pozycjach Kamasutry?

Znów zadzwonił telefon. Zerwała się od stołu i włączyła na głośny odbiór.

—Tak?

—Czy nie mogłybyśmy się spotkać?

To była Hayley Marx.

— Czy nie stanęło na tym, że to ja miałam do ciebie zadzwonić? — zapytała Cindy.

—Taa, masz rację. Trochę przyspałam.

—No tak, musiałaś się nieźle nabiegać ostatniego wieczoru

— uznała Cindy. Miała nadzieję, że w jej głosie zabrzmiałby stosowny ton obojętności i znudzenia.

— Nic nie szkodzi. — Też powiedziała to bez entuzjazmu.

— Był zajęty.

Cindy zagryzła wargi.

— Czym?

— Mówił o wszystkich porwaniach samochodów, jakie zdarzyły się na tym terenie. Chyba prowadzi jakieś śledztwo. Wydaje mi się, że mogłabyś o tym wiedzieć więcej niż ja, ponieważ twój ojciec jest w Devonshire.

—Myślisz, że tatko rozmawia ze mną o pracy?

—A jakżeby nie! Chyba jesteście sobie bliscy.

—Jesteśmy, ale tatko zachowuje swą pracę dla siebie.

—Takie już są te gliny, niezbyt gadatliwe. Tak czy inaczej, lunch przepadł. To może kolacja?

—Szkoda, że nie powiedziałaś tego dziesięć minut temu. Mama dzwoniła. Umówiliśmy się u niej o wpół do siódmej.

—Kolacja ze mnie, a potem z mamą? Cindy, kiedy ty żyjesz? — „Śmieje się ze mnie”. Cindy nic nie odpowiedziała. — Myślę, że mogłybyśmy się potem wypuścić do Belliniego. — Głos Hayley zabrzmiał dość swobodnie. — Gdybyśmy się spotkały, no powiedzmy, o dziesiątej?

„Ile czasu powinnam poświęcić mamie, żeby zachować pozory?”

—Lepiej o wpół do dziesiątej. Jeśli wyjdę zbyt wcześnie, mama będzie mi to wypominać przez cały miesiąc.

—Chyba się zbyt cackasz ze swymi rodzicami.

—A mnie się zdaje, że nie zaszkodziłoby ci poduczyć się trochę psychologii.

Hayley zaśmiała się głośno.

—Dobra. U Belliniego o wpół do dziesiątej. Może nie jestem tam kimś wielkim, ale przynajmniej znają moje nazwisko.

Odłożyła słuchawkę. Cindy chwyciła ołówek i parę razy zbliżała go do kartki. Pod nagłówkiem „Podejrzani” napisała nazwisko Hayley Marx na samej górze.

Rozdział dwudziesty trzeci

Decker obudził się z silnym bólem głowy. Nie miał zwyczaju drzemać w dzień, a ten sen był szczególnie okrutny, przesycony zniekształconymi obrazami, które rozpaczliwie próbował wymazać z pamięci. Prześcieradło było mokre od potu, twarz miał obrzękłą i skóra go swędziała. Mimo tego bólu głowy musiał przyznać, że w mieszkaniu było cicho. Dochodziła piąta. Rodzina chyba poszła do synagogi, chłopcy posługiwali przy obrzędku, a Rina pewnie zabrała Hannah na popołudniowy program dla młodzieży. Decker z trudem wygramolił się z łóżka, gdy stapał po podłodze, nogi mu się jeszcze trochę plątały. Powlókł się do łazienki, otarł twarz i szyję mokrym ręcznikiem, umył zęby, a potem zażył trochę advilu; wiedział, że tabletki nie zlikwidują bólu, ale przynajmniej uśmierzą jego najsilniejsze ataki.

Włożył płaszcz kąpielowy i wyszedł. Rina leżała rozciągnięta na kozetce, jej głowa i nogi opierały się na poduszkach obciągniętych koronkami i satyną. Spojrzała na niego znad książki, zamknęła ją.

—Jak się czujesz?

—Naprawdę chcesz wiedzieć?

Spuściła stopy na podłogę.

—No, chodź tu, siadaj.

—Nie chcesz, żebym się do ciebie zbliżył.

— To prawda. Przywykłam do towarzystwa cuchnących piżmem, dzikich zwierząt. — Zrobiła mu siedzenie z poduszek. — Siadaj.

Usiadł, choć z pewnymi oporami.

—Gdzie się podziewa nasze potomstwo?

—Chłopcy wzięli Hannah do synagogi.

—Sami czy na twoją prośbę?

—Sami.

Decker uniósł brwi.

—Dziwnie altruistyczna postawa z ich strony. To pięknie. Nie dzwoniła, co?

—Nie.

—Na pewno?

—Chyba bym słyszała, na sekretarce też nie ma żadnej wiadomości. —
Wzruszyła ramionami. — Przecież znasz ją, wiedziałeś, że tego nie zrobi.

—No tak. To byłoby grzecznie z jej strony, ale wiem, że żądam zbyt wiele.

—Tu chodzi o coś więcej niż tylko zwykłą grzeczność, Peter.

—Masz rację. Cokolwiek bym zrobił, będzie odczytywane jako wtrącanie się. Wiesz, jest wściekła o to, że byłem tam z Oliverem, jej prawo, w końcu to dobry policjant. Gdyby chciała przyjąć jego pomoc, nie byłoby tak źle. Poczekajmy, aż się to wszystko rozwiąże. A kiedy już będzie po wszystkim, proszę bardzo, wysram się na niego...

—Peter!

—Przecież sobie żartuję.

—No, niezupełnie.

Potał czoło.

— Wierzysz w tę jego historię? Że akurat tam się znalazł, gdy ona sobie popijała?

—A wiesz, ja w to wierzę.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

—Chyba nie mówisz poważnie.

—Peter, przecież wiesz, że on się obraca w Hollywood, myślę o tym śledztwie w sprawie porwań wozów. To chyba całkiem możliwe, że mógł się przypadkiem natknąć na Cindy.

—Nie wierzę w przypadki. Musiał to sobie zaplanować, że ją tam spotka, a ta historyjka z jej upiciem się, to tylko pretekst. Zrobili mi to na złość.

— Z całym szacunkiem, nie widzę Scotta jako pozeracza serc. Nigdy się nie rozglądał za Cindy, ale skoro akurat znalazła się pod ręką i była w potrzebie... W końcu mógł sobie pomyśleć: „Dobra, czemu by nie?” Cindy, z drugiej strony, bardzo zależy na tym, by pokazać, że nie jest gorsza od ciebie. Dołączając do Olivera, staje się de facto jednym z twoich detektywów.

— Och, przestań!

— Co sprawia, że nie jesteś już jej ojcem, lecz niemal równym jej kolegą. To dlatego tak uparcie odmawia przyjęcia od ciebie pomocy. Nie chce, by runęła ta iluzja dwóch równych sobie partnerów. — Pomagała sobie teraz ręką. — Wiemy, że czuje się przestraszona. Zastanawiam się, czy jest jakiś sposób, by jej pomóc bez wdzierania się w jej intymne życie.

— Owszem, jest taki sposób. Niech tylko znajdzie tego popaprańca, to go skoszę. Byłoby lepiej z jej pomocą, ale dam sobie radę. Jeśli ona ma przede mną tajemnice, to ja też będę miał swoje.

— Bardzo pięknie to wszystko przedstawiasz, tylko że nie masz kompletnie pojęcia, jak go namierzyć.

— Ona sama nasunęła mi pewien trop. Tak że nie muszę zaczynać od zera.

— A cóż to za trop?

— Dwoje partnerów. Wciąż nie wykluczam, że może to mieć coś wspólnego ze sprawą Craytona.

— To już ponad rok temu.

— Ale wciąż się wlecze. Wszyscy mamy poczucie, że przynajmniej niektóre z tych ostatnich porwań wozów wiążą się z tą sprawą.

— A te inne porwania?

Było widać, że coś mu dolega.

— Wciąż dopracowujemy szczegóły. Dlaczego ona mi to robi? Przecież wie, jak bardzo się martwię. — Zerwał się nagle i zdjął komórkę z ładowarki. — Doprowadza mnie to do szaleństwa! Czy muszę jej udowodniać, że to ja jestem dorosły w tym związku?

— Może to właśnie twój kłopot. Wydaje ci się, że to tylko ty jesteś dorosły.

Spojrzał na swoją żonę.

— Odkąd to z ciebie taki psycholog? — Skrzywił się. — Masz za sobą tylko te kursy w college'u. Mam nadzieję, że ci to przejdzie. Kiedy żona zaczyna się zbytnio interesować psychologią, uważaj lepiej na swoje małżeństwo.

Rina wybuchnęła śmiechem.

— Nie martw się tak. Jakoś ze mną wytrzymasz.

— No, mam nadzieję. — Uzyskał połączenie z sekretarką Cindy. Starannie odczekał na pauzę. — Cześć, złotko, dzwonię, żeby się dowiedzieć, co teraz porabiasz. Zadzwoń i powiedz, czy wszystko w porządku. Kocham cię. — Wcisnął guzik kończący nagranie. — Gotowe.

— To doszło ci nowe zmartwienie, że nie ma jej w domu.

— Co prawda, to prawda. — Decker spróbował teraz połączyć się z jej komórką. Usłyszał jedynie doprowadzającą do szału nagraną zapowiedź: „Numer, z którym próbujesz się połączyć, jest niedostępny”. Odczekał chwilę. Albo nie zdążyła podejść do aparatu, albo z rozmysłem go olewa. Po dziesięciu minutach daremnych prób poddał się i opadł na kanapę. Złapał się za głowę.

— Straciłem ją. Pomóż mi. Co mam zrobić?

Rina wzięła go za rękę. Bolało go to. Ją też zabolalo. Trzeba jednak zachować rozsądną postawę, jej własne myśli i uczucia schodzą tu na dalszy plan, to jego córka.

— Chcesz tam iść, prawda?

— Już sam nie wiem!

— Myślę, że kiedy dzieci się rodzą, powinno się im wszczepiać podskórne lokalizatory. Położna robiłaby to od razu podczas rutynowego zabiegu przemywania oczu azotanem srebra.

— Dobrze by było!

— Dlaczego zamiast wlec się tam, nie wezwiesz Olivera?

— podsunęła Rina. — Może z nią jest.

— Nie pomyślałem o tym. — Zmarszczył nos. — To niezła myśl. — Wcisnął w pagerze wiadomość dla Olivera i czekał niespokojnie, aż urządzenie to prześle. Drżącymi rękami trzymał słuchawkę. — No.

—Co tam?—spytał Oliver. — Z Cindy wszystko w porządku? Deckerowi zamarło serce. Jeśli Oliver o to pyta, to znaczy, że go z nią nie ma.

— Mam taką nadzieję. Myślałem, że może jest z tobą.

Oliver zawahał się. A to ci dopiero odmiana! Pewnie tak się już denerwował, że zaakceptowałaby każdą formę opieki. Oliver pomyślał sobie, że w wyobrażeniach Deckera musiał zajmować miejsce pośrednie między miejscowym małpiszonem a pitbulem.

—Nie ma jej tu — odparł. — Już od trzech godzin ślęczę z Marge na miejscu wypadku camry. Czy są jakieś kłopoty?

—Nie. Po prostu nie ma jej w domu. Może bym tam wpadł, żeby się upewnić.

—Będziemy tu z Marge jeszcze jakieś piętnaście, dwadzieścia minut. Wiem, że to wasz szabat. Jeśli chcesz, wstąpimy tam, wracając. Więc nie zwracaj sobie tym głowy... jeśli tylko to ci odpowiada.

„Spróbuję go dyplomatycznie wybadać”, pomyślał Decker.

— Nie widziałeś jej rano, Scott?

Oliver zaczerpnął głęboko powietrza. Czy Decker ma zamiar przypierać go do muru? Ale zanim zdążył coś odpowiedzieć,

Decker ciągnął dalej:

— Zastanawiałem się, czy powiedziała ci coś nowego. Coś, co może byłoby jej niezbyt zręcznie mi powiedzieć.

No dobra. Więc to tak. Widocznie Deckerowi naprawdę popędziło kota, gotów jest przyjąć pomoc od każdego, bo Cindy to jego córeczka. Głina i niesforny dzieciak.

—Konkretnie, wpadłem tam koło szóstej. Zrobiłem jej śniadanie, ale zasnęła, zanim było gotowe. Nie, nic nowego mi nie powiedziała.

—Szkoda. — Decker przełożył słuchawkę do drugiej ręki. — Znaleźliście coś na miejscu wypadku?

—Coś niesamowitego, technicy zdjęli parę śladów z kierownicy.

—Kiedy to było?

—Nie więcej niż pół godziny temu. Przy tej nowej państwowej sieci odcisków linii papilarnych, dowiedzielibyśmy się czegoś w ciągu godzi-

ny, gdyby to był zwykły dzień tygodnia. A tak to musimy czekać do poniedziałku.

—Jeszcze coś?

—Nic takiego, czego byś się nie spodziewał. Owszem, wszystko wskazuje na to, że wóz został zepchnięty i oblany substancją łatwopalną. Par-tacka robota, bo zbyt wiele rzeczy pozostawiono przypadkowi. Komuś za bardzo zależało, by spowodować wybuch. Zawodowiec zrobiłby to za pomocą urządzenia zdalnego sterowania. Gdybyśmy dzięki tym odciskom palców namierzyli kierowcę, mogłoby to rzucić więcej światła na te porwania wozów. Jeśli tylko go znajdziemy. Jestem pewien, że Cindy lepiej mu się przyjrzała, niż jej się zdaje.

—Być może. Spytam ją o to, gdy tylko się znajdzie. Próbowałem ją złapać pagerem, telefonem komórkowym i przez linię przewodową. Zobaczę, czy nie ma jej w pracy, ale po pierwsze, nie ma dziś dyżuru, a po drugie, gdyby się wydało, że jej szukałem, to by się dopiero wściekła. A ty nie dźwigasz tego brzemienia co ja. Więc może byś mógł zadzwonić do Hollywood.

—Pewnie, jeśli tylko chcesz.

Kłopot w tym, że Decker nie bardzo wiedział, czego chce.

Zapytał:

—Czy złapałeś tę Elizabeth Tarkum?

—Wyjechała na weekend. — Oliver prychnął nosem. — Ale przyszło mi coś do głowy. Ludzie nie pracują teraz w weekendy. Spróbuję złapać Tarkum w poniedziałek z rana.

—Czy Marge opowiadała ci o swej rozmowie z Dexterem Bartholomew?

—To, że przestał się uganiać za żoną Craytona. I że nie ma nic wspólnego z jej porwaniem, ani też, z oczywistych względów, ze śmiercią Craytona. Zawężiliśmy pole wyboru do kręgu paru możliwości. Po pierwsze, do tego, co zaszło między Dexterem Bartholomew a Lark Crayton. Dalej, do tego, co było między Craytonem a Elizabeth Tarkum, a miałyby pewien sens, jako że obydwójce byli ofiarami.

—Dex strzela do Craytona z zemsty, a potem aranżuje porwanie jej wozu, żeby dać jej nauczkę. Jakiś głupi plan. Porwanie wozu to dość dziwna forma przestępstwa popełnionego z zemsty. A dwa podobne porwania wozów dwóch towarzysko zaprzyjaźnionych osób od razu rzucałyby podejrzenia na ich partnerów małżeńskich. Co pewnie się stało.

—Tyle że w ciągu ostatniego roku nie łączyliśmy tych spraw, jako że przestępstwa zdarzyły się zupełnie gdzie indziej. I nadal może ich nie łączymy. Głównie dlatego, że jesteśmy ostatnio zawałeni takimi porwaniami wozów, które kazały nam szukać sprawcy w innych miejscach. I taki bezczelny facet jak Dex pewnie myśli, że ujdzie mu to na sucho.

—A teraz znów zaczynamy w tym grzebać?

—Ci, którzy mogliby coś wiedzieć o tym porwaniu Craytona, mają poczucie, że ktoś ich śledzi. Nie wyłączając Cindy. Jestem pewien, że ona nic o tym nie wie. Ale jeśli Dex sądzi, że jest inaczej, to mógłby... no wiesz, co mam na myśli.

Decker oczywiście wiedział. Ale gdy usłyszał to podane w takiej formie, jego system nerwowy natychmiast się włączył.

— A co z tą Stacy Mills? Sam mówiłeś, że masz poczucie, iż ona coś ukrywa. Czemu nie pójdziecie z Marge tym tropem? Spróbuj coś z niej wycisnąć. Może była przyjaciółką Lark lub Armanda i może któreś z nich się jej zwierzyło?

— Z tym nie ma kłopotu, ale co z Cindy?

Decker westchnął.

— Zajrzę do niej, bo za bardzo się już denerwuję, kiedy tak tu siedzę i nic nie robię. Ale to chyba strata czasu. Nie ma jej w domu. Nie wiem, co mógłbym jeszcze zrobić.

—Musisz się uspokoić, to najważniejsze.

— Oliver, z romantycznym podejściem skończyłem już dawno.

Rozdział dwudziesty czwarty

Oliver i Dunn dotarli do tej dzielnicy zaraz po zachodzie słońca, którego blask jeszcze oświetlał szeregi nie rzucających się w oczy, pociągniętych różowym tynkiem domów, z charakterystycznymi hiszpańskimi dachami. Rozrzucano je w golfowej zabudowie, z mnóstwem górki i dołków, pokrytych obficie zraszany trawnikami. Niezbyt dużo kwiatów i krzewów, za to parę stawów zarośniętych lilią wodną, baseny kąpielowe, czworokąt kortów tenisowych i mnóstwo tryskających wodą urządzeń jacuzzi. Wszystko to wyglądało bardzo podobnie i trochę im zeszło, zanim znaleźli siedzibę Stacy Mills; nazywała się The Windsome.

Instruktorka aerobiku mieszkała na pierwszym piętrze. Dwa pokoje z oddzielnymi łazienkami i niszą na kuchnię, istne dzieło sztuki. Otworzyła drzwi z kwaśną miną, nie kryjąc swego niezadowolenia. Silna mimo drobnej postury, z mocnymi, choć niezbyt dużymi rękami. Denerwowała się, patrząc na przemian na dwoje policjantów. Zaciskała wydatne, bakłażanowe wargi, jakby były sklezione.

— Skóro tu już jesteście, wejdźcie przynajmniej do środka.

Wprowadziła ich do saloniku z dwuskrzydłowymi przeszklonymi drzwiami otwierającymi się na patio. Na ścianach wisiało parę obrazów przedstawiających landrynkowo przesłodzone zachody słońca, podłogę pokrywał gęsty, włochaty dywan w kremowym odcieniu. Meble były masywne i solidne, kanapa i krzesła z obiciem w modnym stylu. Marge przypominało to trochę białe obicia u jej babci. Tyle że na kanapie nie było żadnych poduszek, lecz dwa białe, zastygłe w bezruchu, długowłose kocury, wtapiające się w tonację pomieszczenia.

Oliver wziął sobie krzesło, Marge wybrała miejsce przy jednym z nudzących się kotów. Kocisko uniosło łeb i przekreśliło się, ukazując podbrzusze. Marge pogłaskała go po brzuszku, a kot zamruczał z zachwytem. Stacy spojrzała na niego z dezaprobatą jak na niewiernego kochanka.

— Jak długo to może potrwać? — rzuciła. — Mam klientów.

Marge rozsiadła się wygodniej. Miała na sobie luźną białą bluzkę, wpuszczoną w szare spodnie, do tego ciemnogrnatowy, luźny żakiet. Wyjęła notes ze słomkowej torby.

—A co pani robi?

— Prowadzę szkolenia indywidualne. Pracuję z wieloma ważnymi osobami, to ludzie bardzo zajęci.

Bardzo zajęci to z pewnością oznaczało Hollywood.

— Od dawna pani pracuje jako instruktorka indywidualna?

— spytał Oliver.

—A to co? Przeprowadzacie wywiad dotyczący mego zatrudnienia? — Stacy wypuściła powietrze i założyła ręce na piersi. — Dlaczego miałabym odpowiadać na takie pytania? Nie odzyskaliście wozu, prawda?

—Prawda — potwierdziła Marge.

—To po co tu przyjechaliście? Za parę godzin mam umówioną kolację. Czy możecie mnie już zostawić?

—Od dawna pani pracuje jako instruktorka indywidualna? — powtórzył Oliver.

Stacy rzuciła mu stalowe spojrzenie.

—Już mnie pan o to pytał, prawda?

—Owszem, ale nie odpowiedziała mi pani. — Wydobył notes z wewnętrznej kieszeni lekkiej szarej kurtki. Do kompletu miał błękitną koszulę i wzorzysty blezer, ozdobny krawat, czarne matowe spodnie i czarne sznurowane buty. — To proste pytanie, pani Mills.

—Około dziesięciu lat.

—Naprawdę? — uśmiechnął się Oliver. — Zaczynała pani jako nastolatka?

—Ha, ha, ha!... — Pochlebstwo nie wytrąciło Stacy z równowagi. — Ciężko na to pracuję, żeby dobrze wyglądać. Toj moja specjalność.

—Pewnie, pewnie. — Przytaknęła Marge. — Nikt nie będzie przyjmował rad od kogoś, kto nie wygląda na poziomie. Gruby, facet nie będzie ci radził, jak masz schudnąć.

—Czy możemy odłożyć na bok te pogaduszki i przejść do rzeczy? Po co tu przyszliście?

—Chciałabym pani zadać parę pytań, dotyczących Armanda Craytona.

—Wiedziałam! — Stacy postąpiła krok naprzód, wymachiwała teraz rękami jak śmigłem, nastąpiła na skraweczek swego białego dywanu. — Nie znałam go. Ale jeśli będziecie mnie tu dłużej przetrzymywać, gotowam jeszcze potwierdzić, że go znałam.

—Więc nie znała go pani? — dociekała Marge.

—Przecież to właśnie mówię!

—Nigdy go pani nie spotkała? — włączył się Oliver.

Stacy spojrzała na niego.

—Owszem.

—I upiera się pani przy tym, że go pani nie znała?

—Powiedzieliśmy sobie: „Cześć, cześć. No hej, jak się masz? Hej, jak ci leci? Co tam nowego?” Czy to znaczy, że kogoś się zna?

—Wygląda mi na to, że widywaliście się dość regularnie. Czy może mi to pani wyjaśnić dokładniej? — spytała Marge.

— Nie za bardzo.

Oliver nagle się podniósł.

—Rozmawiałem z Lark Crayton. Ona dba o swój dobry wygląd. Jest jedną z pani klientek, prawda?

—Była — poprawiła go Stacy. — Po jego śmierci przestałam z nią pracować. Po pierwsze, nie była w stanie ćwiczyć. Po drugie, pieniądze się skurczyły.

—Lubiła ją pani? — pytał dalej Oliver.

—Płaciła rachunki. Lubiłam więc ją, z mojego punktu widzenia.

—Czy utrzymywała z nią pani jakieś osobiste kontakty?

—Nie. — Stacy przestała dreptać. — Coś jeszcze?

—Ludzie zwierzają się swym trenerom z każdego gówna, prawda? — spytała teraz Marge.

—Owszem, gadają byle co.

—To musi się pani czuć niemal jak psychiatra?

—Nie przeczę. Ale dobra instruktorka, podobnie jak dobry terapeuta, trzyma język za zębami.

—Jednak w przeciwieństwie do terapeuty, nie wiążą panią zasady poufności.

—Gdybym zaczęła o tym gadać, straciłabym swych klientów, pani detektyw.

—Od nas to nie wyjdzie — upewnił ją Oliver.

—Dlaczego miałabym wam wierzyć?

—Bo jest pani spostrzegawcza. Mogę być kiepski jako facet, ale jestem uczciwym gliną. — Spojrzał na Marge, oczekując potwierdzenia.

—Mogę ręczyć za uczciwość policji — poparła go. — Słuchaj, wiemy, że to porwanie wozu mogło cię przestraszyć...

—Pewnie, że mnie to przestraszyło! Byłam przerażona! Jeśli chcecie, żebym wam zaufała, to wykryjcie sprawcę. Ale mi nie gadajcie, że potrzebujecie mojej pomocy. Powinniście to zrobić beze mnie. A na co płacę podatki?

—Pani Mills, pani klienci płacą za to, żeby im pani pomogła utrzymać formę lub ją zdobyć. Ale niezależnie od tego, jakby się pani starała, jeśli nie będą ćwiczyć i przestrzegać diety, nie mogą się spodziewać cudów. I to wszystko, o co pytamy. Chodzi nam tylko o zarysowanie pewnego tła, nic więcej.

—Wiemy, że Lark nie mogła być zadowolona ze swego pożycia z Craytonem. Proszę nam o tym powiedzieć nieco bardziej konkretnie.

Stacy spojrzała na zegarek. Podeszła do lodówki i wyciągnęła stamtąd butelkę wody. Piła łapczywie, jakby ta rozmowa o Craytonie wyczerpała jej siły.

— Co chcecie wiedzieć? Była nieszczęśliwa w małżeństwie. Co tam jeszcze o tym gadają na mieście?

—Czy na coś konkretnie się skarżyła? — sondowała Marge.

—Pracował za ciężko i za długo. Przebywał poza domem, miał kobiety na boku. Nie zarabiał tyle, ile trzeba, choć według, mnie, miała masę pieniędzy. Pracuję jednak dostatecznie długo, by wiedzieć o różnych kłopotach tak zwanego życia na krawędzi, zwłaszcza w tej branży. Nawet ci, którzy mają pewną pozycję, nie mogą być pewni, że ją utrzymają. To zdumiewające, jak szybko przepuszcza się miliony. Jeśli nie na wozy, to

na łauszki. Jeśli nie na stroje, to na kosztowności. Gdyby tak nie uganiali się za szmatkami, kosztownościami czy ekstra wozami, to może by starczyło. A do tego jeszcze rozrzutne przyjęcia, wynajmowane samoloty, stustopowe jachty, trzy letnie rezydencje w Holmby Hills i mieszkanie w Nowym Jorku. Myślicie może, że mieszkają w którymś z tych niezliczonych domów? Mam takiego klienta... z apartamentem wielkości czterech tysięcy stóp na Upper East Side w Nowym Jorku, z widokiem na park, wszystko to według planów jakiejś szycy z „Architectural Digest”. Tak, myślę, że to musiało być z „Architectural Digest”. I pewnie myślicie, że zatrzymuje się tam podczas swego pobytu w Nowym Jorku? No nie, pewnie, że nie. To by nie miało żadnego sensu. Wynajmuje umeblowany apartament u Carlyle'a, bo lubi, jak mu się usługuje. Kiedy się tam zatrzymuje, ma na swoje usługi kucharza i pokojówkę, służącego i fryzjera, i faceta od siłowni. Hotel zapewnia wszelkie wygody. Więc go pytam: „Po co ci to mieszkanie? Jego utrzymanie musi kosztować majątek”. I wiecie, co mi odpowiedział?

—Co? — Marge słuchała z należąną uwagą.

—Mówi, że trzyma to na przyjęcia dla towarzystwa. Przecież nie będzie podejmował gości obiadem w hotelu. A po przyjęciu trzeba to wszystko sprzątnąć, więc wraca do pokoju w hotelu. Macie pojęcie?

—Może mógłby ci je podnając za jakiś marny grosz? — uśmiechnęła się Marge.

—Owszem, proponował mi to, i to nie raz. Byle bym tylko utrzymywała go w odpowiedniej formie, gdy się zjawi w Nowym Jorku. Tak, żeby kutas mu stawał. — Nachyliła się i podniosła kota. Kocisko przelewało się jej w rękę i owinęło się wokół jak szal. — A muszę wam powiedzieć, pracuję uczciwie na swoje pieniądze. Nie jestem niczyją dziwką.

— W takim razie masz wiele wspólnego z nami. Bo naciskają na nas cały czas...

—Kto mówi, że na mnie naciskają? — W głosie Stacy przebijała uraza.

—Może na ciebie nie, ale na nas tak — odparła Marge. — Nie możemy nawet wykonać ruchu, bez nieustannie napływających skarg ze strony Amerykańskiej Unii Praw Obywatelskich, Kierownictwa Akcji Bezpo-

średniej czy jeszcze innych grup obywatelskich. A trudno trzymać się reguł, gdy aresztuje się kogoś nawalonego czy naćpanego, czy ogarniętego jakimś irracjonalnym gniewem.

—No nie, dajcie spokój, nie będę sobie wyplakiwać oczu z powodu jakichś glin. — Stacy pogłaskała swego kota.

—Nie musisz — zgodziła się Marge. — Nie mam zamiaru się tu wyzalać. Wiedziałam, co to za robota, kiedy w to weszłam. I myślę, że ty też wiesz, co robisz. Mówisz nam tu, że ludzie pracują dla tych bogatych gwiazd filmowych, które oferują im za to jakieś ochłapy, wycieczki i temu podobne rzeczy. Ale wszystko ma swoją cenę, prawda?

— Proszę mi wybaczyć, ale co to wszystko ma wspólnego z Craytonem?

—Ty nam to powiedz. Jesteś jedną z tych, które tak wyraźnie zareagowały na samo jego nazwisko — stwierdził Oliver.

Stacy odwróciła się, kładąc kota z powrotem na kanapie.

—Dobra. Więc to było tak. Armand jest tu typowym przypadkiem. Trochę wdzięku i sporo ambicji, żeby wydzwignąć się w górę. Miał dom, piękną żonę, ubrania, rollsa, wydawał przyjęcia i miał klientów, którzy na niego stawiali. Ale to wszystko stało na ruchomych piaskach, tylko czekać, aż się zawali. — Nabrała powietrza, odetchnęła i ciągnęła dalej: — Lark mi mówiła, że się o niego martwi. Był po samą szyję umoczony w rozmaitych aferach.

— Co to były za afery? — nalegał Oliver.

— Nie mówiła konkretnie, tylko tyle, że nie płacił na czas i potrzebował szybkiej gotówki. Podkopywał go ten styl życia jaki prowadził. Ale nie mógł im wcisnąć na siłę tego swego gówna, bo by się skapowali, że jest w potrzebie. Ona zaś wydawała setki dolców na godzinę, bylebym tylko patrzyła, jak się j poci. Miała obsesję na punkcie tego wozu. Comiche był na nią i wpłaty poważnie zaciążyły na jej kieszeni.

— Czemu się z tego nie wycofała?

— Nie mogłaby zerwać kontraktu bez opłat karnych, a to by zrujnowało jej wizerunek. Gdy ludzie widzą, że jesteś przyciśnięta do deski, trak-

tuja cię jak śmiecia. Słuchaj, ja też mam za swoje. Muszę trzymać fason, na zewnątrz. Jeżdżę beemerem... dobra, przyzwyczałam się już do tego beemera. Trzeba mieć dobry wóz, żeby ludzie widzieli, a ja go miałam za bardzo dobrą cenę, wszystko w gotówce. Teraz się to skończyło, ale ubezpieczenie może się mnie jeszcze długo czepiać. Mogłoby mnie to zrujnować jak innych. A ja nie chcę, jestem przecież królową zakupów. — Zwróciła się teraz do Olivera: — Weźmy twoją kurtkę. Wygląda jak kurtka Valentino. Mogłabym ją dziś mieć za siedemdziesiąt pięć procent z wyprzedaży, bo to zeszłoroczny styl.

— Nie jest tak źle. Dostałem ją za sześćdziesiąt.

— No nie, w ogóle to nie wygląda tak źle. Gdzie ją dostałeś?

— Na wyprzedaży „Za Jeszcze Mniej”. Kupiłem poza sezonem i z drugiej ręki. Od poprzedniego właściciela.

— Dobra dla ciebie. Jeśli Hollywood chce na tobie zarobić, filmy nie mogą kosztować więcej niż dwanaście dolców od łepka.

— Wróćmy to tego rollsa — wtrąciła się Marge. — Armand chciał się wycofać z transakcji?

— Według Lark, tak. Wszystkie moje wiadomości o Armandzie pochodzą od Lark. Więc jeśli to będą jakieś bzdury, nie ja to wymyśliłam.

— Czy Armand miał jakiś pomysł, jak złamać ten kontrakt? — spytał Oliver.

Stacy westchnęła.

—Mówiła mi coś o tym jego pieprzonym wypadku... no wiesz, walnąć w ścianę i wóz do kasacji. Pytała mnie, czy to może wzbudzić jakieś podejrzenia.

—I co jej powiedziałaś?

—Mówiłam, że to głupi pomysł. Nie dość, że wygląda to sztucznie, to jeszcze może się przy tym poranić. Walnięcie w mur, tak żeby wóz poszedł na złom, to nie jest zadanie dla amatora.

—A co ona na to?

—Zmieniła temat

—I tak się to skończyło?

—Nie. Parę tygodni później spytała mnie, czy nie znam kogoś, kto nie tylko ukradłby wóz, ale pozbył się go. A ponieważ szkole naprawę wiele osób, mam również do czynienia z elementem przestępczym. — Umilkła i złożyła ręce na piersi. — To dość obraźliwa propozycja.

—Co jej powiedziałaś?

—Że nie znam nikogo takiego. Próbowałam zachować spokój, ale wyprowadziło mnie to z równowagi, A potem, kiedy zdarzyło się to porwanie wozu... to było coś więcej jak tylko porwanie. Człowieku, bardzo się zdenerwowałam. Bo jeśli ona to zaplanowała, a ja, cholera, wiedziałam, co ona zamierza... cóż to mogło dla mnie oznaczać? Przez ostatnie pół roku ciągle oglądałam się za siebie, czekając, co może się zdarzyć.

—Ile dni minęło od chwili, gdy cię pytała o to rąbnięcie wozu, do jego faktycznego porwania?

—Gdzieś koło miesiąca.

—No dobra, a w ciągu tego miesiąca nic nie wspomniała o corniche'u?

—Nie... nic nie mówiła. Skarżyła się tylko na Armanda, owszem. Że nie potrafi zdobyć pieniędzy. Zaraz po tym porwaniu zadzwoniłam do niej, żeby złożyć kondolencje. Nie zastałam jej w domu, ale po tygodniu oddzwoniła, tłumacząc, że nie była w stanie z nikim rozmawiać. Nie wiem nawet, czy to prawda, bo potem już się do mnie nie wybrała. Zadzwoniłam jeszcze raz, ale znów jej nie zastałam. I na tym się skończyło. Do ostatniego tygodnia — kiedy to mnie porwano wóz. — Przecwiczyla w miejscu parę kroczków, a potem znowu upiła spory łyk wody.

— Zwolniłam swego ochroniarza, ponieważ trudno jest żyć w stanie takiej paranoi. To jedno wielkie nieporozumienie.

—Dlaczego się spodziewałaś, że mogą ci rąbnąć wóz? — zainteresował się Oliver.

—A bo to można wiedzieć? Wóz wpadał w oko, wyglądało na to, że trudno mi się będzie obronić, więc albo to przypadek, albo... ostrzeżenie, żebym lepiej trzymała gębę na kłódkę. — Oczy nagle jej zwilgotniały. — Nie wiem. Gdyby mnie ktoś chciał ostrzec, po co miałby z tym czekać cały rok? — Spojrzała na detektywów. — Prawda?

Marge i Oliver równocześnie skinęli głowami. To jednak nie było dla niej żadne pocieszenie.

—To był prawdziwy koszmar. Nie mogłam jeść, nie mogłam spać. Przyjmowałam więcej klientów, niż powinnam, ponieważ wydawało mi się, że pracując, jakoś zapomnę o swoim strachu. Miało to przynajmniej tę dobrą stronę, że zarobiłam więcej niż zwykle. — Sięgnęła po drugiego kota. Był jakiś napięty i wiercił się w jej ramionach. Ale Stacy trzymała go mocno, może nawet trochę za mocno. — Przy tym trybie pracy... to nie może tak trwać. Jestem kompletnie rozbita!

—Jeszcze tylko parę pytań, Stacy, i damy ci spokój — za-pewniła ją Marge. — Czy Lark mówiła ci o swoich znajomych?

—Co masz na myśli?

—Czy opowiadała ci o ludziach, z którymi się przyjaźni?

—Taa, no pewnie. Mówiła mi o wszystkim.

—Pamiętasz ich nazwiska?

— Zaraz, zaraz — zastanowiła się. — Większość tego, co tam gadała, tonęło w rozgwarze ćwiczeń. Potakiwałam jej tylko tak, tak i napominałam, żeby pilnowała oddechu.

— Czy wymieniała kiedy nazwisko Dextera Bartholomew? — dopytywał się Oliver.

— Dexter Bartholomew? — Stacy potrząsnęła głową. — Nie, nie mogę sobie przypomnieć.

—Z niczym ci się to nie kojarzy?

—Nie. A powinno?

— Niekoniecznie — uspokoiła ją Marge. — A Elizabeth Tarkum? Pomyślała chwilę, a potem znów potrząsnęła głową.

—Nie.

—Nie przypominasz sobie żadnego konkretnego nazwiska? — nalegała Marge.

Stacy spojrzała na nią z wymówką.

— To było rok temu, więc mogłam chyba zapomnieć. Parę razy Lark mi wspominała o jakimś facecie, który był jej asem atutowym. Przy nim nie musiała się o nic martwić, bo miał taki „męski strzał”.

„Męski strzał!”

— Glina? — podsunęła Marge.

Stacy myślała już o tym.

—Może być. Z jej wypowiedzi wywnioskowałam, że może być z mafii. Ale to mógł być raczej policjant, prawda?

—Prawda — potwierdziła Marge. — Pamiętasz, jak się nazywał?

—Przychodzi mi na myśl coś niemieckiego, ale jakoś nie mogę sobie przypomnieć. — Potrząsnęła głową, wstała i otworzyła drzwi. — Naprawdę jestem umówiona na obiad.

—Dziękujemy ci, że zechciałaś nam poświęcić trochę czasu

— powiedziała Marge.

Stacy zamknęła za nimi drzwi, niemal przyciskając im pięty. Szli parę chwil w milczeniu, w powietrzu czuli chłód. Marge zapięła ciaśniej swą kurtkę.

—To był policjant i dlatego nie chciała nam powiedzieć jego nazwiska. Bała się, głupia. Złe gliny mogą być niebezpieczne.

—No, no, nawet dobre gliny bywają niebezpieczne.

—Więc tym bardziej się bała. To co, przyciśniemy Lark o nazwisko tego jej asa atutowego czy wracamy i naciskamy Stacy?

—Jeśli wrócimy i spróbujemy ją nacisnąć, zamuruje ją to na amen.

—Taa, chyba masz rację. Lark może zareagować tak samo, bo ma to ubezpieczenie na karku. Może lepiej odpuścić to sobie do poniedziałku i wtedy coś postanowimy?

—Gdybyśmy z tym mogli poczekać do poniedziałku. Cholera, ale nam to spieprzyło weekend. A to jeszcze nie wszystko. — Oliver uniósł brwi.

Marge zatrzymała się w miejscu.

—Czekasz na więcej?

Wlepił w nią wzrok.

— Martwię się o Cindy. Deck do niej dzwonił bez skutku, nie odpowiada też na wezwanie. To niedobrze. Właśnie się tam wybieram.

Ściszyła głos.

— Zabujałeś się w niej czy co?

Oliver spojrzał nieprzytomnie.

— Przed sądem się będę tłumaczył.

O dziewiątej trzydzieści Cindy wciąż jeszcze wciskała pedał gazu, co oznaczało, że spóźni się do Belliniego, narażając się na nieuniknione polajanki Hayley. Straciła trzy godziny na słuchanie wynurzeń matki, a i tak mama poczuła się urażona, gdy Cindy musiała już wyjść, jakby jej uczucie do niej mierzyło się upływającymi minutami leniwej rozmowy. U matki było swojsko i po domowemu, w przeciwieństwie do hałaśliwej i zatłoczonej sali u Belliniego, gdzie pijani policjanci demonstrowali swe męskie obycie, posuwając się do obrzydliwego pstrykania palcami.

Oślaniając oczy przed jaskrawym światłem, weszła do lokalu i od razu zobaczyła Hayley siedzącą przy stoliku z Andym Lopezem i jego partnerem, starym policyjnym wygą Timem Watersem. Jakby powtórka sprzed tygodnia. Siedział tam też ten spryciarz, Rick Bederman, i nie spuszczał oczu z Hayley. Kiedy coś mówił, obracał na palcu ślubną obrączkę, jakby go ugniatała. Po lewej stronie miał swego partnera, Seana Amory'ego, też żonatego, co w najmniejszym stopniu nie powstrzymywało go od wlepiania dziecięco błękitnych oczu w każdą kobietę na horyzoncie. Obrazu dopełniała Carolyn Evert, sześć lat służby, pięćdziesiątka z okładem, w jasnych getrach. Śmiejące się, szcerwieniłe gęby, chwiejące się kieliszki. Nie było Troppera, Rona Browna i Beaudry'ego. Cindy przyglądała się temu wszystkiemu z niejakim zdumieniem...

W pierwszym odruchu chciała obrócić się na pięcie i wyjść. To, co się stało w ciągu tych paru ostatnich dni, wzmagało jej lęk, objawiający się szybkim biciem serca, poceniem się dłoni, spłoszonym wzrokiem. Była jednak zdecydowana walczyć z tym stanem. Podeszła więc wolno do stołika, odsunęła krzesło i wcisnęła się między Bedermana i Evert. Miała poczucie, jakby żołądek wbrew jej woli przesunął się w górę. Hayley podała jej kieliszek.

—Co tam u mamy?

Wypiła zawartość duszkiem.

—Ach, przewrażliwiona, jak zwykle. — Zwróciła się ku Carolyn Evert: — Jestem Cindy Decker. Nie cierpię tych twoich nóg. Nie, żeby były kiepskie. Sama bym chciała takie mieć.

—To genetyka, kochanie — wyjaśniła Carolyn. — Jak ta twoja czerwona czupryna.

—Chętnie bym się z tobą zamieniła.

—Lepiej uważaj z takimi zachciankami. — Carolyn uniosła lok jej rudych splotów. — Na jeden dzień mogłabym się zamienić.

—Strzel sobie jeszcze jednego na rozpęd — powiedziała Hayley. — Utop swoje kłopoty w Mr Cuervo.

Wzięła szkło, podniosła je do ust, choć tak naprawdę nie miała na to ochoty. Ten pierwszy, wychylony duszkiem drink, zaspokoił jej potrzeby towarzyskie. Skupiła się na swym koncepcie.

—Więc co się zdarzyło w cudownym świecie Hollywood podczas mojej nieobecności?

—To, co zwykle — odparł Lopez. Ścisnął rękami szklanekę czegoś zimnego i przezrzystego. — Same złamańce i dupki.

—Właśnie się zastanawiamy, gdzie się podział Doogie — powiedziała Carolyn. — Nie mam kasy, więc wystawiam swoje szykowne nóżki na przynętę, może na stówę starczy.

—Jestem pewny, że by przeszło, gdybyś je rozchyliła — ocenił Waters.

—Marzyciel — skwitowała Carolyn. — Pożyczyłbyś mi dwudziestala, błękitnooki?

—A co za to dostanę?

— Na razie dobrą wolę. Może następnym razem, jak cię zobaczę, będziesz mógł ucałować moje stopy. Pomyśl o tym, Waters. To część tych nówek.

Waters pomyślał chwilę i dał jej dwie dziesiątki.

Lopez uśmiechnął się z wyższością.

—To te pieniądze na kino dla ciebie i tej małej kobietki?

—Zabiorę ją do „Rialto”. Tam każde miejsce jest po dwa siedemdziesiąt pięć i możesz siedzieć cały czas.

Carolyn wzięła banknoty.

—Dziękuję, Waters.

—Mogłabyś chociaż ze mną usiąść, to ci powiem, co mnie trapi. — Spojrzał znacząco na Cindy. — Ale się tu zrobił tłok! Chyba się rozejrzę za jakąś kabinką w rogu.

Carolyn westchnęła.

—A po co ci to. Postawmy sprawę jasno. Ale jeśli już musisz się wygadać, to za te dwadzieścia baksów możesz sobie kupić parę uszu do słuchania.

Waters wstał.

—Chcę się tylko wypłakać w czyichś ramionach. A twoje są takie cudowne...

—Gadaj zdrów. — Carolyn podniosła się z miejsca. — To zobaczymy się później. Timmy musi wypłakać swoje smuteczki.

Hayley przez chwilę patrzyła na nich, a potem ogarnęła wzrokiem salę jak ziemię nieznaną. Wydawało się, że kogoś tam szuka; nagle zwróciła się do Cindy:

—Tylko nie bierz tego do siebie... że sobie poszli. Są tu już cały wieczór.

—Tak długo to ja tu nie zabawię.

—Jak dotąd, bawisz się świetnie — zauważył Bederman.

Cindy posłała mu uśmiech, ale nic nie powiedziała.

—Co tam porabia twój partner? — zainteresował się Bederman.

—Beaudry? — Wzruszyła ramionami. — W porządku... ach, prawda. To ty byłeś jego partnerem.

—Taa.

Cindy skinęła głową, pozostawiając w zawieszeniu pytanie:

„Czemu musiałeś się zamienić?”

—Beaudry mi mówił, że jesteś bystra.

—To jeszcze gadacie ze sobą?

—Cały czas. To świetny chłopak. Tylko po prostu nie jesteśmy już partnerami, i tyle.

Cindy spodziewała się, że jeszcze coś powie. Ale się zawiodła.

—No więc tak. Wiem, że Beaudry myśli, że jestem zarozumiała.

—Każdy tak myśli, Decker — przerwał jej Lopez. — Jesteś mądralińska z naprawdę dobrą dupcią.

—Kąsas na kolanach, Lopez — ucięła sucho Hayley. — Musiałeś być bardzo nieposłusznym dwunastolatkiem.

Lopez nachmurzył się. Cindy poczuła, jak wali jej serce. Lopez wciąż był na jej liście potencjalnych włamywaczy, a obrażanie go było chyba ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła. Uśmiechnęła się, próbując rozproszyć jego zakłopotanie. Ale to go tylko zachęciło do kolejnych gaf. Rzucił:

—A Marx cieszy się reputacją bardzo twardej kobitki... no, wtedy gdy nie jest zbyt łatwa.

—No, no — podniósł się szmer od stolika, ale Hayley tylko się roześmiała.

— Och, Andy, Andy, ale z ciebie bystrzak z tymi dowcipasami. Musiał ci się bardzo poprawić wynik w ostatnim teście na iloraz inteligencji. Chyba popełnili błąd, umieszczając cię na liście zapóźnionych w rozwoju.

Złośliwość tej uwagi każdego by przyprawiła o mdłości.

—Daj mu trochę odetchnąć, Marx. To żółtodziób — wstawił się za nim Sean Amory.

—Można być żółtodzióbbem, ale to jeszcze nie powód, żeby nie być dżentelmenem.

— Można być weteranką, ale to jeszcze nie powód, żeby być suką. — Lopez wstał, przewracając krzesło. — Do zobaczenia później, chłopaki.

Hayley wepchnęła do ust garstkę fistaszków.

—No, to mam go z głowy. — Spojrzała na Bedermana i Amory'ego. — Myślicie, że jestem suką?

—Każda kobieta bywa czasem suką — powiedział Bederman. — Tak jak każdy facet bywa czasem gnojkiem. Ale ty naprawdę mierzysz każdego swą własną miarką.

—On jest wyższy ode mnie!

—On tylko naśladował Watersà — zawtórował mu Amory. — Struga kutasa jako partner. Myśli, że ty też musisz być kutasem. Ściągnij mu portki.

—Dlaczego ja? To on jest palantem. — Nikt się nie odezwał. Hayley wstała. — Nie dość, że się jest pieprzoną kobietą w jakiejś zdominowanej przez facetów, paramilitarnej strukturze, to jeszcze trzeba grać Florence, czy jak jej tam, wobec słabszych przedstawicieli waszej płci, żeby im kutasy nie pousychały jak kiełbaski. Zaraz wracam.

Przy stoliku zrobiło się pusto. W niecałe pięć minut z siedmiu osób zostały tylko trzy. Cindy poczuła na sobie czyjś wzrok. Spozrzegła, że pozostali dwaj mężczyźni przyglądają się jej skrycie. Bederman przerwał milczenie.

—Co tak cicho siedzisz?

Uśmiechnęła się.

—Tak chyba bezpieczniej.

Bederman miał sobie właśnie nalać drinka. Wstrzymał się jednak.

—Powinienem wracać do domu. Powiedziałem żonie, że będę o dziesiątej. — Spojrzał na zegarek i zwrócił się do Amory'ego. — A ty jak?

—Idź. Ja tu sobie jeszcze posiedzę z młodzieżą, póki Marx nie wróci.

—A to ci się udało. Nie potrzebuję przedszkolanki. I nie czuję się samotna.

Amory się roześmiał.

—To chyba pomyliłaś adres.

— Czemu tu przyszedłaś? — spytał Bederman.

— Do Belliniego? Z powodu Hayley. Umówiliśmy się, że przyjdziemy tu zamiast na obiad.

—Lubisz tę Hayley? —. pytał dalej Bederman.

—Jeśli mam powiedzieć prawdę, to tak.

— Narobiła tu mnóstwo świństw — wyjaśnił Bederman. — Pierdoliła się z wieloma żonatymi facetami. A teraz jest zgorzkniała. Nie idź w jej ślady.

—Nie martw się o mnie. To nie mój przypadek.

Bederman przyglądał się jej przez chwilę.

—Tak? A z tobą jak jest?

Nie była pewna, czy jej nie wpuszcza w maliny. A może wpadła mu w oko. A to ci dopiero: jakiś inny facet przystawia się do niej.

— Bederman, to pytanie ma wiele odpowiedzi. Na dziś wystarczy. Trochę mnie to zmęczyło i boli mnie głowa.

—Chcesz może advil?

—Wzięłam już parę, dzięki.

—Czy mogę cię gdzieś podrzucić? —spytał niewinnie.

—Nie, mam tu swój wóz. Ale dzięki.

Bederman stracił nagle zainteresowanie jej osobą. Przeniósł je na Amory'ego.

—Wybierasz się jutro na rozgrywki?

—Tak. Z rodziną.

—Weź rodzinę i piwo. Ja zadbam o jedzenie.

—Umowa stoi.

Bederman wyszedł. Cindy rzuciła mu krótkie spojrzenie i ujrzała Hayley, która siedziała obok Lopeza, pochylając się ku niemu i potakując, gdy Andy perorował. Najwidoczniej zawarli jakiś rozejm. Cindy zwróciła się do Amory'ego:

—Ze mną wszystko w porządku.

— Jestem tego pewien. Wiesz, nie lubię Marx, ale Lopez to kutas, żeby pieprzyć takie brednie. Nie powinnaś mu tego odpuścić.

— Policzę się z nim, ale nie publicznie. Nie lubię wprawiać ludzi w zakłopotanie.

—Nie musisz się przejmować Tropperem.

Cindy poczuła zastrzyk adrenaliny wlewający się w jej żyły.

—Chyba nie masz na myśli tej awantury tydzień temu. To nie była jakaś wielka sprawa.

—Może dla ciebie nie, ale sierżant nie był zadowolony. Gdyby twoje nazwisko nie znaczyło tak wiele, miałabyś wielką czarną krechę w kwartalnym raporcie. Wycofał się z tego, ze względu na twego ojca.

—Amory, starałam się najlepiej, jak tylko mogłam.

—To, co najlepsze, nie zawsze jest najwłaściwsze.

—W końcu zrobiłam to, czego chciał. — Zarumieniła się. — Mam na myśli, że mu pomogłam w papierkowej robocie.

—Tak, wszyscy już wiedzą, że przepisywałaś mu raporty; teraz są zrozumiałe.

—Ach tak? — skrzywiła się. — Docinają mu z tego powodu?

— Myślą, że z nim sypiasz. A Tropper nie wyprowadza ich z błędu.

Cindy odruchowo szarpnęła głową do tyłu, jakby oberwała cios.

— To nieprawda, to jakaś kompletna bzdura! — Czowała przy tym więcej strachu niż urazy.

Amory rozłożył ręce.

— Nie zabijaj posłańca. Jeśli chcesz sobie pomóc, przestań mu przepisywać te raporty.

—To Beaudry mi to podsunął.

—Zdaje się, że nie była to najlepsza rada.

Cindy spojrzała na niego, niepewna, czy ma przed sobą przyjaciela czy wroga.

—Może powinnam robić to, co do mnie należy, i nie słuchać ludzi. Kto tak sądzi, że sypiam z Tropperem?

—Opinie są podzielone. To te męskie typy tak gadają. „Taa, no pewnie, ta dziwka chce awansować!” Ale niektórzy wiedzą, że nazywasz się Decker i nie jesteś głupia... przynajmniej nie taka głupia. Żeby robić coś podobnego z Tropperem.

— Nie sypiam z Clarkiem Tropperem. Z nikim teraz nie sypiam, nie chodzi o to, czy to glina czy nie. Kompletny zastój w sprawach miłosnych.

—To by się mogło zmienić.

— Z żadnym z tych gości. Dzięki, ale wolę nadal zachować swój status zakonnicy. Możesz im o tym wspomnieć, jeśli łaska.

—Że jesteś zakonnica.

—Że jestem poza ich zasięgiem.

Amory podniósł się.

—Na mnie już chyba pora.

—Fajnie się z tobą gadało, Amory. — Cindy raz-dwa sprzątnęła ze stołu. Miała już tego dość. Czas włókł się niemiłosiernie, czekała tylko na Hayley, że się zmiłuje nad nią i wróci. Marx rzuciła jej dziwne spojrzenie. — Ale jesteś rozmazana.

—Amory właśnie mi powiedział, że są tacy, którzy myślą, że sypiam z Tropperem. Czy to prawda?

—To chyba Amory miał nadzieję, że sypiasz z Tropperem. Bo jeśli już jesteś taka głupia, żeby z nim to robić, to może poprobujesz to samo z następnym w kolejce.

—Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Czy słyszałaś jakieś uwagi na ten temat?

—Nic poważnego. Ten psi syn puszcza jakieś plotki. To się nie trzyma kupy. Olej to.

Cindy nie przyszło do głowy zapytać jej, co sądzi o Seanie.

—A Bederman?

—Nie pytaj. — Marx potarła czoło. — Boże, można się poczuć słabo w tym pieprzonym miejscu. Dlaczego tu siedzimy?

„To był twój pomysł!” Już jej to miała przypomnieć. Ale zamiast tego powiedziała:

—Chodźmy na kawę gdzieś, gdzie będzie trochę spokojniej.

—To brzmi całkiem do rzeczy. Może u ciebie w domu?

„A po co, u diabła, Hayley chce iść do niej do domu? Żeby dokończyć roboty, którą zaczęła poprzedniego wieczoru?” Choć sądząc z tonu jej głosu, zabrzmiało to niemal romantycznie... jakby szukała jakiegoś przytulnego kąta. Po tym, co Cindy czuła teraz do facetów, zabrzmiało to niemal kusząco. Niemal.

—Złatwiłaś już swoje sprawy z Lopezem?

—Tak, pewnie.

—Gdzie on jest? — Cindy rozejrzała się. — Nie widzę go. Gdzie on się podział?

—Nie mam pojęcia. — Hayley też rozejrzała się po sali. — Zostawiłam go przy barze. Pewnie ktoś się nim zaopiekował. Lepiej już chodźmy.

Cindy zarzuciła torbę na ramię.

—Wiesz, gdzie mieszkam?

—Nie mam pojęcia.

— To chodźmy do mnie. Powinnam mieć dobrego policjanta, żeby mnie pilnował.

Hayley zmarszczyła brwi.

—O co ci chodzi?

—Coś mi się ostatnio zdarzyło. Chodźmy.

Hayley nie poruszyła się z miejsca.

—Co takiego?

Mogło się wydawać, że jest bardziej ciekawa niż zaskoczona. Cindy powinna być teraz chyba szczególnie podejrzliwa i ostrożna. A wygląda na to, że ma zamiar zwierzyć się tej kobiecie. Co takiego w niej było, że nabrała do niej zaufania?

— Opowiem ci o tym później. Nie tutaj. Tylko nie tutaj.

Rozdział dwudziesty piąty

Osiem wiadomości mrugało do niej z sekretarki. Nie mogła ich jednak odsłuchać, póki Hayley była tu z nią w pokoju. Cindy była zdumiona, jak schludnie wyglądało teraz jej mieszkanie — wyszorowane i wyczyszczone, z kuchennej lady poznikały śmieci, zupełnie jak po wiosennych porządkach. Wzrok Hayley lustrował pomieszczenie, zatrzymał się na kanapie i jej pocerowanym obiciu.

—Co się stało z tym meblem? Wygląda, jakby tu grasował jakiś szaleńiec z nożem. — Spojrzała na Cindy. — Dostałaś to z drugiej ręki czy to właśnie to, o czym miałaś mi wspomnieć?

—Kiedy wróciłam w piątek z pracy, była jeszcze cała.

—O Jezu! Louise! — Hayley zmarszczyła brwi. — Co tu się stało?

— Powiedziałyby ci, gdybym sama wiedziała.

—Ktoś się włamał. — Hayley potrząsnęła głową. — Cholera! Nic dziwnego, że wyglądasz jak po przejściach. Dlaczego od razu mi nie powiedziałaś?

Cindy wzruszyła ramionami.

—To kiedy się to stało?

—Ostatniej nocy. Chyba wtedy, gdy byłam u swego tatki. Siadaj. Zrobij kawę.

—Masz coś mocniejszego?

—Tak, ale nie podam. Nie potrzeba mi tego i tobie też nie.

—Chyba masz rację. — Hayley rzuciła torebkę na podłogę i usiadła przy pocerowanym nacięciu. Powiodła delikatnie ręką po szramie i spytała: — Wzywałaś policję?

—Akurat nadszedł tatko i wetknął tu swój nos. — Nalała wody do ekspresu i wróciła do saloniku. Nagle opadła ciężko, jakby miała nogi z żelaza. — To nie był przypadek. Całe mieszkanie było zaśmiecone, niektóre z moich rzeczy zniszczone, ale nic wartościowego nie zginęło.

Hayley pokiwała głową.

—Przyjmuję wszelkie sugestie — powiedziała Cindy.

—Czy kogoś uraziłaś?

—Nie wiem. — Zadzwoił telefon. Cindy bez słowa chwyciła słuchawkę. — Cześć, tato. Właśnie weszłam do domu.

—Chyba straciłem już wiarę w to, że możesz odpowiedzieć na wezwanie! Dzwoniłem do ciebie do domu, na twój pager i na komórkę...

—Nie odebrałam tego, tatku... no dobra, nie wiedziałam, że telefonowałeś do domu. Dopiero co wróciłam. Byłam u mamy, a potem wyszłam na spotkanie z przyjaciółką. — Więc to tak, ma dwadzieścia pięć lat, a siedzi tu i tłumaczy się swemu ojcu. — Komórkę wyłączyłam, ale pager działa. Ile razy mnie powiadamiałaś?

—Z pół tuzina.

Zdjęła pager z paska.

— Nic się nie nagrało, a cały czas jest włączony... nic nie ma. Pewnie akumulator się wyczerpał. — Odsunęła małą plastikową pokrywkę. — Faktycznie, akumulator wysiadł.

Po drugiej stronie była cisza. A potem Decker powiedział:

— Idę do ciebie.

— Tatku, nie trzeba. Mam teraz towarzystwo. Wszystko jest dobrze.

—Kto to jest? Oliver?

—Hayley Marx.

— Jedno gorsze od drugiego.

Cindy uśmiechnęła się mimo woli.

—Oddzwonię do ciebie później. Przykro mi, że się niepokoiłeś.

—Kiedy ostatnio miałaś ze sobą pager, Cindy?

—Nie wiem, tatku. Niech pomyślę.

—Jak to, nie pamiętasz?

—Zwykle go zabieram, jak wychodzę. Czasami zostawiam go w pracy na biurku, kiedy nie chcę, żeby mi przeszkadzał. Niech no pomyślę — powtórzyła.

—Czy twój pager działa w piątki?

—Tatku, proszę, muszę pomyśleć. Jak tylko znajdę odpowiedź, zaraz do ciebie zadzwonię.

Z tonu jej głosu wyzierała niepewność. A Decker chciał za wszelką cenę uśmierzyć swój ból. Ta nie słabnąca troska o dobro własnych dzieci podkopywała, ziarnko po ziarnku, jego własne poczucie pewności.

—Dobra. Tylko zadzwoń do mnie, zanim się położysz do łóżka! I sprawdź zamki i okna!

—Zadzwonię do ciebie i sprawdzę zamki i okna. To na razie. — Cindy odwiesiła słuchawkę i spojrzała na swój pager, a potem na Hayley. — Muszę iść do sklepu i kupić akumulator.

—Ktoś wyjął ci go z pagera?

—Na to wygląda.

—Poważna sprawa. — Hayley wydobyła swój pager z torebki i wyjęła z niego akumulator. — Jest tutaj. Włóż go do środka. Zaraz zobaczysz, czy masz jakieś wiadomości.

—Dzięki. — Cindy włożyła akumulator do komory urządzenia, które natychmiast zaczęło wibrować i odzyskało życie. Przedzierając się przez serię numerów, znalazła pięć od tatki, dwa od mamy i jeszcze parę kombinacji cyfr, które wydały jej się dziwnie znajome — może to od Marge lub od Olivera. Później to sprawdzi. Oddała akumulator Hayley. — Dzięki.

—Cindy, czy to pierwszy raz ktoś się do ciebie włamał?

—Tak. A co? — Spojrzała na nią twardym wzrokiem. — Zdaje mi się, że masz pewne... obycie z taką sytuacją, Hayley. Chcesz mi coś o tym powiedzieć?

—Nie patrz tak na mnie. Jestem po twojej stronie. Czy możesz mi dać jeszcze trochę kawy?

Cindy opuściła wzrok.

— Tak. Proszę. — Nalała dwa kubki gęstej i mocnej kawy. Jeden podała Hayley, drugi postawiła wygodnie na poręczu fotela. — Jeśli możesz rzucić jakieś światło na ten bałagan, zamieniam się w słuch.

Hayley upiła większy łyk.

— To tylko pewne przeczucie. Ale może... mówię: może, bo to jakby część naszego rytuału.

Cindy nie wierzyła własnym uszom.

—Mówisz, że to robota policji? Gliniarze mieliby to zrobić?

—Możli...

—Naprawdę mi sugerujesz, że to... gliniarze włamali się do mego mieszkania i zostawili mi psie gówno na łóżku!

—Ktoś ci zostawił psie gówno na łóżku? — Hayley wydawała się poruszona. — To straszne!

—Nie mówiąc już, że obrzydliwe. — Cindy zaczerpnęła tchu. — Czy wiesz coś o czymś takim?

Hayley rozglądała się za miejscem, gdzie mogłaby położyć swój kubek.

— Połóż po prostu na podłodze. — Cindy wstała, ledwo skrywając wściekłość. Starła się mówić łagodnie i wyraźnie, powoli wymawiając słowa. — Nie możesz mówić tak dwuznacznie! Albo coś wiesz, albo nie wiesz!

—Powiedziałam tylko, że mam takie poczucie...

—Więc co jest podstawą tego twojego poczucia?

— Nie patrz tak na mnie! — Hayley postawiła swój kubek na ziemi. — Wiem tylko, że są tacy faceci, którzy są do tego zdolni, zwłaszcza w stosunku do kobiet żółtodziobów. Cini, nie radzimy sobie nawet z tymi chłopcami od komputerów. Mówię tu o zatrudnionych u nas absolwentach szkół średnich, którzy się nudzą i biorą spore pensje. Dlaczego sądzisz, że to ja cię śledziłam?

— Dobra, jeśli to ty mnie śledzisz, to nieźle się wpierdoliłaś.

—W ciszy, która teraz nastąpiła, do Cindy wreszcie dotarło, co przed chwilą powiedziała. Zaczerpnęła powietrza i wypuściła je.

—Nie wpierdoliłaś się. Nie panuję już nad sobą. Przepraszam cię za ten wybuch.

Hayley machnęła ręką.

— Gdyby ktoś się do mnie włamał, zrobił mi taki kipisz i jeszcze zostawił mi na łóżku psie gówno, zamurowałoby mnie to. To zdumiewające, że mówisz jeszcze pełnymi zdaniami.

— Powinnaś mnie widzieć dwanaście godzin temu. — Cindy zebrała myśli. — Zdarzyło ci się coś takiego? — Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. — No, gadaj?

Hayley otworzyła usta.

—Przynajmniej główna nie było.

—A co było? — spytała Cindy.

—Na początku wóz mi szwankował. Raz to był wężyk paliwa, innym razem akumulator, kiedy indziej główka rozrządu, to znów nie było paliwa... wtedy wychodziłam właśnie od Belliniego. Była trzecia nad ranem i nikogo w pobliżu. Wskaźnik poziomu paliwa stał na połowie zawartości baku, a w środku było sucho jak pieprz.

—Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

—A o czym ci miałam mówić? Że chłopcy, z którymi pracujesz, to dupki? O tym już wiesz!

—Hayley, to by przynajmniej obudziło moją czujność. A tak, byłam całkowicie zaślepiena!

—Przykro mi.

—Dawno to było?

—Byłam wtedy żółtodziobem. Czepiali się mnie. Mogłam się postawić. Nie zrobiłam tego, i była to świadoma decyzja. Nie wrzuca się trucizny do studni, Cindy. Pomyślałam, że może to się nie stało z powodu twego ojca. Że może chodziło o ciebie. Balansujemy na cienkiej linii, gdzieś pośrodku między poczuciem, że jest się jednym z nich, i poczuciem, że jest się jedną z nas. Im bardziej kobiety wtapiają się w tło i nie przysparzają kłopotów, tym bardziej nas lubią.

—Co masz na myśli? — rzuciła krótko. — Że są gorszymi partnerkami?

—Decker, to już nie chodzi o to, żeby być popularną. To kwestia życia i śmierci. Muszą czuć, że jesteśmy razem z nimi. Inaczej nie ruszą swoich tyłków, kiedy będzie trzeba. Więc mówię, zostawmy im ich zabawki. Trzeba mieć tylko nadzieję, że gdy naprawdę coś się zdarzy, będą mieli okazję pośpieszyć ci z pomocą.

— Jeśli niszczenie komuś mieszkania i położenie mu psiego łajna na łóżku mieści się w koncepcji zabawy tych starych wyjadaczy, to jest coś okropnie zgniłego w państwie Hollywood.

Hayley skinęła głową.

—Gównno, to już za wiele.

—Tak myślisz? — Cindy wciąż próbowała nadażyć za jej rozumowaniem. — Mówisz, że ktoś z komendy zrobił to jako... rytuał przejścia?

—Całkiem możliwe. Może nawet to był Tropper. Zdenerwowałaś go ostatnio, prawda? Więc może to zrobił, żeby wyrównać rachunki.

—To było tydzień temu. I od tej pory już mu pomogłam.

—Widocznie wciąż żywi do ciebie urazę.

—On tak ma?

—Tak. To ten typ.

Hayley bała się zrzucać winę na Troppera. To logiczne, ale Cindy nie była całkiem pewna szczerości jej intencji. Czy miało to znaczyć: uważaj? To dla niej bardzo ważne, więc spytała o to Hayley.

— To znaczy, masz mieć oczy i uszy otwarte.

—I co jeszcze?

Opuściła wzrok.

— Słuchaj uważnie. „Decker to chytra sztuka, dostała po dupie, ale nie poskarży się ojcu, ma za ładną dupcię”. Coś w tym rodzaju. — Wzruszyła ramionami. — Większość tego brudu bierze się z wewnętrznych zadrażeń, kiedy to postawiłaś się Tropperowi. Twój partner ciągle ci o tym napomykał, w kółko...

— Graham? — Skinęła głową. — A co jego w tym kręci?

— To, że postąpiłaś właściwie. I przypaliłaś dupę Tropperowi. I to dlatego przepisujesz jego raporty. Stoisz po właściwej stronie i nie sypiasz z nim. Myślę, że się z tego wygrzebie. Znasz Beaudry'ego. Jest tak prostoliniorny, że nie może sobie nawet wyobrazić, iż ktoś mógłby wierzyć przeciw władzy...

—Kiedy słyszałaś te ploty o sypianiu z Tropperem?

—Po tym jak zaczęłaś pomagać Sierzowi. Beaudry rozmawiał z Bermanem, który akurat wygłaszał jedną z tych swoich słynnych antybab-

skich tyrad, próbując ukryć swoje świńskie poglądy pod jakimś przewrotnym rozumowaniem. Bederman ma na ciebie oko, wiesz. Nie, tu nie chodzi o seks. Choć może i o to.

—Wiem, że mnie nie lubi. Choć nie bardzo wiem dlaczego. Może przemówiłam się z nim parę razy, wliczając w to dzisiejszy wieczór.

—Po co dopatrywać się w tym logiki? A może dlatego, że widział nas razem. Bederman mnie nie cierpi. Podrywał cię dziś wieczór?

—Nie. Ale ostrzegał mnie, żebym cię nie naśladowała, mówiąc, że się pierdoliłaś z tyloma żonatymi facetami.

—Co do tego ma rację — skrzywiła się Hayley.

—Czy to się źle kończyło? — zainteresowała się Cindy.

—To zawsze się źle kończy.

—I dlatego, że dla ciebie to się źle kończyło, nie lubi też i mnie?

—Coś w tym jest. A może też dlatego, że twój partner jest taki stary...

—Ale to nie Beaudry prosił o zmianę Bedermana. Tu może chodzić o coś innego. Więc czemu Bederman miałby się troszczyć o mnie, skoro jestem partnerką Grahama?

—Może czuje, że Graham bardziej cię lubi...

—Na miłość boską, Hayley, przecież jesteśmy dorośli!

—Może to głupie, ale niestety, to prawda! — Hayley spoj- rzała na młodszą koleżankę. — Może byś tak usiadła? Denerwujesz się bardziej niż ja.

Cindy obrzuciła ją krótkim spojrzeniem.

—A czemu ty miałabyś się denerwować?

—Bo mówienie o tym jest bardzo przykre. Przypomina mi to, jak spieprzyłam swoje szanse. I może dlatego mogłabym być twoim rabbinem. Wciąż jeszcze masz czyste konto. Musisz to sobie przemyśleć. Jeśli nie mogłam pomóc sobie samej, być może uda mi się pomóc tobie.

—W czym?

—W wyścigu po złoto. Masz głowę na karku, ale musisz jeszcze nauczyć się rozgrywać.

Cindy spoglądała z uwagą na jej twarz; nic z niej nie można było wyczytać. Znow zaczęła chodzić w kółko, ale pomyślała, że będzie lepiej, jak usiądzie w fotelu.

—Jak tu zacząć, żeby być uczciwą w stosunku do siebie? Przede wszystkim, co tam robiłaś na Górze Aniołów?

—Muszę ci powiedzieć, że jesteś w porządku.

—Mam to rozumieć, że jechałaś za mną od posterunku aż do tej góry?

—Cindy aż zamurowało. — Po kiego licha to zrobiłaś?

—Poczekaj — ostrzegła ją Hayley. — To nie całkiem tak, jak myślisz. Opuściłyśmy komendę mniej więcej w tym samym czasie, prawda? Razem poszłyśmy na parking. A potem jechałyśmy w tym samym kierunku, prawda? — Cindy milczała. — Prawda?

—Prawda, prawda. Ale...

—Zaczekaj chwilę — przerwała jej Hayley. — Zadałaś mi pytanie, pozwól mi odpowiedzieć. Nie śledziłam cię, Decker. Pojechałam za tym camry, bo myślałam, że może on jedzie za tobą. Przyszło mi na myśl, że może któryś z chłopaków postarał się o to, żeby zdjąć ci kołpak rozrządu.

—A potem zobaczyłaś tę tablicę rejestracyjną.

—Tak. Zobaczyłam to i zaraz zadzwoniłam do działu skradzionych tablic. No i doszłam do wniosku, że ktoś tam mógłby się posłużyć pewną sztuczką, żeby ukryć jakieś stare wykazy...

—Czy ty się naprawdę spodziewasz, że ja to kupię?

—Niczego nie sprzedaję, więc nie dbam o to, co kupujesz. Po prostu mówię ci, co myślę.

—Jakiś detektyw specjalnie gwizdnął świeże jeszcze tablice z pokoju ewidencji, żeby za mną jechać. — Cindy skinęła głową. — No, no, to ci dopiero.

Hayley nie zareagowała jakoś szczególnie.

— Jesteś zielona, więc nie wiesz. Ale takie rzeczy się zdarzają. Tłuste nagłówki w prasie pojawiają się dopiero wtedy, gdy stwierdza się brak całych funtów kokainy. Nikt nie będzie podnosił alarmu o jedną uncję... albo o jakiś naszyjnik tu i pierścioneł tam... w jakimś starym programie

telewizyjnym czy w stereo sprzed dziesięciu lat. W ewidencji są całe stopy tablic rejestracyjnych pochodzących z ukradzionych wozów.

Cindy kręciła głową.

—To ty naprawdę sądzisz... że ten camry to żart?

—Nie żart, tylko złośliwy psikus! Od razu coś zauważyłam. Miałam dość czasu. Doszłam do wniosku, że jeśli ktoś chce ci dać jakąś... naukę, to czemu nie? Kiedy zaczęłaś zmieniać pasy, zobaczyłam, że coś ci siedzi na ogonie. To mnie uderzyło, biorąc pod uwagę, że jesteś żółtodziobem. A kiedy camry zmienił kierunek jazdy i próbował cię wymanewrować, zdobyłam już pewność, że mam rację. To jeden z tych chłopców, którzy chcieli cię postraszyć. Gdybyś wtedy zadzwoniła, na gorąco, byłoby po wszystkim.

—Nie mogłam od razu zadzwonić, to się działo zbyt szybko.

—Właśnie to mówię — stwierdziła Hayley. — Powinnaś odpuścić. A ty weszłaś w rolę psa na tropie i próbowałaś w pojedynkę złapać zdołbycz. Ten facet mógł być przecież dupkiem z magnum 44.i rąbnąłby cię, zanim byś się kapnęła, co się kroi. A niewiele brakowało, byś spowodowała parę stłuczek.

Cindy zastanowiła się nad tym, co usłyszała przed chwilą. Nawet gdyby część z tego była wymysłem, pewne rzeczy zgadzały się co do joty. Opuściły posterunek równocześnie. A potem obie udały się w tym samym kierunku. No i to, że Marx nie mogłaby splądrować jej mieszkania, ponieważ była właśnie z Oliverem. Więc co w istocie zaszło?

— Tak czy inaczej — Hayley przyjrzała się uważnie swym paznokciom, po czym opuściła ręce na kolana — zaczęłaś wjeżdżać pod górę, a ja wycofałam się, wiedząc, że w końcu i tak będziesz musiała zjechać. Ale kiedy cię długo nie było, postanowiłam się trochę rozejrzeć. Jak cię zobaczyłam przy dymiącym wozie, pomyślałam, że miałam rację. Ktoś musiał przy nim majstrować. I właśnie dlatego towarzyszyłam ci przy zjeździe. A gdy stwierdziłam, że wóz jest już w porządku, poszłam w swoją stronę. — Znów przyjrzała się swym ręką. — To wszystko, Decker. Powiedziałam ci, co wiem.

—A dlaczego od razu nie podzieliłaś się ze mną swymi podejrzeniami?

—Mogłabym spróbować. Ale wiesz, jakie to skomplikowane, Cin. Komu masz ufać, a na kogo uważać. Jestem pewna, że to samo myślisz sobie teraz. Czy mówię prawdę czy nie.

—A mówisz prawdę?

—Jak mam ci na to odpowiedzieć? Tak, mówię prawdę. Ale ty nie możesz tego wiedzieć. Bo to jedna z tych spraw, gdy czas wszystko pokaże.

TLR

Rozdział dwudziesty szósty

Decker odwiesił słuchawkę i musiał się oprzeć pragnieniu, by nie dzwonić jeszcze raz. Byłby bardzo szczęśliwy, gdyby się wcale nie rozłączył, trzymając słuchawkę przez całą noc pod poduszką i posługując się telefonem niczym w dziecięcym interkomie. Ale choć Cindy nadal pozostawała jego córką, nie była już dzieckiem. Zgasił lampkę na nocnym stoliku i owinął się kołdrą, wmawiając sobie, że sen musi w końcu nadejść i zagłuszyć jego smutki. Po jakimś czasie poczuł, że Rina dotyka jego pleców.

Wymamrotał:

Już dobrze, dobrze.

—Wszystko w porządku?

—Jak na razie.

—Sądzisz, że będzie mogła usnąć?

—Mam nadzieję. Jest młoda... prężna... zdecydowana. To bardzo dobre cechy, tylko że ojcu trudno to znieść.

Po pewnym czasie znów poczuł jej dotyk.

—Uważaj, bo dobioreę się do ciebie — powiedział.

—Z której strony? — spytała Rina.

—Każda jest dobra. — A potem wyjaśnił szczegółowo: — No więc tak, jeśli pytasz o jakieś moje ulubione miejsca, to muszę przyznać, że plecy do nich nie należą.

—Jesteś gotów? — zachichotała Rina. — Coś mi się nie wydaje.

Decker odwrócił się twarzą do niej.

—Nie wiem. Możemy spróbować, ale niczego nie obiecuję.

—Trzeba próbować. A może byś tak się... rozluźnił.

—Seks jako czynność rozluźniająca — ziewnął. — Jak ty wytrzymujesz to małżeństwo ze mną?

—Najpierw to zrobmy, a potem pogadamy.

—Potem mogę być zbyt zmęczony, żeby pogadać.

—To pośpimy. Też będzie dobrze.

Pomyślał o tym. Seks i sen. To brzmi jak jakiś plan.

Cindy usłyszała pukanie, gdy już się rozjaśniało, ale upłynęło parę sekund, zanim się zorientowała, co się dzieje. Ktoś stał przed drzwiami. Serce łomotało jej mocno pod mostkiem, odczekała jeszcze parę sekund, żeby ochłonać. Może to był tato? (A jeśli tak, to co ma zrobić?) Ale już chyba raczej Oliver.

Pukanie się urwało.

Pomyślała: „Oliver, jeśli to ty, nie odchodź. Poczekaj chwilkę!”

Powoli zwlokła nogi z łóżka i przywdziała swój różowy płaszcz kąpielowy. Jedno oko miała otwarte, drugie sklezione jakąś zaskorupiałą błonką (chyba musiała płakać przez sen). Podeszła do drzwi, odciągając rękawem klapkę judasza.

— Kto tam?

— Oliver.

Spojrzała przez otwór. Potem odsunęła łańcuch, założony godzinę temu. Podeszła do kuchni, spojrzała na zlew i sprawdziła sznurek, który odgradzałby ją od ewentualnego nocnego gościa. „A czemu nie”, pomyślała. Nie, żeby to miało być jakieś rzeczywiste zabezpieczenie, ale strzeżonego pan Bóg strzeże. Wreszcie otworzyła drzwi.

—Cześć. Wejdz.

—Spałaś.

—Po prawdzie, to tak.

—Pójdę do domu.

—Nie wygłupiaj się! Jak już jesteś, to przynajmniej wejdz.

Nie spuszczała z niego wzroku, póki nie wszedł i nie usiadł na łóżku. Lubiała tę jego kurtkę, powiedziała mu to.

—Tak? — Strzepnął jakiś pyłek. — To Valentino.

—Naprawdę fajna.

— Dzięki. — Uśmiechnął się do niej. — To ładnie z twojej strony, że to zauważasz. A co z tobą? Długo spałaś?

— Cztery, może pięć godzin.

—Chyba wciąż jeszcze potrzeba ci snu. Powinnaś pospać dobre dwa-
naście godzin.

—Powinnam. — Spojrzała na jego sfatygowaną twarz. — A co z tobą?

— W porządku.

—Nie było cię w domu. Co tu robisz? Sprawdzasz mnie? Przecież są
jeszcze telefony, Oliver.

—A co z nich za pożytek, jeśli ktoś nie odpowiada. Nie widziałem tu
twego ojca, więc pomyślałem... — Podniósł ręce i wstał. — Nie martw
się o mnie. Jest niedziela rano. Kropnę się do łóżka, zjem nachos i będę
oglądał rozgrywki.

—Zapomniałeś o piwie.

—Ach tak, zapomniałem. No, to dobranoc.

— Nie chcesz się trochę położyć na kanapce, Oliver? Już bardziej jej
nie zniszczysz.

— A jak długa jest ta twoja kanapa?

—Ponad dwa metry.

Pomyślał chwilę.

—Masz czyste prześcieradła?

—Bardzo czyste. Upraliście je wszystkie z tatkiem.

— To dobrze. — Nogi zaczęły mu drżeć. — Jeśli mam być szczery, to
jestem zupełnie skonany. Spędziłem sporo czasu na miejscu zderzenia...

— O Boże! Co to było?

— Nic wielkiego, nic, czego by się nie można było spodziewać. Brud-
na robota. Nie brałem prysznic, nie chciałem ci powalać mebli.

— Twój pot wciąż za mną chodzi.

Oliver uśmiechnął się z wysiłkiem.

—Czy nie mógłbym się tu trochę przespać? Jeśli z tobą wszystko w po-
rządku.

—Nic mi nie dolega. — Czuła, jak coś ścisną ją w gardle i dławi. —
Nawet będzie mi się lepiej spało.

Uśmiechnął się szerzej.

— To wspaniale.

Podeszła do niego, twarzą w twarz, z rękoma na jego piersi. Uniosła je wolno do jego ramion.

—Będzie mi się lepiej spało, jak nie będę sama.

—Nie jesteś sama.

— Miałam na myśli, sama w swoim łóżku. — Odsunęła się od niego na krok i dotknęła ręką jego piersi. — Ale z ciebie tępak!

Wziął ją w ramiona i mocno przycisnął do siebie, spodnie zaczęły mu przeszkadzać. Objął ją ciasno, nogi tak mu osłabły, że ledwo mógł ustać. Napięcie całego dnia mieszało się z porywem pożądania. Była takim dzieciakiem, w tym samym wieku co jeden z jego synów. Była czyjąś córką, czyjąś małą dziewczynką. Sęk w tym, że nie dla niego była tą małą dziewczynką. Dla niego była ognistą dziewczyną o rudych włosach i idealnie ciasnym tyłku. Tym, a nie kimś innym. Bo gdyby o niej pomyślał — o niej jako o osobie — usechłby na wiór.

—Chciałbym tylko mieć pewność, że wiesz, co robisz.

—A ty nie wiesz, co robisz?

—Nie.

— Dobra, jeśli ma ci to przynieść ulgę, to nie jesteś już tutaj ekspertem.

Znajdował się w takim stanie, że mógł wątpić, czy to się dzieje naprawdę. Podobnie ona. Jej chłód znikł gdzieś bezpowrotnie. W jej oddechu był teraz żar pożądania. Pragnęła go, śpiąc snem młodości. On zaś, po tym jak przyszli na świat jego synowie, był już naznaczony piętnem nieustannej uwagi, która nigdy całkowicie nie wygasła, nawet podczas najtwardszego snu.

Nie była to wcale roztropna decyzja — to, że był teraz z nią. Tyle już jednak było tych fatalnych decyzji w jego życiu, a ta na pewno nie było najgorsza. To bardzo skomplikowana sprawa. Niedobrze, że mu się podobała. Chciałby robić to z nią znowu i znowu. A on podobał się jej. Też by chciała robić to z nim znowu. Więc... jeśli powtórzą to dostatecznie wiele razy... powszechnie będzie wiadomo, że są parą. A to by już mogło

wiele skomplikować. Deckerowi na pewno by się to nie spodobało, ale Decker i tak go nie lubił. Więc tym nie ma się co tak przejmować.

Ale nie, to nie może być prawda. Tyle rzeczy to zmienia...

— Nie śpisz, Oliver?

Brzmienie jej głosu wyrwało go z tych rozważań.

— Tak. A co, bardzo się wiercę?

— Wcale się nie ruszasz.

— Ach tak... — Odetchnął głęboko. Może wcale nie spała. Może więc jej nie zbudził. Może nie był tak dobry, jak mu się zdawało. — No, co tam?

— Hayley Marx tu była.

Na dźwięk tych słów coś wywróciło mu się w brzuchu. A miał już nadzieję, że Cindy nie weźmie tego tak do siebie.

— Tak?

— Pogadałyśmy sobie trochę. — „Ho, ho”, pomyślał Oliver. „Niezbyt dobrze się to zapowiada”. — I wiesz, podsunęła mi, że to być może... że może to taki kawał na własnym podwórku.

— O czym ty mówisz?

— O włamaniu do mego mieszkania — ciągnęła Cindy. — Że może to któryś z chłopaków z komendy spletał mi takiego figla.

Oliver usiadł na łóżku i ściągnął z kolan kołdrę. No dobra, może ona i Hayley nie odnoszą tego do niego. Może w ogóle jego osoba nie przysła jej do głowy. Wciąż jednak wracała do tego włamania. Powinien pewnie odczuć ulgę, widocznie on sam nie był dla niej aż taki ważny. To czemu poczuł się taki zdruzgotany? Więc skoro nie mógł jej olśnić swą sprawnością seksualną, to może przynajmniej mógłby ją rzucić na kolana swą akuratnością pracy detektywa.

— Co takiego sugerowała ta Marx?

— Jak ona mi to przedstawiła? — Cindy obróciła się i usiadła obok niego, kładąc mu głowę na ramieniu. — Wiesz, to takie śmieszne...

— Co ty mówisz?

— Jakby ci chłopcy sprawdzali mój hart ducha. .

— Kładąc ci góvienko na łóżku?

Cindy nic nie powiedziała. Mimo ciemności mogła rozróżnić jego profil. Prosta linia nosa, mocno zarysowane policzki.

—Co o tym myślisz?

—Co myśle? — „Nie wracać do tego za szybko. Nie dać się jej zaskoczyć”. — Pytasz mnie o zdanie?

—Tak, pytam o twoje zdanie. Czy nie sądzisz, że to włamanie to mógł być psikus, który mi splatali jacyś tam chłopcy z komendy?

Tym razem wyraziła się bardzo jasno. Oliver wreszcie pojął, że oczekuje od niego konkretnej pomocy, a nie jakichś tam teoretycznych rozważań.

—Niektórzy z tych chłopaków na służbie to zasrane mendy. Zwłaszcza dla kobiet, a już najbardziej nowicjuszek. Ale ktoś, kto zostawił ci gówno na łóżku, musi mieć ze sobą poważne kłopoty.

—Więc nie zgadzasz się z Marx?

— Cindy, facet, który ci to zrobił, nie jest taki głupi. Nie rozbił ci w domu namiotu ani nie przyciął ci kołdry. Wymłócił ci mieszkanie bardzo złośliwie i metodycznie. To musi być palant, który pała prawdziwym gniewem i gwałtownością i kieruje się przy tym swoistą wendetą albo żywi wobec ciebie jakieś chorobliwe fantazje erotyczne jako twój wyimaginowany partner. Już sam fakt, iż Marx sugeruje, że mógł to być braterski psikus policjanta-faceta, stawia tę sprawę w innym świetle. Szczerze mówiąc, bardzo mnie dziwią takie jej sugestie. Byłbym nawet podejrzliwy... co do jej intencji.

—Czemu? Sądzisz, że to ona się za tym kryje?

—Nie wiem. A twoim zdaniem to może być ona?

—Nie widzę żadnego powodu, by tak sądzić. — Cindy usiadła prosto. — Chyba że ona myśli, że ja... odbiłam jej ciebie, albo... nie wiem, jakby się mogła o tym dowiedzieć, że ty i ja... — Głos jej spoważniał. — Chyba że ty jej coś powiedziałeś...

—No dalej. — Oliver zmarszczył brew — Takim kutasem to już nie jestem.

—Tylko że to właśnie ciebie ona ma mi za złe.

—Trudno mi się z tym nie zgodzić, choć nie sądzę, żebym był dla niej taki ważny! — Oliver cały zeszywniał, z wyjątkiem jego chuja, który leżał bezwładnie jak zwiędła roślina. — Zdaje się, że namiętność nie rozsądzi nam tej nocy.

Przytuliła się do jego piersi.

—Przepraszam cię.

—Przybywasz jak z piekła. — Znów ją odepchnął. — Na twoje pierwsze pytanie muszę odpowiedzieć nie. Nie sądzę, żeby to miał być kawał jakiegoś gliniarza. Oczywiście, wiem, że gliniarze robią takie rzeczy. Też mi się zdarzyło zrobić parę głupstw. Ale nigdy nie niszczyłem wnętrza czyjegoś domu i nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby zostawić na czyimś łóżku psie łajno, nawet gdyby to miało być łóżko mojej ekszony!

Pewność siebie opuściła Cindy. Miała bowiem powody, by sądzić, że mogłaby to być sprawka jakiegoś funkcjonariusza policji. Wydawało jej się to nawet mniej groźne niż działania jakiegoś nieznanego zbrojnego. A przecież wiedziała, jak groźni mogą być policjanci. Po pierwsze, zawsze noszą ze sobą broń.

—Już sama nie wiem. A ty?

—Wieczorem mózg mi wysiada.

—To fatalnie.

—Cindy, może powinniśmy spróbować... bo ja wiem... cieszyć się chwilą. — W pokoju zrobiło się cicho. — Jeszcze raz, czemu by nie. — Spojrzał na jej zegarek przy łóżku: trzecia dwadzieścia. — A może powinniśmy po prostu starać się zasnąć.

—Spróbuj. — Wzięła książkę z nocnego stolika. — Ja się wyłączam.

—No dobrze, już dobrze. — Oliver chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. — Jak ojciec i córka, ot, cała sprawa. Powtórz mi te mądrości Marx tak wiernie, jak tylko pamiętasz.

Cindy potarła oczy.

—Powiedziała, że to może być coś w rodzaju tajemnego rytuału. Zabrzmiało to dość przekonywająco.

—A na czym opiera to przypuszczenie?

—Jej też płatano podobne psikusy. — Przeszła do opowieści Marx o jej wozie. — Takie rzeczy zdarzają się, prawda?

—Tak, to się zdarza.

—Więc to jest dość wiarygodne, prawda?

—Całkowicie wiarygodne.

—To obrzydliwe.

—Nie tylko obrzydliwe, także głupie i bardzo groźne. — Spuścił wzrok. — Już powiedziałem, czuję wyrzuty sumienia z powodu swego udziału w tych kretyńskich kawałach. Ale nigdy nie posunąłem się do tego, by podrzucać komuś gówno dla większego efektu. Więc jeśli nie ma po temu powodów, to kto, u diabła, miałby to robić? Czy mówiliście jeszcze o czymś?

—Tylko o ewentualnych podejrzanych. Powstała taka lista kandydatów.

—A kto jest na górze tej listy?

—Trapper.

—Przeceniasz sierżanta.

—Jest na samej górze.

—A kto jeszcze? Lopez?

—Taa, mówiliśmy trochę o nim. Człowieku, ale się po nim przejechała! Dla mnie to trochę kretynek, ale Hayley naprawdę nie zostawiła na nim suchej nitki. To było okropne. Wpadła potem do mnie i pogadałyśmy sobie od serca. Myślę, że wiedziała, o czym mówi.

—Dlaczego Lopez ci podpadł?

—Chce być dowcipny. Naśladuje w tym swego partnera, niejakiego Tima Watersa, prawdziwego palanta.

—Nie znam go.

—Hayley mi mówiła, że ten Waters to wredny skurwiel.

—Większość gliniarzy jest taka. O czym jeszcze Marx ci nawijała?

Hayley gadała mnóstwo różnych rzeczy, Cindy wydobywała je teraz z pamięci.

—Mówiła, że Bederman mnie nie lubi. Konkretnie, że facet ma na mnie oko i nie chodzi tu wcale o seks. Choć nie mam pojęcia, o co by mu mogło biegać. Gadałam z nim nie dłużej niż może dziesięć minut.

—Bederman, Bederman... — Oliver powtarzał sobie to nazwisko. — Coś mi to przypomina. Jak on ma na imię? Rich czy coś podobnego?

—Rick.

—Tak, przyszedł tu do pracy wtedy, gdy ja odchodziłem. Miał za sobą rok czy dwa służby. To było dziesięć lat temu. W jakim jest wieku? Ze trzydzieści pięć lat?

—Mniej więcej.

—Puszył się jak paw. Pamiętam, że go nie lubiłem. Ale może patrzyłem na niego zawistnym okiem i oceniałem go jako rywala.

—Przynajmniej uczciwie to przyznajesz.

—A dlaczego, cholera, miałbym coś skrywać? To już jest poza mną. Czemu ona uważa, że on cię nie lubi?

—Nie wiem.

—Miałaś z nim jakieś kontakty?

—Już ci mówiłam. Rozmawialiśmy może dziesięć minut, łącznie z tą ostatnią nocą.

—Rozmawiałaś z nim ostatniego wieczoru?

—Tak, on i jego partner siedzieli z Marx, kiedy weszłam do Belliniego.

—O czym gadałaś z tym facetem?

—Wcale nie rozmawialiśmy, póki Marx nie przeszła do innego stolika, bo chciała się przypodobać Lopezowi, który odszedł od nas rozgniewany. Bederman prawił mi nauki, żebym nie sypiała z żonatymi facetami, jak to czyni Marx. Przypieprzał się do niej.

—I miał absolutną rację. Tylko dziwne, że akurat tobie to mówił. Wspominałaś mi coś o jakimś ogonie, który cię śledził.

Wiesz, jesteś taka Pani Pierwsza Naiwna, której daje się przyjacielskie rady. Tymczasem on miałby chętkę pogrzebać ci w majtkach. Odpaliłaś go kiedyś czy jak?

— No, niezupełnie. Słuchałam go, ale uważałam, że to było trochę nie w porządku, przecież wiedział, że byłam z Hayley. A potem, kiedy już

sobie poszedł, jego partner Sean Amory, zaczął coś nawijać. Teraz sobie to przypominam. Powiedziałam mu, że randki policjantów mnie nie obchodzą, to ich sprawa. Po prostu podtrzymałam rozmowę. I na tym się to skończyło.

Siedząc tak w ciemności, czuła, jak pali ją twarz. Na szczęście Oliver nie mógł tego dostrzec.

— Ale to wszystko, co mówię, może być trochę przesadzone, bo przecież jestem z tobą w łóżku.

Oliver roześmiał się. Jego myśli były jednak gdzie indziej.

— Czy masz z którymś z nich jakiś zawodowy kontakt?

— Asystowaliśmy z Grahamem Bedermanowi przy paru wezwaniach. Zdarzało się to kilka razy. Bederman wciąż odnosił się do Grahama jak do swego partnera. Według tego, co mówił Bederman, nadal pozostają przyjaciółmi.

— Naprawdę?

— Oczywiście, uważasz, że to ważne? — spytała po chwili.

— To interesujące. Jak się ten Graham nazywa?

— Beaudry.

— Taa, a co Beaudry myśli o Bedermanie?

— Graham nie rozmawiał o Bedermanie. Ale Bederman mi powiedział, że Graham uważa mnie za bystrą osóbkę... to takie prowincjonalne! On mnie lubi, ale ona go nie lubi, a oboje mnie lubią... ple, ple, ple.

— To czemu nie są partnerami, jeśli wciąż mają do siebie zaufanie?

— Do tego nie doszłam.

— Kto poprosił o przeniesienie?

— Bederman.

— Spytaj więc swego partnera, czemu nadal przyjaźni się z Bedermanem i jest na każde jego zawołanie.

— A co bym mogła usłyszeć?

— No, chyba nie prawdę — stwierdził Oliver. — Pytasz o powody zmiany partnera, to nie jest neutralne pytanie.

— Chodzą takie pogłoski, że Bederman poprosił o przeniesienie, bo Graham był za wolny — powiedziała cicho Cindy.

—Za wolny?

—Kiepsko biegał, za ciężko się ruszał. W pościgu pieszym Bederman odwalał całą ciężką robotę, a Graham pojawiał się wtedy, gdy trzeba było zatrzaskać kajdanki.

—Uważasz, że to prawda?

—Beaudry nie bił może olimpijskich rekordów, ale nie sędzę, żeby się wykręcał. — Wróciła myślą do tego zdarzenia sprzed kilku dni, gdy natknęła się na drodze na pijanego Rosjanina. Napociła się przy tym, to ona musiała zrobić wszystko, co trzeba.

—Ale to nie są gołosłowne pogłoski? — Nie ustępował Oliver.

—Może nie jest aż tak źle...

—Jeśli ktoś rozsiewa plotki o swoim byłym partnerze, to chyba nie jest z nim w najlepszej komitywie.

—Graham nie jest taki drażliwy.

—Nie, Cindy, to tak się nie da. Nie będzie przecież tolerował takiego gówna, bo do niego przylgnie. A jeśli sobie na to pozwala, to też o czymś świadczy. Wiem, jak to jest u tych mundurowych. Coś tu nie gra. — Cindy zbyła to milczeniem. — Jeśli po przeniesieniu nadal przyjaźnisz się z gościem, to dla mnie znaczy, że zerwaliście ze sobą, ponieważ dalsza współpraca byłaby niebezpieczna.

—Nie mam pojęcia, co by się mogło za tym kryć.

—Musieli zrobić razem coś brudnego, Cindy. Uszło im to na sucho i rozdzielili się, bo gdyby zostali razem, zaczęto by wokół tego węszyć.

—Nie, chyba nie masz racji.

—Niby czemu?

—Bo znam Grahama. Jest czysty.

—A jak go znasz?

Cindy zawahała się, ale nie umiała znaleźć odpowiedzi.

—Ile z nim jesteś? Sześć miesięcy? Osiem? To jeszcze nic, Decker. Zupełnie nic. Dwa lata byłem w parze z gościem, zanim się przekonałem, że brał.

—I co zrobiłeś?

—Zażądałem przeniesienia. Ale coś ci powiem. Nie zostaliśmy przyjaciółmi.

—Kiedy to było?

—Na początku mojej pracy w Hollywood. Kiedy jeszcze wierzyłem w prawdę, sprawiedliwość i wszystkie te gówna.

—Doniosłeś na niego?

—W życiu! Brał od dilerów prochów. To nie jest rzecz godna pochwały, ale w końcu nie jakieś morderstwo. Widzisz gotówkę na stole i podnosisz dwudziestkę. A potem pięćdziesiąt albo sto. Nikt o tym nie wie. Nikt nie ponosi szkody. To pokusa. Mnie też kusilo. Ale tego nie zrobiłem. Ot, cała różnica.

—Go się z nim stało?

—Zwolnił się po odsłużeniu swoich dwudziestu lat. Ostatnio słyszałem, że pracuje jako ochroniarz.

Cindy skrzywiła się. Wyglądało to na banalne zakończenie czegoś, co nadawało się na moralistyczną powiastkę.

—Nie złapali go?

—Nie, nie złapali. Większości uchodzi to na sucho, jeśli nie są zbyt chciwi. Ale jeśli za długo się w tym kręcisz, mogą zacząć coś węszyć. Oczywiście są tacy, którzy nigdy nie biorą. Tylko że nie awansują, niezależnie od tego, ile odznak dekoruje ich skautowski mundurek, ponieważ są zbyt zajęci oglądaniem się za siebie. To nie moralność trzyma cię prosto. To strach, żeby cię nie przyłapali i nie spuścili twych marzeń do ubikacji. W mojej rodzinie było pełno gliniarzy, ale żaden z nich się nie obłowił. Cholera, byłem frajerem już od kołyski.

—Tobie się udało.

—A w diabły z tym, udało się. Partoliłem wszystko, czego się tknąłem.

—Nie zawodowo...

—Nieprawda. Zawodowo i prywatnie. Nie możesz spieprzyć jednego, żeby nie spieprzyć reszty. Oto przyczyna, dlaczego twój tato daleko zaszedł, a ja jestem, gdzie jestem. Zbyttno się rozpraszałem, wierząc w swój własny wizerunek. A potem byłem już za stary. Tak czy siak, w tej chwili nic nie znaczę. Opowiadam ci to wszystko, bo wiem, że dwa i dwa

to pięć. Coś jest nie tak. A ty mi gadasz, że cały twój kontakt z Bedermanem ogranicza się do tej jednej rozmówki w pewnym barze i paru przygodnych spotkań?

Podciągnęła kolana.

—Opowiadałam ci o tym przyjęciu, zaraz po tym, jak mnie przydzielili do Hollywood.

—Tak, takie otrzęsiny żółtodzioba. To było akurat wtedy, gdy odpuścili sprawę Craytona. Rozmawiałaś też z Craigiem Barrowsem.

—Co za pamięć. Nie pamiętam, żeby Bederman za wiele gadał.

— To co on robił?

— Tylko słuchał, jak mówiłam o Craytonie.

Oliver nagle się zainteresował.

—Co konkretnie mówiłaś o Craytonie?

—Tylko to, że znałam go z fitness klubu.

—Nie wspominałaś czegoś o tej strzelaninie?

—Nie, posiadam jeszcze resztki zdrowego rozsądku.

—Czy pytał cię o coś albo wygłaszał jakieś uwagi?

— Nic takiego, co mogłabym sobie przypomnieć.

Crayton, Bederman i Barrows: jak oni się razem zetknęli?

Bederman pracował w Hollywood. Tarkum porwano w Hollywood. Zabójstwo Craytona zdarzyło się w Devonshire. Jeśli wierzyć tej Stacy Mills, za porwaniem wozu Craytona stała Lark Crayton, może nawet za jego zabójstwem. Czy porwanie wozu Stacy Mills to także jej sprawka?

—Czy nazwisko Stacy Mills coś ci mówi? — zapytał.

Cindy usiadła prosto, czując, że serce jej zamiera.

—Ty ją znasz?

Teraz Olivera coś poderwało.

—A ty ją znasz?

—Z tej samej sali, w której ćwiczyliśmy z Armandem...

—O Jezu, Jezu — wykrzyknął Oliver. — Właśnie porwano jej wóz...

—Co takiego? — Poczwała, jak w piersiach coś ją ścisła.

— Kiedy to się stało? Nic jej nie jest?

—Czuje się dobrze, ale była w prawdziwych opałach. Powiedziała, że zna Lark Crayton. A co z Armandem? Czy była jego przyjaciółką?

—Nie wiem, czy byli przyjaciółmi. Parę razy widziałam, jak rozmawiali ze sobą.

Oliver aż się zapalił.

—Czy doszło między nimi do czegoś intymnego?

—Nic takiego, o czym mogłabym mówić. — Nabrała tchu.

— Biedna dziewczyna! To straszne!

Ale Oliver nie dzielił jej współczucia. Suka okłamała Margę i jego. Znała Armanda. Może go znała zbyt blisko i właśnie dlatego bała się Lark.

—Czy Stacy Mills wie, że przyjaźniłaś się z Craytonem?

—To była tylko luźna znajomość.

—Nie kręć. Była świadoma tego, że znałaś Craytona?

—No pewnie. Rozmawialiśmy parę razy, piliśmy sok. — Cindy oblizła wargi. — Wiedziała, że jestem na akademii. Powiedziała, że gdybym już miała dość tego gliniarstwa, mogłabym spróbować sił w jej fachu. To znaczy, mogłabym być tym, czym ona... instruktorką indywidualną.

—Wciąż nią jest. Przynajmniej tu nie zełgała.

—A jakie kłamstwa wam wciskała?

—Powiedziała nam, że pracowała z Lark Crayton i ledwo zna Armanda.

—Może to prawda. Nie wyglądali na parę najlepszych przyjaciół.

—Stacy wspominała, iż żona Armanda sądziła, że on ma kobiety na boku. Może myślała, że to ty. Może dlatego do ciebie strzelano. Czy byłaś z nim bliżej niż Stacy?

—W ogóle nie byłam z nim blisko...

—Kto częściej rozmawiał z Armandem? — przerwał jej Oliver. — Stacy czy ty?

—Wiem, dokąd zmierzasz. Że Stacy była zazdrosna o to, co mogło być między Armandem a mną. Ale z tego, co zaobserwowałam, Stacy nie była nim zainteresowana.

—Może i nie była. Utrzymywała, że lepiej zna Lark niż Armanda. Może Lark jej płaciła za to, by dla niej szpiegowała, i doniosła żonie, że Armand się z tobą wygłupia.

—Nie było żadnego powodu, żeby Stacy mogła tak myśleć — wykrzykiwała teraz Cindy. — Armand i ja nigdy nie byliśmy ze sobą blisko.

—Ale powiedzmy, że Stacy dostawała od Lark pieniądze za to, że w ogóle coś jej powie. Więc gdyby nie dostarczała informacji, Lark przestałaby jej płacić, no nie? — Oliver próbował ułożyć pewien obraz. — Stacy zrobiła na mnie wrażenie kobiety uganiającej się za forszą.

—Więc Lark Crayton strzelałaby do nas, bo Stacy jej powiedziała, że coś nas z Armandem łączy.

—Raczej wynajęła kogoś, żeby do ciebie strzelał. Według Stacy Lark zajmowała się wówczas mnóstwem różnych rzeczy, chodziło jej głównie o to, by pozbyć się Armanda. Wprawdzie niespecjalnie jej wierzę, ale gotów jestem postawić na to, że jak każdy kłamca miesza prawdę ze zmyśleniem.

—Boże, jesteś pewny, że tak było?

—Bardziej niż ty. Jej mieszkanie jest całe.

—Nie mogę w to uwierzyć... — Zagryzła usta, żeby się uspokoić. — Do czego to doszło!

Oliverowi wpadło coś nagle do głowy. „A może to ten policjant, który był asem atutowym Lark. Bederman”.

—Ten Rick Bederman... czy to nie brzmi dla ciebie z niemiecka? — zapytał.

—Co takiego?

—Czy nazwisko Bederman nie trąci niemczyzną?

—Dla mnie to jest nazwisko amerykańskie.

—Ale gdyby tak pogrzebać w narodach europejskich, do czego to by mogło być podobne?

—Angielskie... holenderskie... może niemieckie. O to ci chodzi?

—Stacy Mills powiedziała nam, że Lark miała swego asa atutowego...

—Asa w rękawie.

—Co?

—Czy zwrot: „as w rękawie” brzmi dla ciebie dziwnie?

—Rozpraszasz mnie.

—Wal dalej.

—Lark miała w zanadrzu pewnego faceta o argumentach nie do odrzucenia i o niemieckim nazwisku. Myślę, że to glina, i sędzę, że to Bederman.

—Dlaczego miałyby to być Bederman? Lark mieszka w Foothills, Bederman pracuje w Hollywood. Gdzie jest to ogniwo łączące?

—Dexter Bartholomew — stwierdził Oliver. — Porwano jego żonę. Sądziłeś z Marge, że Dex postarał się, by dać starszej pani nauczkę, gdyż zabawiała się z Craytonem.

—Dex miałby porwać wóz swej własnej żony?

—To całkiem możliwe.

—Czy masz jakiś dowód na poparcie tej tezy?

—Nie. — Oliver przetarł oczy. — Chyba powinienem wziąć ołówek i trochę papieru, żeby zobaczyć to przed sobą. Muszę sporządzić diagramy. Wiem, że to wszystko jest ze sobą powiązane, ale jestem teraz zbyt zmęczony, żeby to jasno zobaczyć.

—Lark posłużyła się Bedermanem, żeby mnie ostrzec... czy może raczej nastraszyć Armanda. A potem posłużył się nim Dexter Bartholomew, żeby porwać wóz własnej żony i ukarać ją w ten sposób za domniemany romans.

—Coś w tym rodzaju.

—Więc kim się posłużono, żeby porwać wóz biednej Stacy Mills? I dlaczego właśnie teraz? Czemu nie rok temu? Lub choćby pół roku temu?

— Dopiero zaczęliśmy rozplątywać cały ten bałagan, reinterpretując wszystko to, co wiemy. — Zwrócił się do Cindy: — No i to gównu u ciebie w mieszkaniu... być może to ostrzeżenie dla ciebie.

—Ostrzeżenie przed czym?

—Nie wiem — przyznał Oliver.

—Czemu nie porwali mi wozu jak tym innym kobietom?

—Trudno porwać wóz policjantce... jest uzbrojona.

Cindy westchnęła.

—Jestem już zbyt zmęczona, żeby pojąć te wszystkie zawiłości.

—Ja też. — Ziewnął na poparcie tych słów. — Porozmawiamy o tym rano, gdy zjawi się tu twój ojciec. Może wniesie coś świeżego.

—Rano ma tu przyjść mój ojciec?

—Tak.

—Powiedział ci?

—Nie, ale znam ojców i znam Decka, a dodając do siebie te elementy, mogę przewidzieć z całą pewnością, że będzie tu jutro rano... powiedzmy o dziesiątej. — Oliver wstał. — Dlatego lepiej przeniosę się na kanapkę. Tak nas ujrzy, kiedy rano się zjawi. Będzie miał jakieś podejrzenia, ale nie będzie miał pewności.

Cindy zamyśliła się.

—Więc wolałbyś to ukryć.

—Cholera, tak, wolę to ukryć. Pracuję z nim, Cindy. Jeśli będę musiał stawić temu czoło, powiem mu prawdę. Ale Deck nie jest na to przygotowany, i ja też nie jestem gotów. Jeśli to wygląda na tchórzostwo, niech tak będzie.

—Chyba masz rację, tak będzie najlepiej.

Oliver odetchnął z ulgą. Jak dotąd, zachowywała się nad podziw dobrze, zupełnie jakby była chłopakiem, a nie dziewczyną. A może ta nowa generacja już taka jest.

—Ale mam jeszcze jedną prośbę.

—Mów.

— Skoro nie jest prawdopodobne, żeby tatko wpadł tu w ciągu najbliższych... no, powiedzmy trzydziestu minut... może powinniśmy lepiej wykorzystać tę sytuację.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

—Ogólnie biorąc, świetna myśl. Tylko że ty jesteś młoda, a ja stary. Więc jeśli zasnę, nie bierz tego do siebie.

—Wiesz, masz ogromną skłonność do samoobwiniania się.

—Nie bez powodu. W moim wieku tylko dzięki temu mogę jeszcze zadawać się z kobietami.

Cindy rozebrała go.

— Mam nadzieję, że nie zepsuje ci to humoru, ale lubię cię, Oliver. Podobasz mi się i uważam, że jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

Oliver pocałował ją w usta.

— Ja też cię lubię. I chyba cię nie zrani, jeśli ci wyznam, że jesteś ogromnie pociągającą kobietą. — Zajrzał jej głęboko w oczy, głównie dlatego, żeby nie patrzeć na jej piersi. — Dziecinko, jesteś tak piękna, że cokolwiek powiesz, nie zepsuje mi to humoru.

TLR

Rozdział dwudziesty siódmy

Pukanie było delikatne, ale Oliver spał tak czujnie, że już przy trzecim stłumionym stuknięciu stał z ręką na klamce. Uchylił drzwi i położył palec na ustach, wskazując kciukiem łóżko Cindy. Twarz Deckera była bez wyrazu; Oliver wiedział z doświadczenia, że to oznacza, iż był wściekły. Może chodziło o ubiór Olivera — był tylko w samych majtkach. A co się tu musiało wyrabiać. Nawet w tym wieku budził się z przygodnymi panienkami. Odstąpił na bok, ujrzał, jak oczy Deckera ogarniają pokój, zatrzymując się na zmiętej pościeli na kanapce. Nic nie mówiąc, Oliver wciągnął spodnie.

Wzrok Deckera przykleił się do pościeli. W pokoju nie było aż tak zimno, żeby ochłodzić szalejące w nim piekło. Może Cindy jakoś sobie poradzi z temperaturą jego uczuć. Taką przynajmniej miał nadzieję.

— Czy wszystko w porządku?

— Tak, Cindy czuje się dobrze. Musieliśmy w nocy trochę pogadać. — Oliver zerknął na zegarek. Była jedenasta. Decker miał przynajmniej tyle przyzwoitości, że zjawił się o jakiejś rozsądnej porze. — Opowiem ci o wszystkim. Weź sobie kawy.

— Nie chce mi się tu gadać — stwierdził Decker.

— Rozumiem. Też nie chcę, żeby Cindy słyszała, o czym mówimy. Sam wiesz, jak to jest, gdy się roztrząsa jakieś sprawy. Mówi się wszystko, co tylko przychodzi do głowy. Można dostać kręcka.

Na obliczu Deckera dało się wreszcie spostrzec jakieś uczucia. Ten pusty wzrok, który ujawniał drażący go setki lat ból.

— Stało się coś złego, Oliver?

— Loo, nie mam pewności, czy coś jest nie tak poza tym zwykłym gównem, jakie przechodzą kobiety, kiedy są nowicjuszkami.

— O jakim ty gównie mówisz?

— Właśnie o tym chcę porozmawiać. — Oliver zapiął koszulę, wsunął ją w spodnie, a potem włożył kurtkę. Powinien wziąć prysznic. A, co tam, Decker nie takie rzeczy wahał. — Powinienem sporządzić notatkę.

„Co on gada? Ten pieprzony, nędzny palant". Musi przestać o tym myśleć, powtórzył sobie tylko w pamięci, co usłyszał. Wygląda na to, że Oliver spędził tu noc. Może i miał jakieś seksualne zamysły, ale faktem jest, że opiekuje się jego córką.

— ...gdzie ona trzyma papier i ołówki? — usłyszał głos Olivera.

— Ach, zwykle je chowa w szufladzie w kuchni.

Oliver wszedł do kuchni. Ostry blask słoneczny wpadał przez rozsunięte żaluzje, zmuszając go do mrużenia przemęczonych oczu. Na pół oślepiiony otworzył szufladę i zajął się sporządzaniem odręcznego szkicu. „Wyszła po kawę dla swego tatki. Pewnie za godzinę będzie z powrotem". Zostawił wszystko przy ekspresie i wrócił do saloniku. Sięgnął do aktówki i wyjął z niej ciemne okulary. Jego oczy od razu odczuły ulgę.

— Czy masz klucz, żeby zamknąć drzwi? — spytał.

Decker stłumił narzucającą mu się odpowiedź: „Myślisz, że tylko ciebie ma na głowie, śmierdzący sukinsynu?" Lepiej się wstrzymać od uwag. Czy czułby podobną wściekłość, gdyby Scott był bardziej zbliżony do niej wiekiem? Czy miałby mu za złe, gdyby wydymał jakąś młodą dziewczynę, która nie byłaby jego córką? Może powinien spróbować... choćby tylko spróbować... spojrzeć na to bardziej obiektywnie. Kto tu jest słabszy? Oliver ma już swoje lata, a Cindy jest bardzo młoda, otwiera się przed nią wiele możliwości. Poza tym Cindy nie cierpi głupców, zwykle mówi, co myśli, nie oglądając się na ludzkie słabostki i ułomności. Jeśli któreś z nich miałyby ponieść klęskę, to on. W takim razie powinien raczej współczuć Oliverowi. Bo trudno znosić takie porażki, kiedy jest się już starym.

— Poruczniku, jesteś tam jeszcze? — zaniepokoił się Oliver.

— Jestem, jestem. — Decker uniósł pęk kluczy. — Mam ten klucz. Chodźmy.

Wszystkie znane kawiarnie wypełniał poranny niedzielny tłum. Pełno było także w starym sklepiku z kawą, wyłożonym zniszczonymi szarymi kafelkami, ze sfatygowanymi czerwonymi kabinkami, uwijającymi się, zmęczonymi kelnerkami w wyblakłych brązowych fartuszkach i białych

klapkach na grubej kauczukowej podeszwie. Poprosili o miejsce gdzieś w głębi lokalu; poszli w ślad za Sally i jej olśniewająco blond fryzurą, mijając po drodze kontuar, gdzie jakiejś dwa nędznie wyglądające typki piły kawę i chrupały tosty. Siedli w ustronnym miejscu, jeszcze parę chwil i Sally wróci z dwoma parującymi kubkami kawy. Wyjęła swój bloczek i czekała.

Decker wyciągnął z portfela dziesiątkę.

—Kawa mi dobrze zrobi. — Wręczył jej banknot. — To za ustronne miejsce.

Wzięła banknot.

—Gliny czy przestępcy?

Decker uśmiechnął się, pokazując jej odznakę.

—Ach, wielki detektyw. Powinnam się czuć zaszczycona?

—To jeszcze zależy od tego, kim jest ten gliniarz.

—A bo to prawda. Między glinami a przestępcami nie ma właściwie różnicy. Nie czytałeś o detektywie, który przytargał dupę do banku, tylko po to, żeby go obrabować? Czy o całej jednostce policyjnej, która wymyśla sobie jakieś historie i pakuje dzieciaki za kratki.

—Masz chyba nie najlepsze zdanie o policji w Los Angeles.

Sally roześmiała się. Przez te zmarszczki na twarzy wyglądała teraz młodziej.

— Dobra, skoro oczekujecie dyskrecji, mogę ją wam oferować. Zostawię dzbanuszek. Jest w nim jeszcze trochę kawy.

Oliver też się do niej uśmiechnął.

—Świetnie.

—Gdybyście chcieli coś zjeść, wystarczy na mnie pomachać.

—Zastosujemy się do tego.

Gdy tylko poszła, Oliver odezwał się, nie podnosząc głosu:

— Wiem, że mówię jak stary pierdziel, ale ta Sally jest jako kelnerka całkiem w porządku. Te młode ogiery w niebieskich kitlach ruszają się, jakby były ciężko chore. To by pasowało do samej góry listy Cindy. Sam wiesz, jak to jest z tymi żółtodziobami, zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety. Poddaje się je próbom. Niektórzy z tym przesadzają.

Decker pociągnął łyk kawy i skrzywił się. Mocna. A może został mu jeszcze w ustach ten kwaśny posmak.

—Włamanie się do czyjegoś mieszkania to cholernie kiepski żart.

—Ale nie można tego wykluczyć. Hayley Marx przechodziła coś takiego, gdy robili jej otrzęsiny w Hollywood. To ona zasugerowała, że może chodzi tu o jakiś tajemny rytuał.

—Jakiego rodzaju?

—Jej wóz stale się psuł, to z jednego powodu, to znów z innego. Może kłamała, ale te skargi wydają się uzasadnione. Poza tym wiemy, że paru chłopaków miało chętkę dobrać się Cindy do dupy. — Oliver zaczął ich wymieniać.—Więc Trapper, Sierz, którego obśmiała. Facet mógł do niej żywić urazę. I ten pankowiec żółtodziób Andy Lopez, który rzucał lubieżne uwagi na jej temat ostatniej nocy...

—Jakie uwagi?

—Wypowiadając się w nieokrzesany sposób o jej dupie czy czymś tam.

—A to gnojek! Zatlukę go!

—Nie wątpię w to, Pete. Ale żeby oszczędzić czas, pozwól że będę kontynuował. — Pochylił się ku niemu. — Ten partner Lopeza, Tim Waters, to prawdziwy psi syn. Ale to wszystko nic, bo trzymając się tego, co mówiła Hayley Marx, zostaje jeszcze ten sprośny Rick Bederman, który ma na nią chrapkę.

Oczy Deckera pociemniały.

— Znasz go?

— Trochę go pamiętam. Taki pierdolony machó, z tego, co wiem. Ale to było dawno temu.

— Dlaczego on się znalazł na tej liście?

— Tego Cindy nie wie. Ale ja bym zaryzykował i powiedział, że tu chodzi o seks. Nie możesz tego wiedzieć, ale Cin nie jest tak wstydliva jak większość kobiet.

Decker upił trochę kawy, żeby ukryć swoje uczucia. Był wściekły, ale także zakłopotany. Przede wszystkim był ojcem.

—Czy ten Bederman dobierał się do niej?

—Dawał jej rady, żeby nie pierdoliła się z żonatymi.

—Gnojek!

— Taa, nie było to zbyt delikatne. Ale warto wziąć pod uwagę, że to on był przedtem partnerem Grahama Beaudry'ego, obecnego partnera Cindy. To interesujące, prawda? I... — pokiwał palcem, żeby to podkreślić — ...co jeszcze bardziej interesujące, po tym jak Bederman poprosił o przeniesienie, on i Beaudry nadal pozostali w przyjacielskich stosunkach.

Punkt po punkcie Oliver przypominał sobie nocną rozmowę. Jego pamięć nie była już tak dobra, jak by sobie życzył, powinien wcześniej wszystko zanotować. Jak miał to jednak zrobić, zważywszy na to, iż był w łóżku na golasa, a ubranie i notes zostały w saloniku. Decker nie przerywał mu ani razu, wziął tylko na samym początku notes. Oliver zastanawiał się, co też on tam nabazgrał. Wiedział, że zaraz będą pytania, i nie mylił się.

Decker próbował przybrać wygodniejszą pozycję, ale siedzenie było kiepskie i wyczuwał pod tyłkiem uwierające go sprężyny. Odezwał się:

— Beaudry i Bederman... myślisz, że zrobili coś podłego.

— Ta myśl mnie nie opuszcza.

Skinął głową.

— Jeśliby tak było, powiedziałbym, że ten Bederman nie udzielił Cindy przyjacielskiej rady. Ani też nie próbował dobrać się jej do majtek. Mówiąc, żeby się nie pierdoliła z żonatymi, przekazał jej w istocie wiadomość: Nie pierdoł się ze mną. Następne pytanie: Czemu miałby to jej powiedzieć? I odpowiedź:

Musiał być przekonany, że Cindy coś o nim wie. Przejrzała jakieś jego brudy.

—Jakie brudy?

—Tego nie wiem, przecież to ty z nią rozmawiałeś. — Decker spojrzał w sufit. — Przyjmijmy na chwilę, że jestem na jego miejscu. Gdyby była dla mnie kimś obcym, pierwsze, o co bym ją spytał, to czy ma coś przeciwko mnie, i zobaczyłbym, jak zareaguje.

—Mówiła mi, że to była krótka rozmowa...

—Dobra. — Decker przygryzł usta. — Myślisz, że ona mówi prawdę? Oliver spojrzał na niego ze zdumieniem.

—Decker, przecież to twoja córka.

—I co z tego! — rzucił. — Odpowiedz mi na to cholerne pytanie! Masz być tylko uważnym policjantem, nic więcej.

„Nic więcej!”

—Tak, uważam, że mówiła prawdę. Nie sędzę, żeby jej przyszło do głowy, czemu ten sukinsyn jej to mówi. — Oliver był poruszony. — O co ci chodzi, powiedz to wyraźnie! Masz cholerne szczęście, że możesz mi ufać.

—No jak myślisz, o co mi chodzi? — Decker znów zmienił pozycję. — To jeszcze nie znaczy, że cię lubię, a tylko to, że doceniam twą lojalność jako policjanta.

Oliver nie odpowiedział. W jakiś mglisty sposób wyczuwał, że Decker wyraża w ten sposób uznanie dla jego kompetencji zawodowej.

—Jeśli mówi prawdę, to znaczy, że ciężko myśli.

—Wiesz, co o tym sędzę? A to, że Bederman sędzi, iż ona zna jego brudy. Co to za brudy i skąd by się mogła o tym dowiedzieć?

—Może od Beaudry'ego. Z tego, że Bederman zapewnia, że nadal są przyjaciółmi, wcale nie wynika, że tak w istocie jest. To się wiąże ze sprawą Craytona, Deck. Bederman słyszał, jak Cindy mówiła, że Armand był jej kumplem z siłowni. Może maczał w tym palce i myśli, że Cindy coś wie. Ktoś do niej strzelał.

—To było już dawno temu.

—Tak, Decker, ale zaczęliśmy znów w tym grzebać. Najpierw wypytyjemy Lark Crayton, potem interesujemy się porwaniem wozu Stacy Mills. Później Marge gada z Bartholomew, a mieszkanie Cindy zostaje splądrowane. Nie wspominając już o tym, że ktoś jedzie za nią camry, a potem wóz zostaje zrzucony z góry w podobny sposób, jak to było z autem Craytona. Układa ci się to w pewien schemat?

—Tylko gdzie tu wsadzić Bedermana?

—Lark wspominała, że miała takiego asa w rękawie, nie do przebiccia. Potrzebowała zawodowca, by to zaaranżować, i Bederman był tym facetem.

—A co łączyło tę Lark z Bedermanem?

—Porwanie wozu Elizabeth Tarkum zdarzyło się w Hollywood. Bederman pracuje w Hollywood. Być może Dex prosił Bedermana, by zaaranżował porwanie jego żony, a Lark przypadkiem to podsłuchiwała...

—To prawie wykluczone, Scott, żeby coś takiego można było łatwo podsłuchać. Poza tym, to z Tarkum było już po Craytonie.

—To może Dex maczał palce w obu tych sprawach — podsunął Oliver. — To zaś skłania nas do przyjęcia, że żona Dexa i Armand mieli ze sobą romans. Bartholomew chciał dać im nauczkę.

—Myślisz, że Dex zawarł kontrakt na zabójstwo Craytona? — wyszeptał Decker. — A przed chwilą sądziłeś, że to Lark zleciła zamordowanie swego męża.

—Ona i Dex byli w zмовie.

—Mogę jeszcze zrozumieć, że Dex zlecił zabójstwo Craytona. Ale nie sądzę, żeby był taki głupi, by zwrócić na siebie uwagę, zlecając porwanie wozu swej żony. Ktoś mógłby to połączyć, tak jak my teraz.

—Nie dość, że głupi, to jeszcze arogant z niego pierwszej wody. Marge twierdzi, że w zarozumiałstwie bije rekordy. — Przełknął fusy i skrzywił się. — Nawiasem mówiąc, to gdzie ona się podziewa? Powinna tu być z nami, razem byśmy wymłócili tę sprawę.

—Marge i Vega są w parku z Riną i Hannah.

—Coś z nią chyba nie tak — podchwycił Oliver. — Najwyraźniej jest pracoholiczką.

—To ją trzyma przy życiu.

—Loo, żyć to znaczy kochać się z jakim zdrowym bykiem Polecieć do Vegas, obejrzyć tam rewię i porzucać kości. Bawie się na przyjęciach aż do świtu. A co ona ma z tego? Bierze dziecko do parku, powdycha trochę kurzu i przyniesie na butach psie łajno, bo nie wierzę, by jakiś palant nie pozwolił, by jego pieszczołch sobie nie pofolgował!

—Rozpiera cię, Oliver? — uśmiechnął się Decker. — A może to brak snu?

—Całkiem możliwe, bo byłem bardzo zajęty pilnowaniem dziecka. — Stukał palcami w stół. — Dobra, załóżmy że Stacy Mills powiedziała prawdę... choć to wygląda na naciąganie. Przyjmijmy, że Lark była na tyle głupia, by podjąć próbę zamordowania swego męża. Więc najpierw wynajmuje kogoś, żeby strzelił parę razy do niego i jego przyjaciółki, ale to zawodzi.

—Cindy nie miała z nim romansu.

—A jeśli ta Lark myśli, że miała? Może Stacy Mills, która wie, że Cindy i Armand są tylko kumplami z siłowni, karmiła Lark fałszywymi informacjami, żeby uzyskać od niej większą zapłatę? Tak czy siak, wszystko wskazuje na to, że Lark wie, kim jest Cindy. Będzie utrzymywać, że dostała taki przeciek. Więc najpierw strzały. Armand staje się bardziej ostrożny. Lark wie, że tu trzeba zawodowca. Rozmawia znowu ze Stacy. Ona dalej dla niej szpieguje. Więc może też naraiła jej tego gorącego faceta. Tylko że to raczej niemożliwe. Stacy może wiedzieć, cc się gada, ale nie wie, jak się werbuje profesjonalnego zabójcę. Rozmawia z Dexem, który daje jej parę nazwisk, ponieważ nie lubi Armanda. Jak ci się to widzi?

— Interesujące. — Decker zerknął do swoich notatek. — Więc Lark rozmawia z Dexem, który podaje jej parę nazwisk gorących facetów. Co dalej?

Oliver spojrział na niego z uznaniem.

—Zapisałeś to sobie?

—Same kluczowe słowa. Kończymy to?

—Dobra. Lark prosi Dexa o pomoc, a on podsuwa jej Bedermana.

—Dlaczego Dex miałby jej pomóc?

—Bo ma żal do Armanda, że podrywa mu żonę — wyjaśnił Oliver. — A potem, już na własną rękę, Lark postanawia zająć się Tarkum, posługując się tym samym kontaktem, Bedermanem. Świetnie, tak to się układa przez parę miesięcy, pół roku, może więcej. Potem mamy różne sygnały o porwaniach wozów i zaczynamy węszyć. I dalej, trafiam w Hollywood na Tarkum i zaczynam zadawać pytania. Boi się, czy nie zdołam tego powiązać z ostatnimi porwaniami. Ale oczywiście mi się to nie udaje, bo sprawa Tarkum przypuszczalnie się nie wiąże z uprowadzeniami w Devonshire. Co o tym sądzisz?

—Mówiłem, że to nie musi się z tym wiązać.

—No więc teraz trafiam na tę Tarkum, a ty od razu musisz pomyśleć o Craytonie, ponieważ oba te porwania dotyczą bogaczy z ich luksusowymi wozami, a nie jakichś nieszczęsnych matek z dziećmi w poobijanych landarach. Potem rozmawiam z Osmondsonem, że porwanie Tarkum przypomina mi sprawę Craytona. A Osmondson zaczyna o tym gadać, dochodzi to do Bedermana. Ten staje się nerwowy. Pierwsze, co robi, to kontaktuje się z Lark. Ona go napuszcza na Stacy Mills, mówiąc, że już raz ucierpiała z powodu jej plotkarstwa, i radzi Bedermanowi, żeby ją postraszył, to może się przymknie. Nas to oczywiście jeszcze bardziej musi zastanawiać, bo zamiast dwóch mamy trzy podobne zdarzenia. Ale Lark nie zadaje sobie trudu, żeby o tym pomyśleć. Chce tylko usunąć Stacy.

—Dlaczego Bederman miałby się na to zgodzić?

—Żeby ocalić własną skórę.

—To gliniarz, Scott. Musi wiedzieć, że to pobudzi naszą ciekawość.

—Więc może ten Bederman to głupek.

—A może... — Decker pomyślał przez chwilę. — Możliwe, że Bederman sądził, że uda się połączyć porwanie Mills razem z tymi innymi w Devonshire. Wtedy ja wchodzę do akcji i odgrzebuję Craytona. Bederman robi się nerwowy, bo Cindy, która wie o Craytonie, jest moją córką.

—Robi się jeszcze bardziej nerwowy. Musi się dowiedzieć ile Cindy wie. A jak może to wy badać?

—Przez Beaudry'ego — odparł Decker. — Bederman nie może podpytywać Cindy, ponieważ się boi, że powiedziała by to mnie, a wtedy byłby w prawdziwych opałach. Cóż więc robi. Prosi swego ekspartnera, żeby mu wyświadczył przysługę i ją podpytał. Tylko dlaczego Beaudry miałby się godzić na coś takiego?

—Chyba wiem — stwierdził Oliver. — Cindy mi powie działa, że Beaudry ma opinię kogoś, kto wolno się rusza. Może Bederman go dorwał i doszedł do wniosku, że pora przygrzać mu dudy. W tym tylko kłopot, że to nie Beaudry ją podpytywał lecz raczej Hayley. Wciąż nie mogę się połapać, po której ona jest stronie.

—Czy Beaudry podpytywał Cindy o informacje dotyczące Craytona? — odezwał się Decker po chwili milczenia.

—Zapytam ją o to. Albo może ty ją zapytaj. Ktoś musi ją o to zapytać.

—Niezła myśl — zgodził się Decker. — Oczywiście, czuł bym się znacznie lepiej, gdyby udało nam się znaleźć coś, co łączyłoby Bedermana z tą sprawą.

—Zacznę to badać. Byłoby lepiej, gdyby moja partnerka..

—Zostaw Marge. Czekała na to tak długo.

—Wiem. Dobrze jej życzę. Mam nadzieję, że wie, co robi Bo ja nie wiem.

—Nikt nie wie. Rodzicielstwo to cudowna rzecz. Nie ma tu żadnych reguł.

Rozdział dwudziesty ósmy

Listwy szarego dębu, spojone sworzniami z superwytrzymałej stali, tworzyły wiszący mostek. Konstrukcja musiała być bardzo odporna na wahania pogody: godzina po godzinie, dzień po dniu i rok po roku skakania po niej niczym pneumatyczny młot. Głos Riny ledwie się przebijał przez wrzawę i krzyki dzieciarni.

— Stój, Hannah! Ta mała dziewczynka próbuje przejść na drugą stronę.

Jakimś cudem Hannah zatrzymała się, włożyła rączkę do buzi z brakującymi przednimi ząbkami i zachichotała.

— Przepraszam. — Podeszła do dwuletniego szkraba i wyciągnęła doń rączkę. Powiedziała to przesadnie macierzyńskim tonem, co jeszcze bardziej podniosło już i tak wysoki zakres jej dziecięcego sopranu. Aż dziw, że psy nie zaczęły wyć. — Pomóc ci, kochanie?

Dwuletnia dziewczuszka wsadziła sobie kciuk do ust. Hannah wzięła ją za drugą rączkę i przeprowadziła przez chwiejący się mostek. Kiedy brzdąc był już bezpieczny po drugiej stronie, Hannah podjęła swą dziką zabawę. Marge przyglądała się jej ze zdumieniem.

— Spójrz tylko. Jest tak aktywna, że nie ustaje nawet na chwilę — powiedziała Rina.

— Dla ciebie to chyba bardzo męczące.

— Tak by było, gdybym sobie nie powiedziała, że to już najwyższa pora i wszystko idzie tak szybko... jak tylko może. — Rina rozejrzała się wokół. W parku było dość cicho, zapełniający go normalnie tłum jeszcze spał, jako że była niedziela. To piękny park, choć nie miało to większego znaczenia dla Riny i tak przecież nie spuszczałej oczu z Hannah. Znajdował się tam odgradzony płotkiem teren, na którym pełno było sprzętu służącego do zabawy: urządzenia do wspinania się, małpie kładki, huśtawki i zjeżdżalnie, niektóre z nich miały liczne zakręty i rury, dzięki czemu mogłyby z powodzeniem konkurować z prawdziwym parkiem rozrywki. Przeważającą część tej strefy rekreacyjnej zajmowały pokryte

darnią boiska do piłki nożnej i baseballu, z jednej strony była wysoka siatka, z drugiej rozlatujące się trybuny z odpadającą farbą; było tam też miejsce na ławki parkowe i zabudowane grille. W okalających park zatoczkach pełno było samochodów, choć sporo wolnych miejsc pozostawało jeszcze po drugiej stronie ulicy.

—A gdzie Vega? — spytała Rina.

Marge wskazała na ławkę w pobliżu siatki. Siedziała tam skulona Vega ze wzrokiem zatopionym w lekturze.

— Zabrałam ją tu, żeby się nauczyła jazdy na rowerze. Niech nikt mi nie czyni wyrzutów, że nie próbowałam.

—Co masz niby próbować? — zdziwiła się Rina.

Marge zmarszczyła brwi.

—Nie wiesz, co mam na myśli?

—Nie wiem. Chyba cię o to spytam.

—Próbuję jej uświadomić... nie, to nie jest właściwe słowo. — Marge jęknęła z rozpaczą. — Chcę jej pomóc odzyskać smak dzieciństwa, którego nie miała. No wiesz, takie rzeczy, jak jazda na rowerze czy na wrotkach, słuchanie muzyki, której ja już nie znoszę, czy, o Jezu, nawet oglądanie telewizji.

—Chcesz, żeby się gapiała w telewizor? — Rina uśmiechała się z niedowierzaniem.

—Nie to, żeby miała być przyklejona do telewizora! — poddała się Marge. — Wiem, że gadam jak kretynka. Moje dziecko cały czas czyta! W tym rzecz. Ale to nie wszystko. Nie jest zdrowa.

—Może to i niezbyt zdrowe dla oczu. Za to coś wspaniałego, jeśli idzie o jej rozwój umysłowy...

—Nie rozumiesz!

Rina wzruszyła ramionami.

—Może i nie rozumiem.

Teraz Marge zrobiło się głupio. Powiedzieć matce trojga dzieci, wychowującej je prawie od dwudziestu lat, że nie wie, jak postępować z dziećmi! I to mówi Marge, wielki ekspert w tych sprawach, bo opiekuje

się od ośmiu miesięcy kilkunastoletnią dziewczynką... Przeszła z nogi na nogę.

—Nie uważasz, że coś tu jest nie tak? Ona cały czas czyta!

—Popraw mnie, proszę, jeśli jestem w błędzie. Ale wydaje mi się, że chodzi ci nie tyle o jej czytanie, ile o jej zdolność do integracji społecznej i towarzyskiej.

Marge słuchała stropiona.

—Więc co mam robić?

Rina objęła ją ramieniem w pasie. Położyła jej rękę na ramieniu, ale Marge była za wysoka.

—Wydaje mi się, że postępujesz jak należy. Chyba jest szczęśliwa...

—Ale jest przy mnie taka spokojna. A z tobą nie! No mówię ci. Może nie jestem dla niej właściwą osobą...

—Nie mów tak.

—No dobrze już, dobrze. — Marge skrzywiła się. — Pewnie, wiem, przez jakie piekło przeszła! Wyrastała w odosobnionym, dziwnym otoczeniu. Ale już tam nie wróci. Otwiera się przed nią cały świat.

Rina uśmiechnęła się. O wielu sprawach mogła rozmawiać z przyjaciółką, ale wstrzymywała się od dawania rad, ponieważ zwykle odnosiło to odwrotny skutek.

—Nie zamartwiałabym się z tego powodu.

—Naprawdę?

Rina skinęła głową, a potem wrzasnęła:

—Hannah, nie krzycz tak! — A następnie powiedziała łagodnie: — Dziecko musi przejść przez te fupy w nosie.

—No, patrz, też się tym martwisz?

—Słucham?

—Martwisz się, jak Hannah przechodzi przez swoje fupy w nosie!

Rina wybuchnęła śmiechem.

—Owszem, martwię się. Przejmuję się tym, czy Sammy będzie bezpieczny w Izraelu. Martwi mnie Jakub, zastanawiam się, kiedy wreszcie dorośnie. Martwi mnie Hannah. Jest taka mała i delikatna. Martwię się tym, że Peter codziennie przypina do pasa broń i idzie do pracy. Ale gdy-

bym się nawet zamartwiała na śmierć, gdybym się dręczyła zgryzotami, załamywała ręce i ocierała czoło, wiem, że dostanę tylko wrzodu żołądka, a i tak nic na to nie poradzę. Co więcej, pogorszy to tylko sprawę, ponieważ nie będę w dobrym stanie wtedy, gdy moja rodzina naprawdę będzie potrzebowała pomocy. Mam takie swoje credo: schować głowę w piasek i nie myśleć o tym, co może się stać, dopóki zło mnie nie dopadnie. Prędzej czy później każdy przechodzi różne kryzysy. Dlaczego mamy się ich z góry spodziewać?

Marge poczuła nagle, jak coś wywraca się jej w żołądku. Rina mówiła to z własnego doświadczenia: straciła męża w wieku dwudziestu czterech lat, dwa lata później padła ofiarą przestępstwa, samotnie wychowywała dwójkę małych chłopców, a gdy miała trzydziestkę, wycięto jej macicę. A tu jakaś Marge skarży się, że jej adoptowana córka za wiele czyta.

Rina mówiła dalej:

—Vega jest wspaniałym dzieckiem, Marge. Dajesz jej tyle emocjonalnego oparcia. Spójrz tylko, jak cudownie rozkwita!

—Co ja bym bez ciebie zrobiła!

—To wszystko przez twoją pracę. Wszystko, co cię wokół otacza, to źli ludzie i osoby ogarnięte rozpaczą. Dziwi cię, że jestem taka spokojna jako matka. A ja się dziwię, jak codziennie dajesz sobie radę: ty, Peter, Scott i wielu innych.

Marge zachichotała.

—Próbujesz zatkać mi usta pochlebstwem.

—Być może.

Obie się zaśmiały. I właśnie w tej chwili Hannah straciła równowagę na drabince i spadła na ziemię, lądując na pośladkach.

—Och, kochanie! — Rina podbiegła ku niej, żeby otrzeć łzy beczącej małej dziewczynce. — Co się stało, złotko?

—Spadłam i mnie boli! — Zanosila się szlochem. — O, spójrz! Krew mi leci!

Istotnie, z lewego kolana ciekła jej strużka krwi. Prawe przedstawiało się trochę lepiej, choć też było otarte. Rina uniosła skraj jej sukienki.

— Chyba pójdziemy do łazienki i zmyjemy to...

— Chcę do domu! — rozdarło się dziecko.

Rina spojrzała na zegarek. Było już po dwunastej. Siedziały tu prawie dwie godziny. Zranione dziecko musiało też być zapewne zmęczone i głodne. Podniosła Hannah, która zarzuciła swe kościste rączki na szyję matki.

— Jesteś zmęczona?

— Nie jestem zmęczona! — wykrztusiła Hannah między jednym spażem a drugim. — Wyślizgnęła się matce i wykonała dziesięć podskoków, co miało oznaczać sprzeciw wobec słów Riny, że jest zmęczona. — Tylko się skaleczyłam!

Jeszcze raz zaniósła się szlochem.

— No dobra. — Rina uniosła ją znowu do góry. — Co byś powiedziała, gdybyśmy tak poszły teraz do domu i zjadły co nieco?

Hannah skinęła głową i pociągnęła nosem. Marge stanęła po jej stronie.

— I co postanowiłyście?

— Chyba ma już dość.

— Wszystkiego dobrego, Hannah. Ja też mam dość. Następnym razem zabiorę Vegę do czytelnicy. Przynajmniej nóg sobie oszczędzę!

— Marge!

— Żartowałam. — Spojrzała w kierunku Vegi. — Gdybym stąd krzyknęła, myślisz, że mnie usłyszysz?

Rina podniosła torbę wypełnioną zabawkami i kanapkami do piaskownicy.

— Lepiej tam podejźmy. Moje struny głosowe też nie są w najlepszym stanie.

— Zaczekaj! — Marge wzięła od niej torbę. — Poniosę ci to. Były już na pół drogi do wozu, idąc wzdłuż darni, gdy Marge skrzywiła nos. Poczowała charakterystyczny zapach zwierzęcych ekskrementów.

— Wdepnęłaś w coś?

— Pewnie tak. — Rina postawiła Hannah na ziemi i sprawdziła swoje buty. — Nie chciałabym cię wprawiać w jeszcze bardziej wesoły nastrój, ale to nie ode mnie.

Marge sprawdziła podeszwy swych pantofli.

— O Boże!

—Uff! — Hannah chwilowo zapomniała o swym rozwalonym kolanie i zatkała sobie nos. — Fúj! Ależ to śmierdzi!

—Wystarczy już tego dobrego, Hannah! —Rina zajrzała do torby i wyjęła paczkę chusteczek.

Marge skwapliwie wzięła chusteczkę, pomrukując:

—Ależ to cuchnie! No już! Won!

—Mogę ci pomóc?

—Nie, póki sobie sama nie oczyszczę tych butów!

—Jeśli tylko...

—Co z ciebie za przyjaciółka?

—Uff! Jakie to wstrętne!

— Daruj sobie te uwagi, dziecko. — Marge mitygowała Hannah.

Rina uśmiechnęła się.

— Wyczyść to sobie spokojnie, a my pójdziemy z Hannah do wozu. Zaczekamy tam na ciebie.

—Wiesz, jak nie cierpię tych biegówek?

—Wszystkie te rowki...

—Właśnie! Fúj! Co za smród! Ależ to łąjno!

—Idzie tu Vega. Może ona ci pomoże oczyścić te buty?

—Taa, dobrze!

—Fuu...

Rina zasłoniła ręką buzię Hannah. Dziecko zachichotało. Była naprawdę zachwycona tym, że mogła tak dosadnie wyrazić swoje obrzydzenie i odrazę. W miarę jak smród przybierał na sile, Rina uznała, że to już najwyższa pora, żeby się oddalić. Uniosła swą wypakowaną torbę.

— Spotkamy się przy wozie.

Kiedy powłócząc nogami, szła ku swemu volvo, uświadomiła sobie, jaka ta Hannah ciężka. Spociała się pod kołnierzykiem bluzki, poczuła też swędzenie potu na plecach. Hannah była wprawdzie najmłodsza, ale to już nie było niemowlę.

— Kochanie, muszę postawić cię na nóżki.

— Proszę, nie! — zebrała Hannah. Objęła matkę mocniej nogami. — Kolano mnie boli.

Kiedy temat psiego gówna się wyczerpał, Hannah przypomniała sobie o swej ranie.

— Plecy mnie bolą — tłumaczyła jej Rina. Dziewczynka niechętnie zsunęła się na dół.

— Przepraszam, Eema.

— Dziękuję ci, kochanie.

Hannah wołała na nią przedtem: mama. Ale odkąd poszła do pierwszej klasy, nazywała ją Eema, jest już przecież dorosła jak jej starsi bracia. Pierwszoklasistka powiedziała:

— Pomogę ci nieść tę torbę.

— Już dobrze. Ja ją poniosę.

— Nie, ja ci pomogę. — Pociągnęła za paski. Rina nie miała zamiaru się z nią szarpać, więc zostawiła torbę zwycięzcy. Pa- trzyła tylko na jej wysiłki, czerwone loczki córki podskakiwały w takt jej niepewnych kroczków. Złapała wzrokiem słoneczny zajaczek, najwidoczniej odbity od jakiegoś oliwkowozielonego wozu. Pewnie colleen lub może megan.

— Może ci pomóc? — spytała.

— Nie, poradzę sobie — Szur, szur. Jęcząc i wzdychając, odstawiła najlepszą parodię występu Sarah Heartburn. — Ja... och... dam sobie radę.

Wszystkie jej dzieci tak się od siebie różniły! Synowie, z tego samego ojca, mieli skrajnie różne charaktery. Samuel był poważny, Yonkie taki lekkoduch... przynajmniej do magicznej granicy szesnastu lat, kiedy to dostał hormonalnego kopa.

Dotarły do krawężnika przy przejściu przez jezdnię. Rina schyliła się i wzięła Hannah za jej wątłą rączkę. Drugą odebrała od niej torbę.

— Idziemy!

Razem, matka i córka, przekroczyły jezdnię. Rina sięgnęła ręką na samo dno torby i wyłowiła kluczyki. Otworzyła tylne drzwi combi i Hannah natychmiast zajęła swoje miejsce.

— Hannah — zbesztła ją. — Zachowuj się. Nie rzucaj się tak po siedzeniach.

— Proszę, proszę?

Rina westchnęła.

— Usiądź głębiej, bo nie mogę zamknąć drzwi. — Trzasnęła klapą, odsunęła nogą brud z dywanika. Kichnęła głośno, a Hannah znikła gdzieś w środku. Podchodząc do drzwi od strony kierowcy, próbowała wyciągnąć chusteczkę z torby.

Nagle czyjaś ręka chwyciła jej prawe ramię, a na plecach poczuła coś twardego i zimnego. To coś wbijało się jej w kręgosłup. Wiedziała, co się dzieje, jeszcze zanim usłyszała ten głos.

— Zabiję cię, jeśli krzykniesz lub się poruszysz.

Jakiś chrypliwy akcent. Stała jak zamurowana, a lufa wwierała się jej w plecy. W przeciwieństwie do innych ofiar napadu, wiedziała, co będzie dalej. Dobrze wiedziała, co ten facet zrobi. Na nic jednak jej się to nie zdało, ponieważ paraliżował ją strach.

— Słuchaj albo już po tobie. Podejdz do wozu od drugiej strony i otwórz drzwi. No już! — nakazywał głos.

Rina powtarzała to sobie. „Mówi, żebym podeszła od strony pasażera. Wiesz, co zaraz się stanie. Wykorzystaj tę wiedzę”.

Rozejrzała się po parku, zobaczyła gdzieś daleko ludzi i odległą sylwetkę Marge, wciąż gmerającą przy swych butach.

„Na miłość boską, spójrz na mnie!”, krzyczało coś w jej głowie.

Ale Marge była całkowicie pochłonięta swą pracą.

Jest więc zdana na samą siebie. Pomyślała o nabożeństwie żałobnym Yizkor, modlitwie, którą odmawiała za swego zmarłego męża.

Człowiek jest jak tchnienie, jego dni są jak mijający cień...

„Nie myśl teraz o tym!”

Jeśli krzyknie, przypuszczalnie ją zastrzeli. Ale może warto to zrobić, przecież Hannah jest tam w środku.

— No, dalej! — nalegał ten szept. — Dalej, bo będziesz martwa!

„Hannah była tam w środku!”

Martwa czy nie, nie może przecież pozwolić na to, by porwał wóz, gdy Hannah jest tam w środku!

Zaczęła powoli otwierać drzwi od strony pasażera, jeszcze raz zerknęła, czy nie nadchodzi Marge. Zobaczyła kątem oka, że Vega patrzy w jej kierunku, ich oczy spotkały się w jednej krótkiej chwili. To jednak starczyło, by nastolatka zdażyła szturchnąć Marge w ramię. Lufa wwiercała się w plecy Riny, aż skrzywiła się z bólu.

— Nie oglądaj się! No już! — warknął.

„Zrób coś!”

„Dobra, Marge. Pójdziemy na układ. Jeśli ty coś zrobisz, ja też spróbuję. Na Boga, powinno się udać, jeśli ty mi pomożesz”.

Kluczyki wypadły jej z ręki, usłyszała stłumiony odgłos ich uderzenia o ziemię.

—Co ty wyprą...

—Wypadły mi kluczyki!

—Co?

Przypadła do ziemi całym swym ciężarem, tracąc na chwilę kontakt z wylotem lufy. Może to starczy. Zwinęła się kłębek, z kolanami podciągniętymi do piersi i rękoma zasłaniającymi uszy. Nie mogła więc słyszeć krzyku Marge: „Policja! Stać!” Usłyszała jednak głuchy odgłos wystrzału i odczuła impet przelatujących pocisków. Skuliła się jeszcze bardziej i zaczęła szlochać, gdy coś ciężkiego i śmierdzącego uderzyło ją w plecy, po karku ściekała jej jakaś ciepła ciecz. Wrzasnęła, strząsając intruza w nagłym, nie kontrolowanym odruchu. Wrzeszczała, gdy Vega wyciągnęła do niej rękę. Wrzeszczała, gdy Marge postawiła ją na nogi i przytuliła mocno do siebie.

— Już dobrze, dobrze, dobrze! — powtarzała Marge. Rina wciąż dygotała i nie mogła się odezwać. Trudno jej było utrzymać się na nogach. — Byłaś świetna — zapewniała Marge, tuląc ją i kołysząc. — Naprawdę, byłaś wspaniała!

Instynkt macierzyński wlał nagle nowe siły w jej ciało. Odepchnęła Marge i krzyknęła:

—Hannah! — Ruszyła ku tylnym drzwiom i otworzyła je. Mała dziewczuszka skakała na siedzeniu. Ujrzała przed sobą twarz matki, jej chorobliwie bladą cerę i łzy ściekające po policzkach. Dziewczynka cofnęła się do środka.

—Eema, przepraszam, że skakałam po siedzeniu. Zaraz zapnę pas. Nie złość się. Proszę, tylko się na mnie nie złość!

Wybuchnęła płaczem. Całkowicie nieświadoma tego, co przed chwilą się stało.

Zewsząd zbiegali się ludzie. Marge wyciągnęła swą odznakę, prosząc, by odstepili od wozu. Jej głos tchnął autorytetem i spokojem. To Rina była teraz niepewną matką, role się odwróciły. Obie strony charakteru Marge zupełnie się ze sobą nie zgadzały, ale ludzie tego nie wiedzieli. Znajdując oparcie w jej profesjonalnej pewności siebie, Rina odzyskała swój własny głos.

—Hannah, wyjdź zaraz z wozu!

—Eema, przepraszam!

—Wyłaż! — wrzasnęła Rina, wyciągając córeczkę za rękę. Dziewczynka wyczołgała się na brzuszku, szlochając cały czas histerycznie, dopóki nie znalazła się na zewnątrz. Rina długo tuliła ją i całowała, zgodnie z tym, co jej dyktowały macierzyńskie instynkty. Trzeba było szybko usunąć sprzed oczu Hannah ten makabryczny widok, którego nigdy nie powinna oglądać. Zasłoniła przed córką żalosaną scenerię i poprosiła Vegę, by odprawdziła Hannah z powrotem do parku i pobawiła się tam z nią, dopóki nie usłyszy, jak ją woła.

—Chcę zostać z tobą! — płakała Hannah.

—Idź z nią! — Rina ponagliła Vegę.

Wychowana w posłuchu nastolatka karnie wykonała polecenie. Zabrała szlochające spazmatycznie dziecko i przebiegła przez ulicę. Gdy nie mogły już jej widzieć, Rina ukryła twarz w dłoniach, szlochając tak, że drgały jej ramiona. Ludzie coś do niej mówili, ale słyszała tylko jakiś nieartykułowany szum. Po paru chwilach wróciła jakoś do siebie; nie ma

co się rozklejać, trzeba się wziąć w garść. Była cała i bezpieczna. Hannah też była cała i bezpieczna. Czegóż więcej można było chcieć? Musi jeszcze tylko podziękować Marge i podziękować Vedze, że ją zauważyła, wreszcie podziękować Hashem za to, że wszystko się dobrze skończyło.

Odmówiła po cichu modlitwę Gomel, dziękując Bogu za to, że ocalił ją od napaści. Kiedy już to zrobiła, poczuła się znacznie spokojniejsza. Dobrze jest nie opuszczać rąk, zawsze można coś zrobić. Spojrzała przed siebie i ujrzała, jak Marge gestykułuje, trzymając przy uchu telefon komórkowy.

„Masz telefon!”, powiedziała do siebie Rina. „Wezwij Petera!”

Marge jakoś tam sobie radzi, wydając przez słuchawkę polecenia z szybkością karabinu maszynowego. Rina otarła oczy, podniosła torbę, wysypując przy tym większą część zawartości, byle się dostać do swego telefonu komórkowego. Był tam ukryty i pięknie zahuczał, gdy tylko go włączyła. Drżącymi rękami wystukała właściwy numer i wysłała mężowi wiadomość.

Czekała teraz na odpowiedź.

Marge wciąż próbowała zapobiec zbiegowisku.

—Rozejść się! Proszę odstąpić! — Zobaczyła Rinę, wrzasnęła: — Gdzie są dzieci?

—Wysłałam Hannah z Vega z powrotem do parku. Nie chcę, żeby były w to wmieszane.

„Już są w to wmieszane”, powiedziała do siebie Marge. „Przynajmniej Vega jest w to wmieszana”. Pomyślała o słowach Riny: „Kryzys zdarza się każdemu, prędzej czy później”.

Przypomniała sobie to psie gównno, cholernie trafna wróżba.

—Już dobrze? — spytała Rinę.

—Tak, ze mną już w porządku. — Rina zdobyła się na cokolwiek przestraszony uśmiech. — Wiem, to dlatego, że ci mówiłam, że ze mną wszystko w porządku!

Marge wyciągnęła do niej rękę. Odłożyła na bok swe obowiązki policjanta, była przecież człowiekiem, najpierw i mimo wszystko. Objęły się

i przywarły mocno do siebie ze świadomością tego, że żadnej z nich nic się nie stało.

—Dziękuję ci — wyszeptała Rina.

—Podziękuj Vedze. To ona cię zobaczyła.

—Dobra, dziękuję ci, że mnie nikt nie zastrzelił.

—Dziękuję ci za to, że upadłaś na ziemię i umożliwiłaś mi czysty strzał. — Marge odetchnęła głęboko. — Wiesz, zrób to dla Vegi i zabierz ją znowu do synagogi.

—Oczywiście. — Znow popłynęły jej łzy. — Z małą pomocą Pana Boga.

Marge wciąż ją mocno obejmowała, zarówno ze względu na nią samą, jak i na siebie. A potem sobie uprzytomniła, że przecież musi tu nad wszystkim panować. Oderwała się więc od Riny i zaczęła przeganiać gapiów przyglądających się miejscu zabójstwa.

„Zabójstwo, którego dokonała! No dobrze, przecież tego nie chciała. Pewnie pokierowałyby tym inaczej. Ale Rina sprawiła, że to potoczyło się tak. Jej zaimprovizowany upadek stworzył Marge sposobność czystego strzału... pod właściwym kątem”.

Marge spojrzała teraz na Rinę i dała jej znak, unosząc kciuk do góry.

— Dobrze zrobiłaś, dziecinko! Naprawdę dobra robota!

Wbrew swym najlepszym intencjom, Rina znowu zaczęła płakać, nastąpiła niepowstrzymana erupcja uczuć, radości, gniewu, strachu, ulgi i wdzięczności za każdy nowy oddech.

„Dzięki ci, Hashem”, powiedziała do siebie. „Dzięki za ocalenie mnie”.

I może, może to właśnie za sprawą jej *emmunah*, jej wiary, zachowała jasność umysłu, która pozwoliła jej na przeprowadzenie tego planu.

W tle słyszała falujące wycie zbliżających się syren. Dzwonienie jej komórkowca niemal utonęło w tym hałasie.

„To Peter odpowiada na jej wezwanie. Podnieś słuchawkę”.

Zawahała się, nie chcąc przerywać unoszącego ją porywu wdzięczności. Jakże szczęśliwa teraz była. „Dzięki Ci, Boże, stwórcu i Panie życia, za moje ocalenie. I dzięki ci, droga Marge, za to, że zgodziłaś się zagrać tu główną rolę”.

Wcisnęła guzik słuchawki. Głęboki, słodki głos Petera popłynął z głośniczka. Aż odebrało jej głos.

A potem już mówiła jednym tchem.

TLR

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Ktoś podał jej wodę, ktoś przyniósł tylenol. Rina zawsze nosiła przy sobie advil, ponieważ Peter miewał częste bóle głowy. Odmówiła więc przyjęcia tylenolu, ale skorzystała z wody, by przełknąć advil. Nie, żeby potrzebowała środka przeciwbólowego. Po prostu nie mogła przestać się trząść. Policyjny oddział czarno-białych otoczył cały ten teren, jakby to było obozowisko, z dachu ich wozu błyskały światła pozycyjne. Funkcjonariusze odgradzili miejsce zdarzenia żółtą taśmą brygady kryminalnej. Rina znalazła się w samym środku, opierając się o tył swego volvo, parę metrów od leżącego martwego ciała. Paru sanitariuszy czekało na przybycie wozu koronera, dwóch mundurowych pilnowało zwłok. Kilkaście metrów dalej stał biało-czerwony ambulans, przypominając jej o przemijającej naturze życia.

Nieoczekiwanie dla samej siebie poczuła, że jest pod ochroną. Niewiele by się ośmieliło podejść do niej, z obawy, by nie naruszyć dowodów rzeczowych. Miała stąd dobry widok na huśtającą się w parku Hannah. Jej dziewczuszka miała taki poważny wyraz twarzy, gdy pracowała nogami, odbijając się od ziemi. Eema ją tam wysłała, żeby się mogła pobawić, i właśnie to robiła. Obok stała Vega, ze wzrokiem skierowanym na dziecko. Ani razu nie zwróciła się do Marge o pomoc; mogłoby się zdawać, że Vega nigdy o nic nie prosi.

Rina spojrzała na swą zakrwawioną sukienkę. Powinna była poprosić Petera, żeby jej coś przyniósł na zmianę. Medycy sądowi mogą zaraz zażądać jej ubrania i wcale nie wiadomo, co z nim zrobią. Poza tym mogłaby czuć się chora, czując na sobie czyjaś siłę życiową. Ale teraz nie będzie sobie tym zaprzętała uwagi.

Musi się przygotować na ewentualne odparcie tego rodzaju wątpliwości.

Mundurowi uwijali się niczym Moskity. Jedni szukali świadków, inni zbierali oświadczenia. Parę grupek czekało na swoje rozkazy. Przypadkowy charakter zdarzenia sugerował, że nikt nie ponosi za nie odpowie-

działności. To jednak mogłoby się jeszcze zmienić po wkroczeniu na scenę ludzi z wydziału zabójstw.

Jak na ironię, właśnie Marge była z wydziału zabójstw, ale oczywiście nie mogła prowadzić śledztwa, ponieważ była sprawcą czynu. Rina jej współczuła. Jako oficer wplątany w strzelaninę może stanąć przed Komisją Badania Oficerów Wplątanych w Strzelaninę. Nie, żeby to miało stanowić jakiś kłopot, ponieważ jej akcja była w pełni uzasadniona. I będzie miała mnóstwo świadków, którzy to podtrzymają. A jednak, odebrała komuś życie — mimo iż sytuacja całkowicie to usprawiedliwiała — więc będzie musiała się poddać wielu uciążliwym procedurom.

Rina nie przestawała drżeć; to było tak, jakby czyjaś dusza miała styczność z jej dżinsową kurtką. Kuliła się i słała na nogach. Rozejrzała się wokół i nawiązała kontakt wzrokowy z jakimś mundurowym funkcjonariuszem. Zawahał się, a potem przeszedł nad żółtą taśmą, stąpając ku niej dumnie z bloczkiem w rękę. Był zwartej budowy, z gęstą strzechą czarnych włosów. Brązowe oczy patrzyły na nią z jakąś bezwzględną intensywnością.

Zaczął swą gadkę.

— Jeśli nie ma pani nic przeciw temu, chciałbym pani zadać parę pytań.

Natychmiast wyrosła przy niej Marge. Błysnęła odznaką.

— Ta pani ma coś przeciw temu. Czeka właśnie na swego męża, porucznika Deckera. Proszę jej wyświadczyć tę grzeczność i zostawić ją choć na chwilę w spokoju. — Mundurowy spurpurowiał i wycofał się, mrużąc pod nosem jakieś usprawiedliwienie. Marge oparła rękę na udach. — Trzymasz się?

Rina potarła dłonie.

— Mogłabym cię spytać o to samo.

— Ze mną wszystko okay. — Marge żuła gumę, dokonywała oględzin terenu i chciała za wszelką cenę wyglądać swobodnie.

— Takie rzeczy to dla mnie chleb powszedni.

— Chleb powszedni ze smalcem.

—A jak myślisz? Dzięki Bogu, jest już audi Webstera. Zostań tu. — Marge podskoczyła do wozu. Tom wysiadł i wygładził swą kurtkę. Wrócił do swego stylu: ze znużonego oczekiwaniem ojca przedzierzgnął się w elegancika w ekstralaszki, biała sportowa koszula, spodnie khaki i czarny lniany blezer, wszystko lekko pomięte dla lepszego efektu.

—Mogłabyś mieć trochę lepsze wycucie chwili — powiedział, przeciągając słowa. — Sześć godzin temu moja żona właśnie nie urodziła wspaniałą małą dziewczynkę.

—Gratuluję! No to już nic więcej nie możesz dla niej zrobić. A moje wycucie chwili jest akurat takie, jak trzeba.

Webster objął ją.

— Jak się czujesz?

—Bywało już lepiej. — Przygryzła usta i złożyła ręce, żeby nie drżały. — Nie oglądaj się na tę całą biurokrację. Wiesz, kto tam będzie z zespołu operacyjnego?

—Jak dotąd mamy Hodgesa i Arnessa. W końcu to niedziela i trudno jest kogoś znaleźć.

Marge skinęła głową.

— Hogdes i Arness to dobre chłopaki.

— Tak, wszystko będzie dobrze, Margie. Powiesz mi, co się stało?

Marge dała mu trochę odetchnąć. A potem zaczęła mówić:

—Chciałam udzielić Niebieskim pewnych wskazówek, ale mam związane ręce, ze względu na... ze względu na to, co się zdarzyło. Nikt nie wie, co go za chwilę spotka.

—Bert będzie tu lada chwila. Zajmiemy się badaniem ciała, a komisja broni zajmie się tobą. Gdzie jest ciało?

— Leży tam przy volvo Riny. — Marge pokazała mu miejsce.

— Postąpiłam, jak mnie uczono, Tom. Ale proszę, pytaj.

— Czy ostrzegłeś sprawcę?

—Tak.

—Ludzie to słyszeli?

—Mam nadzieję, że tak.

—Czy było bezpośrednio niebezpieczeństwo?

—Tak. Miał broń i celował we mnie.

—Wypalił?

—Myślę, że tak, ale nie dałabym głowy, wszystko toczyło się tak szybko. To by chyba poprawiło moje akcje, gdyby zdążył wystrzelić.

—Pewnie tak. Nie ruszałaś niczego, prawda?

—Niczego. Broń leży tam, gdzie ją upuścił. Wygląda na rewolwer kolt .38. — Odkasznęła. — Postawiłam tam na straży przy ciele paru mundurowych.

—Ile razy wystrzeliłaś?

—Trzy razy.

—Sprawdziłaś magazynek?

—Tak. Sprawdziłam.

—Dobra, nie opróżniłaś broni — ocenił Webster. — Daj ją do sprawdzenia. Dobrze. Czy sprawca dawał jakieś oznaki życia?

—Oberwał w tętnicę szyjną i arterię płucną. Nie mogłam wyczuć pulsu... Z aorty tryskało mu jak z fontanny. To był strzał prosto w pierś. To znaczy... spójrz na mnie! — Webster spojrział. Ubranie Marge było całe w czerwonych kleksach. — Próbowałam zatkać mu tętnicę, wzywając cały czas 911. — Mówiła to, zwracając się nie tylko do Toma, lecz także i do siebie samej. — Nie pamiętam tej rozmowy, ale jest nagrana na taśmie.

—Nie ruszałaś ciała?

—Przeniosłam go stamtąd, gdzie upadł, żeby zobaczyć jego rany i sprawdzić, czy żyje. A potem zrezygnowałam. Patrzyłam w kierunku drogi i nie dotykałam jego otwartych ran. Jeśli mam szczęście, to jestem w porządku... modliłam się, żeby gnojek nie miał AIDS. — Westchnęła ciężko i rozplakała się. — Boże, jakie to było straszne! Próbowałam zatkać mu jego koszulą dziurę w piersi... żeby zatrzymać krwotok. Wiedziałam, że to nic nie da. Był skończony od pierwszej chwili.

— Ale możesz przynajmniej powiedzieć, że próbowałaś.

— Tak, to prawda. Po minucie nadjechał ambulans... widzieli mnie przy nim.

— Małe piwo. Zrobiłaś wszystko najlepiej, jak tylko mogłaś. Siadaj teraz i pozbieraj się.

— Łatwo powiedzieć. — Potrząsnęła głową. — Ilekroć zamknę oczy, widzę tę czerwoną rzekę tryskającą na mnie. Świeża krew jest naprawdę ciepła... gorąca. Lepiej się wciąż od tego! To okropne!

— Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

— Spróbuj ustalić tożsamość nieboszczyka. Może to wyświetli sprawę tych porwań. Sposób jego działania był identyczny jak w sprawie Farin Henley... też chodziło o volvo kombi.

— Ale by była wrzawa. Masz teraz swoją własną sprawę. Odrobinę by ci pomogło, gdybyś nie zabiła tego faceta.

— Mam go gdzieś! — Wybuchła śmiechem. Dziwnie to wyglądało, przy jej mokrych od łez oczach.

Decker przeskoczył żółtą taśmę. Zanim Rina mogła zaprotestować, chwycił ją w ramiona i mocno uściskał. Postanowiła nie płakać, ale nie dotrzymała słowa.

— Potrzebujesz lekarza? — spytał.

— Może psychiatry.

— To się zrobi. — Trzymając ją cały czas za rękę, Decker stanął teraz za jej plecami. — Gdzie Hannah?

— Tam... — Rina odchrząknęła, trudno jej było mówić. — Jest w parku z Vegą. Nie widzisz jej? Nie bawi się tam na zjeżdżalni?

Spojrzał w tym kierunku. Drobne pomarańczowe loczki tylko podskakiwały, gdy ciało Hannah śmigało w dół, zsuwając się w rynnę urządzenia. Jak łatwo mogła się stać danymi statystycznymi...

— Biedactwo musi być głodne — odezwała się Rina.

— Poruczniku!

— Nie teraz! — rzucił Decker. Oficer cofnął się. Decker zaczerpnął głęboko tchu i odetchnął. — Posłałem po twoich rodziców...

—Peter, dlaczego to robisz?

—Chyba lepiej, jeśli dowiedzą się tego ode mnie niż z wiadomości telewizyjnych. — Otarł chusteczką spocone brwi. — Będziemy teraz oboje trochę zajęci. Pomyślałem, że mogliby zaopiekować się Hannah.

—Nie chcę, żeby była w to zamieszana! Niczego nie widziała, nie wie nawet, co się stało.

—Wiem. Właśnie dlatego potrzebna tu jest pomoc twoich rodziców. Przekażemy ją im tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Normalnie poprosiłbym o to Cindy, ale teraz nie jest zdolna nam pomóc.

—Biedny Peter — stwierdziła Rina. — Musisz się okropnie denerwować!

—Ja biedny? Ty jesteś biedna! To dziwne, że jeszcze trzymasz się na nogach. — Decker zasłonił twarz rękami. — Trzeba na to spojrzeć w pewnej perspektywie. Może chcesz... powitać dzień?

—Będę dziękować Bogu bezustannie. — Zagryzła usta, zanim zaczęły jej drżeć. — Peter, co ja powiem Hannah? Ona myśli, że jestem na nią zła o to, że skakała po siedzeniu w wozie. Wiem, że powinnam teraz tam podejść i z nią porozmawiać, ale tak się tym przejmuję, że nie wiem, co robię.

Decker rozluźnił swój uścisk.

—Daj mi tylko trochę czasu, uporządkuję tu, co trzeba, i zajmę się nią. Czy ktoś wziął od ciebie oświadczenie?

—Jakiś funkcjonariusz próbował to zrobić, ale Marge go spławiła.

Skinął głową, zostawił teraz żonę i podszedł zobaczyć miejsce zdarzenia. Uwijało się tam paru mundurowych, regulując ruch i dopuszczając kogo trzeba z tłoczących się wokół ludzi. Podjechał wóz koronera, asystenci czekali z przeniesieniem ciała, aż policyjny fotograf skończy swą pracę. Na razie zespół operacyjny w porozumieniu z Marge dokonywał oględzin miejsc wlotu i wylotu kul. Był tam również Martinez, czekając na swoją kolej. Musiał obszukać kieszenie ofiary, żeby ustalić jej tożsamość.

Marge była z Oliverem, porozumiewając się z nim nie tylko słownie, ale i za pomocą gestów. Decker zawołał go. Scott odwrócił się, klepnął

Marge w ramię na pożegnanie, podbiegł do taśmy i przesadził barierkę starannie odmierzonymi ruchami. Po przejściach ostatniej nocy nogi i ręce miał jak zdrętwiałe.

—Tak mi przykro, pani Decker — powiedział. — Potrzebny pani lekarz?

—Nie, czuję się dobrze.

—Weź od niej oświadczenie — poprosił go Decker. — Jak skończysz, odwiozę ją do domu...

—Peter, sama pojedę.

—Po pierwsze, volvo musi tu trochę zostać. A po drugie, nie mógłbym zasnąć, gdybym cię tu zostawił po tym, co się stało.

—A kiedy już będę gotowa, mogę wziąć ze sobą Hannah i Vegę? — Decker skinął głową. — To po co wzywałeś moich rodziców?

—Potrzeba ci teraz trochę odpoczynku. Chyba cię to nie urazi, jeśli będziesz ich miała do pomocy.

—Powiesz Marge, że zabieram Vegę?

—Tak. Vega może sama złożyć oświadczenie. Zobaczą, co da się z tym zrobić. — Kiwnął palcem na Olivera. — Zaopiekuj się nią.

—Oczywiście. — Decker przyjrzał się swemu detektywowi. Oliver sprawiał wrażenie przemęczonego. — Weź z sobą kogoś, kto by potwierdził jej oświadczenie. Zostawisz mi raport, a potem jedź do domu i porządnie się wyśpij. Sen... ale w swoim własnym łóżku.

Oliver zignorował sarkazm tej uwagi i wyjął notatnik.

—Zaraz to zrobię. Ktoś powinien być przy detektyw Dunn, zanim komisja nie skończy swej pracy. Jest trochę roztrzęsiona.

Decker spojrzał na Marge, która odmierzała drobne kółka.

—Zaraz tam pójde. — Ucałował Rinę w policzek, a potem w usta. — Kocham cię.

— Ja też cię kocham.

Nie śpieszył się jednak z odejściem. Zanim w końcu zostawił żonę, zdobył się na coś w rodzaju słabego uśmiechu. Zdał sobie sprawę, że musi to wyglądać komicznie, gdy odwraca się i podchodzi do swego dawnego partnera. Położył Marge rękę na ramieniu.

—Wiem, ile ci jestem winien.

—Cholera, tak się złożyło, że mogłam to zrobić. Mam nadzieję, że zespół dochodzeniowy podzieli moje zdanie. — Marge przygryzła paznokieć dużego palca. — Kiedy ten Hodges wreszcie tu będzie?

—Jest już w drodze.

—Będzie mnie wypytywał?

—Nie wiem, jak podzielili między sobą pracę. Zabiorą cię na komendę, żebyś tam mogła złożyć oświadczenie. — Objął ją. — Nie będziesz z tym miała kłopotów, Margie. Nikt nie będzie próbował znajdować na ciebie haka. Nie śpiesz się, wkrótce będziesz wolna. — Skinęła tylko głową. — Pokażesz mi, gdzie staliście?

Zabrała go w to miejsce. Były tam jeszcze kawałki psiego łajna przylegające do źdźbeł trawy.

— Kłęczałam tutaj, czyszcząc buty... — Przykucnęła, żeby odtworzyć tę scenę. — Vega trąciła mnie w ramię. Podniosłam wzrok... zobaczyłam Rinę.

Decker przyklęknął obok niej. Z tej pozycji miał dobry widok na volvo od strony kierowcy.

—A potem?

—Wstałam... wyjęłam broń. Zaczęłam biec... — Zmrużyła oczy. — Pamiętam parę osób na linii ognia. Wołałam w ich stronę: „Odsunąć się, odsunąć się...”

—Czy jeszcze tam są?

—Tak, Webster właśnie rozmawia z jedną z tych osób. To ten starszy grubas z szarym kucykiem w niebieskiej roboczej koszuli.

Decker obrzucił go krótkim spojrzeniem.

—Co dalej?

Przeszła kilkanaście metrów, zatrzymała się nagle przy grubym pniu drzewa eukaliptusowego, wydzielającego mocną woń mięty.

—Tu się ukryłam. O, tu! Widzisz? To są ślady moich stóp i kolana.

—Uklękaś?

—Oczywiście. Dla większej pewności. Z tej pozycji miałam czysty widok. Rina przypadła do ziemi...

—Dlaczego?

—Nie wiem. Ja musisz o to zapytać. Ale to był świetny ruch. Odśloniła mi go. Wycelowałam. Sprawca obrócił się ku mnie, z bronią wycelowaną w moim kierunku. Otwarłam ogień.

—Trzy strzały.

—Tak. Tom ci powiedział?

—Powiedział mi. Czy wezwałam pomoc, nim otworzyłam ogień?

—Później. Nie byłam zdolna równocześnie trzymać słuchawki i broni. A oceniając tę sytuację w perspektywie poprzednich porwań, uznałam, że natychmiastowa akcja była konieczna. Nie było już czasu, żeby czekać na pomoc.

Decker rozejrzał się po parku.

—Jeśli do ciebie strzelał, gdzieś tu powinien być pocisk.

—Pomyślałam to samo.

—Nie wątpię. — Spojrzał pod nogi, następnie przykucnął aby sprawdzić grunt. Zaznaczył miejsca najbliższe śladom stójp Marge. Potem obejrzał dokładnie pień drzewa. Zaczynając od dołu, przesuwał wzrok coraz wyżej po zachyłkach i fałdach zmierzwionej kory. Jakies dwadzieścia cali nad ziemią zatrzymał się i spojrzał.

—Popatrz tutaj. Coś przecięło korę. Mamy tu piękny, promieniście rozchodzący się wzór w formie półksiężyca. Wygląda to na muśnięcie kuli. Jak tylko fotograf będzie gotów, Martines będzie tu miał trochę roboty. Zmierzając do końcowego wnioski jestem pewien, że do ciebie strzelał.

—Dobrze by było. A jeszcze lepiej, gdybyśmy znaleźli pocisk.

—Przeszukamy park. Ale już w świetle tych dowodów, je steś całkowicie w porządku. Rysa pomoże zespołowi dochodzeniowemu znaleźć

kąt i trajektorię strzału. — Zaznaczył to miejsce kawałkiem taśmy. — Facet był łatwym celem. Masz szczęście.

— Hodges tu idzie — oznajmiła Marge.

Decker podniósł się.

—Rina składa właśnie oświadczenie. Gdy tylko się z tym upora, zabierze Hannah i Vegę do nas do domu. Jeśli Hodges i pozostali będą nalegać, trzeba będzie porozmawiać z Vega.

—Wiem.

—Ale może obejdzie się bez tego. — Decker pokiwał nadchodzącemu detektywowi. Hodges, jak wszyscy inni członkowie zespołu operacyjnego, był z wydziału rabunku i zabójstw. Miał opinię dobrego, wnikliwego detektywa i zarazem porządnego kolegi; wciąż muskularnej budowy, ale z tendencją do rysującego się brzuszka. Jego twarz znamionowała charakter: siwiejące włosy, stalowe oczy, cera pełna bruzd i zmarszczek. Niedawno przekroczył pięćdziesiątkę, za dwa i pół roku osiągnie pułap dwudziestu pięciu lat służby i będzie mógł przejść na emeryturę.

—Poruczniku — zaczął Hodges.

—Chodzi ci o wywiad czy analizę sytuacji?

—Arness i Renquist są już w drodze. — Hodges zwrócił się do Marge. — Udasz się z Renquistem na komendę. Złożysz oświadczenie. Jak się czujesz?

Marge nerwowo skinęła głową.

—Nic mi nie jest.

—To dobrze. — Hodges opuścił wzrok. — Czekam na Arnessa. Wygląda, jakbyś coś wypatrzył, Loo. Klękałeś i rozglądałeś się tu. Znalazłeś coś?

—Zaznaczyłem to tylko taśmą. Tu na drzewie i ślady detektyw Dunn na trawie. Jak sądzisz, ile czasu zabierze ci przeprowadzenie analizy?

—Jak zwykle w takich wypadkach.

—Trzy... cztery godziny?

—Mniej więcej.

—Scott odbiera właśnie oświadczenie od mojej żony. Potem chciałbym ją zabrać do domu. To chyba potrwa jakieś pół godziny... no, może czterdzieści pięć minut.

—Przykro mi z powodu twojej żony. Co za gnojek to zrobił!

—To się zdarza. Nic jej się nie stało.

—Dzięki Bogu.

—Loo? — Martinez przebiegł przez ulicę i zatrzymał się. — Hej, Ross, jaki jest tor pocisku?

—Mamy innego kandydata zamiast Van Nuysa, Bertie. Parks skreślił sobie kostkę na nartach. Wydział go nie puści. Groziłoby mu zawieszenie. Nie podejmie tego ryzyka na trzy lata przed emeryturą. — Hodges zwrócił się do Deckera: — Przyłączysz się do zespołu, Loo? Dostałbyś strefę uderzenia pocisku w parkuj to chyba w porządku, co?

—Mam przejrzeć swoją strefę? Dobra, tylko pamiętajcie byłem wolny jeszcze za młodu, a teraz jestem jeszcze wolniejszy.

—To cały urok naszej ligi panów po czterdziestce — oświadczył Hodges.

—Skoro tak mnie kusicie, to wchodzę.

—O, jest już Renquist. — Hodges pomachał w jego kierunku, a potem zwrócił się do Marge: — Wszystko będzie dobrze. Tylko się nie śpiesz. Powodzenia.

—Nie mam sobie nic do zarzucenia — stwierdziła Margel I po raz pierwszy musiała przyznać sama przed sobą, że chyba tak było. Ocaliła życie Riny; wyrastała niemal na bohatera. I ca chłopcy zachowywali się tak wspaniale, byli zupełnie normalnej. Może naprawdę wszystko było w porządku.

—Masz coś, Bert? — spytał Decker.

—Taa. No dobra. — Martinez nagle sobie przypomniał, po co tu jest. — Przeszukałem kieszenie sprawcy.

—Chyba nie ruszałeś cia... — wtrącił się Hodges.

—Nie, nie przesuwalem ciała.

—Żebyś nie spieprzył jego położenia!

—Nie przesuwalem ciała!

—Ja przesunęłam ciało — powiedziała Marge.

TLR

—Nie mów tu nic — napomniął ją Hodges. — Zaczekaj na Renquista.

—Co znalazłeś, Bert?

—Dobra. Miał prawo jazdy na nazwisko Luk-Duc Penn, dwadzieścia pięć lat, ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, niecałe siedemdziesiąt kilogramów wagi. Nie miał żadnej zielonej karty, więc może jest ważne. Mieszka... mieszka w Oxnard. — Martinez podał Deckerowi dokładny adres. — Marnujemy czas, przeszukując całe Los Angeles, a facet mieszka poza miastem. Stąd trzeba się udać drogą 101 na północ i po jakichś trzydziestu, czterdziestu minutach mamy już inną jurysdykcję. To spora przestrzeń do przeszukania, stąd do Oxnard. Można się tam dostać jeszcze inną drogą.

—Oxnard, to mi brzmi z hiszpańska — zauważyła Marge.

— To z pewnością wędrowny ptak — ciągnął Martinez. — Cały ten rolniczy teren działa jak magnes przyciągający biedaków i analfabetów. Wystarczy choćby przejrzeć ostatni napływ przybyszów z południowo-wschodniej Azji. Albo ci wszyscy wędrujący za pracą przybysze z Ameryki Środkowej, nie mówiąc już o rynku przestępczym. Jak tylko ruszyć się stąd na północ, zaraz się znajdzie jakieś krajalnic

— To brzmi całkiem rozsądnie — odparł Decker. — Skontaktujcie się z policją i sądem w Oxnard i przygotujcie parę nakazów aresztowania.

Rozdział trzydziesty

Trzymając przed sobą ostatni wykaz przestępstw, Cindy mogła tylko współczuć Rinie i Hannah. Pierwsza jej reakcja nie była emocjonalna, lecz czysto fizyczna, doznała jakiegoś okropnego zawrotu głowy. Na szczęście szybko jej to przeszło. Ojciec ją zapewniał, że wszystko skończyło się dobrze, ale czy ktokolwiek mógłby się czuć dobrze po takiej przeprawie? Tatko dodał też szybko, że Hannah nic nie widziała. I że porywacz padł na miejscu od celnego strzału Marge. Pierwszą reakcją Cindy była ulga. Rina nie musiała uczestniczyć w procesie, a Hannah można było po prostu powiedzieć, że ten zły człowiek odszedł sobie na zawsze.

Potem jednak, gdy odłożyła słuchawkę i pomyślała o tym, co się stało, w głowie aż jej huczało od myśli: Jak to jest z zadawaniem komuś śmierci? Zdarzenie to wzbudziło w niej liczne pytania. Czy mogłaby kogoś zabić? Zawsze była przekonana, że by mogła. Ale kiedy strzelano do niej i do Craytona, schroniła się za wóz i była odrętwiała ze strachu.

Serce waliło jej jak szalone, chciałyby od razu wyjechać na przelotówkę i przekonać się, czy naprawdę jej siostrzyczka i Rina czują się dobrze. To wszystko nie było takie proste.

„Nim minie godzina, wszelkie informacje o nas zostaną potwierdzone”, powiedział jej ojciec. I dodał: „Wciąż o tobie myślę, Jak ty się tam czujesz?”

„Dobrze się czuję, tatku. Naprawdę. Wszystko wraca do normy” Zaważała się. „Ale wiesz, nie mogę jakoś sobie poradzić z myślą, że wszystkie te brudy akurat nam się musiały przytrafić”.

Tatko roześmiał się, ale nie było mu zbyt wesoło. „Wiem, że nie ma nikogo, kto by nie miał jakichś kłopotów. Tak, na to wygląda, że przyszła kolej i na nas. Zawsze miałem nadzieję że kiedy stanę w obliczu jakiejś wielkiej życiowej próby, to jakoś sobie z tym, cholera, poradzę”.

„Naprawdę mi przykro, tato. Jak ty się czujesz?”

„Rodzina czuje się dobrze i ja też”. Urwał. „Kocham cię, księżniczko. Ale proszę, uważaj na siebie. Tak łatwo jest komuś zadać psychiczny ból, więc proszę cię, na koniec, skontaktuj się ze mną”.

„Obiecuję, tatku. Nie martw się. I będę na siebie uważać”.

Czuła, że musi mu być naprawdę ciężko. Mimo wszystko odkryła w tym coś pozytywnego. Oto wreszcie ma czas dla siebie. Tatko jest zbyt zajęty ostatnimi wydarzeniami, żeby mógł sobie jeszcze zaprzętać nią głowę. To samo dotyczy Marge i Olivera, tak. Ma teraz czas, by sobie spokojnie pomyśleć... przeanalizować całą sytuację.

Zabrała się do mycia naczyń po rannej kawie. Myślami była wciąż przy tej ostatniej nocy ze Scottem. Wszystko to zdarzyło się tak szybko i tak gwałtownie, że zastanawiała się, czy to się naprawdę stało. Poczucia nie-realności dopełniało jeszcze to, że nie znalazła go przy sobie, gdy się obudziła. (Wprawdzie na kanapce leżała zmięta pościel, wiedziała więc, że tam spał. I ta krótka notatka: „Później do ciebie zadzwonię”.) A kiedy zadzwonił, powiedział jej tylko, że jest z jej ojcem, ale obaj muszą teraz wyjechać ze względu na to, co się wydarzyło w parku.

Wytarła dzbanek i włożyła go z powrotem do maszyny.

Naprawdę dziwna noc, ale nieskończenie lepsza od poprzedniej. Nie pamiętała dobrze samego seksu, była myślami gdzie indziej; przypomniała sobie tę rozmowę o Bedermanie oraz to, co powiedział Scott: „Niekoniecznie tak bywa, że partnerzy rozchodzą się i pozostają dobrymi przyjaciółmi”. Wydawało jej się to dziwne w stosunku do Grahama i Ricka Bedermana, ponieważ zachowanie tego ostatniego tamtej nocy było dość dziwaczne; to obmawianie Hayley. Cindy zaczęła się więc zastanawiać, czy Bederman nie miał jeszcze jakiegoś innego powodu, by odejść od partnera.

Żeby dostać przeniesienie, Rick musiał przedstawić swą prośbę na piśmie. Wydział zachował więc na pewno pisemną notatkę o tej prośbie w aktach Bedermana. Gdyby tylko mogła dostać się do tych akt, odnalazłaby prawdziwą przyczynę prośby o przeniesienie. Właściwie czemu nie?

Wiązały się z tym pewne kłopoty. Akta nie tylko były poufne; trzymano je gdzie indziej, w Ośrodku Parkera. Dostęp do teczek nie był możli-

wy bez właściwego upoważnienia, dział personalny w weekendy był nieczynny, a pomieszczenie zamknięte naглуcho. Być może zostawiono tam jakiegoś cywila, i tyle. Nie było po co się tam wybierać.

Zaczęła zmywać ladę ścierką do naczyń; okazała się jednak za mokra i pozostawiała zacieki na plastikowym blacie. Powiesiła ścierkę na kranie i odwinęła z rolki parę arkuszy papierowego ręcznika. Doszła do wniosku, że większość posterunków nie działała podczas weekendu. Detektywi chcieli przejść na pracę w dni robocze, od dziewiątej do piątej. Nie było to jednak niemożliwe, tyle że praca w systemie na wezwanie pozwalała na to, by nie czekać do poniedziałku, jeśli coś się działo.

Wyrzuciła mokre ręczniki i podeszła do lodówki. Wyjęła kiść winogron, zmiażdżyła jedno w ustach, słodki, świeży wytrysk zlikwidował przykry kwaśny posmak. Położyła się na kanapce, z nogami do góry, i kombinowała dalej, jedząc winogrona.

Hollywood dysponowało pewnym podstawowym systemem akt swoich policjantów; były to głównie wykazy obecności, prośby o wolne dni, zwolnienia chorobowe i wykazy wyjazdów. Listę obecności sprawdzał zwykle osobiście dyżurny zmiany, ale Cindy uzmysłowiła sobie, że te odręczne dane wprowadzał pewnie do komputera jakiś cywil, ktoś, kto siedział teraz w domu, oglądając mecz, podlewając kwiatki, lub może gdzieś sobie wyszedł. Mogła mieć jednak trochę szczęścia, próbując uzyskać dostęp do komputera miejscowego posterunku. To z pewnością prostsze, niż dostać się do Ośrodka Parkera.

Tylko jeśli nie było tam ruchu, czy jej pojawienie się nie zwróciłoby niepotrzebnie uwagi?

Zjadła winogrona, zebrała puste łodyżki i zmięła je w dłoniach. Owoce rosły w gronach, to też był system. Jak ze wszystkim w życiu, trzeba wiedzieć, jak to działa. Gdyby ktoś zapytał, zawsze może powiedzieć, że nadgania zaległości w sporządzaniu raportów albo pomaga Tropperowi zalewanemu papierkową robotą. Kiedy ludzie dowiedzą się, że coś takiego robi, nikt nie będzie miał żadnych podejrzeń.

Złamanie kodu programowego musiałoby jej zabrać trochę czasu. Wca-
le zresztą nie była pewna, czy jej się to uda. A gdyby go w końcu złama-

ła, czego miałyby szukać? Podniosła się z kanapki i wzięła torbę. Lepiej próbować coś zrobić, niż zastanawiać się nad każdym krokiem.

Otworzyła zamek, wyszła z mieszkania i zatrzasnęła za sobą drzwi. Rozejrzała się wokół, zlustrowała wzrokiem przejścia, schody, ulice, dachy... robiła wszystko, co powinna.

Czujność stała się jej nawykiem.

Najpierw włożyła mundur, pomyślała, że tak będzie lepiej. Przeszła do pokoju odpraw, udając, że porządkuje pozostawione tam papiery. Miała szczęście. Na posterunku panował spokój i nikogo to nie interesowało, że jakiś żółtodziób wypełnia sobie formularz. Parę zdawkowych spojrzeń upewniło ją, że nikt nie zwraca na nią uwagi.

Wybrała dogodny moment, wstała i wyszła na korytarz, gdzie powinny znajdować się akta posterunku. Teraz trzeba było jeszcze wejść do kabiniki. Zamek był prosty, wystarczyła jej karta kredytowa. Po co sobie zawracać głowę jakimś porządnym zamkiem, a kto by miał coś wykradać z policyjnego posterunku? Co tu można było zabrać: ołówki, pióra, papier, bloczki, koperty, teczki? Cindy pomyślała, że to pewnie jest tak jak w hotelu: ludzie zabierają artykuły piśmienne nie dlatego, że im są potrzebne, ale dlatego, że tam są.

Dostęp do komputera był równie skomplikowany jak zapalenie światła. Po paru chwilach miała w okienku ze dwa tuzin opcji. Sprawdziała jedną po drugiej, dopóki nie weszła do programu, który ewidencjonował codzienne wykazy czynności: zmiany, wyjazdy wozów, patrole uliczne, sprawy sądowe, dni wolne, dni służby, kto z kim był na patrolu, jacy detektywi byli wyznaczeni do poszczególnych spraw. Wykazy sporządzano chronologicznie policjantów wymieniano w porządku alfabetycznym. Można było bez trudności znaleźć dzienne przydziały Bedermana w ciągu ostatnich paru lat, trochę to jednak trwało.

Miała trochę czasu, tylko czy coś w ten sposób uzyska? Przeglądanie wykazów pracy Ricka nic jej o nim nie mówiło. Było to jednak lepsze od nerwowego przemierzania podłogi w jej małym mieszkanku, wzdrygnięcia się na każdy podejrzanym odgłos, spoglądania co pięć minut przez zasłony,

sprawdzania zamków, drzwi i okien w poszukiwaniu ukrytych znaków, zarysowań czy śladów otwierania.

Jej ulubionym klawiszem komputerowym stał się wstecznik. Przesuwała się do tyłu, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu. Było to nudne, głupie i nieskomplikowane zajęcie. Rick był tam zalogowany sześćset trzydzieści razy, wylogowany trzysta trzydzieści. Sześć dni służby, trzy dni wolnego. Czasami brał dłuższe zmiany, żeby wyrównać dni nieobecności.

Przeleciała dwa miesiące, trzy, sześć miesięcy. Kolumny druku małymi czcionkami migały jej przed oczami. Nie było tam nic szczególnego, jakichś uwag pochlebnych czy krytycznych o danej osobie. Zwykła masówka.

Osiem miesięcy, dziewięć, jedenaście... doszła do okresu, kiedy sama stała się częścią Hollywood. Przed jej przybyciem wykazy pracy Grahama Beaudry'ego informowały o samotnych wyjazdach. Cofając się trochę w czasie, odkryła ku swemu zdumieniu, że partnerką Grahama była jakaś kobieta o nazwisku Nicole Martin. Cofnęła się jeszcze dalej i odkryła, że Graham pracował z nią ponad rok.

To było dziwne. Każdy mówił o Grahamie i Ricku, jako dawnych partnerach, ale nikt nie wspominał Cindy o jakiejś Nicole Martin. Sam Graham też o niej nie mówił. Przejrzała cały przebieg pracy Martin. Dalsze śledztwo wykazało, że Nicole została, przeniesiona do Pacific, konkretnie do komórki detektywów zajmujących się sprawami nieletnich. Żeby to sprawdzić, wybrała Pacific i zażądała połączenia z pocztą głosową detektyw Martin. Kiedy sekretarka zaskoczyła, odwiesiła słuchawkę.

Dobra. Ostatnia partnerka Grahama zdobyła już swoje złoto. Może to dlatego nigdy o niej nie wspominał, zakłopotany tym, że Martin porwała się na większe rzeczy. Ale nawet Hayley nigdy o niej nie wspominała. Może była tym podobnie zakłopotana, ponieważ Martin awansowała, a ona wciąż musiała wychodzić na ulice.

To wszystko było bardzo dziwne. Albo też Cindy nie rozumiała dobrze tej struktury. Było tam wiele niepisanych reguł i praw, a jedyną drogą ich poznania było nieświadome ich naruszenie.

Żółtodziobom przysparzało to tylko kłopotów.

Przed Nicole Graham był z Bedermanem.

A jak biegły dalej drogi kariery zawodowej Bedermana po rozstaniu się z Grahamem? Na początku Cindy przyjęła założenie, że Bederman związał się od razu ze swoim obecnym partnerem, Seanem Amorym. Ale przeglądając wykazy pracy, przyszło jej znowu na myśl, czemu nie zahaczyć o Vegas. Jej wstępne założenia były najwidoczniej błędne.

Nie tylko Sean nie był wtedy partnerem Bedermana, ale w ogóle nie pracował z żadnym partnerem! Poza tym Bedermana przeniesiono na wieczorną zmianę. Nie, nie wieczorną — nocną. Wczesne godziny poranka. Większość funkcjonariuszy nie lubiła tej zmiany, ponieważ były to zwykle wezwania do bardzo poważnych wypadków. Unikali jej jak ognia ci, którzy mogli pracować w normalnych godzinach, chyba że już całkiem przyparto ich do muru.

Oczywiście nie dotyczyło to wszystkich. Sporo uczciwych oficerów odpracowywało regularnie swoje dyżury. Część z nich po prostu lubiła mieć wolne w ciągu dnia, były też samotne matki i ojcowie, którym odpowiadała ta pora, ponieważ mogli w ten sposób przebywać z dziećmi, przygotować śniadanie przed pójściem do szkoły, a wieczorem kolację; potem oni wybierali się do pracy, a dzieci szły do łóżka.

Ale nocne zmiany mogły również oznaczać dorywcze kontakty seksualne, z czego nie trzeba się było tłumaczyć przed żoną. Nocna zmiana to dostęp do ciemnej strony życia, dosłownie i w przenośni. I właśnie dlatego zawsze znajdowali się tacy policjanci, którzy czuli dreszczyk emocji, zadając się z mętami, mając wokół siebie kurwy, alfonsów, handlarzy prochami i panków, ci, którzy sądzili, że nigdy nie zostaną w to wplątani, że im się upiecze. Prózne złudzenie. Gazety pełne są wyznań policjantów, którzy złamali swój kodeks.

Cindy nie miała jednak żadnych dowodów, że Rick należał do tej grupy. A mógł mieć swoje powody, że polował na nocne zmiany. Wiedziała, że lubił młode dziewczyny. Może żona pracowała w dzień, a Bederman wybierał pracę nocną, żeby być z dziećmi. Nie sprawiał jednak na niej wrażenia faceta, który lubi przebywać w domu. Czy mówił kiedykolwiek

o tym, że chce wcześniej wracać do domu, żeby być z żoną? Więc może się między nimi nie układało. Może był podrywaczem.

Logicznie rzecz biorąc, wszystko się zgadzało, ale jakiś wewnętrzny głos kazał jej zachować sceptycyzm.

Rick spędził dwa lata po tej ciemnej stronie. A były to te same dwa lata, które przyniosły Armandowi Craytonowi największe sukcesy finansowe. To podczas tych dwu lat Crayton wydawał przyjęcia, kupował rolls-royce'y, podejmował rozmaite działania i handlował z Dexterem Bartholomew.

Zwykła zbieżność?

Cindy sprawdziła jeszcze raz karty pracy, przesuwając się na przemian w tył i w przód, potem znów skacząc do tyłu, żeby ustalić kolejne związki między Beaudrym a Bedermanem. Pół godziny pracy przyniosło zaskakujące rezultaty.

Beaudry i Bederman byli partnerami od blisko dziesięciu lat. Zaczynali mniej więcej w tym samym czasie, o którym wspominał Oliver, mówiąc, że Bederman właśnie się pojawił w Hollywood. Oliver opuszczał akurat Hollywood i przenosił się do Devonshire.

Partnerzy od dziesięciu lat!

Jeśli Bederman zarzucał Beaudry'emu fizyczną powolność w chwytaniu przestępców, z pewnością miał dość czasu, żeby to stwierdzić.

Scott miał rację. Coś tu nie grało.

„No dobra”, powiedziała do siebie. Byli partnerami od dziesięciu lat. I co z tego? Potem się rozdzielili, Beaudry chodził z Nicole Martin, a Bederman pracował nocami na własny rachunek.

Później Martin awansowała na detektywa, a Beaudry uwijał się samotnie przez sześć miesięcy. Bederman przestawił się wtedy na zmianę dzienną i znowu przez trzy miesiące pracował sam. A potem z wykazów kart pracy wynikało, że działał razem ze swym obecnym partnerem, Seanem Amorym.

Zadziwiająca, czego to można się dowiedzieć, przeglądając zwykłe karty pracy!

Reasumując, Cindy odnotowała, że przez trzy miesiące Bederman i Beaudry pracowali na dziennej zmianie, ale każdy z nich osobno. A to znaczyło, że gdyby chcieli mieć partnera, mogliby się zejść.

Najwidoczniej tego nie chcieli.

Dlaczego?

Który z nich nie chciał? A może była to obustronna niechęć?

A może sama zabrnęła w ślepą uliczkę, by przez takie karkołomne spekulacje przywrócić sens własnemu rozwalonemu życiu?

Tylko jaki to miało związek z Craytonem? Jeśli w ogóle miało?

Wyłączyła komputer, zabrała swoje odręczne notatki i wsunęła je do torby. Rozejrzała się, dyskretnie wyszła z biura i przez nikogo nie naga-bywana udała się na parking. Odetchnęła głęboko, gdy tylko znalazła się na świeżym powietrzu. Nie zdawała sobie sprawy, w jakim napięciu to wszystko robiła. Od razu poczuła się lepiej.

Rozejrzała się, otworzyła drzwi wozu i wślizgnęła się za kierownicę, a zanim uruchomiła silnik, sprawdziła starannie swego saturna. Przyszli jej na myśl pojawiający się w dziwnych okolicznościach policjanci, te ostatnie skandaliczne afery, które były plagą policji z Los Angeles. Jak mogła nie pomyśleć o tym przedtem? Stara historia: policjanci korumpowani przez forszę. Nic na to nie mogła poradzić, ale mogła się przynajmniej zastanowić, czy ostatnie dwa lata służby Bedermana na nocnej zmianie nie miały jakiegoś związku z hossą Armanda. Próbowała sobie przypomnieć wszystkie rozmowy z Armandem, jego marzenia i układy, w jakich się poruszał. Przecież puszczała mimo uszu pogłoski, jaki to z niego przekręt. Że potrafiłby nawet wydobyć pieniądze z jej... no, wchodząc jej w majtki.

Cindy zastanawiała się, czy właśnie dlatego się wycofał z ich przypadkowej znajomości, ponieważ te próby nie doprowadziły go do celu. Może istotnie było tak, jak słyszała. Pilnie nadśluchiwał, gdy opowiadała o akademii i swoich marzeniach, by zostać policjantką.

Czy Armand mógł ją oceniać pod tym kątem, czy uda się ją zwerbować? Czy sądził może, że da się przekupić? Czy porzucił nadzieję, że coś

uzyska? A czy te same motywy nie przyświecały tej Lark? Czy odrzuciłaby informację Stacy Mili, kogo by tu można wykorzystać?

Jeśli Armand zamierzał złowić wielką rybę, musiał posłużyć się lepszą przynętą niż same obiecanki. Cindy pomyślała, komu mogłoby zależeć na porwaniu wozu Craytona. Może skupili się na tym, co popchnęło ich do tego porwania — ile jest warte dla Armanda jego życie.

Co to powiedział jej ojciec, że Crayton miał być w coś ubabrany? Jakieś handelki ziemią w pobliżu Palm Springs. Co to była za dzielnica? Coś z kwiatami... jakieś obce słowo, którego nie znała. Jak Las Flores, tylko że po francusku. Les Fleurs? Belle Fleur?

Tak, to było to. Belfleur. Jedno słowo. Nie byli nawet pewni, czy to poprawnie po francusku.

Zapuściła silnik, ale nie pojechała do domu.

Ku swemu zdumieniu znalazła się na drodze na południowy wschód i jechała nią, póki nie minęła Arlington. Wówczas skręciła na wschód, poruszając się drogą 10. Najwidoczniej kierowały nią siły znajdujące się poza jej kontrolą.

Tylko że nie była to prawda. Dobrze wiedziała, co robi. Obróła kurs na Belfleur, w nadziei, że może samo miejsce nasunie jej jakąś wskazówkę, czemu Crayton stracił grunt pod nogami.

To daleki strzał, ale cholera, może wreszcie trafny; mogłaby się założyć o dużą sumę.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Była niedziela, temperatura sięgała siedemdziesięciu stopni Fahrenheita, zapowiadało się piękne popołudnie. Poranna przybrzeżna mgiełka nie chciała jednak ustąpić, przydając niebu mdłego mlecznego błękitu, jakby niebiosy cierpiały na niedotlenienie. Podróż była okropna, spaliny samochodów, wozów ciężarowych i autobusów pokrywały mury, wszystko wokół wyglądało jak spłowiełe. Ruch jednak nie był duży, co sprawiło jej miłą niespodziankę. Nawet jej sfatygowany saturn rozwijał całkiem przyzwoitą szybkość, wykorzystując rzadkie okazje jazdy bez zatorów i postoju przed światłami.

Trasa na wschód wiodła przez śródmieście Los Angeles, mijała wielkie handlowe wieżowce, hotele, wyrastające jak grzyby po deszczu nowe hale sportowe i ośrodki konferencyjne. Z tyłu za nimi zostały stare budynki handlowe wschodniego LA i dzielnica handlowa, całe mile zniszczonych konstrukcji. Parę już odnowiono, ale zbyt wiele ulegało dalszej ruinie. Jadąc dalej na wschód, dotarła w końcu do rafinerii, fabryk wyrzucających z kominów obłoki brudnego dymu — niby staromodne parowozy, tyle że wyzbyte wszelkiej romantycznej aury. Po drodze mijała salony dilerów samochodowych, a każdy z nich ogłaszał wyprzedaż stulecia, reklamując się baloniastymi postaciami z komiksów; rzeźki wiaterek tarosił otyłe ptaki Tweety i koty Sylwestery z zastygłymi na twarzach uśmiechami. Sławetne wyprzedaże, o których każdy chciał tylko jak najszybciej zapomnieć.

Włączyła płytę Sheryl Crow. Piosenkarka łagodnym, choć obolałym głosem śpiewała o perypetiach swego życia. Przeleciała do utworu ósmego, nigdy nie miała dość słuchania tej opowieści o tym, jak jest się obcą we własnym życiu, ostatnie stadium alienacji. Bardzo to pasowało do tego, co ostatnio robiła, do przyziemnych czynności, jak przeglądanie rejestrów pracy czy pokonywanie stu mil drogi bez jakiegoś konkretnego celu. Zawsze jednak lepiej działać, niż się nad tym zastanawiać.

Wydostała się wreszcie z wielkiego miasta i wszystkich jego utrapień i jechała teraz wśród podmiejskich sypialni rozciągających się wzdłuż drogi. Niemal identycznie wyglądające kompleksy zabudowy: wciąż te same jednopiętrowe domki ze spadzistym, krytym papą dachem i białym oliwowaniem. Na zasadzie jakiegoś dziwnego kaprysu parę tych osiedli wysiliło się na licowanie w błękitach. Na podjazdach widziało się starsze typy wozów, trawniki były pełne rowerów i piłek. Jakieś przydrożne drzewko chwiało się, miotane pędem powietrza szybko przejeżdżających wozów. I tak domek za domkiem. Tu i ówdzie przysiadły obsługujące lokalnych mieszkańców, monstrualne sieci handlowe niczym opuszczone wyspy na asfaltowym morzu.

Nie było w tym nic malowniczego, ale to akurat Cindy nie przeszkadzało. To cudowne wyjechać tak poza miasto, wydostać się z kręgu tych złowieszczych sił, które ją osaczyły. Nie, nie była to beztroska. Zerkając wciąż na pobocze i w tylne lustro, wspominała te błogie dni, które miała już za sobą. Żeby się pozbyć ewentualnych ogonów, przyspieszała, to znów zwalniała. Często zmieniała pas ruchu. Upewniła się, czy ma w torbie broń i telefon. Przełączała wciąż radio, żeby się ustrzec hipnozy monotonnej jazdy. Otwierała okno, to znów je zamykała. Regulowała głośność swego stereo. Słowem, robiła wszystko, aby zachować swą uwagę i czujność. A jednak gdzieś tam się czaił dręczący ją niepokój, miała wrażenie, jakby o czymś zapomniała.

Skrecając na krzyżówce w drogę odpowiadającą na tarczy zegara pozycji godziny drugiej, spojrzała jeszcze raz w lustro. Z fali jadących razem z nią wozów pozostał tylko niebieski lexus, prowadzony przez samotnego białego faceta, biały ford Explorer z dwiema dwudziestoparoletnimi kobietami, wojskowy zielony range rover z dwiema czterdziestoparolatkami i srebrne volvo z całą rodziną w środku. Wozy posuwały się dość szybko, ale zachowując między sobą rozsądny dystans. No i nie zmieniały pasów ruchu jak jej saturn. Doszła do wniosku, że jest bezpieczna.

W brzuchu jej burczało, sięgnęła do torby i wyjęła z niej jabłko. Po półgodzinie zjadła trochę winogron.

Pejzaż miejski zmienił się tymczasem w wiejski. Miała przed sobą panoramę dzikich krzaczastych zarośli, porastających obrzeża śródlądowej kotliny, graniczącej z pustynią Mojave. Rozległe równiny atakowanych przez piasek krzewów u stóp granitowych, pokrytych śniegiem gór. Zmiana krainy geograficznej dokonywała się bez uprzedzenia: płaska i sucha ziemia przechodziła nagle w podnóże stromych skał. Powietrze miało tu jednak krystaliczną czystość. Nie zanieczyszczał jej żaden okoliczny przemysł, ani śladu przesłaniającej krajobraz nadbrzeżnej mgiełki.

Była więc naprawdę zaskoczona, widząc nagle znaki wjazdu do tak małej społeczności jak Belfleur, chełpiące się tą miejsciną jako zabytkową stolicą śródlądowego cesarstwa. Ze skraju szosy dostrzegła już parę sklepów z antykami. Przy najbliższej sposobności zjechała na skrajny prawy pas. Z uczuciem ulgi stwierdziła, że żaden z tych czterech wozów już jej nie towarzyszy. Za chwilę jechała Main Street, czteropasmówka z pokrytego pyłem asfaltu przecinała autostradę. Ponieważ nie widziała żadnego centrum handlowego, przystanęła tam, gdzie dyktowała jej fantazja. Podjechała do krawężnika, wysiadła i znalazła się niby w jakiejś jednostajnej typografii, płaskiej i brązowej.

Istne miasto duchów, nawet śladu starania o cokolwiek. Nie było poza nią żadnego przechodnia, jakichkolwiek oznak życia.

Belfleur było małe, i choć miało pretensję, żeby być czymś ciekawym, nie było tu nikogo, kto by chciał ową ciekawość zaspokoić. Na ciasnych sklepikach, chlapniętych byle jak ziarnistym tynkiem, widać było szarawe zacieki, pozostałość po deszczu lub świadectwo kłopotów kanalizacyjnych. Po jednej stronie ulicji miała delikatesy, sklepik z kawą i super-sam, wszystko zamkniętej! Po drugiej szmaciamia, też zamknięta, ale zaraz potem sklepa żelazny i alkoholowy, oba otwarte. Jakieś trzydzieści metrów dalej ujrzała jedyne nie zabudowane miejsce, z którego rozciągał się widok na góry. Po pięciu minutach takiej przechadzki dotarła wreszcie do innej kawiarni, otwartej i z ludźmi w środku. Po krótkiej naradzie ze swym żołądkiem doszła do wniosku, że była teraz bardziej ciekawa niż głodna. Może coś przekąsi, wracając.

Jeszcze ćwierć mili takiej łązgi i miała przed sobą skupisko handlowe sklepików ze starociami. Wstąpiła do jednego z nich i mogła się przekonać, że wyłożony tam towar może bardziej pasowałby do jakiegoś lombardu. Trochę starych książek i ubrań... parę starych naczyń, które mogły pochodzić z taniego serwisu porcelany prababci. Półka wypełniona zardzewiałymi blaszanymi pudełkami, służącymi niegdyś do przechowywania pasmanterii. Na innej półce stały poszczerbione porcelanowe figurki ze stemplem Made in Japan. Zauważyła tam jeszcze parę rżniętych kryształów w dobrym stanie, ale ich cena nie zachęcała do kupna. Ponieważ jednak mama kolekcjonowała takie rzeczy, a nie chciała wracać z pustymi rękami, wybrała jakąś filiżaneczkę ze spodkiem i sprawdziła, czy nie było skaz. Nie było, więc postawiła komplet na ladzie.

Za kasą siedziała czterdziestoparoletnia kobieta. Krótko ostrzyżona fryzura podkreślała wydatne szczęki. Niebieskie oczy osadzone w gniadach drobnych zmarszczek, kurze łapki. Twarz bez żadnych ozdób, nie była umalowana i nie nosiła kosztowności. Proste ubranie: krótkie rękawki, błękitna hawajska koszulka z surfującym młodzieńcem i workowate dzinsy. Cindy podała jej filiżankę i spodeczek.

— Śliczny drobiazg — powiedziała kobieta. Przyjrzała się cenie. — Mogłabym wziąć za to więcej. Szkoda. Twój zysk, moja strata.

Cindy skinęła głową i uśmiechnęła się.

—Piękna koszula.

— Dzięki — odparła kobieta. — Mamy tego całą stertę, tam po lewej stronie. Widziałas je?

—Ach, nie.

—Chcesz coś takiego kupić?

—Pewnie.

Kobieta wyszła z lady i poprowadziła Cindy labiryntem ciasnych alejek.

—Prawdziwe wyroby z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Sztuczny jedwab. Żadnej bawełny. Bawełna nie układa sil dobrze na ciele. Mamy także koszule do gry w kręgle, jeśli ci to interesuje.

—Nie gram w kręgle.

—Nic nie szkodzi: Większość naszych kupujących nie gaj w kręgle. Ostatnie rzeczy w stylu Gen-Y. No wiesz, biodra hal przód, idziemy. Jaki jest twój zawód?

Zamurowało ją to pytanie. Podała pierwszą z brzegu odpowiedź^

—Uczę się.

—Uniwersytet Redlands?

—Ach, nie. San Diego.

—Fajne miejsce na szkołę. — Kobieta szybko przejrzała stertę ciuchów i wyciągnęła stamtąd różową koszulkę z motywem hawajskich tancerzy hula. — Ta powinna na ciebie pasować.

—Bardzo ładna. — Pomyślała sobie, a czemu nie, to w jaktl sposób było eleganckie. — Ile?

—Czterdzieści.

—Jejku! Aż tyle?

—Przecież mówiłam, to są autentyki.

—A ile by to teraz mogło kosztować?

—Jakieś pięć, sześć dolców. A ja mam to dla ciebie za czterdzieści. To tyle, ile mi płaci Ron Harrison z West Hollywood. Zarabia na tym jeszcze drugi raz tyle. — Uśmiechnęła się. — Przymierz to tylko na swoją bluzkę. Sama się przekonasz.

Cindy włożyła koszulkę.

—Trochę duża.

—Taka ma być.

—W sam raz na to, żeby jakaś żołnierka z mafii trzymał za tym broń.

—Przychodzą do nas, a jakże. — Znow się uśmiechnęła — Dobra, daję ci ją za dwadzieścia pięć. Sama płacę dwadzieścia. Chyba dasz mi zrobić te pięć dolców.

—Ale mnie na to namawiasz. Wcale tego nie potrzebuję.

—Potrzeba to coś zupełnie innego niż chętką. Chcesz to?

—Sama nie wiem.

—Kup. Nie pożałujesz.

Cindy podniosła ręce do góry i oddała jej koszulkę.

—Potem powiesz, jaka ze mnie frajerka. Biorę.

—Dobrze na tobie wygląda. A jeśli ci się odmieni, zanieś to tylko do Rona Harrisona. Powiesz mu, że Elaine cię posyła.

—Dobrze, zapamiętam.

—Chcesz cappuccino czy z ekspresu? Mam na zapleczu kawiarkę.

—Nie, dziękuję.

—To sama sobie wezmę.

—Dobra, niech będzie cappuccino.

—To pójdę na zaplecze.

Udała się za Elaine na tył sklepu. Ekspres był wciśnięty między jakieś stare szpargały, które okazały się lodówkami.

—Czy ludzie jeszcze tego używają?

—No, głównie dla dekoracji. Choć większość z nich działa. Przyjeżdża do nas wielu dekoratorów z Los Angeles, którzy poszukują takich staroci.

—Naprawdę?

—Taa, naprawdę. Dziwisz się? Dlaczego mieliby płacić o pięćdziesiąt procent więcej w sklepie z ozdobami, jeśli mogą tu dostać to samo, wystarczy tylko trochę poszperać. Mamy tu istne skarby.

—Dlaczego: my?

—Co proszę?

—Powiedziałaś: my. Jesteś właścicielką tego sklepu?

—Ja i moja przyjaciółka.

—Ach, tak!

—Co za „ach, tak”? — Elaine nastroszyła się. — Masz coś przeciwko lesbijkom?

—Nie, to nie tak. — Cindy szukała właściwych słów. — Po prostu nie spodziewałam się spotkać siostrzyczki w takim małym mieście.

—Mamy tu mnóstwo homo w Belfleur.

—Tak?

— Taa. Głównie lezby. Jest też trochę starych dziwaków. Jak masz starocie, to masz gejów. Stereotypy nie są czystymi wymysłami, no wiesz.

— Wzięła karton mleka z jednej z tych starych lodówek i zaczęła parzyć kawę. — Jak ci na imię?

—Cindy.

—Więc tak, Cindy. Co się tu przyniosło, akurat do Belfleur?

—Konkretnie, to szukam pewnej informacji.

Elaine przestała parzyć kawę i obróciła się ku niej.

—Nie jesteś wcale studentką.

—Studiuję życie.

— To równie oklepane jak slogany z fritos. Jakiej informacji szukasz?

— O, to poważna sprawa.

— Poważna dla mnie. Ale nie dla ciebie. Chyba wiesz, czego chcesz.

Cindy postanowiła być z nią szczerą.

— Rok temu zdarzyło się w Los Angeles głośne porwanie i zabójstwo...

—Armand Crayton.

—Znałaś go?

— Oczywiście. Wszyscy znali Armanda. Kupił ode mnie chyba z tuzin hawajskich koszul. — Elaine zamilkła. — Zastanawiam się, czy wdowa po nim jeszcze je ma?

—Co o nim myślisz?

Elaine wręczyła jej cappuccino.

— A z ciebie co za jedna? Prywatne ucho czy jak?

—Glina — wyjaśniła Cindy. — Ale kupiłam u ciebie koszulkę i filiżankę ze spodkiem. Powiedz mi coś o Armandzie Craytonie.

—Aparat był z niego, pod każdym względem. Najpierw próbował swych wdzięków seksualnych. A kiedy się na to nie wzięłam, z oczywistych powodów, zaczął z innej beczki, biznes. To też na mnie nie działało. Ale on musiał kogoś podbić, trafić do jego serca, żeby go potem obciągnąć. Sporo ludzi dało się na to nabrać. Choć większość z nich nie stąd, o ile mi wiadomo.

—Nabrać się, na co? Inwestycje gruntowe czy coś w tym rodzaju?

—To ma chyba związek z prywatnymi terenami pod osiedla mieszkaniowe, jak również z opłatami za to — agencja ziemiska Kwiat Pustyni. W biurze Armanda była taka makieta lokalizacji działek...

— Miał tu swoje biuro?

—Przez jakiś czas, tak, miał tu biuro. Chyba po to, żeby nam udowodnić, iż ma określone plany i nie można go podejrzewać o oszustwa. Oczywiście, wszystko to kupa gnoju, ale model był piękny. Z tymi wszystkimi budynkami i kawałkami niebieskiego celofanu w miejscach basenów. Ze ślicznymi ma- luteńkimi drzewkami i pejzażem kaktusów. Widać było nawet meble w tych domach, a jakże! No wiesz, takie różowe i zielone barachło w stylu południowego zachodu. Ale nie sądzę, żeby ci, co dawali na to pieniądze, specjalnie się na tym znali. Dla nich Belfleur było synonimem nie byle jakiej śmietanki towarzyskiej i ekonomicznej, takie Palm Springs z ciepłym oddechem pustyni, ale bez skrajnego żaru. Jak pojedziesz głębiej, do San Berdo, to tam jest zmiana klimatu i uprawia się te wszystkie sady. To już prawdziwy las. I oczywiście, tam jest gorąco. To dlatego udają się nam wiśnie i jabłka. A zimą mamy tu prawdziwe chłody. Mijałaś po drodze jakieś drzewka wiśniowe?

—Nie.

—Rosną bardziej na północny wschód w górach. Dają całkiem niezłe zbiory. Wróc tu w czerwcu. Mamy tu gospodarstwa typu „Co zerwiesz, to twoje” i „De wywieziesz, to twoje”. Wiśnie, to tylko część tego, co możesz tu dostać na rynku.

—Masz może wiśniowy sad, co?

Elaine uśmiechnęła się.

— Uważasz mnie chyba za bardzo przedsiębiorczą osobę. Ale nie, nie mam żadnych wiśniowych drzew.

—A jak z Armandem? Interesowały go wiśnie?

— Tylko u kobiet, szczególnie u dziewczyc. — Elaine roześmiała się ze swego dowcipu.

—Mówisz jak Armand.

—A ty co, znałaś go?

— Nie za dobrze. Ale nie trzeba znać Armanda, żeby wiedzieć, co dalej będzie.

— Prawda, prawda i tylko prawda.

— Więc Armand chciał obracać ziemią w tym, pustynnym rejonie?

— Widzisz, z tym jest pewien kłopot — wyjaśniała Elaine. — W Belfleur nie jest na tyle gorąco, żeby przez cały rok mogło być pustynnym kurortem. I nie jest też na tyle zimno, żeby stało się ośrodkiem sportów zimowych. Więc mogłabym się założyć, że gdyby się o tym zwiedzieli, daliby dyla jak nic. Większość jego nabywców spoza miasta polowała na szybki zysk. A to tak nie działa.

— Co do tego, masz chyba rację — zgodziła się Cindy. — Wiesz może, ile na początku kosztowały te działki?

Elaine upiła trochę kawy, miała teraz wokół ust zabawne mleczone wąsy. Zlizła je czubkiem języka.

— Wiesz, powinnaś chyba pogadać z Rayem. To taki trochę staromodny facet, ale znacznie częściej zadawał się z Armandem niż ja. Jest tutaj agentem nieruchomości. — Elaine zwróciła się w stronę wejścia do sklepu: — Pojedziesz Main Street na wschód, mijasz parking przyczep kempingowych, potem mijasz na wysokości Taco Bell i Starbucks duży kompleks handlowy Wal-Mart to już prawie na samym końcu Belfleur. Jeśli zobaczysz Haciendaville, to znaczy, że pojechałaś za daleko. Mieszka po lewej stronie.

— Czy jego biuro jest dzisiaj otwarte?

— Biuro? — Elaine uśmiechnęła się. — To zabawnie zabrzmiało... jego biuro. Tak czy siak, zawsze go tam znajdziesz, oczywiście nie w niedzielę rano, kiedy jest w kościele. Ray to normalny, wściekły republikanin, do tego jeszcze baptysta. Ale nie zrażaj się tym. To mimo wszystko porządny facet.

Malutka wystawa z brudnymi oknami, to co zwykle się wiąże z miejscami zabitymi na głucho. Złożony napis na szybie oznajmiał dumie: RAYMOND HARP. Pod nazwiskiem było jeszcze AGENT NIERUCHOMOŚCI. Cindy otworzyła szklane drzwi i weszła do środka. W wielkim fotelu rozwalał się jakiś facet z nogami na stoliku brydżowym, którego plastikowy blat imitował drewno. Palił cygaro. Miał na sobie biały garnitur i kapelusz panama, do tego śmieszna siwa bródka, okrągła blada twarz i bardzo ciemne oczy. Można go było wziąć za starszego właściciela plantacji albo starego, skorumpowanego sędziego z Południa.

Nie pomyliła się zbyt. Gdy zapytał, nie zmieniając pozycji, czym mógłby jej służyć, usłyszała w jego głosie charakterystyczny śpiewny ton. Chociaż mógł to być bardziej Teksas niż samo Południe.

—Jestem Cindy Decker. Czy mam przed sobą pana Harpa?

—Cieszę się, że cię widzę, Cindy Decker. — Mężczyzna uchylił kapelusza. — Ale nie, nie jestem Mr Harp. Jestem Mr Harper, jeśli chcesz wiedzieć. „E” i „R” odpadły z szyby już dawno temu. Nikomu to nie przeszkadza, bo i tak każdy w tym mieście wie, kim jestem.

Cindy skinęła głową i rozejrzała się wokół, uśmiechając się do niego przyjaźnie. Syfon wody sodowej pochodził z naprawdę zacnego rocznika i pewnie wart był więcej niż wszystko, co miała u siebie na składzie Elaine.

—Więc nazywa się pan Raymond Harper, prawda?

—Ściśle biorąc, nazywam się Elgin Harper. Ray to mój brat, wyniósł się stąd dwadzieścia pięć lat temu. Nie prostuję, bo to też nikomu nie przeszkadza. Większość mieszkańców mówi do mnie Ray. Ale jeśli pytasz mnie o moje prawdziwe imię i nazwisko, to jestem Elgin Harper. — Uśmiechnął się, ukazując brązowe zęby, i puścił kółko dymu. — Więc co mogę dla ciebie zrobić, Cindy Decker?

—Rozglądam się za jakąś działką weekendową. Słyszałam, że ceny tu są niższe niż w Palm Sprins.

Chwila milczenia. A potem Harper powiedział:

— Chcesz mieć tu drugi dom? — Nogi na stole zakołysały się. — A po co ci drugi dom?

— Dla odpoczynku — obstawała Cindy. — Może wybiorę się w góry i trochę się powłóczę. A poza tym, stąd jest blisko do Palm Springs, mogłabym zawsze wyskoczyć do miasta, gdy tylko będę miała więcej czasu.

Harper przyjrzał się jej.

— Jesteś dziwką?

Cindy wybuchła śmiechem.

—Nie, proszę pana, nie jestem dziwką. — Nic na to nie odpowiedział. — Nie jestem dziwką — powtórzyła. — Słowo.

—To czym się trudnisz?

—Dlaczego to pana tak interesuje?

—Bo przychodzi tu piękna dama, żeby znaleźć schronienie. Nosi spodnie zamiast dżinsów i modny sweter, który odsłania jej zdrową klatkę piersiową, proszę mi wybaczyć śmiałość. Słuchaj, jeśli chcesz tu uprawiać swój zawód, nie mam nic przeciw temu. Mógłbym cię nawet polecić paru osobom. O do diabła, jako gorącokrwisty republikanin mam też na myśli i siebie. Ale ja chodzę do kościoła. A to znaczy, że nie mogę tobą handlować i narażać się na kłopoty z miejscowymi. Nie, żebyśmy byli przesadnymi chrześcijanami. Widziałaś te wszystkie antyki, jakie tu mamy?

—Poznałam Elaine.

—To jedna z wielu. Cholera, mamy tu w tym mieście więcej królowych niż w Europie. Ale nie chcemy, żeby nas tu zalewały takie importowane śmieci jak ty. Mamy dość naszych własnych śmieci. Chcesz tu mieć klientów, potrzebujesz miejsca na swoje bezceństwa.

—Nie jestem dziwką.

—Dobra, może i nie. Ale to, co mówisz, jakoś mi nie pasuje. Czego chcesz?

Cindy rozejrzała się.

—Jesteś tu od dawna, Ray, prawda? Czy może raczej Elgin?

—Możesz- mnie nazywać, jak sobie chcesz, złotko. — Zaczął się śmiać. A potem śmiech przeszedł w szarpiący kaszel. — Więc tak, jestem tu trochę. Wiesz, idę o zakład, że jesteś poręczycielem. Kto tym razem naruszył warunki zwolnienia?

—Nie jestem poręczycielem. Nie jestem nawet poręczycielką.

—No dobra, jesteś z tych, co się rozglądają za plotkami. Lacha z ciebie, że głowa boli. — Wskazał na jej torbę. — Widzę tam prochy na dnie tej torby. Jeśli przyszłaś mnie ograbić, to nie masz tu czego szukać. Jedy- na wartościowa rzecz to ten syfon. — Harper podniósł się. Jego wydatny kałdun przelewał mu się nad paskiem i zwisał luźno, sięgając niemal genitaliów. Zrobił parę kroków, trzymając się pod biodra. — Więc czego chcesz, młoda damo?

—Dobra — odparła Cindy. — Zawrzyjmy układ, panie Harper. Powiem panu, co wiem o Armandzie Craytonie, a pan powie mi resztę.

—A co mi do tego, Cindy Decker?

— Kto wie? Jak się zgadamy, może dojdziemy do tego, kto zamordował Craytona.

—Zgadnij, co mnie to obchodzi?

—Nie lubiłeś Craytona?

—Tak między nami, to całkiem miły młody chłopak. Ale gdybyś mnie pytała, kto go zabił, mógłbym wymienić długą listę podejrzanych. Armand rozczarował tu wiele osób.

— Powiedz mi coś o tym — nalegała Cindy.

Harper wypuścił kolejne kółko dymu.

—Chyba sobie znowu usiądę. To może trochę potrwać. Możesz sobie przysunąć krzesło. — Uniósł cygaro. — Nie przeszkadza ci?

—Nie, proszę bardzo. Uwielbiam zapach tanich cygar. Przypomina mi to hazard gdzieś na zapleczu i bijatyki przy barze.

—Nie to miałem na myśli. — Harper pogрузzył się w swoim fotelu i wystawił nogi. — Chcesz trochę kawy?

—Chyba nie miałabym nic przeciw temu. — Rozejrzała się po pokoju. — Gdzie są naczynia do kawy?

—W wygodce, zaraz za papierem toaletowym.

—Pięknie.

—No, to nie Ritz, co to, to nie.

Cindy weszła do łazienki. Pomieszczenie było małe, ale nadspodziewanie schludne. Nawet zaprawa wiążąca białe kafelki była czysta. Ekspres stał na półce, zaraz obok kawa, przybory toaletowe i trzy kubki. Nalała do środka wody i czekała, aż zacznie bulgotać. Kawa niech się parzy, a ona tymczasem poukłada sobie w myśli pytania. Było ich jednak tak wiele, że dała sobie z tym spokój.

Parę minut później wróciła do biura, by już tak je nazwać, i wręczyła mu kubek.

—Jaką lubisz?

—Trzy łyżki kawy, trzy kostki cukru.

Wzięła z powrotem kubek i zrobiła kawę, jaką chciał.

— Mógłbym to kupić. Piękna kobieta parzy mi kawę. — Po chwili dodał: — Jakaś kobieta parzy mi kawę. Założę się, że pracujesz w wydziale kobiecym. — Przystawiła sobie krzesło. — Taka od przynieś, wynieś, pozamiataj. Za każdym razem je wysyłają. No więc...

Upiła trochę kawy.

—Co mógłbyś mi powiedzieć o Armandzie i agencji ziemskiej Kwiat Pustyni?

—Niemal mu się to udało. Nielichy wyczyn, Cindy, ponieważ ta ziemia nie ma żadnych bogactw naturalnych i słabo się sprzedaje. A Armand traktował ją tak, jakby ją osobiście ucałował król Midas z Krety. Człowieku, ale ten chłopak miał gadane! I był taki miły dla miejscowych, choć każdy wiedział, że ten biznes to gra do jednej bramki. Tak, to grzeczny facet. Dałem mu, ile chciał.

—Kim byli ci nabywcy?

—Gdybym powiedział, że to głupcy, byłbym może za surowy. Musisz pamiętać, Cindy, że zasoby rynkowe zwyżkują wraz ze wszystkim, co ma z przodu literkę „e”. Ludzie ładują forsy w przedsięwzięcia, które nigdy nie będą zyskowne. Więc Armand sobie wymyślił, że może jechać na tym koniku. Budownictwo mieszkaniowe idzie w górę, a nie zabudowaną działkę sprzedaje się po wyższej cenie, o ile mieszkasz, dajmy na to, w Dolinie Krzemowej czy w Seattle. Pierwsze, czego musisz się nauczyć w sztuce obrotu ziemią, to lokalizacja, lokalizacja i jeszcze raz lokalizacja. No dobra, tu w Belfleur wysoka technologia to kalkulator. Nie trzeba geniusza, żeby to wykombinować. Co jeszcze ci mogę powiedzieć? Belfleur nigdy tak naprawdę nie uczestniczyło w boomie.

Harper przyciął cygaro i upił łyk kawy.

— Pewnie, mamy tu paru hollywoodzkich typków z kucykami i drugimi żonami, którzy wbili sobie do głowy, że zostaną dżentelmenami-farmerami i kupili parę sadów owocowych, ale to wszystko. Tak było, póki nie pojawił się Crayton. Ale, widzisz, handelek nieruchomości Craytona to nie było przedsięwzięcie realne. On obracał marzeniami. Sprzedawał marzenia każdemu, kto chciał w nie wierzyć.

Wzniósł rękę w górę, jakby trzymał niewidzialny sztandar.

—Agencja nieruchomości Kwiat Pustyni. Wszystko, czego byś tylko zapragnął w sennej wizji. Baseny i sauna, sale sportowe i masaże, kąpiele błotne i solanki. Coś takiego sprawia, że pragniesz być rozpieszczany. A kto by nie chciał być rozpieszczany? Do diabła, to mnie podnieca, jak młoda piękna dama robi mi kawę. — Puścił do niej oko. — Naprawdę podnieca.

—Robi się pan czerwony na twarzy, panie Harper. Jakie ma pan ciśnienie krwi?

—Nie wiem, skacze mi co chwilę.

—Niech pan lepiej na siebie uważa— upomniała go Cindy. — Nie mam dużej wprawy w reanimacji.

—To może być tego warte.

—Do kogo naprawdę należał Kwiat Pustyni?

—Był własnością Armanda.

—Więc sprzedawał ziemię, która była jego własnością.

—No dobra, myślę, że technicznie rzecz biorąc, należała do banku. Ale Armand miał akt prawny. Mr Crayton miał prawo nadania, a co więcej, prawo do zabudowy terenów.

—A jaką miał klientelę?

—W większości sztywniacy z warstwy pracującej Los Angeles. I przez jakiś czas się wydawało, że Armand ich tu ściągnie. Miejscowi byli zachwyceni.

—Czy któryś z miejscowych kupował u niego?

—W zasadzie nie. Nie sędzę, żeby w pełni wierzyli Armandowi, i chyba mieli rację. Ale to nie było ani tak, ani siak. Rozbudowa takich terenów, jak Kwiat Pustyni, mogłaby niezwykle ożywić miasto. Miejska komisja planowania nie mogła się wprost doczekać akceptacji tych planów. Wszyscy wiązali z tym nadzieje. Już niemal czuliśmy smak świeżej zieleni. Te złudzenia trwały przez jakiś czas, Armand zadatkował pieniądze i na tym się skończyło. Skąd o tym wiem? Bo Crayton rozliczał się w miejscowym banku. A to były pieniądze na wpłatach. Prawdziwe pieniądze. Wszyscy myśleliśmy, że ten projekt przejdzie.

—I co się stało?

—Widać, że nie śledzisz rynku.

—Śledziłabym, gdybym miała pieniądze.

—Chwytam. Rozumiem sprawę. No więc, Cindy, rynek popłynął... były wielkie spadki.

—Armand się zmył.

—Nie, nie on, tylko jego wspólnik, facet, który miał pieniądze na zabudowę. Kiedy wziął się do tego Dex, wszystko padło.

— Dex, czyli Dexter Bartholomew — upewniła się Cindy. Harper spojrzał na nią.

— Więc odrobiłaś pracę domową. Starszy pan z Oklahomy przez jakiś czas dyktował warunki. Ale potem... — Strzelił palcami. — Rozwiało się. Nagle odmówił rozbudowy Kwiatu Pustyni, twierdząc, że Armand nie dysponuje dostateczną liczbą nabywców wstępnych, by rozwijać projekt na tak dużą skalę. Cholera, potrzebował znacznie więcej gotówki na rozruch. No wiesz, doprowadzić to wszystko, wodę, prąd, linie telefoniczne, choć Bóg tylko wie, dokąd te telefony podłączyć. I odprowadzić ścieki. Ale wszyscy tu na miejscu wiedzieli, co jest naprawdę grane. Dex padł na rynku i nie miał już na nic pieniędzy.

— Ale Armand wpłacił zadatek.

—Tak, proszę pani, wpłacił.

—Więc zwrócił nabywcom.

—Nie, proszę pani, nie zwrócił. Powiedziałem, że wpłacił to do banku. Nigdy nie mówiłem, że te pieniądze tam są.

—Wydał je.

—Tak, wydał. Nie, nie na wino, kobiety i śpiew, choć jestem pewien, że trochę i na to, Wydał je głównie na zakup nowych terenów pod zabudowę. Kiedy nastąpiła plajta i Dex się wycofał, Armand został sam ze zgrają wściekłych inwestorów.

—Czy może był ktoś szczególnie rozsierdzony?

—Nie. — Harper westchnął. — Ale był wrzask. Dex zostawił go z bezwartościową ziemią i mnóstwem ludzi, którzy żądali wyjaśnień. W końcu musiał ogłosić bankructwo. Bank przejął ziemię, która była własnością Armanda, i sen przysł. Ale ci, którzy już kupili działki, byli oczywiście nadal właścicielami ziemskimi. Tyle że ich ziemia nie miała teraz żadnej wartości. Było klasyczne powództwo procesowe, ale nikt nie przyszedł, bo Crayton niczego nie miał. Oczywiście, nadal mieszkał w swym luksusowym domu i jeździł luksusowym wozem. To naprawdę niektórych drażniło.

—Nie mieli z nim za słodko, panie Harper.

—Może i nie, chociaż reagowali trochę za ostro wobec zaistniałej sytuacji.

Cindy wypila kawę i przypomniała sobie Craytona. Sam błysk i *charme*, ale niesolidny jak na hollywoodzką śmietankę.

— No wiesz, chodziły pogłoski, że Bartholomew faktycznie umknął z pieniędzmi Armanda. Nie wiadomo, jak to było naprawdę — powiedziała.

Harper zachichotał.

— Nie napadajmy na Dexa. Gdy Armand padł, Dex, w odruchu dżentelmeńskiej solidarności dla tych nieszczęśników, którzy splajtowali, zaoferował się odkupić ziemię. Jego szczodrość była jednak ograniczona, dawał znacznie niższe ceny. No, ale w końcu dwadzieścia procent na dolarze, zawsze to więcej niż nic. Dex był w porządku.

— Ale przecież ta ziemia nie miała żadnej wartości?

— Nie miała wartości pod zabudowę mieszkaniową, ale to nie znaczy, że była nic niewarta jako ziemia. Było tam sporo kamienia, Cindy Decker. Dobrze, solidne kamienne podłoże. Na wydobycie kamienia też trzeba mieć pieniądze. Szczęśliwie dla Dexa, miał jeszcze kapitał ze swych przedsiębiorstw naftowych. Jak pojedziesz dalej na północny wschód, zobaczysz te wykopki. My, belfleurianie, nie jesteśmy pamiętliwi, więc nie czujemy do niego urazy. W końcu stworzył tu coś więcej niż parę lokalnych miejsc pracy. Dex zrobił wiele dobrego, dzięki mu za to.

— Czy wszyscy mu sprzedali?

— Prawie. — Harper uśmiechnął się szeroko. — Ja nie byłem przekonany do sprzedaży gruntu za tak niską cenę. W końcu to moje pieniądze. Wolę już na nich siedzieć.

— Więc był pan wstępnym nabywcą w agencji ziemskiej Kwiat Pustyni, Mr Harper?

Harper zwiesił głowę z udanym wstydem.

— Z żalem muszę wyznać, że złapałem się na to w pierwszej kolejności. Czuję sobie myślę, że jestem zwariowanym starym głupcem.

„Zwariowany stary lis”, pomyślała Cindy.

— Nie wydaje mi się, żebyś się tym zanadto przejął.

— Bo nie przejąłem się. Zamieniłem to w coś pożytecznego. Okazało się, że moja mała działka rozdziela kluczowe tereny kamieniołomu Dexa. Bardzo trudno mu przejechać z punktu A do punktu B, omijając moją ziemię.

— Więc oferował ci za to niezłą cenę, co?

— Nie raz, Cindy, nie raz. A ja nie wierzę w to, że można kogoś usunąć siłą. Za każdym razem, gdy przekracza moją działkę, obciążam go pewną drobną sumą.

— Tylko drobną sumą?

— Bardzo, bardzo drobną sumą — podkreślił Harper.

— A ile razy dziennie musi przejść przez twoją działkę?

— Ponad dwieście — beknął Harper. — Wiesz, ziarnko do ziarnka.

— Czy inni nie byli urażeni z tego powodu?

— Może paru. Byli zaskoczeni moim zmysłem do interesu.

— Zdjął nogi ze stołu. — Ty też byś była zaskoczona, prawda?

— Tak, może trochę. — Spojrzała w górę i powiedziała:

— A nie masz, jakimś cudem, listy tych inwestorów u Craytona?

— Jeśli o to chodzi, to bardzo poufna rzecz, młoda damo. Spojrzała na niego, nic nie mówiąc.

— Oczywiście, moglibyśmy negocjować cenę. — Uśmiechnął się szeroko. — To nie musi być w gotówce.

— Co masz na myśli?

— Mogłbym nieco rozluźnić swoje surowe wzorce... no, powiedzmy, podmuchać sobie trochę na boku.

Cindy pokazała odznakę.

— Nagabujesz o to oficera policji.

Wciąż się uśmiechał, choć nieco stracił swą szelmowską żądzę.

— Ach, przywiązujesz do tego więcej wagi, niż to warte, Cindy Decker. Oboje wiemy, że nie masz tu władzy.

— Mogłabym ci przysporzyć trochę kłopotów, Elgin.

— Ale tam, nie kapujesz tego systemu. — Harper wstał. — Mam jeszcze przyjaciół w wydziale.

Pomyślała, że to może być prawda. Przysunęła się trochę i musnęła go ustami w policzek. Szepnęła:

— No, proszę...

— Z jęczyzkiem i umowa stoi.

— Elgin, nie mogę odpowiadać za twoje krążenie. — Uśmiechnęła się promiennie. — Bądź tak miły i mi pomóż!

Harper skrzywił się drwiąco.

— To chyba dla ciebie żaden problem, skoro pocałowałaś mnie tak z doskoku tu w biurze.

— Dzięki za uznanie, proszę pana.

— To przechodzimy znowu na pan, co? Wolę, kiedy zwracasz się do mnie: Elgin. Czy wiesz, czemu to dla ciebie robię? Nie kręcisz nosem na moje cygaro. Ludzie z miasta niuchają sobie zdrowo kokę, ale odrobina

dymu z cygara wprawia ich w histerię. Jesteś w porządku, Cindy Decker. Wiesz, jak się obchodzić z człowiekiem.

— Dziękuję ci, Elgin. To bardzo miłe, co powiedziałeś.

Harper szarpnął szufladę w swej staromodnej szafce. Zaskrzypiała przy otwieraniu.

— Mam to rozpisane co do jednego dnia.

— A po co? Zdaje się, że się znasz na papierkowej robocie.

— Mniej więcej. — Harper trzymał swe akta w rozmaitych kolorowych okładkach, zielonych, różowych, białych, niebieskich w linie, nawet gazetowych. Kompletny bałagan. Po chwili powiedział: — O, tu jest. — Podał jej listę i spojrzął na zegar. — Daję ci trzydzieści sekund, młoda damo. Starczy?

— Wystarczy, Elgin. — Ogarnęła listę jednym szybkim spojrzeniem. Nie zabrało jej to nawet pół minuty. Nazwiska byłyn w porządku alfabetycznym, a Richard Bederman był na samej górze.

Rozdział trzydziesty drugi

Miała tę informację, ale nie wiedziała, co z nią zrobić. Tak, Rick Bederman był jednym z nabywców, którzy się złąkowili na nieszczęsne ziemstwo Kwiat Pustyni, ale to jeszcze za mało, żeby Cindy mogła go podłączyć do jakiejś przestępczej afery. I niby dlaczego właśnie Bederman, bardziej niż ktokolwiek inny z tej listy, miałby szukać zemsty na Craytonie i Bartholomew? A czy w ogóle ma coś wspólnego z jej ostatnimi kłopotami?

Było już po siódmej, ciemno, kiedy wracała do domu. Wjechała w wolne miejsce na parkingu i zerknęła w lusterko, zanim otworzyła drzwiczki. Spokojnie. Wyszła szybko z wozu i wspięła się na dwie kondygnacje schodów do swego mieszkania. Przed wejściem do środka sprawdziła drzwi u samego spodu. Wychodząc, założyła pukiel włosów od krawędzi drzwi do framugi. Tkwił tam nadal, co znaczyło, że drzwi były nie naruszone. Otworzyła je, weszła do saloniku, a potem zasunęła rygiel. Stwierdziła z ulgą, że dom był nietknięty. Magazyn, który zostawiła na stoliku do kawy, otwarty był na tej samej stronie, z reklamą lexusa. Wszystko szło dobrze.

Włączyła kawę i zabrała się do odsłuchiwania wiadomości z sekretarki. Najdłuższa była od mamy, która mówiła, jak bardzo ją ucieszył ten obiad, i zapowiadała się znowu ją zaprosić, gdy tylko Cindy będzie miała więcej czasu, żeby chwilę zostać i pogadać. Więc jak zwykle. Skargi mamy były czymś normalnym, a wszystko, co układa się normalnie, jest dobre. Były jeszcze inne wiadomości, w tym dwie od Scotta („Cześć, jak się mie- wasz? Wszystko w porządku? Sprawy idą dobrze, Cali”), dwie od tatki („Zadzwoń do mnie, czy wszystko w porządku?”) i jedna od Hayley Marx („Cali, kiedy będziesz miała wolną chwilę?”).

Poza tym ktoś parokrotnie odwieszał słuchawkę. W zwykłych okolicznościach nie zaprzętałyby sobie tym głowy dłużej niż przez sekundę, ale wydarzenia ostatniego tygodnia spotęgowały poczucie potencjalnego zagrożenia.

Powinna oddzwonić do wszystkich po kolei, aby ich uspokoić, że wszystko jest dobrze. Była jednak skrajnie zmęczona, głównie wynikało to z tego, że nic nie jadła. Pączki, które zjadła w kawiarni w Belfleur, nie starczyłyby, żeby przeżyć. Może po obiedzie nabierze trochę sił, by poplotkować.

Zrobiła sobie kanapkę z plastrem wędzonego indyka, z pomidorem i sałatą, nie szczędząc do tego musztardy i majonezu. Odsunęła serwetę pod nakryciem, usiadła przy stole i rozłożyła serwetkę pod talerz. Przetarła kontuar, czując niebiańską woń kawy, która już zaparzała się w ekspresie. Gdy kawa była gotowa, usiadła do samotnego obiadu. Stała się zwyczajną kurą domową i była nawet z tego powodu szczęśliwa. Ostatni tydzień przyniósł jej wiele smutku. A teraz uderzyła ją prywatność i zwyczajność tej sytuacji: oto jadła sobie obiad, a nikt jej w tym nie przeszkadzał.

Była głodna jak wilk, każdy kęs rozbudzał tylko jej wściekły apetyt. Zmuszała się, by jeść powoli, delektować się chwilą. Wreszcie skończyła, otarła usta, sprzątnęła naczynia i uraczyła się na deser szklaneczką białego wina, importowanego Vouvray, które po ukończeniu akademii podarował jej przyjaciel ze szkoły. Wino było lekkie, o nieco cytrynowym smaku. Wysączyła szklaneczkę, zmyła talerz i kubek, nóż i widelec. Po kolacji sięgnęła po papier i ołówek, usiadła przy stole i zabrała się do sporządzania diagramu: kto, co i dlaczego.

Niezależnie od tego, jak zmieniała okoliczności, dochodziła do tego samego oczywistego wniosku: Bederman się wściekł, z zemsty porwał i zabił Craytona, a następnie porwał wóz żony Dexa, żeby sprzedać jej ferrari i odzyskać w ten sposób przynajmniej część pieniędzy utopionych w projekcie Kwiat Pustyni. Co mogło go doprowadzić do tak skrajnego działania?

Koncepcja A: Bederman władował w Craytona wszystkie swoje pieniądze i był teraz absolutnie spłukany. Potrzebował kasy, żeby przetrwać.

Kontrargumenty: Gdyby Bederman uciekał się do przestępstwa, żeby rozwiązać swoje problemy finansowe, jako policjant miał przecież inne

sposoby, by zdobyć szybko pieniądze: mógł nacisnąć jakiegoś dilera czy alfonsa czy —jak sugerował Scott, zwędzić parę uncji towaru z pokoju dostaw. To znacznie łatwiejsze, niż porwać żonę znanego obywatela dla okupu. Tyle że z powodu ostatnich skandalicznych afer mnóstwo policjantów zaczęło trochę uważać, by zachować czyste ręce. Więc może nie było to najlepsze rozwiązanie.

Koncepcja B: Nie zależało mu na pieniądzach, chciał tylko, by Crayton i Dexter Bartholomew dostali nauczkę.

Kontrargumenty: Morderstwo to nauzka z piekła rodem, nie na miarę oszustwa w biznesie. Zwłaszcza jeśli chodzi o sprzątnięcie kogoś w rodzaju Craytona. Życie i matactwa finansowe Armanda byłyby wówczas szczegółowo badane, podszewka kłapy Kwiatu Pustyni musiałaby wyjść na jaw. Pytanie tylko: Jak dalece mogłoby się to faktycznie ujawnić? Może jako nowicjuszka wyciąga tu rzeczy, których zespół dochodzeniowy wcale nie ruszał. Może też, ze względu na dokonane na Craytonie morderstwo, ludzie z Belfleur nie byli tak rozmowni. Może byli tak przytłoczeni czy wystraszeni tym zabójstwem, że ukrywali, zatajali lub tłumili istotne informacje. Przecież taki Elgin Harper dawno mógł przekazać listę nabywców. Dostała ją w rok po morderstwie. Bezpieczniej było więc zachować milczenie.

Dochodzenie nie było jednak zamknięte i zabójca mógł się spodziewać, że kiedyś go złapią. To była ryzykowna gra. Bederman o tym wiedział. Czy byłby skłonny podjąć tak wielkie ryzyko, po to tylko, by szukać zemsty — wiedząc o tym, że w każdej chwili mogą go schwytać?

Koncepcja C: Bederman potrzebował pieniędzy, chciał dać nauczkę Craytonowi i Dexowi, ale nie zrobił tego z obawy przed ryzykiem zde-maskowania go. Znów przyszły jej na myśl te ostatnie skandale. Te nieuczciwe układy z gliniarzami, którzy myśleli, że są ponad prawem, bo każdej nocy narażają swą dupę. Więc jeśli zagarnęli trochę szmalu z prochów, zabrali coś kurwie czy wsunęli do kieszeni drobny upominek, to przecież było to tylko ten jeden raz.

Bederman mógł być jednym z nich. Może myślał, że przechytrył system, skoro rok minął, a przestępstwo pozostało nie wykryte. Ale nastąpiła

jakaś obsuwa. Żaden z mozolnie opracowanych numerów nie wypalił. O ile jej wiadomo, nie był na jakichś kosztownych wakacjach, nie przebudowywał domu według projektu jakiegoś modnego architekta i nie jeździł luksusowymi wozami. Jego koncepcja wypoczynku sprowadzała się do popijawy po pracy w barach dla glin, grillowych przyjęć w niedziele czy oglądania rozgrywek z kumplami. A jeśli chodzi o kochanki, nie potrzebował na to pieniędzy, bo miał kobitki na boku. Były takie specjalistki, którym podobał się każdy facet u władzy czy w mundurze.

Bazgrała po papierze, coś tam jej świtało i kręciło się w głowie, wypisywała wielkimi literami własne nazwisko. Czuła się jak dzieciak piszący klasówkę.

Czy Bederman miał jakąś kobietę na boku? Czy nie dlatego polował na nocne zmiany? Lark wspominała o jakimś asie w rękawie. Według Scotta Bederman byłby tu dobrym kandydatem.

Potrzebowała pomocy, by jakoś ułożyć te wszystkie informacje. Może taki Scott, Marge albo tatko. Już oni by wiedzieli, co z tym zrobić. Ale musiałyby im wytłumaczyć, skąd ma te wszystkie informacje. Nie, żeby działała nielegalnie, po prostu nieporęcznie było jej o tym mówić. W końcu nie była detektywem, tylko zwykłą mundurową policjantką.

Patrząc na to z boku, dla tatki Crayton wciąż był nie rozwiązana sprawa. Oddałaby mu wielką przysługę, przekazując te informacje, a jakby to podniosło jej prestiż wśród zwykłych glin!

Stukanie do drzwi przerwało tok jej myśli, łomot był tak głośny, że aż podskoczyła. Poderwała się, spojrzała przez judasza i zdumiała się, widząc twarz Ricka Bedermana. Ogarnęła ją fala paniki, rzuciła mu tylko:

— Chwileczkę.

Czy śledził ją, gdy wracała do domu?

Nie, była pewna, że nie. Przecież to sprawdzała. Sprawdzała!

Porwała szybko swoje notatki i wepchnęła je do szuflady w kuchni. Potem wzięła rewolwer, ściskając go mocno w dłoni. Zmusiła się do tego, by głęboko odetchnąć. Odsunęła rygiel, ale otwarte drzwi wciąż blokował łańcuch.

— Czego chcesz?

Był chyba czymś podenerwowany.

— Hej, czy mogę wejść?

Cindy dokonała błyskawicznej oceny swego postępowania, uznając, iż strach nie tylko obniża jej przydatność jako policjanta, ale degraduje ją natychmiast do roli ofiary przez wielkie O. Zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi, starając się sprawić wrażenie, że jest zaskoczona, ale zachowuje przy tym pewną swobodę.

— Co tu robisz?

Wzrok Bedermana nie odrywał się od jej broni.

— Chcesz kogoś zastrzelić?

— Mam nadzieję, że nie. — Odsunęła się do środka. — Wejdz.

Bederman wszedł do saloniku ze wzrokiem utkwionym nadal w broni. Rozejrzał się i zobaczył sprężynę wystającą z kanapy.

— Chyba potrzebujesz nowych mebli.

— Meble były w porządku, póki ktoś nie splądrował mojego mieszkania podczas weekendu.

Oczy Bedermana rozszerzyły się.

— Żartujesz!

— Ani trochę. Siadaj.

— To dlatego trzymałaś w ręku tego gnata?

— Prawdopodobnie. Od tego czasu straciłam zaufanie.

— Ale otworzyłaś mi drzwi.

— A nie powinnam była tego zrobić?

Bederman uśmiechnął się. Miał na sobie sztruksową kurtkę, białą bluzę i dżinsy. Na nogach kowbojskie buty.

— Nie przejmuj się. Wyglądasz na bardzo spiętą.

— Potraktujmy to jak biznes. Czym mogę panu służyć, panie Bederman? Byłabym rada, gdyby zechciał pan usiąść, no wie pan.

Trochę się ociągał, ale w końcu usiadł na jednym z krzeseł. Niemal zapadł się w nie. Założył ręce za kark i rozkraczył nogi. Jakby się spodziewał, że mu obciągnie.

— Nie przyszedłem tu, żeby się z tobą zabawiać. — Nikt nic nie mówił. Cindy czekała na wyjaśnienia. — Konkretnie, przyszedłem tu, ponieważ chciałem... no wiesz, sprzedać ci pewien pomysł.

„Spływaj”, pomyślała Cindy. Ale może faktycznie chciał jej coś sprzedać. Posłucha.

Pochylił się do przodu, z łokciami na kolanach.

— Jestem pewny siebie. Idę ostro. Może nawet stąпам zbyt pewnie, to się okaże. — Rozpiął kurtkę, ukazując wypchaną kaburę. — Gadałem po południu z Grahamem...

— Przy grillu?

— Taa, jakby to... ach, chyba słyszałaś, o czym mówiliśmy z Timem zeszłego wieczoru. — Skinęła głową. — Taa, to było przy grillu. Graham też tam był. Próbowiałem mu powiedzieć o tym, co mówiłem już tobie... że Hayley Marx popełniała błędy... i że ty nie powinnaś powtarzać tych samych błędów. — Odchrząknął. — Graham powiedział mi, że to, co mówiłem... że mogłabyś odnieść mylne wrażenie.

— Mianowicie?

Bederman zazgrzytał zębami, wydeły mu się policzki.

— Chodzi o to, że prowadzę przykładowe życie małżeńskie i chciałbym, żeby tak nadal było. Nie chcę żadnych plotek czy jakiegoś paskudztwa.

— Większość plotek to same paskudztwa.

— Taa. Prawda. Tak czy inaczej, byłbym zadowolony, gdybyś zapomniała o tym, co ci wtedy mówiłem. To nie było zbyt eleganckie z mojej strony rozwodzić się na takie tematy, muszę to przyznać.

— Jeśli o mnie mowa, to już zapomniałam.

Wiercił się niespokojnie.

— Dobra. W porządku. Zapomniane. Nie, żeby uważałem, że powiedziałem coś złego... ale nie chciałbym pozostawiać po sobie złego wrażenia.

Nikt się nie odezwał. A potem Cindy wstała.

— Wiem, co masz na myśli. Misja wykonana. Możesz już iść.

Bederman powoli wstał.

— Nie lubisz mnie, co?

— Bederman, nie wiem, czy to trafne określenie, że cię nie lubię. Nie mam już do ciebie zaufania. Masz do mnie o to pretensję?

— Nie. — Zapiął kurtkę. — Chyba nie sądzisz, że ja coś zrobiłem, no nie?

Kłamstwo przeszło jej gładko.

— Dlaczego, u diabła, miałabym pomyśleć, że to ty splądrowałeś mi mieszkanie?

— Bo wciąż trzymasz rewolwer.

Spojrzała na swą broń.

— Możesz sobie wyobrazić, że właśnie go czyszczę. Po prostu. — Dobra, to już lepiej wyjdę. — Nie ruszył się jednak. — Masz już jakieś podejrzenia?

—Mam.

—Nie chcesz o tym pogadać? Może mógłbym ci pomóc. W tych sprawach mam większe doświadczenie niż ty.

„Demonstracja własnej wyższości”. Jeśli odtrąci jego propozycję, będzie miał do mnie osobistą urazę. „Zmień temat, kretynko!”

— A kto wygrał, tak na marginesie?

Skrzywił się.

—O czym ty mówisz?

—O rozgrywkach. Czy wy, faceci, nie oglądacie w niedzielę Dodgersów?

— Taa, oglądamy. Dodgdersi wygrali. A czemu pytasz? Postawiłaś na nich?

—Chciałam to zrobić, rozrzut był bardzo znaczny. Ale nie wierzyłam, że istotnie wygrają. Musieli mieć chyba miażdżącą przewagę, zawsze starają się grać na prowadzeniu.

—Prowadzili sześć do zera, póki McGuire nie rozgromił kolejnych baz w prawym polu, docierając aż do siódmej. Wtedy postawili na tego nowego dzieciaka z ławki; rezerwowych. Może on da sobie z nim radę... No ten, co przyszedł chyba z miesiąc temu z Albuquerque. W każdym razie udało mu się powstrzymać atak przeciwników w ostatnich dwóch rozda- niach. Nie to, żeby go nie mogli wybić, ale chłopak biega superszybko!

—Niesamowite!

—Lubisz baseball, Decker? — uśmiechnął się Bederman.

—Wszystkie sporty mnie interesują. Dzięki temu nadążam za chłopakami.

—To takie ważne dla ciebie? — Patrzył jej prosto w twarz. — Nadążać za chłopakami?

Wytrzymała jego wzrok.

—Lubię być w dobrych stosunkach z ludźmi, Rick. Tak jak ty z Grahamem. Nadal trzymacie się blisko, mimo że już nie jesteście partnerami. To się tak często nie zdarza. Wiesz, co myślę? Że ty też lubisz być w dobrych stosunkach z ludźmi.

—Pewnie, że umiem sobie radzić. Ale uwierz mi, stąпам mocno po ziemi. Więc niczego nie możesz mi napłatać.

„Zawołowana groźba, czy raczej pajacuje?”

—Mam to na uwadze.

—To na razie.

—Dobra. Zobaczymy się później.

Ale Bederman nie miał jeszcze ochoty się pożegnać.

—Wiesz, z tym Grahamem to nie było nic osobistego. Dlatego wciąż jesteśmy w kontakcie. Naprawdę nic osobistego,

—Cieszę się, że to słyszę...

—Nie jakaś wielka sprawa, Cindy. Żona zrywa się do pracy bardzo wcześnie, no i postanowiłem, że będę rano w domu z dziećmi. Więc przeszedłem na nocne zmiany. Mogłem przez to odciążyć trochę żonę. Wiesz, mogę im zrobić śniadanie, wyprawić do szkoły. Dzieciaki też to lubią, jak ojciec jest razem z nimi, no wiesz, jak to jest.

—Wiem. Kocham mego tatkę.

Bederman zeszywniał.

— To dobrze. Twój ojciec jest detektywem, porucznikiem, prawda?

Skinęła głową. „Jakby tego nie wiedział”.

—To musi być fajnie.

—Nie podpuszczaj mnie, Bederman. Zostało mi tu jeszcze sporo do roboty. Kiedy ty chodzisz spać?

—Co takiego?

—Przychodzisz z nocnej służby, w dzień pomagasz dzieciakom; chyba musisz ciężko harować. Czy ty w ogóle sypiasz?

—Taa, pewnie, że tak. Śpię podczas dnia, kiedy dzieciaki są w szkole. Jakoś sobie radzę. Może żonie uda się zmienić pracę na coś mniej... absorbującego. Wrócę na dzienne zmiany, jak tylko będę mógł.

—Byłbyś znacznie mniej obciążony.

—Owszem. Ale odbiegliśmy od tematu. Chciałem ci tylko powiedzieć, że w tym rozstaniu nie było niczego osobistego. To fajny facet i dobry partner.

Uśmiechnęła się i podniosła z miejsca.

— Masz rację.

Odpowiedział jej uśmiechem, szczerząc szeroko zęby. Cindy wiedziała, że zawsze lubił mieć rację. Wolno, wolniutko podniósł się i podszedł do drzwi. Nie mogła się doczekać, kiedy za nim zamknie.

—Nie wrócił jeszcze z Oxnard — powiedziała Rina. — Powiem mu, że dzwoniłaś. Bardzo się ucieszy. Wiesz, jak się o ciebie martwi.

—Wiem. — Cindy przełożyła słuchawkę do drugiego ucha. — To nie wiesz, kiedy może wrócić do domu?

—Nie mam pojęcia, ale chyba będzie późno. Dobrze mu idzie. A kiedy dobrze mu idzie, to siedzi tam godzinami. — Rina urwała. — Cindy, wygląda na to, że czegoś chciałaś. Masz kłopoty?

—Niezupełnie...

—Ale coś ci jednak leży na wątrobie — nalegała Rina. — Czemu nie zadzwonisz do niego na komórkę?

—Nie, to chyba nie jest takie ważne, żeby go odrywać od jego spraw. Wiem, że od dawna czekają na jakiś przełom w sprawie tych włamań. Chciałam się z nim tylko podzielić czymś, co mi wpadło do głowy, ale to może poczekać.

—Kochanie, może przyjedziesz do nas i poczekaasz. Posiedzimy sobie razem, będziesz miała towarzystwo.

Poczuła nagle, że twarz ją pali. Była tak pochłonięta swymi własnymi sprawami, że kompletnie zapomniała o tym, co przeszła Rina. Zapytała szybko:

—A jak ty się czujesz? Co z Hannah? Chcesz, żebym przyszła i trochę wam pomogła?

—Hannah już poszła spać, *boruch Hashem*. To, czy faktycznie śpi, to już inna sprawa.

Cindy westchnęła.

—Może bym tak wpadła za godzinę, gdzieś koło dziesiątej. Nie będzie za późno?

—Oczywiście, że nie. No to się zobaczymy.

—To na razie.

—Cindy?

—Tak?

—Uważaj na siebie, proszę. I weź broń.

Zatrzymała się przed zamknięciem drzwi. Mogła wyjrzeć z korytarza na ulicę. Przyjrzała się uważnie każdemu ze stojących tam wozów i doszła do wniosku, że je wszystkie poznaje. Ww bug należał do takiej dziewczyny z długimi ciemnymi włosami, która grała muzykę salsa. Taurus należał do pary, która kłóciła się o pieniądze i mieszkała naprzeciwko. Mitsubishi o napędzie na cztery koła był własnością Greiga, projektanta u Ahmanson.

Zamknęła i zaryglowała drzwi. Zeszła po schodach, ściskając rękę rewolwer, szybko znalazła się przy swoim wozie, wsiadła do środka i zablokowała drzwi. Uruchomiła silnik, sprawdziła bak, był pełny, i zerkając w lusterko, opuściła swe miejsce. Włączyła bieg i pomknęła do przodu.

Na ulicach było pusto, mogła łatwo sprawdzić, czy nie ma jakiegoś ogona. Nikt za nią nie jechał. Wjechała na autostradę i wcisnęła pedał do dechy. Po dwudziestu minutach takiej jazdy silnik zaczął wyć. A potem prychał i krztusił się. Wóz zwolnił, mimo iż był ustawiony na pełny gaz. Serce biło jej jak szalone, wciskała pedał gazu, ale bez żadnego skutku. Wóz wyraźnie zwalniał. Jeśli nie dostanie się szybko do prawego kra-

wężnika, utknie w środkowym pasie wśród całego mnóstwa wozów, ciężarówek, pikapów i wszelkiego ciężkiego sprzętu, śmigającego we wszystkie strony, nie mówiąc już o możliwości uderzenia z tyłu. Było ciemno, a zwalniający wóz blokował pasmo innym użytkownikom drogi.

„Wymyśl coś!”

Opanowując panikę, manewrowała saturnem, by dostać się na prawy pas. Chwilę później silnik zakaszłał i stanął. Słyszała jedynie swój płytki oddech. Zacisnęła rękę, patrząc we wsteczne lusterko. Wytrzymała tak parę chwil. Nikt się nie zatrzymywał, co może nie najlepiej świadczyło o Los Angeles, ale przynajmniej mogła się przekonać, że nikt jej nie śledził, też dobrze.

Wiedziała, że musi coś zrobić. I zrobi to. Ale najpierw musi się pozbyć tego napięcia, paraliżującego ją poczucia osaczenia. Pogrzebała w torebce, znalazła pod AAA zakodowany tam numer i wcisnęła go.

Usłyszała sygnał wskazujący, że system był zajęty.

Oddychała teraz szybciej.

Znów wcisnęła ten numer.

I znów system był zajęty.

Otworzyła wieczko z tyłu, sprawdziła akumulator, i spróbowała jeszcze raz.

Miarowe bip, bip, bip świadczyło o tym, że albo numer został zmieniony, albo ktoś majstrował przy jej komórce. To wszystko było bardzo niepokojące.

Nagle się sprężyła. Wrzasnęła na siebie samą za tę niepotrzebną panikę. Przecież jest cholernym funkcjonariuszem na służbie. Miała w torebce rewolwer. No, przynajmniej wie, co może zrobić.

Ujrzała w lusterku parę jasnych świateł, odbijające się refleksy wpadały do środka wozu. Obejrzała się, zobaczyła podjeżdżający ku niej wóz... Wolno, wolniutko, póki nie stanął jakieś sześć metrów od niej. To przecież nie był zwykły wóz. To był... patrol drogowy!

Tak!

Tablica kalifornijskiego patrolu drogowego nie mogłaby się pojawić bardziej w porę.

Sprawdziła, czy nadal obejmuje prawą ręką kolbę swego służbowego rewolweru. Chyba nie byłoby dobrze, gdyby chłopcy ją ujrzeni z rewolwerem w rękę. Mogłaby źle wypaść. Schowała broń, wyjęła tylko swój numer identyfikacyjny i odznakę. Odsunęła poprzeczkę i wyszła od strony pasażera, zrobiła parę kroków, żeby ją mogli zobaczyć.

Pomyślała z początku, że coś jej się przywidziało, ale wiedziała, że to nieprawda. Czuła narastające przerażenie i grozę. Ćmiło jej się przed oczami, kolana jej drżały. Zmuszała się do tego, by stać prosto, nic innego nie przychodziło jej do głowy; była bezbronna, a on trzymał w rękę fuzję. Kolba pod pachą, lufa skierowana w dół. Ale to w każdej chwili mogło się zmienić.

„Wal głupa!”

A kto by tam był twardy, w takim momencie. Nie musiała strugać głupa, była nim.

Śledził ją czy czekał cały czas na dworze?

Widziała przecież przed sobą wóz patrolu drogowego.

— Masz jakieś kłopoty z wozem, Decker? — zapytał. — Może potrafię ci pomóc.

Jego głos przerwał jej najgorsze myśli.

— Zawsze tak sobie dorabiasz na boku jako patrol drogowy? Mundur świetnie na tobie leży.

Unosił powoli sztywno wyprostowaną rękę, niczym Niemiec w pozdrowieniu Heil Hitler, i zastygł z lufą skierowaną prosto w jej brzuch.

— Zamknij się lepiej, jeśli chcesz jeszcze pożyć. Nie rób niczego głupiego. Nie biegaj w kółko, nie wrzeszcz i nie rób z siebie idiotki. To jest spotkanie twarzą w twarz. Mam palec na muszce, a może mi się omsknąć równie łatwo jak pierdnięcie. Chwytasz?

— Chwytam.

— A kto tam cię wie, Decker? Może tymi twoimi słówkami potrafisz mnie rozbroić. — Uśmiechnął się. Ujrzała błysk jego zębów w świetle księżyca. Powiedział: — Sprytna z ciebie dziwka. Co o tym myślisz?

— Mogłabym spróbować.

—No, dalej. — Fuzja zafalowała z lewej strony w prawo, a potem się zniżyła. Lufa znajdowała się jednak wciąż na poziomie jej pachwiny. Słyszała o tym, że postrzał w brzuch może być bardzo bolesny. Nie do zniesienia bolesny. Ale śmierć była czymś gorszym.

Zaczął do niej mówić.

—...wybierzemy się na małą przejażdżkę. Tylko my dwoje. Weźmiemy mój wóz. Dżentelmeni zawsze mogą się porozumieć. A poza tym, może byś się chciała przejechać wozem patrolu drogowego.

—O Jezu! Może jeszcze włączysz syrenę i wystawisz koguta, co?

—Bezczelna jak zwykle. — Spojrzał na nią. — Zobaczymy, jaka będziesz zabawna, gdy będziesz błagać o litość.

Pomyślała, że może wyprowadzi go w pole, mówiąc, że dzwoniła do tatki, który wyjedzie jej naprzeciw. Ale może Wtedy wpadnie w panikę albo będzie działał bez zastanowienia. Panika nie jest wskazana, jak się trzyma w rękę fuzję. Czowała na sobie jego wzrok, w głowie miała pustkę, żadnej rozsądnej myśli. Ale była jeszcze taka mała sztuczka, którą Freud nazywał podświadomością. Nie minęło parę sekund, jak wpadło jej do głowy że mogłaby przeskoczyć przez płotek na poboczu i potoczyć się w dół jak piłka. Skupiła się, modląc się o to, by znaleźć dogodne miejsce.

Jeszcze sekunda, dwie, trzy, cztery.

Nagle płomień wybuchł jej w głowie. Wrzasnęła z bólu, gdy ziarna grubego śrutu przeszły jej skalp. Zanurkowała w krzaki i osłaniając brzuch, czołgała się do miejsca, które zdawało się jej najlepszą kryjówką; próbowała się skryć i znaleźć jakieś wybawienie. Z boku głowy sączyła się krew. Dotknęła rany i skrzywiła się; odetchnęła głęboko, nabrała w płuca powietrza. Kamienie i odłamki skał kaleczyły ją w brzuch, gdy tak pełzła po zboczu.

Usłyszała, jak schodził w dół, wybierając drogę, odgłosy grubych podszew stąpających po ziemi. Musiała stamtąd odskoczyć.

Co robią zwierzęta, na które się poluje?

Biegną. („Ale mógłby ją zobaczyć”).

Czołgają się, pełzną i kryją. („Czołganie się i pełzanie wywołuje hałas”).

Walczą. („Miał broń i przewagę, jaką mu dawały — waga, postura i lata doświadczenia”).

Udają trupa.

„Leć w to, głupia!”

Znieruchomiała, usiłując zatrzymać w bezruchu każdy mięsień swego ciała. Było to trudne, ponieważ pęcherz i wnętrzności nie bardzo jej słu-chały. Choć próbowała zastygnąć w bezruchu, nie mogła powstrzymać swego rozpaczliwego oddechu. Było go słycać nawet poprzez hałas ja-dących wozów. A jeśli ona to słyszy, to i on mógłby. Otworzyła szeroko usta, w nadziei, że nie tylko złapie w ten sposób więcej tlenu, ale i uspo-koi swój oddech.

Odgłosy kroków były coraz bliżej. Obróciła w milczeniu głowę i w blasku księżyca dostrzegła jego sylwetkę. Przeglądał zarośla w poszuki-waniu jej ciała, odgarniał liście i gałązki krzaków, patrząc, czy jej tam nie ma.

On był myśliwym, ona zwierzyną. Jak długo to już trwało?

Ile jeszcze wytrzyma?

Gdyby ją znalazł, skuloną jak ranne zwierzę, byłoby już po niej. Musia-ła mieć jakiś plan, na wypadek gdyby się na nią natknął. Miałaby wtedy przewagę elementu zaskoczenia.

Kłębiące się w jej głowie myśli zmierzały do dwóch możliwych roz-wiązań. Było dość nieprawdopodobne, by mogła mu ujść cało—miał re-putację strzelca wyborowego, pomyślała więc, że musiałyby go zaatako-wać wprost albo przynajmniej spróbować wytrącić mu fuzję. Gdyby się jej udało go unieszkodliwić, mogłaby przejąć broń. Ale gdyby się zdra-dziła, byłoby już po niej.

Fuzja czy on sam? Fuzja czy on sam?

A potem pomyślała: „Nie musisz od razu decydować. Wykorzystaj najmniejszą szansę, jaką ci da”.

Zbliżał się coraz bardziej, jego oczy przeszukiwały teren, przesunęły się teraz na nią. Opuścił lufę, co oznaczało, że będzie wymierzona prosto w jej twarz, gdy ją znajdzie. Stopy zawsze są bardziej martwe jak ręce.

„Wyobraź sobie, że jesteś kangurem”.

„Jaką masz motywację?”

„Rozwali ci głowę, jeśli ci się nie uda”.

Odejść. Odsunąć się, choć o parę cali. Jedenaście cali, dziesięć, dziewięć...

Wstrzymała oddech, przesuając się w milczeniu.

Osiem cali, siedem.

Liście wokół niej rozstały się, ujrzała światło księżyca.

Chwyła go mocno między nogami. Kiedy się zwinął we dwoje, wyrzuciła stopę do góry i trafiła go w chrząstkę nosową. Trysnęła krew. Wyprostowała się, chwyciła jego ręce tak, jak ją uczono w akademii, i założyła mu klamrę, skręcając ją z całej siły. Ale on także przechodził szkolenie w akademii. Uczył się tych samych chwytów. Pomimo odniesionych obrażeń, rwącego bólu krocza i krwawiącego nosa, sięgnął do ostatniego rezerwu- aru swych sił.

Mogła odzyskać wolność, jeśli tylko nadarzy się jej szansa. Chyba żeby nie chciała z niej skorzystać. Ale ona chciała wygrać! Trzymając go w uścisku, ujrzała, jak fuzja wypada mu z ręki. Już prawie po nią sięgała. Teraz było to mocowanie się, ręka na rękę. Była mniejsza, więc bardziej zwinna. Gdyby nie miał strzelby, miałyby szanse.

Ale wtedy ją przechytrzył. Lewą rękę owinał wokół jej karku, przywierając mocno przodem do jej pleców. Usiłowała oderwać tę rękę, a potem spróbowała wykonać pewien stary rzut, który знаła z akademii.

Tylko że on też skończył akademię. Był przygotowany. I był silny... taki silny.

Światło przygasło.

Jeszcze ten dźwięk.

„Kocham cię, mamó”.

Rozdział trzydziesty trzeci

Decker sięgnął po swoją komórkę.

—Jak dawno temu dzwoniła?

Rina stłumiła swe własne obawy, żeby go dodatkowo nie niepokoić.

—Powiedziała, że będzie tu o dziesiątej.

—To już godzinę temu! Dzwoniłaś do niej?

— Tak, naturalnie. Jej telefon ani pager nie odpowiadają. Może jest gdzieś w górach. Czasami odbiór nie jest zbyt dobry.

Decker już tego nie słuchał. Jego obawy miały charakter bezpośredni i otwarty.

—Ile razy do niej dzwoniłaś?

—Chyba z pół tuzina.

— Dobry Boże! — Chodził podczas mówienia. — Jadę tam. Ale najpierw zadzwonię do Hollywood i poproszę ich, by posłali wóz pod jej dom. Mam nadzieję, że nie będzie go prowadził jeden z tych dupków, którzy ostatnio dali jej w kość. Dobra...

—Mówił to wszystko, nie wiadomo, czy do siebie czy do Riny.

—Najpierw zobaczymy, czy jest w domu. Sprawdzimy, czy jest tam jej wóz. Jeśli wozu nie ma, nadaję komunikat. Chyba najlepiej skontaktuję się od razu z patrolem drogowym. Jeśli nie ma jej w domu, powinna być na autostradzie.

—Chcesz, żebym wyszła jej poszukać?

—Absolutnie nie! Zostań przy telefonie. Boże, co za koszmar!

Rina zamknęła oczy. Cóż mogła zrobić innego, wypadło się zgodzić z jego oceną sytuacji. Może to nie będzie zbyt twórcze, ale coś innego jej zostało.

—Dzwonię do ciebie natychmiast, gdyby zaszło coś nowego...

—Nie mówiła, dlaczego chce ze mną rozmawiać?

—Nie, nie mówiła.

—Niczego nie sugerowała?

Rina zawahała się, ostrożnie ważyła słowa.

—Nic konkretnego. Było w jej głosie jakieś... ożywienie. Jakby coś odkryła.

—Oj, niedobrze! To źle wróży! To jej wtykanie palca między drzwi, obrażanie ludzi...

—Peter, może się pomyliłam!

—Nigdy się nie mylisz! Co miałaś na myśli, mówiąc, że była ożywiona?

—Może lepiej byłoby to określić, że była czymś pochłonięta. Zapomniała nawet zapytać o zdrowie Hannah, chociaż wspomniałam jej o tym, co się stało. Wtedy się dopytywała, co z Hannah. Tak jakby zupełnie... zapomniała o swej siostrze. A wiesz, co czuje w stosunku do Hannah.

—Cindy przez cały dzień była poza domem! Musiała coś wywęszyć, i to się na niej zemściło. Boże, jak można być tak bystrą, a równocześnie tak cholernie głupią!

—Może po prostu złapała gumę.

—Słusznie. Kury też mają swoje racje. — Zaklął coś pod nosem. — Może Scott będzie coś wiedział. Muszę już iść.

— Peter, nie przejmuj się tak. Wszystko będzie dobrze.

Chciałby jej wierzyć. Naprawdę chciał jej wierzyć. Chciał także wierzyć w to, że dobro będzie nagrodzone, a zło ukarane. Ale nawet wielki prorok Mojżesz nie dostąpił tego przywileju, by poznać zasady działania boskiej sprawiedliwości. Więc czemu on, zwykły śmiertelnik, miałby znać te szaleńcze drogi, którymi podąża świat?

Jej wozu nie było na parkingu przed domem, należało więc przyjąć, że Cindy jest w drodze. Sprawdzanie jej mieszkania było w tej sytuacji czymś śmiesznym, ale Hayley doszła do wniosku, a co tam. Niczego lepszego i tak nie wymyśli. Może Cindy wzięła wóz do warsztatu i teraz jeździe pożyczonym. Jej saturn coś kiepsko dymił w piątek. Byłoby lepiej, gdyby Cindy to sprawdziła.

Hayley wspięła się na dwie kondygnacje schodów, zastukała mocno kilka razy. Oczywiście, żadnej odpowiedzi.

Więc co? Nietrudno dojść do wniosku, że nie ma jej w domu.

Coś ją jednak powstrzymywało, nie obróciła się na pięcie i nie wróciła do siebie. Jakieś swędzenie... skurcze żołądka... coś, o czym trudno racjonalnie mówić. Pomyślała sobie, coś tu jest nie tak. Wyjęła spinkę i próbowała otworzyć drzwi. Gdy tylko się przekonała, że rygiel jest zasunięty, dała spokój.

Powinna teraz zrobić w tył zwrot i wracać do domu. Ale swędzenie przybrało teraz na sile, pchając ją do okien. Były zamknięte, to oczywiste. Ktoś się do niej włamał, więc na pewno zabezpieczyła okna.

Teraz już nie miała żadnej wymówki, żeby tu czekać. I na pewno wróciłyby do domu, gdyby nie dostrzegła świeżych zadrapań w pobliżu okna, co od razu postawiło ją w stan gotowości. Uderzyła w szybę, ale nie było żadnej reakcji poza grzechotem szkła. Miała do wyboru: wracać do siebie albo rozbić okno.

Dyszała głośno. Zdjęła kurtkę i owinęła ją sobie wokół dłoni. Walnęła teraz z całej siły, wybijając w tafli szkła postrzępiony otwór. Wsadziła rękę do środka, z dala od najbardziej sterczących kawałków szkła, i samymi czubkami palców udało jej się otworzyć zamek. Uchyliła okno i po chwili była już w środku.

Wołała Cindy po imieniu, ale nie było żadnej odpowiedzi. Przejrzała całe pomieszczenie, nic się nie kryło za parawanem w łazience. Norman Bates na pewno nie rozbiłby tu dziś obozu.

Poczuła się teraz podwójnie głupio. A: Martwiła się o dorosłą w końcu kobietę, do tego policjantkę; B: Rozbiła okno, za które powinna chyba zapłacić. I jak wytłumaczy się z tego Cindy, która już i tak dziwnie na nią patrzy. Ale kto mógłby ją o to winić? Cindy chyba nie umiałaby zrozumieć tego, co powodowało Hayley, kiedy rozbijała okno czy śledziła tego camry. Bo niby jak miałyby jej wytłumaczyć swą niezawodną intuicję, po tym męczącym dniu, kiedy to Cindy utkwiała na trzy godziny w samym mateczniku drzew Jozuego w Parku Narodowym Joshua, w palącym gorącym pustyni, tylko dlatego, że jakiś pokrecony dupek z wydziału pomyślał sobie, że będzie to bardzo zabawne, gdy wypuści jej płyn z chłodnicy i wyjmie akumulator z komórki. Na szczęście znalazła się tam w porę

pewna Dobra Samarytanka. No i cud nad cudami, że nie był to żaden psychol ani zbok. Tylko fajny chłopak, który skorzystał z jej telefonu komórkowego i czekał, aż się pokaże pod swoim AAA. Potem, kiedy już była bezpieczna, posłała mu pieniądze, pięćdziesiąt dolców, to chyba starczy. Dostała kopertę z powrotem, z adnotacją: zwrot do nadawcy, adresat nieznanym... Hayley tylko zaklęła i pomyślała sobie: „Dość mam już tego, żeby wciąż być czymś aniołem stróżem. Bo komu potrzebny jest anioł stróż, trzeba samemu pilnować swej dupy. Cindy to fajny dzieciak z dużymi możliwościami, jeśli tylko jakiś palant nie wejdzie jej w drogę”.

Jeszcze raz obrzuciła mieszkanie szybkim spojrzeniem, tak na wszelki wypadek. Wszystko było chyba w porządku (z wyjątkiem rozbitej szyby, którą powinna zabezpieczyć przed wyjściem). Nie myśląc, odruchowo nacisnęła guzik na sekretarce Cindy. Jedna wiadomość od mamy, dwie od taty, dwie od Olivera. Nie, żeby Scott się przedstawiał, po prostu rozpoznała jego głos. Uśmiechnęła się, wiedząc, że coś ich tam łączy, od chwili gdy wyszedł za nią od Belliniego. Łatwo było przewidzieć. Cindy usiłowała coś dowieść swemu ojcu, a Oliver próbował coś udowodnić swemu szefowi. To tylko reakcja chemiczna czekająca na swój katalizator.

Żeby się nie nudzić, zaczęła przeglądać zawartość szuflad, najpierw w sypialni, potem w biurku w saloniku, wreszcie w kuchni. I kiedy przeglądała notatki, zobaczyła nabazgrane tam nazwisko Bedermana. Papiery były w szafce na naczynia. Miała w ręku plik kartek, rozłożyła je przed sobą. Jakieś szkice i wykresy, jakieś tam gryzmoły... Nazwisko Bedermana, nazwisko Cindy wypisane bąblastymi literami i nazwisko Armanda Craytona z jakimiś strzałkami. Na ostatniej stronie były odniesienia do miejsca, zwanego Belfleur.

Gdzie, u diabła, było to Belfleur?

A co ważniejsze, gdzie, u diabła, podziewała się Cindy?

Ktoś w rozbitym czerwonym camry siedział Cindy na ogonie w zeszły piątek, goniąc ją po górach. A potem ktoś zdewastował mieszkanie tego dzieciaka. Teraz nie ma jej w domu, jest już po jedenastej, a wszystko to zależało od tego, co ją łączyło z Armandem Craytonem.

Crayton nie żyje.

Nie wyglądało to dobrze, a świerzbiecie było coraz silniejsze. Grzebiąc w swym podręcznym notesie, Hayley sięgnęła po notatnik elektroniczny i wyszukała w nim numer komórki Olivera. Kiedy odezwał się sygnał, zastanawiała się, co mu powie, żeby nie wyjść na kompletną idiotkę.

Podniósł słuchawkę po trzecim sygnale.

—Detektyw Oliver.

Głos miał spięty. Odezwała się:

—Tu Hayley Marx.

—Co tam nowego?

— Czy... masz numer telefonu ojca Cindy Decker? — wybąkała. — Muszę z nim porozmawiać.

—Dlaczego? — wykrzyknął Scott. — Po co ci to?

Wyraźnie był przejęty.

—A może ty będziesz mógł mi pomóc, Scott. Nie wiesz, gdzie jest teraz Cindy? — zapytała.

—Nie! — warknął. — Czemu chcesz wiedzieć?

—Chyba z tego samego powodu, który sprawia, że na mnie warczysz. Martwię się. Jestem teraz u niej w domu, wozu nie ma. Nie było jej w domu przez cały dzień. Wiem, że włamywano się do niej...

—To gdzie ty teraz jesteś?

—U niej w domu — powtórzyła Hayley. — Zbiłam szybę i weszłam. Ponieważ mam... takie poczucie...

—Jakie poczucie? — Oliver aż krzyknął. — Stało się coś? Poza tym, co już powiedziałaś?

—Nie, poza tym oknem; muszę je zabić deskami. Ale znalazłam tu jakieś notatki, które zostawiła. Pojawia się tam nazwisko Ricka Bedermana. Co gorsza, jest tu też Armand Crayton...

—O Boże! —jękął Oliver. „Czy ten bubek dobierał się do niej?" — Jej macocha właśnie pięć minut temu dzwoniła do jej ojca. Cindy miała być w drodze do niego, ale się nie pokazała.

—Dobra, może ja będę mogła coś pomóc. W swoim notesie zostawiła wskazówkę dotyczącą jakiegoś Belfleur. Wiesz coś o tym?

—Taa, coś mi świta — wymruczał Oliver. — Nie wygląda to dobrze. Jej tatko był tu jakiś czas temu, ale wyszedł zaraz po telefonie od żony. Byliśmy w Oxnard, żeby zrobić nalot na taką krajalnic. Poczekaj. Znajdę ci go.

Czekała, zauważyła, że jej oddech stał się teraz płytki. Wydawało jej się, że czeka tak bardzo długo. Kiedy zaczęła się już bać, po tamtej stronie odezwał się głęboki głos:

—Powiedz mi wszystko, co wiesz.

Odchrząknęła.

— Wiem, że w ubiegły piątek ścigał ją camry. Wiem, że się rozbił, spadając ze zbocza. Wiem, że włamano się jej do domu. Znalazłam jakieś rysy na szybie. Wydało mi się, że coś się tu nie zgadza.

—Dlatego chciałaś ze mną rozmawiać?

Zaschło jej w gardle.

—Nie wiem, jak mam to powiedzieć...

—Wykrztuś to wreszcie.

Odchrząknęła jeszcze raz.

—U mnie w wydziale jest taki dziwny facet, poruczniku.

—Powiedz mi o nim.

— Dobra, nazwisko tego Ricka Bedermana przewija się parę razy w jej notesie.

— A co powiesz o jego partnerze, Timie Watersie?

— Też dosyć dziwny. Ale w jej notatkach nie ma tego nazwiska.

—Wspominała mi też o takim dzieciaku, z którym chodziła na akademię, Andym Lopezie. Co o nim wiesz?

—To palant, ale nie wydaje mi się, żeby był niebezpieczny. Jego nazwiska też nie wymienia.

— Ścięła się z sierżantem...

— Z Clarkiem Tropperem. Jego nazwisko zapisała parę razy. Myślę, że sobie z niego pokpiwa.

— Niekoniecznie. Masz jakieś telefony do tych prostaków?

— Mogę je podać na poczekaniu. Zadzwonię w pańskim imieniu, jeśli pan chce.

— Nie, to ja zadzwonię. Daj mi te numery.

— Panie poruczniku, może lepiej ja zadzwonię do Bedermana. Ale zrobię, jak pan woli.

Miała rację.

— Myślisz, że ten Bederman mógłby ją zranić? — spytał Decker.

— Taa, jeśli go rozwścieczy. Oni wszyscy mają swoje szusy. Decker powiedział, że odezwie się za moment.

— Ta Marx. Czy można jej ufać? — spytał Olivera.

Oliver pomyślał długo i głęboko.

— Dupa ją swędzi. Zgryźliwa, suka, nachalna. Ale nigdy nie pamiętam, żeby była nieuczciwa. Czego ona chce?

— Chce zadzwonić do Bedermana i go wybadać. Jeśli jest szczerą, to dobry pomysł, ponieważ nie będzie taki podejrzliwy. Ale gdyby wpędziła nas w kłopoty, byłby to zły pomysł.

— Jeśli wpędzi nas w kłopoty na polecenie Bedermana, to on już wie o tym telefonie, Deck. — Oliver przygładził ręką swe gęste, tłuste włosy. — Marx nie jest może największym orłem, ale dałbym jej szansę. Ponieważ w tej chwili sytuacja układa się tak, że wszystko bardziej zależy od niej niż od nas.

Decker miał nadzieję, że Oliver się nie myli. Powiedział Marx do słuchawki:

— Dobra. Ty bierzesz Bedermana, Watersa i Lopeza. Są równi ci rangą. Trapper to sierżant. Zwracając się do niego, jesteś niższą rangą. Ja jestem porucznikiem, więc stoję nad nim. Wezmę Tropera.

— To chyba rozsądne. — Hayley znów chrząknęła. — Poruczniku, nie wiem, jak mam to panu powiedzieć, ale... umieściłam w wozie Cindy lokalizator...

— Co zrobiłaś?

— Wstawiłam lokalizator do Saturna Cindy. Bardzo się tym przejęłam, jak ten facet w camry ganiał Cindy przez góry. Kiedy zaczynałam pracę na ostro, jakiś mądrała z wydziału zrobił coś takiego, że wóz mi się popsuł na środku pustyni. Postanowiłam więc zrobić wszystko, by coś podobnego nie mogło się przytrafić innej kobiecie-żółtodziobowi. Wiem, że

może to głupie, co mówię. Ale Bóg mi świadkiem, lubię pańską córkę. — Z oczu popłynęły jej łzy. — Strasznie bym się czuła, gdyby jej się coś przytrafiło. — Pociągnęła nosem, usiłując opanować szloch. — Czy chce pan, żebym go uruchomiła?

—Cholera, tak, uruchom go!

Skrzywiła się z powodu jego agresywnego tonu.

—Dobrze, poruczniku. Tak zrobię. Urządzenie jest u mnie w domu. Za piętnaście minut tam będę. Oddzwonię do pana, jak tylko złapię sygnał. A potem zabiorę się do Bedermana. Byłoby mi głupio, gdyby coś się stało.

—Mnie też. — Decker podał jej sześć numerów telefonu. — Dzwon na którykolwiek z nich, jeśli coś usłyszysz, niezależnie od tego, jak głupie mogłoby ci się to wydawać.

—Dobrze, poruczniku.

Decker odwiesił słuchawkę. Zwrócił się do Olivera:

— Hayley powiedziała, że martwiła się o Cindy, więc zamontowała w jej wozie lokalizator. Cholera, to ja powinienem to zrobić! Czy coś jest ze mną nie tak?

„Z każdym z nas jest coś nie tak”. Oliver odparł:

— Ta Marx okazała się bystrzejsza, niż myślałem. Gdy sobie myślę o moich porażkach... nigdy nie doceniałem tych codziennych kobiecych spraw. To dlatego moja eks ma nowego merca, a ja jeżdżę dziesięcioletnim plymouthem.

Rozdział trzydziesty czwarty

Pierwsze, co pamiętała, to jakieś potworne pulsowanie w głowie: ostre, przeszywające ukłucia gdzieś pod gałkami ocznymi i tępy ból żeber. Ból był tak silny, że nic innego do niej nie docierało. Ale nie mogła do tego dopuścić, by coś się jej przytrafiło, tak bardzo chciała żyć. Próbowwała się skupić na tych nieczynnych zmysłach, zmusić je do tego, by coś odbierały. Do jej zmaltretowanego ciała raz po raz dochodził, to znów odpływał rytmiczny warkot silnika. To tylko parę milimetrów, ale wystarczyło, by przez jej ciało przepłynęły fale wstrząsów elektrycznych, od kręgosłupa aż po zęby. Czuła, jakby ktoś obcy nachylał się nad nią i pożerał, włókno za włókno, kość za kością.

„Skup się!”

Powoli do jej świadomości zaczęły docierać inne bodźce. Ręce miała ciasno skrepowane za plecami, kostki nóg mocno przytwierdzone do siebie. Ciasny sznur uciskał jej skórę, wżerał się w ciało. W ustach tkwiło jej coś grubego i gęstego, co przypominało pieluszkę, czuła mgliście jakby smak jakiegoś lekarstwa. Uszy zaczęły wyławiać poszczególne dźwięki dochodzące z zewnątrz: szum przejeżdżających wozów, sygnał jakiejś karetki. Były to odgłosy charakterystyczne dla szybko mknących pojazdów, nie zatrzymujących się ani nie skręcających. Pewnie docierały tu z autostrady. Jej oczy odzyskały zdolność widzenia, tyle że nie było tu nic, co mogłaby zobaczyć, tylko jakieś cienie i ciemność. Wolałaby nie pamiętać swej klęski. Ale pamiętała.

Zdawała sobie dobrze sprawę, jak się tu dostała. Poza krótkim okresem utraty świadomości, w następstwie swych bezskutecznych prób ocalenia, nie przypominała sobie, by ją wiązano i kneblowano, ale z pewnością tak było, skoro to czuła. To straszne uczucie, uznać swoją porażkę. Zrobiła wszystko, co mogła, ale to nie wystarczyło.

Mogła się tylko cieszyć, że jeszcze żyła. Gdyby chciał ją od razu zamordować, już by to zrobił. Widocznie miał jakieś inne plany... Czekały ją tortury. Wszystko przed nią.

Poczuła silny zapach jakichś chemikaliów; była zbyt oszołomiona, by mogła coś zrobić, nie na tyle jednak, by nie mogła myśleć.

Gdzieś z radia płynęła muzyka country. Ojcu podobała się zawsze taka muzyka; jej nie. To by jednak znaczyło, że byli w wozie. Poznała po głosie parę tych śpiewaków-artystów, jak ich nazywano. Cheli Wright była prostą białą kobietą, poszukującą miłości. Zarówno słowa, jak i radosne tempo utworu zdawały się szydzić z jej żałosnego położenia. Jeszcze tydzień temu myślała sobie, że brak miłości w jej życiu stanowi dla niej problem nie do pokonania! A ledwie wczoraj brutalnie podeptano jej osobiste uczucia, plądrując jej mieszkanie. Była pewna, że już nie może być gorzej.

Ale było gorzej.

Po co ma teraz rozpamiętywać takie głupie rzeczy, jak jej problemy erotyczne czy tępi współpracownicy, jak nie zapłacone rachunki czy jazda brudnym wozem; to tylko mogło dodatkowo pogorszyć obecną sytuację. Gdyby więc Bóg zechciał jej podarować choćby jeden dzień, nie będzie się więcej irytować na mamę za jej napraszanie się ani na tatkę za jego nieustanną kontrolę jej poczynań. Tylko ten jeden dzień, żeby mogła zadzwonić ze swej komórki, zjeść kanapkę, włożyć mundur albo pójść do łazienki.

Płakała, nie zdając sobie z tego sprawy; łzy cicho spływały po policzkach, wsiąkając w knebel. Sama czuła się teraz jak ta szmata, wepchnięta jej w usta i zawiązana z tyłu na karku. Było jednak coś, za co mogła być wdzięczna. Nie zasłonięto jej twarzy, mogła normalnie oddychać. I jeszcze jedno: ręce związano jej sznurem, nie zakładając kajdanek. To ją zdziwiło. Wyobrażała go sobie jako faceta posługującego się kajdankami.

Więc może... traktował ją jak dziewczynę, nie chciał jej zbyt ranić. Mogło to być zwykłe myślenie życzeniowe. Ale nie zabił jej jednak, gdy miał po temu okazję. Musiał mieć wiele okazji, bo przecież nie pamiętała, jak ją wiązał...

— Nie śpisz, Decker?

Jego głos przywrócił ją nagle do świadomości, znalazła się nawet w stanie jakiejś nadświadomości i nadpobudliwości. Powinna była wyko-

rzystać tę chwilę spokoju na zaplanowanie czegoś, co mogłaby jeszcze zrobić. Potok luźnych skojarzeń to świetna rzecz w psychoterapii, ale na cóż jej to, gdy została porwana i pewnie czekają ją męczarnie?

— Wiem, że już przyszedł do siebie. Poznaję to po twoim oddechu. No dalej, Decker. Daj znak, że żyjesz. Chrząknij albo zrób cokolwiek innego.

Mogła chrząknąć. Mogła dać jakikolwiek inny znak, żeby ją usłyszał. Może właśnie powinna to zrobić. Zachęcić go czymś, niech gada cały czas. Ale nie odezwała się ani nie poruszyła.

Słuchał. A ona była jak odrętwiała, bez oznak strachu i buntu.

— Cholernie dobrze wiem, że mnie słyszysz, Decker. No, odezwijże się, powiedz coś! Nie zdołasz mnie oszukać, daj sobie lepiej spokój, no, mów.

Jeśli mu nie da jakiegoś znaku, może ją dziabnąć. Jest przyzwyczajony do tego, żeby wydawać rozkazy i żeby go słuchano. Właśnie płaci cenę za to, że zakwestionowała jego pełną władzę. Istotnie, nie słysząc odpowiedzi, obrócił się i trzasnął ją w policzek. To nawet nie było silne uderzenie. Ale była już taka obolała, może od poprzedniego bicia, że miała wrażenie, jakby oblano ją wrzątkiem. Cholera, jak by to było dobrze znowu odjechać. Tymczasem tylko zajęczała.

— Nic ci się nie stało, Decker. To tylko mały miłosny klaps! No dalej, rozchmurz się! — Ciągnął dalej: — Wiesz co, Decker? Z twoją głową i układami, gdybyś tylko rozegrała to jak należy, mogłabyś nawet zostać w cieniu. Wiesz, o czym mówię? Chyba to chwytasz. Tylko pilnujesz, żeby sprawy posuwały się naprzód. Wystarczy. To niedobrze, że wydarłaś na mnie ten swój suczy pysk. Żeby się postawić. Ale teraz, kiedy już jesz to gówno... daj sobie trochę luzu, spróbuj.

„Jaki łaskawy”, pomyślała Cindy. Nie mogła powstrzymać się od ironii, nawet w myślach.

— Bo jeśli zaczniesz brać szmal, kiedy to wreszcie zrozumiesz... już nie powiesz, że jestem zupełnym skurwysynem. Kapujesz, co do ciebie mówię?

Rozumiała, co mówił. Świetnie to rozumiała. Sprząta po nim gówno, a on jej wybacza. Tylko jak, u diabła, mogła to spieprzyć? Ostatnie, co pa-

miętała, to jak skapitulowała przed tym dupkiem. Co ma zrobić, żeby ten kutas jej wybaczył? Obciągnąć mu w magazynku?

— Tak, wydaje ci się, że zrobisz ze mnie wała. Myślę, że naprawdę chcesz mnie wydymać. Tylko że to głupie, bierzesz mnie za prostaka. Niby tego nie widzę, że chcesz mnie zwabić w pułapkę, podlizując mi się, gdy w istocie próbujesz mnie namierzyć. To paskudne, Cindy. Nie doceniałaś mnie, naprawdę. A teraz przyjdzie ci za to zapłacić. Płacisz cały czas. Mówię ci to, żebyś wreszcie zrozumiała.

Ale Cindy ani rusz nie chciała tego zrozumieć. Czy powinna udawać, że chce się z nim pieprzyć?

Spojrzał na nią.

— Powinnaś sobie odpuścić, karty są rozdane. A ty nie, musisz wciąż łązić i wtykać nos, gdzie nie trzeba.

„O czym on, do diabła, mówi?” Nie intrygowała przeciw niemu. .. Nie robiła niczego, co by mogło być tak błędnie odczytane...

—Czego ty próbowałaś dowieść, wchodząc tam, co?

„Wchodząc gdzie?”

—Próbowałaś przechytrzyć swego tatkę tak jak mnie?

„Przechytrzyć”, pomyślała. No, no.

—Przechwalałaś się, że możesz rozwikłać sprawy, których twój ojciec nie potrafił ugryźć. To tak się odnosisz do autorytetu? Wiesz co, Decker? Twój ojciec nie raz powinien ci przylać, i to ostro. Wtedy nie miałabyś takich kłopotów, dobrze wiedziałabyś, gdzie twoje miejsce, zamiast być taka wścibska! Próbowałem cię ostrzec. Przylepiłem tę kartkę. Pogoniłem cię troszkę. Dawałem ci znaki, małe i duże. Wszystko na nic. No to teraz masz, zobacz, gdzie jesteś!

Wymamrotała coś.

—Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz — powiedział.

„Może gdybyś mi wyjął ten knebel, to byś zrozumiał!”

Chwilę później spełnił jej życzenie. Szybkim, szorstkim ruchem zdarł knebel, który oparł się jej na szyi jak chusta. Szarpnięcie było tak gwałtowne, że mógł jej nawet wybić parę dolnych zębów.

—Naprawdę, nie wiem, o czym mówisz.

Nie była pewna, czy zrozumiał jej słowa. Całe usta i wargi miała opuchnięte i obrzmiałe. Nawet by się zdziwiła, gdyby ją zrozumiał. Doszła jednak do wniosku, że usłyszał, bo się roześmiał. To był prawdziwy, głęboki rechot czarownika, o ile są jeszcze czarownicy. Może i są, bo poczuła się cholernie blisko wellsowskiej wizji piekła.

— Na twoim poziomie i przy takiej elokwencji myślałem, że pójdziesz ci lepiej! — powiedział.

— Nie mogę, bo nie wiem co... — Urwała. Jeśli rozmowa będzie tak dalej przebiegać, niebawem stoczy się w ławę do przewidzienia koleiny. Ona powie to, on tamto.

„Użyj swej inteligencji!”

Błysnęły jej w głowie kursy psychologii, zwłaszcza teoria Milтона Ericksona o sztuce zaskoczenia.

— Dziękuję za wyjęcie mi knebla. Naprawdę to doceniam. — Milczenie. — Co to było? — ciągnęła, rozpaczliwie walcząc ze skutkami nasączonego jakimś środkiem nasennym knebla. — Coś w rodzaju chloroformu? Gdzie ty coś takiego dostałeś? W szpitalach już się tego nie używa. Chyba musiałeś długo i pracowicie tego szukać. No, ale widzę, że całkiem zaradny z siebie facet.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Zmyślna ze mnie para majtek, pamiętasz? — Znów ani słowa. Spróbowała z innej beczki. — Czy mogę coś powiedzieć, żebyś się nie obraził?

— Chyba nie.

— Może spróbuję?

— Może się zamkniesz?

— Możesz mi znowu założyć ten knebel. Ale przecież oboje zdajemy sobie sprawę, że teraz i tak wszystko zależy od ciebie. — Nic na to nie odpowiedział. Uznała jego milczenie za znak, że może mówić dalej. — Uważasz, że próbuję cię przycisnąć. Niby jak?

— Nie wciskaj mi takich bajerów! — Rzucił to tak mocno, że aż podskoczyła. Dyszał teraz głośniejszym głosem niż ona. — Nie wpierdalaj mi tych

kłamstw. Bo nie jesteś w takiej sytuacji, żebyś mogła mi to wpietrzyć, Decker! Oboje cholernie dobrze wiemy, dlaczego pojechałaś do Belfleur!

Otworzyła usta, znów je zamknęła, szczęki zacisnęły się aż do bólu. Zaczęło jej wirować w głowie. Belfleur, Belfleur... o co mu chodzi z tym Belfleur?

Walnęło ją, jakby dostała w twarz.

Bederman tak bardzo pochłaniał jej uwagę, tak bardzo była pewna jego winy, że nie zadała sobie nawet trudu, by sprawdzić resztę listy! Znalazłaby tam nie tylko jego nazwisko, ale z pewnością wielu innych. Kto wie, ilu jeszcze policjantów było na tej liście? Nie była wielką zwolenniczką teorii spiskowych, ale mogła teraz myśleć tylko o tym. Oni wszyscy! Nie dorwali jej dlatego, że sądzili, iż coś wie. Owszem, coś wiedziała. Wiedziała, że odnieśli jakąś korzyść ze śmierci Craytona... z porwania Bartoholomew... i porwania wozu Mills. Coś tam wiedziała, chociaż nie wszystko. Na pewno nie tyle, by mieli ją zabić. Ale on tego nie wiedział. Myślał, że doszła do wszystkiego. Przeceniał jej zdolności, ona zaś nie doceniała jego.

Decker nie czekał, aż Oliver zgasi silnik. Wskoczył, gdy tylko Scott zatrzymał się za wozem Cindy.

Niech Bóg błogosławi tę Hayley Marx i jej lokalizator. Lub raczej, niech ją Bóg błogosławi za to, co było teraz, bo Decker wciąż jeszcze nie był jej pewny. Skoczył do drzwi saturna od strony kierowcy; były zatrzaśnięte. Od strony pasażera drzwi były zamknięte, ale nie zaryglowane. Serce mu waliło, gdy je otworzył i zajrzał do środka.

Nie było jej tam.

Otworzył kufer.

Ale i tam jej nie było.

Odczuwał zarazem szczęście i paniczny lęk. Nie znalazł ciała: „Dzięki Ci, dzięki Ci, Boże”, ale żywej też nie znalazł. Ta niepewność popychała go do gorączkowych działań. Przetrzęsął jej torbę, znalazł portfel i broń. W portfelu były pieniądze. Znalazł kredkę do ust, ołówki... kwity wykorzystania kart kredytowych. Schował je do kieszeni. A gdzie jest etui z jej

odznaką i numerem identyfikacyjnym? Podskoczył, gdy Marge dotknęła jego ramienia.

— Przepraszam — powiedziała. — Nie wiedziałam...

— To jej broń — odparł Decker, ciężko oddychając. — Nie miała nawet tej szansy, by wyjść z bronią!

— Znajdziemy ją, Peter...

— Powiedz mi jak? — Otarł łzy ciekące mu po policzkach. — Powiedz mi tylko jak?

Podszedł do nich Oliver.

— Wiesz, tam na stoku jest mnóstwo krzaków. Może wybiegła z wozu i nie miała czasu, by zabrać ze sobą broń...

— Powinna wziąć broń! — Decker odszedł od wozu i zaczął chodzić tam i z powrotem. — Dlaczego nie wzięła ze sobą broni? Skurwiel wyciągnął ją zza kierownicy...

— Ale drzwi od strony kierowcy są zaryglowane — stwierdził Oliver.

— Co ty mówisz?

— Kiedy wyciągasz kogoś zza kierownicy, chwytasz go za szyję i wywlekasz z wozu. Nie masz czasu, by jeszcze zamknąć i zaryglować drzwi.

— Pocałuj się w dupę z takimi mądrościami!

Marge szepnęła Oliverowi:

— Zamknij się! — Potarła czoło. — Peter, musimy to zanalizować, jak zwykle to robimy w miejscach przestępstwa...

— Więc zrób to!

Zrobiła, co trzeba. Wzięła ze sobą latarkę.

— Zejdę nasypem w dół. Może tam coś znajdzie.

Nie musiała tego mówić, każdy z nich wiedział, czego się można spodziewać. Oliver zdawał sobie sprawę, że powinien pójść z Marge i jej pomóc. Ale strach, że Cindy tam leży martwa, zatrzymał go w miejscu. Ten obraz prześladowałby go przez całe życie. Przeklinał swój egoizm i słabość, ale nie był zdolny tego przeczłuć. Spojrzał na Deckera. Ten potężny mężczyzna opierał się zgarbiony o saturna, kryjąc twarz w swych wielkich dłoniach.

—Może powinienem tu zostać — Oliver zwrócił się do Marge. Wskazał ruchem głowy Deckera.

—Tak, lepiej zostań. — Marge zrobiła parę kroków, potem pobiegła. Póki mogli ją widzieć i słyszeć, powstrzymywała płacz. Gdy zeszła już do połowy stoku, otarła łzy; była już pewna, że jej nie znajdzie.

Oliver położył rękę na plecach Deckera. Zwalisty mężczyzna odwrócił się i spojrzał na niego szklistym wzrokiem.

—Dlaczego nie wzięła z sobą broni?

—Nie wiem.

—To przecież nie ma sensu! — Decker przełknął łzy. — Zabrała odznakę, ale nie wzięła broni...

—Wzięła swoją odznakę?

—Tak, wzięła odznakę. A przynajmniej nie ma jej w torebce. To bez sensu.

—Nic tu nie ma sensu, póki się nie dowiemy, co zaszło.

—Dobra, dziękuję ci za zwięzłe wyjaśnienie. — Decker odszedł od niego i chodził tam i z powrotem ciężkim krokiem. Jego bezradność mogła budzić współczucie. Oliver obserwował go przez chwilę jak odrętwiały, a potem próbował go z tego wyrwać, potrząsając nim mocno. Powoli, stawiając krok za krokiem, pochylił się, żeby przeszukać wóz Cindy. Poczł jej zapach, obudziło to jego wściekłość. Posługując się tylko swoim nosem, doszedł do wniosku, że to wyłącznie jej zapach. Cokolwiek jej zrobił, nie wywłócił jej z wozu. Podeszła do niego sama.

Skupił się teraz i poświecił sobie latarką, choć światło nie było wyraźne. Przejrzał jej torebkę. Po pierwsze, przekonał się, że Decker miał rację. Jej broń znajdowała się na samym dnie torby. Był tam też portfel z pieniędzmi, jeszcze w banderolach. Tylko gdzie była policyjna oprawka, która zawierała odznakę funkcjonariusza i identyfikator? Może gdzieś wypadła. Torebka Cindy była jak worek. Nie zasuwawała się na zamek, a to znaczyło, że różne drobiazgi łatwo mogły wypaść. Zaczął przeszukiwać wóz, pod matą i poduszkami siedzenia, pomiędzy siedzeniami a tablicą rozdzielczą, w skrytce na rękawiczki i w schowkach w drzwiach.

Nic tam nie było.

Usłyszał z daleka odgłos syreny. Zaraz się tu zaroi od policjantów. Jeśli jest tu gdzieś w pobliżu, znajdą ją.

Macając bezwiednie ręką, natknął się na zapłon i przekonał się, że silnik jest w ruchu. W stacyjce nie było jednak kluczyka.

Przypomniał sobie teraz, że w jej torbie nie było kluczyków.

Sprawdził jeszcze raz.

Ani odznaki, ani kluczyków. Począł chwilę, wysiadł z wozu i obszedł go dookoła, świecąc latarką przy samej ziemi. Może upuściła kluczyki. Niczego jednak nie znalazł. Ani kluczyków, ani oprawki, ani nawet śladów stóp, przynajmniej w tym świetle. Nic nie sugerowało jakiegogoś nieszczęścia. Odszedł parę metrów za wóz i oświetlił bruk. Zobaczył ślady opon, które nie należały do saturna Cindy. Różne ślady opon, ale to nie był ten wzór. Można się było spodziewać, że na poboczu będą ślady opon. Zjeżdżały tu wozy, które miały jakieś kłopoty na drodze. Ale to było świeże, jakby ten wóz...

—Znalazłeś coś?

Wzdrygnął się.

—Tak się za mną skradasz!

—Przepraszam. Co o tym sądzisz?

Spojrzał na swego szefa. Na twarzy Deckera można było dostrzec grozę piekła. Oliver skierował promień reflektora na ziemię.

—Popatrz na to.

—Ślady opon.

—Nie wydają ci się świeże?

—Skurwiel zatrzymał się za nią — ocenił Decker. — Zobaczył, że jej wóz stoi, zatrzymał się i wyciągnął ją z wozu.

Oliver powiedział z wahaniem:

— Cindy nosi najczęściej tenisówki, prawda?

Decker nic nie odrzekł, wiedział, dokąd Oliver zmierza. Nie było żadnych śladów jej butów. Oliver ciągnął dalej:

—Wiesz, czego jeszcze nie było w jej torbie? Kluczy. — Decker spojrzał na niego. — To ważna wskazówka. Myślę, że wyszła dobrowolnie, wzięła odznakę i kluczyki i spotkała kogoś. Może w ogóle błądzimy.

Może ktoś przystanął za nią, chciała mu pomóc i wyszło na to, że to był psychol...

—Ktoś ją zatrzymał. Gdyby nie zawracała sobie głowy odznaką i kluczami, zabrałaby broń, Scott. Powinna zabrać broń.

Żaden z nich się nie odezwał.

— Ale wzięła klucze — myślał na głos Decker. — Wyszła i wzięła klucze, żeby się przypadkowo nie zamknąć... wzięła odznakę, ale nie wzięła broni...

Myśl! Myśl!

Tylko że nic mu nie przychodziło do głowy.

—Dowiedziałeś się czegoś od Marx? — spytał Decker.

—Wciąż nie udało jej się namierzyć Bedermana ani Troppera.

—A to skurwiele! Zadzwoń do niej jeszcze raz! — warknął Decker. —
Może ona kłamie!

Oliver wziął swoją komórkę i zaczął wystukiwać numer. Nagle poszedł tropem ostatniego zdania Deckera. Co mieli ze sobą wspólnego Bederman, Trapper, Marx i wszyscy inni? Byli gliniarzami.

— Zadzwoń zaraz! — wrzeszczał Decker.

Oliver wcisnął ostatnią cyfrę.

— Co mówisz?

— Chcesz wiedzieć, jak to było? Musiała stanąć, Scott. Musiała stanąć, bo jakiś pierdolony psychol z jej wydziału podbawiał się jej wozem. Więc tak to było: stanęła na szosie, a potem nagle ktoś do niej podjechał, żeby jej pomóc. Gdyby to był jakiś Joe Smith, zabrałaby ze sobą broń. Ale to nie był Joe Smith. To był ktoś, kogo nie musiała się obawiać.

— Ktoś, kogo znała.

— Nie, to by nawet mogło wzbudzić jej podejrzenia... gdyby ktoś, kogo dobrze zna, ni stąd, ni zowąd pojawił się na drodze przy jej unieruchomionym wozie.

Decker miał rację, to oczywiste.

—Mów dalej — ponaglił go Oliver.

—A co myślisz o wozie patrolowym?

Oliver klepnął się w czoło.

—Oczywiście. Widzi, jak przystaje za nią glina. To nie jest dobrze widziane, podejść do gliny z bronią w ręku.

—Więc bierze swój identyfikator. Żeby się wylegitymować...

—Peter! — zawołała Marge.

—Ach, Boże! — Nogi ugięły się pod Deckerem. Oliver zdążył go złapać, zanim wpadł w dziurę. Nadbiegła Marge i powiedziała szybko:

—Niczego nie znalazłam... To znaczy, nie mogę jej znaleźć. — Zalała się łzami. — Nie mogę znaleźć jej ciała!

— Czego ty szukałaś? — spytał Oliver.

Syreny wyły już blisko.

— Było tam trochę pogniecionych krzaków. Wygląda na to, że odbyła się tam walka.

—A krew? — spytał Decker.

—Nie widziałam krwi.

Ale Decker podejrzewał, że to tylko część prawdy. Skierował na nią światło latarki.

— Muszę usiąść.

Marge pomogła mu wejść do wozu Cindy. Czuł, jak gorące łzy płyną mu z oczu. Otarł je i podniósł wzrok.

— Marge, przynieś mi moją komórkę! — poprosił Oliver. — Albo jeszcze lepiej, zadzwoń do Hollywood i sprawdź, czy Tropper albo Berman mają służbę. Jeśli nie, sprawdź, kto dziś patroluje albo czyjego wozu brak.

—Dlaczego mam to zrobić?

Oliver przedstawił jej wersję Deckera.

—Zaraz to zrobię. — Marge wzięła komórkę.

—I jeszcze... — Decker odchrząknął. — Zadzwoń jeszcze do kalifornijskiej drogówki.

—Dlaczego?

—Tylko... — Decker znów odchrząknął i zaczerpnął duży łyk powietrza. Czuł, jakby go coś dławiło, choć nocne powietrze było czyste i rześkie. — Zapytaj, czy nie brakuje żadnego z wozów.

Marge popatrzyła na niego.

Mówił dalej:

— Gdybym to ja był Cindy... i nie wiedział, kto jest ze mną, a kto przeciw mnie... zachowałbym podejrzliwość w stosunku do wozu patrolowego. To mógł być Bederman... to mógł być też Tropper. — Ponownie zaczerpnął powietrza. — Ale wóz z kalifornijskiej drogówki... gdybym stanął unieruchomiony i zobaczył taki wóz... byłbym bardzo szczęśliwy. Wyszedłbym z wozu bez broni... ale wziąłbym swoją odznakę... i powiedziałbym... powiedziałbym: „Hej, czy możecie mi pomóc?”

TLR

Rozdział trzydziesty piąty

Hayley mówiła do telefonu z zacisza swego wozu:

— Ustaliłam, co z Lopezem. Od czterech godzin przebywa z rodzicami. Tropper wciąż ze znakiem zapytania. Połączyłam się z żoną Bedermana. Lada chwila spodziewa się jego powrotu...

— Powrotu skąd? — przerwał jej Oliver.

—Z jazdy. Zdarza się, że sam wyjeżdża na ulicę. — To dla mnie brzmi jak jakaś kompletna bzdura.

Hayley też myślała to samo.

—Ma ze sobą pager. Spróbuję go ściągnąć.

—Jeśli nie odpowie, Marx, to znaczy, że nie chce odpowiedzieć.

—Chcesz, żeby rozesłać za tym wozem list gończy?

—Tak byłoby najlepiej. Tylko że nie mamy na niego nic konkretnego. A poza tym, to glina. — Oliver był wewnętrznie rozdarty. — Podaj mi jego numery.

—Ma dwa prywatne wozy: mini wan ford aerostar i cantaro kombi. Żona powiedziała, że wziął camaro... to jego wóz. — Hayley podała mu numery rejestracyjne. — Ale wiesz, Scott, myślę, że jeśli on zrobił coś paskudnego, to wziął wana, a żona coś kręci.

—A może by podjechać pod jego dom i sprawdzić, czego brakuje?

—Tak, to dobra myśl... Stamtąd jest tylko pięć minut do domu Beaudry'ego. To ten ostatni partner Cindy...

—Czy to nie on był również poprzednim partnerem Bedermana?

—Tak. Ale pozostali przyjaciółmi. Wciąż mogą na sobie polegać.

—Prawda. Cindy wspominała mi o tym. To dosyć dziwne.

—Znasz chyba Grahama. Oni są trochę podobni. Myślę, że Graham może wiedzieć, gdzie jest teraz Bederman. A przynajmniej wie, gdzie można by go szukać. Ponieważ nadal są przyjaciółmi.

—Sprawdzałaś u Belliniego?

—Tak, dzwoniłam tam. Nie ma go. Graham to fajny chłopak. Daj mi tylko...

—Uważasz, że Graham jest w porządku. Czy nigdy nie pomyślałaś, że może być przestępcą?

—Nie patrzyłam na niego w ten sposób, ale gdyby miał być w to wmieszany, chciałabym się z nim zobaczyć. To co robimy najpierw? Jędziemy do Grahama czy sprawdzamy Bedermana?

Przez chwilę było milczenie. Hayley zmieniła temat, dając mu czas na zastanowienie się.

—Jak tam jest?

—Znaleźliśmy kawałek oddartego ubrania.

—Jej?

—Nie wiem, Hayley.

Miał taki płaski głos.

—A... no wiesz... jej samej nie znaleźliście? — zapytała.

—Nie gadalibyśmy tak, gdybyśmy ją znaleźli.

—Przepraszam, głupie pytanie.

— Nie, w porządku. — Głos Olivera złagodniał. — To całkiem normalne. Niepotrzebnie się uniosłem.

—To zrozumiałe. A co z porucznikiem?

—Przeszedł piekło.

Cała ta rozmowa nie wpłynęła najlepiej na poziom lęku i tak już bliższej załamania Hayley. Czowała, jak w gardle coś ją drapie.

—A co ja powinnam zrobić?

—Daleko masz do domu Beaudry'ego?

—Pięć minut.

—Sprawdź go. Zadzwoń, jeśli coś znajdziesz.

— Dobra. — Rozłączyła się i zaczęła zapalać silnik swego wozu. Dziesięcioletni mustang sprawiał jej ostatnio trochę kłopotów. Chyba coś z przekładnią. Nie mogła się jednak zdobyć na jego naprawę. Nawet go nazwała „wierzgający Bronco”. Jak zwykle, gdy próbowała ruszyć, wahał się trochę, nim skoczył naprzód. Chwilę później była już w drodze do Beaudry'ego.

Graham mieszkał w prostym parterowym domku w dzielnicach podobnych domków. Teren był pagórkowaty, ulice opadały w dół i wznosiły się jak dziecięca huśtawka. W pobliżu był ocean, domy na górze miały piękny widok. Ale Beaudry mieszkał w białym, wykładanym drewnem domku na dole, na podjeździe były kwietne gazony. Nie było stąd widać żadnej rozległej panoramy ani oceanu, ale i tak otoczenie było nie najgorsze. Stała po drugiej stronie ulicy i już miała wyjść z wozu, gdy zobaczyła, że jakiś samochód na podjeździe zapala z tyłu czerwone światła. Akurat starczyło, by mogła odczytać numer.

Bederman.

Dała mu odjechać pół przecznicy i ruszyła za nim bez zapalania reflektorów. Znaleźli się na Venice Boulevard. Włączyła teraz światła i trzymała się z tyłu o parę długości wozu, jadąc za nim kilka mil na wschód. Zgasła je znowu, gdy skręcił w dzielnicę mieszkaniową Culver City. Jego przecznica to była płaska ulica z bramami mieszkań własnościowych po jednej stronie i pozbawionymi wyrazu, parterowymi domkami po drugiej. Bederman wjechał na podjazd własnościówki, włożył kartę magnetyczną w otwór bramy, a mechaniczny szlaban uniósł się zaraz w górę, pozwalając mu przejechać.

Hayley pojechała jeszcze pół ulicy i postawiła tam wóz, myśląc, co będzie dalej. Jeśli Bederman był przez ostatnie dwie godziny u Beaudry'ego, nie mógł być z Cindy, chyba że Bederman i Beaudry byli razem. Nic już nie mogło jej zdziwić. Widziała przykładnych ojców, zniżających się do oszukiwania własnych córek, pastorów, którzy tłukli swe żony. Przyłapywała bogate dzieciaki na okradaniu sklepów ze słodyczami, spotykała nędznie wyglądających analfabetów, zdobywających się na heroiczne czyny. Powierzchność o niczym jeszcze nie świadczyła, ileż

to razy pierwsze wrażenie okazywało się mylne. Coś tu jednak nie trzymało się kupy, gdy próbowała sobie wyobrazić Bedermana i Beaudry'ego, zmawiających się na niedzielnym grillu, żeby porwać Cindy. Wywołała Scotta i powiedziała mu, co zastała.

—Jedzie camaro. I jest w tym coś pocieszającego. Trudno ukryć ciało w tak małym wozie. Nawet kufer jest za mały.

—Tak.— Tylko że Oliver nie dzielił jej optymizmu. Byłby znacznie szczęśliwszy, gdyby Hayley odnalazła Bedermana z Cindy, żywą i dowcipkującą jak zwykle. Do tego jednak było daleko, paraliż niepewności zżerał jego zdolności rozsądnego myślenia.

—Jesteś tam jeszcze, Scott?

—Taa, jestem. — Przynajmniej fizycznie był obecny. Ale głowa nie pracowała jak trzeba.

—Nie wydaje mi się, żeby Bederman chciał teraz gdzieś prysnąć. Może powinnam skupić się na Grahamie.

Pomyślał o tym.

—Może zamienili z Bedermanem wozy i znów się gdzieś wyprawia.

—Czy chcesz, żebym tu poczekała?

—Zamiast...

—Zamiast wracać do domu Beaudry'ego. Bo właśnie sobie pomyślałam, że jeśli Bederman zrobił coś podłego, to pewnie pójdzie z tym do Grahama, żeby mu się zwierzyć.

—Może się tam wybrał poprosić Grahama, żeby dał mu alibi — zauważył Oliver. — A czego się spodziewasz po rozmowie z Beaudryem?

—Jestem w lepszych stosunkach z Grahamem niż z Bedermanem. A poza tym, to przecież partner Cindy. Sprawia wrażenie, że się z nią dobrze dogaduje. No i wydaje mi się, że więcej wyciągnę z Beaudry'ego niż z Bedermana.

—Co chcesz wyciągnąć z Beaudry'ego?

—Coś na Bedermana. — Westchnęła. — Sama nie wiem.

—Nie jestem detektywem. Może ty byś mnie naprowadził?
Zawsze miała taki styl, od razu przejść do rzeczy.

— Nic więcej się tu nie zdarzy — uznał. — Ale to chyba lepiej. No więc, Hayley, ja się udam do Bedermana, a ty do Beaudry'ego. Powiniennem tam być za... dwadzieścia minut.

— Chcesz, żebym na ciebie zaczekała?

— Taa... zaczekaj na mnie. — Milczał przez jakiś czas. — Nie wiesz nic o Tropperze?

— Nie. Dzwoniłam tam trzy minuty temu. Może powinniśmy rozesłać za nim list gończy?

— Ten sam kłopot, Hayley. Nic na niego nie mamy. Brak odpowiedzi na twoje wezwanie nie jest jeszcze przestępstwem. A ponadto, jeśli jest akurat w wozie policyjnym, poszukiwanie jego prywatnego wozu nic nam nie da. Przeciwnie, może nam to nawet zaszkodzić, ponieważ Tropper ma dostęp do linii taktycznej w radiowozie. Jeśli ma Cindy i usłyszy, że go szukamy, może wpaść w panikę.

Hayley zgodziła się z tym rozumowaniem.

— To może by tak wpaść do niego do domu?

— Tak, tylko że tu potrzebny jest nakaz. Zaczekaj. Co? Usłyszała stłumione odgłosy jakiejś narady przy telefonie.

Rozmawiali tam o czymś z wyraźnym ożywieniem. Potarła dłonie. W wozie było chłodno, a kawa, którą kupiła godzinę temu, była już zimną breją z kawałkami zakrzepłej śmietanki. Po chwili znów odezwał się Oliver.

— Hayley, może wiesz, czy Tropper, albo któryś z nich, ma kogoś znajomego z kalifornijskiej drogówki?

— Nie wiem, a czemu mnie o to pytasz?

— Jesteśmy przekonani, że ktoś, kto podebrał Cindy, miał wóz patrolowy, może właśnie z kalifornijskiej drogówki. Nie wiesz, czy ktoś w Hollywood ma znajomości w drogówce?

— Nie. Ale jestem pewna, że ktoś taki się znajdzie.

— A co wiesz o Tropperze? — badał dalej Oliver.

— Niewiele. Od dziesięciu lat w Hollywood. Z tych, co zadzierają nosa. Nie cieszy się dobrą opinią.

— Czy były pod jego adresem jakieś oskarżenia o nadużycie władzy?

—Chyba nie miał takich kłopotów.

—Jesteś tego pewna?

—Nie, nie jestem.

—Żonaty?

—Rozwiedziony.

—Ma dzieci?

—Nie wiem. Nie jesteśmy kumplami.

—Ja się nim zajmę. Ty możesz pogadać z Grahamem.

—Wiesz, wszyscy ci faceci mieszkają nie dalej jak dwadzieścia minut od pozostałych. Masz numery prywatnego wozu Troppera? Tak na wszelki wypadek?

—Taa. Ale jeśli przypadkiem się na niego natkniesz, nawet nie próbuj iść za nim!

—Nie mam zamiaru — zełgała Hayley. — Ale kto wie? Może mi szczęście dopisze i wpadnę na jego wóz. Jeśli zobaczę gdzieś jego numery, dam ci znać.

—To całkiem możliwe.

—Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.

Hayley nie miała jednak tego szczęścia. Nie to, żeby nie próbowała. Jeździła z pół godziny, a nuż na niego wpadnie, ale wróciła z pustymi rękami. Nękał ją lęk; bała się o bezpieczeństwo Cindy, a także o swoje własne. Nie mogła mieć przecież żadnej pewności, czy sama nie znajdzie się na liście ostatnich ofiar jakiegoś psychola.

A była już tego bliska, gdy znalazła się wreszcie w okolicach domu Beaudry'ego. Okna były ciemne, ale nad drzwiami ganku świeciła się lampa. Czuła trwogę, podchodząc do tego miejsca. Z jednej strony chciała, by Graham okazał się w porządku facetem. Z drugiej jednak musiała w nim widzieć potencjalnego psychola.

Nacisnęła dzwonek. Czekala parę minut, nim wewnątrz zapaliło się światło, ktoś jej się przyglądał przez otwór judasza. Beaudry otworzył drzwi, na głowie sterczał mu niesforny kosmyk, mrugał od ostrego świa-

łała na ganku. Był w szlafroku i bamboszach, unosił palcem brwi, jakby mógł przez to lepiej widzieć.

— Co ty, u diabła, tu robisz?

— Cindy zginęła...

— Co? — Zastygł w otwartymi ustami. — Co masz na myśli, mówiąc, że zginęła?

— Mogę wejść?

Cofnął się i wpuścił ją do domu. Usta miał wciąż szeroko otwarte.

— Co się stało?

Trudno było nie zauważyć tej reakcji, wyglądało na to, że był naprawdę przerażony i wstrząśnięty.

— Czy wiesz, że Cindy znalazła się w kłopotach, Graham?

— Co to za kłopoty?

— Z Męską Szowinistyczną Świnia.

Beaudry zamrugał oczami.

— A któż to taki?

— To może być wiele osób. Twój kumpel Bederman, na początek. Albo Clark Tropper...

— Tropper każdemu daje wycisk. — Popatrzył na nią. — Myślisz, że Tropper mógłby jej coś zrobić?

— Nie wiem. — Hayley sama była zdumiona, jak swobodnie i na luzie udało jej się to powiedzieć. — Zaginęła, a jej pager milczy. Nie masz czasem pojęcia, gdzie Tropper może się podziewać?

Ale Beaudry pominął to pytanie.

— Od jak dawna jej nie ma?

— Od trzech godzin.

— To jeszcze nie tak źle.

— Dużo może się zdarzyć w ciągu trzech godzin, Graham.

— Wiem. — Zaczął chodzić tam i z powrotem. — Co się stało?

— Jechała do ojca. Nie dotarła tam. Znalaziono jej wóz porzucony na poboczu drogi...

— O mój Boże!

Hayley nie mogłaby mu postawić żadnych zarzutów, biorąc pod uwagę sposób, w jaki na to zareagował.

—Wiesz coś o tym?

Beaudry zeszywniał.

—Nie podoba mi się twój ton, Marx.

—Bo cholernie się boję, Beaudry!

Ze środka domu dobiegł kobiecy głos.

—Graham? Co tam się dzieje?

Żona. Hayley musiała ją obudzić. Nastawiła głowę w kierunku tego głosu.

—Zaopiekuj się nią.

— O mój Boże! Ale się napłatało! — Graham potarł twarz. — Jestem po twojej stronie, Hayley...

Przerwała mu, nie mogąc już opanować wściekłości:

—Jeśli, do kurwy nędzy, jesteś po mojej stronie, to powiedz mi wreszcie, co wiesz?

—Graham? — żalił się tamten głos z wewnątrz domu.

—Czekaj! Zaraz tam będę! — wrzasnął Graham, po czym zwrócił się do Hayley:

—Niech ją tylko spławię, potem ci wszystko powiem. Zaraz będę z powrotem.

Zniknął gdzieś w ciemnym korytarzu, a Hayley rozejrzała się po saloniku. Muślinowe pokrycia mebli, biała kanapa i wygodne miłosne gniazdko. Szklany blat stolika do kawy, ujęty w mosiężne obramowanie, harmonizował z bocznymi stolikami. Gęsto tkany dywan od ściany do ściany. Na ścianach wisiały pejzaże lądowe i morskie widoczki. Wszystko to w dobrym guście, choć wyglądało na podróbki. A może pomyślała tak przez zazdrość, ten dom wydawał się jej tak doskonały, a jej życie było tak poplątane... Graham wrócił po dziesięciu minutach, ubrany w mundur do wyjścia, z bronią w ręku.

—Czy będziemy jej mogli w czymś pomóc? Uda nam się ją odnaleźć?

—To zależy od tego, gdzie ona jest, Graham. Może zajrzemy do aerostara Ricka Bedermana?

—Przez ostatnie parę godzin Rick był ze mną.

—A po co? Może wyrabiał sobie alibi?

— Być może.

Łatwość, z jaką się zgodził, uderzyła Hayley.

—A co on teraz robi?

—Mogę ci powiedzieć, co ja wiem, ale nie jest to dużo. — W jego głosie dało się wyczuć napięcie. — Bederman miał jakiejś kłopoty z Cindy. Powiedziałem mu, żeby sobie odpuścił, ale on wolał to z nią omówić.

—Chciał ją wydymać?

—Rick chce każdą wydymać, nie o to chodzi. To się wiąże ze sprawą Armanda Craytona, pamiętasz...

—Mów dalej.

—Rick pieprzył żonę Craytona. Już od dwu lat. Miała zdjęcia.

—O kim mówisz?

—O jego żonie, Lark.

—Lark miała zdjęcia, jak Rick i ona się pieprzą?

—Konkretnie, to było nagranie na wideo. Wyobrażasz sobie, co za głupota? I to jeszcze Rick to zrobił, nie ona. Ten facet to jakiś głupi pant...

—Ale nadal jesteś jego przyjacielem?

—Ożenił się z kobietą, która jest najlepszą przyjaciółką mojej żony. I ma z nią dzieci. Jak jesteś czyimś partnerem od tak dawna, to możesz na niego liczyć, a on na ciebie!

—To ładnie z twojej strony, że jesteś jego lojalnym przyjacielem, ale co to ma wspólnego z Cindy?

—Sprawa Craytona jest wciąż otwarta. Zaraz po zabójstwie Bederman zerwał swe stosunki z Lark, ale posunął się już za daleko. Po pierwsze, zainwestował w interes Craytona i sporo na tym stracił. Nie chciał, żeby jego żona się o tym dowiedziała. A po drugie, było to nagranie wideo. Tak że był już w jakiś sposób powiązany z Lark. Ona nie wspominała o ich wzajemnych związkach, a on jej okazywał pewne względy...

—O jakich względach mówisz?

—Mówił jej, jak ma sobie radzić z glinami, kiedy ją będą przesłuchiwać.

—Jak ma ich okłamywać?

—Taa, można by to tak nazwać.

—To Lark zabiła swego męża, prawda?

— Tego nie wiem. Rick też tego nie wie. — Nie chciał powiedzieć nic więcej. — Ale martwił się o nią, kiedy go prosiła o pomoc. Chyba rozumiesz jego położenie. Bał się, że jego żona odkryje te sprawy z Lark. Bał się też, że zostanie zamieszany w sprawę zabójstwa Craytona...

—Czy on to zrobił?

— Wciąż się zaklinał, że nie. Chyba mu wierzę. Ale nie do końca. Był pewien powód, że przestałem być jego partnerem, kiedy wrócił na dzienną służbę.

—Ale pozostaliście przecież przyjaciółmi.

—Taa. Nadal jestem jego przyjacielem.

—Chyba jesteś idiotą!

—I ty mi o tym mówisz! A co masz do mnie? Osiemnaście lat na służbie, wciąż zachowałem współczucie dla ludzi...

—A jak z twoim współczuciem dla Cindy?

—Strasznie mi jej żal, Marx! Jeśli Rick coś jej zrobił, dorwę tego sukinsyna! — Spojrzał w sufit. — Rick myśli, że Cindy coś wywęszyła w sprawie Craytona. Że powiedziała to swemu ojcu i cała ta sprawa znów się stała w jej wozie, jechał za nią i czekał, aż będzie musiała stanąć. Potem zgarnął ją do swego patrolowca...

—Rick nie miał dziś służby. Więc skąd niby ten wóz patrolowy?

—Spece myślą, że sprawca musiał jechać wozem patrolowym. Ponieważ wychodząc do niego, Cindy zostawiła w swym wozie broń.

—Chcesz mi powiedzieć, że Rick wziął wóz patrolowy po to, żeby porwać Cindy?

—Przecież sam mi wspomniałeś, jaki z niego głupek!

—Chodźmy go poszukać. — Beaudry zdjął kurtkę z wieszaka na korytarzu. — Jedziesz ze mną?

—Tak, pojedę z tobą. — Beaudry otworzył drzwi i zamknął je za nimi.

— Mówisz, że jej wóz znaleziono na poboczu autostrady?

—Tak. Przy drodze 405, prowadzącej do Valley. — A kiedy ostatni raz ją słyszano?

—Koło dziewiątej. Czemu pytasz?

—Próbuję określić to wszystko w czasie. — Hayley otworzyła drzwi swego wozu i oboje wsiedli do środka. Beaudry zastanawiał się na głos. — Gdyby rzeczywiście to zrobił, miałby czas bardzo napięty. Wyszedł ode mnie około ósmej. Potem musiałby pojechać do Hollywood, żeby wziąć stamtąd patrolowca, podjechać pod dom Cindy i podszykować jej wóz. A to by znaczyło, że musiał to wszystko zaplanować. Jechał za nią, podebrał ją przy drodze 405, zrobił jej coś paskudnego. A potem wrócił do mnie do domu gdzieś po dziewiątej...

—Mówiłeś, że między dziewiątą a dziewiątą trzydzieści.

—To wciąż bardzo napięty program.

Miał rację. To by go mocno ograniczało w czasie. Hayley włączyła silnik.

—Może już miał tego patrolowca.

—A co by z nim zrobił? Postawił go w garażu? Sama wiesz, że to nie taka prosta sprawa, wziąć wóz patrolowy. Musisz odnotować godzinę, Hayley. Gdyby zamierzał zrobić coś nielegalnego, posługując się zabranym przez siebie wozem patrolowym, to wszystko byłoby odnotowane w raporcie.

—Więc może ktoś wyświadczył mu grzeczność i pożyczył mu wóz bez odnotowania wyjazdu.

—Nie zgadzałby się licznik.

—To może ukradł ten wóz.

—Ktoś musiałby złożyć raport o zaginięciu wozu.

—Graham, ja nawet nie wiem, czy to był patrolowiec, ten wóz, do którego weszła. Ale Scott Oliver, wiesz, on jest detektywem i zna się na takich rzeczach, otóż on sądzi, że to mógł być wóz kalifornijskiej drogówki...

—Kalifornijskiej drogówki? — Beaudry stuknął się w czoło. — Dlaczego od razu mi o tym nie powiedziałaś? To nie wiesz, jakie gówna można kupić na miejskich wyprzedażach? Można tam znaleźć stare autobusy, wozy strażackie i auta policyjne. Oczywiście, to nie są wozy aktualnie używane, ale jeśli tylko wiesz, czego szukasz, możesz je podszykować na glanc. Każdy może wbrew prawu robić coś takiego, ale...

—Do czego zmierzasz?

—Tropper kupił zdezaktualizowany wóz kalifornijskiej drogówki jakiś rok temu.

TLR

Rozdział trzydziesty szósty

Decker wyłączył radiotelefon.

—Ma tylko numery prywatnego wozu. Nie rejestrowano na jego nazwisko żadnego pojazdu przypominającego wóz policyjnej drogówki.

—Musiałby mieć na to papiery, gdyby prowadził taki pojazd — stwierdził Oliver.

—Jestem pewien, że ma parę fałszywek. Nietrudno wstawić podrobione tablice.

—A to skurwiel! — Oliver spojrział przez szybę wozu. — Na camry, którym pogonił Cindy, były tablice jednej z wcześniejszych ofiar porwań wozów. Mógł ukraść parę takich tablic z pokoju przesłuchań.

—Pojazdy kalifornijskiej drogówki wykorzystują tablice urzędowe — zauważył Decker. — Musiał je sobie przygotować. Tak czy inaczej, nie potrzebujemy nawet numeru jego prawa jazdy. Bo ile w końcu może być tych pojazdów drogówki? — Odrzucił głowę w tył i zamknął oczy. — Nietrudno taki wóz zlokalizować, o ile go właśnie prowadzi. Ale wiemy, że prędzej czy później ten skurczybyk wpadnie. Musimy tylko wykombinować, jak go złapać.

Oliver nic na to nie odpowiedział, więc i Decker milczał, dźwigając na sobie ciężar przedłużającej się ciszy. Scott udawał, że nie dostrzega łez w jego oczach, skręcał w kolejne wąskie i ciemne uliczki, dopóki nie dotarli pod siedzibę Bedermana, gdzie wóz Hayley stał już przy krawężniku. Marge zjawiała się tu parę minut przed nimi, jej honda stała przy tylnym zderzaku wozu Marx. Oliver dostrzegł w ciemnym świetle ulicy sylwetki czterech osób: Marge i Hayley oraz dwóch mężczyzn, których nie udało mu się rozpoznać. Kiedy wóz zwalniał, Decker otworzył oczy, siadł prosto i zaczął uderzać zwiniętą w pięść prawą ręką w nadstawioną lewą dłoń. Jak tylko Oliver zjechał na bok, wyprostował się i pochylił ku niemu.

— Gotów jestem kogoś zabić. Ktokolwiek by to był, byle teraz. — Ton jego głosu nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do prawdziwości tych intencji. — Muszę szybko kogoś sobie znaleźć!

Wpadli do Bedermana. Choć był chłopem na schwał, skurczył się pod tym badawczym spojrzeniem Deckera.

— Nie dałbym...

Decker złapał go za kołnierz bluzy i szarpnął nim, miał go teraz na jakieś trzy cale.

—Wiesz, gdzie oni są?

—Nie! — Bederman nie stawiał oporu. — Nie, poruczniku, klnę się, że nie wiem! Właśnie się martwię...

—Nie, ty się nie martwisz! — wrzasnął Decker. — Jeszcze mi tego brakowało, żebyś mi się tu martwił, pierdolony kretynie! Czy wiesz, gdzie oni są?

Zimny pot wystąpił Bedermanowi na czoło.

— Nie! Powiedziałbym ci, gdybym sam to wiedział. Po prostu nie wiem!

Decker nic już nie mówił, trzymał go tylko wciąż za ubranie.

— To ma coś wspólnego ze sprawą Craytona, poruczniku. Bederman sporo w niego władował, podobnie jak Tropper. Obaj stracili te pieniądze, ale Tropper znacznie więcej — wtrąciła Hayley swym delikatnym i drżącym głosem.

Puścił Bedermana, odepchnął go od siebie. Wciąż jeszcze krzyczał, choć nieco już ciszej:

— Co stało się z Cindy?

Bedermanowi udało się w końcu wykrztusić parę słów:

—Tropper cały czas był wściekły. Mówił, że trzeba odpłacić tym skurwysynom. Powiedziałem, że jestem mu to winien.

—Bo to ty go namawiałeś do inwestowania w Craytona? — spytał Oliver.

—Nie — odparł Bederman. — Było całkiem na odwrót. To on mi powiedział o inwestowaniu w Craytona. Był skumplowany z Dexterem Bartholomew.

—A skąd Bartholomew o tym wiedział? — zaciekawiała się Marge.

—Trapper go nakrył na rutynowym łamaniu przepisów ruchu — wyjaśnił Bederman. — I Dex mu się odwdzieczył. Od tego się zaczęła ich piękna przyjaźń.

—Czy Trapper sam... ci o tym powiedział? — spytał Decker.

—Wiem to od Lark.

—Rick ją pieprzył — wyjaśnił Beaudry.

—Więc to dlatego byłbyś coś winien Tropperowi, że wspominał ci o inwestowaniu? — dociekał Oliver.

Bederman próbował coś powiedzieć, ale nie mógł.

— W całej tej sprawie stał za nim Trapper — wtrącił Beaudry.

Bederman spojrzał na niego.

—To by się nigdy nie stało, gdybyś to ty stał za mną.

—Odpieprz się ode mnie, Rick! — krzyknął Beaudry.

—Dobra myśl — uznała Marge.

—Co stało się z Cindy?! — krzyczał Decker.

—Nie wiem nic konkretnego, poruczniku — stwierdził Bederman. — Myślę, że Cindy na coś wpadła...

—Na co? — pytał Decker. — Kto zabił Craytona? Czy to Trapper go zamordował?

—Być może. — Bederman umilkł. — Choć nie mógłbym przysiąc.

—A dlaczego Trapper mógł sądzić, że Cindy czegoś się o tym dowiedziała? — wypytywał Decker.

—Bo twoi chłopcy znowu zaczęli grzebać w sprawie Craytona. — Bederman spojrzał na Olivera. — Trapper usłyszał, że byłeś u Belliniego, przepytywałeś Osmondsona o te porwania wozów. Doszedł do wniosku, że chodzi tu o Craytona. Czego mu jeszcze było trzeba?

—To nie miało nic wspólnego z Craytonem — stwierdziła Marge. — Chodziło o te porwania, które zdarzyły się w Devonshire.

—Dobra, ale Tropper myślał, że to chodzi o Cray tona! — upierał się Bederman. — Przynajmniej tak mi mówił. Myślał, że natknęliście się na coś, chciał się tego dowiedzieć od Cindy, bo była córką porucznika...

— Co? — wrzasnął Decker.

— Poruczniku, nie wiem, co on sobie myślał! Chyba całkiem oszalał!

—Więc to Tropper śledził Cindy? — spytała Marge.

Bederman spojrzał w bok.

—Być może...

Decker znów go dorwał. Był spocony, drżał, stracił panowanie nad sobą. Tym razem chwycił Bedermana za jaja, powalił go na ziemię.

—Chyba cię tu zatłukę, skurwysynu!

Bederman zwijał się z bólu.

—Przysięgam, że jej nie...

Decker kopnął go w żebra.

—Zaraz cię tu zatłukę!

Marge położyła szefowi rękę na ramieniu.

— Uspokój się, Peter!

Oliver stanął między Deckerem a wijącym się na ziemi Bedermanem.

— Czy mógłbyś mnie z nim zostawić, Deck? Mam do niego parę pytań.

Decker odszedł, a potem nagle obrócił się na pięcie i wrócił. Podniósł Bedermana z ziemi z równą łatwością, jak się podnosi monetę. Postawił go na nogi i trzymał przed sobą twarzą w twarz.

— Dlaczego... — Odchrząknął, żeby przeczyścić krtań. — Dlaczego ten w dupę jebany skurwysyn porwał ją właśnie dzisiaj?

— Nie wiem! — zdołał wyszeptać Bederman. — Nie zwierzał mi się.

— Miał teraz łzy w oczach. — Prosił mnie tylko, żebym do niej zajrzał...

—Dzisiaj?

—Taa, dzisiaj!

—Dlaczego?

—Żeby ją przepytąć. Miałem się dowiedzieć, czy ona coś wie. Niczego od niej nie wyciągnąłem. Nawet jej specjalnie nie przyciskałem, bo nie

wiedziałem, czy ona w ogóle coś wie. Możecie mi wierzyć albo nie, ale gotów ją byłem przeprosić...

—Wiesz, jestem pewna, że kiedy tam byłeś i gadałeś z nią, Tropper majstrował już na dworze przy jej wozie — wtrąciła się Hayley.

Decker zajął teraz Bedermanowi w oczy, znów stając z nim twarzą w twarz.

—Wiedziałeś o tym, skurwielu?

—Nie, zaklinam się, że nie! — Przetykał z trudem ślinę.
— Jedyne, co zrobiłem dla tego palanta, to... popędziłem kota tej Stacy Mills. Tylko to, i nic więcej...

Decker zwałił go na kolana i znów go przycisnął.

—Przestań natychmiast, Peter! Zabijesz go! — krzyknęła Marge..

—Cholera, to dobra myśl! — wrzasnął Decker. — Czemu chciałeś nastraszyć Stacy Mills?

—Bo Lark mnie prosiła, żeby zamknąć jej gębę!

—Czy to Lark zabiła Craytona?

—Nie wiem!

—Czy Tropper ci groził, że powie twojej żonie o tym romansie z Lark?

—Tak. To dlatego się wybrałem do mieszkania Cindy... żeby ją przycisnąć. Tropper mi kazał. Chciał się dowiedzieć, ile ona wie o Craytonie.

—A czemu twoja żona miałaby uwierzyć Tropperowi, gdyby jej powiedział o tym, co cię łączyło z Lark?

—Tropper miał zdjęcia... konkretnie, nagranie wideo — wyjaśnił Beaudry.

— Och, na miłość boską! — Decker ledwo się powstrzymał, by nie walnąć Bedermana w gębę. — Miał film wideo, jak pierdolisz tę dziwkę?

—Konkretnie, Rick sam to nakręcił... jak był z tą Lark. — Beaudry wzruszył ramionami. — Musiała dać ten film Tropperowi.

—Więc wpierdoliłeś się do mojej córki, żeby ukryć aferę z tymi twoimi brudnymi filmami! Jak ci dam w dziób...

—Poruczniku? — przerwała mu Hayley.

Decker odwrócił się i spojrzał na nią.

— Cindy nie było przez całe popołudnie. Czy wie pan, gdzie ona była?

Decker potrząsnął głową.

—Nie. A ty wiesz?

—Przeglądałam jej notatki, jak u niej byłam. Wybrała się do... to się nazywa Belfleur...

—O mój Boże! Poczekaj no chwilkę, czekaj! — Decker wydobył parę rachunków z kart kredytowych, które wyjął z torebki Cindy. Przeczytał pierwszy, potem już na chłodno sięgnął po następny. — To jest wystawione wczoraj po południu w sklepie z antykami Elaine w Belfleur!

—Tam, gdzie Bartholomew i Crayton obracali działkami ziemi— wyjaśnił Oliver.—Jeśli Tropper ją śledził, mógł myśleć, że udało jej się coś wyniuchać.

—I chyba się jej udało! — uznał Decker. — To dlatego chciała się ze mną zobaczyć! Jak mogła być tak cholernie głupia!

—Nie była głupia — wzięła ją obronę Hayley. — Nie troszczyła się tylko o bezpieczeństwo, bo jest taka młoda!

Decker podniósł Bedermana z ziemi.

—Gadaj teraz, co wiesz, Bederman! Dokąd Tropper mógł ją wywieźć, jak myślisz?

—Chyba nie myślisz, żebym to ukrywał, gdybym wiedział? — wyjęczał Bederman.

Decker był widać innego zdania.

— Myślę, że jesteś pieprzonym łgarzem, więc nie, nie sędzę, żebyś mi powiedział...

—Peter, rozważmy to. Musimy to sobie wszystko przemyśleć. Wiemy, że Craytona porwano i zamordowano. Przypuszczalnie zrobił to Tropper — wtrącił Oliver.

—Nie wiemy, czy Craytona zamordowano na zlecenie — sprostowała Marge.

—Czego nie wiemy, to nie wiemy. Ale to przynajmniej wiemy, że rolls stoczył się z nasypu. Mógł to być wypadek, a mógł ktoś to zaplanować — zgodził się Oliver.

Decker rozluźnił nieco chwyt, ale wciąż trzymał Bedermana za kurtkę.

—Ten camry, który jechał za Cindy w piątek. Wiemy, że zepchnięto go z urwiska celowo. Gdzie wyłamał barierkę Rolls Craytona? Gdzieś na Górze Aniołów, prawda?

—Tak, na to wygląda — odparł Oliver.

—Pamiętam, że Tom coś mówił o dwóch komisjach dochodzeniowych, bo były dwa takie zespoły. Zdaje się, że to było na Górze Aniołów — włączyła się Marge.

— Więc mielibyśmy dwa wozy, które wyłamały barierkę w tym samym miejscu — stwierdził Oliver.

—Czy Tropper jechał za Cindy? — wrzasnął Decker na Bedermana.

—Tego nie wiem...

—Na Boga, nic z ciebie nie wyduszę! — Decker odepchnął go.

—W ten piątek, poruczniku, wyszłyśmy z komendy mniej więcej o tej samej porze — zauważyła Hayley. — Camry też musiał wyjechać o tej samej porze. Stał pod komendą, nie na parkingu policyjnym, ale coś mnie tknęło. Pojechałam za nią. Wiedziałam, że była z panem umówiona, tak. To kawałek drogi. Bałam się, że wóz może jej się zepsuć...

—Czy to był Tropper? — przerwał jej Decker.

—Tego nie wiem — odparła Hayley.

—Więc założmy, że to był Tropper albo któryś z jego pomagierów — powiedział Oliver. — Dwa wozy spadają ze stoku w tym samym miejscu... — Oczy rozszerzyły mu się pod wpływem nagłego odkrycia. — Może Tropper domyślał się, dokąd Cindy wybiera się w piątek... żeby zobaczyć to miejsce, gdzie wypadł z trasy Crayton. Może próbował odwrócić jej uwagę, ponieważ wiedział, co się za tym kryje, i bał się, że ona może coś wyniuchać. A wczoraj Cindy pojechała do Belfleur. To tylko umocniło go w przekonaniu, że musiała wpaść na trop jego brudnych sekretów.

— Do czego ty zmierzasz, Oliver? — warknął Decker.

— Szukajmy wokół miejsca wypadku, Peter. Nie wiemy, gdzie się ten skurwiel podziewa. Trzymajmy się tego, to nie gorszy trop od innych!

Patrząc ze swej ograniczonej perspektywy, Cindy mogłaby przysiąc, iż noc stawała się coraz bardziej mroczna. Tropper umieścił ją twarzą w dół, tak że pole jej widzenia rozciągało się od maty na podłodze po tył jego siedzenia, przy maksymalnym uniesieniu szyi mogła jeszcze zerknąć na wierzch tylnej szyby od strony miejsca trzeciego pasażera. Krzaki i Uście, które przesuwały się przed jej oczami, mówiły tylko o wiejskim pejzażu tej podróży. Była niemal pewna, że to Góra Aniołów. Utwierdzało ją w tym nie tylko listowie, ale również czas, jaki im to zajęło. Ostre, górskie zakręty wyraźnie odbiegały od charakteru zwykłych zakrętów na drodze. Wokół karku wciąż miała przewiązany niczym chustę knebel, z którego sączyły się odrażające chemiczne zapachy. Tym razem ich źródło było już na tyle odległe od jej nosa, że mogła łatwiej oddychać i jaśniej myśleć.

— Sierzancie, chyba poznaję tę okolicę. Czy to nie pan uganiał się tu za mną w piątek? — zapytała.

— Nie osobiście, co to, to nie.

Oczekiwał teraz, że go zapyta, kto ją gonił. Ale Cindy siedziała cicho, trzymając się na wodzy. Minęło tak parę chwil. Wreszcie Tropper odezwał się:

—Wiesz, gdzie jesteśmy?

—Mam parę podejrzeń. Ale nie wiem, czy się nie mylę...

— Nie, mów tak do mnie, Decker! Wciąż jestem twoim zwierzchnikiem.

—Tak jest, szefie, to prawda.

—Chyba nie słyszę pogardy w twoim głosie, Decker?

—Nie, szefie, to tylko strach i nic więcej. Choć muszę coś wyznać. Trochę jestem zdziwiona.

Czekał, aż powie coś więcej. Ale Cindy umilkła.

—No, dalej — zachęcał ją. — Czym jesteś zdziwiona?

—Wiem, że jest pan na mnie zły...

—W cholere tam, zły. Nie wciskaj mi głupot, Decker. Nie lubię tego.

—Sierzancie, naprawdę tego żałuję, że w ubiegłym tygodniu zadzierałam trochę nosa. — To się zdarzyło w tygodniu. Tak, bardzo zadzierała nosa. — I naprawdę chciałabym to naprawić...

—Właśnie to naprawiłaś, szpiegując mnie. — Tropper wybuchnął szyderczym śmiechem. — Tak było, Decker.

Zauważyła, że przeinaczał wszystko, co mówiła. Więc nie zadawała już sobie trudu. Ale nie przestała o tym myśleć. Szpiegowała go? Niby skąd miałyby łączyć jego nazwisko ze sprawą Craytona?

—No dalej, dziewczyno! — Tropper przerwał tok jej myśli. — Może nie mam tak wybrednego wykształcenia jak ty, ale nie jestem zapóźniony w rozwoju. Widziałem, jak się kręcisz wokół tego oślizgłego starego wygi, karmiąc go bajkami na mój temat. Wiem, że zbierał informacje u Osmondsona. Wiem też, że pracuje dla twego ojca, a sprawa Craytona to wrzód na palcu u nogi twego tatusia. Nie taki ze mnie głupek, jak ci się zdaje.

—Wcale nie myślę, że z ciebie głupek...

—Teraz już tak nie myślisz.

Cindy znów się wyciszyła. Usiłowała sobie wyobrazić, jak by się mogła wyrwać z tej opresji. Co zrobi, gdy wysiądą z wozu, a on ją powlecze między drzewa i krzaki, żeby tam ją zastrzelić. Może powinna o tym pomyśleć, jak ma się zachować w obliczu śmierci albo jak stamtąd uciec. Bo może to się rozegra inaczej: wóz stoczy się z urwiska, wyłamując po drodze barierkę, z nią w środku? Albo eksploduje, a ona się upiecze na skwarek? Na samą myśl o tych makabrach doznała ataku panicznego strachu.

Mogłaby przecież stracić panowanie nie tylko nad swoim umysłem, ale także nad swym pęcherzem i kiszkaami. Jakby nie dość już było spoconej twarzy, otarcia naskórka na skroni od postrzału, obolałych, unieruchomionych więzami rąk i nóg, rozdartych warg i ogarniającego ją poczucia nudności, miałyby jeszcze popuścić w majtki?

Pomyślała więc jeszcze raz o Tropperze, próbując jakoś logicznie uporządkować jego najwyraźniej zaburzony tok myślenia. Chciał jej powiedzieć coś o Scotcie. Scott i tatko pracowali razem nad sprawą Crayto-

na. Najwidoczniej Tropper uważał, że nadskakiwała mu, żeby zdobyte w ten sposób informacje przekazać potem ojcu lub Scottowi. Ale jak, u Boga ojca, miałyby wpaść na to, żeby połączyć Tropera z Craytonem?

Oczywiście, myślał, że to ojciec posłał ją do Belfleur. Ale to jego wariackie myślenie zaczęło się na grubo przed tą wyprawą. Sam wspomniał, że to on krył się za owym zdarzeniem z camry. Bez wątpienia też on splądrował jej mieszkanie.

Tylko skąd mu przyszło do głowy, że ona o nim wie? Tylko dlatego, że rozmawiała ze Scottem? To mogło wystarczyć tylko komuś tak paranoidealnemu, jak Tropper.

Chyba że... chyba że to Tropper był owym snajperem sprzed roku. Musiał ją widzieć, kiedy wychodziła z Craytonem z hali sportowej.

— Jesteśmy już prawie na miejscu — powiedział.

„Niby gdzie jest to «prawie»”?

— Dobra.

— Chyba wiesz, dokąd jedziemy, prawda?

— A powinnam się domyślić?

— Tak, powinnas się domyślić, Decker. To miejsce jego ostatecznego spoczynku. Jestem pewien, że przychodzisz tu nieraz nazrywać kwiatki albo coś w tym rodzaju.

Więc to tak ją sobie wyobrażał; nie ma co, dobrze ci idzie, dziewczyno. Tylko niestety, coś rozumieć, to jeszcze nie znaczy: umieć sobie pomóc.

— Nigdy do mnie nie startował, szefie. Wiedziałaam, że pan tak myśli, kiedy pan do nas strzelał, ale już nie wiem, jak mam pana przekonać, że on nigdy nie był niczym więcej niż tylko moim przyjacielem. Nawet nie przyjacielem, sierzancie. Właściwie ledwo moim znajomym. Odnosił się do mnie przyjaźnie, bo chciał ode mnie wyciągnąć pieniądze, jak od każdego, kogo spotkał na swej drodze. Myślę, że był... — Urwała. Nie powinna tak mówić do Tropera, który władował w Craytona swą ciężko zarobioną forszę, że przejrzała tę grę i nie dała się nabrać na nawijkę Armanda. Że Od samego początku myślała, że to oszust. — Nie miałam żadnych pieniędzy, które mogłabym mu powierzyć. No i w końcu przestał być moim przyjacielem. Śmiech Tropera był gromki i szczery.

— Myślisz, że w to uwierzę? Odpalił ci dołę, ani chybi.

— Szefie, chciałabym, żeby tak było. Niestety, wszystko, co mi oferował, to tylko półprawdy i wierutne łgarstwa. Nie wiem, co ta Lark panu naopowiadała. Nie byłam jego kochanką, na miłość boską!

— To nie była Lark.

Cindy aż zamurowało.

— To nie Lark pana wynajęła, żeby pan do nas strzelał?

—Nie.

—Ach... — Skinęła głową. — No dobra.

—Co, dobra? — wykrzyknął Tropper.

— Skoro to nie Lark, to musiał to być Dexter Bartholomew. Co on miał przeciw Craytonowi? Czy Crayton podrywał mu żonę?

— Taa, to prawda, tyle że Bart zadawał się z Lark, więc nie to go bolało. Był wściekły na Craytona, bo ten ukraść pieniądze złożone w depozycie. Pieniądze, które Bart chciał przeznaczyć na rozbudowę i dalsze finansowanie. Chyba o tym wiesz.

— Nie, nic o tym nie wiedziałam — odparła Cindy. — Może nie chciałam aż tyle wiedzieć.

— A co za różnica dla ciebie, Decker? Zginiesz tak czy inaczej. Chłód w jego głosie przeszył jej ciało dreszczem. Zadrzała, ale postanowiła wziąć się w garść. „Nie wolno okazać słabości, to najważniejsze”. Takiego faceta jak Tropper słabość ofiary tylko podnieca.

—Słyszałam, że Bartholomew zarobił na Belfleur po plajcie Craytona. Podobno odkupił parcele z wielkim zyskiem. Jeśli ktoś na tym stracił, to Crayton.

—Idziesz w złym kierunku, młoda damo. To Crayton odkupił te parcele za bezcen.

—Sierzancie, ta ziemia jest własnością Bartholomew — zaprzeczyła Cindy. — Mogłam to stwierdzić z całą pewnością, taki jest stan faktyczny.

—Jest właścicielem, tak — zgodził się Tropper. — Po śmierci Craytona on zagarnął ziemię. Śmierć Craytona rozwiązała wszelkie problemy.

Lark dostała w końcu pieniądze z ubezpieczenia, Bartholomew zagarnął jego ziemię, a ja odzyskałem swoje pieniądze i coś ponadto.

—No, oddałeś mu pewne przysługi...

—Każdemu, co mu się należy. Crayton to tylko gówno. Dostał to, na co zasłużył.

—To Lark kryła się za jego śmiercią?

—Daliśmy jej do wyboru. Mogła nam pomóc albo umrzeć razem z nim. To dla niej prawdziwe szczęście, że mogła z nami współdziałać, szczególnie gdy Bart zagroził, że wyjdą na jaw jej sprawy. Zadawała się z jakimiś dziwnymi gliniarzami.

—Sprawy? To było tego więcej?

—Chyba nie sądzisz, że tylko Bart miał ją w garści.

—A kto jeszcze?

—To ty mi powiedz, panno absolwentko college'u!

—Bederman?

—Bardzo dobrze.

—A jego partner?

—Beaudry to tylko pionek...

—Skoro nie Beaudry, to Sean Amory.

Tropper uśmiechnął się.

— O tak, tu trafiłaś. Bederman kręci teraz z Amorym. Taa, to on ją przycisnął....

—No, a jaka w tym pańska rola? Prawdę mówiąc... — Spróbowała usiąść, ale oczywiście, nie mogła się nawet poruszyć. — Czy nie uzyskał pan w tym samym czasie rozwodu?

Tropper nie odpowiedział.

Cindy po raz pierwszy się uśmiechnęła.

— No, co się stało, szefie? Zrobiła panu pewną propozycję, której nie mogła dotrzymać?

Tropper odwrócił się i walnął ją w szczękę. Przeszył ją taki ból, że ujrzała przed sobą tysiące gwiazd. Ale co tam, do diabła! Jak powiedział Tropper, tak czy owak, była już martwa.

Rozdział trzydziesty siódmy

Nie warto być taką upartą. Każdą cząsteczkę jej ciała rozdzierał straszliwy ból, ogarniało ją też poczucie dojmującego chłodu. Nie chciała jednak jeszcze udawać się w zaświaty, z tego samego powodu, za który obejrwała w gębę: trzymała ją przy życiu jej uparta wola. Tropper na nią wrzeszczał, ale słyszała wszystko jak przez mgłę, w głowie huczał jej jakiś dzwon. Wreszcie przestał się odzywać. Po paru chwilach dzwonienie w uszach ustało, czuła tylko swe obolałe ciało. Kiszki się skręcały, a pęcherz popuszczał, choć pozostały jej jeszcze resztki kontroli nad podstawowymi funkcjami fizjologicznymi.

Napad wściekłości mu minął, znów był spokojny. Cindy milczała, bo nie mogła mówić. To niezwykle, że wciąż mogła słyszeć, i to całkiem nieźle. Od iluś tam minut przedzierali się przez dzikie górskie dróżki, mogła więc analizować straszliwą orkiestrę natury: skowyty, trzepotanie, poświstywanie i od czasu do czasu jakieś przesywające wycie, które wstrząsało dolną częścią jej kręgosłupa. Dochodziło do tego jeszcze mruczenie silnika wozu, stanowiące podkład dźwiękowy. Nawet się już przyzwyczaiła do tego rytmu i była zdumiona, gdy usłyszała jakby odległe mechaniczne dudnienie. Coś, co mogło wskazywać, że w górach jest jeszcze inny wóz.

Ponosiły ją marzenia. Ależ tak, to przecież mogła być Hayley Marx, znów za nią jechała! Uczepiła się radośnie tej nadziei, choćby rozsądek temu przeczył.

Czy zobaczy jeszcze kiedyś jej mustanga?

Może tylko roiła sobie o jakichś wozach, chwytając się tego jak tonący brzytwy. Ale Tropper nagle zaczął się wiercić. Oparcie siedzenia kierowcy, w które wlepiła wzrok podczas całej tej jazdy, poruszyło się rytmicznie, jakby skórzane pokrycie było jakąś żywą istotą.

I wtedy ten odgłos stał się... może nie głośny, ale głośniejszy.

— Cholera! — krzyknął Tropper.

Więc i on to słyszał. „Dobra”, pomyślała, Ktoś jeszcze tam był. Ale co z tego? Czemu Tropper miałby się tym martwić? W czym miałby mu przeszkodzić ten inny wóz, a w czym jej mógłby pomóc? Nie mogła krzyknąć, nie mogła się nawet poruszyć. Jakież tam wozy w okolicy nie powinny jej obchodzić.

Ta myśl była skrajnie przygnębiająca.

Coś jednak zaczęła kojarzyć.

To, że Tropper zawołał: „Cholera!”, znaczyło, że się tym przejął. Więc może ujrzał coś, co mu się nie podobało. Ale co... wóz policyjny?

Znów wstąpiła w nią nadzieja.

Przede wszystkim, czyż nie zadzwoniła do Riny o dziewiątej i nie powiedziała jej, że w ciągu godziny będzie u tatki? A skoro się nie pojawiła, to chyba Rina coś zrobiła?

Ależ oczywiście, że musiała coś zrobić!

Rina zawsze jest taka aktywna! Na pewno zaraz zadzwoniła do tatki! Zadzwoniła na policję! Mogła nawet zacząć jej szukać, wyruszając własnym wozem!

Ach, mój Boże! Wreszcie coś wymyśliła. Przecież naprawdę ktoś może już jej szukać!

Wymamrotała przez spuchnięte usta:

—Szefie, która godzina?

—Stul pysk! — warknął Tropper.

Ano, spróbujmy. Zaczęła sobie obliczać. Wóz stanął na szosie koło dziesiątej trzydzieści. Potem zjawił się Tropper, te straszne pogaduszki, kazał jej wsiąść do swego wozu... przesadziła barierkę i uciekła mu. Musiało to trwać nie mniej niż piętnaście, dwadzieścia minut. W końcu obezwładnił ją, związał i zawlókł do swego wozu. Jeszcze pół godziny. Tak że wyruszyli stamtąd koło jedenastej, jedenastej trzydzieści. Jadą już jakąś godzinę, może nawet dłużej. Musiało być koło pierwszej.

Tak, Rina mogła od razu zareagować. I w końcu ludzie zaczęli jej szukać.

Tylko czemu tutaj?

Jeśli znaleźli jej wóz przy drodze 405 do Valley, czemu mieliby jej szukać właśnie tutaj?

A potem uświadomiła sobie jeszcze jedną rzecz, która dodała jej ducha. Czy nie byli w pobliżu tego miejsca, gdzie camry wyłamał barierkę? Więc może nie byłoby od rzeczy obejrzeć je znowu?

Była pewna, że tak zrobią!

Modliła się o to!

Dźwięki stały się wyraźniejsze. To były silniki wozów, było ich więcej. Cindy poczuła, że na twarzy pojawia się jej coś w rodzaju krzywego uśmiechu. Znając tatkę, mogła się spodziewać nawet Gwardii Narodowej.

—Cholera! — zaklął jeszcze raz Tropper. — Będziemy musieli się trochę pośpieszyć!

„O Boże”, pomyślała. „Mam nadzieję, że ten skurwiel nie zastrzeli mnie tu na miejscu”.

—Sprawy się trochę skomplikowały. — Urwał i powiedział po chwili: — Ale niezbyt wiele.

Wykonał szereg nagłych zakrętów i Cindy zaraz poczuła, jak pojazd buksuje i podskakuje na wybojach. Musiał zjechać na pobocze albo na jakąś nie brukowaną dróżkę.

— Byłaś kiedy na biwaku? — zapytał Tropper.

Wiedziała, że czeka na jej odpowiedź. Słowa zabrzmiały niewyraźnie:

—Taa, byłam.

—Ja cały czas to robię — odparł Tropper. — To znaczy, odkąd mam rodzinę. Zanim jeszcze Crayton, ta pizda jego żonka i wszystkie te kutasy zniszczyły mi życie. — Minęło parę chwil. — Taa, sporo biwakowałem—pochwalił się. — Znam to miejsce jak własną kieszeń.

„Takie cukiereczki dla ciebie”, pomyślała. Nie mieściło się jej to w głowie, więc powstrzymała się od komentarzy. Zresztą, trudno jej było mówić.

— Stąd już nie mamy daleko — odezwał się. — Wiesz, o czym myślę, prawda? — Nie odpowiedziała. — To miejsce! Tam, gdzie corniche wykonał swój fatalny skok... chciałabyś się przyłączyć do swego przyjaciela?

— On nie był moim przyjacielem — wymamrotała Cindy.

Odwrócił się i zerknął w dół. Nawet w ciemności mogła rozróżnić jego wielką, brzydką twarz.

— Co ty tam gadasz? Nie mówisz zbyt wyraźnie. Czy wybiłem ci zęby?

Powiodła zakrwawionym językiem po czubkach swych siekaczy. Nie, tylko były nadszarpnięte, ale chyba też trochę krótsze. Tkwiły jednak na miejscu i to było najważniejsze.

— Oszczędziłoby mi to trochę pracy, gdybym ci je wybił. Muszę roztrzaskać ci twarz. Biegli sądowi będą z tym mieli sporo roboty. Ale nie martw się. Mogę ci obiecać, że pierwsze uderzenie cię załatwi.

Odgłosy motorów stawały się coraz głośniejsze. To jej dodało odwagi.

—Trudno ci będzie mnie zmasakrować, kiedy tak na mnie patrzysz — wymamrotała.

—Tak ci się zdaje?

—Taa... — Usiłowała uspokoić swój oddech. — Tak mi się zdaje.

—Może masz rację — powiedział spokojnie. — Właśnie po to zabrałem z drogi tego pacholka, spójrz. Cholera, mogą nas szukać, ile tylko chcą. Nigdy nas nie znajdą.

„Ach, tak?”, pomyślała. „Na pewno nas znajdą”.

„Błagam, niech nas znajdą!”

Tylko jak? Samotny wóz ukryty wśród tysięcy drzew, jak u licha mieliby ich odnaleźć? Wóz Troppera nie był zbyt głośny, a tkwili już głęboko w gęstej głuszy. Można tak było sądzić po widoku za oknem. Listowie otaczało ich niczym gęsta mgła.

Poczekaj chwilę!

Poczekaj tę cholerną chwilę!

Przecież widziała liście! A to znaczyło, że Tropper wciąż jedzie na światłach! Nikły promyk nadziei, ale uczepiła się go kurczowo. Jechali dalej, wóz podskakiwał, gdy zataczali się po nierównej drodze, gęste krzaki drapały po burtach, jakby ktoś rysował gwoździami po tablicy. Przechodziły ją dreszcze, co ją zdumiało... widocznie zostały jej jeszcze jakieś końcówki nerwowe, które nie przewodziły bólu.

—Jesteśmy już na miejscu! — oznajmił Tropper.

Serce waliło jej w piersi, oddychała szybko, niemal się dławiąc. Przez cały ten czas, niezależnie od rozmiaru odniesionych obrażeń ani tego, jak ciężkie mogło się wydawać jej położenie, ani razu nie pomyślała o śmierci.

A teraz, gdy wóz zaczął zwalniać, śmierć zajrzała jej w oczy!

Więc to tak! Miała tu umrzeć!

W końcu pęcherz nie wytrzymał. Rozlał się strumień gorącej cieczy... to jej ciało powiadało ją, że wciąż jeszcze żyło.

Wóz zwalniał. Toczył się coraz wolniej, wolniej, by wreszcie stanąć. Tropper zgasił silnik i siedział przez chwilę nieruchomo. Kiedy motor zamilkł, słyszała tylko niewyraźne leśne odgłosy i dudnienie dochodzące z odległej szosy.

Więc wszystko stracone.

Usłyszała skrzyp otwieranych drzwi. Z ruchu siedzenia poznała, że wyszedł na zewnątrz. Moment później otworzyły się tylne drzwi. Opierała się o nie tak mocno, że niemal wypadła na zewnątrz.

Pochylił się nad nią, jego ciemne oczy wwierały się w jej oczy, a śmierdzący oddech zabierał jej powietrze.

—Człowieku, ale z ciebie zasraniec!

Jej pęcherz mógł nie wytrzymać, ale czuła w sobie jeszcze dość buntu, a oczy miała suche.

— Mógłbym powiedzieć, przepraszam, Decker — zauważył Tropper — ale jesteś bezczelna, no i dobrze, bo to kres tej drogi. Już tylko sekundy. Zaraz będę z powrotem.

Usłyszała, jak liście skrzypią mu pod stopami. Za chwilę usłyszała trzask otwieranego kufra. Wyjął stamtąd coś, co zmniejszyło obciążenie wozu. A potem wrócił do niej i uniósł ten przedmiot w górę.

To był młot!

Czy to nie ostatni moment, by w przyływie paniki... płakać, błagać i prosić, składać fałszywe obietnice, tak, to już chyba najwyższy czas.

Ale upór i jakieś dziwaczne, chore poczucie godności kazały jej zachować spokój. Nie opierała się więc, czując, jak się rozlewa ta przemożna fala ogarniającego ją spokoju.

On zaś czekał, spodziewał się, że coś zrobi, coś powie. Milczała, więc odezwał się:

— Jesteś moją koleżanką, oficerem... nie chciałbym, żebyś cierpiała.

Wymamrotała jakieś ledwo dosłyszalne: dziękuję, a potem zamknęła oczy i czekała... czekała... czekała.

Otworzyła oczy. Wpatrywał się w nią. Czego on chce? Czego on jeszcze chce?

Uniósł powoli młot... a po jakiejś nieskończonej długiej chwili opuścił narzędzie.

— Nie chciałbym wywierać na ciebie jakiegoś nacisku... ale jeśli to zrobię w tej ciasnej przestrzeni, mógłbym zniszczyć wóz. Nie mówiąc już o twoim dodatkowym cierpieniu. Więc chciałbym to pierwsze uderzenie zadać ci na zewnątrz. — Przystąpił z nogi na nogę. — Jeśli mi obiecasz, że nie będziesz próbowała ucieczki, wyniosę cię z wozu. Podejdziemy do takiego naprawdę pięknego miejsca na skraju góry. Będziesz mogła rozstać się z tym światem, patrząc na piękne, rozgwieżdżone niebo.

Czuła, że drżą jej usta. Zagryzła je.

—Ładnie powiedziane.

—Ale zapowiadam ci, Decker, jeśli będziesz próbowała uciekać, złapię cię. I nieźle cię poharatam.

— Tak jest, panie sierzancie.

Zwlekał jeszcze chwilę.

— Jesteś wyjątkowo spokojna, jak na kogoś, kto ma za chwilę umrzeć.

—Tak naprawdę, to bardzo się denerwuję, szefie.

—Dobra, więc świetnie to ukrywasz. — Sięgnął w kierunku jej nóg i rozwiązał je. Jednym szybkim ruchem nachylił się i uniósł ją w górę, a potem sięgnął ręką do więzów, które kępowały jej ręce na plecach. Ugięły jej się kolana; podtrzymał ją, otaczając rękami. — Zapytam cię o coś, Decker. Nie podmuchałabyś się teraz ze mną, co?

—Ani mi to głowie, szefie.

—Stój prosto!

Wyprostowała się, jak tylko umiała.

— Jestem gotowa, szefie.

—Podoba mi się twój styl, Decker.

—Dzięki za uznanie. Jest pan pewny, że nie ma innego rozwiązania?

—Jestem absolutnie pewny. — Tropper chwycił jej bezwładne ręce, objął ją i popchnął naprzód. — Przejdziemy się trochę, póki nie znajdziemy dobrego miejsca.

Jego chwyt nie był zbyt silny. Pomyślała przez moment o ucieczce. Ale na jaką szybkość mogło sobie pozwolić jej obolałe ciało? Złapie ją od razu i jeszcze bardziej go to rozwścieczy. A naprawdę nie chciała, by ją znów ranił i masakrował.

Musiała się posuwać bardzo wolno, bo popychał ją naprzód. Brutalne, zdecydowane popchnięcia. Wyszły krzaki i gałązki smagały ich po nogach. Odgłosy były tak dziwne, że dopiero po paru sekundach dotarło to do nich... wyraźne pach, pach, pach odległych wirników helikoptera. Nie trzeba było żadnej znajomości fizyki ani efektu Dopplera, by się zorientować, iż dźwięki te zbliżają się do nich, a nie oddalają.

Spojrzeli równocześnie w górę. Trzy lub cztery maszyny kierowały się wprost na nich.

Co mogło je tu naprowadzić?

„Reflektory!”, przypomniała sobie Cindy. Tropper jechał na światłach, a potem, gdy już stanął, nie zadał sobie trudu, by je wyłączyć. Widziała je z oddali, świeciły niczym promienie nadziei Mojżesza.

—Cholera! — zaklął głośno Tropper.

Traf zrządził, że się potknął, a Cindy wykorzystała sposobność. Skoczyła szybko do przodu. Rzucił się za nią i dopadł w paru długich susach. Złapał ją, chwycił za ręce, ale stracił równowagę, próbował oprzeć się na niej, potknął się i upadł. Poderwał się szybko na nogi, uniósł młot i zaraz go opuścił. Uchyliła się, unikając uderzenia dosłownie o cal. Od zamachu ciężkim narzędziem Tropper poleciał do przodu, co dało jej czas, by ponownie zerwać się na nogi i próbować ucieczki. Znów ją złapał, szarpiąc do tyłu za kołnierz bluzy i niemal ją dławiąc. Tymczasem zbliżyły się do

nich helikoptery, omiatały ziemię snopami światła i rozrywały ciemności niczym na planie nocnych zdjęć.

Pozwoliła sobie na wątły uśmiech, patrząc, jak Tropper gapi się na nią i obrzuca stekiem wyzwisk. Gdyby sierżant miał choć trochę oleju w głowie, puściłby ją i ratował własną skórę, rzucając się w stronę wozu. Tymczasem on zacieśnił jeszcze swój chwyt i owszem, pobiegł do wozu, ale razem z nią. Nie miała dość siły, by mu się opierać, i bojąc się, że ją zamroczy uderzeniem, gdyby mu się oparła, dała mu się powlec; miała przy tym nadzieję, że jej ciężar na tyle opóźni ten bieg, iż w końcu ją porzuci.

Ale nie rzucił jej. Przeklinał ją tylko i kopał po bezwładnych nogach.

— No dalej! Dalej! Dalej! — Widząc, że jego krzyki nie odnoszą żadnego skutku, otoczył ją ramieniem wokół pasa, ścisnął i pociągnął za sobą, nie dbając o to, że nogi wlokły się jej po ziemi. Poczowała, jak drze się na niej ubranie, całe łydki miała już podrapane i czerwone. Zwolniło to jednak wydatnie ich posuwanie się, miała nadzieję, że jednostki powietrzne zdążą tymczasem wylądować i przycupną gdzieś na gruncie jak pryszcz na dupie.

Ujrzała teraz opadające helikoptery, poczuła podmuch obracających się łopat wirników i gorąco ich szperaczy. Gdyby zmrużyła oczy, żeby uniknąć oślepienia, mogłaby dostrzec strzelców na stanowiskach z bronią gotową do strzału. Łoskot był tak potężny, że zagłuszał ryk nadciągających syren. Niemalże... choć nie całkiem.

Po chwili słyszała już komendy z głośnika: „Jesteście otoczeni, puście ją i dajcie tutaj albo zostanieie zastrzeleni”, coś w tym rodzaju. A może tak mówili we wszystkich tych filmach, jakie oglądała. Nie była zdolna tego zrozumieć, nie tylko dlatego, że paraliżował ją strach, który spowalniał jej procesy myślowe, same te komendy były zbyt szybkie i gwałtowne.

Tropper całkiem to olewał. Szczęśliwie dotarli do wozu, szarpnął otwarte drzwi od strony kierowcy, najpierw ją wciągnął do środka, a potem sam wślizgnął się za kierownicę. Błyskawicznie uruchomił silnik i wóz skoczył z dużą prędkością przez las.

Światła szperaczy z helikoptera wciąż ich poszukiwały, prześlizgując się po zarośniętym labiryncie leśnego poszycia, a czasem strzelając w niebo niczym kometa. Jak na ironię, taka iluminacja jedynie ułatwiała Tropperowi orientację w ciemności. Wcisnął gaz i wóz pomknął naprzód. Cindy wrzeszczała, gdy wóz wpadał w poślizg, ledwo mógł się utrzymać na grząskiej terenowej drodze, która nadawała się raczej na piesze wycieczki. W tylnym lusterku widziała niebieskie i czerwone stroboskopowe błyski świateł wozów patrolowych, światła alarmowe obracały się nieustannie dookoła. Ale wozy pościgowe pozostawały parę długości za nimi.

Tropper zwiększył jeszcze szybkość, drzewa tylko śmigały po bokach. Jeden fałszywy ruch i rozbiją się tak, że trudno ich będzie rozpoznać.

— O mój Boże! — wrzeszczała Cindy z przerażenia, nad niczym już nie była w stanie panować. — O mój Boże, o mój Boże...

— Zamknij się! — rzucił Tropper.

Nie spuszczała oczu z tablicy rozdzielczej ich wozu. Igła szybkościomierza wspinała się nieustannie: czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt mil. Tropper miał zapięty pas bezpieczeństwa (zabawne, jak pewne nawyki utralają się w mózgu), ale nie ograniczało to jego ruchów, ona zaś podskakiwała jak worek kartofli. Ręce miała związane, co pogarszało sprawę. Gdyby się rozbili, on będzie miał jeszcze przed sobą poduszkę powietrzną i pas bezpieczeństwa, a ona potoczy się przez przednią szybę, pokroi sobie twarz jak siekany befsztyk i nawet nie będzie mogła osłonić się rękami. Wóz zamienił się w rakietę, szybującą przez zarośla, zarzucającą tam, gdzie koła trafiały na odłamki skał, kamienie i wystające korzenie drzew. Jedna, jej część kazała jej zamknąć oczy; druga nakazywała mieć się na baczności.

— Pozabijasz nas! — wrzeszczała. — Poddaj się!

Wrzasnęła jeszcze raz, gdy przednie koło trafiło w leżącą kłodę i poleciała do przodu. Wóz grzmotnął tylko w ziemię ijechał dalej.

— O mój Boże! — krzyczała. — O mój Boże, o mój Boże...

— Zamknij się!

— Sam się zamknij!

— To ty się zamknij! — Tropper gwałtownie skręcił w prawo, a potem w lewo i zaraz wskoczył w nurt głównej górskiej drogi: wąskiej, dwupasmowej szosy, ale jednak brukowanej. Karawan policyjnych wozów cały czas trzymał się za nimi. Z góry śledziły ich jednostki powietrzne.

Oczy Cindy przylgnęły znowu do wskazówki szybkościomierza. Przekroczyła sześćdziesiątkę, to już była prędkość jak na torze wyścigowym. Wozy patrolowe zostawały stopniowo z tyłu, zmniejszały swą szybkość, gdy Tropper ją zwiększał. Ale jednostki powietrzne nad nimi trzymały ich wciąż w krzyżujących się snopach światła reflektorów.

Przy każdym kolejnym skręcie tej drogi Cindy czuła ostre skurcze żołądka. Żółć domagała się ujścia, zbierała się w gardle. Pot zalewał jej lepkie brwi. Jeśli przedtem się bała, widząc przed sobą Troppera z młotem, to teraz była wprost sparaliżowana strachem. Gdyby mu się udało, oznaczało to dla niej śmierć.

Żołądek nie wytrzymał i zwymiotowała.

Tropper skrzywił nos z obrzydzeniem. Żeby dać temu wyraz, wcisnął pedał gazu aż do dechy.

Weszli w nagły zwrot o 180 stopni.

Wypadli z drogi dosłownie o ułamek cala.

Wrzeszczała, gdy wóz przewalał się przez barierkę.

W jej ciało wciskały się teraz miliony igiełek bólu.

Wzbijali się w usiane gwiazdami niebo.

Gdyby nie ten straszny ból, byłoby to nawet piękne.

Ostatnią rzeczą, jaką usłyszała, był głuchy odgłos eksplozji.

Ostatnią rzeczą, jaką ujrzała, było jaskrawe, oślepiające światło.

Ostatnią rzeczą, jaką poczuła, była ogarniająca ją nagła fala gorąca.

Już po wszystkim.

Było ciemno... zimno... i cicho.

Rozdział trzydziesty ósmy

Mama nareszcie miała się na kim wyładować; tym razem jej kozłem ofiarnym był doktor Heinz, pierwszy z lekarzy Izby Przyjęć, który opiekował się Cindy od samego początku, gdy tylko ją tu przynieśli. Nie, żeby to Cindy go pamiętała, jak zresztą którąkolwiek z tych okropnych rzeczy, jakie zdarzyły się jej tej nocy, mimo iż opowiadano jej, że rozmawiała z asystentami pogotowia, którzy odwozili ją do Izby Przyjęć.

— Jeśli jeszcze raz ktoś ją nazwie szczęściarą, uduszę go własnoręcznie! — Mama dotarła do punktu zwrotnego, a potem leciała dalej. — Gdyby wygrała na loterii, byłaby szczęściarą! Gdyby rozbiła automaty do gry w Las Vegas, byłaby szczęściarą! A co to za szczęście, jeśli się było tropioną, porwaną, bitą, jeśli się spadło w przepaść, z Bóg wie ilu stóp! Powiedziałabym nawet, że nie jest to definicja szczęścia w żadnej na świecie kulturze, łącznie z tymi szczepami, które okaleczają się w imię piękności!

Wzrok doktora przenosił się od mamy do Alana, który pełnił rolę jej obdarzonego anielską cierpliwością męża, i znów wracał do mamy. Przyjmował te wybuchy z pobłażliwym uśmiechem. Cindy rozumiała powody złości swej matki, nawet je podzielała, choć zachowywała w tym znacznie większy umiar. Od wylewności oratorskiej mamy aż huczało jej w głowie, to było naprawdę trudne do zniesienia. Dochodziło do niej to wszystko przez warstwę bandażu, spowijających jej czaszkę i ledwo odsłaniających uszy. Bandaże pokrywały niemal całą resztę jej ciała, unieruchamiały jej klatkę piersiową, każdy oddech sprawiał jej ból. No, ale na połamane żebra nie wymyślono jeszcze niczego lepszego.

Oczy miała zamknięte. Ponieważ się nie ruszała, wyglądało na to, że śpi; było to jej nawet na rękę. Bo kiedy spała, nikt jej nie brzęczał nad uchem i ból nie był tak dokuczliwy. Trudno było jednak usnąć, gdy mama tak się darła. Leżała więc nieruchomo z tą zabandażowaną niczym kaptur twarzą, ogarniając zamkniętymi oczami przestrzeń między matką a lekarzem.

Mamie trudno było na nią patrzeć. Równie trudno byłoby Cindy patrzeć na matkę z oczami skapanymi we łzach, wciąż gotowymi, by tryśnąć na nowo. Chciałyby jej powiedzieć, by dała spokój, ale nie mogła, bez względu na to, jaki ból kasał jej poobijane ciało. Po wszystkich tych latach mama święcie sobie zasłużyła, by patrzeć zbolałym i przestraszonym wzrokiem na swą jedyną córkę (toż to prawie dziecko), która spadła w trzydziestometrową przepaść. Mogłoby się skończyć gorzej, gdyby nie to, że szczęśliwym trafem Cindy wylądowała na drzewie. Miękkie liście to nie to samo, co ubita ziemia, a czasa drzewna uratowała ją przed upadkiem jeszcze o dalsze trzydzieści kroków.

— Musi mi pani wybaczyć — powiedział doktor. — My lekarze mamy skłonność do ujmowania rzeczy z medycznego punktu widzenia. Powiedziałem, że ma szczęście, bo złamane żebra goją się bardzo szybko. Obojczyki były tylko pęknięte. A proste złamanie kości promieniowej prawego ramienia to bagatelka. Reszta jej kości długich jest w jakiś cudowny sposób nietknięta.

Mama przyjrzała mu się stalowym wzrokiem.

—Doktorze Heinz! — Ujęła to jasno i dobitnie: — Moja córka nie jest jakimś okazem! To osoba! To... niech pan tylko na nią spojrzy!

—Rozumiem, proszę pani...

—Nie, pan tego nie rozumie! — zaprzeczyła mama. Znów spojrzała na córkę, tym razem okropnie mokrymi oczami. Łzy trysnęły obficie. — Niczego pan nie rozumie! — Zaszlochała. — Jestem wdzięczna, że ona jest... ale to nie ma nic wspólnego ze szczęściem!

Wyszła akurat w tym samym momencie, gdy tata zdecydował się wkroczyć do szpitalnego pokoju. Mama rzuciła mu owo kamienne spojrzenie, tak szybko pojawiające się w jej oczach; na scenie starczyłoby to z powodzeniem za ostatnią kwestię sztuki.

Wstała od łóżka Cindy, pomaszerowała ku drzwiom, coś tam jeszcze mówiła po drodze do kawiarni, popijając lurę tak straszną, że trudno to było sobie nawet wyobrazić.

Alan ruszył szybko za nią. Powiedział na pożegnanie:

—Trochę jest rozstrojona.

—Zupełnie jest rozstrojona — sprostował doktor Heinz.

—Tak, to prawda. — Spojrzał na Cindy, potem na Deckera i powtórzył: — Tak, to prawda.

Kiedy już sobie poszli, Decker odezwał się:

—Czy przeszkodziłem w jakimś zabiegu?

—Sprawdzałem tylko jej kartę — wyjaśnił doktor Heinz. — Wyniki ostatnich badań. Nie najgorzej to wygląda, poruczniku. Jej siły vitalne są niezmożone.

Cindy uniosła rękę o cal i pokręciła w powietrzu wskazującym palcem.

Lekarz stłumił chichot.

—Jeśli mam wyrazić swój pogląd, poruczniku — uśmiechnął się — czupurność to dobry znak. Wskazuje na powrót do zdrowia. Wszystko będzie dobrze, obiecuję panu.

Z zamkniętymi wciąż oczami, Cindy powiedziała niewyraźnie i cicho:

—Dziękuję. — Jakimś cudem udało się jej wyartykułować to słowo.

—No, to przywitajcie się! Wrócę później.

Decker zmusił się do uśmiechu, wstał i uściśnął doktorowi dłoń.

—Dziękuję za wszystko.

—Cieszę się, że mogłem pomóc. — Heinz potrząsnął rękę Deckera. Umieścił kartę Cindy w klamrze na drzwiach pokoju i wyszedł. Decker został sam na sam z córką. Ogarnął go paniczny strach. Po raz pierwszy, odkąd tu wszedł, odzyskała już całkiem świadomość... i nie tylko była świadoma, stać ją jeszcze było na te wyzywające gesty... a Decker nie wiedział, co ma jej powiedzieć. Pozazdrościł byłej żonie jej złości i umiejętności ekspresji swych uczuć. Rozejrzał się po pokoju, jakby chciał tam znaleźć wskazówkę, jak ma się zachować. Ale wszędzie były tam jakieś roboty, urządzenia wydające różne piski oraz kwiaty i baloniki przyczepione do pluszowych miśków i innych milutkich zwierzątek.

Cindy zobaczyła, jak się na nie gapi.

— Dostałam to od Hannah.

Decker odwrócił się i spojrzał na córkę.

— Co, kochanie?

Westchnęła. Umysł działał sprawnie, z mową było gorzej.

— Pluszowe niedźwiadki... pluszowe niedź... wiadki.

Decker zmrużył oczy, zmieszany.

Wskazała na tę wystawę.

— Chcesz powąchać kwiatki, kochanie?

Cindy potrząsnęła głową, zamknęła oczy i zamilkła.

Deckera ogarnęło takie poczucie rozgoryczenia i żalu, że cały aż zeszywniał. Nie może się już porozumieć nawet z własną córką! Miał ochotę krzyczeć. Chciałby coś roztrzaskać. Mieć tak pod ręką młot i zrównać to wszystko z ziemią! Tymczasem siedzi tu jak odrętwiały, usiłując rozpaczliwie wyobrazić sobie, co miałyby za chwilę zrobić.

Cindy dotknęła jego ręki.

„Bogu dzięki!”, pomyślał. Coś jednak może zrobić. Ujął jej rękę, pogłaskał, ucałował. Była cała poszatkowana mnóstwem drzazg i zadrapań. Twarz musiała być w podobnym stanie. Niektóre z tych zadrapań były pokryte strupkami, inne jeszcze Czerwone i świeże. Mimo iż to wszystko pokrywały kremy i maści, doktor zdecydował, że najlepiej będzie pozostawić twarz bez opatrunku. Na pierwszy rzut oka wyglądało to może okropnie, ale za to szybciej się goiło.

Poza tymi dziecinnymi zadrapaniami było jednak parę głębokich cięć i postrzępionych ran. Jedna z nich, na grzbiecie jej ręki, biegła zygzakowato pocerowanym ściegiem, jeszcze różowym i obrzmiałym, ale wyciek z tej rany stopniowo się zmniejszał.

Cindy czuła się jednak szczęśliwa mimo protestów Jan. To, że wyleciała przez przednią szybę, oznaczało, że nie było jej w samochodzie, który eksplodował tam na dole. Miała naprawdę niezwykle szczęście, że wpadła w koronę wielkiej, rozłożystej sykomory, która spowolniła jej upadek tysiącem pokrytych świeżymi listkami gałązek; w końcu zatrzymała się w rozwidleniu jej konarów niczym w kołysce. Stracili sporo czasu, żeby ją znaleźć; zanim do niej dotarli, przeżyła prawdziwe piekło. Była ponadziewana setkami mikroskopijnych odprysków szkła, pkrajana większymi, śmiercionośnymi kawałkami skorupy, krew sączyła się z całej powierzchni skóry. Znajdowała się na krawędzi wstrząsu fizjologicznego.

Ale, dzięki Bogu, przeżyła i odzyskała świadomość. Więcej, kiedy jeszcze tam tkwiła w listowiu, trzęsąc się i dygocząc, jęcząc i zawodząc, jakby była w agonii, mogła poruszyć każdym palcem obu rąk, a także palcami stóp. I już po trzech dniach pobytu na oddziale intensywnej terapii trafiła do normalnego szpitalnego łóżka.

Cudowne, ozdrowieńcze siły młodości!

Zagadał do niej, jak niegdyś:

— Piękne kwiatki, księżniczko. Całe mnóstwo. Musisz tu chyba mieć wielu oddanych wielbicieli.

„Dużo więcej natrętów”, pomyślała Cindy. Odwzajemniła koniuszkami palców delikatną pieszczotę swego ojca.

—Podobają mi się zwłaszcza te żółte róże.

Próbowała przytaknąć. Były od Scotta. Wiele glin z Hollywood czuło się w obowiązku złożyć jej wizytę, ale Scott naprawdę bardzo się tym przejął. Była mu wdzięczna za jego troskliwą opiekę, za te wszystkie słowa zachęty. Wiedziała, jak ważną rolę odegrał w akcji ratunkowej. Ale kiedy wyszedł z pokoju, było tak, jakby się nigdy wcześniej nie znali. Rzadko o nim myślała, zdawała sobie sprawę, że te najgłębsze uczucia ma już poza sobą, jeśli w ogóle były. (Czy on też odczuwał podobnie?) Cokolwiek ich łączyło, z całą pewnością nie był to romans stulecia. Może trochę smutku... tak teraz o tym myślała.

Smutek to w końcu nie tragedia.

Tragedią okazała się dla Armanda Craytona ruina finansowa i w końcu śmierć, wszystko to starannie zaplanowane przez Bartholomea, a wykonane przez Troppera, a to z powodu ujawnienia się flirtu, jaki łączył Craytona z żoną Dextera. Tragedią było też to, co niesprawiedliwie cierpiała z ręki Troppera. Nie były żadną tragedią krótkie, jakkolwiek radosne igraszki miłosne z przystojnym facetem, którego samopoczucie określała liczba młodych dziewcząt, jakie zdołał złowić.

Zamknęła oczy. Wiedziała, że coś jeszcze była winna Oliverowi, w końcu tkwiło w tym coś szczerego, tylko że teraz wydawało się to wszystko zbyt odległe, by dokonać sprawiedliwej oceny. Wiedziała, że złość nie jest najlepszym doradcą. A kiedy się nagromadzi i zalega w ob-

nażonych żyłach, potrafi skutecznie zatruć każdy kontakt społeczny. A ona właśnie się wydobyła z piekła depresji !

Pojawiła się pielęgniarka w białym czepku, rozplynęła się cała w uśmiechach, gdy ujrzała Deckera, ściskającego rękę swej córki.

— Jakież to słodkie! — zagruchała. — Ale z niej szczęściara!

Dobrze, że Cindy nie mogła mówić. Nie ufała swym ustom, że zdołają przekazać to, co sobie teraz pomyślała.

Pielęgniarka z naszywką informującą, że nazywa się M. Villa, powiedziała, że już pora na zabieg uśmierzający ból.

Decker ucałował jej dłoń.

— No dobra, to ci pomoże, prawda, złotko?

Tatce też się zdarzało mówić coś od rzeczy. Uścisnęła jego dłoń, żeby pokazać, jak bardzo go kocha.

Pielęgniarka zaczęła wprowadzać jakiś płyn do jej żyły. Poczowała falę napływającego gorąca, trochę ją to oszołomiło. Zaraz potem wpadła do pokoju Rina ze stertą kolorowych magazynów w rękach. Usiadła bezceremonialnie przy łóżku Cindy.

— Masz tu całe mnóstwo magazynów ogrodowych, oni dają masę zdjęć. Myślę, że jesteś jeszcze zbyt wyczerpana, żeby oglądać telewizję i czytać. — Obrzuciła uważnym spojrzeniem twarz Cindy. — Przyglądam ci się. To już tylko strupki.

— Czy to fatalnie wygląda? — wymamrotała Cindy.

— Co? — spytał Decker.

— Pytała tylko, czy to fatalnie wygląda — wyjaśniła mu Rina. — No więc tak, skaleczenia twarzy nie są zbyt głębokie. Za parę tygodni nie będzie nawet śladu. A zanim to nastąpi, możesz to pokryć makijażem. Wiem, że używasz makijażu. Więc po prostu stosuj to dalej. Trudno mi było nieraz dostrzec twoje piegi. — Cindy skinęła głową. — Twarz będzie w porządku. Tylko nie patrz teraz w lustro. To wygląda tak, jakbyś trochę przybrała na wadze po urodzeniu dziecka. Hannah przyniosła ci parę obrazków. Czy chcesz, żebym ci je przykleiła na ścianie?

Cindy skinęła głową na tak.

— Oddaj jej te pluszowe misie.

—Jakie znów pluszowe misie? — Rina rozejrzała się po pokoju. — Ach, te przystrojone kwiatkami. Później. Na razie niech tu zostaną. Kiedy Hannah przyjdzie cię odwiedzić, to jeszcze się nimi pobawi. Gdzie jest twoja matka?

—Jan jest w kawiarni, pije tę nędzną lurę — wyjaśnił Decker. — Cemu pytasz?

—Nie, żebym miała coś przeciw niej, ale chyba jestem ostatnią osobą, którą ona by tu chciała spotkać. A mnie chodzi głównie o to, żeby Cindy miała tu spokój. Co, zdaje się, jest dość trudne, gdy każdy tu wchodzi i wychodzi, wtykając swoje trzy grosze.

— Spojrzała jeszcze raz na Cindy. — Nie mogę wprost uwierzyć, jak szybko się to na tobie goi. Niemal w oczach, z godziny na godzinę. Chłopcy chcieli tu przyjść dziś wieczór. Powiedziałam im, żeby się jeszcze wstrzymali parę dni.

Cindy skinęła głową. Leki przeciwbólowe trochę ją przymułały, a zarazem euforyzowały — zwykłe igraszki demerolu.

— Z Hannah to osobna sprawa — kontynuowała Rina. — Dzieciaki nie są przeczulone. — Zwróciła się teraz do Deckera:

— Pamiętasz, jak moja matka dostała półpaśca na oku trzy lata temu? Całą lewą stronę twarzy miała spuchniętą, obrzmiałą i czerwoną. Tworzyło to bardzo dziwny kontrast z jej normalną i nietkniętą prawą stroną. Hannah chciała ją ucałować, pocałowała ją więc w tę zdrową stronę, a potem powiedziała: „Oman, poczytaj mi książeczkę!” Tu jej uprzejmość się skończyła, chciała już tylko, żeby jej poczytać. Nawet nie zapytała, jak się babcia czuje ani co się stało z jej twarzą. — Rina wybuchnęła śmiechem. — Jeśli chcesz się z nią zobaczyć, przyślę ci ją tu za parę minut. Czeka i już się nudzi.

—Poproś ją — zgodziła się Cindy.

— Dobrze. — Rina wstała. — To ja już idę. — Pocałowała Cindy w czoło. — Zobaczymy się później. Prześpij się trochę.

Cindy skinęła głową.

—Jestem już zmęczona.

Decker też się podniósł.

—Odprowadzę cię do windy. — Poczekał, aż oddała się jakieś piętnaście metrów. A potem spytał cicho żonę: — Jak ty, u licha, potrafisz się z nią porozumieć?

—Nabiera się tego doświadczenia, kiedy się wychowuje dzieci — odparła zgodnie z prawdą Rina. — I nie dotyczy to tylko małych dzieci. Te łatwo jest zrozumieć. Od razu krzyczą i wrzeszczą, wskazując, o co im chodzi. Ale te nastolatki! Mruczają coś tylko pod nosem i wychodzi na to, że jestem kompletnie głucha, bo nie mogę zrozumieć ani słowa z tego, co mówią. — Uśmiechnęła się. — Wiem, co mówię. To graniczy z cudem, jak dobrze ona wygląda. Usta są nietknięte, a nos wygląda teraz nawet lepiej niż przedtem.

—Zawsze chciała mieć taką pracę, gdzie trzeba zdać się na nos.

—No dobra, to właśnie taką ma. Mam nadzieję, że doktor zbytnio jej nie zmniejszy. Cindy miała taki patrycjuszowski nos... bardzo wyniosły w porównaniu do tych wszystkich kali-fornijskich guziczków... Nadawał jej pewną klasę.

Decker westchnął.

—Nie wiem, jak ty to robisz.

—Co jak robię?

—No, to, że jesteś zawsze taka optymistyczna, bez jakiejkolwiek sztuczności. Jesteś taka pewna siebie. Kiedy mówiłaś jej, jak szybko dochodzi do siebie, odniosłem wrażenie, że Cindy wierzy w każde twoje słowo. A kiedy ja jestem przy niej, czuję się jak nieokrzesany prostak. Nie wiem, co mam powiedzieć ani co zrobić! Przecież jestem jej ojcem, na miłość boską!

Dotarli do windy. Rina wcisnęła guzik.

—Nie mogę się porozumieć ze swoją własną córką! Czy coś jest ze mną nie tak?

—Przeciwnie, Peter. Ty jesteś jej ojcem, a ja tylko macochą. Kocham Cindy, ale ponieważ to nie ja ją wychowywałam, stać mnie na zachowanie pewnej obiektywności. Gdyby to była Hannah, *chavachalelah*, no to byłabym zupełnie do niczego.

Brzęknęła winda. Zwróciła twarz do męża i wyciągnęła ku niemu ramiona. Objęli się, a potem zatonęli w głębokim uścisku. Decker przyciągnął Rinę mocno do siebie. Poczła pod swym beretem jego palce, które zanurzyły się w kosmyki jej włosów. Słyszała jego głęboki, szybki oddech, czuła na sobie falowanie jego piersi. Stali tak jakiś czas, winda pojechała i wróciła. Gdy w końcu na niego spojrzała, oczy miał jeszcze mokre i czerwone, ale policzki już mu wyschły.

Wykrztusił z siebie:

—Myślę, że jeszcze nie nadszedł jej czas.

—Nie, jeszcze nie nadszedł — zgodziła się Rina. — Bóg ma w stosunku do niej wiele zamierzeń. Tyle to wiem. Ale nie jestem pewna... jakie one są. Czyż nie takie jest nasze życie, Peter? To, czy będzie ono lepsze czy gorsze, musi pozostać tajemnicą!

TLR

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Nie chciała tu przyjść, nie chciała tu być. Ale Marx uznała, że trzymiesięczna przerwa to dostatecznie długo. No i teraz, kiedy ma już za sobą swój staż nowicjuszki, musi spojrzeć diabłu w twarz i dosiąść znów konika, ple, ple, ple. Cindy nie chciała się dłużej spierać, bo Marx najwidoczniej cieszyła rola mentorki. Wiedziała, co zawdzięcza Hayley, więc musiała się podporządkować jej okropnemu rytuałowi. A teraz, kiedy już była u Belliniego, udawała, że nie dostrzega kamiennego milczenia i wrogich spojrzeń jej kolegów, gdy przechodziły z Hayley przez bar, żeby znaleźć jakiś wolny stolik.

W pracy nie było za dobrze: powarkiwania, chichoty na stronie, lekceważące uśmiešky. Ale Cindy wróciła i nie dostrzegała tego wszystkiego, skupiając się na swej pracy. To, co miała do zrobienia, starała się zrobić dobrze. Odkąd wróciła, Graham zachowywał się przyzwoicie... nawet jeśli nie był przesadnie czuły; nie oczekiwała, że będzie dla niej kimś w rodzaju terapeuty, wystarczyło jej w zupełności to, że się rozumieli.

Przyszła tu po całym dniu; na ulicy kryła się za codzienną rutyną swej służby. A u Belliniego nie było już żadnych odznak, barier ochronnych ani kolczastego drutu. Tu nie mogła się zasłonić papierkową robotą, telefonami czy komputerami. Tu wszystko było na widoku. Wpatrywała się w swoje piwo, ale miała już hopla na punkcie własnego bezpieczeństwa, oglądała się ciągle za siebie albo patrzyła w lustro, kontrolując, kto wchodzi, a kto wychodzi.

Gdyby pracowała w jakimś innym fachu, mogłaby długo czekać, uginając się pod ciężarem najrozmaitszych oświadczeń i telefonów od swoich adwokatów. A tu, przez wzgląd na jej ojca, Marge Dunn, Scotta Olivera, Hayley i Grahama, i wszystkich innych wypróbowanych przyjaciół, jakoś sobie z tym radziła, dzień po dniu, dziwiąc się, ile jeszcze można znieść. Hayley coś nawijała.

—No więc facet zaczyna czymś machać, nie wiemy, co to jest, ale wiadomo, że to nie może być broń ani nic twardego, bo tak jakoś luźno

zwisa. Ray i Raul też tam byli... Raul podchodzi do niego, Decker, słuchasz?

Cindy pociągnęła łyk piwa.

—Raul podchodzi...

—Ciebie to nie interesuje...

—Oczywiście, że mnie interesuje. Więc czym on tam macha? Hayley wybuchnęła śmiechem.

—Czekaj, czekaj, zaraz to będzie.

Cindy zerknęła w okoliczne lustra. Ludzie gapili się na nią, ale nikt nie podchodził. Dobrze.

—Wal dalej.

— Tylko słuchajcie. — Hayley znów zachichotała. — Więc Raul podchodzi do niego z rewolwerem przy boku, mówi, żeby podejrzany rzucił to, czym tam macha. No więc ten podejrzany, taki sam pierdoła, jak większość tych podejrzanych, rzuca to na niego, to mu się przykleja do twarzy...

—Boże, to okropne...

Hayley doszła wreszcie do końca.

—Okazuje się, że to był kondom.

—O mój Boże!

—Dopiero co zużyty kondom!

—Cóż za obrzydlistwo!

—Kretyn miał szczęście, że Raul go nie ubił na miejscu!

—Byłoby to całkiem usprawiedliwione — zgodziła się Cindy.

— A jak! Decker, co się tak rozglądasz? Przestań się wiercić. Nikt na ciebie nie zwraca uwagi.

—Ty na mnie zwracasz uwagę — odezwała się Cindy z żalonym uśmiechem. — Tylko ty jedna.

—A odczep ty się ode mnie z tym swoim mazgaj stwem!

Cindy uniosła szklanę.

—W takim razie, za mój powrót na ziemię, jak zwykle!

— Właśnie przyszedł Graham — powiedziała Hayley. Spojrzała w jego kierunku i uśmiechnęła się. — No, jak tam?

—Nie najgorzej, Marx. — Przysunął sobie krzesło i usiadł. — Zamówić ci piwo? — zaoferowała się Cindy.

—A niech tam, dobra. W poniedziałek wieczorem jest mecz.

—Nie może przepuścić meczu — zauważyła Cindy.

—O, jest już Rick! — oznajmił Beaudry.

—Pozdrów go ode mnie — powiedziała Cindy.

—Nie wiem, czy to zrobię — stwierdził Beaudry.

Cindy umilkła, wypychając językiem policzki.

—Kiedy wyszedł za kaucją?

—Już z miesiąc temu.

Uniosła brwi.

—Tak dawno?

—Tak, tak dawno.

—Mogłabym zapytać, jak on się czuje?

—Jak na byłego glinę, oskarżonego o porwanie wozu i zabójstwo, uwikłanego w przykrą rozprawę sądową o rozwód, powiedziałbym, że dość nędznie. — Beaudry pokręcił głową. — Wcale mu nie współczuję. W cholere tam, to jego własna wina. Ale co mam ci powiedzieć? W końcu ten facet nic nie zrobił! Ma prawo oglądać grę tak samo jak ja, a czemu nie?

—Wie o tym, że wciąż pracujemy razem?

—Tak, wie. Nieraz mnie o ciebie pytał. Nic nie mówię. To już nie jego sprawa. Odkąd z nim nie pracuję, wiem, co robię. Tak samo, jak wiem, co robię, zostając z tobą. Nie mam ochoty być przegrany.

Cindy nagle zachichotała.

—Tak sądzisz?

—Nie mam wątpliwości. Byłaś teraz w toalecie, prawda? To sobie tylko pomyśl, ilu w ciągu roku musiało odejść tylko dlatego, że w nagłówkach wałkowało się jakieś gówna. Gdybyś kiedy sięgała po złoto, jak Flynn, pomyśl sobie o tej rozmowie i nie zapominaj o swoim starym kumplu, Grahamie Beaudrym.

—Nie, nie zapomnę o moim starym kumplu Grahamie.

Wstał.

—To do jutra, co?

—Jak zwykle.

Odwrócił się i wyszedł.

Hayley i Cindy nie odezwały się ani słowem. A potem Marx spytała:

—Wierzysz mu?

—Tak, wierzę. Można się mylić, ale trzeba ludziom wierzyć.

—To prawda. Myślę, że gdyby chciał ci w czymś bruździć, mógłby to zrobić i teraz.

Cindy obejrzała się.

—Facet jest w porządku... trzyma ze mną...

—A czemu by nie miał z tobą trzymać? Odwalasz większość tej gównianej roboty na ulicy i jeszcze to, co on powinien robić.

—Muszę go trochę rozruszać.

—Akurat! Graham to Leser. Myśli tylko o tym, jakby się tu wykręcić. Wystarczy na niego spojrzeć. Nadal koleguje się z Rickiem... chyba słyszałaś?

—Czekaj, właśnie ktoś wszedł. Średniego wzrostu, krótkie ciemne włosy, szczupła... dość miła... nie znam jej.

Hayley odwróciła się, uniosła brwi.

—To Petra Conner. Zabójstwa.

—Sprawa Cart Ramsey?

—Tak. Pogadaj z nią, póki to gorące. Już od dawna obrabiają jej dupę.

—A czego ona może chcieć ode mnie?

Hayley potrząsnęła głową, na ustach błąkał się jej jakiś uśmieszek.

—O co chodzi? — szepnęła Cindy.

—Cii... — uciszyła ją Hayley.

Petra przysunęła sobie krzesło opróżnione przez Grahama i siadła, nie pytając o zgodę. Z daleka wyglądała o wiele młodziej, Cindy mogła teraz zauważyć wszystkie bruzdy i zmarszczki. Z początku mogło się wydawać, że jest cała ubrana na czarno. Z bliska okazało się jednak, że jej bluzka to bardzo ciemny, morski błękit. Przywołała kelnerkę kiwnięciem palca, skłoniła lekko głowę. Zwróciła się do Hayley:

—Znam już ją?

—Nie, ja nie.

Wybawiła ją z kłopotu, przedstawiając się:

— Jestem Petra Conner.

— Hayley mówiła mi o tobie. — Cindy wyciągnęła do niej rękę, Petra przywitała się. — Ładna bluzka. Co to jest? Wygląda na zakard.

—Tak, coś z tego.

—Bardzo ładna — powtórzyła Cindy.

—Dzięki.

Zjawiała się kelnerka, Jasmine, z kieliszkiem białego wina.

— To po jednym, co? — spytała Petra.

— Ja już mam dość — powiedziała Cindy. — Ostatnim razem wypilałam za wiele i miałam kłopoty.

—Zawsze je mamy, prawda? — zauważyła Petra.

Cindy wybuchnęła śmiechem.

— Chyba masz rację. — Przy stoliku zapadła teraz kłopotliwa cisza. Kłopotliwa dla Cindy, ale nie dla Conner. Cindy przyglądała się jej, jak sący swoje wino, było w tym coś z delikatności i prostactwa zarazem. Kobietom się to zdarza, widać to jedna z tych.

—Mają mnie tu za swojego chłopca — powiedziała Petra.

Cindy przyjęła to bez specjalnego entuzjazmu. Nie wierzyła

nikomu, zwłaszcza kobiecie, która uważa się za swojego chłopca.

Petra przysunęła się bliżej.

—Tropper nie był wcale jakąś grubą rybą. To palant, brał, co dzień nie-sie. Nikt za nim nie tęsknił, może tylko jego własne dzieci. Ale taki Berman, od dziesięciu lat na służbie. Miał mnóstwo przyjaciół, oddawał im wiele przysług. Wiesz, jak to jest, glina i lojalność: niepisany kodeks milczenia i wszystkie te gówna. Mam to gdzieś. Myślę, że i dla ciebie to nic nowego. Jest taka dobra zasada, spojrzeć na rzeczy z innej strony. Warto o tym pomyśleć.

—To tylko przysparza wrogów.

—I to całkiem sporo — przyznała od niechcienia Petra. — Warto pamiętać jeszcze o jednym, jak się zadajesz z jakimiś głupkami, którzy chcą cię wyślizgać, a zawsze znajdzie się paru takich, którzy mają na ciebie

oko. Jeśli załamiesz się psychicznie, już po tobie. Trzeba jakoś przetrwać kłopoty, wybrać się gdzieś.

Cindy spojrzała na nią, a potem na jej piwo.

—Masz rację. Dzięki.

Petra odczekała trochę, a potem dodała:

—To nie takie proste. Faceci bywają palantami, gliniarze też. Jeśli to się zbiegnie do kupy, taki facet i glina, to masz patentowanego wała. Bywa, bywa.

Cincy kiwnęła głową.

—Decker,... kiedy mój były mnie opuścił, wciąż mi się zdawało, że to moja wina, czyniłam sobie wyrzuty; że źle się z nim obchodziłam. Ale tak naprawdę, to on mi dociskał śruby. I tak samo było z tobą. To Rick Bederman cię przyciskał. Nie ty jego. Chwytasz to, co?

—Masz rację — zgodziła się.

—Stale jej to mówię — stwierdziła Hayley.

—Tak, ale jak ja jej powiem, to może w końcu do niej dotrze — zaśmiała się Petra. — Dobra, więc to na tyle. Aha, jest jeszcze jeden powód, dla którego tu przyszłam: nasza liga kręglowa.

—O czym ty gadasz? — spytała Cindy, śmiejąc się.

—O Lidze Kręglowej Kobiet Walczących o Swoje Prawa. W zeszłym roku Hollywood był na trzecim miejscu. Kapitan mnie namówiła i powiedziała, że w tym roku musimy być lepsze. — Petra mówiła to całkiem serio. — Kręgle to sport wysoce taktyczny, nie muszę nawet wspominać, jakiej to wymaga koordynacji ręki i oka. Wspaniale rozwijają ogólne zdolności ruchowe, podobnie jak malarstwo, które rozwija bardziej precyzyjne ruchy. Hayley miała ci to powiedzieć, ale nie chciała ci się narzucać, przecież jesteś taka delikatna...

—Ach, jakie to miłe!

—To głupie! — zaprzeczyła Petra. — Masz silne ręce, Decker. Widziałam cię na strzelnicy. Wiem, że jesteś dobrym strzelcem. Grasz w kręgle?

—Tylko dla zabawy — przyznała Cindy. — Nigdy nie byłam w lidze.

—Dobra, to już jesteś! — oznajmiła jej Petra. — Trenujemy w piątki i soboty w Mar Vista. O siódmej. — Wstała. — To tam się zobaczymy.

—Ale ja złamałam rękę trzy miesiące temu — wymawiała się Cindy.

—To była lewa ręka — stwierdziła Petra. — Jesteś przecież praworęczna. — Zwróciła się do Hayley: — Dopilnuj, żeby tam przyszła.

—Jest na mojej głowie?

— Tak. — potwierdziła Petra. — Ni mniej, ni więcej.

Znikła, tak jak się pojawiła. Cindy pomyślała, że to dobry moment, żeby też się ulotnić. Podniosła się od stolika.

—Jestem już zmęczona, Hayley. Muszę się przespać.

—Wyjdę z tobą.

—Pojadę wozem — wymawiała się, ale bez przekonania.

Hayley skrzywiła się.

—Też jestem skonana. Idziemy.

Znow trzeba było pokonać wzburzone morze gniewnych spojrzeń i uwag. Szła z wysoko uniesioną głową. Jeszcze nigdy głowa tak jej nie ciążyła. Dotarły do postoju, otworzyła drzwi saturna i wślizgnęła się do środka. Włączyła silnik.

— W porządku. Jedziemy do domu!

Hayley zatrzasnęła drzwi, ale Cindy siedziała wciąż nieruchomo. Czekala, patrząc, jak Hayley podchodzi do swego wozu, nasłuchiwała, póki motor nie zaskoczył i nie włączyły się światła. Odjechała dopiero wtedy, gdy się upewniła, że wóz Hayley działa jak należy.

Teraz prosto do domu. Po dwudziestu minutach dotarła do Robertson i Wenecji. Stamtąd już tylko pięć minut. Powinna skrócić w National. Ale pojechała na zachód, przez Wenecję. Jeśli będzie jechała dalej, dotrze do oceanu. Stała, gdy ujrzała przed sobą krzykliwe pomarańczowe znaki, wskazujące drogę do kręgielni Mar Vista. Postawiła wóz na parkingu i zgasiła silnik. A co tam, do diabła! Jak będzie robiła złą minę, to może być tylko jeszcze gorzej, trzeba dać upust swej wściekłości i frustracji w jakiś konstruktywny sposób.

Siedziała jeszcze przez chwilę za kierownicą. Była bliska płaczu, ale opanowała się. Nie będzie płakać. Tak długo to trwało, chyba najwyższa pora, by wreszcie zaczęła okazywać swe prawdziwe uczucia, całkiem już o nich zapomniwała.

Zawsze się zastanawiała, co jest motorem działania jej ojca.
Teraz już wie.

TLR